

Jalu Kurek

PISMA WYBRANE

JANOSIK

Tom II

ŚPIEW ŚCIĘTEJ GŁOWY CD.

WPIEKŁOWSTĄPIENIE

Śpiew świętej głowy cd.

Rozdział czwarty

- Jasiak! - krzyknęła Mitanka ze strachem i kolana ugięły się pod nią.

Podniósł palec do ust ostrzegawczo, nakazując milczenie.

- Nie wolno wam nikomu o tym mówić, że byłem na Głuchaczkach. Dziś jestem, jutro mnie nie ma.

Mitana spał. Zwlókł się z pościeli, przeżegnał się, jakby zobaczył zjawę z drugiego świata,

- Ciicho - tłumił ich przerażenie Janosik. - Za kwadrans mnie tu nie będzie. Pójdę stąd daleko. Mówcie, co, słycać.

Sucha jego twarz ściągnęła się jeszcze bardziej. Obserwują to wyraźnie oboje; zbiedniał w tej włóczędze do cna. Kości obciągnięte skórą. Oczy tylko goreją.

- Człowiek klepie biedę, jak może. Żle jest. Władek Juraszek siedział w areszcie.

- Za co?

- Kto tam wie, za co? Myśleli, że razem z tobą zbójował. Ale go puścili. Jeszcze ma mieć z tego sąd. W marcu znowu podali go do sądu o drzewo, bo go sam nadleśniczy złapał, jak wiózł z lasu świeżą jedlinę. My także mieliśmy proces w zimie. I stary Tramek z ciotką razem z nami stawał,

- O płótno?

- Tak, o płótno. Witkowski oskarżał nas czworo: stryjną, stryja, mojego męża i wdowę po Leonie, o to, że byliśmy z tobą w zмовie. Najwięcej leciał Witkowski na starego Tramka; że jakieś twoje rzeczy przechowywał, pochodzące ze złodziejstwa. Ale uwolnili nas wszystkich.

- Nigdy mi Tramek nic nie przechowywał.

- To za jego syna tak się mści Witkowski. Za Leona-zbója niech odpowie ojciec.

- Przecież syn zginął. Co wadzi policjantowi zabity człowiek?

- Właśnie dlatego. Bo chciał się na nim zemścić, a teraz już go nie może osiągnąć.

- Syn pogrzebany, tak?

Leży razem z Michoniem. Ksiądz nie chciał ich chować w kościelnej ziemi, tylko za murem cmentarza: że bandyci i że bez Boga umarli, Ale później pochował.

- Odkąd to policjanci noszą ze sobą oleje święte, jak zabijają? Co z Maściakiem?

- Gnije w ziemi.

- Umarł?

- Umarł z ran w Żywcu. Prawie miesiąc wisiał w niepewności; ni w tę, ni w tamtą stronę. Kulę miał w płucach, wyjęli mu. I potem już słabł, aż skapnął. Może i lepiej, że się tak stało.

Janosik przetarł sobie czoło, zdenerwowany, i cedził wolno:

- To wszyscy moi poszli spać. Tylko ja jeden zostałem.

- Waniek z tobą nie zbija?

- Nie. Zginął.

Zrobiła się cisza, nawiedzona jedynie westchnieniem Mitanki.

- I Wojnara aresztowali. Miał proces w Żywcu. Przesiedział trzy tygodnie za obrazę wójta. Grzywnę także płacił.

Janosik zapalił papierosa, zajrzał do izby kuchennej.

- Poświęćcie mi.

Izba wyglądała, jakby nie tknięta od czasu, gdy ją opuścił. Pod ścianą, jak dawniej, stało łóżko Ślepka. Dotknął rogów łóżka, wodził palcami po drewnianych krawędziach. Tu spał stary, prowadząc z nim długo w noc rozmowy; zwyczajem starców cierpiał na bezsenność. Macał z tkliwością stół, poręcz stołka, swoje łóżko pod ścianą, na którym spał niegdyś. Dawne, zapomniane rzeczy. Stoją jak przedtem, na swoim miejscu. Czy przypuszczał, że tu jeszcze wróci? Że będzie oglądał swoje mieszkanie?

Zdjęła go nagła ochota położyć się na swoim łóżku, jak przed dwoma laty, wyciągnąć się w spokoju, pomarzyć, usnąć bezpiecznie, bez żadnych trosk, silnym zdrowym snem małego dziecka, może by go głos Ślepka spod okna nawiedził we śnie? Choć jedną noc przeżyć życiem niedawnym, a jednak tak dawnym! Albo przespać się na łóżku Ślepka. W jego wspomnieniach utonąć.

Za dużo myśli niepotrzebnych ciśnie się do głowy. Otrząsnął się takim samym ruchem, jak to czynił nieraz, wyłaząc przygięty spod zlanych rosą smreków. Pogrzebał w portfelu, wyjął trzy setki, wręczył Mitance.

- To dla was. Nikomu nie wolno mówić o tym, żeście mnie widzieli. Pod karą. Ani słowa Juraszkom.

Jeszcze w progu odwrócił się, podniósł palce w górę groźnie, ostrzegająco.

- Nikomu. Pod karą.

W blasku księżycy odsłaniała się polana, porośnięta gęstą trawą, otoczona zwartym

murem lasu niby fortecą. Nie darmo sołtys Kamieniecki tęsknił od lat za głuchaczkowymi łąkami. Jak by to pięknie było ściągnąć mieszkańców przysiółka do wsi, a samemu posiąść ośmiomorgową halę słodkiej pysznej trawy!

Jan Dziura schodził w stronę przyborowskiego koszar. Witała go okolica po brzegi wypełniona wspomnieniem. Pierwszą noc znajduje się pod Babią Górą i od razu przybył tu, aby odświeżyć pamięć tamtego lata, odnowić rany tamtego lata. Wdychał woń rzeźwego, pachnącego powietrza. Księżyc, zaczepiony tłustym sierpem u chmurki nad Pilskiem, oświetlał śnieżną kopułę szczytu. Nieraz śnieg utrzymuje się tam nawet do maja.

Szedł z bijącym od wzruszenia sercem. Oto rejon posterunkowego Witkowskiego, pograżony w niewątpliwym ładzie i spokoju: we śnie. Poznał Przyborów po obłych zarysach wzgórz. Witało go na tych bezdrożach conocne znajome ryzyko, tak znajome, że aż powszednie. Wabiła go pustać tym bezpieczniejsza, iż ofiarująca na każdym kroku schronienie. W połowie drogi zatrzymał się na porośłym jałowcami wzgórzu i wyczuł raczej, niż dojrzał przed sobą na zachodzie w dolinie rozłożoną Jeleśnię. Nad cmentarzem zmarłych na cholera opuszczony ku drodze. Tu w krzakach rozmawiał z Wojnarem, tu gniady jego pasł się nocą w koniczynie, tędy chybał z kompanem do księdza proboszcza, tu całował się z Zośką Masłowską - ach, nie myślmymy o tym! Maszerował ścieżką równoległą do drogi, przekroczył mostek nad Bystrą, przeciął skrótem na Ukos nadrzeczną kamienistą łąkę; dokąd zdążył? Wieża kościelna, okolona potężnymi lipami, kłula firmament, panując nad całym rynkiem jeleśniańskim. Z tyłu za kościołem, od szosy prowadzącej do Żywca, aleja wysokich kasztanów znaczyła wejście na cmentarz.

Rozległa wieś była uszpięta i bezwładna. Jakiś pies ze spuszczonego ogonem przebiegł obok niego, umykając ze wstydem, jakby złapany na gorącym uczynku. Jednym susem przeskoczył Janosik przez opustoszałą drogę, chwycił się rękami niskiego progu, wzniesionego z kamieni, usiadł na nim, przerzucił przezeń nogi, znalazł się wśród mogił. Otoczyło go osiedle sztucznych kopczyków, licha, gliniasta wioseczka umarłych. Na pamięć szedł do Ślepkowego grobu. Nie zapomniał go od chwili pogrzebu. W tyle cmentarza, w bocznej alejce, niedaleko południowego murku.

Grabarz spełnił sumiennie powierzone mu zadanie. Mogiła Ślepka ujęta była w czworokątną ramę kamienną. Z przodu widniał krzyż, ciosany z białego kamienia, na nim blaszane kółko z czarnym napisem: „Ś.p. Walenty Janiczak, ur. 17 marca 1862 r., zm. 28 kwietnia 1937 r., prosi o westchnienie”.

Opryszek ukląkł na głazie u stóp krzyża, utkwivszy źrenice w mogile. Usta złożyły się do modlitwy. Od jak dawna się nie modlił? Chyba ostatni raz czynił to w dzieciństwie. Tu

gdzieś leżą niedaleko w cmentarnej glinie jego trzech kompani, umarli z ran. Niech i oni będą uczczeni tą modlitwą.

- Dziadku, jestem znów przy tobie. Widzisz mnie tu w nocy, kiedy nie ma nikogo. Przy tobie siłę swoją odzyskuję. Może wkrótce i ja się w ziemi położę. Ale ty będziesz uczczony. I pomszczony.

Pomyślał o Głuchaczkach i o niedawnej przeszłości. Czy to nie Ślepek stał u kolebki jego zbijania? Czy nie zaczęło się ono właściwie od Ślepkowej śmierci, a poprzedzone było historią płótna jego siostry?

Przeżegnał się i wstał. Od iluż lat nie uczynił znaku krzyża na swoich piersiach? Ucałował z nabożnym wzruszeniem krzyż rozpostarty nad grobem, jak niegdyś całował rękę starca, wyruszając w noc z domu, do którego już nie miał powrócić. Wsiąknął w mrok, w aleję kasztanową, w trwożne szczekanie psów.

Wpadł jak burza do Wojnara. Ledwie się go dobudził. Chłop na poły się przeląkł, na poły ucieszył. Podał mu rękę, stwardniałą od ciężkiego gospodarskiego wysiłku, jakby przelewając w gościa od razu tajemnicę swoich codziennych spraw i czyniąc go ich współnikiem. Zapalił lampę, skręcił przezornie mały, migotliwy płomyczek, obrzucił młodzieńca spojrzeniem pełnym troski i serdecznej sympatii. Wiadomości nie były ani wesołe, ani pokrzepiające.

- Policja chodzi po piętach ludowcom. Sypią się kary, areszty, grzywny. Stachoń rozbił nam „Wici”.

- Stachoń zdradził was?

- Przed każdym chwalił się radykalizmem; że on jest czerwony, a Wojnar zielony. I teraz przystał do sanacji. Chciał mnie zrobić na złość, a zaszkodził sprawie. Pragnął być koniecznie prezesem; znowu mnie na złość. I został.

- Prezesem?

- Założył w Jeleśni stronnictwo „Młodej Wsi” za namową starosty i Franczaka. Słyszałeś o tej organizacji?

- Trochę.

- Taka partia sanacyjna wiejska; kadzichłopy, mówią o nich. Sensu dużego w tym nie ma, ale idzie o to, aby rozbić front chłopski. Żeby się nazywało, że wieś współpracuje z rządem pułkowników. W naszej gminie trzech chłopów zapisało się do Stachoniowego stronnictwa, w tym jego szwagier i ojciec szwagra. I Stachoń jest prezesem.

- Pamiętajcie, jak raz mówiłem, że gdybyśmy mieli iść do Polski ludowej, broń mnie Boże, abym szedł wspólnie ze Stachoniem? Tak mnie chłop znudził swoim biadoleniem.

Podejrzewałem, że to fałszywe skamłanie.

- W zaufaniu, do swoich najbliższych, klnie także na sanację ile wlezie. „Trzeba żyć”, powiada kiedyś do Jędrasa. „Dostanę prędzej pożyczkę na stodołę, sprowadzę nawozy sztuczne, będę miał filię kółka rolniczego”. Ja zdziaiałem przez sprawę ludu, on się chce na niej wzbogacić.

- Długo siedzieliście w areszcie?

- Tydzień. Razem ze mną siedział Jędras i Topolak z Koszarawy.

- Co robi Zośka Masłowska? - przypomniał sobie Janosik na dźwięk nazwy Koszarawa.

- Gospodaruje pod lasem. Witkowski chodził tam parę razy z Kowalem. Miały sąd za przechowywanie twojego konia zapłaciły grzywnę i wymigały się z tej historii.

- Juraszek także podobno siedział w Żywcu.

- Siedział - wycedził Wojnar przez zęby.

- Czego chcieli od niego?

- Nie wiem - wzruszył ramionami gospodarz. - Nie mam do niego zaufania. Jakoś mi się on nie podoba. Nie wiem nic pewnego, ale czuję, że Juraszka chce policja przekabacić na swoją stronę. Podobno przekupili go, aby coś z niego wyciągnąć o tobie.

- Na pieniądze on łasy. Ale co on wie o mnie? Nic. Tyle co nic.

- Nie wiadomo. Jedno do drugiego dodać, coś się zbierze. Może wydać wszystkich ludzi, z którymi miałeś kontakt. Mogą go wziąć na konfidenta. Nikt o niczym nie będzie wiedział, bo to rzecz tajna, a Juraszek może sobie chodzić ze szmugłem, kłusownictwo uprawiać, drzewo kraść; oni mu zapewnią bezkarność. On im za to będzie tylko dawał informacje o ludziach.

Zbój zapalił papierosa, osnuł dymem pamięć Juraszka.

- Ja w każdym razie na Głuchaczkach pokazywać się nie będę. Nie mam tam nic do roboty. Siedzę teraz w innych miejscach. Dowiedziałem się, że Maściak zmarł w Żywcu. Prawda to?

- Umarł z ran. Męczył się ze trzy tygodnie. Policjant codziennie chodził do szpitala pytać o jego zdrowie. Tak im pilno było do rozprawy. Ale nie osądzili go.

Wojnar przerzucił się na inny temat. - Powiedz no mi, chłopcze, czyś ty oporządził Franczaka tamtego miesiąca?

- Ja.

- Chciało się wam po to z Tatr przywędrować?

- Ja sam przyjechałem, nikogo więcej nie było.

- Sam? On rozpowiadał, że było sześciciu.

- Kłamca i tchórz. Tak mnie coś poderwało, kiedy dowiedziałem się od Banacha, że was wpędził do paki, że postanowiłem dać mu bobu z zemsty za was.

- Teraz jesteś tu także sam?

- Nie. Z chłopcami.

- Co będziesz robił?

- To co dawniej.

- Szkoda cię. Zmarnujesz się - pokiwał głową współczująco Wojnar.

- Nie mam innego wyjścia. Jestem zmarnowany. Jak myślicie, czy gdybym się teraz wrócił do uczciwego życia, policja pozwoliłaby mi żyć spokojnie?

- Nie. Ale po odsiedzeniu więzienia chyba tak.

- Już by mi nie dali spokoju do końca życia. Wciągnęli mnie w koło i muszę w nim krążyć.

- Możesz gdzieś wypłynąć w innej części kraju, rozpocząć nowe życie.

- Nie da się. Policja ma długą rękę. Dla mnie nie ma powrotu między ludźmi.

- Nie żal ci dawnego życia?

- Nie. Cóż bym robił w Jeleśni? Pracowałbym w tartaku, wieczorem piłbym piwo u Habera, słuchając ciągle tego samego biadania jakiegoś Stachonia. Zamknąć życie między chałupą a kłocowiskiem? A może jeszcze ożenić się, spłodzić kilkoro dzieci, kamień sobie u szyi uwiązać i patrzeć, czy od Pilska pogoda idzie, czy siana nie trzeba kosić, czy ziemniaki mi nie zgniły? Brrr!

- Na Głuchaczkach źle ci było? U Ślepka?

- Nie powiem. Ale to też nie dla mnie życie, wodzianka, kwaśnica, ziemniaki z żurem, ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Ściągać drzewo dla Berka z góry? Owszem, przyjemnie skraść piękną jedlicę, raz, drugi raz, ale później znudzi się. To nie dla mnie robota. Postrzelać trochę do zajęcy w lesie i znów do chałupy? To także mnie nie nęci, jeśli ma tak być codziennie.

Wojnar - ciągle ślepy na przeszłość Jana Dziury - rozpoczął swoje nieśmiertelne kuszenie:

- Tak jak żyłeś przed zbójowaniem, przydałbyś się naszej sprawie. Czemuś ty się nie ożenił, Jasiu?

Uśmiechnął się ironicznie. - Czy dlatego, że nie ma mi kto koszuli potarganej zeszyć, mam się już koniecznie żenić? Albo jeśli mi się dziewczyna podoba, to znaczy, że muszę z nią iść do ołtarza?

- A jednak inaczej by twoje życie wyglądało przy kobiecie.

- Czasem mi smutno. Wtedy mam dziewczynę; potem uciekam od niej, gdy mam jej dość. Nie mógłbym długo wytrzymać przy babie.

- A gdybyś ją się uczciwej pracy?

- Wy myślicie, że jak drzewo rośnie, to nie pracuje? - spytał naiwnie. - Oglądać, jak słońce wschodzi i zachodzi, to także robota.

Po chwili dorzucił poważnie, nie bez gorzkiej refleksji: - Trzymam się z dala od ludzi, to prawda. Ludzie to dla mnie policja. Policja oznacza więzienie. Więzienie oznacza śmierć. Uciekam od ludzi, co się dziwić? Nie zaznałem od nich niczego dobrego. Nie mam ich za co kochać.

- Przystań do nas, Jasiu. Namawiam cię jeszcze raz, jak tamtego roku, choć szanse twoje pogorszyły się znacznie.

- Ho, ho, ho, panie Wojnar - przerwał mu chłopiec z wesołym uśmiechem. - Znam to już na pamięć. Nie obrzydzajcie mi życia. Częstoście mnie tym od roku. Banach w Jurgowie także kładł mi to w uszy.

Gospodarz, nie zrażony tym, mówił dalej: - Adwokaci będą cię bronili, zrobi się ruch polityczny, wokół sprawy, rozdmucha się prasa. Może być apelacja, rewizja procesu, kasacja, może wyjść amnestia, można petycję wygotować do prezydenta, narobić hałasu w gazetach. Myślałem o tym wielokrotnie podczas twojej nieobecności, mówiłem o tym z zaufanymi.

Janosik przymknął powieki powolnym ruchem, jakby mu same opadały siłą bezwładności, po czym rzekł głosem pełnym znużenia: - Nie myślcie o mnie za dużo, Wojnar. Nie jestem wart tego.

- Który raz ci to mówię? Kiedy wyjdiesz z więzienia, jeszcze będziesz młody. Nie masz dwudziestu lat, czeka na ciebie życie.

- W więzieniu? To śmierć, nie życie.

- Po wyjściu z więzienia.

- Wrócić po śmierci do świata? Nigdy się tak nie dzieje. To tak, jakby kto życie odwrócił do góry nogami. Nie wódźcie mnie na pokuszenie. To nie dla mnie zabawa.

Powiódł oczyma dokoła, przebijał wzrokiem cztery ściany domu. W dali szumiała jego leśna, wyniosła ojczyzna. Odchodziła w głąb, w czarną nieskończoność. Zapadł w nią i wsiąkł bez śladu.

Runęło z trzaskiem po Wysokim Beskidzie, jakby wichur uderzył w ścianę śmigłych jodeł na skraju polany - Janosik znowu hula w górach!

Musiał tu wrócić. Jeszcze ma do wyrównania stare rachunki. Musi wypłacić odszkodowanie rodzinom po zabitych kompanach. Musi zapłacić policji za zabicie czterech towarzyszy i konia; za aresztowanie i za nękanie najbliższych znajomych. I dalej - na panu Witkowskim za młodość zmarnowaną się mścić.

Następną noc po wizycie u Wojnara nie wrócił do kompanów, obchodząc trzy wsie. W ciągu jednej nocy! Odwiedził wdowę Tramkową w Przyborowie, wdowę Maściakową w Jeleśni oraz rodziców Michonia w Korbielowie, wręczając im po pięć tysięcy złotych jako odszkodowanie za zabitych zbójników. Trzeciej nocy, już w drodze do swego nowego legowiska, wybrał się do rodziców Wańka z Rycerce. Matka wyszła mu naprzeciw.

- Gdzie syn?

- W ziemi.

Wyszedł ojciec. To samo.

- Co ze Staszkiem?

- Umarł z ran.

Uderzyli w płacz w całej chałupie.

- Zawołajcie Barbarę Natkaniec.

Przyszła. Wysoka, jędrna, jasnowłosa. Nieładna, lecz tryskająca młodością, zdrowa jak rumiane jabłko. Zalała się łzami.

- Chłopiec twój przed śmiercią kazał cię pozdrowić i ten zegarek na pamiątkę ci odnieść. O tobie mówił i myślał, zanim go śmierć w spaniu opadła.

Jeszcze łudzili się do ostatka, że syn uciekł z hetmanem w inne strony. Kazali się prowadzić na mogiłę. Wyruszyli o świcie w gęsty las, nabrzmiały śpiewem ptaków: Jasiak, ojciec i narzeczona Staszka. Kołowali długo, zanim wódz po półrocznej niebytności trafił na ślad Wańkowej Dziury. Wczołgali się do jamy. Rozbłysła nikłym światłem latarka. Dziewczyna rzuciła się, krzyżąc, na nieforemny kopiec stwardniałej gliny, kryjący zwłoki ukochanego chłopca.

- Wyrżnę z brzozy krzyż. Ubierzesz kwiatami grób, Baśka - prawil ojciec.

- Będę tu przychodziła - odpowiedziała we łzach.

Harnaś dał staremu pięć tysięcy złotych na otarcie łez, dziewczynie i tak by ich nie otarł - i zostawił ich w lesie. Złożył wizytę bacy ujsolskiemu, który mu wyświadczył najwięcej usług w zeszłorocznym sezonie. Nie mógł go początkowo znaleźć, gdyż stary przeniósł się z trzodą na Wyżnią Halę Buczynową. Odnowili dawne kontakty. Odświeżono cały aparat wywiadowczy z poprzedniego lata. Wszystkie pieniądze, jakie pozostały z tatrzańskiego zbijania, poszły na opłacenie współników, stronników i informatorów. Znowu

przesłano po staremu łąpówki karczmarzom, gajowym, bacom i pasterzom w Krzyżówkach, w Rabczycach, w Sopotni, w Ujsołach, w Rajczy, na Lipowskiej, na Boraczej, na Czarnej, w Buczynie; przemytnikowi w Mutnem, paserowi w Polhorze.

Nie było prawie śladu bytności Janosika po polskiej stronie. Policję ogarnęło zdenerwowanie. Aż huknęła wieść o równoczesnym rabunku u proboszcza i u żydowskiego handlarza drzewnego w Milówce. I znów nastała cisza.

Słońce dogrzewało coraz silniej. Witkowski z Kowalem obchodzili pilnie lasy koszarawskie, przyborowskie, korbielowskie. Któregoś dnia aresztowali Mitanę na Głuchaczkach. Sprowadzili go do Jeleśni, przesłuchiwali. Czy to prawda, że był u niego w nocy przed tygodniem Janosik? Zaprzeczył. Bili go. Nie przyznał się. Odesłali go do domu. Nazajutrz odwiedzili (ciagle we dwójkę) Maściakową i wdowę Tramkową. Męczyli je z godzinę pytaniami o herszta. Czy był u nich i po co był. Kobiety zaparły się, pary nie puściły z ust.

- Nic wam nie będzie - nastawał Witkowski - powiedzcie tylko, kiedy był u was Dziura.

- Nie był.

- Kłamiecie. Nie wypierajcie się. Nie przyznały się.

- Obiecuję wam, że nic wam za to nie będzie, gdy się przyznacie.

Znały obietnice Witkowskiego. Nie odezwały się. Obaj policjanci wybrali się z kolei do Korbielowa. Tę samą procedurę zastosowali wobec rodziców Michonia; z tym samym skutkiem. Starzy odzegnali się od jakiegokolwiek styczności z chłopakiem z lasu.

Nie ulegało wątpliwości; policja otrzymała skądś tajną a dokładną informację o wizytach Jaśka Dziury. O jej dokładności świadczył fakt, iż Witkowski wraz z Kowalem nie omieszkali zjawić się u Wojnara w identycznym celu. Wojnar miał niejednokrotnie do czynienia z policją; był obrotny i inteligentny. U niego więc tym bardziej nic nie wskórali.

Informatorem policji był Władek Juraszek, a właściwie jego dziewczyna, Walerka od Pasika, niedoszła frajerka Jasia Dziury, panna jedynie w znaczeniu metrykalnym. Tak mściło się za wzgardę serce poniechane przez hetmana. Czy ona była kimś gorszym od Maryśki Medesówny lub od Zośki Masłowskiej? Ona to zrećźnie wydoostała od swego chłopaka wiadomość, którą skwapliwie podjęła policja. Ale skąd wiedział o tym Juraszek? Czyżby szpiegował kontakty zbójnika?

We wtorek, jako w dzień jarmarczny, zorganizowali ludowcy w Żywcu wiec legalny z udziałem delegatów z Krakowa; legalny, a więc za pozwoleniem starosty. Wojnar biegał po wsi od paru dni, zajęty propagandą wiecu.

Moc ludzi przywędrowało z powiatu. Od dwóch godzin trwały mowy na placu za targowicą. Było słoneczne południe. Przedstawiciel starostwa odszedł. Dwaj policjanci także udali się na obiad. Lista mówców wyczerpana; najgorsze, czego się można było obawiać, już przeszło. Jeszcze paru miejscowych chłopów pogłędzi, zachce się im jeść, towarzystwo rozejdzie się i będzie koniec.

Jakiś dudniący głos przedkładał coś z trybuny wiejskiemu tłumowi. Mrowisko kołysało się niespokojnie. Już byłby czas wracać do domu. Ale kiedy znowu posłyszają tak piękne słowa, do nich specjalnie zwrócone? Chyba nieprędko. Głos podniósł się ostro, oblało go pomrukiwanie ciżby. Oczy słuchających były white w dół; to dziedzina chłopskiego patrzenia. Niektóre zaś były całkiem zamknięte; ludzie bowiem nie chcieli dopuścić do rozdziwisku między widzianym a słyszonym; takie to było przepastnie odmienne. Przewodnik uwodził ich w nowy świat, tłumaczył, zachwalał. Poczuli się szczęśliwi, wszyscy ci, którzy odeszli na chwilę od krów, od gnoju, od jałowej, owsianej ziemi; poczuli się ważni w kraju wykreślanym w powietrzu rękami mówcy.

Nagle gromada zafalowała. Jeszcze widać było, jak mówca łopotał dłońmi niby rozbitek tonący wśród fal, jak zionął uroczystym zakłębieniem, ważąc nierówno rękami niewidzialne wartości, jakby wskazując zebrany, ile mają stracić, a ile mogą zyskać. Ludzie podnieśli głowy, krzyk protestu wyrósł ponad zarośnięte karki. Nie, na to się nigdy nie zgodzą.

Przeżyli uniesienie i opadli. Ich oczy znowu wróciły do dawnych spojrzeń, do swojej sfery: w dół. Trzeba ten lud znać. Chociaż nic nie mówi, wiadomo, że woła, podniecony, całym uporem woli, że protestuje rękami opuszczonymi wzdłuż spodni, lecz zaciśniętymi w pięści: „Niech się nam nareszcie pokaże ta rewolucja. Gdzie ta zorza, którą obiecujecie? Wylejmy raz tę krew. Chcemy człowieka, który nas wyprowadzi na światło!”

Głos z trybuny ucichł. Ale chłopskie pięści groziły dalej w ukryciu.

Jaś Dziura ruszył z tłumu. Za nim prawie niedostrzegalnie zaczęli się przeciskać ku trybunie trzej młodzieńcy. Wojnar, siedzący przy stole prezydyjnym, zbladł. Nachyliwszy się do sąsiadów, szepnęła im coś w ucho.

Harnaś przepchnął się ku stołowi. Podniósł rękę w górę na znak, że chce mówić. Inni zaczęli uciszać zebranych.

Patrzą: młodzik bez wąsów. Mały, chudy. Twarz ściągła, ciemna, same kości. Ostre

rysy. Pewnie i głos nie będzie bardzo donośny. Ale oko jego dociera do krańca zgromadzenia. To spojrzenie draży w głąb, panuje, nakazuje posłuch.

- Chłopi! O czym radzicie? O panach? Rzeczpospolitą się nazwali. A to zgraja złodziei. Zginęła wolność na wsi. Ale duch chłopski nie zaginał. I z kajdan się wyzwoli.

Któż to jest? Głos huczy mocno, jak gdyby w nim sama młodość uciśniona krzyczała. Zwiesili głowy; ze wzrokiem utkwionym w ziemię dokonywali swoich porachunków z kimś nieobecnym, lecz gniotącym ich. Przed chwilą przecież modlili się o człowieka, który by im dał obiecaną ojczyznę.

- Ojczyzna? - głos zaśmiał się gorzko. - Każdy sobie do woli gębę wyciera ojczyzną jak szmatą. Nam, chłopom, nie dała nic ojczyzna. Pańska ojczyzna, nie nasza. Niebo - nie dla nas. Bóg - nie za nami. Nie naszych modłów wysłuchasz, Boże! Naszym na ścierniach wilgotnych gnić. Nam, śmierzącym chłopom, u stóp pańskich leżeć, w pańszczyźnie się tarzać. Nasłali nam tu w góry policjantów, sekwestratorów, strażników celnych, gajowych. Niewola była i jest. Chamy muszą pracować na jaśniepanów. Swoboda! Gdzie jest swoboda?

Oto jest ten, który ich rozpacz wziął w siebie. Trzeba się będzie znowu wrócić do krów, do gnoju, do jałowej owsianej ziemi, ale pozostanie ktoś, kto zna ich marzenia. Niech więc ten młody za nich mówi.

- Prawo jest jedno: bogacze są po to, aby rabować biednych. Ale ja to prawo odmienię. Skończył i znikł. Przepadł w ciżbie.

- Ludzie! Czy wiecie, kto to przemawiał? - huknął ktoś z tłumu. - Janosik!

- Janosik! - wybuchnął tłum, cisnąc się ku niemu. Więc tak wygląda legendarny zbójca Wysokiego Beskidu? Nie wszyscy go zobaczyli, nie wszyscy go usłyszeli; zdołał zapaść w gąszcz ludzki. Opryszek, który przemawia na wiecu politycznym! Chłopcy pilnowali bacznie hetmana, nie odstępując go ani na krok. Nie znalazł się ani jeden zdrajca, który by doniósł policji o wystąpieniu publicznym harnasia. Oczywiście dziś wieczorem dowie się o tym starosta i komendant policji powiatowej.

Ale wtedy Janosik będzie się z nich śmiał.

- Dostałeś mój list?

- Dostałem.

- Nie byłeś pewnie zadowolony?

- Pewnie. To niemądre - mruknął

- Przepraszam.

O, to mu się spodobało. Mówi jak panna z miasta. Oczy brązowe, sarnie, nabrały

żywszego blasku, postać jakby się rozrosła, popielate włosy pojaśniały, zrobiły się złociste. Na bluzce białej wzorek w niebieskie jabłuszka z listkami. Jasiak lubił ten kolor.

- Proszę bardzo - odpowiedział. Zrobił filuterną minę i w niezgodzie z miną rozpoczął tonem kaznodziei:

- Nie mam ci tego za złe, Zośka, że chodzisz z nauczycielem. Mieliśmy skłonność ku sobie. Ale żadnych praw do ciebie nie mam. Niczego ci nie obiecywałem. Masz wolność. Czy on się z tobą ożeni?

- Chce się żenić.

- Bądź dobra dla niego. Będzie ci z nim na pewno dobrze. Żeby cię tylko szanował. Bo on uczony, a ty prosta dziewczyna.

- On też chłopski syn. Spod Tarnowa.

- Powinniście być szczęśliwi.

- Ja już nie będę szczęśliwa.

- Będziesz się sama śmiała z tego, co mówisz.

- Odszedłeś ode mnie, nie było cię pół roku - rzekła tonem zarazem wyrzutu i usprawiedliwienia.

- Miałem cię może zawiadomić listownie o tym, że zmieniłem miejsce zamieszkania, i podać nowy adres?

- Nie zatroszczyłeś się o mnie - ciągnęła dalej swoją skargę.

- Nie bądź głupia, musiałem przecież wiać.

- Ale tam miałeś inne dziewczęta.

- Więc co z tego? - potwierdził cynicznie. - Ślubu nie zawierałem z nikim - skrzywił się szyderyczym grymasem.

- Przecież mnie kochałeś.

- Nie - odpowiedział twardo.

- Nigdy mnie nie kochałeś? Ani trochę? - spytała jednym tchem i coś załamało się w jej sercu.

- Nigdy. Ja nie potrafię kochać nikogo.

Jak długo czekała na próżno na to słowo, którego nie dane jej było usłyszeć! Jego niebieskozielone oczy patrzyły nie w nią, lecz poza nią.

- Przecież chodziłeś ze mną, jak ci, którzy mają zamiar się żenić.

- Mów prawdę, Zośka - upominał ją z drwiącą miną. - Nie obiecywałem ci niczego, nie zapewniałem o miłości.

- O, ty kłamco! - wybuchnęła płaczem. Ogarnęła ją bezbrzeżna rozpacz, tym większa,

że uprzytomniła sobie, iż Jasiak mówi prawdę. Miotła ją wściekłość za jego spokój, za jego bezczelność oraz żal, że jest tak zimny i nieczuły, że jej nie rozumie, że się nie mogą ze sobą pogodzić. Więc wszystko stracone! Narazi się na śmiech całej wsi. Matka miała rację. Miał rację Krawczyk, mówiąc, że Jasiak Dziura to wariat. Jakże wtedy znienawidziła nauczyciela za to, że starał się zdyskwalifikować rywa. Ale teraz wie, że mówił słusznie.

- Zośka! - próbował przemówić do niej spokojnie: - Czego chcesz ode mnie?

- Podły! - zanosła się silniej płaczem. - Nic nie chcę.

- Nie becz! - huknął na nią ostro. - Nie lubię tego. Co ci to pomoże? Odejdę stąd natychmiast.

Uspokoila się w okamgnieniu. Zapalił papierosa, osnuwał jałowcowe gałązki obłoczkiem dymu. - Nie mówmy o tym.

- Tyś mnie nie kochał, Jasiak - znowu podjęła to samo, lecz łagodniejszym tonem.

- Pewnie - przyznał. - Mnie nie wolno kochać. Zgubiłbym się przy tobie. Wolę zmarnieć przy czym innym.

- Przy innej.

- Wstyd mi czasem, Zośka, że ci nie dałem tego, co powinienem był ci dać. Ale serce miałem gdzie indziej zwrócone.

- Wiem. Ku innej dziewczce.

- Ty ciągle swoje. Nie rozumiesz mnie. Żadna dziewczyna nie kochała mnie dłużej nad trzy miesiące. A ja nie kochałem żadnej. Jestem bandytą.

- I zmarniejesz tak, Jasiak. A tak cię kochałam.

- Może być. Zmarnieję.

- Nie będziesz nigdy kochał innej?

- Nie. Nigdy.

Wyrzekł to z głębokim przekonaniem. Ucieszyła się niemal w swym nieszczęściu, usłyszawszy tę odpowiedź. Już to było dla niej pewną ulgą; nie ona będzie jego wybraną, ale i nie żadna inna. Pogłaskał ją po włosach, jasnych, gładkich, upiętych w węzeł na karku. Osłabła pod tym dotknięciem. Jakże głupie; już ma przecież nowego chłopca. Po dwóch miesiącach od ucieczki Janosika zjawił się w Cichem konkurent, nauczyciel ze szkoły koszarawskiej. Jakże odrzucić zaloty takiego człowieka, który ma stałą pensję rządową co miesiąc, któremu cała wieś czapkuje, któremu wszyscy mówią „pan”?

A ona, jako jego żona, będzie panią.

Jakże to głupie! I znów na jej nieszczęście zjawił się ten, który jej sny pomieszał, przez którego tyle cierpiała. Nie powiedział, dlaczego go tak długo nie było, dlaczego nie był u niej,

dlaczego nie zateknił za nią.

Bo jej nigdy nie kochał. Ile się namęczyła przez tego zbója! Bili ją, na przesłuchanie ciągnęli, koleżanki zachłystywały się złośliwymi plotkami, parobcy wyśmiewali ją, grozili: „Obcego przybędę będziesz u siebie przyjmować! Mało masz swoich kawalerów na wsi? Kości mu poprzetrącamy!” Aż później przelecieli się zemsty i przez parę miesięcy chodziła w sławie jako kochanka harnasia. Aż harnaś zniknął. I zniknęło kochanie.

Nigdy jej nie kochał. A któraż kobieta nie chce być kochana? Ożeni się z nią Krawczyk, będą prowadzili spokojny żywot. Pani Krawczykowa będzie miała po matce ładne gospodarstwo. Tamtego roku dokupiły kawałek gruntu, sieczkarnię i świnie. Po całej wsi zaczęto mówić za jej plecami, cicho, aby nikt nie słyszał, lecz tak, aby wszyscy wiedzieli:

„Za pieniądze harnasia zrobiła się sutą gospodynią”.

Wyjdzie za mąż, zamknie Pysk plotkarkom, położy kres głupim, obraźliwym pogłoskom.

- Kiedy się macie pobrać?

- Pewnie w lecie

- Zaproś mnie na wesele. Wiesz, jak lubię tańczyć. Pamiętasz, jak poznaliśmy się na tańcach w Przyborowie?

- Tak - oczy jej zaszkliły się łzami, lecz uśmiechała się. - Choć nie wiem, czy cię zaprosić, bo mi wszystkie druhny zbałamucisz.

- No to co? - przymrużył oko figlarnie.

- Potem by jeszcze przez ciebie płakały, tak jak ja płaczę. Nie chcę im robić zmartwienia.

Poczuł się nieswojo. „Co jest, psiakrew? Nie zrobiłem żadnej dziewczynie krzywdy, a każda, z którą się tylko poznam i choć raz pocałuję, płacze przeze mnie. Czyżbym był takim draniem?”

- Co to szkodzi? Ubędzie dziewczki, gdy ją pocałuję? Z cukru są?

- Wolę im nie dać tej sposobności. Ty zanadto lubisz dziewczki uwodzić.

- A toś trafiła! - zaśmiał się rzetelnie. - Ani mi to w głowie.

- Ze mną się całujesz, z druhną byś także chciał!

- Pewnie - odpalił beczelnie, nie czując, jak ją tym rani. - Nie tylko z jedną, z wszystkimi można się pokochać. Tylko wybierz ładne.

- Po co? Ty nie lubisz przebierać. Dla ciebie każda dobra. Ileś się nacałował Walerkę od Pasika? Sama się chwaliła na rynku, że się opędzić nie mogła od twoich zalotów.

- Łże! - zachłystnął się złością. - Wstrętny knedel! Pocałowałem ją parę razy

wszystkiego, i to po ciemku, żeby jej gęby obskurnej nie widzieć. To ona nie dawała mi spokoju, odczepić się od niej nie było można. Kłamie, kłamie!

- Ja wiem, każdy chłop tak mówi. Jak się naję, to mu zbrzydnie. Ewę także całowałeś? Powiedz, że nie?

- Ewę? - zastanowił się, otwierając oczy ze zdziwienia.

- Tak. Ewę z Jurgowa.

Wcisnął głowę w ramiona, ale śmiało wytrzymał jej wzrok.

- Nie mówię, że nie.

- A Jagę z Herdučki?

- Co ci do tego?

- A Maryskę Medesównę? Co mi do tego! O, ty masz serce szerokie dla miłości!

- Phi! - gwizdnął lekceważąco. - Nie wiem, co to miłość.

- I ty to mówisz, który za każdą dziewczką się oglądasz!

- Nie myślę ci się spowiadać. Nigdy nie udawałem świętego. Myśl o mnie, co chcesz, jest mi wszystko jedno.

Zapałił papierosa, uważając kwestię za wyczerpaną. Stała w krótkiej granatowej spódniczce, odsłaniającej silne, zgrabne łydki i bosc stopy. Przytrzymała się jego ciepłej, zawsze ciepłej ręki, jakby bojąc się, że kolana pod nią zadrzą, że zemdleje i upadnie. Czuła, że teraz ją pocałuje. Niech się to prędzej stanie. Patrzyła w niego z zawstydzaniem, jakby płoniąc się za to, że to właściwie nie on, lecz wyraźnie ona od niego wbrew samej sobie odchodzi.

Może się jeszcze wzruszy i powie: kocham cię. A wtedy ona rzuci wszystko i ucieknie stąd. Pojadą na kraniec Polski, na roboty do Niemiec, na Węgry, na Łotwę, gdziekolwiek, byle razem. Ale to słowo, spodziewane przez nią, nie padło z jego ust; ponad rok czekała na nie z utęsknieniem. Jej wystarczył jeden moment ujrzenia kochanka, aby wszystko, co umyśliła i uplanowała podczas jego nieobecności, rozwaliło się w gruzy. W nim nie załamało się nic. Czuł tylko smutek, że odchodzi od niego to jeszcze jedno uczucie, które go wiązało z ludźmi, że jeszcze jeden człowiek, w którego wierzył, odpada od niego.

- Czy powiedziałem ci kiedy, Zośka, że cię kocham?

- Tego się nie mówi.

- Nie zostałbym nigdy twoim mężem. Byłabyś nieszczęśliwa, gdyby się tak stało. A ja chybabym się powiesił ze zgryzoty. Nie jestem stworzony na męża.

Patrzyła na niego z trwogą, gdy wymawiał te straszne, Nielitościwe słowa. Tylko głos jego zaprzeczał groźbom, podzwaniając swoim zwykłym, kpiącym tonem. Jakby same usta

nakazywały brać to wszystko ze strony żartobliwej. - Rozejdziemy się z dobrą pamięcią o sobie. Mam wielu wrogów, ale w tobie nie chciałbym mieć nieprzyjaciela. Kto wie, może ja cię nawet trochę kochałem? Ale nie tak, jak myślała twoja matka.

Gładził jej włosy złotawe nad czołem. Drżała, cicho płacząc. Chłopiec nachylił się nad nią i mówił, śpiewnie akcentując głoski:

Nie płacz, frajereczko, o cóż byś płakała?

Jam się nie ożenił, tyś się nie wydała.

Dopiero teraz szloch jej wzmógł się.

- Na miłość boską, jak będziesz dalej płakała, to się wścieknę. Albo odejdę. Albo cię spiorę na kwaśne jabłko.

Zrobiła minę niewinnego dziecka. - Odprowadź mnie do domu, bo się będę bała.

Uśmiechnęła się przez łzy, jak z udanego dowcipu. Ułagodziła go tym uśmiechem, dowcipem oraz wspomnieniem. Był to jakoby odzew do poprzedniego wiersza. Ubiegłego lata powiedziała mu to samo na wyrębie wśród krzaków ostrężyn, a koń wtedy za nimi w ślad pomykał jak pies.

- Nie zapomnij zaprosić mnie na wesele.

Mówi o weselu jako o rzeczy pewnej, obojętnej. Nic go to nie obchodzi. Mogłaby przecież cofnąć się jeszcze, gdyby coś napomknął na ten temat.

Odwrócił się od niej i odszedł. Czują, że się zapada pod ziemię, że straciła go znowu, kto wie, na jak długo, może na zawsze; przecież stale żegnała się z nim, tak jakby go już nie miała zobaczyć. Igrał ze śmiercią, każdej chwili mogli go zakatrupić strażnicy lub policjanci albo ująć i zapakować do więzienia. I wtedy skończyłaby się jej sielanka.

A on? On żegnał się z nią, jak za każdym razem, pół drwiąco, pół wesoło. Tak, jakby miał jutro znowu się z nią spotkać. Na Wężowcu, tuż przed granicą, zatrzymał się, chwytając za rewolwer. Jakiś chrzęst dał się słyszeć. Chwycił się pnia drzewa, zasłaniając się nim jak tarczą. Stał, mocno wrośnięty w ziemię; wyczuł za sobą nieostrożny, ciężki chód podkutych butów strażnika. Zdarza mu się to po raz pierwszy od tylu miesięcy, że szlak strażnika krzyżuje się z jego krokami. Odczekał, aż nienawistny chrzęst ucichł i przepadł.

- Szmreki to moi bracia - klepał dłonią chropawą korę drzewa, tak jak się klepie przyjaciela po łopatkach.

Gonił ich rozgłos; i wyprzedzał. Jeszcze nie powrócili na miejsce z wyprawy, już naokoło wiedziano o ich czynach. Spadali niespodziewanie jak jastrzębie. Zuchwałość ich odbierała przeciwnikom wszelką inicjatywę.

Starosta pienieł się, gdy doszły go słuchy o występie Janosika na zgromadzeniu ludowców. Podwładni wytłumaczyli mu jednak nieprawdopodobieństwo podobnej wersji, dając mu do zrozumienia, iż uległ sugestii nieodpowiedzialnej pogłoski.

- Bandyta przemawia na wiecu! Tego tylko brakowało! - zżymał się mimo wszystko jeszcze na trzeci dzień. Dla uspokojenia sumienia wezwał do siebie trzech organizatorów owej imprezy. Znalazł się wśród nich jeleśniański Wojnar, który dzielnie wytrzymał atak wysokiego przedstawiciela władzy, tłumacząc mu spokojnym tonem, iż wśród mówców nie było Janosika, przy czym załączył dokładną listę ich nazwisk. Widocznie znowu plotki zaczęły krążyć ze wzmożoną siłą dokoła postaci Janosika.

Na wtorkowym jarmarku w Żywcu wybębiono ogłoszenie starosty o ustanowieniu tysiąca złotych nagrody za ujęcie Jana Dziury lub za wykrycie albo wskazanie miejsca jego pobytu. Zbójnicy śmiali się z tego, siedząc bezpiecznie w piwnicy karczmy w Rajczy, kiedy im Wojtek, przebrany w nędzne łachy, przyniósł tę wiadomość. Zeszli do piwnicy po jednym, każdy z nich szeptał szynkarzowi na ucho umówione hasło:

- Burza przeszła. Chmury za nami.

I po tym hasle poznawał ich karczmarz. Baca na Minczole chciał koniecznie wiedzieć, który z tych czterech jest wodzem.

Kazali mu zgadywać. Za trzecim razem wskazał dopiero hetmana. Nie bardzo chciało mu się w to wierzyć.

- Tyś jest, na którego mówią Janosik?

- Ja.

- To niemożliwe.

- Weź w palce pięćdziesięciogroszówkę, stań sobie pod ścianą, wyciągnij rękę w bok. Zrobię ci dziurę w pieniądzu kulą, w samym środku. To mój podpis.

- Ach, wszystko, tylko nie to! - załamał ręce Wojtek w komedianckim geście. - Nie róbcie huk! Nie cierpię zapachu prochu, łeb mnie z tego boli jak cholera!

Udało mu się odwieść ich od tego eksperymentu. Baca kiwał głową zawiedziony. - Nie do wiary! - mrucał. Nie mogło mu się to w głowie pomieścić. Akurat ten miał być wodzem, za którego by nikt nie dał złamanego grosza!

Któregoś wieczora Witkowski z Kowalem, nieodstępna dwójka, zaczęli się w brzozowym gaju w Cichem Koszarawskim. Było już dobrze ciemno, kiedy w ciszy rozległ

się donośny trzykrotny gwizd. Obaj policjanci wyteżyli oczy, patrząc na chałupę.

Nic. Witkowski powtórzył trzykrotny sygnał gwizdkowy Janosika, znany mu z informacji Juraszka. Skrzypnęły drzwi od chaty, z sieni przestąpiła próg Zośka Masłowska, wbijając wzrok w ciemność. Trzykrotny gwizd zabrzmiał od strony brzóz, nieco ciszej. Dawny kochanek wołał dziewczynę.

Zośka wyszła przed chałupę, nadsluchując. Wskoczyli ku niej obaj policjanci. Witkowski złapał ją za rękę. - Gdzie jest bandyta?

- Nie wiem.

- Kłamiesz. Wyszłaś na jego sygnał. Kiedy był u ciebie?

Tego się też nie dowiedział. Wykręcał rękę dziewczyny w żelaznym chwycie.

- Puście mi rękę, panie Witkowski, bo wam słowa nie powiem.

Wypuścił przegub jej dłoni z uścisku. - On nie ma tu po co być u mnie - wyrzekła powoli, cedząc wyraz po wyrazie.

- Tyś jest jego kochanką.

- Kto tak mówi, kłamie - rzuciła mu prosto w twarz bez zająknięcia, z pałającymi oczyma.

- Zbój chodzi do ciebie, nie wykręcaj się.

- On nie chodzi do mnie. Mój narzeczony nazywa się Krawczyk. Pan Krawczyk, nauczyciel z Koszarawy. Pobierzemy się w tym roku.

Zdumieli się niepomierne. Witkowski słyszał coś niecoś o flircie nauczyciela koszarawskiego z córką Masłowskiej, lecz uważał to za jedną ze zwykłych Turculinych plotek lub w najlepszym wypadku za nieszkodliwą miłośćkę. A ona mówi o ślubie. Z sieni wyszła Maślina. Z nią lepiej nie zaczynać. To straszna baba, gdy ją rozzłościć. Zapalili papierosy, podeszli ku starej.

- Kogo znowu szukacie? - warknęła.

Witkowski uderzył w ton niedbały. - Kogóż by? Jana Dziury.

- Tu już go nie macie co szukać - zachnęła się matka posepnie. - On nie ma po co tu chodzić do nas - wyjaśniła znacząco.

Zglupieli, a później zrozumieli. Coś się tu rzeczywiście zmieniło. Z uczuciem niewyraźnego zawodu wracali do Przyborowa. Informator ich widocznie pomylił się, doniósłszy im, że parę dni temu hetman zbójceki odwiedził swoją dziewczynę w Cichem. Wygląda tak, jakby Zośka już nie była jego dziewczyną.

W Lipnicy obrabowali posterunek straży granicznej oraz plebanię, następnie wycofali się na ziemię czeską. Tu skorzystali w ciągu dnia z chwilowego ukrycia u jednego z opłacanych stronników, a z nadejściem ciemności wracali do legowiska, mieszczącego się w borze pomiędzy Mocarnym Wierchem a Męczennikiem. Gęsty kozuch jedliny odziewał Wierch Mocarny od dołu do góry. Męczennik zaś był ostrą, stromą górą, wygoloną pod wierzchołkiem, jakby z niej zdarto skórę; środkiem i dołem porastała za to prymitywna puszcza. Uroczysko chłopców nosiło w gwarze ludowej nazwę Jastrzębiego Furkotu. Przez tę gęstwinię nie przechodził żaden szlak, dokoła panowało najdziksze bezludzie. Teren należał do obcej republiki, a najbliższym osiedlem mieszkalnym był przysiółek ujsolski Tokarka, prawie o milę odległy, po stronie polskiej leżący.

Jasiek wracał samotnie, kierując się na północ, gdzie miał do załatwienia jakiś interes w Przywarówce. Reszta zbójników przesiedziała w Rabczy u zaufanego człowieka. - Jezusie Nazareński! - zaskomlił Wojtek. - Może sobie teraz użyję, skoro Jaśka nie ma! Ale sobie pofrygam! I popiję! - dodał ciszej.

- Przecież i tak zawsze żresz jak tuczny wieprz - wypomniał mu Jędrak.

- Znać co po mnie? - obruszył się tamten. - Chciałbym raz zjeść po miejsku, nie tak jak parobek. Nie tylko dużo, ale i dobrze - delektował się. - Trzy kotlety, miska ziemniaków z kapustą, makaron ze skwarkami, flacha wódki, bochenek chleba, wianek kielbasy, knedle, piwo, ciastka. To rozumiem! - zacierał ręce.

- A co do popicia - zawiadomił go oschle Klimek - owszem, możemy się trochę napić do spółki, ale więcej nie, bo ci mordę skujemy, a Jasiek dołoży ci jeszcze, co daj Boże amen! - dokończył w stylu Wojtkowym.

Posłano po jedzenie do karczmy oraz do sklepu. Kompani przezornie rozdzielili dwie półlitrowki między siebie i zaprosili oboje gospodarzy do uczty, tak że nie dopuszczono do urznięcia się Wojtka.

Janosik tymczasem odwiedził w Przywarówce miejscowego działacza ludowego, który jako tokarz wędrowny jeździł ze swymi wyrobami po jarmarkach, ogarniając swym zasięgiem całe Podhale. To był łącznik hetmana z Banachem. Jego to powiadomił herszt, gdzie i kogo wtajemniczeni mogą pytać o miejsce pobytu bandy. Na odchodnym tokarz nieopatrznie wspomniał, że wybiera się na znajome wesele. Gościowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Nie wytrzymał i poszedł w towarzystwie trzech zaufanych górali, którzy stanęli na straży pod chałupą. Jasiek wszedł do izby, włożył stówkę do basów.

- Grajcie.

Zerwał się cienki, uparty skowyt skrzypiec, a po nim natrętne zawodzenie basów.

Zaczął tańczyć. Jakby wstąpiło w niego opętanie i dzikość. Okręcał się niby szaleniec, krzyczał w zgielku muzyki, jakby wołając ratunku przed zalewającą go burzą ruchu. Był cały płomieniem, tchnieniem kniei. Tańczył z panną młodą do upadłego, dziewczuchy leciały mu przez ręce, fundował wódkę i piwo, sam nie pijąc nic. Wreszcie dał po pysku bratu panny młodej za to, że po pijanemu zdarł jednej z drухen spódnice. Po czym, wzięwszy w ręce jednego z awanturujących się parobków, wybił nim szybę w oknie, wyrzucił na dwór, wsunął mu sto złotych w zęby jako nawiązkę za ból i opuścił weselną chatę. Pannie młodej ofiarował na pożegnanie zegarek złoty, zrabowany księdzu w sąsiedniej wsi. Trzej chłopci odprowadzili go w las, przeleźli z nim przez granicę, odstawiając go niemal do samych Rabczyc. Tu zastał go wschód słońca. Nie było sensu spacerować przez wieś w jasny dzień. Nawet i po słowackiej stronie nie mógł sobie pozwolić na tak rażącą nieostrożność. Zresztą noce zbójckie już dawno weszły mu w krew i stały się jego pracowitymi dniami. Przespał się w gęstwinie. Poruszał się z równą swobodą i na południowych halach babiogórskich: na Borsuczej, Przegibie, Rabczyckiej, Huściańskich Szczawinach, Gubernasówce, Lniarce, Kogutowej, Żabnickiej, Wielkim Polu.

Martwili się, bo już drugi dzień nie było wódza. Jeden Wojtek, jak zawsze, nie tracił humoru. - Nie smućmy się, bo będzie padał deszcz - upominał kolegów. Urządzili sobie chór, Wojtek śpiewał, Jędrzek gwizdał, Klimek wtórował na organkach. Zaczęli od starogóralskich przyśpiewek, skończyli na pieśniach patriotycznych. Wesolek, na którym spoczywał cały ciężar śpiewu, chrząknął, skarżąc się, iż gardło wyschło mu dokumentnie. - Ej, żeby było czym krtań pomaścić! - pokazywał palcem z westchnieniem na kościstą, wystającą grdykę.

Jasiek przyszedł na trzecią noc zmęczony, ale uradowany. Był w Herdućce u dziewczyny.

- Ja czułam, że cię w tych dniach zobaczę. Śniła mi się wielka woda. Czyściuteńka. Stałam nad wodą i kijem macałam dno.

- A na dnie była żaba. Żabę kijem drapać po plecach, dobry znak - poddawał.

- Nie. Piasek był na dnie. Bielutki jak mąka. Byłam u babki, opowiedziałam, co mi się śniło. Babka mówi: „Będzie wiadomość o najdroższym. Czy widziałaś dno przez wodę?” - „Widziałam”. - „To oznacza, że się zobaczysz z chłopcem. Tylko ten kij mi się nie podoba. Bo to wygląda, jakby ci ktoś na zawadzie stał i o zgubie twojej myślał.”

- Całkiem możliwe - przyznał z powagą Jasiek.

- To znaczy babka mówi, że jest jakaś druga dziewczyna. Kochasz ją?

- Nikogo nie kocham - skrzywił się. I ta znowu wywleka swoje historie!

- Ale ona cię kocha.

- Może. W takim razie wkrótce przestanie. Żadna dziewczyna nie kochała mnie dłużej niż trzy miesiące.

- To nic. Kochaj. Ja nie będę zazdrosna. Harnaś stworzony do kochania dziewcząt.

Kiedy minął pierwszy szal pocałunków, Jaga zaczęła opowiadać nowiny: że brat jej ożenił się w sąsiedniej wsi, Nowoci; że została teraz sama przy rodzicach; że matka pragnie ją na gwałt wydać za mąż; że ubiegłej jesieni przyszli do nich żandarmi, spisywali protokół.

- Pytali o mnie?

Tak. O Jana Dziurę im chodziło, zbója z Polski zwanego Janosikiem. Wyparła się wszystkiego z oburzeniem. Podobno przyszło doniesienie z Żywca do żandarmerii w Namiestowie, że banda opryszków ma zaufanych ludzi we wsi Herdućce. Rewizja była. Poszukali i poszli.

- Niech szukają.

Wyszli na polanę, nagrzaną od ciepła dziennego.

- Konkurentów masz dużo?

- Są.

- Wydajesz się, Jaga?

- Nie - ucięła krótko. Spoczęli na trawie wśród świeżej zieleni krzaków. Duszny dech powietrza unosił się nad Orawą. Zbliżała się chwila przedwieczorna, ów moment niedostrzegalny, w którym rosa skrapla się w trawach. Jaga urwała parę ździebełek, musnęła ciemną twarz kochanka ich świeżą wilgocia. Jakby się wietrzyk o niego otarł, nasiąkły dżdżem. Nieczuły na delikatną, prawie powietrzną pieszczotę, trwał przy poprzednim temacie.

- Nie myślisz się wydawać?

Patrzyła mu w twarz uparcie pomimo mroku, nie mogła z niej nic wyczytać. - Dlaczego o to pytasz? Zależy ci na tym?

Wzruszył niezdecydowanie ramionami zamiast krępującej odpowiedzi. „Bo ja wiem, co mi na tym zależy?” - pomyślał.

- A jak mi radzisz? - ponowiła swą ciekawość.

- Co ja tu mam do radzenia? Czy ja się znam na tym? Nie jest ważne, czy wyjść za mąż, lecz jak wyjść za mąż. Myślę, że staropanieństwo ci nie grozi. Na mój rozum mogłabyś jeszcze poczekać. Jeszcze jesteś młoda.

Natarczywie spoglądała w jego oblicze. To nie tak wiele: zdmuchnąć odpowiedź z oczu na wargi albo odwrotnie - z ust do oczu. Czyli jeden błysk źrenic, pół sekundy. Niechby

nie odpowiedział, byle tylko spojrział. Nawet i tego nie uczynił, oczy i usta były nieme. A może tego nie dostrzegła? Przytuliła się do niego; ta ich nierówna miłość nie była dla niej niespodzianką.

- Powinienem się trzymać z dala od dziewcząt - powiedział. - Ale co zrobię, kiedy mnie ciągnie ku tobie? Miałem już nie przyjść do ciebie - oszukiwał sam siebie głośno - ale mam tak mało przyjemności. Tak, powinienem się trzymać z daleka od ciebie - powtórzył dobitnie, lecz uścisk jego ramion wcale nie zelżał. - Bo przecież ja się z tobą nie ożenię.

- Tacy jak ty nie żenią się.

- Szkoda cię, Jaga.

- Nie żałuj mnie. Myślisz, że grzech być frajerką zbója?

- Grzech.

- Kobieta ma całe życie czas na małżeństwo, w każdym razie dobrych kilkanaście lat. A na grzech ma nieraz tylko jedną noc. Czy mnie także się nie należy odrobina radości?

- Nie jestem ciebie wart. Harnaś, który dziewczki bałamuci.

- Każdy towar wart jest tyle, ile się zań zapłaci. Nie żądam od ciebie wierności. Takiego ciebie kocham, jaki jesteś.

- Kilka dziewcząt miałem już w rękach.

- Nie rozumiesz mnie - powiedziała jak dojrzała kobieta.

Las pęczniał i drgał naokół wzrastającą wiosną. Słowiki żarliwie nadymały gardziołka, ich rozdzierające hymny niosły się po nocnej gęstwinie. Nie zapewniała go natrętnie o swojej miłości, nie męczyła go pytaniami, czy ją kocha, czy się będzie żenił i z kim, czy ma inne dziewczyny i kiedy wróci. Zapewne kochała w nim tę obojętność i spojrzenie siwych oczu, hyr i zuchwałość zbója. Znał gorzką prawdę: każda kobieta na dłuższą metę jest kłopotliwa. Starał się więc przebywać z nimi krótko - na przemian cyniczny i kochający, męski i dziecinny. Potrzebował ciepła oddanej kochanki, jakby wynagradzając sobie tym nieustanne dni wędrówek, bezsenne noce zasadzek i napadów. To, czego wymagała jego krew, odbierał gwałtownie i szybko. Kochały go kobiety, bo poza naturą młodą i lotną przynosił w sobie żar długiej tęsknoty, dar bogatej, nie zmarnowanej samotności. Był świeży jak niedoświadczony chłopiec.

- Chciałam, zawsze chciałam, aby ten pierwszy, którego będę miała, był niezwykle. Żeby to wszystko pięknie się odbyło; żeby było o czym pamiętać na długie lata. Kto wie, może nawet do końca życia.

Trawa nagrzana od słońca. Kos wygwizdywał swoją niezmienną arię; jego soczysty, głęboki ton przeszywał gaj na wylot. W najmniej spodziewanych odstępach czasu ponad

gęstwę leśną wywodziła kukułka swój wrózebnny dwudźwięk. Zapadała ciężko w gałęzie, zdawało się, że jest tuż, tuż, ale znowu dochodziło z oddali jej czyste, głębokie kukanie.

Młodzi nie mówili do siebie nic. Jasiak podniósł się, zapalił papierosa. Spojrzał na śniade policzki dziewczyny, na śmiało rozpięte brwi, nieprzerwanym dwułukiem od skroni do skroni idące; na osadzone pod nimi oczy, wielkie, wypełnione smolistą czarnością; nos smukły, prosty, o ruchliwych, cienkich skrzydełkach. Wargi nabrzmiałe pełnią, jakby świeżą jarzębiną umazane, jeszcze wilgotne. A nad wszystkim gęstwa ciężkich miedzianych włosów, niby struga masywnego, zrudziałego metalu.

Gdyby nie istniały kobiety na świecie, zapewne i ten młodzieniec wyglądałby inaczej. Przeżywał okresy najsprzeczniejszych porywów, miotany na przemian falami przyływu i odpływu. Nie chciał się nigdy dać poznać ludziom - a jednak chełpił się sam w karczmie korbielowskiej wobec pijaków, że jest Janosikiem. Nienawidził publicznych występów - a przecież przemawiał na wiecu w Żywcu. Nie cierpiał dziewczyn - a czemuż leciał do tej poprzez ryzyko granicznych bezdroży? Wierzył w kobiety niezakłamanym pędem młodości, zmysłami, jedynym, co go nie mogło oszukać - nie sercem, nie umysłem. Niektórzy nazywają to szczęściem, ale on wie, że zawsze potem następuje przesyt i zwątpienie. Jedni chcieliby, aby to trwało wiecznie, lecz dla Jaśka dodatnią stroną tej idylli stanowiło poczucie, że można ją w każdej chwili przerwać.

Odchodził od Jagi, wybierając się na noc do swoich chłopców. Muszą być niespokojni o niego. Mimo to po raz drugi odwiedził jeszcze dziewczynę tej nocy. Wiedział, że oboje starzy spali w izbie po drugiej stronie domu. W ciemności przed spaniem rozplatała warkocze, machinalnie odmawiając pacierz. Taki miała zwyczaj, nigdy nie klęczała. Była w samej koszuli. Ktoś zapukał w okno. Bez strachu, nie odejmując rąk od warkoczy, podeszła ku szybie, zobaczyła jego twarz. Odsunęła haczyk, wolno i bez szmeru wypchnęła obie kwatery okienne w przestrzeń.

- Wejdz.

W izbie czuć było kwaśny pot i specyficzny zapach skóry obnażonej kobiety. On zaś cały przesiąknięty był wonią szpilkowego lasu i ostrym tytoniowym dymem. Usiedli, rozmawiając szeptem, on gotów do drogi, ona gotowa do spania. Nagle zerwała się, uchyliła okna, może zaniepokoił ją fałszywy alarm? Wysunęła głowę w ciemność, uspokoiła się. Odwróciwszy się w głąb izby, zapytała stłumionym głosem:

- Myślisz, że będzie deszcz?

Wciągała w nozdrza powietrze wiosennej nocy. Bo Herdućka, najwyższa wieś orawska, tu, na wierchach, nosem czuje się, skąd deszcz idzie i jaki.

- Myślę, że będzie.

Stała w napięciu oczekiwania, jakby przejmując w siebie niedostrzegalny sygnał jutrzejszej pogody, wyniosła, prosta, posąg masywnej, lśniącej miedzi.

Wyszedł od niej o północy. Chmury napierały zewsząd, ciemność spowijała szlak. Jak trafnie przepowiedział wczoraj, świt wstał ponury, zamglony.

Towarzysze w jamie przywitali wodza chórem. Uśmiechał się zadowolony, pocierając zmęczone nogi. Zdjął buty, wyciągnął się na mchu. - Alem się nachodził! - odetchnął z ulgą. Ach, noce nie przespane w błocie, deszczu, chłodzie, wietrze, pełne uciążliwych wędrówek, samotnych chodów! Jak długo to jeszcze będzie trwało?

- Rany Boga, takie nogi, jak masz ty, Janosik, to główna wygrana na loterii państwowej - ogłaszał Wojtek. - Ja bo nie nogi chciałbym wygrać na loterii; chyba parę tysięcy nówek wieprzowych w galarecie. Za wygraną zamówiłbym sobie na rok z góry wyżerkę u Karpowicza w Zakopanem. Nieraz, idąc Krupówkami, widziałem przez szyby, jak się panowie zażerali. Żołądek mi się z żalu ścisnął, niczym koszula w praniu.

- Nudny jesteś z tym ciągłym wzdychaniem do żarcia.

- Nic dziwnego, każdy tęskni za tym, co mu nie zostało dane - usprawiedliwiał się tamten z godnością. Rezonował niby filozof, uśmiechał się równocześnie jak matolek.

„Inteligentniejsza bestia, niż się nam zdaje” - myślał o nim nieraz Janosik. Nie mógł rozplątać jego zagadki. W każdym razie Wojtka najbardziej cenił i lubił, jemu też na wszelki wypadek powierzył swoje zastępstwo.

Ukrajał kromkę chleba, odłamał kielbasę wiszącą na patyku (każdy miał swój wianek). Wiszący kawałek wydał mu się zadziwiająco mały w stosunku do tego, co wychodząc zostawił. Spojrzał podejrzliwie na Wojtka, który pieczołowicie pomagał Jędrkowi w rozpalaniu ognia, klęcząc przy patykach. Hetman kiwał głową, Wojtek z pasją łamał chrust, ogienek wystrzelił, zaraz zrobiło się weselej. Zapalili papierosy, zagrali w karty.

Po obiedzie wyjrzeni na świat. Chmury, jak przestraszone, uciekały przed niewidzialnym najeźdźcą, wydłużały się, strzępiły, zbijały w gromadę. Deszcz nie przestawał padać.

W słotny zmierzch, jak zwykle w bezrobotne dni, wnet poczuli senność i wcześniej ułożyli się do spania.

- Jutro wolne, a pojutrze zrobimy ładny spacer - zapowiedział im przed snem Janosik. - Do Przyborowa. Złożymy wizytę panu Witkowskiemu.

- Chryste elejson! Co ci do głowy przyszło, Janosik! - jęknął Rzezawa.

- Spij, Wojtuś. Przygotuj sobie dobre dowcipy na jutro.
- Dopieroś dzisiaj wrócił ze spaceru, pojutrze znowu będziesz gnał?
- O mnie się nie bój. Za to wy się trochę przewietrzycie. Wyjdzie wam to na zdrowie.

Poznacie Witkowskiego.

Już nieraz słyszeli o tym sławnym policjancie, którego wódz wspominał z czułą pamięcią. - To podobno taki gość, co gdzie stąpi nogą, tam trawa wysycha jak wypalona - barwnie określił Wojtek właściwości policjanta.

- No, świnia z niego wyjątkowa - wyraził się zwięźle ten, który z nim od roku wojował.

Za dwa dni wyruszyli. Był słoneczny sobotni rano.

- Nie będziemy rabowali - objaśnia wódz.
- Dlaczego? - obruszyli się, dotknięci boleśnie w swych najgłębszych uczuciach.
- Bo idziemy tylko na przyjacielską rozmowę. Ja sobie z nim pogadam spokojnie, wy zaś będziecie stali pod drzwiami. Żeby mi żaden z was świństwa nie zrobił! Mogę wam odszkodowanie wypłacić, jak wam idzie o to.

- Ma się rozumieć. Rachunek jutro wystawię - zapewnił skwapliwie Rzezawa. - Takiemu plugawemu ryjowi wizytę składać za darmo?

W biały dzień przeszli bez przeszkód graniczny las w siodle między Pilskiem a Lipowską. Poleżeli z godzinę na polanie w Jaworówce, pamiętnej z ubicia hetmańskiego konia, spoglądając z ciekawością na babiogórskie lasy, ojczyznę Janosikowego zbójnictwa. Pokazywał im Głuchaczki, Cyl, Mędralową, wieś rozłożone w dolinie, stąd niewidoczne. Nie znali tych terenów. Nie byli tu nigdy. Spłoszyli dwie sarny, hipkały przed nimi niczym zające. Przebrnęli młody zagajnik ponad Korbielowem. Zaczajeni w olszynach nad drogą, odczekali chwilę; przejechał chłop na furze, przeszły dwie kobiety. Upatrzywszy moment przekroczyli drogę po jednym, skakali po kamieniach nad strumieniem, zapadając w las Krzyżówek. Jaśka opadły dramatyczne wspomnienia. Niedaleko stąd zaczęła się jego ucieczka w ubiegłym roku. Był zachód słońca, kiedy mijali górą Jeleśnię. Jak na dłoni widział przed sobą chałupę Wojnara na wzgórzu, niżej zaś środek wsi, rozsiadłe wokół rynku kościół, szkołę, szynk Habera, piekarnię, sklep Pasika, plebanię, lipy i kasztany cmentarne.

O zmierzchu znaleźli się naprzeciw cmentarza zmarłych na cholere. Odpoczęli z pół godzinki, aż się ściemniło całkowicie; palili papierosy, komentowali nadchodzące spotkanie.

- Nie będę chciał nic od niego - tłumaczył kompanom zbójnik - tylko dowiem się, czy chce nadal prowadzić walkę ze mną. Może da spokój i my mu także damy wtedy spokój; czy też będziemy znowu na noże ze sobą.

W mroku zbiegli pod chałupę. Okna były otwarte. W kuchni, na futrynie drzwi zawieszona, świeciła się lampa. Nie namyślali się długo. Wskoczyli przez okno do mieszkania, wszyscy czterej po jednym. Przywitał ich pisk niewieści. Żona Witkowskiego, krzyknąwszy przeraźliwie ze strachu, osunęła się z ławy na ziemię. Zaczęto cucić omdlałą. W chwili wtargnięcia chłopaków Witkowski stał przy blasze kuchennej, tyłem do okna, rozkraczony szeroko, goły do pasa, myjąc się nad miednicą. Sytuacja zaskoczyła go do tego stopnia, że zaniemówił. Nie ruszył się nawet, by ratować żonę, tak był zmieszany. Nie zadrzał jednak ani przez chwilę. Straciwszy głowę, nie stracił odwagi. Z twarzy ściekała mu kroplami woda, małe oczka błyszczały złośliwie.

- Rzeczywiście, to bohaterstwo - wykrztusił z tajoną pasją - napaść z całą bandą na bezbronnych. Strzelajcie, strzelajcie!

Janosik kiwnął na struchlałą służącą: - Natrzeć ją zimną wodą. Nie ma się czego bać. Nic złego się wam nie stanie - i w odpowiedzi Witkowskiemu zaśmiał się drwiąco:

- Jesteśmy zbójcami, lecz nie zabijamy.

Policjant złapał ręcznik, zaczął się nerwowo wycierać. Witkowska tymczasem, oprzytomniawszy, jęczała dalej.

- Niech pani się uspokoi, wszystko będzie w porządku - zapewnił chłopak z lasu i wyekspediował mieszkańców do drugiej izby. Tam ułożono panią domu na łóżku. Klęczała przy niej służąca, pojąc ją wodą i zwilżając czoło mokrą chusteczką. Wojtek stanął przy kobietach. Zobaczywszy na stole kamienny garnek, z którego właśnie zbierano grubą warstwę śmietany, zabrał się skrupulatnie do mleka i do śmietany. Dwaj pozostali koledzy wychylili głowy przez okna i wparli oczy w ciemność, pilnując.

W kuchni pozostał Janosik z Witkowskim. Posterunkowy obnażony do połowy, jedynie w spodniach i w pantoflach, ocenił w lot sytuację. Był bezbronny; nie szarpał się, nadrabiał miną. Machinalnie wycierał ciało ręcznikiem, choć już było suche.

- Chłopcy moi stoją pod drzwiami - zagaił rozmowę Jasiek. - Niech się pan nie rusza. Nie przyszedłem panu nic złego zrobić. Już by pan dawno ziemię gryzł jak Ślepek, gdyby mi się tylko chciało palcem kiwnąć.

- Nie przechwalaj się, Dziura - uciał szorstko posterunkowy. Widać było, iż opanował się już dostatecznie. Harnaś podsunął mu stołek.

- Przyszedłem tylko porozmawiać. Niech pan siada.

- Mogę stać - nasrożył się chmurnie, nie przestając bezmyślnie szorować się ręcznikiem.

- Nachodzi się pan dość po lasach i wertepach, dobrze spocząć - rzucił zjadliwie gość.

Policjant zbył tę ironię milczeniem. Powoli wyszukiwał na piersiach, pod pachami, na karku miejsca rzekomo jeszcze mokre. Ale obecnie ta czynność wyglądała wyraźnie na lekceważenie przeciwnika. Ukazywał mocarny tors, obrośnięty czarną, skłębioną kępą włosów na środku. Oczka błyskały chytro, bez trwogi. Tak, teraz już zdążył całkowicie przyjść do siebie. Odzyskiwał swój zimny, cyniczny humor.

- Niech pan już raz przestanie się wycierać tym ręcznikiem, panie posterunkowy, bo pan sobie skórę do krwi zetrze. Już chyba dość tego, jak na niedzielę - pokpiwał Jasiek, bacznie obserwując jego ruchy. - I niech pan nareszcie siądzie - nalegał prosząco.

- Mogę stać w swoim domu - powtórzył gospodarz wyniośle. - Ty też nie siadaj, Dziura - chichot zaigrał pod czarnym wąsikiem.

- Dlaczego?

- Bo się dość jeszcze nasiedzisz w kryminale, aż cię tyłek będzie bolał.

Uśmiechnął się zadowolony z dowcipu. Trzeba przyznać, że był odważny. Trafiła kosa na kamień.

- Niech pana głowa o mój tyłek nie boli, panie Witkowski - odpowiedział Dziura. Staął koło miednicy, wsadził ręce do kieszeni. - Niech pan w takim razie stoi. Tylko niech panu nie przyjdzie jaka głupia myśl do głowy - przestrzegł - bo mogłoby się to źle dla pana skończyć.

- Dla pana, panie Dziura, na pewno gorzej się skończy - rzekł tamten posepnie.

- Nie wiadomo. Zapalmy sobie.

Poczęstował go papierosem ze srebrnej, kutej papierošnicy. I zaczął:

- Źycie ludzkie jest dla mnie niczym.

Sam w to nie wierzył. Ale musiał tak powiedzieć. - Zabiłbym pana jak muchę.

- Jużem to raz słyŝał - odparł chłодно policjant. - Zabij mnie. Nie lubię chwalców.

- Miałem wiele sposobności.

- Teraz masz jeszcze jedną.

- Niech mnie pan poniecha.

- Nie.

- Zostanie pan zabity.

- Ktoś inny w takim razie będzie miał przyjemność poprowadzić cię do kryminału.

Jaka szkoda! - westchnął bezczelnie. - Zawsze miałem nadzieję, że to na mnie trafi.

- Co ja panu zrobiłem?

- Jesteś poza prawem. Sprawiedliwość cię ściiga.

- Wy zrobiliście mnie bandytą.

- Kradłeś, rabowałeś, paliłeś. Tak czy nie?

- Z zemsty nad wami.

- Nikt cię do zbrodni nie przymuszał.

- Będzie mnie pan ścigał?

- Będę.

- Aż do końca?

- Aż do końca. To mój obowiązek. Za to mi płacą.

- Nie ma dla mnie powrotu między uczciwych ludzi?

- Nie ma. Dla ciebie jest tylko jedno miejsce: w więzieniu. Zbuntowałeś górali; podatków nie chcą płacić, szarpią się w urzędach, opierają się zarządzeniom władzy, urządzają wiece nielegalne, skargi do Warszawy piszą, szyby mi wybijają. Twoja to zasługa, panie Dziura. Prawo cię ściga. I będzie cię ścigało dotąd, dopóki ci nie wymierzy kary. Sprawiedliwość musi ci być oddana.

Zaczął chodzić po kuchni trzymając dymiący papieros. Znowu stanął naprzeciw Janosika.

- Z ciebie mógłby być porządny człowiek, Dziura. Czemuś się nie ożenił? Mogłeś mieć dziecko. Ono by cię odwróciło od zbrodni. Zgłosiłbyś się do sędziego, odsiedziałbyś swoje, wypełniłbyś pokutę. Dziecko nie miałoby ojca bandyty. Rozpoczęlibyście później nowe życie. Uczciwe. Z żoną i dzieckiem. A tak zszedłeś na marne. I sprawiedliwość musi ci być oddana.

W oczach Janosika zapaliły się lodowate błyski. Zapiął guziki od marynarki, zabierając się do wyjścia.

- Tak. Sprawiedliwość musi mi być oddana - wycodził wolno. - Więc pan mnie nie poniecha, panie Witkowski?

- Nie.

- Niech pan poniecha tych, z którymi żyłem i znałem się. Co oni panu winni? Niech im pan da spokój.

- Jeżeli nie będziesz się z nimi widywał i spiskował.

- Nie będę. Da im pan spokój?

- Dam.

- Przyrzeka pan?

- Przyrzekam.

Ale on, łajdak, nie dotrzymał słowa.

Janosik leżał w głębokich kosówkach na szczycie Pilska, zapatrzony w wierzch babiogórskiego Diablaka, z którego ledwo przed paru dniami zeszły ostatnie płaty śniegu. Wyczulone jego ucho złapało słabiutki, przytłumiony półtoramilową dałą jęk jeleśniańskiego tartaku, ogłaszający pierwszą godzinę. Śmiesznie razi ten sygnał tutaj, gdzie czas płynie od wieków niepowstrzymanym nurtem. Tu zna się tylko cykle na przemian biegnących dni i nocy, księżycowych kwadr oraz narastających pór roku. Czy potrzebny tu na co komu godzinowy podział?

Za łąwą podcyłońskiego boru kryła się polana Głuchaczek. Od stóp Mędralowej falista buła lasu wpływała w Ciche Koszarawskie, ogarniając przysiółek. Na jego najwyższym cyplu stoi chałupa Zośki Masłowskiej, przyszłej pani Krawczykowej. Już Janosik nie nawiedzi tamtych stron; wszak przyrzekł Witkowskiemu, iż nie będzie szukał kontaktu z dawnymi znajomymi. Za to baca z Lipowskiej lub jego syn schodzili co trzeci dzień do Sopotni, przynosząc stamtąd harnasiowi wiadomości. Przez nich otrzymywał z dołu informacje od zaufanych oraz korespondował z Wojnarem. Raz zajrzał do szałasu na Lipowską Misiołek z Krzyżowej, dwukrotnie był Ziomek z Sopotni.

We czwartek dowiedział się Jasiiek niezwyklej nowiny: żona Witkowskiego poroniła. Przelekła się ich najścia z soboty na niedzielę i zległa, wydawszy na świat martwy, nie donoszony płód. Odwiózł ją mąż, chorą, do szpitala w Żywcu.

Następnego tygodnia nadeszła wiadomość, iż ubiegłej niedzieli Zośka Masłowska poślubiła nauczyciela z Koszarawy. Mieli początkowo pobrać się w lecie, z niewiadomych jednak powodów przyspieszyli ślub. Trudno, aby ta wiadomość nie obeszła Jaśka. Pogodził się wprawdzie z myślą o zameściu Zośki, niemniej zaskoczył go ów nagły ślub. Właściwie nie miała na co czekać. Lecz przy ostatnim spotkaniu nic mu nie wspominała o tak bliskim małżeństwie. Kto wie, może właśnie to spotkanie ponagliło ją do wesela? „Nie miałem nawet czasu, aby jej posłać prezent ślubny. A obiecałem. Tak się uwinęła!”

O, Zośka, zanim się uwinęła, przemyślała przez wiele nocy tę decyzję. W pierwszych dniach, gdy tylko rozniosła się wieść o powrocie Janosika, chodziła po Koszarawie i Przyborowie wesoła, przyjmując zaloty kawalerów. Na złość Jaśkowi; niechaj się dowie, że flirtuje na prawo i lewo, że ma powodzenie. Może wróci do niej, może go zazdrość poruszy? Aż przyszło tak bardzo oczekiwane, a jakże gorzkie widzenie. Podzieliła los porzuconych dziewcząt, została bez szans, bez nadziei. Matka triumfowała. Teraz już nie ma wyjścia.

Zmieniła taktykę. „Kiedy wyjdę za mąż, poznają wszyscy, że Jaśka mam w pięcie i że się nim tylko bawiłam. Młoda jestem, mogę zawracać chłopcom głowę. Zostanę panią Krawczykową. Mąż ma stanowisko, cieszy się szacunkiem wsi. Nie będę krów obrządzała,

jak dotąd. Będę miała służącą."

Z ulgą obmyślała szczegóły swej zemsty. Na zimno, z wyrachowaniem obliczała dobre i złe strony swojego małżeństwa. Już nikt nie będzie na wsi docinał jej zbójem. Zraniona boleśnie duma podniesie się wysoko. Znowu stanie się powodem rozmów i zazdrości dziewcząt, skupi na sobie uwagę ogółu jako jedna z najważniejszych osób w okolicy. Pani nauczycielowa! Krawczyk wychodził uradowany, z promieniejącą miną z domu dwóch kobiet. Narzeczona udawała wniebowziętą, udzielając mu na odchodnym paru pocałunków na rachunek przyszłego małżeńskiego szczęścia. Zachwyty ogarnął dziobatego, lekko utykającego pedagoga koszarawskiego, kiedy czuł przy boku dziewczynę młodą, ładną, zdrową i majątną. Godzinami spowiadał się Zośce ze swoich planów: że założy pasiekę; koło pszczółek będzie się chodziło, a miodku dobrze się napić na gardło; że kwiaty zasadzi w ogrodzie; że sad przy szkole powiększy się znacznie, można będzie owoce do miasta sprzedawać. Warto by także spróbować przemysłu artystycznego; można by zorganizować spółdzielnię wyrobów chałupniczych, zabawek z drzewa oraz narzędzi gospodarskich. Wszyscy chłopcy tym się tutaj zajmują; wziąć to tylko w łapę i umiejętnie pokierować, obrót szedłby w tysiące. A jaki czysty zarobek! Założyć hurtownię grzybów i jagód w sezonie. - Pieniążki będą się lały do kieszeni jak woda - opowiadał z triumfem swoim gardlanym głosem. - Albo na konto w PKO - chichotał wielce zachwycony, zacierając ręce.

„Po co on mi to opowiada? - myślała z rozpaczą przyszła żona. - Zanudzi mnie na śmierć. Co mnie to obchodzi? Jacy ci mężczyźni są śmieszni. Przecież ja go przez to nie pokocham ani nie będzie mnie więcej obchodził. Nie chcę ani szczęścia, ani pasieki, ani spółdzielni. Chcę tylko wyjść za niego za mąż. Jasiek, jak daleko od ciebie uciekłam, jak daleko!"

Ślub! Ślub jak najprędzej. Wzgardzona Masłowska musi szybko wrócić do dawnej formy. Nadszedł oczekiwany dzień. Jechali w parę koni do kościoła jeleśniańskiego, budząc zainteresowanie trzech wsi. Sam proboszcz związał stułą ręce małżonków, ale też kazał sobie za to słono zapłacić; panna młoda to bogaczka. Kto wie, czy nie pamiętał, iż pieczętuje małżeństwo frajerki tego samego rabusia, który go rok temu zubożył o trzy tysiące? Ile szczerego wzruszenia kosztowała ją ceremonia ślubna, a jak okazała się nudna! Matka chyba najbardziej cieszyła się z małżeństwa. Oblubienica bolała, że Janosika nie było na weselu. Gdyby choć z daleka widział, jak ślicznie wyglądała w stroju ślubnym! Dla kogóż się tak wystroiła? Zapłakała gorzko przy ołtarzu, wspomniawszy kochankę. Wszyscy byli wzruszeni, że płacze ze szczęścia, a najwięcej mąż. To dobry znak: łyzy panny młodej w kościele. Będzie go wiernie kochała. Pocieszała się złudnym przekonaniem, iż hetman na pewno zjawił się w

Jeleśni i widzi ją, wychodzącą z kościoła. Upatrywała wśród gapiów jego postaci, naturalnie do niepoznania zamaskowanej. Lecz zamiast niej dojrzała pyzată gębę Walerki od Pasika. Zrobiło się jej mdło z obrzydzenia. Szła jednak dumnie do fury, wiedząc, że tym wszystkim dokoła wychodzą oczy z orbit; aby dojrzeć jakąś niestosowność, potknięcie, głupi szczegół w ubiorze czy geście. Nie da z siebie żeru wstrętnej gawiedzi.

W rynku zamigotała przed nią wysoka, chuda kobieta. Na Zoşkę spojrzęła twarz wąska, jakby przerażona, w barwie brązowa, sfałdowana zmarszczkami; to Turcula. Wracając obok cmentarza zmarłych na cholere znowu pomyślała o Jašku. Pamiętne miejsce; tu raz długo się z nim całowała. Może z tych krzaków nad drogę, z jałowców na wzgórku spoglądają na nią jego bystre oczy? Czy chociaż trochę zrobiło mu się jej żal? Że już stracona dla niego, że już nie będą się nigdy całowali, że już jej nie weźmie w ramiona? Znow rozplakała się i tak, wstrząsana szlochem, dobiła do rodzinnej wsi.

Wesele odbyło się u matki na górze. Nazajutrz młoda para zeszła do mieszkania męzowskiego, mieszczącego się w parterowym budynku szkoły; do schludnego pokoiku z kuchnią, otoczonego ogródkiem. Tam mieli odtąd wieść wspólne życie państwo Krawczykowie.

- Może wybijesz sobie z głowy nareszcie tego zbója - szepnęła matka córce, całując ją w głowę. I głośno, uroczyście dodała: - Niech cię Bóg błogosławi!

Świeżo upieczona męzatka obeszła na pożegnanie niedawne wspólne gospodarstwo, aby ostatni raz popatrzeć na to, co tak długo było jej udziałem. Teraz tu przyjdzie do matki służąca, a później cały ten majątek dostanie się jej, Zofii Krawczykowej, z domu Masłowskiej, pani nauczycielowej. Spoglądała z tkliwością na parę snopków zeszłorocznej słomy w stodole na górze, miejsce pośpiesznych noclegów Janosika; na komórkę, w której zamknięty był jego koń. Gładziła pyski dwóch krów i trzech owiec, z którymi miała się rozstać. Pasła je, kiedy spotykała się z Jaškem. Ze łzami szła na nowe mieszkanie, na nowe, odmienione życie.

W piątek doniósł Misiólek bacy na Lipowskiej o aresztowaniu Wojnara. Jakby brakło policjantów w Jeleśni (a było ich trzech), eskortował go Witkowski do Żywca. Dlaczego Witkowski?

W niedzielę przybliżył się harnaś młodym lasem ponad chaty górnej Sopotni. Tu w krzakach miał umówione spotkanie z pastuchem Ziomkowym, będącym na służbie u bacy Smugawskiego. Może przyjdzie sam Ziomek i przyniesie bliższe szczegóły aresztowania Wojnara?

Chłopiec nawiedził Janosika z nową, krótką a treściwą wiadomością:

- Żona Witkowskiego umarła.

Ta niespodziewana śmierć stała się niewyczerpanym tematem rozmów Przyborowa przez parę dni. Kiedy sąsiadka Gawlikowa zaniósła nowinę starej Tramkowej, babina ukłękła na środku izby, przeżegnała się, z oczyma utkwionymi w obrazy pod pułapem odmówiła trzykrotnie „Wieczne odpoczywanie”, po czym wstała i zaczęła:

- Już się tym płótnem moim nie najadła długo, biedaczka. Boże jej nie pamiętaj tego, bo na świętym jest sądzie. Tyle się o to kłóciła, tyle zabiegała! Męczyła się w szpitalu, nie wiecie?

- Nie wiem. Turcula opowiadała pod piekarnią, że doktorom podczas operacji na rękach skonała.

Wiele ludzi upatrywało w tej serii nieszczęść, jakie spadały na przyborowskiego policjanta, wróżebne zrządzenie losu, karzący, lecz i ostrzegający palec przeznaczenia. Jeden Janosik nie komentował tej śmierci. Nie miał nawet czasu zająć wobec niej stanowiska, bo nazajutrz przyszła nowa rewelacja.

- Juraszek jest skaptowany przez policję.

Podsunięto mu zgrabnie dziewczynę, której od dawna pożądał, Walerkę od Pasika, tę samą, która bez skutku podkochiwała się w Jaśku Sierocie za czasów jego terminatorstwa w tartaku. Znał tę hożą brunetkę z dawniejszych czasów i Kaczmarczyk; wszak policjanci łąsi na kobiety prawie tak samo jak na wódkę. Przodownik odświeżył teraz swoje zaloty, tym razem czyniąc to w połowie dla własnej przyjemności, w połowie dla dobra służby. Zaskarbił sobie sympatię dziewczuchy, która nagle ze służącej stała się ośrodkiem zainteresowania grubych ryb w gminie. Umyślono wydać ją za Juraszka. - Ona wyśpiewa nam całą tajemnicę Głuchaczek - przepowiadał triumfująco Kaczmarczyk. - Po nitce dojdziemy do kłębka - podzielił nadzieje przodownika sołtys przyborowski. Wójt Franczak obiecał, że gdy się młodzi pobiorą, wystara się im o koncesję na sklep towarów mieszanych. Kaczmarczyk i Witkowski celowo rozpiłi parobka. Dwukrotnie wzięli go ze sobą na posterunek w Jeleśni, namawiając, aby przystał do Janosika. Nie zgodził się na to z obawy, że banda zastrzeli go, przejrzawszy jego zamiary. Ale informacje potrzebne wyciągnęli od niego; mniej bezpośrednio, więcej przez Walerkę. Agnieszka za to szyła buty bratu, gdzie mogła. Wściekła na Władka, że wbrew jej kombinacjom nie myśli usunąć się z domu, wściekła na dziewczkę, która zamierzała się wcisnąć do ich rodziny, rozpowiadała bez żenady (naturalnie na ucho) o kontaktach obojga z policją. Zresztą Turcula i tak roztrąbiła to po miedzach i opłotkach wsi; nie było czego ukrywać. Wybuchały coraz ostrzejsze kłótnie pomiędzy rodzeństwem o to, kto

dostanie dom. Spór ten datował się jeszcze z ubiegłego roku, a może i z dawniejszego czasu.

- Ja cię spłacę z drugiej połowy domu - mówiła Agnieszka do brata.

- Nie chcę. Prawo kobiety mieszkać w domu męża. Ja się stąd nie ruszę.

- Mówiłeś mi przecież, abym się wydała. Broniek czeka na mnie trzy lata.

- Niech cię weźmie do Koszarawy, pobudujecie się. Drzewo nie będzie was nic kosztowało, ja wam pomogę. Tyle wydacie, co zapłacicie robociznę. Ja cię spłacę.

- A do tego czasu co będziemy robili?

- Mieszkajcie w dziurawym domu. Zresztą, co ci się tak spieszy? Mógł czekać trzy lata, niech poczeka jeszcze rok.

- A ciebie co tak nagle przypiliło do żeniaczki?

- Mam swoje lata, potrzebuję sobie babę do chałupy wziąć.

- To bierz, jak ci się przykrzy bez baby.

- A ty gdzie pójdziesz?

- Nigdzie. Gdzie mam pójść. Tu moja ojcowizna.

- Będziemy razem mieszkali.

- Z nią? Prędzej bym jej łeb rozbiła.

- Nie bój się, ona pierwsza pójdzie za twoją trumną.

- Czemu ty nie osiądziesz przy Walerce w Krzyżowej, jak ci się już koniecznie jej zachciało? - perswadowała Agnieszka, łapiąc się ręką za szczękę. Pewnie ze zdenerwowania chwycił ją ból zęba. - Ona ma duży dom, pomieścicie się. Albo się pobuduj na dole. Z czego tu będziesz żył? Tyś do handlu sposobny. Ona mówi, że będzie prowadziła sklep, ma spryt do takich rzeczy. Nie darmo u kupca służy. Oboje na tym lepiej wyjdziecie. Sklep przy drodze w Jeleśni to mądry interes. Ja cię spłacę. Na drzewo nie wydasz, obróbkę znasz, boś bywał w tartakach. I masz pieniądze. Nie nadawał ci setek Jasek Dziura? Podzieliłeś się ze mną choć jednym złotym?

- Tyś nie dostała pieniędzy na posag od zbójnika? Zbuduj sobie za to chałupę z Bronkiem.

- Teraz on zbójnik dla ciebie! Aleś korzystał z niego, ile się dało. Dzisiaj zmieniłeś chorągiewkę, innym panom służysz. Nie wyjdą ci na dobre te pieniądze. Wiesz, jak cię nazywają we wsi? Judaszek.

- Mogą mnie wszyscy gdzieś pocałować. A tyś myślała, że Janosika za portki ułapiesz i że się z tobą ożeni. Myślisz, że nie wiem, dlaczego tak długo zwodziłaś Bronka? Bo się kochałaś w Jaśku.

Oblał ją krwawy rumieniec. Najgłębsza tajemnica jej życia, o której nikt nie wiedział,

z której sama sobie nie zdawała sprawy, została odkryta. Pomimo wzruszenia i gniewu, jaki nią owładnął, odpowiedziała spokojnie, raczej zjadliwie:

- Możesz łąć, co ci ślina na język przyniesie.

- Może się wyprzesz? Nie kochałaś się w Jaśku Dziurze? - nacierał.

Ostudziła od razu jego wojowniczy zapał. Rzekła powoli, podkreślając z naciskiem każde słowo:

- Ale ja świnia nie będę. I za to nie pójdę go zdradzać na posterunek, jak inne świnie za kieliszek wódki. Od Maśliny brałaś pieniądze, żeby Jaśka namówić do żeniaczki z Zośką. Jak stara baba swatami się zajmowałaś. Dla zarobku. Tobie żaden pieniądź nie śmierdzi. Wszyscy o tym wiedzą. Wstydu nie masz za grosz!

- Czy ja winien, że Jasiek się nie ożenił z Masłowską? Jak mi głupia kobieta dała pieniądze na swatanie, miałem nie brać? Frajer jestem?

- Jakbyś miał honor, tobyś oddał. Świnia jesteś i tyle.

Umilkł zdenerwowany, zapalił papierosa. Nie zdierży tej babie. Tym bardziej że do ich konfliktu zabrała się ze zwykłą gorliwością Turcula i cała Jeleśnia grzmiała od sensacji na temat kłótni w rodzeństwie Juraszków. Z tych opowieści wychodził Władek doszczętnie skompromitowany. Turcula pierwsza ochrzciła go Judaszkiem i tak pozostał już w rozmowach ludu za to, że wydał za pieniądze tajemnice Janosikowe na posterunku, że szpiegował jego kroki i że zdradził jego przyjaciół.

Władek przejrzał grę siostry. Chciała przetrzymać brata.

Czekała, aż się ożeni gdzieś na dole i zabierze z domu, wtedy ona spłaci go i pozostanie z mężem na gospodarstwie w swojej chałupie.

Ale tak się nie stanie. Skoro już nawiązał znajomość z policją, przy kieliszku postara się o pomoc w przeprowadzeniu swojego planu. Dobrze; będzie im w dalszym ciągu dostarczał informacji o ruchach bandyty i jego znajomych, ale za to postawi żądania: wyrugowanie z chałupy Agnieszki, wolna ręka w kłusie, smyku i szmuglu oraz skromna pensyjka co miesiąc. A później można mówić o przeprowadzce na dół, o założeniu sklepu. Jeśli Władek ma za sobą Witkowskiego i Kaczmarczyka, to znaczy jakby miał równocześnie sołtysa Kamienieckiego i wójta Franczaka. A gdy ma ich za sobą, może robić we wsi, co mu się żywnie podoba.

Tak więc Witkowski owdowiał. Żonę pochowano pod lipą na cmentarzu jeleśniańskim, przy udziale dygnitarzy wiejskich z Franczakiem na czele oraz komendantem policji z Żywca. Po pogrzebie urządził wójt stypę w kancelarii urzędu gminnego, połączoną

ze skromną pijatyką, po której nastąpiła narada w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa Jeleśni i okolicy przed Janosikową bandą. W toku rozmowy komisarz powiadomił zebranych, iż starostwo podniosło dotychczasową tysiączłotową nagrodę do wysokości dwóch tysięcy złotych dla tego, kto wskaże policji miejsce pobytu herszta bandy lub przyczyni się do jego ujęcia. Jutro rano będą rozlepione w Żywcu afisze z podpisem starosty.

- Przyślijcie nam jeden taki afisz - upomniał się wójt gminy zbiorowej z natrętną gorliwością lizusa.

- Dostaniecie z obowiązku - zapewnił szef służby bezpieczeństwa w powiecie.

Dopiero teraz, po utracie żony, Witkowski zaczął szaleć. Wojnar siedział już tydzień w areszcie żywieckim. Wdowiec sprowadził po kolei do aresztu oboje Mitanów z Głuchaczek oraz starego Tramka. Młodą panią Krawczykową uratowała energiczna interwencja męża, a ze strony matki litrowy garnuszek masła, zaniesiony policjantowi. Kiedy Krawczyk był zajęty w klasie po drugiej stronie domu, Witkowski wkroczył przez ogródek do kuchni, królestwa pani Krawcykowej. Zośka właśnie wycierała podłogę. Zmierzwione blond włosy rozsypały się kędziorami naokoło głowy. Wstała z klęczek blednąc na widok policjanta.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedziała zaciąwszy wargi. - Zawołać męża?

- Nie potrzeba. Ja do pani.

- W jakiej sprawie? - czuła, iż wszystka krew jej z twarzy ucieka.

- W jakiej by innej? W sprawie Jana Dziury - łypnął szyderczo okiem ku młodej.

Przelekła się, przyzwała męża. Nastąpiła konferencja. Z kredensu wyłoniła się fłaszczyna pełna różowego napoju, na stole pojawiły się zakąski. Jakżeby to wyglądało, aby świeżo poślubiona małżonka pana nauczyciela miała być zamieszana w haniebane postęпки bandyty? Autorytet męża zasłonił ją przed grzebaniem w jej przeszłości. Skończyło się na krótkim przesłuchaniu na miejscu, w Koszarawie.

Godzinami za to siedziała na śledztwie u Witkowskiego młoda Tramkowa. W Jeleśni poddana była męczącym indagacjom Kaczmarczyka wdowa Maściakowa. Nie ominięto najlżejszych śladów kontaktu Janosika. Przesłuchano Bronka, Berka i Topolaka z Koszarawy, Misiolka z Krzyżowej, Ziomka z Sopotni, Jędrasa, Habera, żonę i córkę Wojnara w Jeleśni, a także rodziców Michonia z Korbielowa. Nie popuszczono nikomu, nawet nieboszczykom, przy spisywaniu protokołów. Witkowski nie dotrzymał obietnicy danej Janosikowi.

Przed zarządem gminy, przed urzędem pocztowym w Jeleśni, przed posterunkiem policji, przed karczmą Habera, przed remizą strażacką, szkołą oraz tartakiem widniały rozlepione ogłoszenia starosty żywieckiego, wyznaczające nagrodę w kwocie trzech tysięcy

złoty za ujęcie, pomoc lub wskazanie miejsca pobytu groźnego bandyty, Jana Dziury, zwanego Janosikiem.

Groźny bandyta, Jan Dziura, zwany Janosikiem, przebrany za starego chłopca przeczytał sobie właśnie o świcie interesujący go afisz na parkanie tartaku w Korbielowie. Niedaleko od tego miejsca, u zbiegu potoków, spotkał się z towarzyszami. Naprzeciw budynku, pod lasem, mieszkał właściciel tego intratnego przedsiębiorstwa, Żyd. W przeciągu kwadransa harnasie zoperowali jego mieszkanie. Pech chciał, że po wyjściu napatoczył się Wojtkowi pod nogi dozorca nocny z przeciwległego tartaku. Takie niefortunne spóźnienie nie było nowością u Wojtka, zawsze bowiem wychodził ostatni, myszkując w poszukiwaniu jedzenia. Nie stropił się jednak zupełnie na widok niespodziewanego świadka.

- Co wy tu robicie? - padło chrapliwe pytanie.

- Gdybym ci powiedział, że czekam na pociąg do Żywca, tobyś mi i tak nie uwierzył - zakwilił wesołek. Koło dozorca wyrósł nagle jak spod ziemi młodzik w czarnym kaszkiecie. Klimek w okamgnieniu przyskoczył do kompana. Ten trzymał ręce w kieszeni uśmiechając się słodko. Wymacał w palcach monetę, podsunął ją pod nos natrętowi.

- Widziałeś kiedy dwudziestogroszówkę? - zapytał z głupia frant. - Przyjrzyj się. Tak samo za chwilę zmagluję ciebie i tę glistę, co się przy tobie pęta, że będziecie obaj wyglądali jak ta dwudziestogroszówka.

Trzasnął go w zęby w tej samej sekundzie, rozciągając na ziemi. - Bij w niego, idioto! - huknął na Klimka, który, posłuszny wezwaniu, uspokoił natychmiast młodzika. Pozostawili ich leżących w chłodnym, przedrannym brzasku. Wojtek jeszcze obszukał ich kieszenie w poszukiwaniu broni, po czym flegmatycznie dołączyli obaj do kolegów.

Koło południa trójosobowa policja jeleśniańska, wspomagana przez trzech przedstawicieli ładu społecznego z Przyborowa, Korbielowa i Sopotni, wyszła na Pilsko, aby przetrząsnąć lasy w poszukiwaniu bezczelnych rabusiów. Po wypiciu herbaty i paru szklanek piwa w schronisku na Hali Miziowej ekspedycja wróciła wieczorem bez rezultatu.

Kiedy Witkowski przybył z obławy na noc do domu, zastał szyby wybite w czterech oknach. Zdarza mu się to już po raz trzeci. Pierwszy raz było to w dniu święta narodowego 11 listopada, kiedy odbywała się właśnie parada na rynku jeleśniańskim, na której musiał być z urzędu. Po powrocie do domu zobaczył okna rozbite i podłogę mieszkania zasypaną kamieniami. Na święta Bożego Narodzenia wypłatan mu taki sam złośliwy kawał, w samą sumę, kiedy był w kościele. Oba święta musiał spędzać w ciemności i zimnie, jak w lochu, załatawszy okna deskami i słomą. Cóż za banda mieszka w tym Przyborowie! Zbój na zbój siedzi i złodziejem pogania. Odkąd przed trzema laty osiadł na tutejszym nieszczęsnym

posterunku, nie poznaje tej wsi. To robota Jaśka z Głuchaczek. Nie pomagają kary, grzywny, areszty, protokoły, bicie po pyskach. Zarazili się wszyscy duchem buntu od bandyty.

Zaczął rozmyślać o żonie i zasmucił się. Później zabrał się do służącej. Sklął ją, że nie pilnowała chałupy, tylko znowu poszła do bab na plotki. Położył rewolwer pod poduszkę i poszedł spać, przesłoniwszy z grubsza okna deskami.

Na drugi dzień, kiedy obmyślał sposoby zemsty nad nie wyśledzonymi sprawcami ponownego wybicia szyb, zdarzył mu się przykry wypadek. Wyłaził po coś na górę i spadł z drabiny, potłukł się dotkliwie. Leżał w łóżku przez dwa dni, gryząc wargi z wściekłości. Służąca nacierała mu maścią plecy i krzyż. Miernikowa (która chodziła do porodów) postawiła mu bańki. Żuł gniew w milczeniu, wzbierała w nim tym większa nienawiść do Janosika. Tak jakby i ten wypadek, podobnie jak sprawa rozbicia szyb, był zasługą rabusia. Jego uważał za sprawcę wszystkich swoich nieszczęść. Do chorego przybył z grzecznościową wizytą sołtys przyborowski. Psioczyli obaj, ile się dało, na bandę, aż policjant nie mógł słuchać dłużej, bo krew go zalewała ze złości. On tu leży jak stary dziad, z odbitymi nerkami, a ten drań w lasach hula i śmieje się z policji.

Ale Jaškowi nie bardzo było do śmiechu, jako że właśnie powinęła mu się noga przy próbie napadu na pensjonat w Zwardoniu. Teren był odpowiednio przygotowany przez zaufanych, działano jak zwykle przez zaskoczenie. Ale sprężynki mechanizmu zawiodły i napastnicy spotkali się z niespodziewanym odporem. Uciekali ile sił w nogach, zaszyli się w ostepie, przeżuając gorycz kłęski; dopiero po dwóch dniach wyrzeli z kryjówek.

Wnet jednak powetowali sobie kłękę, spadłszy ciemną nocą na leśniczówkę w Sopotni Wielkiej. Dom leżał samotny na polanie wśród głuchego lasu. Zwiewali szybko pod wodospad sopotniański. Tam czekały na nich konie, sprowadzone specjalnie z koszar na Lipowskiej. Ledwo poczuły jeźdźców na grzbietach, wparły się śmiało w znajomą sobie drożynę, drąc ostro w górę. Jeszcze było ciemno, kiedy baca Smugawski zamykał je w koszarze. W dwie godziny potem byli zbójnicy na miejscu. Słońce już wzbilo się nad Babią.

Trzeciego dnia po południu Wojtek polazł po nowiny. O zmroku zatrzeszczały krzaki pod skałkami Jastrzębiego Furkotu, gdzie właśnie siedział Jasiek w oczekiwaniu na kompana, i wyłonił się z nich wesołek, uśmiechnięty, lekko podochocony. Tłumaczył się, że wódki nie pił. To dwie szklanki cienkiego wina słowackiego, którym go poczęstował baca na pusty żołądek, wywołały ten godny pożałowania stan.

- Mniejsza o to - mruknął złowróźnie Janosik zagryzając wargi. - Nie będziemy się kłócili o dwie szklanki wina. Jakie wieści?

Przede wszystkim aresztowano w Sopotni obu braci Ziomków oraz Miškiewicza,

dawnego woźnicę u leśniczego, podejrzewając go o współudział w ostatnim rabunku. Witkowskiemu po raz trzeci wybito szyby. Sołtys zarządził, że cała wieś ma się złożyć na wprawienie nowych. Policjant leżał przez dwa dni w łóżku, bo odbił sobie krzyż, spadłszy z drabiny. Wojnar po siedmiu dniach wrócił z Żywca; bili go podobno w areszcie na przesłuchaniu. Kowal z posterunku jeleśniańskiego (który ostatnio chadzał zawsze we dwójkę z Witkowskim) zawadził parę dni temu o Głuchaczki, nocując u Juraszków. Władek Juraszek ma się budować w samym dole głuchaczkowej polany. Wójt Franczak wyrobił mu drewno budulcowe z nadleśnictwa za pół darmo i stara się o pożyczkę z banku. Władek ma się wkrótce żenić z Walerką. Wszyscy w Jeleśni głośno mówią o nim, że jest na usługach policji, i nie nazywają go inaczej niż Judaszek.

- Że to niby, co wiedział o Janosiku, wydał policji za pieniądze. Jak Judasz.

- E, co on tam mógł wiedzieć o mnie! - zbagatelizował Jasiek głuchaczkowego parobka.

Nie powiedział wszakże Wojtek tego, co dopiero za parę dni miało dotrzeć do wiadomości harnasiów. Oto banda Janosikowa zaczęła działać od niedawna w okolicach, w których w ogóle się nie pojawiła. W niedzielę spotkał się wódz z Misiółkiem pod Pilskiem i usłyszał zdumiewającą rewelację, od której zakręciło mu się w głowie: że mianowicie jego kompania z nim samym na czele, wszyscy zamaskowani, urządziła nocą napad rabunkowy na posterunek policji w Jeleśni. Bandyci zrabowali parę tysięcy złotych, pokradli wartościowe rzeczy z szaf. Kowala, który miał tej nocy dyżur, porzucili poturbowanego, związanego pod łóżkiem.

- Jakiś konkurent pracuje - uśmiechał się Janosik, kręcąc głową podejrzliwie. - Parę tysięcy! Miał pies buty, a policja tysiące! - Namysłął się, pionowa zmarszczka przecięła czoło. - Kto wie, czy nie będzie więcej takich rabunków. Wszystko pójdzie na nasz rachunek.

Las śpiewał swą staroświecką, dumną pieśń ocalałych drzew. Płynął ten śpiew z południa i z północy, z dwóch republik. Granica obrosła gąszczem po obu stronach. Jeszcze tego ludzie nie zdążyli spiłować.

Janosik siedział w karczmie ujsolskiej pod czujną strażą właściciela, uczując w piwnicy w towarzystwie Wojtka Rzezawy i szwagra bacy Smugawskiego. Szwagier pozbawiony oka, które mu wybił przed laty żelazny ząb wideł, pieścił drugim, ocalałym okiem lekko wydęty brzusek ćwierćlitrowej flaszki z napisem „pomarańczówka”. Jaka szkoda, że już wysączona! Więcej hetman nie zafunduje; zna go. Wojtek bratersko dzielił uczucia półślepego towarzysza podziemnego bankietu. Żałośnie spoglądał na butelkę bez

treści, królującą na stole. Po trzy kieliszki, cóż to jest? Wódka potrzebna była na zapicie interesu z Kubiszakiem. Był to ich żywiciel; dostarczał co tydzień prowiant na umówione miejsce w borze.

- He, he, co by było, gdyby tak policja wiedziała, że ja piję z Janosikiem! - rżał jednooki.

- Nic by nie było. Najwyżej trochę muzyki.

- Strzelalibyście?

- Nie lubię, aby mnie inni ubiegli. Lepiej coś zrobić o pół godziny wcześniej niż spóźnić się o pół minuty.

Wojtek zaofiarował się wyjść na górę i popilnować karczmy w zastępstwie karczmarza, z którym było coś do obgadania, lecz kompan przejrzał chytrą grę druha. - Zostań, zostań - uspokoił go troskliwie. - Popilnuj lepiej swoich dowcipów, bo się starzeją.

We trójkę sunęli nocą do przysiółka Tokarki. Ponieważ noc była wyjątkowo ciemna, zanocowali w samych Ujsołach u górala. Gospodarz samorzutnie wystawił przed domem wartę. Kiedy któryś z harnasiów przychodził na noc lub na poczęstunek do jakiejś chaty, nikt go nie pytał, kto zacz, skąd idzie i kiedy odchodzi. Wiedziano, iż należy do leśnych. To wystarczało, aby go nakarmić i zapewnić mu bezpieczny sen. W szałasie na Bantułach otworzył ktoś nocą drzwi do stajni. Z góry dobył się chrapliwy głos pastucha:

- Kto tam?

- Zbój. Przyszedłem na noc. Spij spokojnie.

Tamten położył się bez słowa. Dla zbójników szałas są zawsze otwarte. A i tak na progu znajdzie się na pewno dwadzieścia złotych przyłożone kamieniem.

Świt wstał piękny. Wyszli, pokrzepieni snem i śniadaniem. W Tokarkach obładował ich żywnością pasterz Kubiszaka. Wniknęli w las. Pozierali obaj w bezchmurne niebo, nabierające coraz soczystszej ciemnobłękitnej barwy, jak farbka do bielizny.

- Porządki w górze się robią - zauważył Wojtek. Jasiak wciągnął w nozdrza ciepły, majowy dech. - Wyższe niebo się wietrzy. To dobre na zboże, ale na ziemniaki przydałaby się kropelka deszczu.

Rozmyślał o rabunku zamaskowanych bandytów na jeleśniańskim posterunku. Odgadł od razu, czyja to konkurencja, choć przewrotność tej roboty z trudem mieściła się w kategoriach jego myślenia. Poznał tajemnice gór, bo żył wśród nich jak dziecko w łonie matki. Nie poznał jednak niezgłębionych tajemnic człowieka.

Jaga dowiedziała się o najnowszej Janosikowej dziewczynie: o Ewie pozostawionej w Tatrach. Kto zbada wyostrzoną intuicję zakochanej kobiety, kto dotrze do ukrytych ścieżek jej informacji? Nie czyniła żadnych wyrzutów kochankowi; nie pokazałby się tu już nigdy. Niby przypadkiem, niechcący, zapytała go wśród pieszczot:

- Czy twoja Ewa z Jurgowa ma czarne włosy? Zdziwił się, lecz nie okazał najmniejszego zakłopotania.

Już druga dziewczyna zaskakuje go pytaniem o Ewę.

- Skąd wiesz o niej?

- Wiem - zbyła go niedbale. - Więc jakie?

- Kasztanowe. Trochę ciemniejsze od twoich.

Nie podjęła dalej tego tematu. Ale zastanowił go ów epizod. Zmrużył oczy, popatrzył na nią bacznie, z pewnym niepokojem: - Chyba nie jesteś zazdrosna?

- Nie - ucięła prawie figlarnie. - Gdyby tak było, straciłabym cię dawno. I nie spotkalibyśmy się nigdy więcej.

- Jesteście obie ładne. Myślę nawet, że ty jesteś ładniejsza.

- Jasiek, Jasiek! Płanetnicy z góry patrzą na nas i widzą, że kłamiesz.

- Jeżeli teraz skłamałem, niechaj mnie słońce spali na węgiel w tej minucie - zaklął się, rozchylając wargi w uśmiechu i rozwierając powieki, spod których zalśnił szelmowski ognek. Czyżby sam śmiał się z tego, co mówił? Leżał na trawie na wznak, złożywszy głowę na jej kolanach. Bawiła się jego czupryną. Uważnie badała szczegóły jego rysów. Miał oczy przymknięte, blask słoneczny wikłał się między rzęsami, lśnić jak rosa.

- Czy często do ciebie strzelali, Jasiek?

- Kilka razy byłem o ćwierć centymetra od śmierci.

Nie otworzył oczu. Wolno zniżywszy głowę ucałowała je. Uśmiechnął się jak człowiek śpiący, któremu śni się coś przyjemnego.

- Tak właśnie blisko była śmierć koło mnie, jak teraz ty ustami.

- Kobieta czasem jest tak samo jak śmierć.

Otworzył oczy pomimo słońca, chcąc wyczuć, co to zdanie oznacza. Strugą włosów przesłoniła mu oślepiającą jasność.

- Śmierć często jest jak kobieta - odpowiedział i uznał, że to ma większy sens. - Kobieta. Tyle że świat jest bez niej smutny i samotny. Ale i dla takiego świata warto żyć. I warto umrzeć.

- Nie mów o śmierci.

- A cóż to strasznego? Dla harnasia prosta sprawa. Poprzez powieki wyczuł cię.

Spojrzał. Zamiast nieba schylała się nad nim twarz dziewczyny.

- Po prawdzie, nie chciałbym prędko umierać. Jeszcze dużo nie użyłem, świata szerokiego nie widziałem. A taki piękny czas! Maj!

Jaga uniosła twarz, trzepotliwymi rzesami omiotła głęboko niebieską, przepastnie wysklepioną półkulę, pozbawioną chmurek. Mówiła przeciągłym, ze słowacka śpiewnym akcentem:

- Popatrz, dolne i górne niebo na oścież otwarte. Kto teraz umrze, idzie bez przeszkód do raju, choćby skonał bez Boga. - Żyła w niej głęboka naiwność wiary ojców. - Umiesz się modlić, Jasiu?

- Nie próbowałem. Po co? Pan Bóg i tak się na mnie pogniewał.

Pogładził włosy zburzone przez Jagę, zerknął na niebo nawiedzone przeraźliwą jasnością. Jakby od włosów i z nieba czerpał natchnienie.

- Zasłoń mi słońce, Jaga. Ślepek tłumaczył mi raz tak: dawniej, kiedy jeszcze Pan Jezus nie żył na świecie, modlili się ludzie do słońca. To tatuś nasz. Tylko dwa razy w ciągu dnia słońce wysłuchuje dzieci: kiedy wschodzi i kiedy zachodzi. Wtedy trzeba się modlić. Ja zaś słońca się boję. Uciekam między smreki. Za to z nocą jestem za pan brat.

Jaga nie przerywała mu monologu. Przesłoniwszy sobą rozżarzoną, świetlistą kulę, łowiła wzrokiem słowa z jego warg.

- Mówią, że można kochać tylko kobiety. Co wart taki mężczyzna, który wszystko z siebie da babie? A ziemia, a słońce, czy nie są ważniejsze od kobiety? Czy tego się nie kocha? A smreki? A noc? A gwiazdy? Pewnie, przyjemnie jest poromansować z dziewczyną. I to nie z jedną. Ale żeby zapomnieć o wszystkim dla dziewczynki? Tylko głupcy tak robią.

Znowu otworzył oczy, chcąc spojrzeć w niebo. Zamiast sklepienia niebios pochylała się nad nim twarz Jagi koloru aksamitnej, przyrumienionej brzoskwini.

- Rozumiesz mnie?

- Rozumiem - odrzekła. W istocie niczego nie rozumiała. Ale nie było się nad czym zastanawiać. Nie byłaby jednak dziewczyną, gdyby myślą nie pobiegła do tej drugiej. Właściwie do tej trzeciej. Bo i o Zośce z Górnego Cichego słyszała dawno. Sam tego nie taił przed nią. Dziś zresztą oświadczył jej, iż Zośka wyszła za mąż za nauczyciela z Koszarawy.

Jak wygląda Ewa? W wyobraźni stawała obok niej, porównując siebie z tatrzańską dziewczyną. Północny Jasiu także dokonywał tej samej konfrontacji w myśli. Przed zamkniętymi oczyma widział je obie, tak dobrze znane, tylekroć całowane. Jaga ma płeć smagłą, Ewa białą. Jaga ma długie włosy, Ewa obcięte krótko. Ta gładkie, tamta puszyste; ta ciężko miedziane, tamta lekko brunatne. Jaga chodziła boso (podobnie zresztą jak i Zośka),

Ewy nigdy nie widział bosej. Ta czarnooka, tamtej oczy przechodziły w brązowość i w zieleń. Ta rosła, leniwa, zmysłowa, tamta drobna, zwięzła, szybka, o wyostrozonym wzroku. Jaga - pełna doskonałość kobieca, Ewa niedościgła tęsknota mężczyzny.

Odnajdywał ciągle nowe różnice między nimi, dla jednej i drugiej pochlebne. Potrzebne mu były obie. W Jadze nurtował śmiały, nagły głód rozbudzenia, w Ewie zakwitał głęboki poryw dziewczęcości. A w Zośce? W niej koncentrowało się żarliwe, beznadziejne oddanie. Wszystkie trzy go kochały. Tak mało, a przecież tak dużo miał czasu dla dziewcząt! On wiedział, czym jest dla kobiety pieśczoć, rozmowa, spojrzenie, uśmiech, przechadzka w milczeniu pod gwiazdami.

Z odległych stron dochodziły poryki burzy, łupały pioruny. Swoim ulubionym zwyczajem Jaga zanurzyła palce w jego włosach. Prosiła go:

- Usuń się stamtąd, Jasiek. Nie chodź na polską stronę. Nie włącz pod nos policji. Co cię tam trzyma?

- Polska to moja dziedzina. Stamtąd jestem, tam należę.

- Co cię tam ciągnie? Dziewczyna? Sam mi mówiłeś, że ci się już nie podoba, odkąd zaczęła chodzić z nauczycielem.

- Nie. Nie dziewczyna. Jest tam ktoś, kogo nie mogę opuścić.

- Kto?

- Witkowski.

Ktoś zaczął rabować na rachunek Janosika. W Korbielowie jakieś draby napadły na dwóch ubogich Żydów, trudniących się skupywaniem króliczych skórek po wsiach. Ciekawa rzecz, że bandyci, podobnie jak i przy poprzednim występie na posterunku w Jeleśni, byli zamaskowani. Czyżby szło o to, aby nie byli rozpoznani? Harnasie Janosika nigdy nie stosowali tego środka ostrożności. W kieszeniach obu poszkodowanych znaleziono kartki z napisem „Janosik”.

- To robota grubym ścięciem szyta - odezwał się Wojnar na wiadomość o tym. - Rabuś, który zostawia swe wizytówki w kieszeniach ofiar, a z drugiej strony zasłania twarz dla niepoznaki! Jaki idiota może w to uwierzyć? Prowokacja! - ocenił krótko. Obu braci-handlarzy obrabowano z gotówki i pobitych porzucono w rowie. - Ile takie łachudry mogły mieć przy sobie gotówki? - kiwał głową z niedowierzaniem.

W parę dni później podczas jarmarku wśród ożywionej żywieckiej ludności pojawiła się wiadomość, iż dziś nad ranem pod osłoną ciemności próbowano w trzech miejscach podpalić posterunek w Jeleśni, ten sam, który przed kilku dniami stał się rzekomo łupem

zamaskowanych rabusiów. Na szczęście udało się pożar zdusić w zarodku. Przodownik Kaczmarczyk pokazywał zaufanym nadszarpięte ogniem belki w rogach budynku, liczne tłuste ślady nafty rozlanej na dylach i słomę na podpałkę, która spłonęła pod węglem domu. Oczywiście i ten w porę ugaszony ogień zwałono na kark Janosika. Od ludu zebranego na wtorkowym jarmarku wieść rozeszła się po okolicy. To przyspieszyło decyzję Janosika złożenia autentycznej wizyty ciężko doświadczonemu posterunkowi jeleśniańskiemu.

Na niebiosach płynął wczesny półksiężyc. Z Lipowskiej Hali dotarli kłusem w ciągu trzech kwadransów do Sopotni. Dwóch z nich zaczął się pod posterunkiem straży granicznej, dwóch zaś weszło do środka. Jasiek, przyłożywszy rewolwer do skroni dyżurnemu strażnikowi, nakazał mu telefonować do przodownika Kaczmarczyka (za pośrednictwem placówki korbielowskiej) z prośbą o natychmiastową pomoc. Banda Janosika, złożona z czterech ludzi, wtargnęła bowiem do Sopotni; dwóch zbójów rabuje karczmę, drugich dwóch gospodaruje u posterunkowego Byliny.

Alarm poskutkował. Kaczmarczyk wraz z Kowalem i Mossakowskim, wsiadłszy na rowery, pognali w widny księżycowy wieczór do Sopotni. Mimo późnej pory wiadomość lotem błyskawicy obiegła Jeleśnię, w czym niemałą zasługę miała Turcula.

- Policja jeleśniańska wyjechała do Sopotni. Szajka rabusiów złapana i uwięziona w leśniczówce.

Wójt Franczak, posłyszawszy to, zapalił się. To dobra nowina dla niego. Właśnie siedział u niego Witkowski i już, już zabierał się do odejścia.

- Jeszcze pan zajdzie na czas do domu. Zajrzyjmy na posterunek, dowiemy się, co się tam dzieje. Może to wszystko bujda? - rzekł wójt i wdział kapelusz na głowę.

Gdzieżby Witkowski mógł poniechać takiej okazji? Od jak dawna czekał na to? Zwabieni niezwykłym alarmem, dobrali sobie jeszcze po drodze do towarzystwa pisarza mieszkającego koło rynku i pobiegli ku siedzibie miejscowej policji, aby poinformować się u źródła, ile jest prawdy w tej wersji. Banda Janosikowa ujęta w Sopotni! Zbyt piękne, aby było prawdziwe.

Tymczasem zbójnicy przebili się konno do Buczynek, następnie na grzebień Kostrzycy i stamtąd krótszymi drózkami spłynęli ze wzgórz wprost na posterunek w Jeleśni.

Janosik pierwszy wbiegł do placówki policyjnej. Zastał w kancelarii niespodziankę: W blasku lampy siedział przy stole twarzą do drzwi wójt Franczak, trzymając słuchawkę telefoniczną przy uchu. Obok niego stał w niedbalej pozie chudy, niski pisarz gminny, Świątkiewicz, nieodstępny adiutant wójta, ubrany po miejsku, z rękami w kieszeniach i papierosem w ustach. Tyłem zwrócone do drzwi, wsparte łokciami na stole, spoczywało

zwaliste ciało Witkowskiego. Policjant śledził z napięciem próbę połączenia się telefonicznego z Sopotnią.

Jakby ich trzech poraziła iskra elektryczna. Słuchawka z trzaskiem upadła na stół. Wójt hałaśliwie porwał się ze stołka; obłądny strach wykrzywił jego nalaną twarz. Najmniej zdenerwował się pisarz. Wyjął ręce z kieszeni, wziął w palce papierosa, patrząc pytająco na niespodziewanego gościa w drzwiach. Nie znał go. Najszybszy był policjant. Ledwo się obrócił, już sięgnął ręką po karabin. Janosik cofnął się, aby nabrać rozpędu, i zanim tamten zdołał złapać za ramię, kopnął go w brzuch z taką siłą, że Witkowski rozłożył się jak długi pod ścianą.

Wójt z wściekłym wyrazem oczu, z zaciśniętymi pięściami, z rykiem nieartykułowanym zwał się ku drzwiom. Może to lęk pchnął go do ataku? Dostał jednak stołkiem w łeb i nie był zdolny do dalszej walki. Oto już drugi raz pada w boju z Janosikiem, pokonany niesławnie za pomocą tego prozaicznego mebla. Pisarz struchlał na ten widok i zgłupiał. Próbował nadrabiać miną. Stał nieporuszony, usta groźnie zacięte, powieki szybko mrugają.

- Kto pan jest? - huknął groźnie z urzędową miną. W istocie nie znał go.

- Ja? - zdziwił się naiwnie chłopiec. - Marszałek Piłsudski.

- Nie radzę panu żartować - pisarz nie porzucił marsowej miny, choć nogi pod nim zdrząły i mdło mu się zrobiło w okolicy żołądka.

- A któż by śmiał? - w kącikach ust zbója zadrgał leciutki uśmiech. - Niech pan lepiej dopnie marynarkę, bo za chwilę odlecą panu wszystkie guziki.

Pisarzyna runął na niego. Harnaś błyskawicznie wyrzwał go w szczękę, poprawił lewą pięścią, dołożył cios w brzuch. W momencie kiedy ofiara waliła się na podłogę, wkroczył do pokoju Wojtek, spozierając dumnie po pobojuwisku. Spomiędzy włosów wójta ściekał cieniutki sznureczek krwi. Rzezawa złapał za rękaw policjanta, przechylił ku sobie jego bladą twarz z przymkniętymi oczami.

- Załatwiony na amen?

- Skądże? Dostał kopniaka w brzuch. Za pięć minut się obudzi.

- Co to za ciało? Skądś znam tego granatowego.

- To Witkowski.

Przewrócili wszystko do góry nogami, zabrali to, co przedstawiało dla nich jakąkolwiek wartość, i z należytą rutyną podpalili dom. Jędrrek pilnował koni, Klimek strażował, aby w razie potrzeby odpędzić ciekawskich. Może i byli tacy gdzieś niedaleko, lecz w obawie o własną skórę żaden się nie zbliżył.

- Niech będzie prawdą, że Janosik to zrobił! Skoro mnie w to ubrali, niech ta buda spłonie całkowicie. Nie udało się nam za pierwszym razem, uda się za drugim. Lubię plan wykonać gruntownie.

Wskoczyli na konie, galopując w ciszy późnego wieczora drogą wiejską na Krzyżową. Stamtąd skierowali się na zachód: w Buczynki i ku Lipowskiej. Nad Jeleśnią unosił się blask łuny. Zanim wróci policja, oszukana fałszywym alarmem, chłopcy już będą na słowackich wierchach Orawy.

Leżał w leszczynach, wdychając w siebie dziką woń rozgrzanej ziemi, gwizd ptasi przesywał na wylot powietrze uroczyska. Rozmyślał. On jeden myślał za trójkę kompanów. Odesłał chłopców do Jastrzębiego Furkotu na obiad. - Nie zapomnij zejść z Wojtkiem na Okrągłaki - upomniał na odchodnym Jędrka. Pamiętał, że nie wolno posyłać w dół Klimka, ponieważ ten uciał sobie flircik w ujsolskim przysiółku, a to mogłoby się źle skończyć. Jeszcze Jędrak był najpewniejszy i jego puszczał z Wojtkiem jako eskortę; bo choć w Ujsołach karczmy nie było, Rzezawa i tak znalazłby okazję do zalania sobie pały.

W głębi na północy białął pod Mocarnym Wierchem wyrąb, schodzący łagodnie ku Hali Siwcowej. W rogu wyrębu bystry wzrok harnasia wyluskiwał brunatną gajówkę. Nad gajówką unosiła się podwójna biała smuga dymu.

Wojtek z Jędrkiem, idący właśnie do Okrągłaków po prowiant (co piątek z ujsolskich Tokarek dostawiano im żywność w umówione miejsce u stóp Minczołka), zobaczyli ten sam znak, wyszedłszy ze ściany lasu. Hala Siwcowy dymiła dwoma prostymi sznurkami ponad ciemną ławą boru. Kładziono na ognisko świeżą choinę.

- Sygnały!

Stropili się Czym prędzej wycofywali się na południe, wlepiwszy wzrok w podwójny ścieg przesywający niebo. Wódz pocieszył Wojtkę:

- Do jutra z głodu nie zginiemy. Jeszcze jest na parę dni jedzenia. Gdyby znowu z rana dymiło, pójdziecie po żywność do Smugawskiego.

Noc była ciepła, w jamie duszno. Za tydzień, dwa będą spali pod gołym niebem w gęstwinie. Jasiek rozebrał się z koszuli, tak mu było gorąco. Wojtek załamał nad nim ręce:

- Jakiś ty chudy! Mógłbyś stanąć w ziemniakach jako strach na dziki.

Nazajutrz dwa tłumoki z prowiantem dotarły bez przeszkód na miejsce przeznaczenia.

Następnego dnia po spaleniu posterunku jeleśniańskiego zjawił się w samo południe na Głuchaczkach posłaniec z wezwaniem na piśmie, nakazującym Władysławowi i Agnieszce Juraszkom zgłosić się natychmiast w urzędzie gminnym w Jeleśni. Na papierze widniały

pieczęcie wójta jeleśniańskiego i przyborowskiego sołtysa. Władek był niepomiernie zdziwiony wezwaniem i jego niezwykłą nagłością. Wszelako od urzędowego obowiązku nie można się uchylać, zwłaszcza iż na dole nad pieczętkami zwracał uwagę groźny dopisek: „W razie niezgłoszenia się natychmiastowego pozwani będą doprowadzeni przez policję i ukarani grzywną w wysokości stu złotych”.

- Nic nie rozumiem - mruzczał zaniepokojony Władek.

- Widzisz, coś narobił konszachtami z policją! - wyrzekła siostra.

- To Walerka musiała coś nagadać. Durna dziewczka!

- Teraz na noc musimy iść z domu.

- Żeby nas zamknąć nie chcieli.

- Za co znów zamknąć? Cóż ja zrobiłam, żeby mnie mieli zamykać? Jakie ty masz z nimi historie, nie wiem, ale co ja mam z tym wspólnego? Niedoczekanie ich!

Pokłeli ile wlażło. Zjedli obiad, ogarnęli się, zaczęli schodzić, pełni złych przeczuć. Zajrzeli do Tramków, dowiedzieli się niezwykłej nowiny: dziś w nocy Janosik był w Jeleśni. Spalony został posterunek policji i sąsiedni dom Walczaków, ciężko ranni wójt Franczak, Witkowski oraz pisarz Świątkiewicz. Tej samej nocy napadnięto na Sopotnię; złupiono straż graniczną i poturbowano policjanta Bylinę.

- No, no, no! - Juraszkowie nie mogli otrząsnąć się z przerażenia. Kto wie, w jaką aferę będą wplątani? A to się zabrał Jaś z Głuchaczek do dygnitarzy wsiowych! Na drodze przyborowskiej wyszedł na ich spotkanie Witkowski z rękami w kieszeni, bez karabinu. Władek zdziwił się niemało.

- Słyszałem, że pan był ranny wczoraj?

Tamten machnął ręką, uśmiechnął się. Ledwie dziś nocą wrócił z Jeleśni, nie mówiąc nikomu o niczym, a ci już są poinformowani o wczorajszych wieczornych wypadkach. „Ranny” ma tylko sine kółka pod oczami, więcej nic. To może być z niewyspania lub z przepicia.

- Czego ludzie nie plotą! Gdzie znowu ranny? Była mała przeprawa, o ranach nie ma mowy.

- Bitka była?

- Gdzie tam! Uciekli, jak przyszliśmy. Tylko się buda paliła jak cholera.

Wędrowali w trójkę do gminy jeleśniańskiej.

- Pan także do Jeleśni?

- Także.

- Wójt Franczak nie ranny?

- Skąd? Belka zleciała mu na głowę, jak się dom zaczął palić, bo właśnie wtedy nadbiegliśmy. Trochę go poturbowało. Nic więcej.

- Proszę, proszę! A tu tyle naopowiadali!

- Kto?

- Ludzie - zaspokoił Juraszek ciekawość policjanta. - Posterunek się spalił?

- Spalił.

- Cały?

- Prawie cały. Została jedna ściana, trzeba ją zburzyć

- A dom Walczaka?

- Nie. Tam iskry nie szły.

Przez okno wyjrzał z chałupy na drogę Wołek, którego choroba od paru dni znów przykuła do łóżka. Zauważywszy z daleka Witkowskiego, splunął z pogardą w ogródek, cofnąwszy się w głąb izby, aby nie patrzeć na znienawidzoną postać.

- W jakiej to sprawie wołają nas do wójta, panie posterunkowy? Dziś w południe dostaliśmy wezwanie, aby natychmiast stawić się w urzędzie gminnym.

- Pod karą mamy się zgłosić. Bezzwłocznie - dodała Agnieszka.

- Sam nie wiem, co to ma znaczyć - odpowiedział posterunkowy - bo ja dostałem przed południem wiadomość przez posłańca, abym na siódmą godzinę zameldował się u wójta w Jeleśni. Pewnie w sprawie Dziury.

- I w sprawie tego łotra muszę targać dwie mile! Nikt mnie nie zapyta, czy mam coś pilnego do roboty w gospodarstwie albo że noc nadchodzi. Nie, Jaś Dziura jest pilniejszy. A może to nie w jego sprawie?

- Żeby go raz szlag trafił! - zaklął soczyście policjant. - Przez niego człowiek nie ma dnia ani nocy spokojnej.

Zaczął opowiadać o sprawkach bandy: Janosik teraz widocznie oszalał. Rabuje niewinnych łachmaniarzy żydowskich. Jednego z nich, młodszego, tak zbił, że nie wiadomo, czy kaleką na całe życie nie zostanie.

Agnieszka kiwała głową, łypiąc podejrzliwym okiem na posterunkowego. Nienawidziła go zawsze, a teraz znienawidziła go jeszcze bardziej z powodu brata: że Władek się z nim skumał, że przez niego stał się zdrajcą, że to oni naraili mu tę wstrętną dziewczuchę, że Władek ma teraz w policji oparcie i że będzie chciał siostrę z domu usunąć.

- Hm, hm, hm... - dziwiła się. Dwóch obtarganych Żydów miałby Janosik rabować? On, który jej posag bezinteresownie, z samej grzeczności darował? On, który setkami napelniał kieszenie jej bratu? On, którego hojność wspominają wszyscy głuchaczkowcy z

wdzięcznością? Nie mogło jej to przemówić do przekonania. A podpalenie posterunku w Jeleśni? Raz złupił, po paru dniach znowu obrabował. Cóż tam było za drugim razem do rabowania? Raz podpałił, nie udało się; za kilka dni wrócił, aby dokumentnie spalić. Coś tu było niejasnego.

- U mnie w domu jego ludzie po raz trzeci szyby mi wybijają. No powiedzcie, co mu z tego przyjdzie? Żeby tylko człowiekowi na złość robić.

Rodzeństwo milczało. Agnieszka z pogardą przyjmowała retoryczne pytania policjanta, Władek zaś zajęty był w myślach czym innym. „Czego oni będą chcieli ode mnie u wójta?”

- Może przyjechał komisarz z Żywca i chce od was dowiedzieć się czegoś o Dziurze z czasu, gdy mieszkał na Głuchaczkach - poddawał obojgu bez przekonania Witkowski.

Ale w urzędzie gminnym nie było komisarza z Żywca, jedynie przodownik Kaczmarczyk. Rozpoczęła się rozmówka z udziałem dwóch policjantów, wójta i pisarza gminnego z jednej strony, a Władysławem i Agnieszką Juraszkami z drugiej. Głuchaczkowcy widzą ślady wczorajszej przeprawy na wójcie. Ej, czyżby to od belki? Pisarz - no, ten dopiero wygląda! Musiała być jakaś bitka, ani chybi, bo Świątkiewicz ma pół twarzy spuchnięte, tak że oka prawie nie widać. Franczak rozłożył ręce z szerokim uśmiechem witając gości.

- Chwała Bogu, że przyszliście!

- Byłbym nie przyszedł dzisiaj, dopiero jutro, bo gdzie to tak rzucać robotę w ką i na gwałt dybać do gminy na noc. Ale się przeląkł, bo pan wójt grożą na wezwaniu grzywną i doprowadzeniem przez policję.

- E - machnął ręką Franczak - tak się pisze zawsze. W myśl ustawy na każdym wezwaniu musi to być uwidocznione. No, sprawa jest rzeczywiście pilna i dlatego bez zwłoki musieliśmy was wezwać. Siadaj, Juraszek.

Nic groźnego nie było. Władkowi spadł kamień z serca.

- Mamy dosłać jeszcze tej nocy raport w sprawie bandytów do starostwa. Pan starosta telefonował dziś rano, że raport jest bardzo pilny, bo przyjechała właśnie komisja z Krakowa. Musimy was dodatkowo przesłuchać. Dziś w nocy telefonem nadamy protokół do Żywca, a jutro rano o ósmej pan starosta musi mieć przed sobą wasze zeznanie.

Przedstawiciele władz robili poważne miny, dowiadywali się oficjalnie po raz dwudziesty o rzeczach dobrze im wiadomych. Pisarz protokołował zeznania. Mozolnie ułożono tekst, przepisano na czysto, odczytano z powagą, po czym oboje zeznający położyli podpisy pod urzędowym aktem. Zrobił się wieczór. Po urzędowej części wizyty nastąpiła część prywatna. Wójt posłał służącą do Habera po piwo, odkorkował pięć flaszek,

poczęstował gości, napili się; błysnął przed nosem Władka papierośnicą, zaprosił do palenia.

- Ja wiem - tłumaczył się - że nie jest przyjemnie oddalać się z chałupy na noc, zwłaszcza jeśli się wie, że naokoło domu grasują bandyci.

- E, o to tam nie byłoby strachu - zbagatelizował groźbę młodzieniec. - Tylko że przeleliśmy się, co za powód tak naglącego wezwania. Można było napisać, że w sprawie takiej a takiej.

- He, he! - zarechotał grubo wójt. - Tego się nie pisze nigdy na wezwaniu. To są sprawy urzędowe, tajne. Nie wolno wam nikomu wyjawiać tego, o czym my tu ze sobą rozmawialiśmy w urzędzie. Rozumiecie?

Porozlewał resztę piwa do szklanek, jeszcze raz poczęstował Władka papierosem.

- Pijmy - zachęcił gości. Dopili, podali sobie ręce i pożegnali się.

Juraszek odetchnął z ulgą. Niepotrzebnie martwił się złymi przecuciami. Do Przyborowa wracało rodzeństwo również w towarzystwie Witkowskiego. Policjant był wobec nich ugrzeczniony, dwukrotnie nawet podczas wspólnej drogi potraktował towarzysza papierosem. Na odchodnym uścisnął im obojgu rękę i Juraszkowie wśród nocy rozwidnionej księżycem kontynuowali podróż do domu.

- Psiakrew, do rany go przyłożyć, taki słodki - złorzeczyła Agnieszka. - Nie ma to, jak dobrze żyć z policjantem! - dodała pogardliwie.

- No, tak - przyświadczył brat, nie czując tej szpilki. Naprawdę byli oboje zadowoleni, że nic poważnego nie wynikło z tej niespodziewanej wycieczki. Tylko to dziwne, dlaczego taki nagły alarm?

- Widocznie starosta telefonował, że mu zależy na moich zeznaniach - rozumował Władek. - Chce to pokazać komisji z Krakowa. Będą chcieli coś zrobić przeciwko Janosikowi. Słyszałem, że tu ma przyjść wojsko. I z wojskiem pójdzie dopiero policja w lasy, aby wykurzyć zbójów. A jednak wydaje mi się to dziwne - ciągnął na głos swą myśl. - Przecież oni tam mają moje zeznania dawniejsze, na posterunku w Jeleśni trzy razy na piśmie składane, a raz w Przyborowie. Cztery razy spisywali ze mną protokół. Dlaczego mnie znowu wołali?

Tuż za Gajką, gdy weszli na goliznę, uderzył ich w oczy czerwony odbłask od wschodu na podcyłońskich lasach. Przystanęli instynktownie. Czasem wschodzący księżyc zapowiada się taką czerwonią. Ale księżyc już od godziny wisiał nad Pilskiem, luna zaś kładła się na przeciwległym borze, nie sięgając wysokości nieba.

- Agnieszka! - zwrócił uwagę siostrze Juraszek.

- Widzę! - odrzekła i serce ścisnęło się jej z trwogi. - Coś się pali.

- Jezus Maryja! Głuchaczki płoną!

Zaczęli biec. Nie mogło być inaczej; w tej stronie nie ma innych sadyb ludzkich. Bez tchu, bez słowa dobiegli na dolny skraj polany, obłąkani ze strachu. Już spoza ostatnich drzew otwarło się przed ich wzrokiem w świetle pożaru tragiczne pobożowisko. Zobaczyli własną chałupę, dopalającą się jak stos smolnego łuczywa. Trzask pękających nadwęglonych belek słychać było w ciszy nocy niesamowicie. Polana widna była od ognia jak na dłoni.

Lecieli ku temu, czego już nie dało się ocalić. Juraszek zmartwiał, załamał ręce.

- Janosik spalił! - wrzasnął nieludzkim głosem.

- Co mu zrobiłeś? - wybuchnęła Agnieszka płaczem. - Zdradziłeś go! Ty łajdaku!

Wiedziałam!

- Mogłaś być jego dziewczką, mogę i ja robić, co mi się podoba.

- Kłamiesz! Kłamiesz! - wyła, wpijając mu palce we włosy. - Ja nie jestem taką szmatą jak ty!

Rozdzieliła ich ciotka i Mitanowie. Nie było co ratować. Zdażono tylko uprzednio wyprowadzić bydło i wynieść pościel. Sąsiedzi patrzyli niemi, ze zgrozą na obraz zniszczenia.

- Kto to zrobił? - pytała Agnieszka ciotki.

- Nie wiemy. My już spali.

- Ktoś musiał wiedzieć o tym, że dostaliśmy wezwanie, że nas w domu nie będzie, i za ten czas podpalili chałupę.

- Ale kto?

- Ktoś, kto miał w tym interes. To z zemsty.

- Któż miał złość na nas? Na ciebie? Kto? - miotła się stara. - Chyba na Władka. Ale kto?

- Janosik.

- Chryste Panie! Zostaliśmy bez domu!

Juraszek leżał na rośnej trawie jak martwy. Od czasu do czasu zwierzał ręce z rozpaczy, wrywając koło siebie trawę garściami. - Zemścił się na mnie! - powtarzał ciągle, patrząc błędnym wzrokiem w kupę zwęglonych, żarzących się belek, od których bił potężny gorąc; w to, co jeszcze przed kilku godzinami było jego domem.

Prawdą było jednak, iż Janosik nie miał nic wspólnego z pożarem na Głuchaczkach. Kiedy obejście Juraszków płonęło z trzaskiem, harnaś zasypiał właśnie w swej górskiej jamie, rozebrany do koszuli. Ogień podłożyła ta sama ręka, która obrabowała dwóch Żydów w Korbielowie, która podpałała po raz pierwszy posterunek jeleśniański, zdążywszy go uprzednio obrabować z fikcyjnych tysięcy. Umyśliła ten plan ta sama głowa, która sprytnie

oddaliła z Głuchaczek na pół dnia i pół nocy właścicieli chałupy pod pretekstem pilnego przesłuchania. Zgrabna to była ręka i chytra głowa. Nic dziwnego, ponieważ była to wójtowska głowa i policyjna ręka.

I tym razem plan był doskonale obmyślony. Juraszek zażądał za cenę swych informacji wyeksmitowania Agnieszki z domu. Jak to zrobić? Rozwiązano spór rodzeństwa iście po salomonowemu. Gdy się chałupa spali, przestaną się kłócić. A konfidenta nastawi się jeszcze bardziej na Jaśka Dziurę i zobowiąże się go tym silniej wobec policji.

Prowokacja udała się. Juraszek w ślepej furii zemsty za to, że bandyta puścił go z dymem, oskarżył dodatkowo Mitankę, Zośkę Masłowską, Wojnara i Misiółka, że Janosik dawał im rzeczy pochodzące z rabunku. Witkowski dwoił się, męczył śledztwem współników Dziury, dokonywał nowych rewizji. Ludzie sarkali na policyjne szykany, gdyż od miesiąca odczuli znowu hojność Janosika. A te przestępstwa, o których się ostatnio słyszy, czy to jego robota? Ktoś, kto chce pobić do krwi bezbronną kobietę, wdziewa maskę? Albo poturbowanym biedakom pakuje swój bilet wizytowy do kieszeni? Oni nie tacy głupi, ich na to nikt nie nabierze. To przewrotna gra Franczaków i Kaczmarczyków. Wkrótce dojdzie do tego, że gdy jedna baba ukradnie drugiej kurę, będzie się o to oskarżało Janosika.

Ślina leciała w ślad za przechodzącym policjantem, miażdżyły go nienawistne spojrzenia, towarzyszyły mu przekleństwa i groźby.

Pogorzelnicy zamieszkali u Klimca, dalszego sąsiada, wdowca, gospodarującego z małoletnią córką. Bydło chowali u Maziarza, bo tam była większa stajnia. W parę dni po pożarze odwiedził ich sołtys z pocieszającymi wiadomościami. Starostwo obiecało udzielić im zapomogi doraźnej, wójt Franczak wystarał się Władkowi o pożyczkę długoterminową z banku, nadleśnictwo ofiarowało rodzeństwu drewno budulcowe za darmo.

Przy sposobności wizyty sołtys obszedł sobie z ciekawości całe Głuchaczki. Dwumorgowy kawałek lasu w dolnej części polany stanowił jego własność od niedawna; kupił go dwa lata temu od Maziarza. Stanął na skraju swoich smreków, spoglądając na obszerny zielony kwadrat przysiółka. Tu byłaby pierwszorzędna łąka. Gdyby ją dobrze uprawić, można by z niej zebrać po trzy brogi siana dwa razy do roku. Jeszcze w ubiegłą Wielkanoc proponował Klimcowi kupno gospodarstwa, aby mógł założyć sobie tu wypas na lato. Dzisiaj znów zaproponował coś podobnego Juraszkowi.

- Nie chciałbyś, Władek, pobudować się na dole, we wsi? - spytał od niechcienia.

Juraszek zrobił wielkie oczy.

- Gdzie? Przecież tam nie mam nigdzie pola.

- A tu dużo masz? Ile będzie całych Głuchaczek? Z osiem morgów.

- Oho! Dobrze dziesięć.

- Niech będzie. Co to jest? I jest was sześć gospodarstw do tej odrobiny.

- Łąki są w górach.

- Z samych łąk nie wyżyjesz. To dziadostwo. Gdybyś się chciał stąd przenieść, ja bym ci dopomógł.

- Moi ojcowie tu biedowali i ja pobieduję - brat błysnął złośliwie okiem na siostrę. - Może Agnieszka będzie miała ochotę na dół.

Siostra podjęła wyzwanie. - Ja? Po co? Tu mi dobrze - wybuchnęła z grymasem nie tajonej wściekłości. I sołtys, widząc, że się zanosi na kłótnię rodzeństwa, dał spokój. Schodził ku Gajce, powoli dojrzewiała w nim myśl: Głuchaczki winny zniknąć jak najprędzej. Wszystko tam zarażone posiewem Jana Dziury. Polanę powinno się zaorać, niech rośnie trawa na miejscu bandyckiej osady. Trawa zaś będzie rosła dla niego, dla sołtysa przyborowskiego. Tak sobie postanowił i tak się stanie.

- Walerka! - rozdarł się Włodek Juraszek, rozsiadłszy się u dziewczyny za stołem w kuchni.

Nie odwracała się ku niemu.

- Co chcesz?

- Walerka! - ciągnął chrapliwie. - Jasiek Sierota nie był pierwszy.

- Co to znaczy? - wstrząsnęła krótkimi puklami włosów. Oczy zapalały. - Ktoś ci coś napłócił?

- Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi - uśmiechnął się pogardliwie. Po oczach widać, że podpity. - Był Pluta Roman spod tartaku, Antek Żurawczyn, co w wojsku służy, Klimiarz, który był u junaków...

- Psie podły! - wrzasnęła. - Jak śmiesz oszczerstwo zadawać? Jaka flądra napłotła ci głupstw?

- Walerka, nie ciskaj się. Można mieszkać w drugiej wsi i także wiedzieć o dziewczce, co się należy.

- Pilnij lepiej swojej siostry, aby nie chodziła z kabanem z trzeciej wsi, rozumiesz? Baby plotą, ile wlezie, to jest ich zajęcie, czyś ty zgłupiał do reszty? Zapytaj się w Jeleśni o mnie, każda baba ci powie, że co noc mam w łóżku innego faceta. Ale ja to samo o nich powiem. Chcesz mnie czy nie chcesz, gwizdź na to. Fora ze dwora!

- Walerka! - wtrącił pojednawczo.

- Idź do Turculi, ona ci jeszcze lepsze kawałki o mnie nagada. Tylko nie zapomnij

wódki wziąć.

- Walerka, nie bądź głupia. Ja nie po to mówię...

- Nie ma co gadać, wynoś się!

- Więc jak? Był tylko jeden Jasiak? Powiedz.

- Jak szczęścia mojego pragnę! - zakłęła się uroczyście. - On jeden mnie oszukał, obiecał mnie wziąć za żonę. Gdyby on mnie nie skrzywdził, byłabym do dziś dnia czysta. A tak muszę cierpieć przez niego. Pewnie, nie jestem zakonnica, lubię się pośmiać, pobawić, zatańczyć, pogadać z chłopakami. Ale żeby coś innego było, o, co to, to nie!

- Walerka - pogłaskała ją szorstką dłonią po plecach. - Ja się tylko tak pytam. Ty wiesz, że się mamy ku sobie. Ludzie dziwne rzeczy plotą.

- Gdybym chciała słuchać tego, co ludzie bają, nie wyszłabym nigdy za ciebie. Wszyscy mówią, że Władek Juraszek leci na mój posag.

- Phii! - świsnął przez zęby, wruszając ramionami. Speszyło go to jednak wyraźnie.

- Tego, co ja sobie uskładałam ciężką pracą na służbie, nie będzie żał pierwszy lepszy próżniak - zapowiedziała z dumą damy.

- Pewnie, że nie - przyświadczył Władek i dobry humor mu wrócił. Porwał się ku dziewczynie, cmoknął ją głośno w oba tłuste policzki. - Walerka, idź po wódkę.

Przyniosła (za swoje pieniądze). Zaczęli pić, zagryzając białą bułką z piekarni. Omawiali brzydki postępek Janosika. Walerka uroniła kilkanaście łez, rozmowa zeszała na małżeństwo. Pilno jej było. Zaczęła liczyć posag i morgi głuchaczkowe tłumaczyć na pieniądze. Postanowiono, że pobudują się na Głuchaczkach, korzystając z pomocy nadleśnictwa i starostwa.

Był piękny czas. Władek z energią zabrał się do przygotowywania budowy. Nie taił tego przed nikim, a przede wszystkim przed siostrą, że dom buduje wyłącznie na przyszłe własne gospodarstwo. Cieszył się nawet poniekąd, iż zemsta Janosika tak szybko uwolniła go od przymusowej wspólnoty z Agnieszką. Nie darmo przecież dopraszał się pomocy policji i urzędu gminnego w celu wysadzenia Agnieszki z chałupy. Wójt rozkładał ręce, zapewniał urzędowym tonem: „Zobaczymy, zobaczymy”, Witkowski kręcił z przekąsem głową: „Może z czasem da się coś zrobić”. Ale nie zrobiło się nic. Aż ubiegł ich Janosik rozwiązując trapiący Juraszka problem.

- Już mi się przynajmniej teraz Agnieszka do domu pchała nie będzie.

Z pasją obciosywał zwiezione belki, po czym zabrał się nad potokiem do łupania kamieni pod fundament. Agnieszka pozostała na lodzie i nie robiła nic. Już od dłuższego czasu nie pokazał się u niej Broniek. Złośliwi śmiali się głośno z sędziwego narzeczeństwa i

przepowiadali oczywiste zerwanie, jako że było wiadomo, iż Broniek najbardziej liczył na chałupę przyszłej oblubienicy. Płakała całymi dniami; z płaczu puchły jej policzki, a od spuchniętych policzków trapił ją ból zębów. Kłótnie z bratem doprowadzały do ostrych wybuchów. Kilkakrotnie pobili się, aż musiała ich godzić ciotka do spółki z Klimcem. Zmęczona awanturami, gnała Agnieszka bydło na cały dzień na polany; dwie krowy - jedną swoją, drugą Władkową. Brat schodził często do Jeleśni na wódkę i do dziewczyny, pozostając nieraz na noc u Walerki.

- Niech siedzi - wyrzekła siostra zaciskając zęby. - Złapała go sprytna baba i nie puści. To głupi cymbał, nie wie, kogo się czepia. Musiała go chyba ta dziewczka zaczarować. Co on w niej widzi? Ilu chłopców przed nim kosztowało tej słodyczy! To szmata! - określiła zwięźle Władkową narzeczoną.

Już od roku waśniło się rodzeństwo o ten dom, z którego jedno chciało drugie wyrzucić. Ale wspólna strzecha przecież jakoś łączyła ich pracę, łagodziła gospodarskie troski. A teraz powód ich ciągłych zatargów zniknął z powierzchni ziemi. I zamiast ustąpić - tym bardziej jeszcze wzmogła się nienawiść, rozgorzała wzajemna niezgoda.

Jasiek stał na skraju boru mędralowskiego, patrząc w dół na Koszarawę.

Był wschód słońca. Niedawno dopiero ustało w gałęziach namiętne tokowanie głuszców. Polany tonęły w kwiatach, a kwiaty w rosie. Harnaś wparł siwe oczy w chylące się ku dolinom domostwa. Tam w dole, nie w Cichem, o wiele niżej, w samej Koszarawie przy wyboistej drodze mieszka Zośka, obecnie pani Krawczykowa. Pewnie teraz śpi jeszcze przy boku ślubnego męża. Może spać długo, nie musi obrządzać krów. Teraz jest panią.

Tak kończy się wszystko. I tak skończyło się dziewczynstwo Zośki. Miała wybrać podrzutka, bękarta chłopskiego, przybłądę, wołała wybrać nauczyciela. Przecież to pan.

„Nie obiecywałem jej niczego. Odeszła sama. Z własnej woli.”

Przybył tu umyślnie przed samym świtem, z drugiej strony granicy po nocy dążąc, aby stwierdzić, czy prawdą jest, że spłonęły Głuchaczki, rzekomo podpalone jego ręką; tak mu doniesiono. Nie chciał w to wierzyć. Po całej Żywiecczyźnie płynęła jednak wiadomość podawana z ust do ust, podsycana nie wiadomo przez kogo:

- Janosik spalił swoje gniazdo.

Wybrał się sam w ciemny wieczór, dawnymi chodami, nie zapomnianym sprzed wielu miesięcy szlakiem południowo-zachodnim, lecz prowadzącym w odwrotnym kierunku. Ujrzał domostwo Juraszków w zgliszczach. Później miano wśród ludu poprawić pierwotną wersję o jego zbrodnicznym czynie.

- Chciał z dymem puścić całe Głuchaczki, lecz wybroniono je od ognia. Jedynie spłonęło obejście Juraszka.

- On chciał właśnie tylko Juraszka spalić - informował inny odłam opinii.

- Za co?

- Wiadomo, za co. Bo to był dawny jego kompan, który go zdradził: Juraszek-Judaszek. Pieniądze od zbója brał, teraz przeszedł na stronę policji. Tak mu się wywdzięczył.

Jedynie Wojnar kiwał z niedowierzaniem głową na to wszystko.

- Podejrzana historia. Janosik nie miał z tym nic do czynienia, policja maczała w tym palce. I będzie chciała z tego brudną machlojkę zrobić.

Turcula zbierała żniwo. I tym razem ona podawała najciekawsze rozwiązanie tajemnicy pożaru na Głuchaczkach Piorun miał uderzyć w Juraszkową chałupę i spalić ją do szczętu. Dlaczego nie spłonęła Mitanka, skoro sąsiaduje z nimi? To była zemsta niebios na Judaszku.

Jasiek stał wtopiony w pnie pod jodłami Mędralowej i rozmyślał: „Cóż mi był winien Władek? Nic. Rozpiły go te draby, może i co wypaplał. Ale co on takiego wie? Nie gniewam się na niego”. Machnął ręką, nie zależało mu na Juraszku. Nigdy na nim nie budował żadnych nadziei. Może raz, jeden raz, było to dawno, w zaraniu zbójowania, przez chwilę zapragnął go mieć w kompanii, lecz poznawszy go bliżej, zniechęcił się prędko. Od roku prawie nie widział się z Władkiem. „Może on sam podpalił umyślnie, aby podjąć asekurację. I na mnie zwałił winę, bo tak wygodniej?”

Zbyt wielkie sprawy ważyły się teraz, aby miał się przejmować kupą zwęglonych zgliszcz. Nie o tym myślał, patrząc na Koszarawę w świeżym tchnieniu ranka. Myślał o sobie, o swoim zmarnowanym życiu. Pragnął być biczem zemsty pokrzywdzonych, a stał się hersztem opryszków, za którego ujęcie starostwo żywieckie obiecuje dwa tysiące złotych. Kimże był? Pastuchem krów. Wstało w nim ponure dzieciństwo, bicie i przekleństwa, nudne długie lata jego pastuszej służby, boso, piechotą odmierzone od wsi do wsi. Odezwała się w nim skarga chłopięca, jego pasterska śpiewka najulubiejsza i najprawdziwsza:

*Śpiewam sobie, śpiewam, łzami się oblewam,
wszystko zaś dlatego, bo się na świat gniewam.*

Jego oczy białe były w bezkres, w ciemną ławę lasów, jak gdyby widziały Zośkę idącą przez rozświetlone powietrze. Natężył wzrok. I wyczarował ją rzeczywiście przed sobą. W słoneczny ranek wyszła naprzeciw z dołu.

A więc nie spała u boku małżonka, skoro tak rano znalazła się na górze. Przyszła do

harnasia taka, jaką ją znał i pożegnał w ubiegłym roku. Nie ta, którą zobaczył po powrocie z Tatr: narzeczona Krawczyka, prawie zaślubiona mężowi, żona nauczyciela - lecz Zośka Masłowska, kochanka hetmana.

- Skąd idziesz? Ze wsi?

- Nie. Od matki.

Zbliżyła się, nie śmiać nań podnieść oczu, jakby czując, że zgrzeszyła przeciw niemu małżeństwem. Często wychodziła w tę odludną puszcę, wiedzona miłością i tęsknotą, przypuszczając, że może któregoś dnia na swym szlaku spotka ukochanego chłopca.

- Jak dawno jesteś po ślubie?

- Już trzeci tydzień.

- Nic się nie zmieniłaś. Jesteś taką samą dziewczyną jak dawniej.

Oparła na jego piersiach małą kształną głowę. Głaskał ją po bladej pociągłej twarzy.

- Czy jesteś szczęśliwa?

- Szczęśliwa? - odparła jak echo z ironicznym uśmiechem; wstrząsnął nią nagły szloch.

- No, no, no! Tylko nie becz, młoda mężatko.

- Szczęśliwa? - powtórzyła z goryczą. - Ja wiedziałam, że nie znajdę szczęścia w tym małżeństwie.

- Więc po co, u licha, wychodziłaś za męża? Nie rozumiem.

- Po co? - wybuchnęła wśród łez. - Nie rozumiesz, po co? O, rzeczywiście ty mnie nie rozumiesz! Wysłałam za męża, aby zapomnieć o tobie. Aby nie móc wrócić do ciebie. Aby się zemścić na tobie, na sobie samej. Aby zrobić tobie i sobie na złość. Aby się odciąć na zawsze od ciebie.

- Przecież powiedziałem ci, że się nie będę z tobą żenił. Chcesz mieć za męża zbrojnika?

- Mnie nie o to chodziło, abys miał we mnie żonę. Tylko abys miał swoją dziewczynę. Tę jedną. Aby miałam ciebie przy sobie. Nie zatrzymałam cię. Wzięły cię inne.

Wyrzucała z siebie słowa gorączkowo, porywczo, namiętnie.

- Mieliśmy brać ślub w końcu czerwca, kiedy się zaczynają wakacje, przyspieszyłam termin. Niech się stanie prędzej, co się ma stać. Na co będę czekała, kiedy i tak mnie to nie minie? Chciałam się zemścić. Wzięłam ślub wcale nie z miłości do Krawczyka. Dlatego tylko, aby postawić między tobą a mną małżeństwo spełnione, przeszkodę nie do pokonania; żeby już raz było, że nie jesteśmy dla siebie, żeśmy zapomnieli, że ty już do mnie nie należysz, a ja że należę do kogo innego; i że nie mam prawa myśleć o tobie ani ty o mnie. Wiedziałam, że masz dziewczynę. Nie jedną - dwie.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Wolałabym cię widzieć trupem niż z inną dziewczyną.

- To może prędko umrę - zadrwił. Obrócił to wszystko w śmiech, choć był wstrząśnięty tym bezładnym, pośpiesznym mówieniem, tym żarliwym bezmiarem miłości, bijącym od kobiety. Usiedli w trawie. Sięgnęła ręką do jego czupryny; to ulubiona pieszczota Jaśka. Nie zapomniała o tym.

- Kiedy pomyślę, że tymi włosami będzie się bawił kto inny! - rozpląkała się.

- O rany boskie! Święty by przy tobie zwariował! - chciał się zerwać. - Coś ty taka głupia beksa?

- Naturalnie pomyślisz sobie, że jestem głupia - całowała go na znak przeprosin. - O, rzeczywiście jestem głupia! Ty lubisz dziewczyny. Ale nie kochasz żadnej. Dlaczego to na mnie padło? - wyrzekała.

- Co?

- To kochanie.

- Czy ja wiem? - wzruszył ramionami. Cóż to go obchodzi, że ona się męczy? Że sobie źle dobrała męża? Nic na to nie poradzi.

- Powiedz mi, Jasiu, kogo bardziej kochasz, Ewę czy Jagę? Bo ja się nie liczę.

To chytre, prawie policyjne pytanie; tak się przygważdża uwodzicieli. Wydał wargi w niezdecydowanym wyrazie. - Właściwie nigdy nie namyślałem się nad tym. Trudno byłoby wybierać.

- Musisz wyczuć, która ci jest miłsza.

- Naprawdę nie wiem - wydał się tym poważnie zakłopotany.

- A Walerka od Pasika?

Wzdrygnął się z oburzeniem. - Kto ci znów napłótl o Walerce? Wstrętna dziewczka. Znowu mnie nią prześladujesz! Niegdyś, gdy pracowałem w Jelesni, chodziliśmy razem, a raczej ona się do mnie przylepiała. Od razu poznałem się na niej; to plugawy knedel, każdy go miał, kto chciał. Co za pomysł, aby mnie łączyć z Walerką!

Ucieszyła się, że tak gwałtownie odzegnał się od dziewczuchy, ten flirt bowiem bolał ją najbardziej ze wszystkich. Walerka przecież wydała ją policji; głośno się o tym mówiło. Nagadała Juraszkowi i ten sprowadził Witkowskiego ponownie na kark młodej mężatce ku zgorszeniu Koszarawy i ku wściekłości Krawczyka.

- Już z Jagą i Ewą prędej bym zniosła. Ale z taką Walerką, w głowie nie chciało mi się pomieścić. Czy ty się nigdy nie ożenisz, Jasiu?

- Nie. Ile razy jeszcze będziesz mnie o to pytała?

Istotnie, nie po raz pierwszy indagowała go o to. Jakby upewniała się o jego decyzji, trwożna i niespokojna, czy też nie zmienił przypadkiem zdania. I znowu niejaką ulgę znalazła w tej odpowiedzi, że chociaż nie jest jej, będzie nadal niczyj.

- Nie przeżyłabym tego, gdybyś się ożenił.

- Rzuciłabyś się do studni, tak? - kpił. - I Krawczyk zostałby wdowcem. Nie rób tego, młoda kobietko! - załamał ręce w aktorskim geście, w którym tak celował Wojtek Rzezawa.

Oczy jej ponownie napelniły się łzami. Skrzywił się grymasem niezadowolenia. - Znowu się mażesz? Co twój mąż na to? - zapytał bezmyślnie, aby zmienić temat.

Żachnęła się. - Już po tygodniu poznałam, że nie będziemy żyli ze sobą w zgodzie. Nie kochałam go nigdy, udawałam. Przyjmowałam jego zaloty, bo przecież musiałam ja też mieć jakiegoś chłopca, który by mnie kochał, skoro mnie tamten porzucił. Chodziliśmy razem, całowaliśmy się w krzakach, bo trzeba było wyjść za mąż, zatkać gębę wściekłym babskim jęzorem. Wierzyłam do ostatka, że zrobię ci na złość, że gdy się dowiesz o ślubie, uczynisz coś, aby się to nie stało. Na próżno. Teraz wróciłam do matki. On i tak ciągle robił mi wyrzuty o ciebie.

- Powiedz mu, że to nieprawda. Że miałem i mam tuzin dziewczyn prócz ciebie.

- Awanturował się co wieczór. „Ładną sobie żoneczkę pan nauczyciel wybrał - docinał mi - co chwila do niej policja zagląda!” Skarżył się, że śmieją się z niego w całej wsi, iż dziewczkę zbójnicką poślubił. „Bandyta cię napoczął - powiada - niech cię bandyta dalej żre.”

- Może za to po pysku oberwać od bandyty. Łeb mu rozwałę, przestanie się mną zajmować.

- Nie rób tego, Jasiek. Co cię to obchodzi, co on gada? Pocałował jej sarnie oczy, które mu się tak bardzo podobały.

- Idź do domu, Zośka. Pani Krawczykowa - zapukał palcem dowcipnie w jej dekollet, później zaś w czoło - niech się pani poradzi serduszka i rozumu. No, zostać przy mężulku. Wszystko się naprawi, uleczy i znowu szczęście małżeńskie zakwitnie w koszarawskiej szkółce.

- Och, jak ty sobie kpisz!

- Uchowaj Boże!

- Jasiek! - błagała go oczyma, w których znów zalśniły łzy. Czy na kogokolwiek innego działał płacz bardziej rozstrajająco niż na niego? - Nie mogę żyć bez ciebie.

- Ale ja mogę - odpalił niemiłosiernie. - To, co było, już nie wróci. Ja nie jestem tym, któregoś znała tamtego roku. I ty nie jesteś ta sama.

- Ta sama - zapewniła go porywczo gorącym szeptem. Głupia; przecież nie o to szło.

- Mnie kochać nie wolno.

- Ty mnie nie będziesz kochał. To ja chcę ciebie kochać - powtarzała ciągle jedno i to samo z uporem naiwnego dziecka.

- To Kochaj! - rzucił brutalnie. - A mnie daj spokój. Miej rozum, Zośka - przedkładał. - Dwa tysiące złotych nagrody obiecano za moją głowę, nie mogę się pokazać w tych stronach, policja mnie szczuje, gdzie mnie dziewczki w głowie?

Zrozumiała jego gniew i ucichła. - Po coś tu przyszedł? - spytała po chwili z wyrzutem.

- Chciałem zobaczyć, jak wyglądają zgliszcza Juraszków. Kto ich spalił?

- Nie wiem. Powiadają, że to twoja robota, ale ja w to nie wierzę.

- Gdybym ja to zrobił, nie pytałbym ciebie. Pierwszy raz jestem tutaj od dwóch tygodni, a drugi raz w ogóle w tym roku. Moje miejsce jest teraz stąd daleko. Zobaczysz, w co oni mnie jeszcze ubiorą. Wszystkie kradzieże i świństwa w powiecie przyschną do moich pleców. Oni się ze mną nie będą bawili, dranie.

Na zmęczonych policzkach wykwitł znów uśmiech. Teraz ukazał oczy wesołe, stworzone właściwie do radości.

- Chcesz znaleźć sposób, aby się uwolnić od kłopotu z miłością? Umów się ze mną na niedzielę, kto wie, może przyjdę, i daj znać Witkowskiemu. Zabiorą mnie przy tobie, ty otrzymasz dwa tysiące złotych ze starostwa, a mnie zapakują do ciupy na wieki wieków amen. W ten sposób miłość wywietrzeje ci z głowy i wtedy pan Krawczyk pogodzi się z tobą i z twoimi tysiącami.

Skrzywiła się, boleśnie dotknięta szyderczym żartem; aż stała się wręcz brzydka od tego grymasu. Odwróciła się nagle i pobiegła w dół, zanosząc się od płaczu. Nic nie powiedzieli sobie więcej, odchodzili od siebie gwałtownie w tej nad wyraz przykrej chwili rozstania, ona - złamana cierpieniem od dwóch mężczyzn narosłym, które niosła sama, nie dzieląc go z nimi, on - zuchwały, twardy zbój. Za pół godziny wychynął pod Cylem na polanę, przecinając śmiało w słońcu goliznę. Już był na zboczu Wężowca, defilując w biały dzień pod nosem strażników, a kto wie, czy i nie pod okiem policjantów.

„Kto będzie starej Masłowskiej kosił siano w tym roku?” - zatroskał się nedorzecznie. Wlaził na fałszywy trop; nabijał gęstym zarośniętym młododrzewiem ku szczytowym wiatrołomom Wężowca. Przerzucił się myślami ku Juraszkom. Kiedy nareszcie wyda się Agnieszka? Czy to prawda, że Władek ma się zenić z Walerką od Pasika? Durny chłopak.

Na Wężowcu odwrócił się jeszcze raz przed zejściem w Jałowiecką Dolinę, objął spojrzeniem Głuchaczki oraz Ciche Koszarawskie. W górnym rogu podcyłońskiej polany

czerniały zgliszcza domostwa, którego zniszczenie policja przypisała jego groźnej sławie. Wspomnił dzisiejsze spotkanie z Zośką, pełne męczącego wzruszenia. Kimże jest wykolejeniec losu Jan Dziura? Synem niewiomego ojca i matki-kaleki.

Kaleki? Kto powiedział, że kaleki?

Policja prowadziła dalej podstępą grę. Do paru marnych, nic nie znaczących chłopów nadeszły listy z nedorzecznymi pogroźkami, zapowiadające spalenie ich domostw za zdradę Janosika. Podpisane były: „Chłopak z lasu”. Tajemnicze ostrzeżenia wzbudziły popłoch i sensację u prostaczków. Niedawny dobroczyńca groził im spaleniem! Tu i tam niektórzy mieszkańcy doświadczały głupich złośliwości: psy zdychały w budach, zatrute; podobnie koty i kury. Witek z Gałasiem skupywali za bezcen świnie i cielęta, gdyż gospodarze pozbywali się ich w obawie przed wybuchem choroby. W Korbielowie spłonęła dobrze ubezpieczona jednopiętrowa willa Matuszka, nauczyciela gimnazjalnego z Bielska. Pusta, bo pusta, jedynie dozorca w niej mieszkał, ale podczas wakacji roją się od letników. Dozorcę willi wynieśli nocą w więzach nad potok dwaj zamaskowani bandyci. Znaleziono w jego kieszeni karteczkę z napisem: „Janosik”.

Fama o niezwykłym bandycie dotarła do Krakowa, a nawet do Warszawy. Gazety drukowały całe szpalty o zuchwałości zbójckiego herszta. Dziwne, że żaden z dziennikarzy nie zastanowił się nad bezmyślnością bandy, która posługiwała się maskami, nie wzdragając się jednocześnie wtykać skwapliwie kart z nazwiskiem swego herszta w kapoty obrabowanych. Byli tacy, którzy rzekomo widzieli Janosika w dzień święta narodowego Trzeciego Maja, jadącego konno w Nowym Targu na czele banderii góralskiej z Jurgowa. Ktoś inny twierdził, iż Jan Dziura podawał mu płaszcz w jednej z cukierni zakopiańskich jako garderobiany. Inni informowali, jakoby Jaś z Głuchaczek ożenił się w Łapszach pod zmienionym nazwiskiem. Inni wreszcie, że jako junak pracuje pod Krakowem przy kopaniu wałów nad Wisłą.

Faktem ponad wszystkie plotki niewzruszonym było, że w ciągu siedmiu dni od najazdu na posterunek policyjny w Jeleśni kompania harnasiów nie wydalala się ze swego schronienia w słowackich lasach - poza jedynym wyjątkiem wizyty inspekcyjnej Janosika na Głuchaczkach. Odcięty kilometrami boru, Janosik nie wiedział, iż dzień w dzień czyjeś ręce pracują niezmordowanie nad wzbogaceniem jego przestępczego konta.

Po tygodniu bezczynności wódz posłał w deszcz Wojtka Rzezawę na wywiad do bacy Smugawskiego. Równocześnie Klimek wyszedł po prowiant na ujsolskie Okrągłaki. Dzień był słotny. Wojtek otrzymał następujący rozkaz: dowiedzieć się o nowiny u bacy na

Lipowskiej; powinien być u niego list od Wojnara. Gdyby listu nie było, opuścić się do Sopotni, zajrzeć do Tintenfassa. Winien jest trzysta złotych z tamtego miesiąca; niech da pieniądze. U niego może będzie list Wojnara. Kartkę od Janosika dla Wojnara niech prześle do Jeleśni za pośrednictwem Ziomka. Wracać przez Lipowską.

Przed samym zachodem błysnęło zza chmur słońce. Wojtek miał dobrego nosa.

- Dzisiaj było pranie w niebie, za to jutro będzie się wietrzyło od rana. Matka Boska musi pieluchy wysuszyć.

Zmierzch wysącał się z głębokiej Doliny Malinowej, przygnębiający chłód rozszedł się w powietrzu. Wojtek przebrany był za dziadygę. Już teraz nie omieszkali wyzyskać i tej ostrożności ze względu na wzmożoną czujność policji. Ponieważ nic nie było słyhać o kontrakcji ze strony Kaczmarczyka i Witkowskiego, tym bardziej więc należało być ostrożnym. Kto wie, co nowego przygotowują w zanadrzu, że tak cicho siedzą. W kartce, którą Rzezawa niósł dla Wojnara, była prośba Jaśka o spotkanie na Lipowskiej za pośrednictwem Ziomka lub syna bacy Smugawskiego.

Zapadał wieczór majowy. Błoto po dziennym deszczu zdołało szybko obeschnąć. Chmury ustępowały, przejaśniało się. Wstał księżyc w drugiej kwadrze. Najpierw był biały, później posrebrniał, zamienił się w złoto, teraz już poczerwieniał. Wisi nisko, zaczepiony dolnym rogiem o szczyt Romanki.

Baca Smugawski nie miał żadnych wiadomości. Zginęła mu dzisiaj jedna owca z koszar i od samego południa kłopotał się o nią. Dopiero minął miesiąc, odkąd wygnał trzodeę w hale, i już taka strata. Obaj synowie bacy byli we wsi. Starszy, Franek, powinien był wczoraj przyjść z dołu, ale go nie ma.

- Miał zabrać serki i przygotowaną serwatkę, bo z Żywca przysłali zamówienie na żętycę. Załadowałem konia, wszystko jest w jukach. Nie przyszedł, nie wiem czemu, musiało go coś zatrzymać.

Wobec tego Wojtek postanowił sunąć do Sopotni. - Dajcie mi konia, zostawię go u syna. Zagładnę tylko do karczmy albo poślę Franka i migiem wrócę.

Stary wyprowadził konia. Wyglądał na zastrachanego ostatnimi wieściami o postępkach harnasiów. Czy to nie oni zabrali mu przypadkiem owcę z hali? Chyba nie, bo jedzenia im nie brakło, pieniędzy także nie, po co by więc mieli kraść? Gdyby im trzeba było mięsa, kupiliby barana i upiekli. Dotychczas swoim na górach gwałtu nie robili. Ale jeżeli już teraz rabują biednych Żydów, którzy skórkami handlują, to mogli i owcę świsnąć. Dziwił się niezmiernie, w jakim celu podpalili Głuchaczki. Nie dowierzał zakłębom Wojtka, że oni z tym nie mają nic wspólnego. Nie mógł pojąć swoim rozumem, jak policja mogłaby wyręczać

bandytów w paleniu domów i rabowaniu ludzi.

- To mi tylko dziwne, co przyjdzie komu z tego palenia ludzkiego dobytku? Dorabia się człowiek całymi latami, życie przepracuje, aby sobie dach nad głową zbudować. A tu za pół godziny wszystko idzie z dymem - potrząsnął dużą kudłatą głową. - Bieda będzie z tego, zobaczysz, Wojtek.

- Z czego?

- Z tego palenia dobytku ludzkiego.

Zbójnik machnął ręką i wsiadł na konia, poradziwszy Smugawskiemu zmówić trzy „Ojczy nasz” i trzy razy westchnąć do świętego Antoniego na intencję zagubionej owcy.

Był późny wieczór, kiedy uwiązał konia u płotu bacowskiej chałupy w Sopotni. Syn Smugawskiego, Franek, nie miał żadnych nowin. W Jeleśni nie był, nie dostał od Ziomka listu na górę; siedział cały czas w domu. Do ojca miał wyjść wczoraj, lecz nie wyszedł, bo go noga boli.

Dziś znowu była chlapa. Jeżeli jutro nie będzie łało i wrzód na nodze pęknie, polezie na górę.

- Wrócę tu za pół godziny - zawiadomił go Wojtek. - Dowiem się czegoś od Tintenfassa.

Do karczmy szło się z chaty Smugawskiego ścieżką wśród szczyrego pola, następnie kładką nad potokiem, wśród krzaków i znów wąską ścieżyną ku drodze, przy której leżał szynk. Na całej tej przestrzeni mijano się bezpośrednio tyły zaledwie dwóch domów. W dalszym sąsiedztwie Tintenfassa mieściły się jeszcze trzy obejścia. To był cały kontakt ze wsią, jaki miał mieć tej nocy Rzezawa.

„W knajpie ktoś siedzi” - uświadomił sobie słysząc jakieś głosy z wewnątrz. Okna były zasłonięte okiennicami, drzwi zatarasowane żelaznymi sztabami. Nasłuchiwał chwilę, rzeczywiście, jakieś chrapliwe śmiechy doszły go zza okien.

„A nuż pijacy będą siedzieli całą noc, aż do wytrzeźwienia? Może w karty łupią? Nie będę tu stał godzinami i moknął na rosie.”

Koń czeka gotów do drogi. Wystarczy na parę minut zobaczyć się z karczmarzem w kuchni, dowiedzieć się, co trzeba, dać mu, co trzeba, wziąć od niego, co trzeba, i wiać. Tintenfass to ich człowiek. Posadzi żonę za szynkwasem, niech pilnuje gości, oni przez ten czas porozmawiają sobie w kuchni. Albo jeszcze lepiej w pokoiku za kuchnią.

Zakradłszy się od tyłu, zastukał trzykrotnie do drugich, mieszkalnych drzwi budynku. Otworzył mu sam karczmarz, stary, brodaty, wysoki. Zobaczywszy nie znanego sobie chłopca w łachmanach, wpatrzył się w niego ostro.

- Czego?

Tamten położył tajemniczo palec na ustach, zasyczał: - Cicho. Burza przeszła. Chmury za nami.

Usłyszawszy hasło, szynkarz otworzył szeroko drzwi do sieni i rzekł zduszonym głosem: - U mnie siedzą jeszcze chłopci. Pewnie nieprędko wyjdą. Jeden poszedł na pole rzygać, bo mu się niedobrze zrobiło.

- Chodźmy do kuchni, niech żona postoi za ladą. Nic się przez te pięć minut nie stanie. Ja muszę zaraz wracać.

Karczmarka wyszła do gości. Tintenfass wprowadził Wojtka do kuchni, skręciwszy uprzednio knot u lampy i zasłoniwszy okno brudną firanką.

- Hetman przysłał mnie po pieniądze.

- Załatwione - odrzekł karczmarz. - dwa dni temu. Franek miał iść na halę, ale zwłóczy.

- Tu macie kartkę dla Wojnara, dajcie ją Ziomkowi, on doręczy. Nie było dla nas wiadomości z Jeleśni?

- Nie. Ziomek miał iść wczoraj do Wojnara, ale się wstrzymał. Dzisiaj się wybierał, znowu zaczął lać deszcz. Może jutro pójdzie.

- Są jakie nowiny?

Usłyszeli nagle stuk butów w szynkowni, jakby ktoś skakał po podłodze. Wojtek nerwowo zapinał podartą kapotę, zabierając się do wyjścia. Przysłuchiwali się obaj uważnie odgłosom.

- Pijacy dokazują - powiedział Tintenfass.

- No więc, co nowego? - podjął przybysz poprzednie pytanie. Zanim tamten otworzył usta do odpowiedzi, rozwarły się drzwi i wtargnęło z hałasem trzech mężczyzn. Wojtek stał jak wryty. Tylko wyraz twarzy zrobił mu się w jednej chwili głupio-pocziwy.

- Żydzie, dawaj wódki! - krzyknął pierwszy z trójki, wysoki młodzik, obsypany krostami na twarzy. Ręce miał przeraźliwie długie, cholewy ubłocone po kolana.

- Żona jest za ladą, ona wam da - wykręcał się zaaferowany Tintenfass.

- Baba nie jest od dawania wódki - przerwał cynicznie krostowaty. Był to parobek, ledwo mu się wąs sypał pod nosem.

- Baba co innego chłopom daje - dodał ordynarnie drugi towarzysz i wszyscy trzej wybuchnęli rehotliwym śmiechem. Szynkarz wyszedł, lecz krzykliwa trójka nie opuściła kuchni. Gałaś - on to był bowiem - zapraszał szerokim gestem Wojtka-dziadygę.

- O, mamy gościa! Prosimy, prosimy do naszego stołu!

- Dziękuję, nie mam czasu - wymówił się harnaś, łapiąc za rewolwer w kieszeni. Weszło jeszcze dwóch pijaków, zrobiło się ciasno. Psiakrew, cała gromada się wali, skąd ich się tylu nabrało?

- Chwała Bogu, mamy kompana do picia - oznajmiali się nowo przybyli od drzwi, ledwo trzymając się na nogach. - To się dobrze składa, będzie nas pół tuzina, parzysta liczba, szczęśliwa. Prosimy, prosimy! Trzeba trochę przepłukać gardziółko.

Wojtek wzdrygnął się i osłupiał. Był sam w ciemnej kuchni, przedzielony od sieni piątką roślących drabów. Błysnęła decyzja: uda, że przyjmuje zaproszenie pijaków. Może się zresztą napić; nigdy nie zwykł był wódki wylewać za kołnier. Aby tylko wycofać się z honorem. Czy nie znał usposobienia pijaków, on, sam tęgi kirus? Wiedział, że nie trzeba ich drażnić.

- Skąd to Bóg prowadzi? Jakiś wędrowiec, tak? - dopytywali się troskliwie, obstępując gościa ciżbą.

Nic nie odpowiadał. Może wyciągnąć rewolwer i zrobić sobie miejsce pomiędzy nimi? To byłoby niezłe. Wyjdzie z nimi niby to na wódkę. Gdy będą przechodzili przez sień, buchnie w drzwi, strzeli na postrach w powalę, chłopcy się przestraszą, a on umknie.

Obudziło się dziecko, zaczęło płakać, matka uciszała je. Pijacy nie poniechali hałaśliwego bełkotu, nastając obcesowo na nieznanego, ujmując go serdecznie pod pachy. Dziecko zanosiło się płaczem coraz głośniej.

Trudno, trzeba iść z nimi i pić. Uda potulnego baranka. I tak już są spici, dużo im nie brakuje. Nie wypada się wymawiać, to wzbudziłoby podejrzenie. Zresztą jak Wojtek miałby sumienie wymawiać się od wódki? Boże, na co mu przyszło! Przeżywać chwilę tak tragicznego rozdarcia! „Wszyscy święci męczennicy, brońcie mnie od pokusy!” Czyżby tak przy hetmanie skapcaniał? Namiętność przecież zwyciężyła. „Napiję się dwa, trzy kieliszki i koniec. To mi nie zaszkodzi.”

Weszli do sieni, Wojtek błysnął okiem ku drzwiom. Właśnie tam ustawilo się dwóch chłopów z orszaku. Nie wybrnie, ani rusz, z pijakami. Co oni tu robią po nocy w szynku?

Głupia historia. Weszli do izby gospodniej. Lampa pod powalą świeciła jasno. W kącie za szynkwasem stał struchlały karczmarz, blady jak ściana. Pijacy poprosili gościa, aby usiadł, i przepili po kieliszku. Nie dał się błagać; wypił. Odchrząknął z zadowoleniem. Wyrostek z prawej strony zaczął niezdarnie podśpiewywać. Ten śpiew pijacki wydał się podejrzanym Wojtkowi. Popatrzył spode łba na sąsiada i rzekł ni w pięć, ni w dziewięć:

- Kiedy naciąć gałązkę leszczyny w święto Matki Boskiej Anielskiej, to gałąź z siebie sama śpiewa przez trzy godziny. A to heca! - rozpoznał twarz w uśmiechu matołka, badając

czujnie, jakie to wrażenie wywrze na zebranych. - Ale ty śpiewasz jak królik na pięć minut przed zdechnięciem.

- A to heca! - rozweselili się.

- No, na mnie czas - Wojtek wykonał ruch zniecierpliwienia. Nie chcieli o tym słyszeć. Nalewali nową kolejkę.

- Gdzie się wam śpieszy? Jeszcze zajdziecie do domu. Księżyc trochę wyżej wyjdzie, będzie widniej.

Porwali się za drugi kieliszek.

- Ojczy z nieba, Boże! - Wojtek przewrócił nabożnie białkami oczu. - Jak dawno człowiek mordy nie maczał w gorzałce!

- Dlaczego? Nie wyglądacie na takiego.

- Raz, że wątroba mi od tego puchnie, po drugie ślubowałem Matce Boskiej ze Siemienia.

- No to na wasze zdrowie! - huknęli.

- A po trzecie dlatego, że ciężko teraz trafić na takiego jołopa który by zafundował wódkę. Bo ja za własne pieniądze nigdy nie pijam.

Gałaś zmieszał się w okamgnieniu, lecz zaraz poderwał się z ławy, unosząc kieliszek ku wysokości nosa. - Na wasze zdrowie!

„I na wasze, psubraty!” - odpowiedział Wojtek w myśli i wypił bez wahania. Alkohol rozlał się przyjemnym ciepłem po żyłach, rozjaśnił mu umysł. Obserwował pięciu drabów. Niby wyglądali niewinnie, ale to może być podejrzane. Co za interes ubili, że siedzą w szynku tak późno w nocy? Chłop o tej porze nie błąka się nigdzie poza chałupą. Niby są upici, nogi im się płaczą, rękami trafić nie mogą do gęby, ale to coś niejasnego, bo piją trzeźwo i oczy mają chytre. Dwaj z nich to parobcy, trzech pozostali - poważniejsi. Gałaś wyciąga z kieszeni zatłuszczone karty.

- Zagrajmy w karty.

Oho, to nie dla Wojtka zabawa. Z frajerami by jeszcze zagrał, ale ci na takich nie wyglądają. Pamięta, jak go spłukiwał Klimek z gotówki. Orzną go, oszusty, do gołej nitki, do świtu się to przeciągnie. Nie ma głupich.

- Nie gram - obruszył się, chciał wstawać z ławy. Krościaty zrobił wielkie oczy. Podniósł się, zachybotał długim cielskiem nad stołem, zdziwił się.

- Dlaczego?

- Bo mi się nie chce - odparł tamten spokojnie, wkładając znów rękę do połatanej kieszeni. Ach, żeby tylko z samym dragalem miał do czynienia! Wyrznąłby go w szczękę,

sprawa byłaby załatwiona. Patrzył na lampę nad stołem; szeroka, świetlista miednica. Wyjmie w ciągu sekundy rewolwer, strzeli w lampę, brzdęk, ciemno, krzyk, chłopcy zdębieją ze strachu, a on zwieje. Olśniła go ta myśl. Wódka go rozgrzała. Działać! Koń czeka u Smugawskiego. W ciągu nocy tyle drogi jeszcze musi zrobić! - Gdy gram w karty, zęby zaczynają mnie boleć. A gdy mnie zęby bolą, niech Bóg broni nawinać mi się pod rękę.

- A jeśli was poprosimy pięknie, abyście z nami zagrali? - natrętny drab pochylił się nad uchem Rzezawy.

- Mam granie w dupie - beczelnie zbagatelizował Wojtek zaproszenie. - Wolę rzygać niż w karty grać - rąbał śmiało, ufny w swój pomysł. Patrzył ponad niesforne słomiane kudły dryblasza: w lampę.

- Dlaczego? Czy nas także macie w dupie? - napierał groźnie Gałaś.

- Dajcie spokój - łagodził konflikt wąsacz z naprzeciwnika stołu.

- Napijcie się lepiej wódki - wtrącił pojednawczo jego sąsiad.

- Co jest? Ja chcę grać honorowo o pieniądze - oburzał się krościaty, bełkocząc, jakby mu się język z pijaństwa plątał. - A on mówi, że ma nasze granie w dupie! - wstrząsnął kudłatą czupryną, jak byk przed atakiem.

- Ty skurwysynie! - błysnął zaczepnie oczyma chłystek z prawej strony Wojtka. Wojtek wstał momentalnie z ławy, odwrócił się w prawo, zmrużył oczy i spytał:

- Jak powiedziałeś?

- Skurwysynie!

Zbój trzasnął w pysk chłystka na odlew, aż rozległo się klaśnięcie.

- Ja skurwysyn? Z kurwy powiadasz? Znałeś moją mamę?

Dołożył prawicą jeszcze raz w ten sam policzek, aż tamtemu głowę przywinięło do stołu. Wszyscy zaniemówili, zaskoczeni niespodziewanym gestem gościa. Ten zaś zaczął się usprawiedliwiać z naiwną słodyczą:

- Przepraszam was, że się trochę uniosłem. Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! - rypnął się w pierś pięścią, aż zadudniło. - Ale Ty widzisz, jaka ta młodzież dzisiaj rozpuszczona! Jak dziadowski bat. Ty widzisz i nie grzmisz! - czknał dla większego efektu. Podśmiewano się w krąg z wesołego kompana, lecz uśmieшки były blade.

- Nie ma co, nie kłóćcie się, panowie - godził zwaśnionych wąsaty pośrednik spod ściany. - Napijmy się na zgodę.

- Owszem, napijmy się - podjął Wojtek. - Nie lubię, jak mi gówniarze depczą po nagniotkach. Napijmy się! - krzyknął, pragnąc nareszcie zakończyć tę historię. Już miał plan postanowiony. Kiedy wszyscy po raz trzeci podniosą kieliszek do ust, strzeli w lampę i

ucieknie.

Gałaś nalewał. Ręka mu drżała, kieliszki broczyły wódką. Kiedy nalał wszystkim, wstał niepewnie, chwycił się prawą ręką stołu, w lewej trzymając kieliszek.

- Teraz napijmy się jeszcze raz za zdrowie naszego gościa.

Nie będę mu pamiętał tej urazy. Nie chce grać w karty, to nie. Jego wola.

Przełożył przez ławę prawą nogę, aby się lepiej rozeprzeć, i chwając się na nogach nachylił się ku Wojtkowi. Brzęknęło szkło.

- Tryknij się, Ludwik, na zgodę - rozkazał wyrostkowi, który dostał przed chwilą w twarz. Był to jego brat. - Traćcie się i wy z gościem - mruknął na towarzysza pod ścianą.

Wąsacz z przeciwka oderwał się nieco od ławy i nachyliwszy się, wyciągnął kieliszek przez stół ku Rzezawie. Wojtek uniósł się także; kieliszki spotkały się w połowie drogi.

- Aaa! - ryknął nagle Wojtek i kieliszek wypadł mu z palców. Pierś Rzezawy, odziana w szary dziadowski łachman, ciężko opadła na stół. Gałaś wbił mu nóż w plecy pod łopatką. O pół minuty zabójca uprzedził ucieczkę harnasia. Zbójnik leżał górną połową ciała na blacie stołu zalanym wódką z wyciągniętymi przed siebie rękami, i charczał.

Nie charczał; był to cienki, płaczliwy jęk ze ścieśnionego gardła, pomieszany z charkotem. Gałaś wlaź na ławę, zdmuchnął lampę. W ciemności nachylili się nad Wojtkiem dwaj sąsiedzi i wbili mu po kolei noże w plecy. Poszli natychmiast do szynkwasu, skąd uciekł w pierwszej chwili, dygocząc ze strachu, Tintenfass. Poświecili zapalką, zdjęli z półki półlitrową flaszkę, rozlali na ladzie wódkę w szklanki od piwa i już po ciemku wypili.

Wojtek przestał jęczeć. Tak w ciemności wypili zabójcy, sopotniańscy górale, za śmierć Janosikowego chłopca. Nie zdążyli wychylić toastu za jego zdrowie przy stole, niech więc im ta kolejka nie przepadnie. Po wódce poszli do kuchni, gdzie zamknął się Tintenfass z żoną, oboje drżący z przerażenia.

- Nie bójcie się - uspokoił ich Gałaś. - Tylko my będziemy świadczyli o tym, jako został zabity zbój z bandy, za którą jest nagroda wyznaczona przez starostwo.

- To nie Janosik.

- Ja wiem, to Wojtek Rzezawa, Podhalaniec. Choć się za starego dziada przebrał, ja go poznałem. A ty, Żydzie, siedź cicho - pogroził palcem szynkarzowi. - Wy z babą o niczym nie wiecie. Gdy była bójka i awantura, nie było cię za szynkwasem, tak masz mówić. Poszedłeś do kuchni, rozmawiałeś z żoną, rozumiesz?

- On szedł na nas z rewolwerem i my się przeciw niemu broniliśmy. I my tylko będziemy zeznawali o jego śmierci. Bo inaczej będą Tintenfassa do sądu pociągali o konszachty z bandytami. A wtedy kryminał murowany.

- O jej jej, ja nic nie miałem z nimi wspólnego! - skomlił karczmarz załamując ręce.

- Stul pysk! - huknął nań drab. - Ciebie nie było za szynkwasem, jakeśmy się bili, a my wtedy nic nie wiemy o twoich interesach z bandą. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem.

- My ciebie nie wysypimy, Szloma. My od ciebie nic nie chcemy. Gdybyś był w kryminale, kto by nam wódkę podawał?

Śmiali się w kuchni, weseli, trzeźwi. Nie było na nich znać śladu pijaństwa. Udawali tylko pijanych. Trzech z nich siedziało od wieczora w knajpie, grając w karty; wśród nich Gałaś. On to, wyszedłszy na dwór, wytropił Wojtka zbliżającego się właśnie do szynku. Pobiegnął czym prędzej do domu, dobrał młodszego brata i jeszcze jednego sąsiada, po czym natychmiast powrócili w trójkę, zastukali w okiennice od frontu, kompani otworzyli im okno i tak dostali się do karczmy niepostrzeżenie.

- Oblicz, ile ci się należy za dzisiejsze picie. Razem z tym, co nieboszczyk pił.

Wkroczyli do szynkowni, zaświecili lampę. Zadrżeli z wrażenia. Trup Wojtka Rzezawy już tężał, przewieszony przez stół, z rękami rozpostartymi jak do uścisku, pośród pełnych kieliszków. Nie mieli odwagi ich już wychylić. Odsunęli ławę, ułożyli zwłoki na podłodze mokrej od zabłoconych butów. Gałaś obmacał kieszenie, wyjął rewolwer.

- Jest dowód, że rewolwerem nam groził. I w obronie życia zaczęła się bitka. Niech ta spluwa leży koło niego.

Umieścił broń obok prawej ręki nieboszczyka. Z wewnętrznej kieszeni surduta wydobyl żydowskie pieniądze, dopiero co otrzymane dla hetmana.

- Ma to zginąć na policji, niech lepiej zginie w naszych kieszeniach. Szkoda pisaniny w protokole; albo żeby się to miało tulać w śledztwie. Podzielimy się. Na co nieboszczykowi pieniądze?

Zarechotali..

- Moją część i tak pozostawię u Tintenfassa za szynkwasem albo przetrznę w karty do Gałasia - mrucał czarny wąsacz. Krościasty drągał schylił się, jeszcze raz wertując dziadowskie ubranie trupa. Nie znalazł nic godnego uwagi poza latarką kieszonkową oraz scyzorykiem, które powędrowały do jego kieszeni. Wypuszczali gęste kłęby dymu nad zwłokami stygnącymi na umazanej błotem podłodze. Wywołali karczmarza z kuchni, zapłacili rachunek do spółki. Gałaś wskazał szynkarzowi leżący obok trupa rewolwer.

- Pamiętaj, Szloma, abys tu niczego palcem nie ruszył. Idziemy zawiadomić policję. Do tego czasu ma tu być wszystko tak, jak teraz jest. Gdy będą się ciebie o co pytali, pamiętasz, jak masz mówić?

- Pamiętam.

- Jak?

- Że nic nie wiem. Byłem w kuchni z żoną. Bitka była i awantura, tyle słyszałem. Ale nic nie widziałem.

Z hałasem opuścili knajpę. Małżeństwo ułożyło się do łóżek i nie zmrużyło oka do rana, leżąc pod jednym dachem z nieboszczykiem i komentując ze zgrozą ohydne zabójstwo.

To był najmiłszy kompan Janosika; nie było nadeń weselszego i bardziej przywiązanego. Może nie był dokładny w robocie, miewał swoje fantazje, był leniwy, ale wierny. Gdyby ktoś coś złego o wodzu powiedział, biłby się o jego honor, choćby go mieli na sztuki posiekać.

Na trzeci dzień dopiero doszła ich żałobna wieść przez bacę Smugawskiego.

- Wojtek zadźgany nożem na śmierć nocą w karczmie Tintenfass. Przy wódce i przy kartach. Gałaś zwąchał go w drodze do karczmy, zmówił parobków, zaczęli z nim w szynku grać, ograli go do nitki, wybuchła sprzeczka, zaczęli się bić, on wyciągnął rewolwer, a ich było pięciu. I padł pod nożami. Wszyscy byli pijani jak bele.

Nie wiadomo, ile było prawdy w tych szczegółach. Ale kto wie, czy Wojtek nie przez wódkę zginął? Czy Janosik nie przepowiedział mu tego raz w Tatrach? W karczmie był, może być, iż zapachniała mu wódka. Hetman jakby oglądał Wojtka przy stole; pije, strzelając żartami na prawo i na lewo. Może się wdał w awanturę, groził rewolwerem, poznali, że zbójnik?

Tego się już nigdy nie dowiedzą. Zginął marnie wraz ze swoimi dowcipami, zabrawszy ze sobą tajemnicę śmierci. Już nie będzie ich rozweselał humorem ani śpiewem. Wojtuś, Boże Drzewko, jedyny z harnasiów, który poza wodzem doczekał się własnego przezwiska. I Janosik nie zdołał niestety przeniknąć jego zagadki. Czy był żarłokiem z namiętności, czy żarłokiem dla żartu, czy wreszcie bawiło go tylko gadanie o jedzeniu? Czy był wesołkiem z powołania, czy aktorem maskującym jakieś głębsze przeżycia - kto wie, czy nie tragedię?

Już drugą noc spędzał Jasiak pogrążony w żałobie, z dala od towarzyszy. Księżyc wynosił swą żółtą, rosnącą półokrągłość na sam zenit, kiedy wódz rozmyślał skulony pod gałęziami jałowca. Stanęło mu w myśli jasno jako fakt oczywisty: nie ma dla niego powrotu do uczciwego życia. Tutaj musi pozostać i zginąć. Czeka go taki sam los jak Wojtka Rzezawę.

Nie przestraszył się śmierci, nie lękał się jej nigdy. Ale uprzytomnił sobie, jak

beznadziejne jest jego życie. Zabrnął za daleko. Jemu ciągle zdawało się, że wojuje ze znieawidzonym porządkiem, którego zmienić niepodobna przy pomocy rewolweru. Nie zrozumieli go, myśleli, że młodzik szaleje, ale po roku wyszumi się, stanie się taki sam jak inni. Ożeni się, będzie doglądał stodoły, będzie się martwił zbiorami, będzie płacił regularnie podatki. To jest porządne życie.

Porządne życie! Więc po co ten wyteżony, męczący bunt? Już teraz nie miał koło siebie nikogo poza jednym Wojnarem. Kiedy po gminie zbiorowej Jeleśni przeszła wzmożona fala policyjnych szykan - ludzie drżeli na myśl spotkania się z Janosikiem w obawie, aby im to nie przysporzyło nowych kłopotów. Oczy konfidentów czuwały. Kiedy nieznani sprawcy zaczęli trapić chałupy dokuczliwymi złośliwościami, niepokój ogarnął niedawnych stronników bandy. Już słabsi duchem w rozmowach otwarcie psioczyli na harnasia: że popamięta gorzko swoją lekkomyślność, że to narażanie całej wsi na zemstę władz.

Sam Janosik po powrocie z Tatr jakby wyczuł atmosferę i nie pragnął spotkania z dawnymi znajomymi. Już tych paru ludzi, z którymi przedtem utrzymywał kontakt, ukazało mu zmienione oblicze. Mitanka - przerażona, Zośka Masłowska - obrażona, Tramkowa i Maściakowa - rozzalone na harnasia, że jego szaleństwo uczyniło je wdowami. Władek Juraszek - nienawistny, Agnieszka - niechętna, Maślina - rozwścieczona za zbałamucenie córki, Haber i Berek, wspólnicy jego interesów - zastrachani, Stachoń - jakże dziś obcy swemu byłemu lokatorowi. Jeden Wojnar stanowił wyjątek w gromadzie ludzi małego serca i wielkiego lęku, pośród tchórzów czerpiących ongiś pełną garścią przyjaźń i pieniądze hetmana, a dzisiaj wypierających się wszelkiej z nim styczności.

Wojnar także rozumiał beznadziejność Janosikowego losu; zdawał sobie dobrze sprawę, czym to wszystko pachnie. Aby ocalić człowieka - nawet za cenę narażenia prestiżu swojego stronnictwa - zaczął puszczać w świat tezę o dzikim dywersancie chłopskim, stwarzając atmosferę dla przedzierzgnięcia harnasia w radykalnego działacza, którego władze oficjalnie zepchnęły na drogę zbrodni. Dzisiaj, jeśli się woła o sprawiedliwość dla chłopca, nazywa się to wysuwaniem politycznych żądań. A rozmowa o cenach zboża na wsi jest rozmową wyraźnie polityczną.

I sam Dziura, który z początku czuł, iż polityka jest czymś sztucznie przylepionym do niego, zdawał się teraz pojmywać koncepcję Wojnara. Bandytyzm to konsekwencja policyjnych szykan; mściciela krzywdy zepchnięto na margines społeczny, a zatarg młodzieńca z prawem dokonał się na podłożu urzędowego bezprawia. Przecież Janosik mścił się za swoją krzywdę i za krzywdę bliźnich; tylko co z tego wynikło? Nie wyszedł poza osobiste porachunki z policjantami i wójtami. Zamiast ideowości - ordynarne rabunki. Więc i

Jasiek przyjął tę interpretację, którą hodował w sobie podświadomie, a którą mu narzucał coraz silniej Wojnar: aby tę formę bandytyzmu uznać za anarchiczny - może naiwny - akt politycznego buntu, protestu, demonstracji i tak go umotywować przed światem.

Wspominał z czułością przyjaciela w Jeleśni. Jedyne, który go bronił nawet przeciwko niemu samemu, który umiał w nim dojrzeć nieszczęśliwego, wykolejonego człowieka.

Koło południa powlókł się do kompanów, aby coś zjeść. Siedzieli u wejścia do jamy, ćmiąc papierosy i rżnąc w karty. Nie mówili ze sobą wiele. Na początku było ich czterech, teraz już tylko dwóch. Wódz opuścił ich znów po południu. Położył się na polanie w mchu i rozmyślał.

Słońce nad czarnym lasem mdliło oczy zalewem gorącym i złotym. Ta Sopotnia miała to do siebie, że Janosik brał w niej zawsze ciężki. Półtora roku temu pobili go tam do krwi parobcy na weselu, teraz znowu w karczmie ubito mu najlepszego towarzysza. I w obu wypadkach stało się to za sprawą Gałasia, krościatego łotra, współnika Witka-Cholery.

Po raz pierwszy pomyślał o śmierci jako o czymś realnym, o czymś, co mogło go wybawić ze zwątpienia i żalu. Nie ruszył się na kolację do legowiska. Nie spał. Nie spał znowu tej nocy, jak poprzednich dwóch, pod ogromnym sklepieniem nieba wybitym gwiazdami. Rozważał szaleńczy plan: może rzucić się z dwoma harnasiami na Sopotnię i podpalić wieś? To znów w zmartwieniu nawiedziły go widzenia dziewcząt. Myślał o Zośce, o Jadze, o Ewie. Pochłaniał je wszystkie las, zarastał je jak trawa mogiły. Znów od zemsty przerzucił się do przygody. Wabiły go ku sobie słoneczne, winorodne równie Orawy.

I wtedy zjawiała się Ewa Jeleniówna.

Nieprędko dostała się do Janosika. Szła doń cały tydzień z listem od Banacha. Była w Witowie u rymarza, odwiedziła w Lipnicy zaufanych, zawadziła o Przywarówkę. Za śladami, podanymi przez Banacha, przekroczyła granicę i znalazła się w Rabczycach, dokąd ją przeprowadził tokarz z Przywarówki, przedstawivszy ją bacy. Temu wyspowiadała się, że idzie z bardzo ważną wiadomością do Janosika. List Banachów oraz poręka tokarza budziły zaufanie. Dano jej hasło: „Burza przeszła. Chmury za nami”. Z nim dotarła do bacy na Lipowską. I tu utknęła. Dla starego Smugawskiego nie istniały żadne legitymacje. Nie ufał kobietom do tego stopnia, że kiedy mu Ewa w ucho powiedziała hasło, odparł, że nie wie o niczym, nie ma czasu na słuchanie bzdur obłąkanych bab, grożąc, że ją psami wyszczuje.

- Będę czekała tu na niego - rzekła nie zrażona. - Albo na kogoś z jego ludzi. Znam ich wszystkich. Gdy przyjdzie który z nich, powiedzcie, że Ewa z Jurgowa w pilnej sprawie musi

się natychmiast zobaczyć z hetmanem. Przysłałam z listem od Banacha. Nie oddam go inaczej, jak we własne ręce Janosikowi. Przyjdę jutro dowiedzieć się, czy byli. To jest ważna wiadomość dla niego - powtórzyła z naciskiem.

Włóczyła się po lasach, przypuszczając, że natknie się na jakiś ślad. Dwukrotnie odwiedzała bace, który nie chciał z nią mówić. Spała w zaroślach. Siódmego ranka od wyjścia z Jurgowa przysłała do szałas Smugawskiego, który mruknął jej niechętnie:

- Masz u mnie czekać, aż przyjdzie wódz.

Ucieszyła się. - Był? Powiedzieliście mu? Kiwnął głową, nie raczywszy otworzyć ust.

Janosik przyszedł wieczorem. Wynędziały, z podkrążonymi oczyma, po trzech nocach bezsennych, strawionych z dala od towarzyszy w rozpacz za Wojtkiem. Popatrzył na nią zgasłym spojrzeniem; nie miał jej nic do powiedzenia; jak gdyby jej nie znał.

- Czekam tu na ciebie trzeci dzień. A tydzień temu wysłałam z domu - zaczęła. - Mam ci powiedzieć wiele ważnych rzeczy. Ale nie tu, w szałasie. Pod gołym niebem ci powiem. Na powietrzu.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Dlaczego?

- Bo w tych ścianach nie przejdzie mi to przez gardło.

Uśmiechnął się chłodno.

- Złe nowiny?

Od dawna już nauczył się igrzać z niebezpieczeństwem. Żyć na granicy życia i śmierci.

- Nie złe - wyjaśniła ogólnikowo. - Ale niespodziewane. Rzeczy, o których dotąd nie wiedziałeś, o których musisz się dowiedzieć i które tylko ciebie obchodzą.

Boże! Znowu mu grozi męczarnia miłosna!

- Jeśli wymówisz słowo „miłość”, odejdę natychmiast - uciął jak siekierą.

- Nie wymówię - zapewniła go z popędliwą gorliwością.

Zastanowiła go ta odpowiedź. Nigdy nie osnuwał kobiety mgiełką uroku, nie widział w niej krzty ideału. W innych warunkach odepchnąłby ją i wyśmiał. Ale znajdował się w takiej depresji, że było mu wszystko jedno. Nie zareagował w nim ani jeden nerw czy odruch świadomości, przeznaczony do samoobrony.

- Jakież to są rzeczy, których się muszę dowiedzieć? - wyszedł bezwolnie z szałas. Spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka. Kwadrans po dziesiątej. Cóż to kogo obchodzi? Po co się nosi zegarek?

Zaszyli się w borze, usiedli. Słowiki podnosiły z gałęzi strzelisty lament pod gwiazdami. Zapalił papierosa, wymacał oba rewolwery w kieszeniach. Puścił przed siebie

kłąb dymu:

- Opowiadaj. Była onieśmielona.

- Jasiek, szłam do ciebie cały tydzień.

- Jużem to słyszał - przerwał jej szorstko. - Trzeba było sobie auto zamówić, przyjechałabyś o wiele prędzej - zakpił opryskliwie. Złość przelewała się w nim. „Wojtuś, nieoceniony kompanie! - wspomniał z wdzięcznością zabitego. - Słusznie mówiłeś: kobiety to mocno przereklamowany towar.”

- Baca nie chciał mnie dopuścić do ciebie.

- Taki ma rozkaz.

- Ale ja z ważną wiadomością, Jasiek - nie wiedziała, od czego zacząć, jeszcze bardziej zbita z tropu jego wściekłym, obcesowym tonem.

- Jakież dziewczyna może mieć ważne wiadomości dla mnie? - zniecierpliwiał się ironicznie, bliski wybuchu. - Mów. Banach zdrowy?

- Aresztowany. Przeczytasz sobie list od niego, pisany przed więzieniem. Ale już w Lipnicy dowiedziałam się od Mroza, że po trzech dniach wypuścili Banacha z Nowego Targu.

- Co z Wróblem?

- Wyzdrowiał. Będzie blisko miesiąc temu, jak wyszedł ze szpitala. Łazi już, szuka, penetruje.

- Więc wylizał się! Zabili nam Wojtka, wiesz o tym, Ewa?

- Wojtka Rzezawę? - złapała się za głowę. - Boże mocny! Policja go ubiła?

- Gorzej. Od chłopów zginął w Sopotni, nożami pokłuty, Za co aresztowali Banacha?

- Dwa razy go aresztowali. Pierwszy raz przy obławie, zaraz nazajutrz po twej ucieczce w Orawę, później znów, gdy opuszczałam Jurgów. Pierwszym razem nie tylko jego wzięli; zabrali także mojego ojca, Jarzábka i Abrama. Karczmarz jakoś im się wykupił, dość że go puścili. A tamci siedzieli po pięć dni w areszcie. Zarzucano im, że zorganizowali meliny dla bandytów. Z końcem kwietnia, gdy wyruszałam z domu, właśnie zabierali po raz drugi Banacha do Nowego Targu. Lipowczan z nim jechał.

- A taki drań, Sobczak, hula zapewne na wolności - wycodził przez zęby Janosik. - Jemu się nigdy noga nie powinie. Uczciwych ludzi pakują do aresztu raz za razem, jemu się nic nie zdarzy. Bo z policją, łajdak, trzyma.

- On nie łajdak - odetchnęła ciężko Ewa, przelknąwszy ślinę. - Pewnie, że nabroił dużo i świństw narobił. Ale... - zawahała się, jakby zabrakło jej odpowiedniego słowa. - Ja właśnie w tej sprawie do ciebie przyszłam. Od niego.

- Od niego? - utkwiał w niej zdziwione spojrzenie.

- Sobczak dostał obłąkania. Leży w szpitalu. On jest twoim ojcem.

Janosik zmartwiał. Twarz zmieniła mu się. Chwycił się obiema rękami mchu, jak gdyby tracił ziemię pod sobą. Otworzył usta ze zdumienia, może chciał coś powiedzieć; nie rzekł nic, tylko wargami łapał powietrze.

Zaiste, grunt obsuwał się pod nim. Spoglądał w ciemności na posłankę nagłej nowiny niby na zjawę zza grobu. Odkrywała przed nim niespodziewaną prawdę powoli i spokojnie. Palił papierosa za papierosem w zdenerwowaniu, nie przerywając jej. Krew cała uciekła mu z twarzy, oczy jakby się głębiej zapadły i tylko lśniły jeszcze mocniej.

Opowiadała mu, jak w dwa tygodnie po podpaleniu posterunku jurgowskiego, kiedy już banda umknęła z Tatr, spotkał się z nią Sobczak w grochałowskim gaju. Przyszedł do niej stateczny, dumny, zamożny kmicz, do młodocianej córki swojego wroga, złamany, na pół obłąkany, ze łzami w oczach wyznając jej tajemnicę swojego życia. On, Andrzej Sobczak z Jurgowa, jest ojcem Jana Dziury. Janosik jest jego nieślubnym synem.

Głaskała włosy Janosika, potem, nachyliwszy się ku jego głowie, zaczęła go całować. Przywódca harnasiów płakał jak dziecko na jej kolanach.

- Jasiu, nie płacz, Sobczak nie wiedział o niczym. Zapomniał do cna o tej dziewczynie. Po dwóch latach przyjechał z Francji, bił się na wojnie, później się ożenił, ma dwie córki. Gdzież mógł o tym myśleć? Nawet nie pytał nigdy, co się stało z garbuską. Bał się odgrzebywać sprawę, aby nieszczęścia jakiego nie sprowadzić na siebie. Dowiedział się o wszystkim dopiero niedawno, kiedy Lipowczan w pogawędce udzielał mu informacji o herszcie, którego wspólnymi siłami przed paru dniami złapali. Złapali dzięki pomocy Sobczaka, ale wtedy jeszcze on nie wiedział, że się zasadził na własnego syna.

- Czy w Jurgowie wiedzą, że on mój ojciec?

- Teraz wiedzą. Przedtem Lipowczan tylko wiedział, iż z Jurgowa miał pochodzić ojciec Jana Dziury, ale nie dawał wiary tym pogłoskom. Przecież w papierach nie było nazwiska ojca. Dopiero sam Sobczak pojechał do Nowego Targu i tam w szpitalu oraz w ochronce upewnił się o wszystkim. I grób twojej matki jest także na cmentarzu nowotarskim. Sobczak był tam jeszcze raz później, lecz grobu znaleźć nie mógł. Musiała mogiła zapaść się w ziemię i zarósć trawą. To już będzie dwadzieścia lat temu.

- Dwadzieścia lat - powtórzył machinalnie. - Dwadzieścia lat!

Przegadali noc całą, do świtu. Janosik załamał się całkowicie. Zwłaszcza kiedy Ewa mu powiedziała, iż ojciec pragnie naprawić winę, odpokutować za krzywdę Walerki, dopomóc synowi. Na razie przesłał mu wszystko, co miał pod ręką i co mógł od razu spieniężyć: w sumie dwa i pół tysiąca złotych. Chciał się z nim zobaczyć, przecież tak bardzo

pożądał zawsze syna, którego mu żona nie dała.

- Ja się tu niszczyłem - mówił harnaś. - Po co? Marnowałem się po lasach. Dlaczego? Dla zemsty. A tam czeka mnie dom, ojciec, gospodarstwo, spokój. Pójdę do ojca, rzucę to wszystko w diabły, niech się dzieje, co chce. Nie miałem nikogo bliskiego w życiu, poszedłem na zbój. Ale teraz mam dom. Mój dom.

- Słuchaj, Jasiek. Ojca twojego aresztowali.

- Jak to? Mówiłaś...

- Wzięła go policja, gdy zaczął błądzić i na cały głos płakać po wsi. Ale gdy się okazało w Nowym Targu, że on chory na rozum, dali go do szpitala. I tam pilnują go jak więźnia. Złapali przecież ojca bandyckiego herszta. To nie byle kto.

Ciężko mu to było wytłumaczyć. Leżał bez ruchu, i, zdawało się, bez oddechu.

- Przez dwadzieścia lat żyłem na łasce obcych. Prawdziwy Jaś Sierota. Czy wiesz, co to znaczy nie mieć własnego domu?

Przez wiele godzin przeleżał majacząc.

- Rusz się, Jasiek - tarosiła go Ewa, zaniepokojona. - Gdzie masz kompanów? Idź co zjeść.

Kiwnął głową niedbale, zajęty innymi myślami. - Nie ruszę się stąd.

Słońce wyrzało znad Babiej Góry i oświetliło harnasia wyciągniętego bez sił na murawie pod krzakiem.

- Dlatego tak mnie ciągnęło do gór. To krew ojca wołała mnie stamtąd. Do gospodarstwa. Po co ja tyle lat u ludzi cudze krowy pasłem? Mogłem u ojca parobkiem zostać. Konia ma ojciec?

- Ma, dwa.

- Gdybym żył porządnie, pojechałbym do Jurgowa, zobaczyłbym ojca, dom, góry, krewnych i pozostałbym tam. Może bym się im na co przydał, choć jestem bękartem.

- Ojciec ciebie więcej kocha niż obie córki razem. Tak mi powiedział.

- Bardziej mnie kocha niż prawe córki?

- Bardziej.

- Ale macocha jest mi pewnie nieprzychylna.

- To nic. Wszystkim rządzi ojca ręka.

- Mnie Witkowski mówił niedawno: „Z ciebie mógłby być porządny człowiek. Gdybyś się ożenił, miałbyś dziecko. Mógłbyś odsiedzieć przykładnie karę za to, coś nabroił, ale wróciłbyś potem do życia uczciwego. I dziecko nie miałoby ojca bandyty. A tak zeszedłeś na marne". Muszę tułać się po lasach jak zwierz, ścigany przez policjantów z boru do boru. Mam

dość tego życia. Wrócę do ojca.

- Co ty wygadujesz? Ojciec leży w szpitalu, ruszyć się nigdzie nie może, bo jest pod kontrolą. Masz pieniądze, uciekaj w Orawę, stamtąd buchnij na Węgry. Kto cię tam znajdzie? Świat stoi przed tobą otworem. Jeżeli chcesz, pójdę z tobą wszędzie.

- Nie chcę mieć do czynienia z babami. Żadna nie kochała mnie dłużej niż trzy miesiące.

- Ja zostanę przy tobie, Janosik.

- Pewnie - plółł gorączkowo. - Co mnie to wszystko obchodzi? Porachunki z Witkowskim? Mam swoje gospodarstwo. Będę siedział na grubym gazdostwie. Ożenię się, będę miał dzieci.

Znać było, że mówił w gorączce, bo bełkotał słowa bez związku i niewyraźnie, jak gdyby zasypiał. A może był tak ogromnie zmęczony?

- Ciężko to wszystko naprawić, ja wiem. Wszystkiemu winien Witkowski. On zrobił ze mnie zbrodniarza. Chciałem stać się statecznym człowiekiem, ale on mnie postanowił ukarać. Byłem za dumny, aby się zgodzić na kryminał. Gdyby nas Bóg z początku obu zważył na wadze, jego i moje winy, to byłbym lekki jak brzoźowy listek.

Słońce wzbilo się w zenit. Jasiak leżał na mchu z przymrużonymi powiekami. Na jego przygasłym, szarym obliczu odbijało się upokorzenie i beznadziejność.

- Gdybym miał dziecko - mrucał - to dziecko miałoby ojca bandytę. Prawdę mówił Witkowski. A Sobczak? Z nim jeszcze gorzej. Nie chciał, nie wiedział, a ma syna bandytę. Jemu wstyd we wsi, nie? - rozwarł powieki, spojrzał pytająco na Ewę.

- Jaki wstyd? - wzruszyła niezdarnie ramionami, nie mogąc zdobyć się na wyraźniejszą odpowiedź.

- Więc ojciec ci mówił, że kocha mnie więcej niż córki?

- Tak mówił.

- Niż obie razem?

- Niż obie razem.

Pieścił się tą myślą. Był dumny i wzruszony. - Kocha mnie, wyklętego opryszka. Czy ty wiesz, że za moje ujęcie starostwo żywieckie wyznaczyło dwa tysiące złotych nagrody?

- Nie wiedziałam - odparła i zrobiło się jej bardzo przykro. Mimo woli zaczęła go głaskać po włosach. Wydawał się osłabiony. Ale wyczuł nagle współczucie w jej pieszczocie i to go ubodło.

- Odejdź ode mnie. Chcę być sam. Nie trzeba mi tu nikogo.

- Skoczę do bacy, przyniosę ci coś zjeść i napić się. Co mam powiedzieć kompanom,

gdyby się pytali?

- Nic nie powiedzieć. I odejść.

Siedziała jeszcze z godzinę. W chwili tego wstrząsu uczuła się z nim ściśle związana, jakby ją życie samo skłoniło ku niemu, bezradnemu i opuszczonemu. Jakby się czuła jego pociechą w nieszczęściu. Oczy miał przymknięte, lecz nie spał. Nie wyrzekł słowa, mimo iż kilkakrotnie przemówiła do niego. O zachodzie słońca podniosła się z mchu, pobiegła do Smugawskiego.

- Wiadomość zabiła go z nóg i leży. Nie chce nikogo widzieć koło siebie.

- Zawsze z babami tak było i jest - warczał gniewnie stary, obrzucając dziewczynę złym spojrzeniem.

- Dajcie co do zjedzenia, zaniosę mu. Kompanom powiedzcie, że hetman zdrów, tylko wieść ważną otrzymał i pragnie rozmyślić ją sam.

- Pójdę do niego.

Nie dowierzał Ewie, wybrali się razem we dwoje. Zastali Janosika na tym samym miejscu, leżącego bez ruchu. Nie otwierając oczu, poznał obecność bacy.

- Papierosy przyniosłeś, stary?

- Nie.

- Po co przyszedłeś? Idźcie ode mnie. Nic mi nie jest. Jutro wstanę. Chcę się przespać.

Zostawili mu chleb, ser, mleko i wycofali się. Wieczorem przybliżyła się Ewa ku krzakom i zaczęła nawoływać szeptem:

- Jasiek! Jasiek!

Nie spał. Kłamał, że się chce przespać. Czujne jego ucho natychmiast złapało szept. - Co jest?

- Spisz? Przyniosłam ci papierosy.

- Dawaj.

Nie ruszył się. Leżąc na wznak, wyciągnął rękę i leżąc zapalił. Dziewczyna odsunęła się. Jedzenie leżało nie tknięte. Ognik za ognikiem zapalał się w ciemności, świecący punkcik długo rozjarzał się i przygaszał nieruchomo pod krzakiem. Mijały godziny. Las szumiał naokół swą dziką, niezrozumiałą pieśń. Księżyc, wycięty w idealne półkole, dążył wśród wysokości ku wytkniętemu celowi: do zenitu, aby stamtąd spaść ustaloną drogą na szczyt Romanki.

O północy rozległ się głos Janosika: - Ewa!

Odpowiedziała mu z niedaleka. - Co?

- Chodź.

Przyszła.

- Usiądź koło mnie. Opowiadaj o moim ojcu.

Rozpoczęła:

- Andrzej Sobczak to honorny góral. Jego sad na cały Jurgów słynny. Jego owce i barany mają najlepsze runo we wsi. Sobczakowa wełna ma wysoką cenę na targu nowotarskim. Samego grubego lasu będzie miał do czterdziestu morgów. Przeszło dwadzieścia morgów łąk, dziesięć morgów ziemi uprawnej, dwa konie, pięcioro bydła, dwadzieścia sztuk trzody. Dwoje służących. To gazda całą gębą. Radny gminy. Stawiali go na wójta, ale sam się od tego wymówił.

Wynędział chłopiec uśmiechał się, słysząc o szumnym gospodarstwie ojca. Dał się nakarmić i напоić. Jego serce, wstrząsane tylu burzami, ścisnęło się na przemian z bólu i z radości. Odzyskał ojca! Czuł, że powraca w dzieciństwo, dopuszczony do ojcowskiej łaski, obmyty w źródle pociechy.

Już nie jest samotny i opuszczony. Dłoń rodzicielska wyciąga się ku niemu przez tyle mil od Tatr do Wysokiego Beskidu. Znowu związany jest z ludźmi, znalazł swoje miejsce w świecie. Jan Dziura z powrotem należy do społeczeństwa, stanowi ogniwo w łańcuchu plemienia gór. I ta dziewczyna, która mu przynosi posłanie od ojca, kobieta o mlecznej cerze i brązowych oczach, ona go przywraca ludzkości. Jaś Sierota nie ma prawa żyć bezdomnie i dziko. Ma rodzinę!

Ułożył głowę na jej kolanach. Dziewczyna podjęła opowiadanie.

- Cały Jurgów bał się zadzierać z Sobczakiem. Mój ojciec, także mocny gazda, przecież go znasz, koty z nim darł, procesował się i przegrał. Nikt nie dał rady Sobczakowi. I policja z nim dobrze żyła. Nie chciała go zaczepiać. To szumny góral.

- On nas wytropił wtedy w zasadzce, kiedy nas chwycili. Lipowczan sam by tam nie polazł.

- Dlatego właśnie Sobczakowi pomieszał się umysł. Z żalości, kiedy dowiedział się, że na syna własnego policję naprowadził. Odtąd odjęło mu rozum i teraz już błądzi. A wyście i tak Lipowczanowi z posterunku uciekli; cała wieś o tym trąbiła. Rano przyjechali samochodem z Zakopanego policjanci, wioząc dla was kajdanki. A tu, zamiast was do więzienia odwieźć, musieli zabrać do budy nieprzytomnego Wróbla z rozwalonym łbem. Lipowczan chodził przez tydzień jak struty. A Sobczak mówił mi później: „Tak dzielnie sprawić się może tylko moja krew. Prawdziwie, to mój syn”. Kiedy się dowiedział, że pieniądze z rabunku rozdajesz biednym, łzami się zalał z dumy. Kilkakrotnie kazał sobie powtarzać historię o Złotym. O tym, jak koń wyciągał się w galop, gdy mu się kładło rękę na skroni, o tym, jak ubili pod tobą gniadego, a tyś pognął w las. Ty sam mi o tym mówiłeś.

Pamiętasz?

Nie odezwał się.

- Pamiętasz, Jasiek? - powtórzyła jak mogła najtkliwiej.

Nie było odpowiedzi. Nachyliła się nad jego twarzą. Usnął na kolanach dziewczyny, ukołyszany jej opowieścią, ogarnięty wzruszeniem i wyczerpaniem. Przesiedziała tak resztę nocy, nie śmiąc się ruszyć, aby nie przerwać snu ukochanemu. Po czterech nie przespanych nocach, pełnych zmartwień, te pierwsze pół nocy przespane na kolanach Ewy przywróciło mu jaką taką równowagę cielesną i duchową.

Powlókł się rankiem w poszukiwaniu jakiegoś legowiska. Patrzyła za nim z przerażeniem. Wypatrywał sobie nory, podobnie jak to czyni ranione zwierzę, pragnąc ukryć przed otoczeniem swą słabość i lizać się z bólu w ukryciu. Wrócił za dwie godziny, wziął dziewczynę za rękę, poprowadził do leśnego uroczyska pośród parowu, pokazał załom między omszałymi głazami.

- Idź do bacy. Gdy przyjdą o mnie pytać chłopcy, niech im powie, że leżę w jamie i chcę być przez parę dni sam. Zajrzę do nich niebawem. Niech się nie ruszają nigdzie. Tu masz kartkę dla nich, oddaj Smugawskiemu. Przyniesiesz mi raz dziennie chleb i papierosy, to wystarczy. Zapamiętaj sobie to miejsce. - Pouczył ją, jak ma odnaleźć kryjówkę.

O zmierzchu postawiła przed nim jedzenie: - Posił się, Jasiek.

- Chciałbym się trochę zdrzemnąć bez świadków. Wolno mi? - powróciło echo dawnego żartobliwego głosu Jaśka.

- Wolno.

- Więc idź. Nie potrzeba mi anioła stróża.

- Będę czuwała niedaleko stąd. Wystarczy, jak lekko mnie zawołasz, a przyjdę.

Oparła się o pień drzewa, kilka kroków od głazów, pół drzemiąc, pół czuwając. Zapadł wieczór, opływając górę i dół ciemnością. Na firmamencie załśniły gwiazdy. Trwali tak oboje niedaleko siebie, mężczyzna i kobieta, bez słowa, nawet w marzeniach odrębni. W pewnej chwili Ewa, nie mogąc wytrzymać upartej myśli, odezwała się w głębokiej nocy:

- Jasiek! Spisz?

- Nie.

- Chciałam cię o coś zapytać.

- Proszę.

- Czy ty kiedy zabiłeś człowieka?

- Nie. Nigdy - mówił jak dziecko zeznające świętą prawdę.

- A mówili, że dużo ludzi przez ciebie zginęło.

- Kłamali.

Odetchnęła z ulgą. - Wiedziała, zawsze wiedziała, że nie byłeś mordercą.

Na tym skończyli rozmowę. Drzewa spały naokół. Jedynie słowik wygwizdywał swoją przejmującą melodię, najpierw niską, zmysłową, później wznoszącą się w górę jak strzała. Na jej tle zabrzmiał głos Jaśka:

- Gdzie jesteś?

- Tutaj.

- Wyjdź z cienia, księżyc świeci, chciałbym cię zobaczyć.

- Po co? Spij, Jasiek.

- Chcę widzieć, jak wyglądasz. Czy się zmieniłaś od ostatniego razu.

- Nic a nic - odrzekła twardo. A jednak wyszła. Popatrzyli na siebie, jakby się dopiero poznawali.

- Zmizerniałaś - odezwał się mężczyzna.

- Tyś także nie utył - odplaciła mu pięknym za nadobne.

- Zawsze taki byłem - wyduł wargi bagatelizująco. Zamknął oczy i analizował usposobienie dziewczyny w myśli. Dumę i upór odziedziczyła po ojcu, urodę zaś otrzymała po matce. Kiedy przestali mówić, wycofała się natychmiast na swoje miejsce. I tak przetrwała noc, oparta o pień drzewa.

Kiedy się rozwidniło, już była przy nim. Nie spał. Palił papierosy. Wyduł się jej bardziej apatyczny niż wczoraj.

- Oddam się w ręce policji. Tak postanowiłem - przywitał ją pocieszającą wiadomością.

- Co się stało? - przeraziła się. - Chory jesteś?

- Nie. Zdrowi także mogą mieć ochotę iść do kryminału - wyjaśnił. - Nie mam innego wyjścia.

- Co ci jest, Jasiek? Wczoraj nie byłeś taki. Połóż się.

- Należałem się dość przez całą noc.

- Boli cię co?

- Serce mnie boli - próbował się uśmiechnąć żartobliwie. - Kogo by nie bolało na moim miejscu?

- Mnie także. - Dotknęła twarzy młodzieńca; była gorąca. - Musisz być chory.

- Nie. Tylko głowa mi ciąży.

Przyłożyła palce do skroni; rzeczywiście, ma gorączkę.

- Zrobię ci kompres.

Pobiegła z pół kilometra. Po drodze do szałasów znajdował się strumyk. Zdjęła chustkę z głowy, zmoczyła, wykręciła lekko. Nabrała wody do garnuszka.

- Zjedz coś, Jasiu - pokazała nie tknięte śniadanie.

- Nie chce mi się jeść.

- Zjedz - prosiła go. - Będzie ci lepiej.

- Mnie już nie będzie lepiej.

Ale dał się uprosić. Był bardziej bezwolny niż wczoraj. Obwiązała mu głowę mokrą chustką, przytknęła dzbanek z mlekiem do ust. Pił chciwie. Miał najpierw ochotę na wodę, ale mu wzbronila. Wyjęła z jego kieszeni scyzoryk, krajała chleb, nakładała twaróg i kawałkami wkładała mu do ust, karmiąc go jak niemowlę. W południe rozsunął przed nią nowe plany, dowodzące zupełnego bezładu myślowego. Zapowiadał, że dziś jeszcze zamelduje się w Jeleśni u Kaczmarczyka. Po chwili zreflektował się i zgrzytnąwszy zębami zagroził niewidocznym prześladowcom: „Niedoczekanie wasze, psu braty!” Przypomniał sobie ukatrupionego druha i jęknął:

- Wojtuś, Wojtuś, trzeba się będzie za tobą pomykać. Będziemy rośli na łące obaj przy sobie jak dwa boże drzewka.

Leżał ciągle z oczyma przymkniętymi, zerkając czasem na błękitnosrebrne niebo, jakby chcąc sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje, po czym niespodziewanie dla Ewy zmienił temat.

- Wyznam ci prawdę: najbardziej jeszcze kochałem Jagę. Bo ona dała mi z siebie wszystko, nie wzięwszy ode mnie nic. Czy nie dobra taka dziewczyna?

Pytanie zawisło w próżni. Natarczywie domagał się odpowiedzi. - Czy nie dobra, powiedz?

Przeniknięta żalem, odezwała się prawie bezwiednie, tak jak gdyby jej myśl sama zamieniła się w szept:

- Dobra.

Dłuższy czas trwał w bezruchu i w milczeniu rozpamiętywał miłosne przygody. - Gdybym umarł - rozpoczął nagle z innej beczki - zanieśesz mojemu ojcu na pamiątkę papierośnicę kutą w srebrze, którą mam w kieszeni. W rogu jest na niej wyrżnięte serce przebite strzałą. To jest znak, że moje serce, boleścią przeszyte oddaję ojcu. Od niego wzięte, należy się jemu.

Co on bredzi? Nachyliła się nad jego twarzą, przepelniona trwogą.

- Jaśku! Jasiu!

- Nie jęcz - upomniał ją przytomnym głosem innego człowieka. Jak gdyby teraz się

dopiero obudził, a tamto było głębokim snem.

Powietrze przejrzystsze od szkła falowało jak żywa, gęsta masa. Góry układały się w skali kolorów, żółtawe, białe i sine. Słońce lało nieznośny żar. Janosik niezmordowanie mówił:

- Nauczyłem się żyć samotnie. Miałem gdzieś metrykę i nie mam jej. Człowiek bez papierów. Co roku otaczałem się innymi ludźmi, nie mogłem się do nikogo przywiązać. Co chwila zmieniałem otoczenie. Nie znalazłem ani jednego człowieka, który by mi był bliski. Czy wiesz, co to znaczy nie mieć ojca, nie mieć matki, siostry ani brata, ani ciotki, ani wujka, żyć ciągle wśród obcych ludzi?

- Wiem.

To przypomniało mu jej obecność. - Idź, nie jesteś mi potrzebna - pozbył się jej. Pobiegnęła do szałas. Wracając, zacerpnęła wody ze strumienia, przewinęła mu na nowo czoło. Wmusiła w niego chleb z tłustym twarogiem, napoiła go mlekiem. O zmroku zmieniła mu raz jeszcze okład na głowie i oddaliła się.

- Gdyby ci było czego potrzeba, zawołaj mnie cichutko. Ja się odezwę. Dobranoc.

Wartowała w tym samym miejscu, co wczoraj. Oparła się o pień drzewa, wsłuchując się w tajemnicze odgłosy życia lasu. Upłynęły może ze dwie, trzy godziny, kiedy usłyszała wołanie:

- Ewa!

Chory wzywał ją. Wczołgała się szybko pod glaz. - Chciałeś czego?

- Usiądź. Zdejm mi tę szmatę z głowy.

- Głowa cię nie boli?

- Nie.

Ułożył głowę na jej kolanach. - Długoś szła do mnie? Nie rozumiała. - Skąd? Z Jurgowa?

- Tak.

- Tydzień.

- To długo. Jak ojciec wygląda? Raz go tylko widziałem, ale to było po ciemku.

- Rosły, słuszny.

- Gruby?

- Skądże? Silny. Grubych ludzi w górach nie ma. Na dołach tylko tyją cielska w bezruchu i ze słodkiego jedzenia.

- Jakie ma włosy?

- Czarne.

- Więc po matce dostałem włosy blond.
- Siłę ma wielką. Bitnik był z niego dawniej.
- W takim razie mięśnie odziedziczyłem po nim. Oczy ma takie jak moje?
- Nie. Piwne, łagodne w spojrzeniu. Twoje są inne.
- Matczyne.
- Może być. Ale serce ma Sobczak twarde.
- Kto wie, jakie ja mam serce? Raz takie, raz siakie.
- Na pewno nie Sobczakowe.
- Ojciec mówił, że się urodziłem w zimie, w szpitalu? W dzień świętego Jana?
- Tak.

Pomacał się po kieszeni. - Już nie mam papierosów.

- Nie pał, Jasiek. Za dużo palisz.

- Świętego Jana mamy w zimie; zaraz po drugim dniu święta Bożego Narodzenia. To dziwne, że służyłem prawie rok w Naprawie i nie wiedziałem, że stamtąd pochodziła moja matka. Zdaje mi się, że tam mieszkali jacyś Dziurowie. Może i mieszkali, ale co mnie to wtedy obchodziło? Ta baba, Rejka od Czubina, ona by na pewno wiedziała, jakby ją o matkę zapytać. O garbuskę. Ona zawsze wszystko wiedziała. Ona opowiadała o mnie niestworzone historie: że z braćmi planetnikami w chmurach na cały głos gadam i dlatego w największy upał, jak wszyscy planetnicy, co przy deszczu służą, zawsze włosy mam mokre.

Ewa głaskała go po twarzy. - Uśnij, Jasiek, uśnij. Jutro będziesz całkiem zdrowy.

- Ale pomyśl, jakie to śmieszne - upierał się przy poprzedniej myśli niczym mały chłopiec. - Ta baba widziała mnie, że zleciał z chmury i po drutach telegraficznych do góry nogami sunąłem wzdłuż gościńca. Głową po drutach!

- Naturalnie. Ja wiem. Tyś spadł ze śniegiem. W gęstej masie śniegu zrzucili cię planetnicy.

Usnął znowu, jak poprzedniej nocy, z głową na kolanach dziewczyny. I ona, podobnie jak wówczas, nie śmiała się poruszyć, aby go nie przebudzić. Położyła się na ziemi, rozpostarłszy ręce na mchu, i tak zmorzył ją sen.

Rano otworzyli oczy równo ze słońcem. Janosik wstał zmieniony, jakby skurczony. Twarz wyrażała bezgraniczne znużenie. Jedyne oczy gorzały blaskiem. Wyszli z załomu głazu.

- Bodajś nie doszła do mnie z taką nowiną! - przywitał Ewę na dzień dobry. Powracał do dawnego tonu, a z nim do równowagi.

Uśmiechnęła się blado, gorzko. - Trudno, ktoś ci to musiał powiedzieć.

Kiedy utkwiał w niej źrenice, jedyną chyba wyłączną własność nie odziedziczoną po rodzicach, uczuła nagle drzenie w ciele. Dzisiaj inaczej już na nią popatrzył.

Stanęli pośród brzoź i smreków. Między gałęziami przewiewał świeży, rzeźwiący wiatr poranka. Las szumiał pieśnią starego, zapomnianego świata. Ile razy harnaś oglądał rankiem w tych stronach płochliwe sarny, ich zalęknione oczy!

- Czy wiesz, jak sarna patrzy, kiedy ją podejdziesz? Nie wiesz, bo sarna nie da się z bliska podejść. Ale ja widziałem, jak konała, ponieważ ją zabiłem. Żal mi było. Tak jakbym siostrę młodszą zastrzelił. Takie jest prawo lasu. Oczy podłużne, ni to żółte, ni to zielone, rozszerza; serce jej wali młotem, pierś omal nie pęknie. Leży, nie może buchnąć w krzaki, przychodzi na nią ostatnia chwila. I wtedy, zanim jej oczy mgła powlecze, spojrzy na ciebie tak żałośnie, jakby ci ktoś nóż we wnętrzościach obracał.

Cały dzień spędzili z sobą. Dopiero dzisiaj zwrócił Jasek baczniejszą uwagę na Ewę.

- Ejże, czyżby ci włosy pojaśniały, Ewa?

Powiodła ręką po bujnej, puszystej grzywie. - Możliwe. To pewnie od słońca. Co roku tak mi się robi, gdy idzie ku latu.

Opowiadała mu znowu o Jurgowie. Dopiero teraz dowiedział się, iż straż graniczna wszczęła proces przeciw Sobczakowi o przemyt. Przypomnieli sobie o jego szmuglu właśnie wtedy, kiedy już leżał w szpitalu, znajdując się faktycznie w areszcie. Przez tyle lat nic nie mówili, choć o tym dobrze wiedzieli.

- Widzą, że on teraz słaby, więc go ze wszystkich stron biją. Już i policja go nie broni. Przestał się jej opłacać.

W tym momencie Janosik, poszukując daremnie papierosa w zakamarkach ubrania, natrafił w kieszeni spodni na wciśnięty, zmiętoszony list od Banacha. Zapomniał o nim całkowicie w natłoku myśli, w depresji ostatnich dni. W miarę czytania listu twarz mu się rozjaśniała. Jakby nowa nadzieja wstępowała w niego.

- Nie martwmy się, dziewczyno, wszystko będzie dobrze.

Po okresie wstrząsu harnaś wracał rzeczywiście do dawnego nastroju. Raz jeszcze wydobył list, przeczytał z napiętą uwagą Banachowe pismo.

Nocowali w niższym szałasie bacy Smugawskiego na resztkach słomy zeszłorocznej, walającej się po dylach powały na strychu. Trzoda zostawała na noc pod opieką psów w ogrodzonym koszarze pod gołym niebem, konie zaś były zamknięte w szopie pod strażą dwóch pastuchów. Noc była duszna. Ewa otworzyła drewnianą okiennicę. Przez otwór wlało się na strych ciepło i cisza. Księżyc wstępujący w kwadrę wisiał nisko tuż nad lasem.

- Uciekniemy w Liptów, do Budapesztu - mówiła dziewczyna. - Na roboty. Nikt nas

nie wyszedł. Możemy żyć.

Wodził palcami delikatnie pod jej oczami, gładził siny kwiatek na skroni, jakby ciągle nie wierząc, że to znamię naturalne, a nie malowane. Patrzyła nań, uszczęśliwiona.

- Jeszcze nie teraz, przyjdzie czas - odpowiadał tajemniczo. - Mam tu coś do zrobienia.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, objął ją w uścisku. Przywarł twarzą do jej skroni, dłonią głaskał po twarzy. Najczystsze łzy wzruszenia spływały po jej policzkach.

- Jak nie przestaniesz beczeć, głowę ci rozwalę - zagroził z tak czarującym uśmiechem, że wiedziała, iżby w tej chwili palca na nią nie podniósł.

Całą noc strawili na pieściu. Leżeli nadzy, oddani po wielkim smutku ogromnej radości. Jasek całował jędrne, małe piersi, stęzałe od podniecenia. Umysł miała przytomny. Kilkakrotnie nawracała do tego samego tematu:

- Masz pieniądze, uciekaj w Orawę. Nikt ci nic nie zrobi. Chcesz, pójdę z tobą.

- Zostanę tu - odpowiadał z uśmiechem. - Mam ważną rzecz do załatwienia.

- Znowu coś knujesz - rzekła stłumionym z żalu głosem. - Będą cię znowu ścigali. Nie umkniesz im z tego koła, gdy cię ze wszystkich stron otoczą.

- Stąd mnie żadna obława nie ruszy.

- Znam cię, nie wytrzymasz długo w jednym miejscu. A tak, pójdiesz w świat, ocalisz się. I nikt nie będzie o tobie wiedział.

- Ja straciłem mój świat. Dokądkolwiek bym poszedł, będzie mi źle. Tu jeszcze płata się stary czas, ale i stąd wypłoszą go wnet ludzie. Do tej chwili ja już swój wiek przeżyję.

- Nie schodź w dół. Po co kusisz lichy?

- Co cię to obchodzi? Nie mieszaj się do tych spraw. Nie chciał, aby o tym dłużej mówiła.

- Pójdiesz z listem do Banacha - powiedział jej nad ranem. Kiwnęła głową przytakująco. Zabierał się do wyjścia. - Zagładnę do Klimka i Jędrka. Przyjdę tu w południe. Niech ci Smugawski da co zjeść. Przyniosę ci list, który zanieziesz Banachowi.

- A później wrócę do ciebie? - rzuciła porywczo.

- Gdy przyjdiesz z odpowiedzią.

Zawisła na jego szyi. - Jasek, tak chciałam być przy tobie!

Odpowiedział poważnie: - Będziemy razem.

Wrócił po czterodniowej nieobecności do kompanów, zmarniały, szerniały na twarzy, ze śladami głębokich przeżyć, ale uśmiechnięty, jakby uspokojony. Sześć nocy spędził prawie bez snu poza jamą. Jak bardzo człowiek może się zmienić i postarzeć w ciągu sześciu nocy! W kącikach ust bruździły się ostro półkoliste zmarszczka. „Był w odwiedzinach u

Witkowskiego - pomyśleli towarzysze. - Albo spalił całą wieś". Zaspokoił ich ciekawość:

- Widziałem się z Ewą Jelenianką. Przyniosła mi list i ważne wiadomości od Banacha.

Zasypali go gradem pytań, odpowiadał im lakonicznie. Długo pisał list na kamieniu pod pieczarą. Kiedy skończył wstał i rzekł do Klimka:

- Daj coś zjeść.

Podjadł, zapalił papierosa, wyciągnął nogi przed siebie, oparł się plecami o brzoźkę i mówił:

- Muszę wam przedstawić sytuację, tak jak jest. Wcześniej czy później władze zabiorą się do nas ostro. Ta robota, którą policja wyprawia w dole po wsiach na nasz rachunek, ma na celu przygotować nam koniec. Jedyna droga wolności, jaka nam pozostaje, uciec do Czechów albo na Węgry, a stamtąd w świat. Dlatego ukazuję wam drogę na wolność, aby nie było za późno. Macie sposobność ucieczki. Ja tu pozostanę do końca.

Obaj kompani przyjęli słowa wodza w nastroju milczącym, z lekka ponurym. Chłopak z lasu ciągnął dalej:

- Mam ważny plan; może mi się uda, może nie. Chciałbym, aby się udał. Wtedy nawet umrzeć byłoby mi lżej. Jesteście wolni. Idźcie, gdzie macie ochotę. Chcecie zbijać dalej na własną rękę, zbijajcie. Mnie to już zbrzydło. Zmęczyłem się. Możecie iść w Orawę, w Liptów i dalej na Węgry, na roboty. Śladu po was nikt nie odnajdzie. Pójdziecie do Jagi w Herdućce, ona wam wszystko ułatwi. Powołacie się na mnie; jako że ja was posłałem. Przebierzecie się, ona wam da pieniądze na podróż oraz przewodnika. Namyślcie się dobrze. Przyjdę dziś w nocy, dowiem się, coście postanowili o sobie. Jutro rano możecie wyjść.

Zabrał list i udał się na Lipowską. - Gotowaś do drogi? - spytał Ewę.

- Tak.

- Jadłaś?

- Jadłam.

Prowadził ją w pamiętny załom między głazami wśród krzaków malin, gdzie spędził dwie noce w gorączce. Nad ścianami parowu słońce zniżało swój łuk ku wysokiemu grzebieniowi lasu. Zapadł mrok.

- Odprowadzę cię w dół na Mutne. Prześpisz się u gajowego, powiesz mu hasło.

- Pozostanę tu jeszcze. Nie będę nocowała w Mutnem.

Już późno w noc, kiedy księżyc zawisł wysoko nad leśnym uroczyskiem, zapytała go nagle pośród pieszczot: - Czy Witkowski tak mówił, że gdybyś miał dziecko, zmieniłbyś się? I dziecko przywróciłoby cię do innego życia?

- Nie tylko Witkowski to mówił. Także i Wojnar.

- A ty nigdy nie zatęskniłeś za dzieckiem?
- Nie - urwał krótko. - Na co mi to?
- Komuś mogłoby się przydać.
- Na ojca się nie nadaję.
- Dziecko ma nie tylko ojca. Ma i matkę.

To mówiła dziewczyna, cenniejsza teraz od innych, bo jedyna, która poznała tajemnicę jego nieślubnej krwi. Zadziwił się i zarazem zawstydził jej kobiecej śmiałości, z jaką poruszyła ten temat. Wspomnił odzyskanego dopiero co ojca. Mógł tak jeszcze myśleć wczoraj, dziś nie. Oddać się rodzinie, utrzymać łańcuch narastającego życia, będąc synem - stać się jednocześnie ojcem. Tak, to cudowne, to ma sens, ale to nie dla niego. On wie, co to znaczy mieć ojca! Czy nie takie samo szczęście jest mieć syna? Nawiedziła go instynktowna radość każdego mężczyzny na myśl o tym, że zdoła czegoś dokonać, co go przetrwa, duma męska z powodu przedłużenia gatunku.

Ale wnet wyłamał się z błędnego nastroju. Ożenić się, dziecko mieć? Od dawna nauczył się tym pogardzać. To dobre dla ludzi skazanych na dojenie krów i kopanie ziemniaków. Powracał do tego tematu jako trzeźwy, z lekka pokpiwający Jaś z Głuchaczek.

- Przypuśćmy, że kiedyś chciałem - zagadnął prawie wesoło. - Ale która by się zgodziła być matką? Wiązać się z bandytą?

- Wiem o takiej jednej - szepnęła.

Co ona mówi? Ona wróciła mu ojca, ona wspomina o dziecku! Ciąg pokolenia rozwiera się przed nim. Drzewo życia zakwita, rośnie. Czy na nim ma się skończyć ród jurgowskiego górala? Jest przecież jego jedynym synem. Ach, ta noc, któraż to z rzędu noc, takim wzruszeniem brzemienna! Oszołomiło go gadanie Ewy, zwłaszcza ten szept ostatni. Siedziała przy nim cicha, cała tchnąca dobrocią.

- Co ty opowiadasz? - buntował się w głos, pragnąc oszukać siebie i ją. - Za to, żeśmy wspólnie z dziewczyną przeżyli przyjemność, ona ma potem cierpieć, a później jeszcze babrać się pieluchami przez parę lat? A może nie o tym myślisz?

Przeląkł się, że za dużo powiedział, że chyba ją źle zrozumiał. Ale w każdym razie wyśmiał ją. W księżycu widział jej twarz mlecznobiałą z wielkimi oczyma, uległą, posłuszną, opanowaną. Ciemna plamka na skroni jakby pałała. Wyprowadziła go z niepewności:

- Właśnie o tym myślę.

Więc ta kobieta byłaby zdolna do takiego poświęcenia? Całe życie Jaśka zmienia się w tych paru dobach. Otworzyły się przed nim trzy sprawy, z których każda byłaby w stanie zaprząnąć mu cały żywot. A jedna z nich wyklucza dwie inne. Sprawa ojca, połączona ze

sprawą Ewy, mogłaby pchnąć życie chłopca na nowe tory. Ale on odzyskał już przytomność tej nocy i wie, że to się nie da zrobić. Sprawa z Banachem - oto jest jego przyszłość, jedyna droga wyboru. Od wczoraj po przeczytaniu listu przestał się wahać, wszystko stało się dlań jasne, każda rzecz inna była nieważna. Dziewczyna schodzi na plan drugi, może na trzeci; po ojcu.

- Ho, ho, dziewczuszko, wiesz, co by to było? - w tonie plątał się wyraźny podźwitek drwinki. - O dziecku mówisz? Chyba żartujesz? Pamiętasz, że ci powiedziałem od razu, gdy tylko poznaliśmy się: nie myśl, że się z tobą ożenię.

Oczywiście, że pamiętała. Bała się przyświadczyć głośno, aby nie padło z jego ust nazwisko Franka Matogi. - To nie ma nic do rzeczy - skrzywiła się w gorzkim grymasie.

- Co ci do głowy strzeliło, Ewa? - szydził z kpiącą miną, dziwiąc się sobie i jej, że mogą tak długo rozmawiać na ten wstydlivy temat. Ale zaniepokoił się wyraźnie nieporównaną śmiałością jej mowy. Dwaj mężczyźni, jeden wróg, jeden przyjaciel, przepowiadali mu zgodnie, że życie jego nabrałoby zgoła innego sensu, gdyby miał dziecko. Teraz już za późno. Teraz, po liście Banacha?

- Pytam dlatego tylko, iż myślę, że kto wie, czy dziecko nie mogłoby przywrócić ci nowego życia. To nie jest żart. Zacząłbyś patrzeć innymi oczyma.

Ach, jak go kusi! Zawahał się z niechęcią. - Dawniej miałoby to jakiś cel, tak jak mi mówił Witkowski, tak jak mi mówił Wojnar. A teraz co mi z tego? Dziecko ojca-bandyty?

- Dla matki dziecko od ukochanego.

To mówi dziewczyna, która szła przez siedem dni z Tatr w lasy Wysokiego Beskidu, aby powierzyć zbójowi podwójne posłanie; a posłanie to miało wnieść nareszcie promień światła w ciemne życie Jana Dziury.

Jeszcze do tej chwili nie uświadomił sobie wyraźnie, do czego zdążało to, co mówiła - tak bardzo go zaskoczyło. Pomnąc na drugą, równie ważną część Ewinego poselstwa, zapytał z niedowierzaniem:

- Czy ty miałabyś być matką tego dziecka?

- Ja. Kiedyś odejdiesz ode mnie. Ale dziecko mi po tobie zostanie.

Oszłomiło go to do reszty. Widział, jak list Banacha płonie na ogniu, jak plan potężny, od wczoraj w mózgu udręczonym rozrosły, kurczy się i roztapia. Przesłania go sobą kobieta.

- Dziewuszko, zrozum - słuchał swojego głosu, jakby dochodzącego doń z oddali. - Wstyd we wsi, wrzask w domu, kłopot na głowie. Gorączka czepiła się twych myśli. Po co ci to?

Odepchnął od siebie pokusę, zapewniając z całą głębią wewnętrznego przekonania:

- Nie myślę o rodzinie. Nie myślę o żonie. Nie chcę mieć dziecka.

- Ale może je będziesz miał - powiedziała z tajemniczym uśmiechem. Odwróciły się role; w momencie dramatycznej walki mężczyzny ona przybrała dawny lekkomyślny ton Jaśka z Głuchaczek. Zrozumiał wszystko dopiero teraz i umilkł. Nie powiedzieli już więcej słowa na ten temat. Przywarli ku sobie w upojeniu, które zdawało się nie mieć końca; jak gdyby w tym pośpiechu nadrabiając zapomnienie i długą rozłąkę. A może i przyszłe rozstanie.

- Jasiek - prosiła go - nie pokazuj się po polskiej stronie. Nie chodź na dół. Znowu się będziesz narażał. Ja czuję, ty coś nowego knujesz.

- Takie jest prawo harnasia: raz na wozie, raz pod wozem.

Ogarnął ją nagły, dziwny niepokój. Lekkomysłny uśmiech, zawisły w kącikach warg chłopca, trwożył ją. Znała dobrze człowieka zwanego Janosikiem. Usta mu się śmieją, a pod czaszką kłębią się chmury. Ta, co przez parę dni i nocy koła jego tragiczne rozbitcie mądrym, pocieszającym spokojem, teraz drżała. Czyżby ją tak nastroił smutek odejścia? Czy to był lęk przyszłości, którą trafnie wyczuć potrafią jedynie kobiety?

Trzeba iść. Nie mogła się oderwać. Zawinęła głowę chustką. Odprowadził ją z pół mili w dół. Jej spojrzenie zdawało się mówić: „Zostaw mnie przy sobie. Czuję, że coś zbroisz”.

Patrzyła z trwogą naokoło, jakby ogrom mocy i bezbrzeżna głąb boru miały każdej chwili zabrać jej drogiego chłopca. Oczy rozwarły się szerzej; napływały do nich łzy.

Poczuł od razu ten płacz ukryty, rysy jego twarzy stwardniały.

- No to już lepiej idź, jak masz płakać.

Ten ton przyspieszył ich rozstanie. Zatrzymali się na polance w blasku księżyca, nieruchomi jak rzeźba.

- Przejdziesz tamtędy, górą - pokazał jej pas wyřębu bielejący na tle miesięcznej jaśni.

- O wschodzie słońca przekroczysz gościniec pod Polhorą, idą wzdłuż niego słupy telegraficzne. Od gościńca ciągle na wschód. W niecałą godzinę jesteś w Rabczycach. Zjesz obiad u gajowego Marcinka. To nasz człowiek, powiesz mu hasło. On cię przeprowadzi przez granicę halami Lipnicy Wielkiej. Zanojujesz u Mroza. I jesteś prawie w domu. Pozdrów ode mnie Banacha.

Szepnęła za całe pożegnanie tak cicho, jakby to był oddech liścia, nie głos człowieka:

- Bądź zdrow.

Cienkimi nitkami mlecznego światła łączyły się jeszcze odbiegłe od siebie kroki kochanków. Szklisty księżyc wspinał się na firmament, malejąc; aż zapadł w chmurę i

przerwała się nadmiernie wydłużona nie ich przeciwległej wędrówki.

Wracał do swojego gniazda. Jeszcze szeptał Ewy dźwięczał mu w uszach. W przeciągu paru nocy otworzyły się przed nim i zwały nań nowe światy. Najpierw ojciec, potem Banach. Ostatnia była kobieta. Świat ten zwał się natychmiast dokoła niego, obejmując go szczelnie i całkowicie. Wypełniła go sobą dziewczyna o śmietankowej cerze i brązowozielonych oczach. Poczł, że jej kojąca mądrość i bezmierne oddanie płyną skądinąd, podobnie jak i owo spojrzenie zalęknionej sarny; nie z ciała, lecz z głębokich strumieni kobiecej natury, której nigdy mężczyzna nie będzie w stanie pojąć.

To chyba nazywa się miłość. Było to słowo dla niego nie znane. Miało dlań takim jeszcze przez pewien czas pozostać. Ale kiedyś musi na niego przyjść i wziąć sobie podwójny odwet za to, że je tak długo od siebie odpychał. I nie pomoże mu ani rozstanie, ani ucieczka w las.

Wszystko to piękne, co się mówiło, ale wnet będzie świtał dzień, rozpierzchnie się czar nocy, wszystko uchylą się w przepaść. Nowe, jakże odległe od dziewczyny sprawy czekają harnasia.

Janosikowy plan. Nie był to właściwie jego plan. Ojcem tego pomysłu był Wojnar jeszcze w ubiegłym roku. Banach pierwszy podejmował apel, nawiązując współpracę w imieniu Podhala i Nowosądecczyzny. Grunt jest tu i tam przygotowany.

Jasiek chwycił się żarliwie tej koncepcji. „To mnie ocali, to mnie zrehabilituje; mój honor, moje życie, moje zbijanie.” Pragnął się ratować wstępując na honorną drogę oczyszczenia. Któż by na jego miejscu tego nie pragnął, widząc, jak głęboko błędził?

„Serce mam miękkie, pewnie matczyne. Ale wolę muszę mieć silną. Jeszcze silniejszą niż dotąd Sobczakową.”

Patrzył na księżyc, tężejący kamienną bielą. Niebo zanosilo się jutrzejszym deszczem. - „Muszę mieć wolę kamienną” - przysiągł, spojrzawszy w zasnutą chmurami górę. I z jego myśli znikła Ewa Jeleniówna.

Jędrak i Klimek mieli nazajutrz rano gotową odpowiedź dla wodza. Nie namyślali się nad nią, byli zdecydowani od razu. Nie opuszczą Jasia z Głuchaczek. Pod takim harnasiem nie żal żyć, nie żal umierać. Uściskał ich obu i ucałował.

- Każdemu przeznaczone jest kipnąć, jak by powiedział Wojtek. Gdzie się to stanie, w łóżku czy wśród smreków, czy to nie wszystko jedno?

- My prosto z tobą fukniemy do nieba, jako te łotry, co koło Pana Jezusa na krzyżu wisiały.

Deszcz lał jak z cebra. Od zachodu wiatr smagał gwałtowną ulewą. Przednia ściana jamy umocniona świerczyną i mchem, nie przepuściła wilgoci. - To jeszcze Wojtkowa robota - wspomniał wódz z uznaniem. - Ach, psiakrew! - zaklął. - Co się dzieje na dole? Co te dranie w Jeleśni wymyśliły nowego? - Znow zapragnął być sam w nocy, znaleźć się w zimnie, w głodzie, w walce, prześladowany, osamotniony, zawsze narażony na niebezpieczeństwo. Pieniądze rozrzucał wśród zgrai; czy go rozumiano? Wyzuto go z wszystkiego, nawet z honoru. Do czego dążył ten rzeczywisty bandyta? To o nim mówią, że gdzie stąpnie, pozostawia za sobą krzywdę ludzką.

- Jędreku, popatrz, czy przestało padać.

Nawałnica ustała, wypogadzało się. Janosik wyszedł w zmierzchu. Wdepnął w rozmiękłą ziemię, gałęzie przywitały go kroplistym tuszem. Dziś była niedziela, spodziewał się Ziomka na Lipowskiej.

Przyniósł do szalasu na plecach i ramionach mokre pozdrowienie czterokilometrowej rośnej dali. Rozwiesił marynarkę nad ogniem. U bacy siedział już Ziomek. Zaczęli gwarzyć.

- Uciszyło się w sprawie Wojtka?

- Już. - Gość z Sopotni patrzył na zmienioną, zmęczoną twarz Janosika, jakby zniszczoną długą chorobą. - Pogrzebany jest w Jeleśni. Było dochodzenie w sprawie bitki u Tintenfassu. Żyd o niczym nie wiedział. Zeznał Gałaś, jego brat i trzech innych, co tam w karty grali. Uchwalili, że Wojtek urznął się w pestkę, obiecał wystrzelać wszystkich, wyciągnął rewolwer, więc nie czekali, aż strzeli, tylko ukatrupili go.

- I Gałasiowi nic za to nie jest?

- Nic. W obronie życia bandytę ubił. Dochodzenie umorzone.

- Wiedziałem, że tak będzie.

- Wiesz, że spłonęła willa Matuszka w Korbielowie?

- Słyszałem. Policja podpaliła na moje konto. Co robią na Głuchaczkach?

- Juraszek zwozi drzewo, które dostał za darmo z nadleśnictwa jako pogorzelec, aby się pobudował. Kłóci się ciągle z siostrą. Musiał ją sprać po pysku, bo kiedyś widziałem ją w Jeleśni, głowę miała owiniętą chustką.

- Ją często bolą zęby i wtedy cała twarz jej puchnie. Ona to ma co parę dni.

- No, nie wiem, z czego ona tam puchnie. Baby puchną z różnych powodów. W każdym razie Turcula opowiada o nich cuda. Władek chce się żenić na gwałt.

- Wiem, z Walerką od Pasika.

- Pije po szynkach, chodzi ciągle zalany. Teraz wielką przyjaźń z Witkowskim założył.

- Tak? - wycedził przez zęby Janosik. - A jakie inne wiadomości? - spytał znużony

Juraszkową historią.

- Ktoś wyprawia jakieś durne kawały po wsiach na twój rachunek. Niby to listy przychodzą od Janosika, obiecują spalić chałupę; to znowu ktoś truje gadzinę domową po obejściach. Teraz wszystkie gromady należące do Jeleśni muszą wpłacać dodatkowo do gminy po trzy złote od numeru, bo wójt ogłosił, że mu skradziono kwity podatkowe i cała wieś ma się składać na pokrycie strat. „Z własnych pieniędzy dopłacam do bandyty, który kasę gminną okradł i zniszczył dowody wpłat chłopskich. Dobrze, że nie kazałem wam całego podatku jeszcze raz zapłacić. Janosik was okradł, upomnijcie się u niego o pieniądze.” Tak mówił.

- Szuja! To robota policji i wójta, aby mnie zohydzić. Niech Wojnar przyjdzie do mnie wieczorem we wtorek, najpóźniej we środę, tu, na Lipowską. Mam ważne sprawy do omówienia. Dostałem list od Banacha z Jurgowa. Sprawa jest pilna, pamiętaj.

Zapowiadały się dobre urodzaje. Ludzie kiwali z uznaniem głowami nad pięknie wzeszłą oziminą.

- Gdyby jeszcze trochę więcej deszczu spadło, dopiero by się wszystko podniosło! - wyrывało się poniektrym westchnienie z ust i tęskny wzrok polatał ku niebu. - Ziemniaki zawiązałyby się ładnie i można by już wnet okopywać. A trawy!

Władek Juraszek nie cieszył się urodzajem ani stertą obciosanych drzew w dolnym rogu polany. Chodził zmartwiony, natrafił bowiem na niespodziewane kłopoty z asekuracją. Był winien jakieś raty za ubezpieczenie od ognia, obecnie zaś z tytułu zaległości nie chciano uznać jego pretensji do odszkodowania. W Żywcu kręcono na to wszystko głową, zasłaniano się brakiem odpowiedzi z Krakowa. Wychodziły na jaw ciągle nowe przeszkody. Poradzono mu, aby sam napisał list do urzędu w Krakowie z prośbą o przyśpieszenie wypłaty, ale uśmiechano się przy tym ironicznie. - Jak za rok będą pieniądze, będzie dobrze.

Ze zmartwienia wybawił go wójt Franczak. Spotkawszy parobka na drodze, zagadnął go:

- Podobno masz kłopoty z asekuracją, Juraszek? Poczestował stroskanego papierosem i ciągnął z wyżyn swojego urzędu: - Wiem, wiem, tam są trudności z zaległościami, z szacunkiem na stodołę. Władze w Krakowie domagają się rewizji oszacowania. Grozi ci, że nie dostaniesz pieniędzy. Prześlepiłeś terminy dwóch rat, a to unieważnia całe ubezpieczenie. Mógłbyś coś wydebić za rok, dwa, ale ile by cię to kosztowało. Musiałaby przyjechać komisja z Krakowa, kazaliby ci słono zapłacić; więcej, niżby ci wypłacili tytułem asekuracji.

Juraszek drapał się po głowie.

- Ale ty nam idziesz na rękę, Władek - ozwał się wójt miękkim tonem pocieszyciela. - Chcesz, to ja spróbuję ci to załatwić. Ciężko będzie, ale będę się starał wy dostać ci tę asekurację z Krakowa. Mam tam znajomości, tylko, rozumiesz, to musi trochę kosztować.

- No, ja rozumiem.

- Z pięć stówek musiałbyś poświęcić na koszty. Trzeba popić z jednym i z drugim dyrektorem, dać im coś zjeść w restauracji. Panowie z Krakowa mają wybredniejsze żołądki od naszych. Przypuszczam, że do dwóch miesięcy dostałbyś asekurację. Ja dla siebie grosza nie biorę, chcę ci tylko pomóc w kłopotcie. Ale jeśli jesteś zdania, że mi się coś należy a konto mojej podróży i chodzenia po biurach...

- No pewnie, niech sobie pan wójt weźmie, ile tam uważa, za grzeczność... - bąkał Władek.

- Jak wszystko pójdzie dobrze, dasz pięć setek, zgoda?

- Zgoda.

- Tylko naturalnie nie wolno ci nikomu o tym mówić, że ja się podejmuję tej roboty. Jeszcze zresztą nie wiem, czy mi się to uda. Ale ja rozmawiam z nimi jak urząd z urzędem, więc ze mną będą się liczyli. Chłopu powiedzą: ustawa nie przewiduje wypłaty i żegnaj, sprawa załatwiona. A ja mam na to swoje sposoby.

Wójt wyciągnął z portfela świstek papieru, napisał od ręki zobowiązanie wypłaty pięciuset złotych wójtowi Franczakowi w razie otrzymania asekuracji za spalony dom. Władysław Juraszek podpisał niezgrabnymi kulasami, po czym pożegnali się, obaj zadowoleni. Jeden, że będzie miał prędko pieniądze, których się już nie spodziewał, drugi, że zarobi za nic pół tysiączka. Ten drugi był nawet bardziej ucieszony; on nic nie stracił, a coś zarobi, i to nie wyjeżdżając dalej niż do Żywca. Tam u znajomego urzędnika załatwi się wszystko od ręki. Zapłata dwóch zaległych rat i mała pijatyka nie pochłoną może nawet całej setki. Bujda z Krakowem, trudności żadnych właściwie nie było, należało tylko interweniować energicznie i w należyтым miejscu.

Za pośrednictwem Walerki wysondowano od Juraszka nazwiska tych, którzy mieli coś wspólnego z pieniędzmi zbója. Do urzędu gminnego wezwano najpierw dysponentów złodziejskich subwencji: starego Tramka, Wojnara, Misiółka, Topolaka, Ziomka.

- Braliście pieniądze od Jaśka Dziury?

- Nie.

Trzymali się twardo. Nie zaprzeczali, że spotykali się z nim dawniej, kiedy jeszcze nie zbójował. Nie dał im jednak nigdy nawet pół złotego ani dla nich samych, ani dla nikogo

innego.

Franczak uśmiechał się przy Kaczmarczykowej indagacji, rozparty wygodnie na stołku. - Patrzcie, taki ideowiec! A rozpowiada o sobie, że wszystko rozdaje między ludzi.

Juraszek wskazał paru biedaków, na których miała spaść szeleszcząca banknotami łaska harnasia. Właściwie wskazała ich Walerka, sprytnie wyciągnąwszy od narzeczonego kilka nazwisk. Wołka, Gawlikową, Wojdaka i Czula poddano krzyżowemu ogniovi pytań. Wszyscy wyparli się kontaktu z Dziurą.

- Braliście pieniądze od Janosika?

- Żadnych.

- Nic wam nie dał?

- Nic.

- No, to wam dużo dał wasz dobroczyńca! - mówił z ironią wójt miażdżąc wzrokiem postacie miejscowych dziadów.

Każdego z osobna brano do kancelarii, gdzie Kaczmarczyk zapytywał niezmiennie: - Dawał wam kiedy pieniądze Jasiak Dziura?

Gawlikowa przełękła się i wyparła: - Nie.

Janosik wyszedł nie tylko na rabusia, ale także na oszusta i kłamcę. Wezwano Wojdaka, przodownik wziął go w obroty.

- Dawał ci co kiedy Janosik?

- Nie. Nigdy.

Trząsł się z przestachu. Aha, chcą go do więzienia wtrącić za to, a pieniądze skonfiskować, bo to były pieniądze zrabowane. Nie ma głupich.

- Dostałeś może od kogo innego, ale to było od Janosika?

Zaprzeczał głową z przekonaniem.

- Nie, nigdy. Od nikogo.

- Ani złotego.

- Ani grosza.

- Wojdak, a za coś ty sobie dwie kozy z wiosną kupił? - wtrącił się Franczak.

- Miałem sto złotych zarobione z Żywca - mamrotał chłop - com wychodki w starostwie przez tydzień czyścił w wielkim poście.

Czul stawał się najmocniej. Nie dał się złamać. Wykrzykiwał starczym, sepetlawym głosem: - Nic nie wiem, nic nie powiem.

- Dawał wam Janosik pieniądze?

- Pieniądze, święta rzecz. Dziad jestem, ale nikomu nic do moich pieniędzy. Nad

grobem stoję, możecie mnie zabić - wstrząsał siwymi kudłami. - Podatki płacę, nikomu nic nie ukradłem, nikomu nic nie jestem winien.

- Dostaliście coś od Janosika?

- Wiem, po coście mnie wołali. Możecie mnie zastrzelić, nie powiem nic na przeciw niemu.

- Gadaj, durniu! - wrzasnął mu policjant nad uchem. - Dał ci co Janosik? Brałeś od niego pieniądze?

- Nie. Możecie mnie zabić.

Słusznie zresztą powiedział. Bo sam Janosika nigdy na oczy nie widział; zapomogi dostawał od Wojnara.

- Widzicie? - triumfował Franczak. - Tak wygląda dobroczyńca biednych.

Rozprawiał o tym szeroko. - Wzięliśmy na spytki największych żebraków, jakich mamy w gminie zbiorowej. Pod przysięgą zeznali, że ani grosza od niego nie otrzymali. A udawał wspaiałomyślnego! Bezczelny oszust!

Raport poszedł do starostwa.

Nie we wtorek, lecz w środę przybył na Lipowską Wojnar. Poprzedniego dnia, w którym zaprosił go Janosik, płała się właśnie w tych stronach obława. Uprzedził o niej Smugawskiego pasterz, przysłany z Sopotni przez Ziomkową żonę. Baca rozpałił w południe ognisko nad górnym szałasem, polecając chłopcu utrzymywać je gorliwie aż do zmroku, tak by harnasie mogli widzieć dym ostrzegawczy z granicznej słowackiej polany Chłodniakowej. Janosik, wybierając się po południu na polską stronę, spostrzegł sygnał alarmowy i co prędzej wziął nogi za pas. Nazajutrz powtórzył spacer, ostrzeżenia już nie było.

Wieczorem rozmawiał z Wojnarem na strychu szałasie przy słabym poblasku lampy naftowej. Patrzyli uważnie, badając swe oblicza po długim niewidzeniu. Tak wyglądają ludzie, przed którymi życie rozwarło bezbrzeżną głębię rozczarowań. I Wojnar się zmienił. Oczy miał powleczone zmęczeniem, jakby przygasłe. Na szyi przebiegała grubsza niż zwykle żyła, jak postronek.

- Dawno cię nie widziałem, Jasiu. A słyszę o tobie teraz prawie codziennie.

- To nie moja robota, wierz mi, przyjacielu. To jest ich podstęp.

- Od razu tak pomyślałem. Źle wyglądasz.

- Trudno, nie prowadzę kuracji tuczającej.

Usiedli. Jasiu przeczytał Wojnarowi list od Banacha, po czym opowiedział wszystko, co go spotkało od chwili, gdy dowiedział się o zdradzieckim sprzątnięciu Wojtka. Wyjawił

mu całą swoją tajemnicę przekazaną przez Ewę.

- Chorowałem. Przez parę dni byłem sam. Zdawało się, że mi łeb pęknie. Chciałem iść do Jurgowa, do ojca, tam moje miejsce. Zaprzagnąłem rzucić to wszystko, osiąść na gospodarstwie.

- Osiadłbyś w kryminale zamiast na gospodarstwie.

- Myślałem tak w gorączce. Później znów chciałem uciekać w świat, wrócić do życia bez żadnej przeszłości, jak nowo narodzony.

- Nie mógłbyś prędko wrócić do kraju. I nie wiem, czyby ci się udało uciec.

- Może bym i uciekł, ale nie chce mi się. Jakże miałbym rzucić to wszystko? Już mi zbrzydło do cna zbójnikowanie. Świata przez to nie zmienię. Ta jedna myśl nadała kierunek mojemu życiu. Dzieło, które rozpocznę, będę ku celowi prowadził.

- Pomogę ci.

- Banach przyjął mój plan i porozumiał się ze Spychalskim. Wierzę, że się nam uda.

- Śmiały plan, ma szanse. Myślę tylko o bolesnej próbie więzienia, którą będziesz musiał przejść.

- Po marszu zdecyduję się nawet na więzienie, to znaczy na śmierć. Nie ruszę się stąd. Będę siedział kamieniem aż do Zielonych Świąt. W pierwsze święto zejdem do Żywca, znajdę się wśród was. Rano. Rozpocniemy marsz równocześnie z trzech miast do Krakowa, a z Krakowa do Warszawy. Gdyby mnie śmierć spotkała przy tym, będę dumny, że choć na chwilę byłem na czele fali, którą wywołałem.

Rozmawiali z uniesieniem o szczegółach. Ogarnął ich entuzjazm. Żywiec miał wziąć w swoje ręce Wojnar, Nowy Targ - Banach, Nowy Sącz - Spychalski. List do Banacha już poszedł. Całością akcji miał kierować Wojnar, jako najbliższy powiernik hetmana. Przywódca chłopów jeleśniańskich był urzeczony fanatycznym zapałem, z jakim Janosik nadawał realne kształty niedawnej mglistej koncepcji.

- Ale musisz sobie uprzytomnić, Jasiu, że będziesz aresztowany od razu przez policję jako bandyta.

- A toś mi nowość powiedział! - parsknął młodzik śmiechem. - Toteż postanowiłem siedzieć w ukryciu, dopóki marsz nie stanie się rzeczą dokonaną. Najważniejsze, aby lud dał mi posłuch. Wy organizujecie marsz. Mnie mogą aresztować, ale pięć tysięcy chłopów nie mogą.

- Ja byłbym za tym, Jasiu, abyś się wcale w Żywcu nie pokazywał. Dajesz hasło i komendę; działasz z ukrycia. Chcę, abyś się nie wystawiał pod karabiny policjantów, bo nie myśl, że ci pozwolą chodzić wolno, gdy tylko poczują twój ślad na dole. Namyśl się, radzę ci

siedzieć tutaj.

- Chcę zejść do Żywca w ostatniej chwili. Niech mnie ludzie choć raz zobaczą. Może to ostatni raz. Przez rok trzymałem się od nich z daleka. I ja niech jeden raz zobaczę się wśród nich. Choćbym miał lec na placu z kulą w skroni.

- Prędeż z kajdankami na rękach.

- To najgorsze, co mnie może spotkać w życiu. Ale i na to się zgodzę, abym tylko dzieło doprowadził do końca. Życie moje nie miało dotychczas sensu; teraz go ma. Paliłem chałupy; głupie to było. Rabowałem dla zemsty. Dziecinna fantazja, zabawka. Teraz zobaczyłem cel.

- Chcesz więc zejść w dzień święta, pomimo mojej rady?

- Chcę.

- Ale to oznacza, że sam przyśpieszasz chwilę swego uwięzienia.

- Nie chcę nic innego, tylko tego, aby mnie ludzie zobaczyli. Mogę pozostać na miejscu, oni pójdą dalej.

- Pamiętaj jednak, abys się stąd nie ruszał przedwcześnie i nie narażał. Gdziekolwiek pójdziesz, będą cię ścigali.

- W tych lasach mogę siedzieć bezpiecznie. Gdyby nawet zaczęli iskać lasy obławami, mogę przywarować w Herdućce i pies się o mnie nie dowie.

- Ale gdy zejdziesz w doliny, nie umkniesz im, jak dzik osaczony w nagonce. Gotowi cię na śmierć zaszczuć. W każdej wsi rozesłano za tobą listy gończe.

- Dwa tysiące złotych nagrody wyznaczono za mnie. Zjawię się w ostatniej chwili. Niech mnie ludzie poznają.

- Ej, Janosik, Janosik! Gdybyś mnie był posłuchał tamtego roku! Jużbyś szedł dziś legalnie w chłopskiej delegacji z pokłonem do pana prezydenta.

- Trudno. Teraz pójde jako herszt bandycki.

- Niedaleko zajdziesz.

- Nie o to idzie. O to, aby ludzie stanęli na mój apel. Chciałem być przecież porządnym człowiekiem. Nie pozwolili mi. Co im wadziłem w Suchej na rampie? Aż tam, cholery, po mnie zalażyły. Oni zrobili ze mnie zbója. Miałem się dać pojmać i okuć w kajdany, jak wół, którego prowadzą do rzeźni? I zgnić w kryminale? Za co? Za to, że się ośmieliłem po mordzie dać wójtowi i policjantowi?

- Ja będę z tobą aż do ostatka.

- Widzę, że ty jeden będziesz mi najwierniejszy. Gdybym cię był poznał wcześniej, może inaczej ułożyłoby się moje życie. Jaka szkoda, że tak późno razem zaczynamy pracę!

- Na czas ją wykonamy - żyła na szyi Wojnara nabrzmiała; zdawało się, że pęknie. Oczy Janosika rozświeciły się, od szarości kamienia przechodząc w błękit.

- Podaj mi rękę. Którego dziś mamy?

- Dziewiętnastego.

- Ulotki wydrukujcie jak najszybciej i przez zaufanych natychmiast roześlijcie w teren. Żeby się nie dostały do prowokatorów; aby nie urwano temu łba przedwcześnie. Bardzo ostrożnie kolportować. Delegacje gmin idą do swojego miasta powiatowego. W pierwsze święto rano pochody mają być gotowe do wyruszenia z Nowego Sącza, Nowego Targu i z Żywca. Kierunek: Kraków. Każdy chłop niech weźmie ze sobą chleb na dwa dni. Trzeba zorganizować milicję porządkową.

- Obmyślę wszystko.

Układali tekst ulotek. Krótki, jasny, treściwy. Dwie ulotki. W pierwszej głosił Janosik: „Dam wam znak, kiedy macie ruszyć”. W drugiej podawał im hasło: „Zielenią się buki”. Takie miało być ich tajne, spiskowe zawołanie. Tym hasłem mieli się rozpoznawać i pozdrawiać chlopi zbierający się w trzech stolicach górskich powiatów w pierwszy dzień Zielonych Świąt, w doroczne święto ludowe. Przypadało ono trzydziestego maja. Właśnie wtedy pierwsza zieleń wystrzela z buków.

Ale machina urzędowej sprawiedliwości już była rozpędzona. Kunsztownie, zdradziecko oplatano sieć naokoło Janosika. Policja nie cofała się przed niczym, aby dopiąć zamierzonego celu.

W Uszczawnym Lesie w drodze na Pilsko znaleziono zwłoki starego Ćwiertniaka, zatrudnionego od lat przez dzierżawcę schroniska przy noszeniu żywności z dołu, z dwiema kulami w plecach. W kieszeni trupa znajdowała się kartka z napisem: „Giniesz za zdradę Janosika”.

Z szybkością wichru rozniosło się to po wsiach. Trup zabitego odbywał napowietrzną wędrówkę po całej Żywiecczyźnie w opowieściach podnieconych mieszkańców. Krew niewinnie przelana wstrząsnęła ludem. Czego on chciał od starego dziada? Dzierżawca schroniska pod Pilskiem nie mógł podać żadnych szczegółów dotyczących śmierci Ćwiertniaka. Wątpił jednak, aby starowina był związany jakimiś konszachtami z bandą. Poza obowiązkowym zejściem raz w tygodniu na dół do Korbielowa po prowiant i pocztę nie wydalął się całymi dniami ze schroniska, pracując przy sprzątanii budynku. Gałaś przedstawił policji kartkę, znaną rzekomo przy zabitym w bójce pijackiej Wojtku Rzezawie, adresowaną do Ćwiertniaka, z której wynikało niezbitcie, iż zbójce opłacali go jako

swego konfidenta. Ćwiertniak, stojący więc na usługach Janosika, miał zostać zgładzony w wyniku wzajemnych porachunków.

Już od wielu dni ludzie, przyzwyczajeni do ciągłych wyczynów harnasiów, nie mieli żadnej podniety. Policja dała im prędko ofiarę w postaci zamordowanego starca. Tak giną zdrajcy, pamiętajcie. Ta pierwsza krwawa zbrodnia poniosła ponad lasy groźne imię Jaśka Dziury. Zaczęto szeptać po wsiach.

- Miejcie się na baczności. Już swoich ludzi zabija.

Od wojny światowej nie znały te okolice wypadku zabójstwa. W 1918 roku na Groniu zamordowali bandyci dla rabunku kupca jeleśniańskiego w zagajniku, gdzie obecnie bieleje kapliczka wzniesiona przez rodzinę ofiary. Ale wtedy była wojna, świat zdziczał.

- Dwadzieścia lat żyliśmy tu bez zabójstwa, dopiero ten człowiek wniósł między nas ogień i krew.

- Może zwariował? - poddawał Gałaś grając w karty z paru naiwnymi, którzy jeszcze nie połapali się dotąd w jego oszukańczych chwytach. - Nawet najporządniejszy pies wścieknie się czasem. I nie ma rady, trzeba go zastrzelić.

Starostwo w Żywcu, podniecone zabójstwem, rozlepiło afisze podnosząc nagrodę za ujęcie lub wykrycie miejsca pobytu Jana Dziury do trzech tysięcy złotych. Janosik urastał do rozmiarów plagi.

„Trzy tysiące złotych!” - rozległ się szmer podziwu po osiedlach. Więc tyle wart dla rządu ten człowiek! Toż za to można zbudować domek dla letników! Piętnaście morgów pola kupić! Siedemdziesiąt krów! To jakiś wielki zbrodniarz, kiedy państwo, tak skąpe zawsze w udzielaniu pieniędzy, skłonne jest wypłacić trzy tysiące za niego.

Ale znaleźli się i niedowiarkowie, którzy odnieśli się krytycznie do usilnie kolportowanych pogłosek.

- Nie dajcie wiary plotkom. Policja zamordowała człowieka, aby tym mordem obciążyć rachunek Janosika. Czy słyszeliście kiedy dotąd, aby on zabijał ludzi?

- Nie.

- On tak zabił Ćwiertniaka, jak spalił Juraszka albo willę Matuszka. Albo pobił i porabował żydowskich handlarzy. To robota policji. Te łotry chcą mu zbrodnie na kark zwalić, aby się nie mógł z nich wywikłać. Będą go chcieli powiesić.

- Do tego dążą. Jasne. Bo za śmierć - śmierć.

- Jak w liście do nas pisał? Czytaliście? „Będą w was wmawiali, że Janosik zło czyni niewinnym. Kto tak mówi, kłamie.” Oho, my ich znamy! Kaczmarczyków i Franczaków, psia ich mać!

Kiedy wieść nieprawdopodobna o Janosikowym morderstwie przeniknęła do bandy za pośrednictwem bacy na Lipowskiej, hetman zawrzał z gniewu. Cel prowokacji policyjnych był wyraźny: zacieśnić i oplatać łańcuch zbrodni dokoła szyi Janosika tak ściśle, aby go nim zadławić.

Jak wicher popędził harnaś do towarzyszy. Opowiedział im, co i jak. Wzrok palił się jeszcze mocniej w jego twarzy. Można by powiedzieć: rozżarzył, gdyby w jego ogniu nie było tyle okrutnego zimna.

- Choćbyśmy nic nie robili, tylko siedzieli na miejscu, oni za nas będą palili i rabowali. A wszystko to pójdzie na nasze głowy.

Zgrzytali zębami, gotowi do zemsty. Ubierali się w pośpiechu.

- Pójdziemy pohulać z nimi.

- Ej, żeby Wojtek był! Każdy wziął dwa rewolwery.

- Jesteście gotowi walczyć wraz ze mną do końca?

- Gotowi.

Zlecieli na Lipowską, zabrali Smugawskiemu konie z szałasów bez pytania. Na Glinem przypomnieli sobie, że dopiero słońce zachodzi, zsiadli z koni, przypadli w gaju, omawiając plan wyprawy.

- Spalimy wójta Franczaka. I Witkowskiego w Przyborowie. Przeprowadził się na nowe mieszkanie, bo raz już spłonął. Zrobimy mu bal po raz drugi.

- Można.

- Trzeba, nie można - wódz sprostował Klimka. - Witkowski zrobił mnie bandytą. Później pognamy do Żywca, do starosty. Trzy tysiące za mnie daje. Niech popatrzy na mnie, czym wart tej ceny. I komendanta policji także odwiedzę chętnie.

Wieczór wstawał ciemny, pokryty chmurami. Księżyc dobiegający pełni wzeszedł prawie niepostrzeżenie. Zjeżdżali stromą ścieżyną w Uszczawym Lesie.

Cóż mu obiecywało życie? - rozmyślał harnaś. Jarzmo podłości i rezygnację, w rezultacie hańbę. Śmierć zapewniała coś znacznie piękniejszego. Piał się od kilku dni ku jednej wyzwolającej myśli, ale jak strząsnąć z siebie narastający płaszcz brudu? Czyżby w tej jeździe mściwskiej tkwił już także zarodek klęski?

Galopowali drogą ku Krzyżowej z przeraźliwym tętentem kopyt. W dziesięć minut byli na rynku w Jeleśni. Wójt Franczak mieszkał niżej, za kościołem, w kierunku stacji kolejowej. Nie było im to na rękę, albowiem z rynku w prawo strzelała droga do Przyborowa.

- Jedziemy najpierw do Witkowskiego - huknął hetman i zawróciwszy gwałtownie konia pod sklepem Pasika pomknął na wschód.

Miękko kłusowali na przełaj przez łąki. Zsiedli z koni, zaczepili je u gałęzi wolno stojących brzoź. Chmury zalegały niebo, księżyc był niewidoczny. Ostrożnie zbliżali się do przysadzistej chaty. Wszystko było uśpione. Janosik z Klimkiem wspięli się po węglach z obu rogów domu, dotykając głowami strzechy, wtykali płonące zapalki w siano i słomę zalegające strych. Każda chałupa wiejska wypchana jest na strychu roślinnym suszem. Domostwo zaczęło płonąć od dachu.

Jędrak stał na straży. Dla pewności Jasiek wsadził głowę do wnętrza pomiędzy dyle i podrzucił siódmą zapalkę pod kupę słomianych powróseł.

- Już! - usłyszał niecierpliwy, syczący głos z dołu. Zanim zdążył głowę wywinąć spod dyli, rozległo się szczekanie psa, a potem nagły strzał rozdarł powietrze. Jakiś hałas w mieszkaniu, wywalanie drzwi, znowu strzał. Opryszek chybnął z węgla w trawę, zaczął uciekać ku brzożom. Niestety, poprzez zasłonę rzadkiej chmury przebiła się jaśniejsza księżycowa świetlistość.

Na oślep buchała strzelanina. Trzej mężczyźni w białym gonili po łące jak duchy, paląc co chwila z karabinów. Jasiek pomknął w bok, sunąc wzdłuż miedzy w kierunku koni. Usłyszał jęk Klimka. Palba ustała. Ku koniom nadbiegał, sadząc skokami, Jędrak.

Klimek legł, ranny w pierś. Zobaczył zbliżające się ku niemu trzy białe zjawy.

- Poddaj się! - wołali. - Odrzuć rewolwer!

Wypalił do nich jeszcze trzy razy. Jeden z duchów zakołysał się i opadł na łąkę. Dwaj pozostali wystrzelili do leżącego. Dostał postrzał w ramię.

- Poddaj się, bo cię ubijemy na miejscu.

- Już się wam poddam, dranie.

Huknął strzał. Klimek wypalił sobie w lewą pierś, tam gdzie według jego rozumienia powinno być serce. Nie pomylił się. Osunął się na bok i znieruchomiał.

Tymczasem dwaj mężczyźni podnieśli wrzask, pędząc ku domowi. Pożar przebłyskiwał spod strzechy. Zanim dobiegli, zwała się boczna ściana strychu i ogromny płomień trysnął nad chałupą. Z czego składa się dom mieszkalny w nędznej babiogórskiej wsi? To kupa drewna, ułożonego wymyślnie: w trzy klatki nakryte czwartą, trójkątną. Ogień szybko trawił górę. Teraz lizał powalę, z grubych bali sosnowych ciosaną. Mężczyźni, zerwani ze snu, w nocnej garderobie, pozostali tak już na polu. Powrót do domu był odcięty. Zbliżyli się do rannego towarzysza. Z sąsiednich chat wleczono mokre szmaty, konwie z wodą. Nie na wiele się to przydało, chyba aby wybronić inne domostwa od ognia. Noc, choć chmurna, była bezwietrzna. Chałupy, jak zresztą w całym Przyborowie, były pobudowane w dużych odstępach od siebie. Mieszkańcy, zbudzeni nagle strasznym dopustem żywiołu,

oblewali wodą swoje strzechy i żegnając się z przejęciem, patrzyli na potężny słup ognia, buchający z drewnianego stosu. Od wieków ogień budził w ludziach grozę i religijny lęk.

Już po raz drugi płonie pan Witkowski. W zasięgu płomieni zobaczono dwóch mężczyzn w białym, nachylonych nad trzecim. To policjanci. Dwóch ich przybyło o zmroku na nocleg do Witkowskiego, gdyż nazajutrz o świcie miała ruszyć oblawa w cyłońskie lasy. Jeden z policjantów był ciężko ranny. O dwadzieścia metrów dalej leżał dobrze widoczny w blasku łuny trup harnasia. To Klimek, ranny dwukrotnie, który sam siebie trzecią kulą dobił, aby nie wpaść żywym w ręce policji.

Jasiek i Jędrzek umknęli. Pod cmentarzem hetman obejrzał się, drugi raz uczynił to przed mostkiem na Bystrej. Zobaczył czerwony odblask, wstępujący pod czarne stopy Mędralowej.

- Dzieło dokonane - rzekł z zaciśniętymi zębami. - Ale straciliśmy Klimka.
- Koło mnie kulki gwizdały - mówił Jędrzek - ale uciekłem. A on, biedak, został.
- Drogo się sprzeda. Widziałem, jak jeden w gaciach zwałił się na trawę.

Nie odezwali się słowem więcej, ogarniało ich podniecenie. Gdyby im naprzeciw wyszła kompania wojska, biliby się do ostatniego tchu. Kłusowali po wiejskiej drożynie; ach, to nie ta, którą mieli obrać. Żądza odwetu zaślepiła ich. Nie spostrzegli się nawet, że jechali ku Malej Sopotni, omijając rynek jeleśniański.

- To nic. Jedziemy na krótsze drogi, wprost do Żywca. Poniechali na razie wójta Franczaka, gnając ku staroście.

- Wiesz, który to dom?
- Wiem.

Puścili się galopem po pustej drodze. Noc groziła deszczem. Martwo łyskały ku nim ściany chałup Sporysza. Rwali z kopyta przytuleni do karków zwierząt, obłąkani zemstą, rozżaleni stratą Klimka, którego musieli zostawić na placu boju. Przez chwilę ważył Jasiek w mózgu niemożliwy plan powrotu do Przyborowa i zastrzelenia wszystkich trzech policjantów. Ale rozwaga zwyciężyła. Tam już musi być pół wsi na miejscu. Na chmurnym tle nieba wynurzyła się wieża kościoła żywieckiego. Zadudniły kopyta w przejeździe przez most. Z hałasem wjechali na kamienne kocie łby ulicy.

- Zbudzimy wszystkich w mieście - skrzywił się Jędrzek.
- Mogłeś owinąć kopyta szmatami - zadrwił Jasiek i gnał dalej. Cel nie był daleki. Minęli zaledwie jedną ulicę, z której otwierał się wlot do rynku. Zatrzymali się. Przed nimi, oddzielona ogródkiem od ulicy, rysowała się samotna jednopiętrowa willa z szerokimi oknami. Zsiadli z koni. Ten piękny, mocny dom, wzniesiony w ogrodzie, jak okręt na morzu,

ma wygląd dostatni, jak gdyby chciał powiedzieć: tu się dobrze żyje.

- Będziesz wartował u wyjścia. Nawalimy od stróża gratów na kupe, oblejemy naftą albo benzyną, może się zapali, choć to, psiakrew, murowane.

Brama była zamknięta. Herszt zadzwonił: Po chwili klucze zabrzęczały w sieni, jakiś stary głos kobiecy zapytał:

- Kto tam po nocy? Do kogo?

- Do pana starosty. Mamy oddać pilny raport od pana komisarza z poświadczeniem odbioru.

Drzwi uchyliły się, w szparze ukazała się twarz staruszki, niechętna i skrzywiona. Harnaś rozparł drzwi nogą szeroko, pociągnął za sobą Jędrka. - Prowadź nas, kobieto, najpierw do swego mieszkania.

Zatrzęsała się ze strachu. Ale hetman ścisnął palcami jej ramię i rzekł: - Tylko cichutko, ani słowa. Bo będzie źle z wami. Męża macie?

- Nie. Tylko syna.

- Żonaty?

- Kawaler.

- Gdzie jest?

- W szynku.

- To świetnie. Jędrak, pilnuj, żeby nie uciekła. Tam pod schodami leży bańka z benzyną. W sam raz dla ciebie. Ja idę na chwilę porozmawiać ze starostą.

Śmignął na górę. Właśnie gospodarz domu przekreślił klucz w zamku, zbudzony niezwykłym hałasem. Chciał krzyknąć na dozorcę, otworzył drzwi, ukazując się na tle oświetlonego przedpokoju w niebieskiej pidżamie, wysoki, rumiany blondyn, mrużący co chwila powieki.

- Pan starosta? - zagadnął go Janosik. Nim tamten, przestraszony, zdążył zatrzaskać drzwi, zbój jednym skokiem znalazł się przy klamce. - Niech pan nie zamyka, ja przecież do pana przyszedłem.

Przepchnął się, wszedł do przedpokoju.

- Co to ma oznaczać? - zmrużył oczy starosta i w tym momencie drgnienie przeszło jego ciało. To jeden z bandytów Janosikowych. Rewolwer w ręce, szczęki zacięte z wyrazem okrucieństwa.

- Nic nie ma oznaczać. To wizyta.

- Wizyta w nocy? - zdziwił się gospodarz i struchlał, zobaczywszy w świetle oczy napastnika. Czy to nie ta twarz widnieje na rysopisie w ogłoszeniu o trzechtysięcznej

nagrodzie? Harnaś wskazał uzbrojoną prawicą szklane drzwi.

- Proszę wejść do pokoju.

Pod naciskiem lufy starosta otworzył drzwi wycofując się w głąb mieszkania. Janosik za nim.

- Zapalić światło! Zaświecił.

- Dać wszystkie pieniądze, jakie pan ma. Prędej! Tamten sięgnął do portfelu. Rabuś szarpnął go za rękę.

- Czy pan mnie ma za dziada? Tak, to prawda, ale ja jestem królem dziadów!

Pchnął go rewolwerem tak brutalnie, iż tamten zachwiał się. - Potrzebuję tysięcy. Marsz do biurka!

Starosta otworzył bez sprzeciwu szufladę biurka. Oko Janosika dojrzało pożądaną zdobycz: pliki dwudziesto- i pięćdziesięciozłotowych banknotów. - O, to dobre! - wpychał niedbale pieniądze w kieszeń. Zabrał z nocnego stolika zegarek i papierośnicę. Stanął przed obrabowanym, gotów do odejścia.

- Niech mi się pan przypatrzy. Nazywają mnie Janosikiem. Zrobiliście mnie bandytą, pan i cała pańska szajka łajdaków, jak oni się tam nazywają, ci policjanci i wójtowie. Wyście mnie osaczyli jak psa zgonionego za to, że ośmieliłem się ująć za pokrzywdzonymi. Że chciałem świństwu i złodziejstwu tamę położyć. Biliście wy chamów po pyskach - ja pokazałem, że i chamy mogą was bić. I wyście się za to na mnie uwzięli. Mógłbym pana zdeptać na miejscu jak glistę, ale brzydzę się mordem. Trzy tysiące ustanowił pan za moje ujęcie. Za dużo, panie starosto, jak na moje nędzne życie. Tyle nie jestem wart. Gdybym wiedział, że naprawdę uczciwie wypłacicie tę nagrodę, sam poszedłbym do jakiegoś biedaka i oddał mu się w ręce: „Prowadź mnie, bracie, do Żywca, zarobisz trzy tysiące od starosty. Mają mnie sami kiedyś wziąć, ty mnie zdaj. Chcę ci pomóc; ładny pieniądz wpadnie ci do kieszeni.” Ale kto uwierzy w obietnice starostwa, kiedy każdy wasz postępek jest łgarstwem od początku do końca?

Starosta słuchał oniemiały. Oczy rozwarł szeroko ze strachu, ręce bezradnie położył na szwach pidżamowych spodni. Jasiak huknął nań nagle:

- Położyć się na ziemi!

Uśluchał rozkazu bez oporu, przypadł na dywan. Janosik ściągnął z łóżka prześcieradło, skręcił, obwiązał ofierze ręce i nogi. Dla gwarancji poprawił jeszcze sznurkiem od płaszcza kąpielowego. Wziął starostę na plecy, podszedł do okna, otworzył je i wyrzucił ciężar na ogród z pierwszego piętra jak tłumok.

„Nic wielkiego mu się nie stanie” - mruzczał. Istotnie, piętro było niewysokie, a w

ogrodzie rosły kwiatki na pulchnych grządkach. Już zbiegał po schodach. Na dole rozlegał się spazmatyczny płacz kobiety. Jędrak właśnie wybiegł do bramy.

- Pali się.

- Wiejmy stąd, do nagłej cholery.

Janosik skoczył ku kobiecie, wynoszącej ze szlochom pościel z mieszkania. Wyjął banknoty, które nie zdążyły zagrazać miejsca w jego kieszeni, wraził jej nieporadnie w rękę.

- Uciekajcie stąd co rychlej, matulu. Starosta leży w ogródku. Nie mówcie nikomu o tych pieniądzach, które wam daję, nikt o tym nie będzie wiedział. To na otarcie łez, że zostajecie bez dachu nad głową. Ja wam nic złego nie chciałem zrobić. Ale tak musi być.

Ledwo wyskoczył z bramy, rozległ się strzał w ulicy. Tam właśnie, skąd słyhać było galop Jędrka. Zorientował się w mig. Koń stał przy ogrodzeniu willi; skoczył w okamgnieniu, kopiąc go obcasami niemiłosiernie po brzuchu. Drugi strzał rozległ się potwornym echem w ulicy. Uszy hetmana dosłyszały, jak koń towarzysza pośliznął się na kamiennych kostkach i zgrzytnął kopytami od nagłego zahamowania. Nie było czasu do namysłu. Janosik gnał w przeciwną stronę ulicy. Do rynku. Kopyta dudniły niesamowitym łoskotem. Znowu zagrzmiała palba. Kule pobięły w ślad za uciekinierem.

„Ktoś zaalarmował policję” - pomyślał w galopie. Zapewne żona starosty wezwała pomocy telefonicznie. Dwuminutowemu spóźnieniu zawdzięcza harnaś, że się nie natknął na zasadzkę. Więc Jędrak przepadł. Musieli konia pod nim ubić i tak został otoczony. „Ja będę walczył do końca” - zaciął zęby, ściskając brzuch koński kolanami. Koń dyszał ciężko, potykał się. Młody, bo młody, w zaprzęgu jeszcze nie chodził, silny, lecz nie należał do rasy wierzchowców. Smugawski brał na wypas z całej wsi młodziki od górali. Ten karosz nie dorósł do takiej wyprawy. Kto wie, czy nie przyplaci jej śmiercią.

Zwolnił tempo. Kłusował w kierunku Sopotni Małej. Czy nie słyhać przypadkiem pościgu? Może są zbyt zajęci Jędrkiem? A może pogonili w kierunku Jeleśni? Obejrzał się na północ. Czy tam nie widać odblasku łuny na zachmurzonym niebie? Noc bladła niepostrzeżenie. Czy willa starosty zajęła się płomieniem?

Biedne zwierzę wlokło się na wędzidle, robiło bokami, opuściwszy uszy. Przez mózg Jaśka przepływały chaotyczne obrazy, błyskały tysiące tłoczących się myśli. Przejechał drewniany mostek. W mgławym świetle ukazały się niskie, rzadko rozstawione chałupy Małej Sopotni. Przed pierwszą z brzegu chatą zsiadł z konia, zastukał. Jakaś psina spod węgła zaczęła ujadać. Z sieni dobył się hurkot odsuwanej drąga, w drzwiach pojawiła się zaspana twarz wyrostka.

- Czego? - zgrzytnął parobek. - Ktoś ty?

- Janosik.

Tamten otrzeźwiał w jednej chwili. - Łiesz, parszywy psie!

Dostał w zęby, aż się zatoczył. Harnaś pchnął go w głąb sieni, gdzie chłopak tryknął znów głową o przetak i z powrotem popadł w zamroczenie, równe poprzedniemu zaspaniu.

W izbie pod ścianą robił się ruch, Wąsaty starszy chłop przecierał oczy. Na drugim łóżku kobieta oblekała właśnie spódnicę przez głowę.

- Słyszeliście kiedy o Janosiku?

Odpowiedział chłop, który był głową domu: - Mój brat go widział na targowicy w Żywcu, jak przemawiał na wiecu. Wołali dawniej na niego Jaś z Głuchaczek.

- Ja jestem Jaś z Głuchaczek.

Mężczyzna w łóżku drgnął i przeżegnał się. Wstał z łóżka, w brudnej koszuli i kalesonach.

- Dajcie się napić mleka.

- Wikta, daj.

Żona nerwowo krzątała się koło szafki przy garnkach. - Dziś jeszcze nie dojone. Chyba wczorajsze wieczorowe, chcecie? A może kwaśne?

- Wczorajsze wieczorowe.

Przechylił do ust garnuszek, pijąc chciwie. Gospodarz oglądał młodzieńca z zapartym oddechem, od butów po kaszkiet, jak przybysza nie z tego świata.

- Co wy tu robicie? - odważył się zapytać.

- Bawię się z policją w chowanego.

Umilkli, posłyszawszy słowo: policja. Gość napił się drugi garnuszek. Miał twarz zbłąkanego, wygłodzonego psa. Oczy niespokojnie gorzały. - „Nie ulega wątpliwości, gonia go” - pomyślała kobieta.

- Chcecie zarobić trzy tysiące złotych?

Chłop w kalesonach zachnął się: - Nigdy nie będę Judaszem. Skapiałbym marnie pod płotem, gdybym was wydał. Jednej nocy do śmierci bym nie przespał.

Janosik macał się po kieszeniach, zakłopotany, nie mogąc z nich nic wydusić. Znalazł wreszcie coś w kieszeni wewnętrznej na piersiach.

- Nie mam pieniędzy. Weźcie sobie ten zegarek i papierośnicę za grzeczność. Zostańcie z Bogiem.

- Boże was prowadź.

Wybiegł, napój przywrócił mu świadomość. Jeszcze sobie kogoś przypomniał po drodze. Szkapą już nie chce powłóczyć nogami, może zdechnie. Porzucił karego w krzakach

przy drodze. To i tak sopotniański koń. Ktoś znajdzie go i odda właścicielowi. Jeszcze kilometr drogi i wyłoniła się wieś Sopotnia Wielka. Dzień zapowiadał się ponuro, deszczowo. Janosik wlaź w olszynowy zagajnik i ścieżką prowadzącą na przełaj szedł ku chałupom.

Robił się brzask. Żona Ziomka kręciła się koło stajni. W oknie pokazał się mały synek. Kobieta przestraszyła się nieznanego. Ale wnet ochłonęła, przypuszczając, z kim ma do czynienia.

- Nie ma męża?

Wyjaśniła, iż mąż wyszedł kwadrans temu do Jeleśni, do kościoła, oraz aby odwiedzić Wojnara i zasięgnąć języka. - Bo jakaś strzelanina straszna była tam w nocy - dodała.

- Była.

- Podobno wójt Franczak zabity.

- Nie wiem o tym.

- Mąż poszedł się dowiedzieć, co się tam stało. Czy wyście może Janosik?

- Ja.

Zadrżała mimo woli. - Ja czułam - odgarnęła włosy z czoła gestem podświadomej zalotności.

Patrzyła na młodzieńca. Zwichrzone, sklezione włosy, zbrudzona niebieska koszula pod popielatą marynarką, twarz wychudła, szczęki zaciśnięte, oczy szare jak kamień, rzucające stalowe błyski.

- Pokażcie mi, gdzie mieszka Gałaś.

Daleko. Wyszła za węgiel chałupy, wskazując widny na wzgórzu, szeroko rozsiadły dom, kryty świeżymi gontami, z czerwonym wysokim kominem.

- Ten z furtką w ogrodzeniu. Czerwony komin na nim. Takiego drugiego komina nie ma nigdzie naokoło.

Wystarczyło mu to objaśnienie. Pomknął ku wzgórzu bez wahania. Z nieba zaczął padać deszcz ospale, rzadkimi cienkimi kropelkami. Jasiak przeląkł się, czy aby deszcz nie zdusi ognia.

Z obejścia na pagórku podniosło się pianie kogucie, nasilone, nadmiernie przedłużone, jak niesamowity sygnał. Ranek nie grzeszył jasnością, a teraz osepiał się jeszcze mgłą oćmą.

Zaszedł od tyłu. Zrobił niespodziankę, wkroczywszy w próg. Pies zerwał się z alarmem w ostatniej minucie. W sieni wylazł gościowi naprzeciw wąsaty chłop w wyczyszczonych butach z cholewami, w nie dopiętych spodniach, odświeżonej koszuli, z twarzą namydloną do golenia; zapewne ojciec parobka. Straszliwy cios pięści obejmującej

rewolwer wepchnął go z powrotem do otwartej izby. Stary od razu rozciągnął się jak długi. Skoczyli do napastnika Gałaś, jego brat oraz matka. Wyciągnęły się ku niemu trzy pary rąk. Uchylił się, lecz długi kułak Gałasia dosięgnął go w skroń pod okiem. Kłujący ból przeszył głowę Jaśka. Trzasnął drągala głowicą rewolweru w szczękę, parobek zachwiał się. Harnaś oparł się o ścianę, porwał za rękaw młodszego, obrócił go i z pomocą kopniaka frygnął nim w dwoje pozostałych. Trzy ciała zwały się na brudne deski podłogi. Krościaty drągale podniósł się wolno, wlokąc się na czworakach ku progowi. Kopnięciem w biodro osadził go Janosik ponownie na miejscu. Przywarłszy do niego, bił go na oślep prawicą uzbrojoną w żelastwo, dodawał butem po głowie. - Masz za Wojtka! Masz za Wojtka! - dyszał. Tylko nie zabić, powtarzał sobie; niech się męczy. Łeb Gałasia wyrznął parę razy w próg, we włosach pokazała się krew. Przywłókł za portki ojca spod ściany, stłoczył wszystkie cztery ciała na kupę, każdemu z nich dołożył. Jeszcze raz wyróżnił kopnięciem zabójcę Wojtka już i tak nieprzytomnego i włożył po drabinie na górę. Koguty, niczym nie zrażone, piały na dworze w ślepej rywalizacji między sobą; pies ujadął zżarcie. Jasiek podpałił górę siana sięgającą krokwi, skoczył nad stajnię, wepchnął płonąca zapalną w snopek słomy. Z błyskiem w oczach, z zaciśniętymi zębami ześliznął się po poręczy drabiny. W sieni potracił wychodzącą z drugich drzwi staruszkę, runął w pole. Pies szczekał do ochrypnięcia, koguty piały przejmująco, aż strach brał. Na zmianę, na wielką zmianę. Czy przeczuwały, że na wieczór nie będą miały gdzie nocować?

Deszczyk siąpił niezbyt ostro. Janosik umykał w stronę najbliższego lasu, na południe. Nawet wola ucieczki była u niego czystym odruchem, drgnieniem podświadomości. Biegł z pół godziny w górę, trawa przeszła w mech, mchy przeszły w cetynę. Znalazł się w rzadkim lesie. Zatrzymał się pod jodłą.

Dokąd iść? Uciekać! Znajdował się w stanie nerwowego napięcia. Jeszcze nie wyczerpał swojej zemsty. Jeszcze wójt

Franczak pozostaje do załatwienia. A Kaczmarczykowi nie należało się nic? A komisarzowi?

Wójt Franczak! To przecież generał złodziei, patentowana świnią.

„Nie uciekniesz im, gdy tylko zejdziesz w doliny. Zagonią cię na śmierć” - powiedział mu Wojnar. Musi się z nim zobaczyć. Potem niech się dzieje, co chce. Wojnar trzyma w ręku całe święto chłopskie. Poszły już po ludziach ulotki. Całe Podhale ma ruszyć w to święto, cała Żywiecczyzna, całe Nowosądeckie. Pięć tysięcy chłopów wali do Krakowa. Domy i okna umajone świeżą zielenią, dwustu milicjantów pilnuje porządku, wszyscy pozdrawiają się hasłem: „Zielenią się buki”.

Zerwał się spod jodły. „Łotry zrobiły mnie bandytę.” Pomyślał o Wojnarze jak o kimś, kto go ma odkupić z całej haniebnej przeszłości, o kimś, kto dzierży w ręku klucze jego ocalenia. Musi koniecznie zobaczyć się z nim, chociażby miał przypłacić to śmiercią.

Poczuł głód. Deszcz nie przestawał padać. Może to nie głód, lecz znużenie. Pomacał się po skroni. „Ciekawe, Gałaś wyrznął mnie pod oko, a boli mnie z tego ucho.”

Byle dojść do strumienia. Nauczył się wodą oszukiwać żołądek. Znalazł potok, orzeźwił się, napił, obmył. Pieczołowicie przemył oko. Na wszelki wypadek przemył i ucho.

Zwalił się pod smrek, ogarnęło go ogromne znużenie graniczące z omdleniem. I w omdleniu tym wydało mu się, że wędruje znajomym sobie szlakiem w górę nad koszar przyborowski, nad Gajkę, ku Głuchaczkom. Czarny, nabrzmiały brzuch Cyłu w szarości słotnego dnia pcha się do połowy nieba. Przerzedzają się smukłe jodły Maziarzowego lasu u dołu polany. Już nie Maziarzowego. To od roku własność sołtysa Kamienieckiego. Z pięciu chałup na Głuchaczkach rozcapierzają się kręte kędzierzawe obłoczki dymu; gotuje się obiad. Juraszkowego domostwa już nie ma. Obok Mitanowego obejścia czernieje wypalone, zwęglone kolisko, ślad po szóstym gospodarstwie.

Jasiek kroczy wąską, ubitą ścieżyną w górę. Ile razy jego stopy deptały ten wąski szlak, łączący śródleśny przysiółek z osadami dolin! Od Mitanki wychodzi ku niemu Ślepek.

Rany boskie! Ślepek! Więc nie umarł? Kochany, stary dziadek zatrzymuje się, uśmiecha się do młodzieńca. Ta sama twarz: sto fałd. Te same oczy: wyblakła niebieskość. Brunatna ręka z obwisłą skórą głaszcze zwichrzone ciemnoblonde włosy nad czołem. Chłopiec czuje pieszczotę spracowanej dłoni, słyszy znajomy głos, tak dawno nie słyszany.

- Jasiu Brzozowy Listku!

- Staruszkule, chcieli nas oderwać od siebie. Ale jesteśmy znów razem. Wrócę do was na Głuchaczki, będziemy gospodarowali we dwójkę.

Tak; ojca poniecha w Jurgowie, tu będzie mieszkał. Ślepek podnosi dłoń, kładzie na jego ramieniu. Ręka obciążona jest żyłami i skórą tak sfałdowaną, że podobną do zbyt obszernej rękawiczki. Drugą ręką zatacza koło po polanie, wskazuje pięć gospodarstw z kłębiącymi się nad nimi dymkami.

- Tu nie wracaj. Nie zostanie tu ani jedna belka. Trawa tu będzie szumiała wysoko, sarny będą się na niej pasły o świtanie. Przeniesiemy się, będziemy gospodarowali w górze.

Co to znaczy? Pokazuje oczyma wysoko. W górze? Może to znaczyć na wyżnich halach pod Cylem albo w niebie.

Młodzieniec zdumiał się, spojrzawszy na starca. Ślepek rozplątał się przed nim w powietrzu. Gdzie się podział? Jeszcze słyszy jego z lekka chrapliwy głos, jeszcze czuje na

ramieniu jego rękę. Dziadek zniknął mu w oczach.

Rozwarł powieki w osłupieniu i odczuł, że je dopiero teraz otworzył. Ach, majaczy! Siedzi pod tym samym smreczkiem, o który się poprzednio oparł, a wszystko było przywidzeniem. Po gorącu niedawnego spotkania zmroził go powrót do gorzkiej samotności w wilgotnym lesie. To tak, jakby ze szczęśliwej śmierci wracać do męczącego życia.

Chyba już dawno minęło południe. Deszczyk niby kropił, było ciągle szaro, beznadziejnie. Korzenie drzew wiły się nad rudą podściółką cetyny, długie i pokrzywione. Jasiak utkwiał oczy w zylastych gałęziach korzenia. Powieki zamykały się raz po raz ociężałe, jakby zmęczone nadmierną pracą. Na takim korzeniu potknąć się i upaść. Upaść to znaczy zginąć.

- Jasiak!

Wojnar przeląkł się go jak zjawy zza grobu. Jeszcze chudszy niż zwykle, bo przemoknięty od deszczu, blady, strudzony, powalany, wargi zaciśnięte, włosy wilgotne, przylepione do głowy. Tylko oczy goreją.

- Coś narobił?

Janosik opadł ciężko na ławę. - Co się stało?

- Witkowski spłonął po raz drugi.

- Ja go spaliłem.

- Jeden policjant umarł, a Witkowski ranny.

- Ciężko?

- Lekko. W rękę. Chodzi z bandażem.

- A Klimek?

- Ubity. Dostał dwa strzały, trzecim dobił się sam.

Jasiak podniósł bezwiednie rękę do twarzy, przesunął po czole.

- Zabił się sam - wyrzekł powoli, opanowując wzruszenie. - Zawsze mówił, że się nie da żywcem wziąć policji. No tak, walili do niego z karabinów na oślep. Ci dwaj mężczyźni u Witkowskiego, na których natknęliśmy się, to byli policjanci?

- Tak. Nocowali u niego. W gaciach pozostali wszyscy trzej. Nawet mundury się im spaliły. Jeden umarł dziś w południe od rany w brzuch.

- Umarł - młodzieniec potarł policzki ponownie ze zdenerwowania, pokiwał głową. - Umarł - powtórzył. - Idzie i mnie ku końcowi, Wojnar.

- Mówiłem ci: nie schodź w doliny.

- Zeszedłem. Musiałem zejść.

- Obiecałeś mi, że będziesz siedział w górach aż do święta. Nie dotrzymałeś terminu.

- Nie dotrzymałem.

- Po co ty tu łazisz? Do środka mrowiska! To szaleństwo. Wrogowi w paszczę! Złapią cię i koniec.

- Nie mogłem tego ścierpieć. Oni by całą wieś spalili i na moje barki ogień złożyli. Zaczęliby mordować wszystkich i mnie przypisałiby tę krew. Wściekłem się za Ćwiertniaka. Co ja mam z tym wspólnego? Mścić się trzeba. Czy nie będzie kresu łajdactwom?

- Nie będzie - potrząsnął smutno głową Wojnar. - Dziś w południe, gdy byłem w rynku pod sklepem Pasika, przyszła wiadomość do gminy, że w Żywcu złapano Jędrka. Willa starosty poszła z dymem. I dwa domy razem z nią, co stały obok.

- Dostał im się jednak w ręce Jędrak!

- Konia pod nim zranili. I wzięli chłopca żywcem.

- Bili do mnie w ciemności, ale bez skutku. Zdażyłem zwiać. Jak zwykle - zaśmiał się gorzko - ja zawsze zdażę zwiać. I pozostałem sam. Wódz bez wojska.

- Starostę znaleziono w krzakach, poturbowanego i związanego. Ej, Jasiek! Narobiłeś dużo nieszczęścia. Mówiłem o tobie z Świerkowskim, aptekarzem z Żywca, naszym prezesem. Ciężko stoją twoje sprawy. Jeśli cię złapią, trzeba się będzie oglądać za sprytnymi adwokatami.

- Nie złapią mnie do Zielonych Świąt. A później jest mi obojętne. Nie myśl o adwokatach, Wojnar. To tak, jakbyś myślał o przygotowaniach do mojego pogrzebu. Mówiłeś, że starosta pozwolił na zgromadzenie ludowe w niedzielę?

- Świerkowski dostał zezwolenie na odbycie akademii ludowej na placu targowym, z tym że do południa ma się to skończyć i rozwiązać. Ale na pochód późniejszy zezwolenia nie ma.

- To co? Z legalnej akademii wyłoni się pochód z delegacjami.

- To właśnie ratuje naszą akcję. Nazywa się, że górale po akademii samorzutnie wybierają się z adresem hołdowniczym do prezydenta w Warszawie, a po drodze złożą pokłon na Wawelu w krypcie marszałka Piłsudskiego. Tylko władze od razu powiedzą: „Cóż to za delegacja? Tyle tysięcy chłopów? To wojsko, nie delegacja”. Na śmiałą sprawę się ważymy.

- Zobaczymy. Niech się tylko rozpocznie, później to już się samo rozpędzi. Ja swoje życie poświęciłem na stracenie. Wy także musicie być zdecydowani.

- Sprawa ludowa to nie stracenie. O nas się nie bój. Cztery razy siedziałem w więzieniu, nie licząc aresztów śledczych.

- Którego dziś mamy.
- Dwudziestego trzeciego. Niedziela.
- Jeszcze tydzień.

- Pamiętaj, Jasiek: pozostań w ukryciu. Nie schodź w doliny. Władze są rozwścieklone, wszystko wre, jutro, pojutrze będzie oblawa. Przecież już jedno życie ludzkie masz na sumieniu. Przestań, uspokój się, przywaruj. Mało ci tej hipoteki bandyckiej? Nie utrudniaj nam i tak trudnej pracy. Być może, że będę wkrótce aresztowany.

Jasiek odparł gorączkowo: - Nie przeszkodzę wam w niczym. Odpokutuję za zbrodnie, to już postanowione. Nie ma o czym gadać.

- Oby ci Bóg pozwolił przetrwać!
- Bóg? - pokiwał młodzik głową. - Bóg nigdy mnie nie kochał.
- Modliłeś się kiedy, Jasiek?

- Jako dziecko zachwyciałem się światłem, śpiewem i złotem. Później wszystko jakoś wydało mi się dziwne. Ksiądz przy ołtarzu coś szepcze, on swoje, ludzie swoje, każdy w innym języku; nie rozumieją się chyba. Co chwila ksiądz przykłęka, co chwila się odwraca. A gdzie tu jest Bóg? Między świeczkami błady Pan Jezus, naokoło baby terkoczą cichutko paciorki na różańcach. Wolę tego Boga, który rozłupuje jodły piorunami w burzy. Z Nim jestem dobrze. Ale Ten, co w kościele wisi, gniewa się na mnie. Daj mi parę papierosów.

- Dostaniesz ode mnie wiadomość przez Ziomka do Smugawskiego. Wiej stąd natychmiast, Jasiek. Jeszcze tydzień. Pamiętaj, nasze hasło: „Zielenią się buki”.

Opuścił chatę Wojnara. Był tak przepelniony ponurą pasją niszczenia, trwającą od wczoraj, że stracił wszelką miarę ryzyka. Wkroczył śmiało do karczmy Habera, niepomny przestróg przyjaciela, niepomny czujności, rozsądku, instynktu. Któż wie, czego tam szukał? Czy wójta Franczaka, z którym (pamiętał to dokładnie) planowanego porachunku nie załatwił? Czy guza na czole? Czy po prostu czegoś do zjedzenia?

Wszedł do szynku spokojnie, z godnością, wywołując przestraszyć wszystkich zebranych. Było ich około piętnastu, pomiędzy nimi wójt Franczak (przodownik znudził się i opuścił druha). Zadrżeli, rozpoznawszy herszta w świetle lampy naftowej. Jasiek skierował się prosto do szynkwasu, za którym stał, truchlejąc z przerażenia, Haber.

- Szklanę piwa.

Połowa zebranych uciekła w pierwszym momencie. Karczmarz natoczył napój dygoczącą dłonią. Harnaś rozejrzał się po pozostałym towarzystwie. Siedzieli oniemiały, nieruchomi. Oczy ich obserwowały ruchy Janosika przy ladzie - rychło wyciągnie rewolwer i zacznie w nich tłuc. Przybysz wyłowił nagle wzrokiem w gromadzie Franczaka, choć ten

skulił się, jak mógł. Pragnął w tej chwili zapaść się w ziemię, skurczyć się do rozmiarów niewidzialnych.

Twarz Janosika zmieniła się w okamgnieniu. Zbladła, niby piorun przeszył ją ukośny grymas.

- Co? Pan tu jeszcze jest, panie wójcie? Jeszcze pan żyje? Pańskie miejsce już dawno w kryminale. Weźcie mi tego złodzieja i drania sprzed oczu!

Rzucili się na niego hurmą ku ladzie. Chlusnął piwem w najbliższego, szklanicą wyrznął w łeb wójta. Rozległ się brzęk szkła. Harnaś kopnął pierwszego chłopca z brzegu, napastnik zwałił się na ziemię, drugi otrzymał cios pod brodę, zachwiały się pod nim kolana. Dwóch jęczało pod stołem. Młodzieniec ujął oburącz ławę, odepchnął nią napierających, cofnął ich, bijąc jak taranem w ich brzuchy. Wyczyścił izbę do cna, przyparł wszystkich do ściany; zwałił im ławę do nóg, dojrzał łeb wójta pod stołem, wyciągnął rewolwer i zagroził:

- Nie ruszać się tam pod ścianą! Już raz siedziałeś w tej karczmie tak samo pod stołem, panie wójcie! Bo jesteś robakiem. Zrobiłby dobry uczynek ten, co by cię przydeptał. Ja się brzydzę. Piwo! - krzyknął do szynkarza skulonego za ladą. - Teraz chyba nikt mi nie przeszkodzi wypić.

Wypił duszkiem piwo. Frygnął kuflem pod stół, gdzie leżał skurczony Franczak. Trafiał. Wójt drgnął gwałtownie, jęknął, skurczył się jeszcze bardziej.

- Wszystkiego wam za mało, jaśnie panie wójcie!

Już chciał wychodzić, lecz zatrzymał się pod drzwiami. Wyciągnął raz jeszcze rewolwer w kierunku ściany. Haber schował się pod ladę. Wiedzieli: teraz Janosik zastrzeli wójta. Zmartwieli.

Wójt zaczął skomleć. Jego ostatnia godzina się zbliżała.

- Nie wstydzicie się pić w tej samej izbie z draniem, który was łupi? Schował wasze kwity, abyście jeszcze raz płacili. Ukradł pieniądze gminne, pokazał na mnie. Po co ukradł? Aby miał za co pić. Ja nie zabiłem Ćwiertniaka. Ktoś inny zamordował człowieka, a policja mnie o to fałszywie obwinia, aby wmówić w ludzi, że Janosik jest zabójcą niewinnych. Nie podpaliłem Juraszka na Głuchaczkach, nie podpaliłem willi Matuszka w Korbielowie, nie rabowałem handlarzy-Żydów, nie trulem gadziny domowej, nie obiecywałem palić biedaków; to robota policji. Nie zrobiłem nigdy krzywdy nikomu, chyba łotrowi, i to ze słusznej zemsty. Moje ręce splamiły się krwią. Ale przysięgam wam, że nie była to krew sprawiedliwych. Gnębią was starostowie, urzędnicy, wójtowie, sołtysi, sekwestratorzy, policjanci, gajowi, strażnicy, a wy nic. Siedzicie w karczmie i biadacie przy piwie. Pocieszacie się, że może będzie lepiej. O, rzeczywiście będzie lepiej, jak będziecie dalej tak gnili. Wy sami musicie o

swoim losie stanowić. Pamiętajcie: „Zielenią się buki”.

Trzasnął drzwiami, wypadł w mrok, biegnąc w dół ku poczcie. Minał kościół i cmentarz. Tej okazji nie zmarnuje, skoro się już tutaj znalazł. Trzeba dotrzymać obietnicy. Wójt dotychczas nie ucierpiał od niego nic poza tym, że trzykrotnie dostał po łbie i trochę złotych stracił. „Jego miałbym pominąć? Przecie to wódz łotrów”. Dobytek wzbogacił na cudzym, niech ogień pożre mu dobytek.

W opłotkach mignęło parę cieni. To młodzi korzystają z ciemności i z łagodnego tchu majowego powietrza. Oni są ślepi i głusi. Noc już zapomniała o tym, iż w dzień był deszcz. Przeciera się, będzie na jutro pogoda.

O, Janosik miał wprawę w podpalaniu. Zachował stary przesąd religijny górali, wierzył w oczyszczającą moc ognia, w jego wartości odradzające, zbawcze. Brzydził się strzelaniem, lecz przysiągł wierność żywiołowi płomienia.

Nie pchał się nawet do chałupy wójta. Obszedł z tyłu przylegającą do niej stodołę. Zgrabnie wspiął się po węglach. Już podpałił gęstwą słomy w jednym rogu. Zeskoczył, wylał w przeciwny kąt stodoły, przytknął płonąca zapalną do sterty grochowych badyli; jedną, drugą, trzecią. Widział, jak grochovina fuknęła i płomień chybnął do siana. Krótco tylko patrzył w drgający blask, jakby się go bał. Wyzwalał się straszliwą ognia, czując równocześnie, że siła ta ciągnie go w rozżarzoną głębię.

Załatwione. Jeszcze raz rzucił okiem na znienawidzony dom, w którym dokonało się tyle świństw, i uciekł przez drogę w pole. Rów, miedza, druga miedza. Długie zagony. Równoległe, głębokie bruzdy ziemniaczane. Niski cmentarny murek. W biegu przemknęło mu przez myśl wspomnienie Ślepka. Od tej właśnie strony przybył tu po raz pierwszy na jego pogrzeb. Przesadził wtedy murek i skacząc pomiędzy grobami, zbliżał się z Tramkiem ku mogile. Ach, jak to dawno było, choć rok dopiero minął!

Już spod strzechy przebijały się czerwone języki. W ciemności późnego wieczora zerwał się przeraźliwy krzyk ludzki i rozplął w długim, wysokim lamencie.

Jasiek biegł łąkami wśród traw ku falistym wzgórzom, które znał na pamięć. Rozpaczliwe krzyki niosły się szeroko, płomienie obejmowały budynek, wybłyskując nad dach. Jęczał na alarm dzwon z kościelnej wieży, cała wieś zbiegała do pożaru. Tak zbrodniarz z lasu palił za sobą ostatnie mosty, pędząc na oślep ku zagładzie, odcięty absolutnie od powrotu. Stos kłębił się, wystrzelały zeń raz po raz błyskawice.

Gniazdo złodziejstwa spalało się w ogniu oczyszczenia. Dzwon jęczał bezustannie. Janosik, sunąc ku wzgórzom, słyszał jego warkliwy, rozsierdzony ton. Dzwon jakby upominał, groził tuż, tuż za plecami uciekiniera. W miarę oddalania się zbiega dzwon

zmieniał ton i tempo. Teraz dźwięczał żałośnie cienkim, długim, piskliwym zawodzeniem. Słucha go w ciszy nocnej zapewne cała gmina zbiorowa.

Wzgórza wznosiły się coraz wyżej, tarasowato, jedno za drugim, równoległe do drogi wiodącej do Korbielowa przez Krzyżową; porastały samotnymi świerkami i kępkami jałowców. Mniej więcej na wysokości Sopotni wpadał w ich linię poprzeczny łańcuch pagórków obrosłych lasami. Byle dobiec tych parę kilometrów do lasu. Później można gnać śmiało przez Buczynki wprost ku Lipowskiej.

Tak więc Jaś z Głuchaczek wraca sam z mścielskiej wyprawy. Obaj towarzysze pozostali w dolinie. Sam znajdzie się w legowisku, które niedawno jeszcze rozsadała śmiechem wesoła trójka tatrzańska. Zginęli Wojtek i Klimek, Jędrzek zmarnieje w celi więziennej. I jego, hetmana, koniec już bliski.

Przystanął na szczycie gołego wzgórza, odsapnął, znużony biegiem, trawiony podnieceniem. Głód dał mu się odczuć wyraźnie, skręcając żołądek i kiszki. Że też nie poprosił Wojnara o coś do zjedzenia. Kończy się niedziela. Ostatni raz jadł wczoraj w południe; dziś o świcie pił mleko w Sopotni. Jak to zdaje się dawno, ilu czynami odgrodził się od przedwczorajszej przeszłości! Popatrzył na północ.

Płomienie tańczyły nad kupą drewna. „Żeby tylko nie zajęły się inne domy!” Wiatru nie było, lecz w bezpośredniej bliskości chałupy znajdowały się inne zabudowania. „Więc co? Miałem strażaków przy sąsiednich domach postawić? Niech cierpią za to, że mieszkają obok łajdaka.” W dodatku straż pożarna w Jeleśni nie posiada sikawki. Prezes jest, strażacy są, mundury mają, tylko nie ma czym ognia gasić.

Podpalacz, który martwi się brakiem sikawki! Dopadł lasu, wniknął w drogę prowadzącą ku Buczynkom. Rozważał swoją przygodę u Habera. Jak się to stało, że zjawił się w tym gnieździe os? Miał szczęście, to prawda, bo mało brakowało, a byłaby strzelanina. Dziesięć minut przed jego przyjściem Kaczmarczyk opuścił towarzystwo. Gdyby się byli spotkali, zapewne poszłyby w ruch pukawki. Miał szczęście Kaczmarczyk, że wyszedł wcześniej, bo kto wie, czy zdążyłby zrobić użytek z rewolweru. Kto wie, czy nie straciłby paru zębów i resztki swej nadszarpniętej opinii. Stało się to przecież regułą: wszyscy byli tak zaskakiwani śmiałością Janosika, że w okamgnieniu tracili głowę i zapominali, co mają robić.

Ale nie zapomniał przodownik Kaczmarczyk. Nie spotkał się oko w oko z bandytą, więc nie stracił zębów, rozumu, orientacji ani decyzji. Pierwsza skoczyła do niego z alarmem Turcula. Ta zawsze wszystko wiedziała najpierw i najszybciej.

- Janosik hula u Habera!

Nie bawił się w żadne pytania. Jak prądem elektrycznym rażony, wybiegł bez czapki,

w rozpiętej bluzie, naprzeciwko do kancelarii tartaku i zaczął telefonować na prawo i lewo. Przede wszystkim do komendanta policji w Żywcu, następnie za pośrednictwem żywieckiego inspektoratu na specjalnym przewodzie do straży granicznej w Korbielowie i Sopotni (urzędy pocztowe były tam czynne tylko w dzień); pchnął posłańca na rowerze do Przyborowa. Mobilizował pogotowie policyjne na obławę. Komisarz z Żywca zapowiedział natychmiastowy przyjazd czterech ludzi autem starościńskim i równoczesną wysyłkę trzech policjantów do Sopotni. Alarm postawił na nogi całą policję żywiecką. W ciągu dziesięciu minut po odebraniu telefonu znalazły się trzy auta do dyspozycji obławy. Ten czas wystarczył, aby policjanci podpiłi sobie zdrowo, bo kto wie, co wypadnie. Służba nie drużba, pili więc na odwagę. Pójdą w las, w ciemną noc, by bronić ładu. Trzeba się będzie zaszyć w jedlice i buki, aby zdobyć premię, awans, medal. A nawet, jak trzeba, będzie się musiało obowiązkowo umrzeć za utrzymanie porządku w ojczyźnie. Wsiedli do aut, ruszając z miejsca pełnym gazem. W połowie drogi jeden wóz skręcił na Sopotnię, dwa popędziły dalej. Dziwnym zbiegiem okoliczności za starościńskim autem sunęła taksówka, jedna z czterech, jakimi mógł się pochlubić Żywiec, ta sama, która przed trzema miesiącami dostawiła Janosika na miejsce występu w Jeleśni, po czym uwiozła go w samo serce Tatr. Teraz jadą w niej policjanci.

Śmigali po pustej drodze. Za stacją kolejową minęli płonące domostwo wójta, nie zwracając zbyt uwagi na pożar. Po upływie kwadransa od wyjazdu z Żywca oba auta przemknęły przez rynek jeleśniański. Pod szkołą zatrzymały się na minutę. Komisarz zabrał do siebie Kaczmarczyka i Kowala, Mossakowski wsiadł do taksówki. Walili do Korbielowa. W następnych piętnastu minutach jedno auto wróciło, skręciło z rynku w bok do Przyborowa, zaczęło się objać po wybojach drogi gminnej. Pod cmentarzem zmarłych na cholere wsiedli w nie idący naprzeciw dwaj policjanci, w tym Witkowski z lewą ręką w bandażu. W czterdzieści minut od nadania telefonu przez Kaczmarczyka wyszła spod gajówki w Korbielowie obława złożona z jedenastu ludzi, wsiąkając po ciemku w Uszczawny Las. Był to wyjątkowy dowód sprawności i sprężystości działania. Takim rekordem nie mogła się dotąd poszczycić policja żywiecka. W tym samym czasie czterej inni policjanci wyruszyli z Sopotni na Lipowską.

Komisarz zaapelował raz jeszcze do podnieconych już i tak alkoholem swoich podkomendnych:

- Pamiętajcie, że stoicie na straży bezpieczeństwa obywateli. Jeśli nie zrobimy porządku z bandytą, nie będziemy mieli nigdy spokoju. Jeśli dziś go nie ubiegniemy w ucieczce, sposobność przypadnie, a on będzie znowu przez pół roku hulał i kpił z nas.

Tak grzmiał, objaśniając po drodze podwładnym plan obławy. Mieli posuwać się dwójkami jak najszybciej w kierunku granicy. Nie szli sami; nadleśniczy wydał rozkaz, by gajowi z Korbielowa i Sopotni wyszli z obławą jako przewodnicy po ścieżkach leśnych. Równocześnie zaalarmowano polską i czeską straż graniczną. Wyszły podwójne posterunki na trasę, aby wzmocnić czujność na strzeżonym pasie. Komisarz, zgorączkowany powagą sytuacji, biegał tu i tam pomiędzy dwójkami. Widział z auta w przejeździe, iż pożar, dzieło ponad wszelką wątpliwość Janosikowe, powstał niedawno; dwa domostwa walczyły z zalewem ognia. Bandyta więc jeszcze pół godziny temu znajdował się w Jeleśni. Zapewne teraz pod osłoną nocy będzie umykał przez granicę do słowackiego boru, gdzie zawsze zapadał po swoich występach. Policjanci mieli w swym zasięgu teren przygraniczny szerokości pięciu kilometrów, którym według ich przewidywań Janosik mógł uciekać do swego legowiska. To przestrzeń między Pilskiem a Lipowską: Buczynki, Mały Jałowiec, Krzywoń, Polana Kosista. Całą Lipowską od podnóży po stopy Romanki miała wziąć na siebie obława sopotniańska. Zbój zapewne nie spodziewał się szybkiego pościgu, szło o odcięcie mu drogi do granicy.

Istotnie, Janosik nie śpieszył się. Najgorszą rzeczą było umknąć z samej Jeleśni; domy, otwarte pola. Gdy dobił do lasu, już go nikt nie wytropi. Najwcześniej może wyjść obława rankiem. Cóż mu robi, wyciągniętemu na mchu w niedostępnej pieczarze, poza obrębem władzy prześladowającego go państwa? „Smreki to moi bracia.” Z ulgą wyjął Wojnarowe na pół pogięte papierosy i zapalił. Przy każdym zaciągnięciu się osłaniał dłonią rozjaśniający się ognik. Czy to możliwe, aby człowiek o tak zimnym okrucieństwie w twarzy był przyjacielem skrzywdzonych ludzi? Czy kłamliwie a chytrze nie zasłania się polityką, aby pokryć nią brutalny instynkt niszczenia?

Ognik papierosa rozjarzał się w gniazdku dłoni co pół minuty sygnałem spokoju, poczuciem bezpieczeństwa. Chyba nikt inny poza Janosikiem nie był zdolny odczuwać radości tak niepodobnej do wszystkich: człowieka stapiającego się z naturą. Harnaś o rącznych nogach jelenia nie potrzebował się spieszyć. Teraz, nocą, w borze? Czyżby nie znał tej prostej prawdy, której był świadom nawet najgłupszy opój w szynku: że szybkość samochodu na prostej drodze jest wyższa od chyżości jelenia w lesie? Kiedy hetman wchodził do Habera, aby się napić piwa, zobaczyła go Turcula i pobiegła czym prędzej do Kaczmarczyka. Gdy przodownik telefonował do Żywca o pomoc, Jaś Dziura wygłaszał właśnie kazanie do chłopów w karczmie. Gdy podpalał wójtowską chałupę, auta policyjne zapuszczały silniki na rynku żywieckim. Zwarty bór tłumiał wszelkie odgłosy, toteż Janosik przemykając wśród drzew nie mógł słyszeć silników pędzących maszyn. Zrównały się z nim na wysokości

Krzyżowej i pędziły dalej.

Za pięć minut policjanci wysiedli w Korbielowie i już zdążali ku granicy, o trzy kilometry wyprzedzając harnasia. Tempo ich marszu było szybkie, spowodowane emocją pościgu i podnieceniem alkoholowym. Takie samo tempo zastosowała policja idąca z prawej, od zachodu, z punktu wyjściowego w Sopotni.

Janosik nie śpieszył się. Smreki to jego bracia. Już więc ma wszystko poza sobą: kompanów, których stracił, zemstę, której dopełnił. Na życie może również spoglądać jak na coś, co ma poza sobą, coś, co się dokonało. Teraz pozostaje mu tylko jedno, myśl, która go opętała w ostatnich tygodniach: ruszyć chłopstwo w Zielone Świąta. Na czele tej fali stanąć i zginąć.

Ewa będzie go żałowała. Ukłuła go ta myśl jak szpilka. I zaraz nawiedziła go krótka, olśniewająca wizja dziewczyny. Kocha tę dziewczynę, wie o tym, lecz nie chce się przyznać, bo już jest za późno.

Cóż z tego, że ją kocha? Cała miłość poza nim, przed nim tylko jedno: śmierć. Czyż od wybuchu wojny z Witkowskim nie szedł ku niej wytrwale?

Księżyc w pełni wychynął zza szybkich chmur, krajobraz pojaśniał od mlecznego światła. Janosik złowił uchem w oddali podejrzany chrzęst, jakby ułamanego patyka. Czy to sowa poluje w gałęziach? Przystanął i znów ruszył dalej. Ale od tego dalekiego chrzęstu wdrażył się w jego serce tajemny sygnał niebezpieczeństwa. Przeżuwał je zawsze ruchem krwi, spojrzeniem, słuchem, skórą, niezawodnym instynktem, który go tylokrotnie ocalał.

Miał zamiar wstąpić do Smugawskiego, ale się rozmyślił. Nie będzie w świetle księżycy wyłaził na Kosistą. Później pchać się na Lipowską? Przez taką goliznę? Grzebieniem. Jałowca dojdzie do granicy. Znów w lewo za sobą dosłyszał chrzęst gałęzi. Przestraszył się na dobre. Wyjął rewolwer z kieszeni, odbezpieczył, przyczaił się za pniem. Ptak-drapieżnik hałaśliwie zerwał się w pobliżu, poszybował nad drzewami. Jeśli to sowa, to zły znak. Ślepek opowiadał mu raz, że gdy sowa nad głową lata, to znaczy, że w pobliżu znajduje się więcej niż jeden człowiek i że zanoszą się na przelanie krwi. Głupie staroświeckie wierzenia.

Nadśluchiwał. Drzewa były grube, wysokie i rzadkie. Wzrokiem przebijał głąb ciemności. Oko miał doskonałe, lecz nie rozróżnił niczego podejrzanego. Na wszelki wypadek zzuł buty, aby wywoływać jak najmniej szmeru. Związał je sznurówkami, przewiesił przez ramię, podniósł się ostrożnie i z ręką na spuście rewolweru posuwał się boso naprzód.

Czyżby strażnik płatał się w pobliżu? To chyba niemożliwe. Chodzą pod samym

Pilskiem w stronę Glinnego. Obyczaje ich są mu wiadome z wielokrotnego doświadczenia. Z prawej strony znowu posłyszał z bliska ostry trzask. Wyostrzony słuch pochwycił nawet deptanie po cetynie. Zmartwiały; to odgłos człowieka! Runął na oślep przed siebie, z rewolwerem wyciągniętym w dłoni, wśród rzadkiego starodrzewu, przesianego poświatą miesięczną. Ktoś biegł po obu jego bokach. Słyszał wyraźnie ciężki tupot podkutych butów.

Został odkryty! Sadził susami jak spłoszony zając. W ciszy buchnął przeraźliwie strzał, jakby się nagle wszystkie drzewa złamały wół. Jasiek odpowiedział bez namysłu, na chybił trafił w prawo za siebie w miejsce, skąd strzelano. Może źle zrobił, niepotrzebnie strzałem się odkrywając? Rozległo się donośne wołanie z przodu:

- Janie Dziura, poddaj się. Jesteś otoczony.

Głos zabrzmiał jak wyrok przeznaczenia i człowiek zmartwiały po raz drugi. Na czoło wystąpił mu zimny pot, lecz nogi poderwały się jeszcze szybciej.

Nieprawda! W lesie nikt nie może złapać Jana Dziury. Teraz, w nocy, pośród braci-smreków, o krok od granicy? Ujrzał błysk przed sobą, huk, kulka gwizdnęła mu koło ucha. Szarpnął się, uskoczył w bok. Znow przeszył powietrze świst. Zaczęto strzelać bez planu, raz za razem. Nie wstrzymało to jego gwałtownej ucieczki.

Obława. Złapią go. Nie! Nie złapią!

- Janie Dziura! Po raz drugi: poddaj się!

Wezwanie dochodziło jakby z wnętrza ziemi, a tętniły nim i górne warstwy powietrza. Nie podda się. Kule bzykały koło niego niby złe szybkołotne osy, cienko gwizdząc. Miotaly się czerwone błyski, huk następował za hukiem.

Wpadł w krzak, potknął się. Kulka nad głową odłupała drzazgę w korze na pniu. Ależ strzelają! Bitwa. Nie bitwa - polowanie.

Niech strzelają. Nie podda się.

Las zrzędiał jeszcze bardziej. Niedobrze. Zbyt widoczny cel w świetle księżyca. Ktoś biegł za nim wytrwale. Janosik zatrzymał się, odwrócił, wypalił w ruchomą ciemniejącą masę. Odpowiedział mu jęk. Grad kuł wzmógł się. Bili w niego jak w dzikiego zwierza. Uciekał zwinnie. Zaraz będzie koniec.

- Janie Dziura! - głos syczy mu prawie nad uchem. - Po raz trzeci: poddaj się! Ubijemy cię na miejscu, jeśli się nie poddasz.

- Zabijcie mnie! - krzyknął i w biegu wypalił z lewej strony przed siebie, w kierunku głosu. Jak długo trwa ta gonitwa? Uskoczył znow w prawo. Między drzewami nie da się szybko uciekać. Skakał po odkrytych korzeniach, boleśnie objijając sobie palce, kaleczył się na leżących w poprzek pniach, wpadał w wykroty, to znow wbijał się w gąszcz zwartego

poszycia. Palba grzmiała bez ustanku, strzał za strzałem. Co, psiakrew, żaden nie trafi? Niech się już raz skończy. Policjanci zdenerwowani, podnieceni wódką, strzelali w zapamiętaniu, w trwodze, bez celu, bez namysłu, bezładnie.

- Ach, dranie! - Janosik przystanął, oparł się o pień, wyrznął do nadbiegającego z boku napastnika. Wzrokiem ostrym rozróżnił: wyszło ich dwóch naprzeciw, stoją za smrekami, pałą do niego. Błysk za błyskiem, jeden bliżej, drugi dalej; raz za razem. Nad głową znowu kulka zachrobotła w korze, jakby ktoś pazurem drapnął. Ukląkł, wycelował. Ciemna masa schowała się za pień. Porwał się z klęczek, rzucając się w głąb, ku krzakom. Darł przez nie rozpaczliwie, na przełaj, ostrzeliwując się. Z trudnością wyplątał się z jakichś ciemi, schylony wpół przepelznął pod smreczkami, wpadł na jałowiec, raz jeszcze raniąc stopy. Znow biegnie rzadkim lasem.

Huk roznosił głowę. Zdaje się, że las się wali, że skały pękające w posadach toczą się po głazach.

- Janie Dziura, twój koniec!

Tak, to koniec. Ileż tej policji? Przecież mogą się wzajemnie pozabijać, strzelając na oślep. Czy to nie był głos Witkowskiego? Splunął z lufy w tę stronę. Ogniki wystrzałów wskazywały miejsce goniących. Huk, huk.

Rwał susami, bosy, cichy jak kot; tamci za nim w półkołu. Dostrzegli go, szybko migającego na tle pni. Choć korony drzew zwały się w górze, przecież księżyc docierał tu częścią swej jasności. Nie walili więc na ślepo.

Zamknął machinalnie oczy, wpadając w kłującą zamieć młodej świerczyny. Tak silnie pragnął zawsze swobody, jak teraz pragnie śmierci. A przecież ucieka. To wolność ściga się ze śmiercią. Nie do wiary wprost, ile człowiek w rozpacz potrafi wydobyć z siebie energii. Nagle potknął się o wystający korzeń, palce stopy zdrętwiały od bólu, przesywające klucie wniknęło aż do piersi. Wywrócił się na kolano, nosem zarył w ziemię, chwycił się za kostkę. Omal nie omdlał od uderzenia stopą w korzeń. Odwrócił się, rzygnął dwukrotnie ogniem w ruchome cienie. Ktoś jęknął niedaleko. Janosik porwał się z klęczek ostatnim wysiłkiem mięśni.

Wzmogoną wściekłością zawarczały za nim długie lufy. Ach, gdyby się otworzyła nareszcie Polana Kosista! Można by się wyciągnąć w biegu, śmigając jak wiatr po trawie ku wybawieniu, ku granicy. Nie pierwszy to raz goni się z policjantami. Nie urodziły się jeszcze nogi ludzkie, które by go zdołały doścignąć. A broń by go też nie dosięgła, skoro tyle doń strzelano bez skutku. Tętent podkutych butów znowu się zbliża, jest prawie koło niego. Janosik odwraca się, strzela w biegu, uderza ramieniem o pień, kolana się pod nim załamują,

upada pod drzewem, ledwie dysząc.

- Janie Dziura, zginiesz!

Ach, zna ten głos! Poznałby go na drugim świecie. Widzi rysujący się naprzeciw barczysty kształt, łokieć w bandażu. Z nienawiścią, zalewającą oczy i piersi, przyłgnął plecami do drzewa, mierząc w Witkowskiego. Czekał, aż jego nieugięty prześladowca wychyli się zza swojego pnia. Przykucnięty na skręconych, żyłastych korzeniach smreka, powtarzał:

- Nie wezmą mnie! Nie wezmą mnie! Nie wezmą mnie!

Z prawa i z lewa grzmiąły strzały. Jasiak skulił się, przypadł na cetynę, spokojnie, całą siłą mięśni przelewając na ośrodki woli.

- Nie trafią. Nie trafią.

Kule bzykały nad nim. Trzy metry przed nim wynurzył się karabin za osłoną pnia. To już koniec. Harnaś naciska na spust, raz, drugi, trzeci; nie pali. Odrzucił rewolwer. Wyjmował z lewej kieszeni drugi brauning, kiedy nagle ktoś z tyłu rąbnął go pięścią w głowę, szarpnął gwałtownie za rękę, rozciągając go na plecach. Momentalnie poczuł ból i ulgę. Już na ziemi otrzymał cios kulą w twarz, znieruchomiał i zapomniał o świecie. Otwierały się w nim jakieś knieje bez dna, niebiosa bez końca, kraj ciemności i płomienia. Trwało to dwie minuty. Gdy powróciła świadomość, otworzył powieki i zobaczył klęczących nad nim dwóch policjantów. Jednym z nich był Witkowski.

- Jezus! Przepadłem - jęknął i zamknął oczy ze wstydu. Wszystko stracone.

Przyborowski policjant nachylił się nad Janosikiem, biały kikut przedramienia zamajaczył przed twarzą leżącego. W tej samej chwili druga ręka spadła na nią z nienacką silnym policzkiem. Rozległ się syczący, na pozór spokojny, lecz dławiony wściekłością głos:

- Nie zapomniałem ci tego, Dziura, Jasiu z Głuchaczek! Wtedy ty byłeś górą, teraz ja.

Przyłożył drugi policzek, jeszcze mocniejszy. - A to za procent. Żem tak długo musiał czekać. Dług wyrównany.

Jasiak ani drgnął. Na ułamek sekundy spoczęły jego oczy na obliczu bijącego i zamknęły się. - Ty psie! - wyrwało mu się z zaciśniętych zębów.

Po raz trzeci łapa Witkowskiego przylepiła się z rozmachem do szczęki harnasia.

- A to masz za psa.

Przeraźliwie, bez przerwy piszczały gwizdki. Policjanci zwoływali się zewsząd, jak myśliwi po kniei ku ubitej zwierzynie. Bitwa skończona. Witkowski trzymał leżącego za jedną rękę, towarzysza za drugą. Nadbiegł truchcikiem komisarz, oświetlił latarką Janosika leżącego na wznak. Krew ściekała mu spod ucha cieniutkim sznurkiem po karku, plamiąc

kołnierzyk od koszuli. Nos podrapany, czoło skaleczone, we włosach pełno igliwia. Dwaj podwładni przytknęli ku sobie przegubami obie dłonie harnasia, komendant ujął je w dwa półpięścienie kajdanków i zatrzasnął. Małe świdrujące oczka Witkowskiego spoczęły w świetle latarki na Janosiku z nie ukrywaną ulgą. Spod czarnych, krótko przystrzyżonych wąsów wykwitł uśmiech triumfu. Tak, to jego przede wszystkim triumf: Witkowskiego.

- No co, Janosik? Nie przepowiedziałem ci? Zanim uciekłeś mi z pociągu w Hucisku, powiedziałem ci: „Ty mnie nie znasz, Dziura. Ale mnie jeszcze poznasz”. I poznałeś.

Harnaś znowu zamknął oczy, które przez krótki moment zapłonęły całą siłą nienawiści.

- Poznałem.

Co się stało? Coś niezwykłego działo się w przyrodzie. Paniczny lęk ogarnął ludzi. Tak chyba zacznie się koniec świata: od śmierci ciał niebieskich. Księżyc, który wczoraj przestąpił pełnię, zamierał w swej ogromnej świetlistości. Wyraźnie tracił blask, gasnąc, gasnąc bez powodu. Nasuwała się nań jakaś ciemna masa, powlekając go brunatnością.

- Co to jest? - zdziwił się przodownik Kaczmarczyk.

- Zaćmienie księżycy - objaśnił go komisarz. - Nie czytaliście w gazecie wczoraj?

Zwrócił się do leżącego: - No, Dziura, zabieraj się.

- Bierzcie mnie.

Strasznie się zmęczył tą ucieczką. Pot lał mu się z czoła, z karku, spod pach. Koszula przyklepiona do ciała, nieznośnie zimna i mokra. Ból i omdlenie w ciele. Spojrzał na niebo, jak sprzymierzony z nim w żałobie. Popielaty cień zdążył już odgryźć i pożreć rąbek złoto-srebrnego krążka. Było coś potwornego w tym zjawisku.

Postawili go. Zbiegło się ich ku niemu aż siedmiu. Wszyscy, którzy wyszli z Korbielowa, z wyjątkiem dwóch rannych, leżących pod drzewami, i dwóch pozostałych, którzy poszli po nosze do schroniska na Pilsko. Przy rannych czuwał korbielowski gajowy.

- Gdzie masz buty?

- Zgubiłem w lesie.

- Po coś zdejmował?

- Żeby ciszej biec.

- Nie pomogło ci. Pójdiesz boso.

- Tego jeszcze brakowało, abyśmy mu butów szukali - zaśmiał się Witkowski.

Ruszyli w ósemkę, jeden harnaś, siedmiu eskorty. Nie spuszczała z niego oka. To szczwany lis, on z kajdankami potrafi uciec, znają tę historię. Trzykrotnie w konwoju

policyjnym wiedziony, uciekł spod karabinów.

- Rany nie ma żadnej? - macali go skrupulatnie pod pniem.

- Nie - odezwał się sam.

- Ma, cholera, szczęście! - dziwili się. Wystrzelili do niego w księżycową noc dwadzieścia dziewięć kul, jak pilnie obliczyli, i żadna go nie zadrasnęła. A on parę razy tylko kropnął i dwóch ludzi leży w lesie. Diabeł ten Janosik.

Szli do schroniska na Pilsko. Tak zdecydował komisarz.

- Gdzie będziemy się z nim po nocy włóczyli? Rano zejdziemy do Korbielowa.

Wyleźli ponad Buczynki, ciągnąc wolnym pochodem górą, bezleśnym grzebieniem, skąd widna była cała północ. Nastrój w przyrodzie był przerażający. Księżyc zgaśł do połowy; szerniał, jakby zwiądnął, zmałał. Nad Jeleśnią w dole na lewo tym wydatniej w ciemniejszej nocy wydzwignęła się luna pożaru.

Pilnowali pojmanego z przodu, z boku i z tyłu. Każdy z sześciu policjantów trzymał w ręce karabin, złożony do strzału. Rewolwer komisarza, idącego poza pierścieniem konwoju, utrzymywał symboliczne dowództwo nad całością grupy.

Janosik kroczył skuty, z dłońmi splecionymi na brzuchu, bez czapki, bosy. Na wprost przed nim rysowała się w ciemności piramida Pilska. Rudy cień nasuwał się coraz bardziej na księżyc; przysiadł już trzy kwadry. Pozostawili na dole w lewo Uszczawny Las, wydostali się na nisko zarośnięty wyrąb. Minęli kolegów z noszami, idących w przeciwnym kierunku. Szlak był znaczoną ścieżką turystyczną; prowadził wzdłuż linii telefonicznej wiodącej z Korbielowa do schroniska. Policjantom także jakby się udzielił niepokój przyrody. Palili nerwowo papierosy, odejmując je co chwila od warg lewą ręką; nie popuścili bowiem karabinów. Spozierali to na czarnozgniły miesiąc, to znów na podbiegający od dołu nieba poblask ognisty znad dopalającego się obejścia wójtowego w Jeleśni.

Janosik był zajęty swoimi myślami. Raz tylko w drodze zapytał konwojentów:

- Kto zarobi trzy tysiące złotych?

Odburknął mu opryskliwie komisarz:

- Nie twoja narzeczona. Niech cię o to głowa nie boli.

Wobec takiego tonu zrezygnował zbój z prośby o papierosa. Dymią mu w nos tytoniem ze wszystkich stron, on musi się obejść zapachem, smakiem.

Im wyżej podnosili się ku Pilsku, tym wyraźniej rosła na północnym wschodzie babiogórska czuba. Jej przyborowski stok opylała z lekka kurzawa purpurowej poświaty. Tam, niewidoczne wśród ławy lasów, kryją się Głuchaczki, jego pierwszy start ku swobodzie. Przypomniawszy sobie gęstą płataninę boru, zbutwiałe grzęzawisko czatożańskiej kniei,

nasłonecznione wiatrołomy Wężowca, wspomniawszy dawne dni leżenia w wyrębach, pełnych poziomek i malin, odnalazł w pamięci czystą melodię swojej młodości:

*Śpiewam sobie, śpiewam, łzami się oblewam,
wszystko zaś dlatego, bo się na świat gniewam.*

To już jest poza nim - lata dzieciństwa, lata pastusze, wsie jego niespokojnych wędrowek, wsie rzadko rozrzucone po wzgórzach, gdzie żył w chałupach krytych słomą, żywiony oślizłymi ziemniakami i na pół zgniłą, śmierdzącą kapustą. Stąd dopiero, z puszczy nad Głuchaczkami wystrzelił ku zbrodni.

Co robi teraz Wojnar? Czy przejmie ważne, odpowiedzialne zadanie, które nagle zważyło się na jego głowę? Czy sen o marszu góralszczyzny stanie się jawą? Czy groźne imię Janosikowe zdoła skupić koło siebie tysiące? Kto wie, czy nawet nie lepiej, że on sam nie będzie przy tym bezpośrednio czynny, bo ktoś mógłby powiedzieć: „Bandyta was prowadzi”. Czy nie tak mu radził Wojnar: aby działał z wysoka, z ukrycia?

Ciemnorudy cień zaczął złazić z księżycy, kiedy konwój doszedł do schroniska. Duży białowłnisty pies wyróżnił wyraźnie Janosika. Przyplątał się doń, obwąchując pilnie jego nogawki, przyjaźnie merdając ogonem. W schronisku oczekiwano przybycia policji. Gotowano kapustę z kielbasą, zaparzano herbatę. Usiedli wszyscy w jasno oświetlonej jadalni. Zegar na ścianie wskazywał za kwadrans drugą.

- Ale z tym zaćmieniem mieliśmy uciechę! - odezwał się przodownik Kaczmarczyk. - Nie czytałem o tym w gazecie, Myślałem, że księżyc gaśnie. Aż mi się mdło w dołku zrobiło.

Śmiali się, paląc papierosy. Na widok więźnia w kajdankach, w oczekiwaniu na kielbasę wrócił im humor, W dodatku wódka wywietrzała im z głowy, wstawało odprężenie po przygodzie. Witkowski podniósł się od stołu Dopiero teraz w świetle lampy widzi Janosik jego śmieszny strój: długie ciemne spodnie, podwinięte w kostkach, popielata marynarka, spięta pasem wojskowym. Lewa ręka do łokcia zakasana, przedramię spowite w bandaż, ale dłoń wolna i zdrowa. Komicznie wygląda ten pół cywil, pół inwalida.

Zaczęli się pożywiać. Komisarz uznał za stosowne zjeść poza kielbasą z kapustą jajecznicę. To zrozumiałe: ranga wyższa, pensja wyższa, żołądek więcej wymaga. Wszyscy obowiązkowo pili piwo. Potem zażądali herbaty. Nie zapomniano o zbójcu. Podano mu pajdę chleba z kielbasą i herbatę.

- Już cię nie rozkujemy, panie Dziura - zaśmiał się komisarz - bo ty różne sztuczki umiesz przy tym płać. Słyszeliśmy coś o tym. Pomagaj sobie, jak możesz. Do gęby zawsze trafisz.

Istotnie, arestant radził sobie jakoś. Jadł i pił obu rękami. Policjanci mieli na zmianę czuwać przy pojmanym do rana. Dwóch z karabinami usiadło przy stole. Komisarz zatelefonował do placówki granicznej w Korbielowie, aby sołtys przygotował pod gajówką dwie parokonne furmanki do Żywca. Następnie, zleciwszy jeszcze raz czujność ludziom, wybrał się na pierwsze piętro. Jeszcze przed oddaleniem się na spoczynek zlustrował baczny wzrokiem Janosika. Żał mu się go zrobiło. Do tego uczucia domieszało się zadowolenie z niezwykłego sukcesu, jaki spotkał przedstawiciela powiatowego ładu po tylu niepowodzeniach. Powodowany obu tymi względami, wyjął z papierošnicy dwa papierosy, położył je przed harnasiem.

- Palisz?

Tamten kiwnął głową.

- Dajcie mu ognia, niech sobie zapali.

Wyszedł. Ku więźniowi podszedł posterunkowy Kowal, wsadził mu papierosa w usta i zapalił zapalrkę, zadrwiwszy: - Co ja panu będę dawał ogień, przecieŹ nie ma w żywieckim powiecie większego specjalisty nad pana.

Zaśmiali się wszyscy z udanego dowcipu. To otworzyło usta Janosikowi. Zapytał półgłosem Kowala, jakby dowiadując się tajemnicy:

- Starosta spalony?

- Spalony.

- Witkowski?

- Spalony.

- Wójt Franczak?

- Spalony.

- Tylko pana komisarza ominęło - teraz uśmiechnął się więzień z kolei.

- Ja mu zamelduję o tym, on ci jutro specjalnie podziękuje za to, żeś go oszczędził.

JuŹ więcej nie przemówił Janosik tej nocy. PogrzyŹył się w myślach. Zrozumiał, że od wielu lat szukał właściwie śmierci. Rewelacja Ewy spadła juŹ w pustkę, przepelnioną goryczą. Teraz, kiedy zarobił sobie na śmiertelny cios w plecy, zjawia się na widowni ojciec z szumnym gospodarstwem. Więć po co było wetować sobie upośledzenie bękarcięgo, bezdomnego losu, kiedy to wszystko nagle straciło sens? Ma ojca, ma dach nad głową, może gospodarować. Ale nie wolno mu wrócić do domu. Stał się zbrodniarzem, podczas gdy czekało na niego życie spokojne i dostatnie.

I teraz jeszcze po tym wszystkim nagle nachodziło nań nie znane dotychczas wzruszenie, któremu na imię Ewa. PrzecieŹ w nim, samotnym od urodzenia, skazanym na

ciągle niebezpieczeństwo, kołatała tęsknota do ciepła. Pragnął, zawsze pragnął, aby go ktoś otulił miłością, wziął w ramiona jak dziecko. Może dlatego tak podświadomie ciągnęło go do dziewczyn, choć w gruncie rzeczy nie znajdował w tym zadowolenia. Surowe życie nie dało mu nawet w niemowlęctwie zakosztować rodzicielskiej tkliwości.

To wystarczyło, aby go dobić. Już na parę dni przed przeczytaniem Banachowego listu w bezsenłą noc nawiedziło go gwałtowne pragnienie śmierci. Lecz dopiero po liście rozjaśniło się w jego sercu: oto śmierć, która może oczyścić jego zbrodnie. Szukał jej właśnie, a tu mu się sama nastęrcza; spóźniona rehabilitacja zbója. Żył na poły i nie żył, wyzwolony tą ofiarą. Ale poryw chwilowej wściekłości zaślepił go, rzucił w dolinę. Po cóż zaczął szaleć? Zamiast męczeństwa w glorii - czeka go życie w kajdanach. Tak z marzeń włazi się w błoto.

Popatrzył na stopy uwalane ziemią, trawą i zeschniętą krwią. Tak właśnie z marzeń spada się w błoto.

Rozległo się w sieni tupanie, otworzyły się drzwi, przyniesiono na noszach rannego policjanta. Miał kulę pod biodrem, był przytomny. Z nienawiścią spoglądał z kąta na Janosika, który mu wpakował strzał w tak niebezpieczne miejsce. Drugi policjant miał przestrelone ramię. Ten przyszedł o własnych siłach, wsparty jedynie na ramieniu gajowego.

Jasiek nie spuszczał oka z Witkowskiego grającego w karty przy stole. Odziany w popielatą marynarkę, z rozpiętym kołnierzem koszuli, policjant przymrużył oczy. Może go razi bliskość i ostrość światła, a może czyni to dlatego, że spod czarnych wąsików smuży się mu dymek z papierosa wprost przed powiekami. W jednej dłoni trzyma wachlarz rozwiniętych kart. Przez zaciśnięte zęby mruczy jakąś piosenkę. W twarzy jego czai się złośliwy uśmiech. To uśmiech przeznaczony właśnie dla Jana Dziury. Jakby policjant wiedział, że Janosik go obserwuje.

Kim jest posterunkowy Witkowski, były pomocnik montera z elektrowni w Chrzanowie? Był synem stróża nocnego w fabryce, niegdyś chłopą. Ale syn nie schamiał, oddalił się od ojca, od pamięci śmierdzącego życia wiejskiego. Nienawidzi chłopskiej rasy, z której pochodzi przez oboje rodziców. Z takim trudem się od niej oderwał! Nic go nie łączy z wszawą, ugnojoną wsią. „Syn nasz będzie inżynierem albo lekarzem. Jeśli będzie córka, pójdzie do gimnazjum i wyjdzie za mąż w mieście”, mówiła zawsze świętej pamięci Witkowska, córka nauczycielki ze Sporysza, także z pochodzenia wiejskiej dziewczyny. I ona również chorowała na kompleks miejskości. Umarła, nie obdarowawszy męża spodziewanym dzieckiem. I tak już od lat, zanim to małżeństwo zostało tragicznie rozbite, odchodzili państwo Witkowsy od znenawidzonej wsi, chcąc być jak najdalej od dziadów i hołoty. - To ciemna masa - wywnętrzał się przyborowski posterunkowy przed komisarzem z Żywca. - Ja

ich znam, od siedmiu lat stale pracuję na wsi. Złodzieje, o koszyk trawy gotowi człowiekowi gardło poderznąć. Nic, tylko trzeba nad nimi ciągle stać i pilnować. A taki Wojnar opowiada brednie, że to chłopci powinni rządzić. Gdzież te ciaruchy umiałyby się rządzić?

To jest Witkowski. A kimże jest Janosik? Potomkiem ciemnej masy, przez wieki ugniatanej wolą pana i ekonomskim batem. Kim jest? Pastuchem krów, który zbuntował się przeciw batom Witkowskiego. I bandytą. A sprawiedliwość musi być bandytom oddana. I będzie oddana.

Po niesamowitej nocy księżycowego zaćmienia wstał wspaniały, rozświetlony ranek majowy. Jasiak w asyście siedmiu policjantów schodził z Pilska do Korbielowa. Przed schroniskiem zobaczyli konwojenci jego zbrukane, skaleczone stopy.

- Umyj sobie nogi w potoku.

Splukał po drodze w chłodnej bieżącej wodzie krew zaschniętą wraz z brudem i ziemią. Wodził stopą po stopie, ścierając skrzepy i gruzły. Ukazały się palce w ranach, kostka opuchnięta, sińce na goleniach. Kiwał głową na widok dziur w ubraniu. Niegdyś, przed paru laty, jego dziadka podobnie prowadził gajowy naprawski do sołtysa. Wtedy właśnie, kiedy wnuk, zaczajony w olszynach, bił kamieniami z procy do gajowego.

Słońce znad Tatr przesywało ukośnie podpilskie zbocza. Jak tyle razy, Janosik wszedł w żywą wiosnę ziemi, lecz po raz pierwszy nie znalazł wspólnego języka z przyrodą. Jeszcze wczoraj był czymś wynikłym z krajobrazu, jeszcze wczoraj nadawał sens istnieniu lasu. A dzisiaj zaprzeczał wszystkiemu, co dotychczas stanowiło treść jego życia. Brzękiem kajdanków ogłaszał, że przynależy do innego świata: do miasta, do ponurych sal sądowych, do stęchłych cel więziennych.

Dopiero teraz, w jasnym blasku słońca przypatrzyli mu się z bliska policjanci i zdumieli się.

Więc to jest Janosik?

Niski, szczupły chłopiec, twarz wyschnięta, spalona na brąz, zmęczona, policzki zapadnięte, wargi bezkrwiste, zwarte jakby w złości, nos cienki, kościsty, jedno oko obwiedzione fioletowym półkolem podbiegłej krwi, ucho rozcięte, włosy zmierzwiłone. Spod rozchełstanej koszuli wyziera mizerna pierś, nie pierś, obląki żeber, spojone po wierzchu skórą. Kości i ścięgna. Pozbawiony butów i czapki, jakby go ktoś z góry i z dołu odarł do gołej skóry.

Minęli strome zręby Uszczawnego Lasu, maszerowali wzdłuż potoku nazwanego, nie wiadomo dlaczego, Śmiałym. Jasiak obejrzał się na pilski szczyt, rosnący jak ogromny

podniebny garb. Już tam nie wróci.

Koguty w Korbielowie chryply od piania. Komisarz zatelefonował z nadleśnictwa do starosty, donosząc mu z wczesnego ranka pomyślną nowinę o wyniku obławy i prosząc o wysłanie auta celem przejęcia z drogi rannego policjanta i szybszego dostawienia go do szpitala.

Dwie furmanki czekały pod gajówką. Na jednej umieszczono obu rannych, na drugiej usadowił się komisarz. Wszyscy policjanci posiadali, gdzie mogli. Bandycie kazano iść pieszo między obu wozami. Czuwać mieli nad nim dwaj policjanci siedzący w tyle pierwszej furmanki, odwrócenii do aresztanta, z karabinami w rękach. Jeszcze zanim ruszyli z Korbielowa, ktoś ponownie zwrócił uwagę komisarzowi:

- To dziwne, jak on mógł zgubić buty w lesie.

- Nie ma pan większego zmartwienia? - ofuknął go zwierchnik. - Butami zbója będziemy się przejmować?

- Ciepło jest, niech idzie boso - dogadywał żywo Witkowski. - Baby chodzą co tydzień do Żywca na jarmark boso i nic im nie jest. - „On mnie na pół nagiego z dymem puścił - myślał. - W samej koszuli i gaciach. Niech w kajdankach, drań, turga do samego Żywca i boso.”

Na pół godziny przed przejazdem fur policyjnych alarmowano chałupy wzdłuż drogi:

- Janosika wiodą!

Mieszkańcy Korbielowa, Krzyżowej, Jeleśni wychodzili przed domostwa, oglądając ów niecodzienny pochód. Defilował przed nimi groźny bandyta, unieszkodliwiony, skuty. Wiódł do więzienia swoje zbrodnicze szaleństwo. Kroki martwe, wyraz twarzy stężały, lodowaty, jedynie głowa mimo całego poniżenia uniesiona dumnie. Stalowszarcze oczy były goryczą. Poznawały tu niektórych ludzi. Dojrzały Misiółka, obu Jędrasów, Błaszczyka, Topolaka (przymaszerował sześć kilometrów z Koszarawy!), braci Ziomków; i im chciało się przybiec z Sopotni ku drodze. Na próżno jednak oczy szukały Wojnara.

Z ubocza wylazł po drabinie na kalenicę swej chałupy Stachoń. Nie dalej jak trzysta metrów stąd widać było dołem białą wstęgą żywieckiej szosy. Wystarczyło mu to, co stąd widział: dwa wozy naładowane policjantami, a między jednym i drugim wozem postać dobrze znajomą. Twarzy nie zdołał wyraźnie rozróżnić i nie chciał. Poznał po ruchach i po sylwetce idącego pieszo bosego młodzieńca swojego byłego lokatora. Nie mógł znieść tego widoku, wycofał się do domu. Przecież mieli obaj iść razem do Polski ludowej! Czy ta droga na Żywiec prowadzi do niej? „Może więc ja lepszą obrałem?” - zamyślił się.

Jan Dziura kroczył już od pięciu kwadransów za chłopską furą. Wszyscy patrzyli nań z

zaciekawieniem. Teraz, pojmany, stał się jakby ich wrogiem; głośno przyznawali rację maszynie sprawiedliwości.

Walerce od Pasika wydał się wstrętny. To obecnie szczęśliwa narzeczona Władka Juraszka. Jakże odbiegła od tych czasów, kiedy zimą w mróz wychodziła przed dom, słysząc trzaskanie bicia Jaśkowego w rynku! Później znienawidziła chłopca z tartaku za to, że wzgardził jej zalotami. Kobiety to pamiętają i za lekceważenie mszczą się równie ostro jak za zdradę. Za cóż mściła się na nim? Że jej powiedział w chwili zbliżenia szczerze i brutalnie: „Mam dość tego”. Niemało nakłamała przed Juraszkiem o Jaśku. Uwierzył, jak każdy zakochany ślepiec, i jeszcze bardziej zawzięt się w złości na konkurenta. Dla niego Janosik stał się świnią i rywalem, dla Walerki zaś ohydny awanturnikiem i uwodzicielem. „Ależ go Bóg pokarał, zbója, za jego wyniosłość!” - cieszyło się jej serce, wierne obecnie głuchaczkowemu parobkowi. Ze sklepu wybiegła aż ku szkole, stanęła za żywoplotem i patrzyła. Nie była widoczna z krzaków. Ze złością wbiła wzrok w chłopca, który ją wyśmiał i porzucił. Nie zadrgało w niej ani włókienko serca. Ma za swoje, bitnik; wiedziała, że on tak skończy. Niech cierpi.

Niektóre oczy jednak, razem z nią oglądające tę scenę, napęłniały się łzami. Służąca od nauczycielek beczała w głos. Krzyżowski, stateczny gospodarz, któremu przysługiwał przywilej wożenia lekarza po okolicy, chlapał i pociągał nosem. Dutkiewiczowa, stojąc przed stodołą pośród gdaczących kur, skryła twarz w zapasce. Na schodach domu parafialnego stała niby posąg Turcula, wysoka, chuda, nieruchoma, w słońcu jakby postarzała, o zmiętym, ziemistym obliczu, w otoczeniu trzech kobiet. Nie wydała z siebie głosu, tylko spod rzęs dwukrotnie spłynęły jej łzy na sfałdowane policzki. Czy to nie ona ściągnęła dłoń sprawiedliwości na chłopca? Czuła się winna, ale czysta przed Panem. „Idzie jak męczennik, krew ma na palcach. Krew go zgubiła. Bóg tak chciał.”

Zimnalową, byłą nauczycielkę, inteligentną, starszą niewiastę, chwyciła za gardło jakaś niepojęta żalność; miała parę nocy nie przespać z tego powodu. Przypuszczała, iż to będzie znak jakichś wielkich przemian w świecie. Haber stojąc w drzwiach szynku gładził siwą brodę, rozmawiając w duchu z Bogiem Izraela. Nie zarobił nigdy na napitku od Jaśka; bodaj mu los oszczędził takich klientów. Ławę mu wczoraj potrzaskał, rozwalił dwie szklance na wójtowskim łbie, za dwa piwa nie zapłacił, gości mu z karczmy wypłoszył. Gładząc brodę, pomyślał karczmarz o śmierci. Jak marne jest życie człowieka!

W milczeniu odprowadzano wzrokiem Janosika. Lecz zaraz po jego przejściu wzdłuż całej drogi wybuchła, zakotłowała się i biegła śladem pochodzenia mowa ludzka.

- Widziałeś, jak go prowadzili? Taki młody chłopak!

- Pokaleczony cały, ubranie w strzępach!
- Bitka musiała być niemała!
- W kajdanach! Szupasem wleczony za wozem!
- Boso szedł!
- Tyle ludziom pieniędzy nadawał! A sam bez butów.
- Już go tam żywego nie wypuszczą.

Oj, nachodzi się Janosik dość! Od wczorajszego dnia nogi jego są nieprzerwanie w ruchu. Z Sopotni do Jeleśni, z Jeleśni na Jałowiec, z Jałowca na Pilsko, z Pilska do Korbielowa, z Korbielowa do Żywca. Ładny spacer!

Na jeleśniańskim rynku aresztant odwrócił głowę w prawo, skąd odbiegała droga ku babiogórskim podnóżom. Błysnął spojrzeniem na wschód, oczyma witając swój szlak zbójceki, oczyma go żegnając. Głaskane rozjarzonym słońcem, jak przyprószone złotem, spływały lasy z Małej Babiej i z Mędralowej, kryjąc w cienistej głębi polanę Głuchaczek i Ciche Koszarawskie.

Nigdzie nie dojrzał Wojnara. Na schodach sklepu Pasika zauważył starego Tramka z żoną. To wzruszające, przywłókł się i Wołek! Stał za Tramkami, oparty o słupek ganku, połamany, pokrzywiony, z boleściwą miną. Dalej, w głębi, wdowa Tramkowa z dzieciątkiem na ręku, z twarzą we łzach.

Jeszcze raz nie dano spokoju bandyckim butom, zagubionym w borze. - Można by mu dać buty z tego umrzyka w Przyborowie - rzucił ktoś w przejeździe koło kościoła. - Niech buty chociaż dostanie w spadku po przyjacielu.

Wozy przystanąły na chwilę. Kowal udał się do domu grabarza w sprawie Klimkowych butów. Dowiedział się jednak, iż trumna samobójcy została już zabita gwoździami i jutro będzie pochowana za murem cmentarnym. Tak więc buty Klimkowe przepadły.

- Czy mogę popatrzeć na Klimka w trumnie? - zainteresował się Jasiak, posłyszawszy, że mówią o kompanie.

- Przecież słyszysz, że trumna zamknięta w kostnicy - objaśnił go Kowal, gramoląc się na wóz.

- Nie słyszałem.

- To słyszysz teraz. Chcieliśmy ci podarować buty z nieboszczyka, miałbyś pamiątkę po koledze. Ale już leży w kostnicy, nie będziemy mu zdierali butów w trumnie.

Wtoczyli się w cień cmentarnych kasztanów. Jeszcze jeden harnaś pójdzie jutro gryźć ziemię na jeleśniańskim cmentarzu. Ilu ich tam już jest, Janosikowych chłopców, od tamtego

roku, przed murem i za murem? Tramek, Michoń, Maściak, Rzezawa i Klimek.

Za urzędem pocztowym otworzyły się zgliszcza. Pogorzelsko po wójtowym obejściu. Gospodarstwo Franczaka znikło z powierzchni ziemi. Poza nim z prawej strony spłonęły także dwie stodoły i ponad pół domu sąsiada. Jeszcze z tyłu następna chałupa ma dach nadpalony i całe poszycie na stajni zerwane. Aż do drogi doszły przekleństwa ciskane od półzgorzałej chaty. Podpalacz pomyślał o sikawce z ulgą, noszącą wszelkie cechy bluźnierstwa; że właśnie dobrze, iż gmina jeleśniańska nie zdobyła się na nią dotychczas, bo przecież taki głupi drobiazg, jak sikawka w ręku dzielnych strażaków, byłby w stanie pozbawić aureoli harnasia dość znacznego blasku.

Znajdowali się na rozstaju dróg pod stacją kolejową. Obie furmanki zatrzymały się. Zeszli z nich Kaczmarczyk, Mossakowski, Kował, Witkowski i pożegnali się z żywieckimi kolegami u granic rejonu, udając się w powrotną drogę do domów.

- Wygląda pan jak ten redaktor z Krakowa, co tamtego miesiąca przyjechał do leśniczego na polowanie - dowcipkował przodownik, mierząc wzrokiem Witkowskiego od podwiniętych mankietów długich czarnych spodni po piaskowo-kremowy kaszkiet. Wracali powoli, godnym krokiem, zmęczeni wysiłkiem, wrażeniami, nie przespaną nocą, syci laurów. Po dziesięciu minutach wkroczyli do sklepu Mastka w środku wsi, gdzie kazali sobie dać papierosów, lemoniady i piwa. Odsiedzieli dobrą godzinę, omawiając szczegóły pełnej trudów wyprawy. W drodze na obiad wstąpili do Habera i tutaj utknęli już na dłużej. Topił tu właśnie swą rozpacz w wódce schlany do ostatka wójt Franczak, który dzisiejszej nocy stracił całe obejście gospodarskie i kancelarię. O nią się najbardziej martwił, z niej bowiem miał najwięcej dochodów.

- Gdzie ja będę teraz urzędował? - jęczał bełkotliwie, łapiąc się delikatnie za głowę, spowitą w białą czapę bandażów. - Państwo musi mi całą stratę zapłacić, com poniósł przez opryszka. Urząd gminny musi pracować; dla mnie nie ma przerwy. Od jutra musi być urzędowanie w kancelarii gminnej, żeby nie wiem co - zapewniał z uporem pijaka.

- A ja gdzie będę urzędował? - podzielił jego żal przodownik Kaczmarczyk. Ostatnio bowiem, odkąd Janosik własnoręcznie zlikwidował ich posterunek, miejsce urzędowania policji przeniosło się do urzędu gminnego. I ta zastępcza kwatery też legła w popiołach.

Ale był jeszcze jeden pogorzelec w tej gromadzie: Witkowski, tragiczny wdowiec, komiczny cywil, który całe ubranie z wyjątkiem bielizny i butów miał pożyczone. W przeciwieństwie do dwóch starszych od siebie opojów on zachował dramatyczną powagę. - Nie mam co zjeść ani gdzie głowy schronić, ani się w co ubrać. Pan przynajmniej ma mieszkanie i to, co w mieszkaniu - zwrócił się do Kaczmarczyka. - Pan znów ma rodzinę,

krewnych, grunt - skłonił głowę w kierunku wójta. - A ja? - klepnął się palcami w piersi opiętę popielatą marynarką, popatrzył w powalę i wychylił kieliszek. - Ten drań wszystkiego mnie pozbawił. - Tu urwał, spojrzął na zabandażowaną rękę, później na wójtowski łeb, jakby konfrontując obie rany, następnie utkwiał wzrok w powale. Szczęki zwarł mocno, aż skóra na policzkach się poruszyła, głos mu zadrgał. Nalał sobie nowy kieliszek, wypił. Kaczmarczyk czuł, że teraz zaczną się wspomnienia pośmiertne o żonie. Zawsze gdy Witkowski sobie podpił, wracał niezmiennie do tego tematu. Tak właśnie się upijał: na poważnie, na boleśnie, na mściwo. Przodownik, wzruszony już dostatecznie poprzednią sceną zbiorowej rozpacz, zabrał posterunkowego do siebie na obiad.

Tymczasem pochód z aresztowanym zbójnikiem posuwał się wolno w przypiekającym słońcu.

Już poza Janosikiem pozostały znajome wsie. Następna będzie Pewel Mała. Minęli stację kolejową, most na rzece. Na moście zobaczyli auto wysłane przez starostę. Przeniesiono ciężko rannego do wnętrza samochodu, ułożono go w poprzek na poduszkach. Na furmankach pozostało pięciu policjantów łącznie z komisarzem, który już wołał obijać się i trząść na twardym siedzeniu, byle tylko dopilnować i dostawić w całości na miejsce ceną zdobyczą. Pod Grapą skręcili na zachód drogą wzdłuż toru biegnącego do Żywca. Z urwiska na Grapie, nad którym wznosił się w górze gaj, doszedł ich śpiew ptaków. Oko spoczywało z przyjemnością na tej wyżynie zieleni. Nad ścianą kamiennego osypiska wzbijało się wysoko ponad przepaść drogi pierwsze piętro liściastego młododrzewia, obrosłe u stóp krzakami jak żywą roślinną balustradą. Nagle wśród śpiewu ptaków jakiś głos męski zawiódł niby piosenkę:

- Zielenią się buki.

Wyglądało to na śpiew pasterza w górze. Janosik drgnął, ale nie zadarł głowy, tak świetnie opanowane były jego nerwy i zmysły. Dźwięk zasłyszany poraził go niczym prąd elektryczny. Poznał ten głos. Strzelił tylko oczami w gaj, nie zmieniając pozycji głowy. Nie byłby harnasem, gdyby jego bystre oko nie dojrzało tuż nad krawędzią urwiska w głębokiej zieleni poszycia ukrytej twarzy Wojnara.

Głos się już nie powtórzył. Policjanci nie zwrócili zbytniej uwagi na okrzyk, sądząc, iż ktoś w lesie lub na wysokich pastwiskach brzegowych nuci piosenkę. Zaniepokoił się trochę dopiero, gdy nie nastąpił dalszy ciąg piosenki. W oczekiwaniu zasadzki spojrzeli podejrzliwie na więźnia. Nie zmieniło się nic w jego ruchach ani w twarzy. Ale w tej chwili zobaczyli, jak z oczu Janosika spłynęły dwie łzy. Zdenerwowali się, poprawili w siedzeniach i mocniej ścisnęli karabiny, gotowi do akcji.

Janosik zapłakał! Za swojej dojrzałej pamięci czynił to po raz drugi w życiu. Pierwszy raz zdarzyło się to w borze na Lipowskiej, kiedy mu Ewa objawiła tajemnicę jego urodzenia, przyszedłszy doń z posłaniem od nie znanego dotąd ojca. Drugi - kiedy najwierniejszy jego przyjaciel pozdrowił go i pożegnał tajnym hasłem, pod którym miano prowadzić chłopów ku zwycięstwu.

Przyprowadzono Jana Dziurę na komisariat żywiecki w upalne południe. Umieszczono go w małej, dusznej celi, poczęstowano garnuszkem zupy i kawałkiem chleba. Policjanci rozeszli się do domów na zasłużone obiady, pozostał tylko dyżurny. Jasiak rozglądał się po gołych, odrapanych ścianach. Wszyscy od początku namawiali go na ten kryminał; sami przyjaciele. Po południu zjawił się w kancelarii odświeżony komendant i rozpoczęło się przesłuchanie. Jaś stanął przed biurkiem bosy, w kajdankach. Nawet w celi nie zdjęto mu stalowej obroży z rąk. Komisarz zadawał pytania, posterunkowy protokołował. Trzeci policjant z karabinem trzymał straż przy drzwiach.

„Co on z tymi butami zrobił? To głupia historia - machinalnie pomyślał komendant, patrząc na brudne stopy aresztanta. - Wszystko jedno, oddamy go zaraz sądowi, niech się tam o jego buty martwią" - pocieszył się, zapalając papierosa.

Janosik śledził z pożądaniem niebieskie mgiełki dymu, płynące z delikatnego tytoniu, spalane w grubym Egipskim papierosie.

- Zrewidować go - padł rozkaz.

Protokolant obmacał kieszenie spodni i surduta Janosika. Wyciągnął drobiazgi: latarkę, pudełko zapalek, dwa połamane papierosy, jakieś dwie zmięte kartki papieru. W górnej kieszonce marynarki tkwiła złożona w kilkoro dwudziestozłotówka. Właściciel nawet nie miał o tym pojęcia; zawsze kładł pieniądze byle gdzie. Nie mogliby mu za to kupić papierosów? A tak banknot przepadnie w protokole jak w studni. Z błyskiem triumfu rozwinięto jedną z dwóch znalezionych kartek. Oczy obu policjantów, nachylonych nad zadrukowanym zwitkiem, pojaśniały.

- Ach, tak? - wycedził przeciągle komisarz. - Ładny papierek znaleźliśmy u pana, panie Dziura. Przyda się to do protokołu.

- Co za papierek?

- Nie udawaj głupiego, bo ci się to na nic nie przyda. Wiesz dobrze, co to jest. Wyprzesz się naturalnie, że nie masz nic wspólnego z komunizmem?

- Nic.

- Oczywiście. Nie podpalałeś, nie rabowałeś, nie buntowałeś ludzi, nie propagowałeś

komunizmu?

Jasiek utkwiał w mówiącego oczy z wyrazem zdziwienia. Nie wiedział po prostu, co powiedzieć. Komisarz tymczasem dyktował protokół rewizji osobistej.

- ...Przy aresztowanym znaleziono podczas rewizji osobistej, poza dwoma rewolwerami, przedmioty codziennego użytku, a to: latarkę kieszonkową, pudełko zapalek, dwa połamane papierosy, gotówką dwadzieścia złotych oraz zwinięte w rulonik dwie ulotki komunistyczne, zatytułowane: „Do braci chłopów! Towarzysze, twórzmy front robotniczo-chłopski!", które załącza się do protokołu śledztwa.

Pierwotnie zamierzał zapytać: „A gdzie jest srebrny zegarek, który miałem na ręce?” Głupstwo, może mu wypadł w ucieczce. Jeśli buty zgubił, mógł równie łatwo zgubić zegarek. Wszystko było głupstwem wobec tych dwóch ulotek. Ostatnia, część protokołu rewizji nie spodobała mu się wyraźnie. Zaprotestował od razu.

- Nie miałem żadnych papierów przy sobie. To jakiś podstęp. Ktoś mi to umyślnie podrzucił.

- Kto? Szedłeś sam za wozem.

- W nocy Witkowski macał mnie po kieszeniach, jak szukał broni. Wtedy gdy leżałem już skuty w lesie.

- Nie gadaj głupio. Witkowski dałby ci po mordzie za to, jakby słyszał. Myślisz, że my nie mamy nic innego do roboty, tylko podrzucać ulotki komunistyczne?

- Nigdy nie nosiłem żadnych papierów. Wyście mi to wsadzili w kieszeń, aby ze mnie zrobić komunistę.

Komisarz wstał szybko od stołu i trzasnął pięścią w twarz Janosika. O, bije mocno, ma siłę w ręce. - Stul gębę! Narabowałeś się dość, napodpalałeś dość, abyś wisiał. Za to, coś zrobił, swoje dostaniesz. I nikt nie ma w tym interesu, aby ci ulotki podrzucać. Zbrodni masz dosyć na sumieniu bez tego. I to nie małych.

Wobec takiego argumentu aresztant uspokoił się. Był jednak zdumiony, skąd się mogły wziąć ulotki komunistyczne w jego kieszeni. Nigdy w życiu nie oglądał takiej ulotki. Czy oni mają może w ręce odezwy od Wojnara? Tamte miały inny tekst, sam go przecież układał do spółki z przyjacielem. Uzmysłował sobie z niezachwianą pewnością: policja włożyła mu to niepostrzeżenie tej nocy. Cel prowokacji był jasny: zaaresztować Wojnara, skompromitować ruch ludowy.

- Imię i nazwisko?

- Jan Dziura.

- Ojciec? Matka?

- Ojciec - Andrzej, matka - Waleria.

- W którym roku urodziłeś się?

- Mam lat dwadzieścia. To będzie w roku 1918.

- W którym miesiącu, dokładnie.

- Nie wiem.

- Papierów nie masz? Żadnych?

- Nie mam.

- Więc kiedy właściwie się urodziłeś?

- Wiem, że w dzień świętego Jana, w zimie. Dlatego mam właśnie imię Jan.

- Dwudziestego siódmego grudnia - powiedział komisarz. - Tak?

- Tak, dwudziestego siódmego grudnia - odpowiedział bez namysłu Jasiek. Nie znał dokładnej daty, ale jeśli tak komendant mówi, musi być prawdą. Któż by sobie zresztą zaprzętał głowę takim głupstwem?

- Gdzie rodzony?

- W Nowym Targu.

Przez pełne trzy godziny trwało przesłuchanie. Otwarte okna kancelarii wychodziły na ogród. Zieleń drzew natrętnie wdzierала się do pokoju. Duży, tłusty szpak pogwizdywał na gałęzi. Jego towarzyszka wlatywała co chwila do budki umocowanej na drzewie, gdzie założyła sobie gniazdo. Słońce nieznużenie zalewało świat potokami jasnego ognia.

Od siedzenia ścierpły Janosikowi nogi. Prosił, aby mu pozwolono przejść się pod ścianami. Nie popuszczono mu jednak ani na chwilę kajdanek z rąk, a do ustępu chodził z nim obowiązkowo policjant. Spisano całą litanię przestępstw. Niczego nie taił, szczegółowo wyliczywszy co, gdzie, kiedy i jak. Wyparł się tych czynów, które mu zarzucano, a z którymi nie miał nic wspólnego.

- No, w ostatnim dniu wolności toś sobie użył - rzekł komisarz, skończywszy dyktować protokół. - Cztery pożary w przeciągu jednej doby! Widziałem już różnych zbrodniarzy, ale ty pobiłeś rekord. Rabunki jeszcze od biedy rozumiem. Ale po jakiego diabła podpalałeś?

- Chciałem, aby z dymem poszło to, co było złe. Aby ogień strawił te wszystkie łajdactwa.

- Mnie także chciałeś spalić? Tak?

- Tak.

Komendant uśmiechnął się drwiąco. - To mnie już nie spalisz.

- Ja rabowałem panów, biedaka bym nie skrzywdził.

- Taki to ja pan? Wiesz, jaką ja mam pensję?

- Pan ma władzę nad ludźmi.

- Co ci byli winni Żydzi w Korbielowie?

- Powiedziałem już: nie rabowałem ich wcale, nie przyznaję się do tego. Tak jak i do zabójstwa Ćwiertniaka. Nie znałem tego człowieka, nic nie miałem przeciwko niemu.

Ani nie podpaliłem Juraszków na Głuchaczkach. Ani willi Matuszka w Korbielowie. Nie robiłem nigdy na złość nikomu, chyba bogaczom i łotrom, ale to wszystko ze sprawiedliwej zemsty.

Komisarz odczytał aresztantowi protokół, dał mu do podpisania. Schował papiery do szuflady. - No to już nasze zadanie skończone, panie Dziura. Teraz zajmie się tobą sąd. Jeszcze się dzisiaj u nas wyśpiesz.

Wbrew zapowiedzi zadanie policji nie skończyło się na spisaniu protokołu. Nastąpiła bowiem potem nieoficjalna część aresztanckiego pobytu. Tak jak i nie spełniła się druga obietnica komisarza. Albowiem nie było sądzone wyspać się Janosikowi. Tej nocy zbito go pałkami przez mokre szmaty. To było pożegnanie policji z Janosikiem. Mieli go rano oddać wraz z protokołem do dyspozycji sędziego śledczego w więzieniu. Tam będzie oczekiwał rozprawy. Jutro więc przekażą go w ręce sprawiedliwości. I już prawdopodobnie nie zobaczą się z nim nigdy. Z nim, który przyczynił im tyle kłopotów, zmartwień i nieszczęść. On, postrach policjantów, zmora Żywiecczyny, nieustanny powód utyskiwań władz centralnych, który tyle sadła zalał za skórę Witkowskim, Kowalom, Kaczmarczykom, i jemu, komisarzowi, odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo całego powiatu. W dodatku miał zamiar jego także spalić.

Zemścili się za to porządnie.

Rankiem słońce uderzyło w okratowane okno, z gałęzi wzbił się śpiew ptaków. Przyniesiono Dziurze garnuszek czarnej kawy i pajdę chleba. Ledwo przełknął śniadanie, zjawili się dwóch policjantów.

- Chodź z nami.

Wstąpili do kancelarii, aby zabrać protokół i zapakowane w gazetę rzeczy młodzieńca, pochodzące z rewizji osobistej. Komisarz z przedziałkiem na głowie, ufryzowany na mokro, uśmiechnął się doń fałszywie, rozkładając ramiona bezradnym gestem gościnnego gospodarza.

- Więc pan nas opuszcza, panie Dziura. Oddaję pana w godne ręce. Spełniliśmy nasz obowiązek. Teraz ma głos sędzia.

- Uczyniliście to, co do was należało - powtórzył aresztant. - Nawet więcej, niż do was

należało - uśmiezek igrał na jego wyschniętym, brązowym obliczu.

Komisarz polknął gorzką aluzję jednym tchem, nieznacznie się skrzywiwszy. Spojrzał na podkrążone oczy Jaśka, zaniepokoił się obłudnie.

- Chory jesteś?

- Nie - odparł. Przecież nie będzie mu się skarżył, że go bito. Na pewno stało się to za jego wiedzą i wolą.

- Co ci jest?

- Nic.

- Tyś jest Jan Dziura?

Patrzą na niego wszyscy trzej: sędzia śledczy, protokolant, strażnik więzienny - i nie mogą uwierzyć. Więc to ma być groźny zbój? Ten mały, chudy chłopiec?

Tu już nareszcie go rozkuli. Sędzia widocznie nie obawiał się go tak jak policja. Od razu zwrócili uwagę na jego bose stopy.

- Nie masz butów? - zapytał sędzia. Kiedy popatrzył aresztantowi w oczy, odczuł lekkie drgnienie. Przeszedł na formę: wy.

- Gdzie wasze buty?

- Zdjąłem w lesie, gdy mnie gonili, aby ciszej iść po patykach. Zgubiłem gdzieś w ucieczce.

Ilu ludzi kłopotalo się już tymi butami! Było w tym coś tragikomicznego. Jak można buty zgubić? Jak gęsto trzeba się z tego powodu tłumaczyć! „Co ich moje buty obchodzą?” Sędzia przeczytał raz jeszcze protokół policyjny i wpadł na rozsądny pomysł.

- W protokole zaznaczono, że przy rewizji osobistej mieliście dwadzieścia złotych w gotówce. Zgadzacie się, aby wam zarząd więzienia kupił buty, potrącając pieniądze z tej kwoty?

- Zgadzam się.

O, co głowa, to rozum. Janosik rozejrzał się po sali. Sędzia, mimo iż surowy, jest ludzki. Umie podejść do człowieka. Już, już chciał mu się poskarżyć, że policja skatowała go tej nocy na komisariacie, ale zrezygnował z zamiaru. Co dostał, to dostał, przeboleł. Wyprą się, a on nie rozpozna żadnego. Mądrość wiejska słusznie powiada: z policjantem nikt sprawy w sądzie nie wygra.

Słońce świeci za wysokimi oknami, drzewa zielenią się radośnie. Na ścianie prezydent Rzeczypospolitej na jaskrawym oleodruku z dobrotliwym półuśmiechem spogląda życzliwie w oczy patrzącego, jakby przyrzekając Dziurze łaskawość w osądzeniu zbrodni i z góry

zapewniając go o przychylności najwyższego majestatu. Z drugiej strony głowa marszałka Piłsudskiego odwracała się od aresztanta w przeciwny róg sali profilem, jakby mówiła: „Nic mnie to nie obchodzi, nie chcę wiedzieć o niczym”. Jasiek wpatrzył się machinalnie w groźne rysy wodza na obrazie. Ho, ho, już dawno Piłsudskiego nie ma. Leży sobie w Krakowie na Wawelu nad Wisłą.

- Jak się nazywacie? - wyrwał Jaśka z zamyślenia gromki głos sędziego.

Sędzia niski, szczupły, młody, dwa złote zęby, ubrany elegancko, blondyn. Oczy niebieskie, wzrok łagodny. Nad zaczesaną do góry fryzurą, przeświecającą dyskretną łysiną, rozcapierzył się na ścianie Orzeł Biały na tle czerwieni, z szeroko rozstawionymi szponami. Taki głodny orzeł, co nad Kościółkami wypatruje głuszca. Ci dwaj panowie, przybici w ramach za szkłem na ścianie, nie zrobią nic Jaśkowi. Jeden z nich i tak już umarł; podobno nawet za życia nie interesował się sprawami cywilów. Ten drugi jakoby władzy żadnej nie posiada, tak mówią o nim; ale uśmiecha się przychylnie. Także i sędzia wydaje się być nie najgorszym chłopem. Ten jeden orzeł, wysoko nad nim na ścianie rozpięty, ten dopiero zgneźbi Jana Dziurę. Tamci - ludzie, a to - nienasycony, drapieżny ptak. I zdało się Janosikowi, że Orzeł rzuca się na niewinnego, wolnego harnasia, aby go zadziobać i zdusić.

- Głuchy jesteś, człowieku? - przywołał go do przytomności głos sędziego. - Pytam się was, jak się nazywacie? Przystępujemy do zeznań.

- Jan Dziura.

- Ojciec? Matka?

- Andrzej i Waleria.

- Nazwisko panięskie matki?

- Dziura to jest nazwisko panięskie matki. Jestem nieślubnym synem.

Sędzia poskrobał się po uchu. Kiwnął palcem protokolantowi. - Proszę pisać: syn Andrzeja...

- ...Sobczaka - przerwał mu Janosik.

- Ojciec Sobczak?

- Tak.

- ...Andrzeja Sobczaka i Walerii Dziura z nieprawego łoża, urodzony...

- W Nowym Targu.

- Rok?

- 1918.

- Miesiąc? Dokładnie mówić!

- Dwudziestego siódmego grudnia - przypomniał sobie wczorajsze obliczenie

komisarza. Po co jeszcze raz go o to pytają? O dzień urodzenia. Czy to nie wszystko jedno, czy w czerwcu, czy w grudniu? Niech się o zbrodnię pytają.

Ze cztery godziny trwało przesłuchanie. Powtarzało się to samo, co wczoraj podczas zeznań w komisariacie. Sędzia zmęczył się siedzeniem, wstał, przeszedł się po sali, otworzył okno, pogłaskał rzadką fryzurę, odetchnął świeżym powietrzem. Śpiew ptaków wtargnął do sali sądowej, przesłuchanie było skończone.

- Dlaczego staliście się zbójem? - odwrócił się nagle sędzia do Janosika. Trzymał ręce w kieszeniach, oczy jego prawie dobrotliwie spozierały na harnasia.

- Mściłem się za krzywdy moje i moich braci.

- Dlaczego rabowaliście i podpalaliście?

- Chciałem lud poruszyć, ogniem wypalić złodziejstwo, świństwo, które się panoszy u góry.

Sędzia nie wdawał się więcej w rozmowę z przestępcą. Przed chwilą wypisał mu długą litanie zbrodni, a teraz wychodzi z tego wszystkiego polityka. To śliski temat. Z protokołu policyjnego wynika (według załączonych ulotek), że to komunista. Rozmowa z nim potwierdza te podejrzenia.

To będzie ciężki orzech do zgryzienia. Jakże chętnie sędzia pozbyłby się tej sprawy! Już od kwadransa zaprzątnięty jest tą myślą, a myśl ta nie jest pozbawiona pewnych podstaw. Istnieje bowiem formalne zaczepienie do przekazania bandyty sądowi nowotarskiemu. Tam rodził się Dziura, tam dokonał połowy swoich rabunków. Tam atmosfera będzie spokojniejsza niż tu, w centrum działania obalamuconych chłopów. Sprawa polityczna to najgorsza rzecz, jaka może spotkać sędziego. Niebezpieczna. Można na niej wyleźć wysoko, częściej zaś upaść, i to bardzo nisko. Nigdy nie wiadomo, jak ją traktować; zawsze będzie źle.

Odesłał aresztanta do celi i zajął się redagowaniem wniosku o przydzielenie sprawy kompetencji sądu okręgowego w Nowym Targu. Głowił się jeszcze nazajutrz rano nad uzasadnieniem wniosku, gdy niespodziewanie wybawiła go z kłopotu błogosławiona instrukcja telefoniczna prezesa sądu apelacyjnego z Krakowa, przekazująca sprawę Janosika sądowi nowotarskiemu ze względu na ujawnione nastroje ludności na Żywiecczyźnie, co mogłoby się odbić niekorzystnie na prowadzeniu rozprawy.

Z radością skończył urzędowanie, wstępując na piwo przed obiadem do najlepszej miejscowej restauracji w rynku. Janosik pozostał sam. Teraz miał czas na rozmyślanie.

Za to Wojnar nie miał czasu. Wszystko było poruszone, wzburzone. Ulotki rozdano zaufanym działaczom. Nie wszyscy uwierzyli w aresztowanie Janosika. Raporty policyjne

kłamią, języki pastuchów mówią prawdę. Władze mają swój cel w rozsiewaniu tendencyjnych plotek, aby osłabić w ludzie zapał do zamierzonego marszu. Hasło zostało podane. I dzień, w którym chłopci mają się zebrać w trzech miastach, aby pójść dalej, na doły, o krzywdy swoje się upomnieć. Wojnar pracował gorączkowo. Nerwowość tego wysiłku udzieliła się i jego żonie, zazwyczaj dobroniusznej i opanowanej. Była oddana sprawie ludowej, lecz bała się o męża i jak każda kobieta intuicyjnie wyczuwała nieszczęście.

- Ja z jedzeniem czekam godzinami, a ty nie masz czasu. Daj sobie spokój, nie zajmuj się polityką.

- Polityka jest rzeczą mężczyzn - tłumaczył jej wyrozumiale, swoim spokojnym, niskim głosem. - A przy garnkach stoisz nie od dzisiaj. Ja zimne jedzenie także zjem i będzie mi smakowało. Za dwa tygodnie będzie koszenie siana. Ja się tym zajmę, nie bój się.

- Ja się nie boję, ale cierpię nad tym. Człowiek ledwo koniec z końcem wiąże, a ty zdrowie po aresztach tracisz. Zniszczą nas całkowicie, zobaczysz.

- Niedługo.

- Zanim tłuści zdechnie, chudego diabli wezmą.

- Dłużej klasztora niżli przeora - odparł jej z tej samej beczki.

- Dopóki ta paka złodziei jest przy rządzie, nic nie zrobimy.

- Nie zginiemy. Powoli się robi. Idziemy do Polski ludowej.

- Daleko dojdiesz? Przyjdą znów po ciebie, zabiorą cię do kryminału. Wszystkim to grozi, co i jemu.

- Z Janosikiem jest inna sprawa, ty tego nie rozumiesz.

- Smugawski już siedzi z synami za to, że koni bandzie użyczał. Niech ktoś powie, choćby ten kulfon od Pasika, że Jasiek zaglądał do ciebie w ostatnich dniach, to wystarczy, abyś się znowu przejechał z Kowalem do Żywca. Który to raz?

Baca z Lipowskiej dostał się do aresztu, ponieważ było łatwą rzeczą stwierdzić, iż konie, których użyli harnasie, pochodziły z jego koszar. Nie pomogły tłumaczenia, że wzięli je sami bez jego wiedzy. - Czemuś o tym nie zawiadomił władz? - huknęli. Jeszcze o mało go nie zbili.

Wojnar pracował bez wytchnienia. Pracowali również w swoich terenach Banach i Spsychalski. Odbywali rady ze starszymi gromad, instrukcje szły do najdalszych wsi. Trzy powiaty wrzały jak objęte wichrem. Władze kładły objawy tego niepokoju na karb reakcji po zlikwidowaniu bandy. Był to jednak niepokój dziwnego rodzaju. Niby na pozór nic, ale atmosfera naładowana elektrycznością; żadnych zaburzeń, demonstracji, śpiewów, wybijań szyb, tylko jakieś wieczorne narady, rozmowy szeptem, ukradkiem. Policja coś wahała, do

starosty biegły ponure meldunki. Coś się dzieje złego; jak wtedy, kiedy był postanowiony strajk chłopski. Z dnia na dzień rosło napięcie. Chłopi chyłkiem zagajali niby to przypadkowe spotkania z zaufanymi:

- Podane mamy hasło.

I w cichości, w tajemniczym skupieniu przekazywali sobie z ust do ust sygnał marszu:

- „Zielenią się buki”.

Burza szła z groźnym pomrukiem. Już za cztery dni Zielone Świąta. Wielkie sprawy idą na kraj. Zobaczycie, co będzie w niedzielę.

Witkowski nie spał przez dwie noce po ujęciu Janosika. Wynajął sobie izbę w domu sołtysa przyborowskiego, Kamienieckiego. Nikt w całej wsi nie chciał mu za żadną cenę odstąpić mieszkania. - Potrzebuję mieć jutro dom spalony? Po co mi ta przyjemność? - usprawiedliwiali się wszyscy, wymawiając się niewygoda, brudem, ciasnotą, paskudnym robactwem, liczbą małych dzieci, wymyślając nawet zakaźne, haniebne choroby, aby odstraszyć policjanta i obrzydzić mu ewentualne mieszkanie. Wszystko, byle nie to. Żywili niezachwianą pewnością, iż obecność pechowego lokatora sprowadzi niechybnie nieszczęście na ich dom. Że jeśli chałupa od razu nie spłonie, to albo byłoby wyzdycha w oborze, albo co najmniej szyby nazajutrz będą w oknach wybite.

Pierwszej nocy po niezapomnianym policyjnym sukcesie Witkowski zatrzymał u siebie sołtysa, rozmawiając z nim długo. Gospodarz domu z racji piastowanego urzędu wywlókł swoją nieśmiertelną bolączkę: sprawę Głuchaczek, dowodząc, iż całkowite bezpieczeństwo terenu uzależnione jest od unicestwienia punktu oparcia, jakim były i są nadal dla opryszków Głuchaczki. Witkowski słuchał jednym uchem starej piosenki sołtysiej, drugim zaś łowił podejrzone szmery w sieni, na górze, za oknami. Był niespokojny. Koszmar wczorajszej i przedwczorajszej nocy zapadł mu głęboko w mózg, odżywając z nadejściem ciemności. Walka z bandytami jeszcze się nie skończyła. Czy jakiś nowy pluton Janosikowych kompanów nie wyruszył na pomszczenie wodza? Czy się nie czają w pobliżu z zamiarem podpalenia chałupy? Od wczoraj prześladowuje go myśl, że kładąc się do łóżka, nie obudzi się nazajutrz, gdyż spłonie żywcem podczas snu.

Już późno. Sołtys spojrzął na cebulasty zegarek, podniósł się ze stołka i wyszedł do swej izby, życząc lokatorowi dobrego snu w pierwszą noc pobytu na nowym mieszkaniu.

To świetne: dobrego snu! Witkowski był pewien, że sen nie nawiedzi go tej nocy. Ułożył na stoliku obok łóżka kubek z wodą, papierosy, zapalki, latarkę, wreszcie zgasił lampę. Na próżno przywoływał spanie. Izba zaludniła się zbójami skradającymi się do łóżka.

Już wyciągają ręce ku jego szyi. Wiadomo: chcą go zadusić. A później trup jego spłonie. Trudno spać, gdy się wie, że za chwilę dom buchnie płomieniem. O, po raz trzeci nie pozwolą uciec Witkowskiemu z pożaru. Do rana zwęgli się tu na popiół. Trawiony panicznym niepokojem, zmęczony bezsennością, uniósł się z pościeli, wymacał papierosa, sięgnął po zapalki. W świetle płomyka zobaczył kartkę na stołku. Wziął w rękę świstek. Na papierze widniały nakreślone ołówkiem trzy wyrazy: „Do miesiąca zginiesz”.

Oblał go zimny pot przestrawu. Zapalka zgasła, ale napis trwał tym świetliściej przed oczyma leżącego. Ci ludzie nie zwykli żartować. Co ma teraz jeszcze Witkowski do stracenia? Poza życiem wszystko stracił: żonę, dom, majątek. Teraz kolej na niego samego. „Do miesiąca zginiesz.” Tak Janosik mścił się jeszcze z więzienia.

I druga noc nie była lepsza od poprzedniej. Nie wspomniał naturalnie nikomu o kartce, grał nieznużenie z sołtysiem w sześćdziesiąt sześć, sołtys znów naprowadził rozmowę na Głuchaczki. Przejęty powagą zagadnienia, przekonywał (który raz?) nowego lokatora, że dopóty nie będzie spokoju w Przyborowie, dopóki się nie rozkurzy na amen Głuchaczek.

- Stamtąd idzie zaraza, z tego gniazda zbrodni.

- Tak, tak - przyświadczył posterunkowy, rozmyślając równocześnie: „Ta kartka, czy to nie sprawka kogoś z Głuchaczek?” Juraszek oczywiście nie wchodził w rachubę, ale już jego siostrze by nie dowierzał. Może Mitanowie? Może Maziarzowi synowie? To najprędzej. Klimiec także niepewny. A starzy Tramkowie nie mogli kogoś podmówić we wsi?

Była godzina jedenasta, gdy sołtys poszedł spać do siebie. Witkowski nie zgasił lampy, czytał do północy gazetę. W pewnej chwili usłyszał chrobot, jakby ktoś podważał ramę okienną. Zdmuchnął czym prędzej lampę, aby nie stanowić celu dla strzału rewolwerowego. Skulił się pod ścianą, nad słuchując w ciemności. Wydało mu się, że słyszy czyjeś kroki w sieni. To chyba kot zeskoczył z drabiny, budząc echo w uspiętym domu. Teraz zaś jakby uderzono kamieniem o ścianę chałupy. Ktoś budzi śpiącego przypominając swą straszną obietnicę; a czuwającego ostrzega kamieniami: „Do miesiąca zginiesz”. Wyrok już zapadł.

Wypalił kilkanaście papierosów tej nocy, ani na minutę nie poddawszy się snowi. Wstał z bólem głowy. Podczas golenia zauważył, iż posiwiały mu włosy na skroniach i nad uszami. Ma dopiero trzydzieści lat. Odkądże to zaczął siwieć? Widocznie od śmierci żony.

Na próżno siebie oszukiwał. Wiedział dobrze, iż stało się to w ciągu ostatnich dwóch nocy. Po przeczytaniu tajemniczego ostrzeżenia wpadł w przeraźliwy lęk. Jak mogła się dostać czyjaś obca ręka do domu sołtysa, nad samą krawędź łóżka policjanta, kiedy on przez całą noc oka nie zmrużył? Czarni chłopcy Janosikowi jeszcze żyli i działali. Długie ramiona

ma wódz bandytów. Na początku, kiedy wybuchł zatarg, z Janem Dziurą, Witkowski zawziął się na niego. Nie było przecież człowieka, któremu by on nie dał rady. Powiedział sobie wtedy: „Muszę go stąd wykurzyć. Dla nas dwóch nie ma tu miejsca. Albo on, albo ja”. Wykurzył go, tak. Ale i on, rzekomy zwycięzca, nie śmie tu pozostać dłużej, to już postanowione. Nie wyrwie z korzeniem tej zarazy, nie dotrzyma przyrzeczenia. Niech diabli porwą cały Przyborów!

Na czwarty dzień po aresztowaniu Jana Dziury zameldował się u komendanta policji powiatowej w Żywcu posterunkowy Witkowski z prośbą o urlop.

- Źle się czuję - zaczął policjant. - Nie tylko od tej rany - pokazał zabandażowany łokieć. - Pan komisarz dobrze wie, ile ostatnio przeszedłem nieszczęść i wypadków. Chcę wyjechać do rodziny do Chrzanowa, odetchnąć trochę. Namordowałem się niemało z tym Janosikiem.

- No, to prawda - skwapliwie potwierdził komendant.

- Przez tego bandytę straciłem żonę, którą kochałem, straciłem dziecko, które miałem mieć. Dwa razy chałupę mi spalili. Trzykrotnie miałem szyby w domu wybite. Cały majątek, jaki miałem, spłonął. Jestem dziadem bez dachu. Zostałem w samej bieliźnie, wszystko poszło z dymem przez tego łotra. Wszystko, co na mnie jest, poza butami i bluzą, pożyczane. Zniszczył mnie, łajdak, całkowicie. Miałem pecha, spadłem z drabiny, chorowałem trzy dni, dziś jeszcze czuję odbite nerki. Później znów dostałem kulę w łokieć. A wczoraj padła mi krowa, którą chowałem u sąsiadów. Widzi pan komisarz? Posiwiąłem - palcem dotyka włosów nad uchem. - Mam trzydzieści lat i włosy mam siwe. Chcę pojechać na dwa tygodnie do rodziny, wypocząć, odetchnąć innym powietrzem.

- Naturalnie, że należy się panu urlop. Zasłużył pan sobie na niego solidnie. Dobrze, od jutra pójdzie pan na pół miesiąca. Dam Kowala w zastępstwie na pański rejon.

- Od poniedziałku, panie komisarzu, bo muszę pozałatwiać jeszcze sprawy, zdać Kowalowi służbę.

- Dobrze, od poniedziałku. Niedzielę może pan mieć wolną.

- A później, panie komisarzu, będę prosił o przeniesienie mnie gdzie indziej. Nie chodzi mi o to, że ludność w Przyborowie jest na mnie wzburzona. Trudno, służba to służba. Choć człowiek się ludziom narazi, trzeba spełniać swój obowiązek. Ale tyle mnie tu nieszczęść spotkało, że chciałbym stąd przenieść się w inne miejsce i zapomnieć, że tu straciłem żonę i cały dobytek. Trzy lata siedzę w Przyborowie, nie zarobiłem sobie na awans, zarobiłem tylko kulę w rękę. Inni mają może lepsze posterunki, może są więcej warci ode

mnie, nie wiem. Ja za swoją trzyletnią służbę zarobiłem tyle: wdowieństwo i żebractwo.

To było powiedziane silnie, z należą goryczą, i zrobiło na komisarzu wrażenie.

- Teraz codziennie, przechodząc koło tych samych przyborowskich chałup, mam sobie przypominać, że tu zostałem wdowcem, że tu zostałem dwukrotnie pogorzelnem i dziadem, że tu posiwałem ze zmartwień...

Nie dokończył, zająknął się ze wzruszenia i żalu. Zrozumiał to komendant, poklepał podwładnego po ramieniu, pocieszając go:

- Zrobimy coś, panie Witkowski, aby panu pomóc. Postaram się panu o lepsze powietrze, bo w Przyborowie naprawdę nie miał pan lekkiego życia. Ja pana rozumiem. Niechże pan pojedzie najpierw na urlop, wypocznie sobie, ja tymczasem rozejrzę się po powiecie. Gdy pan wróci, pogadamy o przeniesieniu. Co się da, to się zrobi.

Wyciągnął papierośnicę i poczęstował Witkowskiego. Posterunkowy odetchnął z ulgą. Otrzymał urlop i nadzieję na przeniesienie. Zaczął przemierzać długimi krokami kancelarię, zaciągając się dymem. Rozmawiali teraz o nastrojach wsi w związku z likwidacją Janosika oraz zbliżającym się świętem ludowym.

- Jak tam w Przyborowie i Jelesni?

- Ten drab zbuntował cały powiat - informował komisarza Witkowski. - Szczęście, żeśmy go złapali przed świętem, bo gotów nam był znowu figla spłatać. A i tak wiem, że chłopci przygotowują w Zielone Świąta manifestację.

- Gdyby Dziura był na wolności, na pewno by się nie obeszło bez strzelaniny. Podobno planował przemówienie w niedzielę na wiecu. Ktoś doniósł mi nawet, że chłopstwo jest gotowe do jakiegoś marszu na Kraków czy Warszawę.

- Tyle plotek nasłuchał się człowiek o tym opryszku, że nie wiadomo, gdzie się kończy prawda, a zaczyna brednia.

- Dziura mógł ważyć się na wszystko. To szalony łeb. Właśnie idę do starostwa. Dobrze się składa, że pan jest na miejscu, zabiorę pana ze sobą. Nasz starosta - dodał konfidencjonalnie - lubi czasem zbagatelizować sprawę. A w tym wypadku opłaci się nawet za silnie nacisnąć aniżeli nie dopatrzeć.

Przed wyjściem zapalili jeszcze raz papierosa. Komisarz wydawał się zadowolony, Witkowski otrzymał właśnie urlop zdrowotny, a cała zasługa z powodu ujęcia nieuchwytnego dotąd bandyty spadnie na komendanta policji powiatowej w Żywcu. Jakżeby zresztą mogło być inaczej? Wszak on jest szefem bezpieczeństwa w powiecie.

W drodze do starostwa przedkładał Witkowski komisarzowi sprawę, o którą z kolei znów stale molestował go sołtys Kamieniecki. Od roku nabrał apetytu na Głuchaczkową

polaną. Marzyło mu się tam wielkie gospodarstwo na podcylóńskich stokach. Po paru latach sianokosów na tej uprawie zasieje się owies. Skarczuje się dwa dolne morgi lasu, zbierze się ładne pieniążki za drewno (sama papierówka!) i sołtys będzie miał prawie dziesięć morgów owsianego łąnu w jednym kawałku. To majątek. - Wszystkich sił dołożę, aby rozburzyć gniazdo występku! - deklamował patetycznie. - Głuchaczki, zakała mojej wsi! - Od dwóch miesięcy pozyskał całkowicie dla swojego planu Witkowskiego. Co tydzień posyłał mu jaja, masło i ser, wzbraniając się brać pieniądze. - Później się obliczymy. - Ostatnio przyjął bezdomnego policjanta na mieszkanie bezpłatnie, przyodział go trochę; grosza za nic nie wziął. - Kiedy mi pan pomoże wypędzić rabusiów z Głuchaczek, będziemy się wtedy rachowali. Grzeczność za grzeczność. A wtedy wyjdzie z rozliczenia, że ja jeszcze panu posterunkowemu z podziękowaniem za fatywę parę setek dołożę za to, że dzięki pańskiej pomocy wieś odetchnęła od zbójów i że ostatnia placówka złodziejska zniknęła z powierzchni ziemi. Wtedy dopiero będziemy mieli spokój.

Jak się nie zapalić do takiej myśli? Przecież Witkowski miał od dawna na wątrobie Głuchaczki. Czyż nie on pierwszy przed sołtysiem obiecywał rozpędzić tę zgraję drabów? Dopiekli mu do żywego. Ile się tam nałaził, nadarł butów po próżnicy! Posterunkowy interweniował osobiście na placówce granicznej w Korbielowie, aby straż ze swej strony wysłała do starostwa żywieckiego pismo z wnioskiem o zlikwidowanie Głuchaczek jako centrum przemytu. Takie samo pismo wy dostał sołtys wraz z Witkowskim z nadleśnictwa: tam znów określono Głuchaczki jako osadę kłusowników i złodziei leśnych. - Teraz jeszcze wystosuje pan raport do komendanta w Żywcu, a przez niego do starostwa - uświadamiał policjanta niezmordowany dygnitarz gminny - że Głuchaczki z punktu widzenia bezpieczeństwa należy unieszkodliwić. Na bezludziu, trzy kilometry od granicy usadowił się element zbrodniczy, niebezpieczny. To ostatnia pozostałość po Janosiku, jego rezydencja, którą należy usunąć dla spokoju wsi, a nawet całego powiatu. Pan dobrze wie, co to są Głuchaczki.

Nie trzeba mu było tego tłumaczyć, rzeczywiście dobrze wiedział. Toteż w tym duchu przedkładał na ulicy komisarzowi: - Moim zdaniem nie będzie spokoju w powiecie, póki się nie rozpędzi mieszkańców Głuchaczek. Pan komisarz wie, gdzie to?

- Wiem, wiem, słyszałem.

- To przysiółek przyborowski w lasach pod Cylem, dwa kroki od granicy. Tam mieszkał przez rok Dziura. Trzeba koniecznie zlikwidować tych parę gospodarstw. To gniazdo złodziei, przemytników, kłusowników. Nikt ich nie dopatrzy, nikt ich nie upilnuje. Tam się trzymają jeszcze resztki stronników bandy.

- Dobrze, niech mi pan przyśle raport na piśmie, ja go zaopiniuję i wyślę wniosek do starostwa.

Odwiedzili starostę, przynosząc mu niepokojące wiadomości. Cały teren podminowany. Do przodownika Kaczmarczyka bito wczoraj kamieniami w Jeleśni, poza tym przysłano mu list z pogrozkami (nie wstydził się o tym zameldować - inaczej niż Witkowski). Wieczorami ludność schodzi się na tajemnicze narady. Za trzy dni jest święto ludowe. Chłopi będą chcieli, jak co roku, urządzać nielegalne wiece; może dojść do awantur, ekscesów, strzelaniny. Aresztowanie Janosika wniosło dodatkowy ferment w podniecone już i tak nastroje góralszczyzny.

- Janosika odwozi się dzisiaj do Nowego Targu - zawiadomił ich starosta. - Przyszło polecenie z Krakowa, aby rozprawę przeprowadził sąd nowotarski. Może się powiat uspokoi trochę, gdy się dowiedzą, że zbója wywieziono z Żywca.

- Panie starosto - odezwał się urzędowo komisarz - mam poufny wywiad, że w niedzielę przygotowuje się w Żywcu masowe zebranie górali z całego powiatu. Mówią nawet o jakimś planowanym marszu chłopów do Krakowa.

- Baśnie! - machnął starosta ręką lekceważąco. - Czego ludzie nie plotą!

- To nie baśnie, to wiarygodne informacje, pochodzące od konfidenta, który mnie jeszcze nigdy nie zawiódł.

- Tym razem pana zawiódł. Wyolbrzymianie plotek babskich wskutek zdenerwowania. Uważam pogłoski za grubo przesadzone.

Komisarz wyglądał na urażonego. Jego, który zatriumfował nad bandytą w nocnej leśnej bitwie, pomawia się o zdenerwowanie, o kolportaż babskich plotek! - W każdym razie - oświadczył chłodno - z obowiązku służbowego pozwalam sobie zwrócić uwagę pana starosty na ewentualne niespodzianki, z jakimi możemy się spotkać ze strony rozagitowanego chłopstwa w dniu święta ludowego. Abyśmy potem nie robili sobie wyrzutów - dodał złowróżbnie.

- Tak - zaświadczył z najgłębszym przekonaniem Witkowski. - Z obserwacji mojego rejonu wnioskuję, że po wsiach coś się knuje.

- A teren posterunkowego Witkowskiego jest właśnie rejonem Janosika - dodał wyjaśniająco komendant.

- Nastrój wsi rzeczywiście podejrzany - informował dalej przyborowski policjant. Starosta spojrzął z uwagą na jego zabandażowany łokieć, następnie przeniósł wzrok na słabo odcinającą się czarną opaskę na rękawie wdowca.

- Wydałem tylko jedno pozwolenie ludowcom żywieckim na wiec na końskiej

targowicy. Cofnę je w takim razie.

Na tym skończyła się rozmowa u starosty. Obaj policjanci stuknęli ostro obcasami. Włodarz powiatu umiejętnie szafował powagą stanowiska; niedbały uścisk ręki dla komisarza, ledwo zaznaczone kiwnięcie głową dla posterunkowego.

- Ach, zapomniałem powiedzieć o tych Głuchaczkach! - sierznił się na siebie komendant po wyjściu. - Powiem następnym razem.

Miał znaleźć okazję już na drugi dzień. Tego samego popołudnia dwóch policjantów z karabinami na ramieniu odtransportowało Jana Dziurę skutego w kajdanki (ale już w butach) do więzienia śledczego w Nowym Targu. Po cichutku, szybko, autem. Nazajutrz zaś o dziewiątej rano wezwano telefonicznie komisarza do gmachu starostwa. Województwo krakowskie pilnym telefonogramem poleciło staroście zakazać obchodów święta ludowego w całym powiecie oraz odizolować miasto Żywiec od kontaktu z okolicą na przeciąg sześciu dni. Ostatnie zarządzenie miano rozplakatować i urzędowo ogłosić po gminach, motywując je obawą rozprzestrzenienia się epidemii tyfusu. Widocznie województwo krakowskie miało lepszy wywiad w terenie niż starosta na miejscu.

- Sytuacja jest rzeczywiście napięta - starosta potwierdził wczorajsze obawy komisarza. - Dostałem dziś nie bardzo wesołe raporty od wójtów. Proszę wieczorem o siódmej przyjść na odprawę do starostwa. Od jutra proszę zarządzić stan pogotowia dla całej policji w powiecie. Naczelnik Winnicki poinformuje pana o wszystkich zarządzeniach, które wydałem na niedzielę. Dodatkowe instrukcje otrzyma pan ode mnie wieczorem na odprawie. Teraz właśnie wyjeżdżam na konferencję z wojewodą.

Tym razem komendant nie zapomniał o bolączce Witkowskiego, która była właściwie bolączką sołtysa Kamienieckiego. Rozpoczął poważnie, służbowo, jak raport: - Dla bezpieczeństwa powiatu konieczna jest likwidacja Głuchaczek. To przysiółek graniczny wśród lasów pod Cylem, należący do Przyborowa, rejon posterunkowego Witkowskiego.

- Aha, aha! - ożywił się starosta. - Mam parę wniosków w tej sprawie. Z gminy, z nadleśnictwa, ze straży granicznej. Pamiętam, pamiętam.

- Na Głuchaczkach mieszkał przez rok Dziura. Jest tam pięć chałup, w których żyją złodzieje, przemytnicy i kłusownicy. A kto wie, czy i nie szpiedzy. Tam banda Janosika miała swój punkt oparcia. To przysiółek utopiony w borach, nikt tam nie zagląda, zbóje hulają i kpią sobie z władz. Nie będzie spokoju w powiecie, dopóki się tego gniazda bandytów nie rozpędzi na cztery wiatry.

- Dobrze, dobrze. Naturalnie, to się musi załatwić.

- Ja pozwolę sobie złożyć panu staroście pisemny raport w tej sprawie.

- Proszę mi to przygotować na piśmie, ja rzecz zaopiniuję i złożę wniosek do wojewody. Pogadamy o tym, tylko niech się przewali pilna robota przez te parę dni. Teraz mam ważny wyjazd do wojewody, ale na wieczór będę. Do widzenia panu, panie komisarzu.

Znów stuk obcasami, starosta podał podwładnemu rękę cieplej niż wczoraj. Na wszelki wypadek zapisał sobie w notatniku: „Zlikwidować Głuchaczki”, wydarł kartkę z notatnika, położył na biurku pod kałamarzem. Zjadł drugie śniadanie, przejrzał gazetę, zadzwonił na kierowcę, czy auto gotowe. Kierowca również spełniał obowiązki dozorca willi Starosty i krytycznej nocy podczas wizyty Janosika siedział w szynku. Wskutek jego niedbalstwa szef powiatu rezyduje dziś w trzech pokojach w budynku starostwa i dopiero od przyszłego miesiąca będzie mógł zająć mieszkanie odpowiadające jego stopie życiowej oraz pozycji społecznej.

Na rynku myślenickim odbywał się właśnie targ. Przed budynkiem starostwa stały trzy auta; wprawne oko przybyłego świeżo dygnitarza rozróżniło po markach dwa wozy starościńskie i jeden wojewódzki.

- Nie dziwię się - burknął - że przyjechali wcześniej. Mają lepsze drogi.

To jego drażliwy punkt: opłakany stan dróg w powiecie. Konferencja wyznaczona była na dwunastą. Jeszcze kwadrans. Znalazł się w towarzystwie kolegów z sąsiednich powiatów i wicewojewody. Znał go z wielokrotnych kontaktów. Mały, z orlim nosem, żwawy, w średnim wieku, łysawy. Rzadkie szpakowate włoski, zgrabnie zaczesane w górę, maskowały ten defekt tylko częściowo. Mówiono o nim, że trzęsie województwem i że on jest właściwym wojewodą.

- Teren działania Janosika zebrał się na miejscu w komplecie - zauważył żartobliwie.

Nie tylko do Krakowa, lecz i do Warszawy przesiąknęły wiadomości o planowanej jakoby na wielką skalę demonstracji górali w dzień święta ludowego. Zwołano masowe legalne i nielegalne wiece do Żywca, Nowego Targu i Nowego Sącza. Podobno nawet przewidziano coś w rodzaju marszu na Kraków i Warszawę. Pisma ludowe przebąkują między wierszami, że chłopci z powiatów górskich zamierzają złożyć hołd u trumny marszałka Piłsudskiego na Wawelu i pokłonić się prezydentowi na Zamku warszawskim.

- Takie nowe święto gór - wtrącił któryś ze starostów.

- Na razie jest tylko mowa o delegacjach powiatów górskich, ale nie wiadomo, czy delegacja nie przybierze charakteru politycznej demonstracji. Sprawa jest w każdym razie poważna i drażliwa. Wczoraj byłem u pana ministra i ustaliliśmy wytyczne dla akcji zapobiegawczej.

Starostowie notowali instrukcje władz centralnych: poleca się ogłosić na wsiach za pośrednictwem urzędów gminnych, iż w dzień Zielonych Świąt zakazane są obchody święta ludowego w jakiegokolwiek bądź formie. Zbieranie się grupami, urządzenie nielegalnych zebrań prywatnych w domach będzie najsurowiej karane. Organa policji mają ściśle dopilnować wykonania zarządzenia. W uzupełnieniu dzisiejszego rannego telefonogramu zabrania się ludności wiejskiej z trzech zainteresowanych powiatów udawać się do miasta na przeciąg sześciu dni z obawy rozprzestrzenienia się epidemii tyfusu brzuszego. Wojewódzka komisja lekarska (należy się na to powołać) stwierdziła parę wypadków tej choroby. Nawet komunikowanie się ludności ze wsi do wsi jest zakazane na przeciąg wymienionego terminu z powyższych powodów. Wyjątki od tej zasady stosowane będą tylko na podstawie zaświadczeń indywidualnych, wydawanych każdorazowo przez urzędującego lekarza powiatowego. Policji należy wydać instrukcje nakazujące taktowną, lecz stanowczą postawę wobec ludności. Przede wszystkim zaleca się pilnie śledzić notowanych przez władze działaczy Stronnictwa Ludowego. W sobotę, w niedzielę i w poniedziałek zarządzić dla policji stan pogotowia alarmowego oraz wstrzymać sprzedaż i wyszynk alkoholu na okres wymienionych trzech dni.

- Na ten gorący czas otrzymaliśmy z Rembertowa dwie kompanie policji. Nasze tereny, jak panom wiadomo, są mocno opanowane przez ludowców. Wsie są sfermentowane i niespokojne, zwłaszcza we wschodnich częściach województwa, tak że musieliśmy poza tym zmobilizować wszystkie rezerwy wojewódzkie. Zwłaszcza w tarnowskim powiecie skonsygnowaliśmy dużo policji.

- Ziemia Witosza - uśmiechnął się wysoki jak tyka starosta nowotarski.

- U panów znowu ziemia Janosika. Kto wie, która z nich groźniejsza? Niemniej po naradzie z inspektorem Jarzębińskim wysłaliśmy dziś rano po dwudziestu ludzi do specjalnej dyspozycji panów starostów. Komendanci powiatowej policji zajmą się nimi i rozmieszczą ich według uznania po porozumieniu się z panami.

Na tym skończyła się część oficjalna. Starosta myślenicki zaprosił gości na obiad. Zaczęto mówić o Janosiku. - Oczywiście - mówił wicewojewoda - i o nim także mówiliśmy z panem ministrem. Przecież on jest bezpośrednim powodem wzburzenia nastrojów na góralszczyźnie. Nie macie panowie pojęcia, co tam na dole ludzie za niestworzone historie opowiadają o tym zbójcu. To prawdziwa obsesja, psychoza aż niebezpieczna, nie waham się tego powiedzieć. Nie kto inny, tylko właśnie on miał być rzekomo komendantem owego demonstracyjnego marszu górali na Kraków i na Warszawę.

Śmiali się wszyscy tego. - Ja także miałem takie informacje - odezwał się kierownik

powiatu żywieckiego i zaraz podzielił śmiech towarzyszy.

- No, ale dzięki energii obecnego tu pana starosty z Żywca - wymieniony aż pokraśniał ze wzruszenia - bandyta i niedoszły wódz marszu góralskiego znalazł się w więzieniu.

- Przewieziony został wczoraj do Nowego Targu, gdzie będzie sądzony - uzupełnił z wdzięcznością powiatowy dygnitarz, wyróżniony przed chwilą zaszczytną wzmianką.

- Wiem o tym - kiwnął niedbale głową wicewojewoda. - Z Warszawy wyszła specjalna instrukcja, aby nie rozdmuchiwać zbytnio procesu Dziury. I nie nadawać mu, broń Boże, posmaku politycznego. Obrońcy będą chcieli robić z niego męczennika ideowego. Prasa pierwsza kolportuje te niebezpieczne bzdury. Sam czytałem w jednym dzienniku takie rzeczy o nim, że włosy dęba stawały mi na głowie.

Spojrzeni na jego skąpą, ostatkami pozorów goniącą fryzurkę i ze złośliwością, cechującą wszystkich podwładnych wobec zwierzchnika, pomyśleli o wstrząsającym wpływie owej lektury, która była w stanie podnieść do góry tę resztkę uwłosienia na czaszce.

- Trzeba tępić psychozę, ona demoralizuje ludność. Szczęście, że drab osiadł w kryminale, bo cała legenda nareszcie weźmie w łeb.

- Ciężko będzie wyrwać tę wiarę z umysłów ludu - ośmielił się postawić odmienną tezę starosta nowosądecki. - Taki jest już lud, że potrzebuje pożywki dla fantazji, nawet wbrew rzeczywistości. Potrzebuje bohatera. Gdy go nie ma, sam go stwarza.

- Ha, ha, ha! - zaniósł się śmiechem wicewojewoda. - Nie opowiadajcie mi, panowie, historyjek!

- To nie historyjki. Na rynku w Nowym Sączu dziad śpiewał piosenkę o Janosiku, z której wynikało, że zbój padł od kul wojska na Pilsku i księżyc aż się z żalości zaćmił.

- Zamknąć trzeba było dziada do aresztu. Oczywiście, histeria - ocenił trzeźwo prominent z Krakowa.

- Nie tylko histeria, panie wojewodo - odezwał się starosta żywiecki. - Mogę coś o tym powiedzieć, bo miałem do czynienia oko w oko z Janosikiem. Spalił mi willę, obrabował mnie. Nie należę do tchórzów, miałem różne przygody na wojnie. Ale to zuchwała bestia. Zaczęliśmy się szamotać. Siłę ma nieprawdopodobną. Mówią, że pięciu ludzi nie dałoby mu rady. Zrzucił mnie z okna w bójce, podniósłszy mnie leciutko jak kufeczek; a wagę swoje siedemdziesiąt kilo. Zemdlałem na miejscu. Mało brakowało, a byłbym się spalił jak cielę na rożnie.

Śmiali się wszyscy. - I stwierdzam - ciągnął dalej starosta - że chłopak ma w sobie coś niezwykłego. Myślcie, co chcecie, ale ja z nim mówiłem, ja mu patrzyłem w oczy, ja się z nim biłem. Chudzina, mały, sięga mi do ramienia, a kiedy spojrzysz na człowieka, to go na

wskroś przewierca. I teraz wierzę, że mógł tak magicznie działać na ludzi. Chwała Bogu, że go nareszcie zlikwidowaliśmy, bo strasznie dużo narobił nam kłopotu w powiecie. Nie mówię już o tym, ile domów podpalił, ile dobytku ludzkiego z dymem puścił, ile narabował majątku! A i morderstwa ma za sobą. Ale moralnie spustoszył powiat, zbuntował wszystkich chłopów naokoło.

- Podobno chodził obtargany, a tysiące rozdawał biednym - kiwał głową starosta nowotarski.

- To już włożę między legendy - odezwał się starosta z Żywca, - Z przesłuchań zainteresowanych wynika, że żaden biedak grosza od rabusia nie otrzymał. Oczywiście nie znaczy to, aby nie opłacał swoich pomocników. Ale we wspaniałomyślne rozdawanie pieniędzy nie wierzę.

- Chłopi za darmo nie zwykli błogosławić nikogo - mruknął filozoficznie starosta nowosądecki.

- Bzdury, panowie! - zachłysnął się orłonosy. Jego ostry profil chwiał się nad stołem niby drapieżny ptak. - Bandyta rozdaje biedakom pieniądze, które ukrał bogatym! Gdzie ja to czytałem? W jakiej powieści? Chciałbym zobaczyć na oczy takiego, który dostał od niego pieniądze.

- Nikt się nie przyzna, że dostał i ile dostał, ze zrozumiałych względów. Ale to wcale nie dowód, że nie dostał.

- Literatura, panowie! Bądźcie realni. Żyjemy w dwudziestym wieku. Romantyzm został zarżnięty już dawno. Bandyta, który łupi pieniądze i rozdaje! Ha, ha, ha!

- Kto wie, gdyby się nie wykoleił, byłby z niego może wartościowy, nawet wybitny człowiek - odezwał się sąsiad z Nowego Targu. - Bandyta oczywisty, ale gdyby mu dano szanse uczciwego życia...

- Nie unoście się, panowie! - wicewojewoda wstał od stołu z na pół ojcowską, na pół urzędową krytyką w oczach. - Czyżbym przyjechał tu w tym celu, aby wysłuchiwać apologii opryszka?

Czterej starostowie (wraz z gospodarzem) przeszli do salonu, gdzie usłyszeli dalszy ciąg obiadowego exposé.

- Nie unoście się, panowie. Należy tępić nieodpowiedzialną histerię, wylęgłą w ciemnych głowach bab! Niech mi pan daruje, panie starosto żywiecki - tu wicewojewoda zrobił artystyczną pauzę, skinąwszy dwornie głową w kierunku zainteresowanego - nie pomniejszam wcale pańskich zasług, położonych przy wytępieniu tej szkodliwej nad wyraz bandy, i tam, gdzie trzeba, podkreśliłem odpowiednio pańską działalność. Ale, mówiąc

trzeźwo między nami, cóż to jest za bandyta? Znam wszystkie raporty dotyczące jego działalności, studiowałem tę sprawę dla ciekawości. Przyjść nocą do starosty, pogrążonego we śnie...

- Nie spałem - sprostował zagadnięty.

- Wszystko jedno. Związać bezbronnego sznurkiem od pidzamy, wyrzucić z okna w ogród między róże to jest bandytyzm? Przepraszam panów, ale ja to nazywam zabawką.

- Pan wojewoda życzyłby sobie zapewne, aby mi w łeb od razu strzelił? - zauważył chłodno starosta żywiecki. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Jak doszła do Krakowa wieść o szczegółach Janosikowego najścia? Kto to wypaplał? Tym bardziej ogarnął go wstyd, bo przed chwilą utrzymywał, że się bił ze zbójem i że w bójce został wypchnięty z okna. A ten długonosy łysoń wie o wszystkim!

- Ależ, broń Boże, nie rozumiecie mnie, panowie! - zachnął się dostojnik. - Mnie idzie tylko o zdercie nimbu z anarchicznego parobka, z ordynarnego rabusia, który swój bandytyzm pragnąłby osłonić płaszczykiem polityki. Zbrodniarz, kryminalista i za to będzie sądzony. A wy właśnie robicie z niego literackiego zbójnika. Dajcie spokój.

Janosikowi dano na razie spokój. Odpoczywał po trudach ostatnich dni w celi nowotarskiego więzienia, spoglądając na Dunajec toczący dołem niespokojne wody. Wyspał się porządnie przez dwie noce w żywieckim więzieniu śledczym pod opieką grubego klucznika. Dwa razy zaledwie wołano go do sędziego, po którym zachował niezłe wspomnienie. Klucznik zaopatrzył go w czarne półbuty i bawełniane skarpetki. We czwartek, czwartego dnia pobytu w Żywcu, przewieziono aresztanta o zmierzchu do Nowego Targu. Nie koleją, jak pierwotnie zamierzano, lecz autem. Uśmiechnął się, gdy o tym pomyślał.

„Może się bali, że ucieknę z pociągu?”

Już trzeci dzień krąży po samotnej celi od drzwi do okna i z powrotem. Tylko dwie noce żywieckie, w kręgu sprawiedliwości sądowej spędzone, tak mu się nadspodziewanie udały. Może po prostu dlatego przespał je tak mocno, że był nieludzko zmęczony nawałą niedawnych przeżyć; walką, ucieczką, aresztowaniem, wędrówką, przesłuchiwaniami oraz biciem. Teraz zaś sen odszedł od niego. „Ile czasu minie, zanim mnie osądzą?”

Budynek opływała rzeka szerokim zakolem. Zakratowane okno celi wychodziło na południe, gdzie na widnokręgu skaliście rysowały się Tatry.

Słońce grzeje. Ach, dzisiaj jest niedziela. Pierwszy dzień Zielonych Świąt. Klucznik zbiera właśnie więźniów na mszę do kaplicy. Dziury nie zawołał. Więźniom śledczym nie wolno opuszczać celi ani komunikować się z nikim poza sędzią. Jasiak liczy dni na palcach.

Zgadza się. Ostatniej niedzieli rozmawiał z Wojnarem jeszcze na wolności. W nocy z niedzieli na poniedziałek, w noc zaćmienia księżyca, aresztowano go. Poniedziałek spędził na komisariacie w Żywcu. W nocy z poniedziałku na wtorek zbito go na policji. Wtorek, środę i czwartek przebył w sądowym więzieniu żywieckim. W czwartek wieczorem przywieziono go do tej celi; znajduje się w niej trzeci dzień.

Tak, dziś niedziela. Widzi bramę więzienną umajoną zielonym listowiem w myśl odwiecznego polskiego zwyczaju. W dole po drugiej stronie rzeki odświętnie ubrani ludzie dążą do kościoła.

Więc dziś jest święto chłopskie. Górale czekali na Janosika do ostatniej chwili. Znak im dał, hasło podał. Na próżno czekali ci, którym drogę do miasta odcięto, ci, których uprzednio na wszelki wypadek zaaresztowano, oraz te nieliczne grupki, które mimo wszelkich zakazów zdołały zebrać się po miastach w pierwsze Święto Zielone, pomykając krzakami, polanami, przenikając w ulice poza czujnie obstawionymi drogami Janosik nie zjawił się choćby na minutę. Jego zastępca, Wojnar, również siedział w areszcie, przymknięty zapobiegawczo z rozkazu starosty jak wielu, wielu innych na terenie trzech zbuntowanych powiatów.

Na próżno czekali. Na dwa dni przed świętem spadła na nich żelazna pięść prawa. Instrukcja ministerialna, zaostrzona gorliwą starościńską przesadą, wzmocniona tchórzliwą policyjną służbistością, złapała sprawnie za kark rozhukanych górali. Niedziela mijała bez święta, święto mijało w smutku.

Drogą idą z kościoła ludzie w uroczystych strojach. Gdzie są ci, czuwający po chatach, zawierający sobie poufne hasło, sygnał dzisiejszy: „Zielenią się buki”? Gdzie są ci, którzy mieli się ruszyć? Czy byli ślepi i głusi? Czy sygnał nie został dany? Czyżby ktoś zdradził sprawę? Janosik przez okratowane okno spoglądał z więzienia w dół. Ukazała mu się srebrzysta wstęga rzeki wijąca się pod wzgórzem.

Popatrzył na południe. Na brzegu rozblękitnionego nieba ukazały się Tatry, w słońcu i w oczach młodzieńca wyraziste, plastyczne. Wabiły go ku sobie głębią przepaści, śnieżnymi językami żlebów, zębata, postrzępioną linią grani. Najpiękniejsze góry jego życia.

*Zahuczały góry, zaszumiała woda,
ja jestem pan młody, śmierć mi panna młoda.*

Dołem drogą wali w kurzu patrol policjantów. Połyskują w słońcu karabiny.

*Śpiewam sobie, śpiewam, łzami się oblewam,
wszystko zaś dlatego, bo się na świat gniewam.*

Lepiej patrzeć do góry niż w dół.

Rozdział piąty

Do sądu w Nowym Targu nadeszła poufna instrukcja, dotycząca aresztanta: jak najprędzej uwinąć się z rozprawą. Jan Dziura siedzi, sędzia śledczy pracuje; rano w biurze i wieczorem w domu. To nieprosta sprawa: ująć w ramy suchego, urzędowego śledztwa bujną karierę bandyty. Namęczył się sędzia dość, najeździł po wsiach, naprzesłuchiwał rozmaitych ludzi. Proces urastał do rozmiarów olbrzymiej góry, która go gniołła nocami. Śniły mu się coraz to nowe pożary, nowe rabunki, nie ujawnione jeszcze, nie objęte śledztwem.

Celowo oddzielono sprawę Jędrka Radonia od sprawy herszta. Jędrk pozostał w więzieniu żywieckim, spowiadając się od czasu do czasu mniej lub więcej szczerze swojemu sędziemu; temu samemu właśnie, którego zalety herszt miał sposobność poznać i ocenić. W dodatku sędziemu urodził się synek, wskutek czego przesłuchiwanie Jędrka tchnęły zrozumiałą pogodą, a nawet łagodnością.

Obecny sędzia Janosika nie przypominał niestety poczciwego łysawego eleganta z Żywca. Był wysoki, chudy, nerwowy, z bujną popielatą czupryną. Zza rogowych okularów patrzyły szparki oczu, ciągle przymrużonych pomimo szkieł. Wargi miał cienkie, zawsze zwarte, co nadawało jego twarzy wyraz surowości i zaciętości. Z tą zaciętością, cechującą nie tylko usta, lecz także i charakter, zabrał się sędzia do ścisłego wypełniania ducha i litery instrukcji. Instrukcja jest rzeczą świętą, zwłaszcza dla takiego kąta zabitego deskami od świata, tym bardziej że przyszła z najwyższych sfer, z Warszawy, z ministerstwa. A instrukcja zalecała jak najspiesniejsze ukończenie śledztwa, przygotowanie aktu oskarżenia i przeprowadzenie procesu. Kto wie, w nagrodę za to może sędzia zostanie nareszcie przeniesiony z małomiasteczkowego partykularza do Krakowa, o co się stara bezskutecznie od miesięcy.

W tej nadziei tym gorliwiej zabrał się do pracy. Na drugi dzień po przybyciu więźnia kazał go sobie przyprowadzić. Rozgniewał się od razu na protokół policji żywieckiej, że niedbale napisany.

- Nie zgadza się data urodzenia. Że też nie chciało im się sięgnąć do akt! Sami przecież prowadzili wywiad w Nowym Targu. Wyciąg z metryki podany. Policja! - sierznił się półgłosem, aby nie gorszyć swą krytyką świadków. - W protokole inaczej, w aktach inaczej -

kiwał głową z tym odcieniem wyższości, jaka odróżnia urzędnika sprawiedliwości od jej sługi. Aż mu się czupryna rozwiewała na boki. - Jeden rok różnicy, ale zasada jest zasadą - głośno wtajemniczał protokolanta w swe służbowe oburzenie. - Brak skrupulatności - pedant zacisnął zęby, jak gdyby dokonano Bóg wie jakiego przestępstwa. Janosik uśmiechał się lekko z tego niezrozumiałego gniewu. „Czy to nie wszystko jedno, kiedy się urodziłem, skoro mnie macie w ręku?”

Tak, właśnie o ten jeden rok idzie. Sędzia podniósł wzrok znad akt na Dziurę. - W którym roku się urodziłeś?

Wzruszył ramionami. Że też ludzie nie mają nic lepszego do roboty, jak interesować się takimi głupstwami.

- Nie wiem. Papierów nie mam. Rachuję sobie dwadzieścia lat. Rodziłem się w zimie, w dzień świętego Jana. Tyle wiem. Pan komisarz policji w Żywcu wyrachował mi, w którym roku jestem urodzony. W 1918, dwudziestego siódmego grudnia.

- Właśnie, że źle wyrachował - warknął sędzia. - Ja tu mam pod ręką twoją metrykę. Nawet nie wiesz, kiedy się urodziłeś.

Patrzył w papiery na biurku. Metryka Jana Dziury przywędrowała tu z kancelarii nowotarskiej ochronki. - Taki to sławny nasz wychowanek - mruczał zatabaczony kierownik ochronki, wydając dokument urzędnikowi sądowemu. - Już po raz czwarty wyciągam w tym roku metrykę tego łobuza. A teraz wydaję ją do sądu i kto wie, czy do mnie wróci. Niech nie wraca. Nie żałuję.

Sędzia dalej perorował, wskazując palcem na ostemplowany, pożółkły dokument. - A tu jak byk jest napisane dwudziesty siódmy stycznia 1919 roku. Właściwie jeden miesiąc różnicy, ale dla prawa oznacza cały rok. Więc jesteś młodszy o rok. Powiadasz, żeś się urodził na świętego Jana?

- Tak. Od niego dostałem imię.

Sędzia przysunął sobie kalendarz, zaczął przerzucać kartki.

- Zgadza się. W styczniu też mamy świętego Jana. Metryka, papier urzędowy, to rozwiewa wszelkie wątpliwości. Dwudziestego siódmego stycznia jest świętego Jana Złotoustego. Dla mnie jest miarodajna metryka. Więc ty jesteś Jan Złotousty.

A więc miał lat dziewiętnaście. Miesiąc zaledwie, a właściwie jeden rok różnicy. Odmłodzono go.

Po raz trzeci opowiadał wszystko, co pamiętał o swoich czynach. Dyktował oszołomionemu protokolantowi całą kolumnę przestępstw, jedno po drugim. Zdawało się, że nie będzie temu końca. Nic nie zełgał, niczego nie zataił.

- Mam mówić także, com zbijał po czeskiej stronie?

- Możesz powiedzieć. Za to cię sądzić nie będziemy. Gdy odsiedzisz u nas karę, wydamy cię Czechom.

Bębnił palcem po biurku, patrząc na dziury wyrwane w ubraniu harnasia. - Po coś ty właściwie na Słowaczczyźnie rabował? Mało ci było w Polsce miejsca?

- Tam także są ludzie.

Raz tłumaczył Wojnarowi, że dlatego poszedł na Orawę, aby zobaczyć, jak wyglądają góry po drugiej stronie.

- Powiedz, powiedz. Twoja kariera bandycka uwypukli mi się wyraźniej - usłyszał jeszcze raz słowa zachęty.

Więc mówił. Sędzia zakwalifikował od razu wszystkie przestępstwa pod względem prawnym. Dwa morderstwa, sześć usiłowanych zabójstw, dziewięć podpaleń, napady rabunkowe z bronią w rękę, liczne pobicia, wymuszenia, akty przemocy; poza hipoteką, którą mógł się ewentualnie zająć w przyszłości sąd czechosłowacki - wszystko to zmieściło się w pierwszym przesłuchaniu. Miał sędzia nad czym popracować. Przez tydzień po dwa razy dziennie wołał do siebie Jana Dziurę i w towarzystwie przestępcy budował mozolnie gmach oskarżenia, przezuwając po jednej wszystkie zbrodnie szczegółowo. Jasiak wracał do celi wyczerpany, przygnębiony. Sędzia zbliżał się zaledwie do połowy karnej statystyki, a już prawie całkowicie dobił harnasia. Po kilkakroć nawracał do tych samych drobiazgowych rozważań, czyniąc to z przerażającą pedanterią. Kiedy nareszcie przetrawił wszystkie przestępstwa do spółki z przyszłym oskarżonym, zaczął badać jego wnętrze.

Zdjął okulary i przecierając je dokładnie chusteczką, podniósł zmęczone, przymrużone oczy na grzesznika. - Powiedz mi szczerze, Dziura, jako prywatny człowiek. Nie miałeś ochoty zastrzelić się przedtem, zanim cię schwytali? Kiedyś już widział, że nie umkniesz?

Jaśkowi zrobiło się nieprzyjemnie. - Nie myślałem o tym, aby się zastrzelić. Sądziłem, że ucieknę, nieraz mi się to udawało. Bronilem się do ostatka. Złapali mnie zniemacka w ciemności z za drzewa, kiedy się odstrzeliwałem tym, co nacierali z przodu. Wystrzelałem jeden rewolwer, sięgałem po drugi. Wtedy mnie ucapili z tyłu.

Innego dnia sędzia, usposobiony buńczucznie, wsiadł na wysokiego rumaka.

- Tyś jest buntownikiem?

- Ja.

„Bolszewik”, pomyślał. Po raz dwudziesty chyba widzi przed sobą aresztanta i za każdym razem ogląda go z tym samym niedowierzaniem. Dziewiętnastoletni, niski, zabiedzony, obtargany chłopiec - generałem rewolucji ludowej?

- Niczego ci nie żal?
- Niczego.
- Zgnijesz w więzienia.
- Zgniję.

Komunista. Ale instrukcja opiewa wyraźnie: unikać momentów politycznych. Gdyby zaś wyszły w toku przewodu - zatuszować. Więc sędzia już nie mówił z więźniem na ten temat. Raz tylko jeszcze przypadkiem, gdy się zgadało o napadzie na starostę żywieckiego (była to jedna z ostatnich pozycji na liście Janosikowych przestępstw), inkwizytor zamknął teczkę z aktami Jana Dziury, rzekłszy sentencjonalnie:

- Tak, mój kochany. Chłopi, którym się zachciało swobody, dostali kryminał.

Włożył ręce do kieszeni, wycelował wąskie szparki oczu ponad okularami na oskarżonego. Wtedy lepiej z bliska widział. Wysoki, chudy, z pochyloną głową, jak ptak - miażdżył go wzrostem i wzrokiem. Młodzieniec odwdzieczył się gorzkim uśmiechem za złośliwość sędziowską.

- Tegośmy się w wolnej Polsce doczekali.

- Ty masz ostry pysk, Dziura. Ale radzę ci dużo nie mówić, bo to może ci być zaliczone jako okoliczność obciążająca.

- Mnie nie zależy na niczym, panie sędzio. Ja się nie liczę.

Sędzia śledczy udał się na objazd terenów związanych ze śledztwem. Wybrał się w podróż służbową z protokolantem. Przejechał się w letni piękny dzień po uroczym kraju gór, od Czorsztyna po Bielsko, od Jurgowa po Zwardoń. Jan Dziura tkwił całymi dniami przed otwartym okratowanym oknem celi, spoglądając apatycznie w wycinek południowego świata. Zębaty, siny łańcuch Tatr ostro rozpieął się na horyzoncie. Słońce czerwienilo się codziennie, uciekając na zachód za kamienny występ okna; ginęło za niewidoczną czubą Babiej Góry, oddalonej zaledwie o grubość muru od jego widzenia.

Po dwutygodniowej wędrówce przyjechał sędzia śledczy do domu. Przez parę dni układał przywieziony materiał, po czym zapragnął zobaczyć Dziurę. Przyprawiono go. Zmizerniał znacznie od czasu, gdy po raz ostatni widziały go sędziowskie oczy. Zwłaszcza bezsenne noce wytrawiły piętno w jego twarzy. W zamian za chleb do obiadu otrzymywał trzy papierosy dziennie. Przekonywał dozorcę, że ta prywatna zamiana jest dla niego korzystna, albowiem nie mógł się obejść bez palenia.

Zaczęło się jeszcze raz porównywanie zeznań, sprawdzanie szczegółów, konfrontacja przesłuchań świadków. Pedantyczny umysł służbistego urzędnika sprawiedliwości

obrysowywał ostatnie kontury. Na papierze powstawał pełny obraz sprawy. Parokrotnie doszło do nieporozumienia między bezsilnym, rozdrażnionym oskarżonym a sędzią napompowanym świeżymi dowodami i podejrzeniami.

- Nie mogę się przyznać do tego, czego nie zrobiłem.

Znowu poszło o Ćwiertniaka. Uparli się, aby wmówić w niego to zabójstwo. W aktach podejrzewają go też o usiłowanie zabójstwa trzech policjantów w Przyborowie i czworga osób u Gałasia w Sopotni.

- Gdybym chciał zabić, zabiłbym - wyjaśniał z naiwną prostotą. - Nie strzelałem ani razu zarówno do policjantów, jak i u Gałasia.

- Nie wszyscy zabójcy używają rewolweru jako narzędzia śmierci, zapamiętaj to sobie. Istnieje jeszcze kilkanaście innych sposobów.

- Nie miałem żadnej chęci zabójstwa.

Nie dogadają się. Ten swoje, tamten swoje. Przyrowadzony już do celi Janosik przypomniał sobie Gałasia i zastanowił się. Może sędzia ma rację? Przecież chciał go zabić. Planu tego nie miał, ale opadła go wściekłość przy bitce. Brzydził się strzelaniem do człowieka, lecz z jakąś pasją znęcał się nad zabójcą Wojtka! Jak dziś stoi mu przed oczyma krościata twarz nieprzytomnego, leżącego pod progiem sopotniańskiego draba, z krwią we włosach. Może i chciał zabijać? Niech będzie usiłowanie zabójstwa. A dlaczego poczwórne? Starego z namydloną gębą także biorą pod uwagę? Za to, że dostał w szczękę i uciszył się na kwadrans? A babę i wyrostka? Nie dogadają się.

Po raz nie wiadomo który Jasiek powtarza to samo. Może sędzia chciał go w ten sposób przyłapać na fałszywym zeznaniu? Gdyby nie lipy, pachnące świeżym kwieciem pod więzieniem, gdyby nie rzeka za kratą, gdyby nie zieleń łąk, prostokąty łąków i sina rzeźba gór, umarłby z wyczerpania i obrzydzenia. W celi odzyskiwał jaką taką równowagę, którą tracił podczas wizyt u sędziego.

- Mówiłem to już. Zapisane jest - niecierpliwił się wielokrotnie.

- Możesz jeszcze raz powiedzieć. Już ostatni raz mówisz przed rozprawą.

To zachęciło trochę aresztanta do zeznań. Co tu jest w ogóle do opowiadania? Wszystko było proste. Ci, których złupił, zasłużyli na to. Nie rabował na ślepo; każdy z tych ludzi był mu coś winien. Adwokat z Żywca, dyrektor tartaku, starosta, kupcy, wójtowie, karczmarze, policja, straż graniczna - to wszystko szajka, która się tuczy wyzyskiwaniem innych ludzi. Rewolwery kradł policjantom albo granicznikom. Nie zamordował nikogo.

Powtarzał z uporem: wszystko, co czynił, czynił ze sprawiedliwej zemsty. Nie uznawał wrogów w ludziach z wyjątkiem oszustów, łotrów i złodziei, których niszczył. Odesłany do

celi, podjął swoją codzienną robotę: wypatrywanie u okiennych krat. Ilekroć dozorca zachodził do niego, zapytywał go niezmiennie: - Znowu wiesz u okna?

- Przyzwyczajam się - odpowiadał z wątlym uśmieszkiem młodzieniec. - Wnet może będę wisiał na świeżym powietrzu.

Sędzia po obiedzie rozmyślał nad sprawą. Co ludzie widzą w tym bandycie? Wszystkie włamania to znane triki rabusiów. Historie z pożarami, stare jak świat, nic nowego. A jego ucieczki? Cóż w nich nadzwyczajnego? Śmiałość posunięta do ostatnich granic, poparta dwoma rewolwerami, ufna w pomoc kompanów i w życzliwe współdziałanie ludności. Dobrze zorganizowana za pomocą terroru i łapówek sieć informatorów, stronników, paserów, rozgałęzione szeroko wspólnictwo bandy; nic więcej. Spryt osobisty herszta, szybka decyzja, lotna orientacja, odwaga, pogarda śmierci - owszem; ale to są cechy zwykłego opryszka. Udawało mu się wszystko przez zuchwałość, ponieważ nikt nie był przygotowany na taką bezczelność w zbrodni. Historia z polityką, rozmyślał sędzia, doczepiona została sztucznie. Wprawdzie Dziura jest z przekonania wywrotowcem i stwierdzono jego kontakty z działaczami Stronnictwa Ludowego, jednak sprawa nie posiada absolutnie zabarwienia ideowego. Należy sądzić Dziurę jako pospolitego zbrodniarza.

I tak będzie Dziura sądzony. Sędzia bał się tylko jednego: że obrońca oskarżonego może mu przewrócić do góry nogami cały precyzyjnie skonstruowany akt oskarżenia, wprowadzając w grę momenty polityczne. Przecież ma to być rozprawa kryminalisty. Tak brzmi święta instrukcja i takie jest święte przekonanie sędziego. Nie po to przez półtora miesiąca pracowicie nicował hipotekę łotra spod ciemnej gwiazdy, aby na sali ktoś wyjechał nagle z polityką. Właściwie lękał się tej ewentualności nie tylko sędzia śledczy, ale także i prokurator. Na ich szczęście obawy obu usunął sam Janosik, rezygnując niespodziewanie z obrony adwokackiej. Odwiedziło go kolejno dwóch adwokatów. Pierwszy, barczysty, przystojny, wstąpił do celi z godnością i powagą, wprowadzony przez strażnika. Rzucił teczkę skórzaną na barłóg, zaczął rozpinać guziki gumowego płaszcza.

- To pański obrońca.
- Nie prosiłem o obrońcę - powiedział Jasiek, spoglądając ku drzwiom.
- Jestem przysłany przez pańskich znajomych z Krakowa - wyjaśnił przybyły z emfazą.
- Nie mam w Krakowie żadnych znajomych.
- Panie Dziura, powierzono mi obronę pańskiej sprawy w sądzie.
- Kto panu powierzył?
- Prezydium wojewódzkie Stronnictwa Ludowego w Krakowie na prośbę komitetu

powiatowego w Żywcu.

- Nie znam nikogo w Krakowie ani w Żywcu. Nikogo o nic nie prosiłem.

- Panie Dziura, trzeba, aby pan był ze mną bezwzględnie szczery, abyśmy sobie porozmawiali w zaufaniu. Proszę mnie traktować jako przyjaciela i powiernika. Po rozmowie ustalimy plan i metodę obrony.

- Byłem bezwzględnie szczery wobec sędziego i to mi wystarczy. Cztery razy opowiadałem historię mojego zbójowania od początku do końca w całości, a chyba z piętnaście razy w szczegółach. Nie będę się bronił na rozprawie.

- Jak to? Rezygnuje pan z obrony?

- Rezygnuję.

- Z mojej obrony?

- Rezygnuję.

- Niech pan się namyśli, panie Dziura. Sprawa pańska jest bardzo poważna.

- Namyśliłem się.

- I co?

- Nie chcę obrony adwokata.

- Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co panu grozi?

- Zdaję sobie sprawę.

- I co?

- Tym bardziej nie zamierzam się bronić. Jestem winny, powinienem być skazany.

Adwokat zdziwił się niepomierne i oburzył. Ten mały obszarpany młodzian odrzuca jego ofertę; jego, słynnego adwokata krakowskiego. To mu się zdarza po raz pierwszy w jego długiej, a zaszczytnie znanej karierze obrończej.

- Zwracam panu uwagę, iż moja obrona nie będzie pana nic kosztowała. Jestem doradcą prawnym zarządu Stronnictwa Ludowego w Krakowie i będę bronił pana na polecenie prezydium.

- Niech pan wraca do domu, panie mecenasie, i podziękujecie ode mnie pięknie panom z Krakowa za pomoc.

- Więc pan nie życzy sobie mojej obrony, panie Dziura?

- Nie życzę sobie.

- Szkoda - rzekł mecenas urażony. Czuł się podwójnie zwolniony z obowiązku. - Chciałem panu pomóc - pożałował konwencjonalnie.

- Dziękuję. Zawsze się obywałem bez cudzej pomocy.

Na drugi dzień Janosik miał ponowną wizytę adwokata. Ale już innego. Tym razem

wtoczył się do celi grubiotki niski mężczyzna, wyświeżony i wygolony. Włosy przyczesane w rozdziałek, mokre.

- Dostałem polecenie objęcia obrony w pańskiej sprawie, panie Dziura - zaczął.

- Od kogóż to polecenie?

- Od sądu. Ponieważ pan odrzucił ofertę adwokata przysłanego z Krakowa przez pańskie stronnictwo, sąd tutejszy wyznaczył mnie jako pańskiego obrońcę z urzędu. Jest przepis, że każdy oskarżony ma prawo korzystać z pomocy adwokata w sądzie. Jeśli go nie ma, przydaje mu się obrońcę z urzędu. Mnie wyznaczono do pańskiej rozprawy.

- Nie potrzeba mi obrońcy.

- Sam się pan chce bronić? Prokurator zeżre pana, będzie pan leżał na czterech łapach.

- Wcale nie będę się bronił.

- Człowiecze! Zastanów się. Przecież pan rozmyślnie pogarsza szanse swojej sprawy. Sprawa stoi nieświeźnie, a pan jeszcze na domiar złego pogłębia się sam w tej sytuacji.

- Widocznie taki idiota jestem - mruknął młodzik z głupia frant.

- Niech mi pan powie wszystko szczerze, wyjaśni pobudki swoich czynów.

- Nie mam nic do wyjaśnienia. Sędziemu wyjaśniłem wszystko. I dlatego wszystko jest jasne.

- Niech pan nie będzie uparty - czerwoność rozlała się po twarzy adwokata. - Zamierzam panu przyjść z pomocą bezinteresownie jako prawnik. Niech mi pan zaufa, niech mi się pan zwierzy, pomyślimy nad tym, znajdziemy jakąś drogę wyjścia.

- Dziękuję panu mecenasowi, ale powiedziałem już raz - głos podniósł się ze wzrastającą niecierpliwością - że rezygnuję z wszelkiej pomocy obrońcy.

- Pan mi niezmiernie utrudnia zadanie.

- Właśnie pragnę je panu ułatwić. Chcę, aby pan nic a nic w mojej sprawie nie robił.

- Panie Dziura - adwokat żywiecki wyprostował się uroczyście - moim obowiązkiem jest zwrócić panu uwagę, iż pańska sprawa jest bardzo poważna. I kara, która panu za te wszystkie przestępstwa grozi, może być straszna.

- Nic dla mnie nie jest straszne.

- Nawet śmierć? - wyjąkał grubas.

- A cóż to? Czy jesteśmy nieśmiertelni? - zapytał z naiwną miną aresztant.

- Wszyscy tak mówią - stwierdził ponuro mecenas. - Ale gdy przyjdzie co do czego, trzymają się życia rękami i nogami.

- Ja się tam nie będę trzymał, nie ma czego. Śmierć nieraz mi zaglądała w oczy. Niech mnie pan nie straszy.

- Ale zawsze wolałby pan żyć. Nie?

- Phi! - wzruszył Janosik ramionami. - Tak żyć, lepiej nie żyć.

- Pierwszy raz spotykam takiego człowieka, daję słowo honoru! - mecenas opuścił krótkie pulchne ręce. - Niech się pan uspokoi i namyśli. Zajrzę do pana jutro.

- Szkoda zaglądać. Już się uspokoiłem i namyśliłem.

- Czy pan czytał akt oskarżenia? - rzucił adwokat. - Doręczono panu.

- Owszem, czytałem.

- I co?

- Tam właśnie napisano wszystko to, co ja sam, z własnej woli, nie przymuszony, dyktowałem sędziemu; moje zeznania o moich czynach. Po co bym to mówił, jeśli miałbym teraz zaprzeczać? Nie chcę pańskiej obrony.

- To pańskie ostatnie słowo?

- Do pana ostatnie.

- Sam pan, panie Dziura, wiąże mi ręce - szepnął zdenerwowany adwokat, otarł chusteczką spocone czoło i sapiąc wytoczył się z celi. - Słowo honoru daję, pierwszy raz taki wypadek mi się zdarza!

Po trzech tygodniach pracy ukończył sędzia drobiazgowo śledztwo; przygotowywano proces przeciwko Janowi Dziurze. Rozprawę wyznaczono na koniec lipca. Liczono, że w sezonie ogórkowym prędko się wszystko załatwi, a jeszcze prędzej zapomni. Duch instrukcji został wypełniony. Trzej wyznaczeni do procesu sędziowie studiowali pilnie akt oskarżenia. Prokurator umiał go na pamięć. obrońca z urzędu był bezsilny. Dwukrotnie jeszcze po pierwszej wizycie odwiedził klienta. Odwiedziny nie dały rezultatu. Żadną miarą nie można się było porozumieć z oskarżonym. Uparty młodzieniec zachowywał się opryskliwie, odmówił podania nazwisk świadków. - Po co! Jestem winny, sam się oskarżyłem, chcę ponieść karę. - Podczas ostatniej bytności adwokata zastosował nową metodę: milczał. - Słowo honoru - wzdychał grubas - a to mnie ubrali! - Z irytacją, która tak szkodziła jego sercu, zaglądał czasem do litanii Janosikowych zbrodni, kiwając głową, stękając: - Sam mi związał ręce - po czym z błogim odprężeniem przechodził do stołu zastawionego sutą kolacją.

Janosik przewracał się z boku na bok na barłogu pokrytym słomą. Już chyba ze dwie godziny kręcił się niespokojnie po legowisku, nie mogąc sobie znaleźć dogodnej pozycji. Wstał, podszedł do okna, wpatrzył się w ciemność gęstniejącą za kratą. Noc była księżycowa, nawet jego rysie źrenice nie mogły niczego rozróżnić. Ani drogi, ani linii brzegowej rzeki, ani

przeciwległych wzgórz. Gdzieś, po drugiej stronie Dunajca szczekał pies. Daleko w mieście skrzypiał wóz chłopski po kocich łbach małomiasteczkowej ulicy.

Legł znowu, wyciągnięty na wznak, oczy wlepił w powalę, próbując nie myśleć o niczym. Łudził się, że zaśnie. Odkąd tu przybył, nie zaznał radości prawdziwego snu. Ciało jego, utrudzone lenistwem, nie kapało się co noc w pokrzepiającym spoczynku, znało jedynie krótką nerwową drzemkę, po której w głowie zostaje ból, pod powiekami piasek, a w umyśle gorycz. Ani razu nie musnęły go błogosławione skrzydła nieświadomości, choć w tym męczącym półspaniu z tym przemożniejszą siłą nawiedzały go majaki z zaświata.

Mięśnie były zwolnione, lecz zmysły napięte. Kiedyś zobaczył przed sobą Wojtka Rzezawę. Uśmiechnął się do niego, uradował, od razu wypogodniał. Widzi oto swego najukochańszego towarzysza, żywego, nie pokłutego nożami, jego ruchy, jego gesty, słyszy jego śmiały, dowcipny głos.

- Po co przychodzisz męczyć mnie w nocy? - pyta zjawę.

- Przyszedłem z daleka, aby ci powiedzieć: Jaga umiera w Herdućce.

W tej chwili twarz Wojtka pociemniała, zjednoczyła się z czernością, stopniała, znikła. A przecież hetman słyszał w celi wyraźnie jego głos! Kompan przyniósł mu zza grobu wiadomość o Jadze. Jakże daleko były teraz od niego dziewczęta! Jakże zbladły i zasnuły się mgłą! A jak pamięć o towarzyszach rośnie i nabrzmiwa w bezsenne noce!

Już wytrzeźwiał całkowicie. Gdzieś na polach zrywał się wietrzyk, lipy przed oknami szumiały lekko. W taki czas dobrze było usnąć pod smreczkiem aż do ptasiego śpiewu o świcie. To wszystko już poza nim - przeszłość.

Każde życie ma swoje niezachwiane linie wzlotu i upadku. U niego jednak młodość wystrzeliła prosto z dzieciństwa płomieniem, którego nie sposób było ugasić. Gdyby się był w porę zatrzymał, kto wie, czy życie jego nie nabrałoby zgoła innego pędu i wymiaru. A tak - ogarnięty ciemnym duchem zbrodni - upadł na dno.

Z końcem lipca rozpoczął się proces w niewielkiej sali nowotarskiego sądu okręgowego. Ludowcy zamówili tego ranka mszę na intencję sprawy oskarżonego, choć ta intencja była beznadziejna. Ale Bóg podobno czyni cuda. Pod Jego znakiem zainicjowano porachunek prawa ze zbrodnią, aczkolwiek interwencji Boskiej wzywano prywatnie, a rozprawa była publiczna, Co to pomoże? - wątpili pesymiści. Lecz nie zaszkodzi - twierdzili optymiści.

Na mszy była Ewa. „Jeżeli Bóg będzie słuchał tych modlitw, a musi słuchać, bo jest wszędzie obecny - pomyślała klęcząc - to moja modlitwa ściągnie Go z nieba na pomoc osaczonemu Jaškowi.”

Na odległość mil prasa węszyła w powietrzu sensację w podgórskiej mieścinie. Koncerny wydawnicze, jeden krakowski, drugi warszawski, przygotowywały się do wielkiej kampanii, spodziewając się nie byle jakiego żeru. Ale decyzja władz centralnych utraciła piękne plany wydawców. Redakcje dzienników otrzymały poufne zarządzenie od wojewodów, aby z uwagi na względy wyższe zignorować proces w Nowym Targu, ograniczając się co najwyżej do podania wyroku, i to na poślednim miejscu. Inne wiadomości będą konfiskowane. Otulono sprawę milczeniem, jak tajemnicę państwową. Rzekomo dobrze poinformowani dziennikarze szeptali z zagadkową miną znawców: - Sprawa szpiegowska. Niby to rabunki, podpalania, ot tak, dla zamydlenia oczu. Ale w tym macza palce obcy wywiad. Dzienniki nabrały wody w usta. Nakazane milczenie stało się gwarantowaną dyskrecją, dyktowaną niemal obowiązkiem patriotycznym. Zresztą któż by się zajmował rozprawą jakiegoś bandyty w Nowym Targu, w czasie kiedy tyle ważnych procesów politycznych rozgrywa się naokół w Europie?

Deszcz lał w nocy jak z cebra, humory wszystkich skwaśniały. Ranek wstał zapłakany. Ciemnoszary gmach sprawiedliwości, usadowiony w rogu nowotarskiego rynku, obmókł i szerniał, nabierając tym bardziej ponurego wyglądu. Kiedy aresztant przeszedł przez bramę sądu, słońce przeświecało znad Kowańca i mury zaczęły wysychać. Ale przygnębiające wrażenie budynku, ujrzanego rankiem, pozostało w umyśle Jaśka.

Tu więc go będą sądzili. Chłodna stęchlizna wiała ze wszystkich kątów korytarzy, powleczonej u góry pajęczyną. Sala nie obszerna, za to wysoka. Trzech sędziów, prokurator i obrońca z urzędu. Pod ścianami pełno ludzi. Górale, pomiędzy nimi paru wywiadowców politycznych. Stosunkowo dużo policji. Na frontowej ścianie na wysokości dwóch metrów nad głowami sędziów dwa urzędowe portrety; pół metra wyżej na środku pomiędzy nimi Orzeł Biały. O metr ponad orłem - krzyż.

Wprowadzono oskarżonego pod eskortą dwóch policjantów. Oczy wszystkich skierowały się na niego. Twarz ściągła, zapadła, blada, ostre rysy, wystające kości policzkowe, wargi zaciśnięte, bezkrwiste. Z twarzy można się domyślić reszty; drobne kości, ubrane w mięśnie, szczupła, jałowa tkanka, pościągana wężlistymi sznurkami żył.

- Ile oskarżony ma lat?

- Dziewiętnaście.

Szmer przeszedł po sali. Popatrzyli na jego drobną postać, pomyśleli z lękiem o dzikości i o zuchwalstwie tego człowieka. Dziewiętnaście lat, a taki bandyta!

Rozpoczęło się czytanie aktu oskarżenia. Było co czytać. Od nocnego napadu

rabunkowego na dom posterunkowego Witkowskiego w Przyborowie 4 grudnia 1936 roku i kradzieży spornego płótna aż do spalenia domostwa Franczaka w Jeleśni nocą z 17 na 18 maja 1938 roku - cały spiętrzony stos przestępstw. Prawnicy ze zgrozą słuchali długiej litanii. A kiedy w szczegółowym rejestrze win wyczytano dziewięć usiłowanych zabójstw, współdziałal w zabójstwie policjanta w Przyborowie oraz zabójstwo Ćwiertniaka w korbielowskim lesie - ogarnęło ich obrzydzenie. To sprawa gardłowa. Uświadomili sobie od razu, że za każde z tych przestępstw grozi parę lat. A za wszystkie? Było tych przestępstw, jak pilnie policzył sędzia śledczy, ni mniej, ni więcej, tylko trzydzieści jeden. Oszałamiająca liczba jak na dziewiętnastoletniego zbrodniarza, obfita, jak na osiemnastomiesięczną karierę. Na wszystko znaleźli się świadkowie, do wszystkiego przyznał się oskarżony z wyjątkiem dwóch zabójstw, dwóch rabunków i trzech podpałek. Rzeczywiście, nie zdołano mu tego udowodnić. Ale cóż znaczy na trzydzieści jeden przestępstw obalić siedem? Sędziowie nie wzięli pod rozwagę wspomnianej w akcie oskarżenia hipoteki zbrodniczej Jana Dziury, zapisanej po stronie czeskosłowackiej, a streszczającej się w pięciu napadach rabunkowych. Tę zagraniczną działalność podsądnego uwzględnił jednak w swych wywodach prokurator. Wartość zrabowanych przez zbója łupów (przeważnie w gotówce i kosztownościach) dochodziła według pobieżnego obliczenia do stu pięćdziesięciu tysięcy złotych, a wartość spalonych przez niego obiektów ruchomych i nieruchomych grubo przekroczyła kwotę dwustu pięćdziesięciu tysięcy złotych. W sumie zbrodniarz przyczynił ludziom prawie pół miliona złotych materialnych strat. Podpalanie nadawało rabusiowi cechę okrutnika, usiłowane zabójstwa przemawiały za wrodzoną żądzą mordy. Mnogość przestępstw graniczyła z cynizmem, cynizm powiększał zbrodnię, a zbrodnia uwielokrotniona sąsiadowała z szaleństwem. Młody wiek czynił z oskarżonego zatwardziałego zbrodniarza.

Jaś Dziura nie słuchał. Znał to na pamięć aż do znudzenia. Ujrzał bezcelowość całego życia, poczuł głęboką tęsknotę do spokoju. Wszystko stanęło mu przed oczyma, jak w chwili śmierci, której tak gorąco zapragnął. Nie wiedział, co robić z rękami, skrzyżował je na piersiach, powieki opuścił na oczy, zamykając sobie pole widzenia. I znowu otwierał oczy zdziwiony, jakby nie poznawał otoczenia, gniewny, że go wyrwano z celi na pośmiewisko gapiom. Wzrok jego oznaczał pogardę, nienawiść.

Sądzono go przez trzy dni po dwa razy dziennie, po trzy do czterech godzin za każdym razem. Drobiazgowo podglądano jego pobudki, zastanawiano się nad czynami, którym nie poświęcił ani chwili rozwagi, wiercono w jego uczuciach, w myślach, działaniu. Woźny sądowy, z natury swojego zawodu niezłe obeznany z prawem, poinformował kolegę z parteru, który spełniał funkcję dozorcę budynku:

- Tu śmierdzi szubienicą.

Prokurator triumfował. Za to obrońca miał rzeczywiście utrudnione zadanie. Zrażony zachowaniem się Dziury, nie przyłożył wiele wysiłku do sprawy klienta. Nie mógł nawet podać ani jednego świadka na korzyść obrony, ponieważ Janosik odmówił wszelkich wyjaśnień.

Oskarżony zachowywał się apatycznie. Na pytania odpowiadał krótko i niechętnie, za to zupełnie ściśle, zgodnie z prawdą. Raz tylko doszło do scysji. Znowu o tego Ćwiertniaka.

- Nie przyznaję się do zabójstwa Ćwiertniaka. Nic o tym nie wiem. Nie jestem winien tej zbrodni.

Sędzia, poprawiając okulary w złotej oprawie, rzekł dobrotliwie: - Młodzieńcze, mam siwe włosy na głowie. Przez lat dziewiętnaście jestem sędzią i skazywałem przestępców, którzy do końca twierdzili, że są niewinni.

- Ale ja przyznaję się do wszystkich zbrodni, jakie popełniłem. Co mi zależy na jednej, gdy mam ich dwadzieścia?

- Zabójstwo to nie byle jaka zbrodnia. Na takiej może zależeć.

- Mnie nie zależy na niczym. Jestem winien i karę poniosę. Ale na moich rękach zabójstwa nie ma. Krew jest, ale nieżywego człowieka nie ma.

Sędzia wzruszył ramionami. Nie dogadają się. Oskarżony zapadł z powrotem w apatię. Z daleka, jakby z ulicy, dochodził go głos sędziego. Oskarżony mówi, że mścił się za krzywdy ludu.

Ejże! Przecież Jan Dziura był przemytnikiem, kłusownikiem, złodziejem drewna państwowego, zanim zadarł z policjantem Witkowskim; świadkowie tak zeznali. Instykt zbrodniczy zawiódł go na drogę bezprawia - komu tu ćmić oczy?

Chudzielec pomiędzy dwoma policjantami ożywił się wyraźnie, gdy na rozprawie zjawił się posterunkowy Witkowski. Ukazał się przed stołem sędziowskim jako jeden z koronnych świadków oskarżenia, wyprostowany, wystrzyżony, wygolony, opięty w nowy mundur. Na lewym rękawie ciemnogrnatowej bluzy czarna żałobna opaska. Twardy chłop ten Witkowski; tyle ścierpiał, ale dopiął swego.

Zapalono świece przed krucyfiksem. Posterunkowy podniósł dwa palce do przysięgi, powołał się na Ukrzyżowanego i oskarżył Jana Dziurę. I tak przypieczętowano winę zbrodniarza.

Witkowski składał zeznania około godziny. Co on tam mówił! Janosik słuchał nienawistnego, monotonnego głosu, wpatrzony w drapieżnego orła nad głowami sędziów. Nad orłem bolejąco Chrystus rozpinał na krzyżu ramiona.

Obrońca prosił sędziów, aby wejrzeni w wewnętrzne pobudki podsądnego; znajdą tam serce w rozpacz, duszę w rozterce, nieszczęśliwe życie młodzieńca bez ojca, bez matki, wydanego na pastwę złego świata. Młody był i od dziecka pozbawiony siły moralnej, jaką daje rodzina, szkoła, wychowanie, religia. Przemawia za nim nie tylko młodość, ale także i fakt, że przyznał się do winy. Jest pełen skruchy, chce odpokutować za swoje czyny.

Już nie ze złością, cechującą go dawniej wobec grubasa, nawet nie z apatią jak dotychczas, lecz z uczuciem wdzięczności obserwował Janosik swojego obrońcę, który apelował do litości sędziów, powołując się na młode lata oskarżonego, usprawiedliwiając go złym towarzystwem, obiecując w jego imieniu poprawę. Znalazł się ktoś, kto go nie rozumie, ale go broni. I to ten, który od klienta tyle niegrzecznych słów wysłuchał! To niepotrzebne, co on mówi, dlatego właśnie klient się nań gniewał, bo klient chce umrzeć, chce odcierpieć karę. Ale jak pięknie ze strony adwokata, że ma odwagę bronić sprawy przegranej. Jak szlachetna w gruncie rzeczy jest natura ludzka!

- Taki jest los nieślubnego dziecka, porzuconego przez rodziców, tak wyglądają skutki rozluźnionej moralności. Chłopiec puszczonej samopas, pozbawiony kierownictwa ojca i matki, którego od najwcześniejszych lat dziecięcych wychowuje ulica - zagalopował się mecenas, mimo iż mowa była o chłopcu wiejskim. - Człowiek, w którym rosną bez przeszkody złe instynkty, rozpętane namiętności, dziki, prymitywny charakter.

Mowa prokuratora trwała trzy kwadransy. O ile trzej sędziowie byli mniej lub więcej dobrej tuszy (obrońca harmonizował znakomicie z ich kompletem), on był wysoki, szczupły, z czarnymi falującymi włosami. Oczy zamyślane wbił w przeciwległą ścianę, jakby stamtąd czerpiąc natchnienie. Według niego na ławie oskarżonych siedzi zimny zbrodniarz, nie cofający się przed niczym, nawet przed zabójstwem. Instynkt niszczenia przepelnia to miejsce w jego organizmie, które u innych ludzi nazywa się sercem.

Prokurator był zły na cały świat. Chorowały mu stale od urodzenia dwie bliźniaczki; z żoną nie żył najlepiej. Zwykł był więc wyładowywać gniew za swój pech życiowy w mowach oskarżycielskich. Były to mowy pełne ognia i surowego patosu.

- Proszę pomyśleć, że nienawiść do ludzi wyrosła u oskarżonego w tak młodym wieku. Dowodzi to istnienia zbrodniczego instynktu w tej naturze do głębi zepsutej i aspołecznej. Miarą jego nienawiści jest podpalanie, a więc niszczenie bezwzględne, doszczętne.

Na wspomnienie rzekomej skruchy, którą szermował obrońca, prokurator uśmiechnął się ironicznie. Młodość - czyż my wszyscy nie byliśmy młodzi? Skrucha - czy skrucha nazywa się przyznanie do winy? Trudno się nie przyznać, gdy na wszystko są dowody i świadkowie.

- obrońca prosił was, panowie sędziowie, abyście wejrzeni w duszę oskarżonego. W duszę? Ten człowiek ma duszę? - zaniósł się sarkastycznym śmiechem, ale wnet zgasł, przypomniawszy sobie dwie cierpiące córeczki, którym nie wrócono długiego życia. - Zbrodnie jego są zbyt oczywiste, wina zbyt wyraźna, aby ją trzeba było udowadniać. Zło trzeba wytrzebić z korzeniami - apelował do sędziów. - Jeśli zło rozplenilo się tak głęboko w życiu, że korzenie jego wniknęły w instynkt, wtedy tylko śmierć może je usunąć. I dla zdrowia społeczeństwa należy wybrać bez wahania śmierć.

Po raz pierwszy padło to słowo: śmierć. Oskarżony nie przeląkł się, usłyszawszy je. Był na to przygotowany.

Kilkudziesięciu świadków przewinęło się przez salę, w tym wielu Jaśkowych znajomych. Nie brakło oczywiście wśród nich wójta Franczaka, Witka ze Sporysza, przodownika Lipowczana z Jurgowa, przodownika Kaczmarczyka z Jeleśni, Gałasia z Sopotni, adwokata z Żywca, który obecnie przeniósł się do Tarnowa. Sześciokrotnie wprowadzano do sądu Jana Dziurę w asyście dwóch policjantów i sześciokrotnie wyprowadzano go stamtąd, aż za szóstym razem wyprowadzono go definitywnie z wyrokiem śmierci.

Na sali rozległ się nagły szloch kobiecy, który ścisnął serca wszystkich zebranych. Głupcy! Dla bab przedających kądziel wieczorami, dla chłopów omamionych partyjną gazetką Janosik był harnasiem. Ale dla urzędowej sprawiedliwości Janosik był tym, kim był: Janem Dziurą, oskarżonym o trzydzieści jeden przestępstw, zabójcą, podpalaczem, rabusiem, którego należało usunąć jako zakałę społeczeństwa.

- Czy oskarżony ma coś na swoją obronę? - zapytał go przewodniczący po zamknięciu przewodu sądowego, po mowach obrońcy i prokuratora, przed naradą w sprawie wyroku.

- Nie mam nic. Wszystko jest przeciwko mnie. Wszystko jest prawdą i tak było w rzeczywistości, jak napisano w akcie oskarżenia i jak powiedziałem na rozprawie panom sędziom. Byłem bandytą, bo miałem zamknięty powrót do uczciwego życia. Nie zarobiłem nic na moim rabowaniu, nie powodziło mi się lepiej niż wtedy, kiedy pasłem krowy. Stoję przed wami w podartej koszuli, a miałem tysiące w rękach. Tak, to prawda, mściłem się za moje życie skrzywdzone i wykolejone. A była to i zemsta za krzywdy moich bliźnich. Żałuję tylko, że nic im przez to nie pomogłem, że z mojej zemsty ostała się tylko sama goła zbrodnia. Wszystko przepadło. Osądźcie mnie, panowie.

Błysnął dumnymi, rozgorzałymi oczyma. Śmieszne to i tragiczne zarazem: strzęp ludzki, ledwie żywy na ławie oskarżonych, a patrzy naokół jak zwycięzca. Aż trzech sędziowie zadrżeli za stołem od tego spojrzenia, którym oskarżony zakończył swoje ostatnie słowo.

Było jasne; przeleżeli się tych oczu i postanowili go skazać. Gdzież tu mowa o skruse, o której ich zapewniał obrońca? Czy oskarżony nie powiedział wyraźnie: „Byłem bandytą”? A co mówiły jego oczy? Do ostatka pozostał hardy i bezczelny.

Oczy go zgubiły. „Boże - modliła się Ewa. - Niech Cię nie błagam daremnie. Mówią, żeś litościwy. Nie pozwól zatriumfować ludziom, którzy się chcą mścić. Wydaj Ty wyrok, aby był zgodny z Twoim sercem.”

Wszyscy wstali. Może poczuli obecność przyzywanego przez dziewczynę Boga? Może On przemówi przez usta siwego tłusciocha?

Jan Dziura uznany został winnym wszystkich zarzucanych mu przestępstw z wyjątkiem siedmiu i skazany na karę śmierci. Okoliczności łagodzących nie było żadnych.

Podobno sędziowie przysięgli zwykli przy werdykcie zasądzającym nie patrzeć na podsądnego. U sędziów zawodowych jest odwrotnie, albowiem ich żrenicą przeziera najlepsza wiedza i sumienie; nieczuła ślepotą sprawiedliwości. Wlepili więc wzrok w Jasia Sierotę. Nie tylko oni; uczynili to wszyscy zgromadzeni w sali. Dopiero teraz odarty z zuchwałości ukazał się oczom wychudły szkielet pastucha. Stał między dwoma karabinami, drobny, do ramion sięgający eskortie, z oczyma utkwionymi wysoko w godle Orła Białego nad głowami sędziów.

Kiedy usłyszał słowa „na karę śmierci”, nie drgnął i wzroku z orła nie spuścił. Od stołu sędziowskiego obserwowano go uważnie. Ani jeden muskuł nie poruszył się w jego twarzy. Stał, jak prawo każe, z oczyma wlepionymi w znak majestatu karzącej Rzeczypospolitej. W tej chwili wytrysnął przeraźliwy jęk kobiecy, nabrzmiały bólem, który Janosik poznał. Chyba te ściany nie słyszały dotąd bardziej rozdzierającego łkania.

„Twardy człowiek!” - pomyśleli ci, którzy widzieli jego ostre, zastygłe oblicze. Ci zaś, którzy nań patrzyli z tyłu, wybuchnęli płaczem. Jeszcze do tej minuty wierzyli w cud, w siłę moralną hetmana. Dopiero bezlitosny wyrok ostatecznie zdarł z niego niezwykłość, degradując go do roli człowieka śmiertelnego, osiągalnego przez władzę ziemską.

Tak sprawiedliwości stało się zadość. Ukończono czytanie motywów wyroku. Obrońca, obcierając chusteczką twarz czerwoną z emocji, spoconą z gorąca, zapowiedział apelację drżącym, podniesionym tonem. Ludzie rzucili się ku drzwiom; skazaniec opuszczał salę. Oczy nabrały barwy stalowej, płynął z nich wzmożony błysk zimnego światła. Gromada cisnęła się ku niemu w przejściu. Jedni przez drugich mówili w zgiełku; nic nie rozumiał. Wojnar dopadł przyjaciela, ścisnął jego dłoń, na większe zbliżenie nie pozwolił policjant. Kiwnęli sobie głowami.

- Wszystko stracone - rzekł skazaniec z gorzkim grymasem, mającym oznaczać

uśmiech.

- Przyjdzie na nas czas, Jasiek.

- Było po co żyć. I jest za co umrzeć.

- Na śmierć! - jęknęła jakaś kobieta tak rozpaczliwie, jakby ją samą ten los miał spotkać za chwilę. Nie dotarła do tego, któremu śmierć była przez prawo przeznaczona, upadła w ścisku na kolana. - Na śmierć! - rozległo się już ciszej.

Zebranych ogarnęła psychoza. Byli wśród nich ci, którym Janosik spalił domostwa, i ci, którym kapały setki od harnasia. Kołysał nimi przemożny nastrój, silniejszy od prawdy obiektywnej. Konwojenci torowali sobie drogę w ciżbie, odpychając napór stłoczonej fali. Pofolgowali służbistości. Przecież prowadzą człowieka skazanego na śmierć.

Na korytarzu przyskoczyła do skazańca Ewa, wstrząsana drgawkami płaczu. Przepchnęła się doń z trudem w towarzystwie Banacha. Twarz papierowa, ściągnęła, mokra od łez, oczy stały się jeszcze większe. Chwyliła rękę chłopca w obie dłonie, siłą wstrzymując pochód, i w tym momencie osunęła się na posadzkę, nie puściwszy wszakże Jaśkowej ręki. Nachylił się nad nią.

- Znowu beczysz?

Łzy rozpląnęły się po policzkach, orzechowe oczy patrzyły nań szeroko, ale z kącików wypływały nowe krople.

- Będę miała dziecko.

Oczy stalowe pojaśniały nagle o jeden ton. Raczej poszarzały; na pół popiół, na pół zieleń.

- Moje? - uderzyły w nią roziskrzonym lśnieniem.

- Nasze.

Rozpogodził się po raz pierwszy po znużeniu ostatnich dni.

- Niech się dziadek nim zajmie. To jedno ci po mnie zostanie, Ewa - pogłaskał ją po wilgotnym policzku, dotykając oczywiście sinego kwiatka na skroni. - Na co ci to było? - powiedział na przekór swym myślom i wdzięczność ogromna zalała mu pierś. Wstąpiły w niego zarazem nieśmiałość pierwszego kochanka i duma mężczyzny. Czy to te piersi małe i jędrne pieścił jeszcze nie tak dawno? Czy rzeczywiście niegdyś całował zapalczywie tę pałającą plamkę na twarzy? Jakże daleko był od tych wspomnień!

Delikatnie, jakby z obawą powiódł raz jeszcze palcami po pamiętnym miejscu od końca brwi do skroni. - Nie płacz - zdążył jeszcze wyrzec. Policjanci podjęli go za łokcie, nachylonego nad posadzką. Dziewczyna zemdląła bez jęku, jak roślina ścięta sierpem, opadając plecami na kamienne płyty korytarza. Zaraz podnieśli ją ludzie, a eskorta odciągnęła

Dziurę ku wyjściu.

Wstrząśnięty był tym spotkaniem o wiele bardziej niż wyrokiem. Lecz twarz zachowała nadal rysy nieruchome, stężałe. Olśniło go słońce na rynku nowotarskim. Pod budynkiem stał samochód. Wożą go niczym starostę! Przypomniał sobie, jak w maju wlekli go szupasem pieszo za wozem do Żywca. A dzisiaj? Przed bramą dwaj policjanci z karabinami wzmacniali konwój na wszelki wypadek. Auto otoczyła gromada chłopów. - Proszę się rozejść - nawoływali monotonna policjanci. Skazaniec omiół oczyma niebo, góry, rynek ponad ludzkim tłokiem; już zatrzaśnięto drzwiczki samochodu.

Dopiero gdy maszyna z hukiem silnika uwiozła im sprzed nosa Janosika, w zgromadzeniu zakotłowało się. Poniosło się gadanie, które jutro powędruje na całe Podhale, na Beskidy, na Spisz, na Orawę. Górale rozsypali się po ulicach, po szynkach. Ocuconą Ewę zabrał do pociągu Banach i odjechał z nią do domu. Część ludzi poszła pod mur więzienny. Znalazł się wśród nich i Wojnar. Krążył długo pod szeroką bramą, może Jasiak przez okienko wygląda i widzi go?

Policjanci, jakby ich kto odmienił. Stali się delikatni, uprzejmi. W aucie ofiarowali Dziurze najlepsze miejsce, jeden wyjął papierośnicę: - Niech pan zapali. - Och, to lubi. Tak dawno nie palił. Wszyscy w więzieniu odnieśli się nagle do niego taktownie i grzecznie. Tak jak gdyby legalny wyrok sądowy oczyścił go z win, jak gdyby kara śmierci naznaczyła go piętnem szlachetności. Teraz wszyscy tytułują go „pan”, częstują papierosami. Może tkwiło w tym współczucie dla kogoś, kto jest stracony i długo nie pożyje?

Ponownie znalazł się w swojej celi. Nareszcie skończyło się wszystko; nudne przesłuchiwanie całymi godzinami, trzydniowa komedia sądenia. Pożegnał się z Wojnarem i z Ewą.

Będzie miała dziecko! Spadło to na niego niespodziewanie, jak wstrząs. Uwierzył głęboko w opatrność losu. Czyżże to bowiem wyrok nakazał równocześnie jednemu człowiekowi pochylić się ku śmierci, a drugiemu zakwitnąć pączkiem? Jak bardzo musi go kochać ta dziewczyna! Postąpiła wbrew woli ojca, zadając się w sposób bezwstydnym z plemieniem znienawidzonego przezeń Sobczaka. Nie wzdragała się być kochanką rabusia, napiętnowanego przez sąd, nie zawahała się porodzić bękarta spłodzonego z kryminalistą, który zawisnie na szubienicy. Kochał tę dziewczynę. Miłość spadała nań wolno, lecz nieubłaganie jak deszcz. Od jak dawna szamotał się z nią, nie mogąc się wyplątać! Podobnie jak dzielny pływak wymija wiry, tak on wykręcał się od tego uczucia słowem, śmiechem, obojętnością, piosenką, żartem, cynizmem. Każda dziewczyna wplątana w jego sprawy wyносиła z tej

przygody głęboki dramat, który już odtąd niosła sama, bez jego udziału. On miał inne bóleści, pechowy kochanek. Dopiero teraz narzucała mu się przez kratę więzienną miłość długo tajona i wzbierająca, nagle uprzytomniona. Narzucała mu ją dziewczyna o mlecznej cerze, z sinym kwiatkiem na skroni, oddalona od niego o całą odległość wolnego świata.

Jak ona przeżyje tę hańbę? Jakie będzie życie dziecka-pogrobowca, któremu będzie mógł każdy w oczy plunąć: „Twój ojciec zbój, zginął na stryczku!”

Przerwał mu rozmyślenia dozorca, za którym wtoczył się zaaferowany, czerwony, lśniący od potu obrońca. - No, panie Dziura, nie mieliśmy szczęścia. Trudno. Ale głowa do góry! Robimy apelację.

- Nie ma głupich. Już mnie nikt drugi raz nie nabierze na tę komedię. Łatwiej dziesięć domów spalić niż przez kwadrans odpowiadać w sądzie. Nie przeżyłbym czegoś podobnego.

- Jak to? Więc pan wybiera szubienicę? - adwokat zbladł i wsadził ręce do kieszeni.

- Lepsze to niż więzienie. Mam dość tej sprawy. Dlatego nie godziłem się od razu na pańską obronę. Pięć lat mniej czy więcej, cóż to dla mnie za różnica? Każda śmierć jest lepsza od takiego życia.

Krótkie ręce zamachały beznadziejnie i ciężko wzdłuż masywnego tułowia. - Nie pojmuje, nie pojmuje!

Jasiek siedział na posłaniu z twarzą kamienną, taką samą, jaką wyniósł przed godziną z sądu. Obrońca nie mógł wyjąkać słowa ze zdumienia. Co siedzi w tym młodzieńcu? To niesłychane! - krztusił się. Najprościej byłoby trzasnąć drzwiami, zostawiając smarkacza na łasce kata. Ale na miłość boską, tu szło o życie człowieka! Mecenas miał rozsądek, uczucie i doświadczenie, a ten gołowus zdaje się nie uprzytamniać sobie czekającego go losu. Na dźwięk słowa „wyrok śmierci” ani jedno włókienko nerwów nie zadrgało w młodzieńcu. Nawet łotr wstrząsnąłby się instynktownie w takiej chwili. Czyżby Jan Dziura był bardziej zatwardziały niż łotr?

- Pan chyba rozumie, że tu idzie gra o pańskie życie?

- Doskonale rozumiem. Gra warta świeczki.

- Niech pan nie żartuje.

- Gdzie mi to w głowie! - skazaniec wzruszył ramionami.

- Więc pan chce śmierci?

- Właściwie - przebił oczami grubasa - chcę spokoju. A w tych warunkach śmierć oznacza dla mnie spokój.

- Chłopcze, cios pana załamał, niechże się pan zreflektuje - pocierał dłonią czoło obrońca. Czoło zaczęło się perlić potem. - Ja... - zatchnął się z emocji i nic nie powiedział.

Janosik podniósł na niego ciemnoszare oczy.

- Panie mecenasie. Nie spałem wiele nocy. Chciałbym wreszcie przespać się trochę, skoro cała zabawa się skończyła. Niech mi pan da spokój. Jednego tylko chcę: spać.

- Człowieku! Co ty mówisz?

- Nie życzę sobie apelacji. Tak jak nie chciałem, aby pan mnie bronił. Zabraniam panu wnosić w moim imieniu apelację. Ja wyrok przyjmuję.

- Zapowiedziałem apelację na sali sądowej.

- Co to szkodzi? Ale jej pan nie wniesie.

- Niechże pan nie porzuca ostatniej deski ratunku, panie Dziura. Niech mnie pan zrozumie. Do siedmiu dni apelacja musi być wniesiona, inaczej wyrok się uprawomocni.

- Chcę, aby się uprawomocnił.

- W ten sposób pozbawia się pan jedynej okazji ponownego przeprowadzenia rozprawy.

- Mam dość tej jednej. Zgodziłem się na wyrok; jest słuszny. Niech pan mecenas nie ma żadnych skrupułów. Jestem winien, będę cierpieć. Szkoda tyle czasu poświęcać bandycie.

- Ależ panie Dziura, słowo honoru daję! Każdemu człowiekowi żal życia - bełkotał przerażony grubas.

- Czy chce mi pan zrobić przyjemność? Niech mi pan da papierosa. Nie jadłbym, a muszę palić.

Adwokat zgłupiał. Wyciągnął z kieszeni świeżo napoczęte pudełko egipskich i podał skazańcowi.

- A teraz niech mnie pan opuści. Wypalę je w spokoju. I proszę żadnej apelacji nie wnosić.

Mecenas był wzburzony. Chodził po celi naokoło, wymachując krótkimi rękami. - Pan świadomie pieczętuje na sobie wyrok śmierci. Chce pan umierać w tak młodym wieku tak straszną śmiercią?

- Żadna śmierć nie jest straszna. Prędzej czy później trzeba umrzeć. Nie mam innego wyjścia. Trudno, nie dano mi wyboru. Jako winny muszę ponieść karę.

- Niech pan nie będzie uparty, panie Dziura. Przedstawiam panu jedną, jedyną szansę ratunku. Niepewną, ale dającą niejakie możliwości. Proszę być rozsądny. Niech mi pan zaufa. Ułożymy apelację.

- Czego pan chce ode mnie? Nie prosiłem pana o nic, nie znałem pana, przyszedł pan do mnie wbrew mojej woli.

- Prawo pozwala panu, a nawet nakazuje korzystać z usług mojej osoby.

- Ja rezygnuję z tego prawa. Niech mi pan mecenas da spokój. Nie zgadzam się w żadnym wypadku na apelację. A wbrew mojej woli nie może mnie pan ocalić, tak czy nie?

- Tak.

- Załatwiliśmy więc tę sprawę. I proszę, aby mnie tu nikt nie nawiedzał. Dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Że pan się tak męczył na rozprawie. A przede wszystkim dziękuję za papierosy - uśmiechnął się.

Grubas spojrzał w oczy Jaśka, zdjął go nagły lęk. Wyszedł czym prędzej. Na schodach błysnęła mu myśl: on jest niespełna rozumu. To byłaby nawet dobra podstawa do apelacji. Z drugiej strony, sądząc po jego wypowiedziach, nie można go chyba uznać za wariata. Dziwny człowiek.

Machnął ręką. Nie chciał się podjąć obrony; musiał. Wyznaczono go przecież z urzędu. Zabrał się do tego bez zapału, oskarżony utrudniał mu robotę, jak tylko mógł. Sam klient ponosi więc konsekwencje swojego uporu. Co można więcej zrobić? „Sam mi ręce związał, daję słowo honoru” - rozgrzeszył się szybko, powróciwszy do domu, i zagłębił się w czytaniu gazety. Ale ponieważ wizja skazanego na śmierć nie dała mu zasnąć w nocy, wybrał się nazajutrz do więzienia, aby ponownie zobaczyć się z Dziurą. Może ochłonął z wczorajszej depresji, rozważył sprawę, może będzie skłonniejszy do rozmowy. Trzeba raz jeszcze popробować szczęścia, aby nie mieć skrpułów, że się nie wyczerpało wszystkich środków dla przekonania opornego klienta. Przewornie posłał do celi dozorcę więziennego z zapytaniem, czy skazaniec godzi się na widzenie z nim. Dozorca wrócił z odpowiedzią, iż Dziura kłania się pięknie panu mecenasowi, ale nie ma z nim nic do mówienia. Ucieszyłby się natomiast, gdyby pan mecenas ofiarował mu parę papierosów. Adwokat opróżnił papierośnicę z jedenastu egipskich i wręczył je klucznikowi.

- Niech pan mu to da.

Wyszedł, kiwając głową. „Dziwny człowiek, słowo honoru daję. Dziwny!” - mruczał do siebie.

Minął jeden dzień, a po nim jeszcze jeden. Adwokat Supiński przywitał się z kolegą na rynku, oblekając ziemistą twarz w uśmiech. - Słyszałem, że grzesznik przyjmuje naznaczoną pokutę? To sensacja, panie kolego. Odmawia apelacja, tak?

- Tak.

- Dlaczego?

- Czy ja wiem? Zaciął się, pary nie puszcza z ust. Mówi, że wyrok jest słuszny. Chce karę odcierpieć.

Następnego ranka, na piąty dzień po ogłoszeniu wyroku, grubas, któremu sumienie

ciągle nie dawało spokoju, podreptał znowu do kancelarii więziennej. - Niech pan pójdzie do Jana Dziury jeszcze raz - powiedział do dozorca. - Proszę zawiadomić go, że przyszedłem i czekam w kancelarii. Czekam, aby mnie przyjął w celi. Jeszcze tylko dwa dni pozostają nam do złożenia apelacji. Jeżeli trwa nadal w swoim uporze i nie zgodzi się na rozmowę ze mną, to wyrok śmierci uprawomocni się.

Po paru minutach dozorca wrócił z miną skwaszoną. - Szkoda gadać. Powiedział: „Jeśli adwokat przyszedł w sprawie apelacji, nie ma mnie w domu. Po raz trzeci powtarzam: nie zgadzam się na złożenie apelacji. Czekam na wykonanie wyroku. I na parę papierosów od pana mecenasa". Tak powiedział.

Adwokat, sapiąc ciężko, ocierał chusteczką nabrzmiały kark. - No, panie Blacha - jęknął - ale to uparty człowiek! Daję słowo honoru! Pan jest świadkiem, że chciałem wszystko uczynić, co było w mojej mocy, aby ocalić chłopca. Trzy razy byłem u niego po wyroku. Pierwszym razem wyrzucił mnie z celi. Za drugim i trzecim razem nie chciał w ogóle ze mną mówić. Uwziął się, związał mi ręce, jestem bezsilny. Wbrew klientowi nie mogę nic zrobić. Sam sobie stryczek skręcił na szyję. Niech go Pan Bóg ma w swojej opiece! - Wyciągnął przygotowane uprzednio trzy paczki papierosów gorszego gatunku. - Niech mu pan da to ode mnie.

Jeszcze tego samego dnia w południe, zaniepokojony wyrzutami sumienia, złożył wizytę naczelnikowi sądu, uskarżając się na dziwne postępowanie klienta. Sędzia rozwiął całkowicie skrupuły adwokata. Jego zdaniem obrońca wyczerpał wszelkie dostępne mu środki obrony. - Nikt panu mecenasowi nie może nic zarzucić. Zrobił pan wszystko, co było możliwe do zrobienia. U skazańca obserwujemy uraz ekspiacyjny. Chce odpokutować za to, co nabroił. Został uświadomiony o środkach prawnych, jakie mu przysługują do obrony. Posiada rozwiniętą inteligencję, wie, co czyni. Niech pan mecenas nie robi sobie z tego powodu żadnych wyrzutów.

- Ile mnie zdrowia kosztuje ten bolszewik! - wzdychał grubas przy obiedzie, gdyż ciągle przed oczyma stała mu postać Janosika ćmiącego jego papierosy.

Śmierć polatywała nad miasteczkiem, kładła się złowieszczą chmurą na gmachu więzienia. Podhalańska stolica nie słyszała wszakże jej groźnego szumu, gdyż nikt z mieszkańców nie zdawał sobie sprawy z biegu procedury sądowej. Wielu znało przecież z własnego doświadczenia długą i zawiłą drogę sprawiedliwości. W pierwszej instancji skazany, będzie za pół roku sądzony przez apelację w Krakowie, stamtąd jeszcze może sprawa pójść do Warszawy. Za rok gotów się proces rozstrzygnąć.

Szóstego dnia była niedziela. Rozsłoneczniona, upalna. Rankiem odwiedziła obrońcę Jana Dziury trzyosobowa delegacja pań nowotarskich, które zainteresowały się losem skazańca. Przyszły zapytać, czy klient mecenasa jest w stanie zapłacić koszty apelacji, ponieważ one gotowe są ponieść wydatki związane z dalszym prowadzeniem sprawy.

- Jestem obrońcą z urzędu, wyznaczonym przez sąd, i nie pobieram żadnego honorarium za obronę. Gorzej, że klient mój uniemożliwił mi obronę w pierwszej instancji, a pod żadnym warunkiem nie zgodził się na złożenie apelacji.

- Boże! - jęknęły. - Więc będzie egzekucja? Kiedy?

- Może za tydzień, może za miesiąc. Kiedy sąd wyznaczy.

- Tu, u nas, w Nowym Targu!

- Tak.

- To niemożliwe. Nie możemy dopuścić do egzekucji w naszym mieście. To byłoby straszne. Trzeba coś robić, panie mecenasie. Nie można mu dać umrzeć - protestowała pani doktorowa, pierwsza w mieście, gdy szło o tego rodzaju interwencje; prezeska, społeczniczka, działaczka. Z niesłabnącym zainteresowaniem przysłuchiwała się przez trzy dni rozprawie.

Adwokat rozłożył ręce szerokim gestem. - Wyczerpałem wszelkie środki prawne. Skazaniec zabronił mi kategorycznie składania apelacji. Bez niego nie mogę nic zrobić. On mi przecież musi udzielić pełnomocnictwa. A tymczasem nie chce ze mną rozmawiać. Codziennie jestem u niego; ostatnio nie dopuszcza mnie do celi. Gdy tylko napomknąłem o apelacji, nagadał mi głupstw, obrzucił stekiem wyzwisk, wyrzucił za drzwi. Robiłem wszystko, co było w mojej mocy, nie mogę złamać jego uporu. Daję słowo honoru, w ciągu mojej wieloletniej praktyki nie miałem jeszcze takiego klienta.

- Więc nie pozostaje mu żadna nadzieja ratunku?

- Chyba łaska prezydenta zdoła go ocalić od stryczka. Odniosę się do Warszawy. Ale ta nadzieja jest bardzo problematyczna.

- Gdyby posłać do Warszawy na Zamek petycję zaopatrzoną w podpisy? - rzuciła niezmordowana pani doktorowa, na której przekwitającą twarz wystąpiły niezdrowe rumieńce podniecenia. - Zebrałabym podpisy tutejszej inteligencji.

Mecenas skrzywił się pogardliwie, słysząc ten projekt. - Można spróbować - rzekł, siląc się na wyrozumiałość - ale nie wróżę sukcesu. To raczej literacki efekt. Przecież to będą opiniowali prawnicy. Gdyby to było poparte jeszcze jakimś porządnym huczkiem w prasie, podlane pikantnym sosem politycznym... no, jeszcze by taki jeden wypadek na sto mógł się udać. Najbardziej ucieszy się skazaniec, jeśli mu panie pošlą do celi papierosy. Ja to robię codziennie i jest mi za to o wiele wdzięczniejszy niż za obronę.

Tej samej niedzieli trzy kobiece języki rozniosły po Nowym Targu wiadomość, iż Janosik oczekuje na śmierć w tutejszym więzieniu. Zrezygnował z apelacji, pragnie umrzeć na szubienicy. Na szubienicy! - Brr! Mordował ludzi z zimną krwią. To zatwardzialec! - mówili jedni i przechodzili za chwilę do swojej roboty. - Boże! Zaszczuli go na śmierć! - wzdychali drudzy, po czym zapominali o skazańcu.

Tylko trzy panie nie zapomniały. W samo południe niedzielne otrzymał Jan Dziura paczkę z żywnością oraz z dwiema setkami wybornych papierosów. Był wniebowzięty. Ubrany w szary więzienny drelch, z ostrzyżoną do gołej skóry głową (teraz, po wyroku, był już więźniem), osnuł się dymem jak niewidzialną mgłą.

Po obiedzie niby zjawa z obłoku ukazał się nad barłogiem dozorca.

- Niejaki Wojnar z Jeleśni przyjechał i chce się z panem zobaczyć.

Krew buchnęła do skroni skazańcowi. - Nie chcę go widzieć.

Zerwał się z pryczy w paroksyzmie strachu, jakby stojąc w postawie bojowej wobec niewidzialnego wroga, nacierającego nań z kąta.

- Powiada, że jest pańskim przyjacielem. Czeka już od wczoraj. Dopiero dziś dostał zezwolenie na widzenie.

- Nie, nie - potrząsał głową Janosik.

- Powiedzieć mu, że pan nie życzy sobie z nim rozmawiać?

- Powiedzieć.

Wiedział, że tą odmową przyczynia wiele bólu sobie i Wojnarowi, ale zapewne więcej cierpieliby obaj, gdyby im przyszło przeżyć scenę pożegnania. Niech ta przyjaźń, nagle przerwana, pozostanie tak piękna, jak pięknie została nawiązana. Wiele istot rozstaje się z nami bez pożegnania. Sześciu harnasiów i Ślepek odchodzili od wodza wprost w ziemię, niespodziewanie. Teraz i on opuści najbliższych w taki sam sposób: Wojnara i Ewę. Głęboka mądrość wieków wstawiała w zbrodniarzu: bezinteresowność; albowiem taka jest każda istność w obliczu śmierci.

Kiedy przyszedł siódmy dzień po ogłoszeniu wyroku, obrońca Jana Dziury poczuł głębokie odprężenie. Stało się...Chciałem bronić wszelkimi siłami człowieka, ale wbrew niemu samemu nie podolałem." Tonem pełnym goryczy rozpowiadał przyjaciołom i znajomym historię swych heroiczych interwencji w celi więziennej. Jak był z dziesięć razy u skazańca, błagając go o pełnomocnictwo, o rozmowę, z której można by wyluskać motywy apelacji. Dziura sprzeciwiał się, wyzywał adwokata, lżył władze, nie pozwolił na dalsze prowadzenie sprawy, wreszcie wyrzucił obrońcę za drzwi.

- Uszy mi wędły, kiedy go słuchałem. Toż to bolszewik zdeklarowany, daję wam słowo honoru! Nie będzie porządku w Polsce, powiada, dopóki robotnicy i chłopi nie ujmą władzy w ręce, tak jak to się stało w Rosji, i dopóki wszyscy burżuje nie zostaną wyrżnięci. Niech mnie powiesz, powiada. Na moje miejsce przyjdzie tysiąc innych. Nastanie nowa Polska; dla chłopów, nie dla panów. O mało mnie w celi nie pobił, zapowiedział, abym się mu więcej na oczy nie pokazywał. Rozmawiałem z nim potem jeszcze parę razy za pośrednictwem klucznika, ponieważ nie chciał ze mną gadać. Przynosiłem mu za każdym razem papierosy, bo strasznie mnie o palenie nagabywał. Ostatnim razem posłałem mu pięć paczek, niech się napali.

- Napalił się dość chałup ludzkich, nic dziwnego, że się teraz nie może odzwyczaić od palenia - pochwalił się kalamburkiem przyjaciel adwokata.

- Jak lubi palić, niech sobie zapali. Ale teraz, wierzcie mi, już ręce opuściłem - grubas przenośnie i dosłownie opuścił ręce bezradnie. - Niech się dzieje wola Boża! - błysnął białkami oczu. - Robiłem, co mogłem. On sam związał mi ręce.

Adwokat był usprawiedliwiony. Śmierć zataczała coraz niższe kręgi nad więzieniem. Prawie nikt jej nie dostrzegał. Ludzie byli zajęci zniwami, jedni rozjechali się na wakacje, inni zapomnieli o tej sprawie, inni wreszcie, pomyślawszy o niej, rozmieszali ją w natłoku codziennych trosk. Egzekucję wyznaczono na trzeci dzień od uprawomocnienia się wyroku. Zarządzenie zaś wydano w przeddzień, i to w głębokiej tajemnicy, do której dopuszczono jedynie kilka urzędowo zainteresowanych osób. Sprawiedliwość bowiem, zwłaszcza w tak wyjątkowej sytuacji, nienawidzi zgiełku i ciekawości gawiedzi. obrońca biegał zdenerwowany, nie mogąc sobie nigdzie znaleźć miejsca.

- Sercem przyplączę tę nieszczęsną historię! - jęczał. - Że też mnie musiał się dostać ten wariat!

Już, już w tych dniach wybierał się pan mecenas do Krynicy, jak co roku. To uzdrowisko zawsze mu świetnie robiło na serce. A tu trzeba się tyle denerwować w ostatnich tygodniach! Jeszcze tych parę dni i nastąpi ulga. Posłał Dziurze do więzienia dwie paczki sportów i poszedł na pocztę, aby nadać telegram do Warszawy z prośbą do prezydenta o ułaskawienie. Spełniał ostatnią posługę wobec opornego klienta. Już tym razem nie pytał o zgodę Jana Dziury. „Więcej dla niego nic nie mogę zrobić.”

Nikt w Nowym Targu, poza siedmioma osobami, nie wiedział, iż egzekucja ma się odbyć nazajutrz o świcie. Dopiero kiedy adwokat nadał telegraficznie prośbę o łaskę na Zamek warszawski, z pocztowego urzędu wiadomość wyskoczyła lotem błyskawicy na ulice. Przeżywano sensację w wielkim stylu. Miasteczko wrzało. Śmierć już siedziała okrakiem na

gmachu więzienia i wszystkim w uszy wwiercał się jej straszliwy szum. Widmo szubienicy poraziło umysły, sparaliżowało serca. Wszyscy współczuli skazańcowi. Znów w jednej chwili zbiegał w oczach tych, dla których był niedawno zimnym zbrodniarzem. Nie było domu, w którym by nie rozprawiano o marnym końcu harnasia. Ile to jednak dni potrzeba, by ta wieść rozeszła się po najdalszych wsiach! Kiedy tam dojdzie, będzie już po Janosiku.

Wieczorem zameldował przewodniczącemu sądu swą gotowość kat przybyły z Warszawy. Obrońca miotał się po mieszkaniu, podniecony do ostatnich granic. Oto dla niego chwila najwyższego dramatycznego napięcia: lada minuta spodziewał się odpowiedzi z Warszawy. Jutro już wszystko będzie poza nim. Jeśli nadejdzie odpowiedź odmowna, będzie musiał asystować o świcie przy egzekucji. To straszne, ale nie da się tego uniknąć. To obowiązek obrońcy: do ostatka wytrwać przy skazańcu. Trzeba wypić do dna ten kielich.

Wiadomość o terminie egzekucji nie uczyniła żadnego wrażenia na Janosiku. Naczelnik więzienia przybył do celi młodzieńca, odczytując mu drżącym głosem zawiadomienie o dacie wykonania kary śmierci. Od sześciu lat, odkąd zarządza tym gmachem, nie gościł jeszcze w swoich celach skazanego na śmierć. I polecenie wzniesienia szubienicy pod fachowym kierownictwem kata oraz jego pomocnika wydaje dopiero po raz pierwszy w swej karierze. Nic więc dziwnego, że głos mu się załamuje, a ręce trzęsą.

- Czy pan zrozumiał? - pyta Janosika.

- Zrozumiałem. Jutro o czwartej rano.

- Czy ma pan jakieś ostatnie życzenie?

- Nie.

- Majątkiem rozporządzić?

- Nie mam majątku.

- Z krewnymi się zobaczyć?

Kiwnął przecząco głową. - Nie mam krewnych.

- Księdza przyprowadzić?

- Nie mam z nim nic do gadania.

- Z Bogiem nie chce się pan pogodzić przed śmiercią?

- Z Bogiem już dawno jestem pogodzony. Z Bogiem, który jest sprawiedliwy. Tylko z ludźmi się wadziłem.

- Więc nie życzy pan sobie pociechy religijnej?

- Nie.

- Proszę powiedzieć, co pan chce zjeść na kolację. Zrobimy to, co pan sobie życzy.

- Wszystko jedno, co będzie, nie przywiązuję wagi do zarcia. Proszę o papierosy.

- Dostanie pan.

Odszedł. Z ulgą opuścił celę człowieka, który nazajutrz o tej porze nie będzie żył. Rozmyślnie nie wspominał o tym, iż obrońca wysłał, jak prawo każe, depeszę na Zamek warszawski z prośbą o ułaskawienie. Po co mu robić nadzieję, jeżeli odpowiedź nadejdzie odmowna? Czyżby ten dziewiętnastoletni chłopiec był rzeczywiście aż tak cynicznym bandytą? Stryczek się nad nim nachyla, on nawet powieką nie mrugnie. Jaka zakamieniałość!

Posłał po najlepsze papierosy do trafiki (na koszt więzienia). Niebawem Jasiek zaciągał się ich wonnym niebieskim dymem, stojąc przed zakratowanym oknem i patrząc w srebrno-migotliwą strugę rzeki.

Tyle śpiewek góralskich mówi o szubienicy. I oto prawdziwa szubienica - nie ta ze śpiewek - zstępuje ku szyi harnasia. A jemu się zdawało, że to będzie gdzieś na górze, pod rozdartymi jodłami na Gajdowej Polanie, wśród zbójów, w pieśniach i lamencie, może w trzasku piorunów. Tymczasem to ma się odbyć nad ranem, nie w blasku słońca, w szarzyźnie, kiedy noc się już kończy, a jeszcze dnia nie ma, w cichości, jakby ukradkiem.

Przestał myśleć o stryczku, o pętli, o kacie. Nigdy nie widział szubienicy, jak to wygląda? Przeżył już śmierć dostatecznie, był już stracony przed wyrokiem, z chwilą ujęcia.

Dokopał się w myśli pokładów tego, co było poza śmiercią. Widzi, jak dziecko jego żyje i rośnie. Przypomniał sobie, że naczelnik więzienia proponował mu przyjęcie kapłana. Po cóż odmówił? Może trzeba się było pożegnać z Bogiem, którego tak wielu wyznaje? „Mam odejść pogniwany na świat? Tak. Ale na Boga?”

Wsparł się łokciami o parapet okna, zapadał w odrętwienie. Po twarzy łąziły mu muchy, pchając się do kącików oczu i ust, natrętne, łapczywe, nieznużone. Nie znalazł w sobie dość siły ani ochoty, aby je odpędzić. Znów powrócił do dziecka, urzeczony jego wizją. Niemowlę, nie urodzone jeszcze, wyciągało rączki do ojca, błagając: „Weź mnie do siebie”. Tuli dziecinę w ramionach. Jakie będzie? Syn czy córka? Drobnymi paluszkami dotyka małeństwo suchej, ściągłej twarzy Janosika. „Tatusiu, to nieprawda, że mój ojciec był bandytą?”

Zerwał się z barłogu pod wpływem strasznego oskarżenia dziecięcego, podbiegł ku kratom. Zachód czerwienił się w dolinie nowotarskiej. Poprzez rączkę dziecka, przez żelazne pręty w oknie ukazywały się szkarłatne od słońca szczyty Tatr. Najpiękniejsze góry jego życia wołały go pożogą zachodu; siedł od nich blask ognia, który sobie Janosik upodobał i obrał za narzędzie zemsty. Najwyższe góry jego życia wołały go rozlaną krwią towarzyszy, zabitych kulami, pokłutych nożami, czterech olbrzymów z Wysokiego Beskidu: Tramka, Maściaka, Michonia i Wańka oraz Rzezawy i Klimka.

Tak bardzo pragnął, aby mu pętla zdławiła szyję w tej właśnie chwili, kiedy połączy się duchem z kompanami.

Promienie słońca żarzą się jeszcze na chmurach. Po raz ostatni ogląda Janosik słońce. Jutro o czwartej, a więc przed wschodem, zostanie stracony.

Ginie dzień, wstaje noc. Rzucił się na prycę pod ścianą, pozbywszy się wszystkich myśli i zmartwień, pograżając się w bezwładzie jak ktoś, kto zasypia.

Leżał, kto wie, jak długo? Szum śmierci był już blisko, tuż, tuż, wdarł się do celi, hałasował w drzwiach, łopotał po ścianach. Przyjemnie powiał przeciąg. Gość nadchodził. Jasiek czuł przez skórę ów chłodny dotyk zaświata. Śmierć go tak wita. Nie bał się jej złowróbnego łoskotu. Właśnie oczekiwał tego gościa. Otworzył oczy, zobaczył przed sobą w mdłym świetle elektrycznej lampy dwie zjawy o płynnych konturach: naczelnika więzienia oraz natrętnego grubasa, wywijającego kartką papieru.

- Czy już? - ochłonął prędko i wstał, dopinając guziki drelichu pod szyją.

- Depesza! Depesza - krzyczał adwokat. - Ułaskawienie. Pan prezydent ułaskawił pana!

Skazaniec opadł z powrotem na barłóg.

- To znaczy, że jutro nie umrę?

- Nie - objaśnił naczelnik więzienia służbowo. - Pan prezydent zamienił panu karę śmierci na dożywotnie więzienie.

- Ach, więc to jest ułaskawienie? - powiedział cicho Janosik, cedząc zgłoskę po zgłosce.

Zanim Ewa Jeleniówna dowiedziała się o wszystkim i rozpoczęła starania o widzenie się z Jaśkiem, przetransportowano go szybko, na trzeci dzień od niedoszłej egzekucji, do więzienia dla długoterminowych przestępców na Świętym Krzyżu. Obchodzono się z nim znowu gorzej, przestano tytułować panem. Stracił w oczach ludzkich uznanie jakim się cieszył przez dziesięć dni. Tak jakby mu brano za złe, że zjawił się ponownie na świecie, z którego go wykreślono. Gdy był skazańcem, okazywano mu uprzejmość, nieledwie szacunek, jak każdemu straceńcowi, który wkrótce nieodwołalnie umrze. Teraz zaś przypominano sobie, że to groźny kryminalista, który tchórzliwie skręcił w bok z drogi wymierzonej prosto od sali sądowej ku szubienicy. Wsadzono go do pociągu wieczorem, skutego kajdankami, pod eskortą dwóch policjantów. Z Krakowa odstawiono Janosika podczas ulewnego deszczu autem policyjnym w Góry Świętokrzyskie.

Kiedy Ewa z zawiniątkiem w ręku dostała się do kancelarii więziennej w Nowym Targu, odpowiedziano jej niechętnie i urzędowo, że Jan Dziura został przewieziony tydzień temu na Święty Krzyż pod Kielce. Wyszła z szerokiej bramy w ponury, chmurny dzień, zawiedziona. Stała pod grubym murem, spoglądając w górę. W której z cel siedział jej chłopiec? „Noszę pod sercem jego dziecko. Niech to dziecko będzie szczęśliwe. Niech to będzie syn.”

Tyle strasznych rzeczy przewinęło się w ciągu trzech tygodni, odkąd tu była po raz ostatni. Nic nie wiedziała o tym, pogrążona w chorobie. Śmierć ukłękła nad Janosikiem, już dławiła go za gardło, lecz i śmierć odleciała z lękiem, spojrzawszy w oczy harnasia. Ułaskawili go, przewieźli do świętokrzyskiego więzienia. Gdzieś aż koło Kielc. Tam ma dokonać swej kary. - Kto wie, jak daleko te Kielce? - zapytała. Odpowiedziano z uśmiechem: - Trzydzieści pięć mil. - Chryste! W takie dale go posłali!

Tylko raz widziała się z Jaśkiem po jego ujęciu. Było to owego straszego dnia, w którym jej kochanek wyniósł z sądu wyrok śmierci. Przez trzy dni była obecna wraz z Banachem na rozprawie. Policja nie dopuściła jej do oskarżonego. Dopiero po wyroku zdołała zamienić z nim parę słów na korytarzu. Zaraz potem zemdląła i chorą przywiózł ją Banach do domu. Zapewnił ją, że założono apelację i pewnie za pół roku odbędzie się nowy proces. Chorowała przez dwa tygodnie, nie wiedząc o bożym świecie, trawiona wysoką gorączką. Jedni mówili, że to zapalenie płuc, drudzy, że tyfus, inni, że grypa. Jeszcze inni domyślali się po cichu, że to ma związek z ciążą. Matka cieszyła się, że córka poroni. Ledwie wyzdrowiała i przyjechała zobaczyć się z Jaśkiem, już go wywieziono.

- Miał zawisnąć na stryczku, ale pan prezydent ułaskawił go.

Z goryczą i bólem w sercu pomyślała o Jurgowie. Nie miała ochoty wracać do domu. Zmieniło się tam dużo, od czasu gdy przekazała Banachowi list od Janosika, pisany z Orawy. Wszystko zapowiadało się pięknie. Górale z entuzjazmem przyjęli znak i hasło do marszu.

Nagle na trzy dni przed terminem buchnęła wieść tragiczna:

- Janosik złapany pod Pilskiem.

Zaraz tego samego dnia zabrano ją do aresztu w Zakopanem wraz z Banachem i czterema miejscowymi góralami. Była to fala zapobiegawczych aresztowań, zarządzone przez nowotarskiego starostę. Tak postanowił wódz Podhala zabezpieczyć swój powiat na przeciąg gorącego okresu. Ale czego chciano od Ewy? Czy zdał ją ktoś jako kurierkę zbója? Przesiedzieli sześć dni w areszcie, kiedy zaś wyszli na wolność, buki puszczały już zieleń, święto ludowe było poza nimi. Janosik tkwił w więzieniu. Odwołano zakaz chodzenia do miasta, epidemia tyfusu wygasła. Jedni mówili, że wódz niedoszłej rebelii zamknięty jest w

Żywcu, inni - że w Nowym Targu. Inni zaś twierdzili, że przewieziono go do Krakowa.

Przodownik Lipowczan wziął się ostro do zbuntowanych górali. Protokoły sypały się jeden za drugim. Kilku miejscowych ludowców z Banachem na czele czekały już sprawy w sądzie o znowę, mającą na celu wywołanie antyrządowych demonstracji. Sobczakowi wytoczyła straż graniczna proces o nielegalny przemyt, ale oskarżony znalazł się tymczasem w szpitalu dla umysłowo chorych w Kobierzynie pod Krakowem. Jednego Jelenia ominęło prześladowanie władz. Bano się go zaczepiać. Znał za dużo sprawek dygnitarzy jurgowskich, w dodatku sypnął pieniędzmi i wszystko zostało załatwione.

Ewa schroniła się w swym bólu i hańbie do Przyborowa. Z Nowego Targu, gdzie nie zastała już Jaśka, pojechała wprost do Jeleśni, do Wojnara.

- Weźcie mnie do siebie. Będę wam za dziewczkę służebną.

- Nie chcesz wracać do domu?

- Nie mam po co.

Źle jej było w Jurgowie. Ojciec domyślił się stanu córki, a kiedy ją o to zapytał, wyjawiała mu bez wahania: - Tak, będę miała dziecko.

Zbił ją, aż matka musiała ją zasłaniać własnym ciałem. - Co za wstyd na całą wieś! - ryczał rozżalony. Jeszcze niedawno puszył się: - Moja Ewa nie taka, aby się z byle kim zadawała. - Przecież ona sama śpiewała nieraz o sobie:

*Moje nóżki mnie niosą honornie i dumnie,
ten ma miłość u mnie, kto wygląda szumnie.*

Płakała całą noc. Po paru dniach uspokoiło się, później znowu wybuchło. Jeleń zabierał się jeszcze raz do bicia. - Kości ci połamię - odgrażał się. Dziewczyna uciekła do Banacha, trzy noce spała poza domem, czwartego dnia wziął ją ojciec do siebie. Po pierwszej złości opanował się i wespół z żoną zabrał się w sposób realny do odparcia grożącego niebezpieczeństwa. Spokojnym, rozważnym tonem przekonywał córkę o konieczności pozbycia się niepożądanego pamiątka, a w odpowiedzi na energiczny protest doradzał kompromisowe załatwienie sprawy.

- Mogłabyś się, Ewa, wydać. Franek Matoga wziąłby cię taką, jaka jesteś, chociaż cię harnaś zepsuł. Ja się zobowiązuję z Frankiem to załatwić. Miałaś honor ze zbrojcem, a żeś była głupia, masz teraz wstyd.

- Niech będzie. Jasiek kocha mnie. I ja jego także.

- Dużo masz z tego?

- Dziecko - odpowiadała mu hardo.

- No tak. Bąk jest, ale ojciec zgnije w kryminale. Tobie trzeba męża.

- Ja Jaśka mam jak męża.

- Dziewko podła! - huknął ojciec. - Z Sobczakowym pomiotem będziesz się puszczała! Bękarty będziesz rodziła bękartowi? I to czyjemu? Śmieją się z nas w całej wsi. Wstyd!

- Mnie nie wstyd - odpowiadała nieczuła, zastygła w hańbie i w dumie równocześnie.

- Nie wydziwiał - gromiła ją matka. - To sromota. Nosić w brzuchu dziecko zbója, który mordował i palił!

- Dawniej on był dla was szumny hetman. Okradł kiedy biedaka? Ale rząd chciał go zniszczyć i zabić, bo się jego łajdactwom głośno przeciwiał. Dlatego gnije w więzieniu.

- Ale mógł wziąć ślub z tobą. Dziecko miałoby ojca. „Czy nie można być szczęśliwą, nie biorąc ślubu?” - nie mogła się z rodzicami pogodzić. „Tak, będę go kochała - uparła się - choć go nie zobaczę.” Matka podstawiła jej dwukrotnie sporysz do picia, później wmieszała do herbaty jakieś zielsko, przyniesione z Murzasichla. Dziewczyna przelekła się. Nie dla niej życie w Jurgowie. Jeleń chodził zgębiony i przybity. Wyrok nowotarski otworzył mu oczy. Hetman nie był nieuchwytny, cudów nie czynił. Czemu z więzienia nie uciekł? I w dodatku zepsuł mu córkę, sam będąc bękartem Sobczaka. - „Bogiem się klnę, że gdybym wiedział, kim on jest i co jej uczyni, zabiłbym go” - wygrażał nieobecnemu.

Pod koniec sierpnia Ewa wyjechała z domu, zamieszkawszy na Głuchaczkach. Wojnar umieścił ją u Mitanów. Bezdietne małżeństwo, dobrzy ludzie, przyjęło dziewczynę chętnie, zwłaszcza że nie za darmo. Powiedziała im wszystko, co i jak. Zresztą przedtem załatwił całą sprawę Wojnar.

- To ostatnia dziewczyna harnasia. Najmilsza. Będzie miała dziecko od niego.

Przysięgli wszystko chować w tajemnicy, a pieniądze dodały siły przysiędze. Ewa miała być dla świata wnuczką Ślepka, nieprawą córką jego ulubionego syna, Jędrka, którego zabiło drzewo pod Mędralową. Oczywiście nie dało się długo utrzymać tajemnicy, nawet wzmocnionej banknotem. Musiałaby chyba umrzeć w Jeleśni Turcula, aby się to nie wydało. Ona zawsze wiedziała w promieniu paru kilometrów naokoło, która dziewczyna i kiedy spodziewa się dziecka. I z kim: bo to najważniejsze. Czasem zdarzyło się, że w oczekiwanym terminie dziecka nie było. Wtedy baba rozkładała ręce z wiele znaczącym uśmiechem.

- Dała sobie radę.

Dziewczęta przyborowskie zdążyły już na wszystkie strony przenicować w chałupach oraz pod kościołem życie i przygody miłosne Ewy Jelenianki.

- To dziewczka Janosika.

Turcula wykopała skrętnie jej przeszłość jurgowską i podawała ją do wierzenia

każdemu, czy kto chciał słuchać, czy nie. O charakterystycznym sinym kwiatku koło lewego oka opowiadała, że kiedy dziewczyna, wyrwawszy się raz granicznym strażnikom podczas szmuglu, uciekła w góry, uderzył ją granicznik kolbą karabinu w skroń i od krwi podbiegłej taki znak jej pozostał.

- Napiętnowana od kolby.

Obmawiały ją złośliwie młódki z Przyborowa, z których niektóre zdążyły stracić dziewictwo w gorszych warunkach. Obmawiały ją z zazdrości, ponieważ one same marniały, skazane na wieczorne gorączkowe obłapywanie parobków pod płotami. Tak więc na zbójceją frajerkę tym bardziej uwzięły się języki ludzkie. A może dlatego musiała znosić jeszcze więcej zawiści bliźnich, że opinia, gorliwie oczyszczając imię harnasia z namiętności człowieczych, w ciało jego dziewczyny wlała wszelki brud ziemski, czyniąc ją naczyniem grzechu, omal narzędziem zdrady i przyczyną klęski Janosika.

Zośkę Krawczykową wyniosła także na fali wszechpotężna plotka. Młoda mężatka nie żyła od paru miesięcy z mężem. Mieszkali ze sobą zaledwie przez dwa tygodnie. Ciekawi bliźni wywlekli wnet na światło dzienne w poufnych rozmówkach intymne sprawy świeżo upieczonego małżeństwa. Krawczyk miał obdarzyć żonę nieprzyjemną chorobą, pamiątką z kawalerskich czasów. Zośka zaś nie okazała się podobno dziewicą, jak zapewniała o tym oblubieńca. Małżonek przypisywał ten defekt ślubny romansowi z harnasiem. Poza tym nagabywał Zośkę o pieniądze z posagu; awanturowali się na ten temat ku zgorszeniu wsi. I tak po upływie kilkunastu dni rozbiło się wspólne pożycie państwa Krawczyków. On pozostał w szkole przy drodze, ona wróciła na górę do matki, gospodarując jak dawniej w Cichem Koszarawskim. Przez ból wypiękniała i odmłodniała (zazwyczaj bywa odwrotnie). Przeżyła wieści o końcu Janosika w sposób dramatyczny. Z prawdziwą rozpaczą dowiedziała się o przybyciu Ewy Jeleniówny na Głuchaczki. Znów zadrgała jej boleśnie zraniona duma. Więc aż tu miała odwagę przenieść się dziewczyna, która jej zabrała Jaśka? I podobno, jak mówią, ma mieć z nim dziecko. Jakżeby chciała zobaczyć Ewę na własne oczy! Ale niechęć była silniejsza od ciekawości. Złość niepohamowana odpychała ją od tego kroku. „Mój kochanek zdradził mnie” - uprzytomniła sobie gorzko i jak często dzieje się w takich wypadkach, obciążyla winą nie jego, lecz tamtą kobietę. Ileż przekleństw posłała w stronę Cyłu, ku jurgowskiej dziewczynie! „Nie przestanę go kochać nigdy, tak jak nigdy nie przestanę nienawidzić Ewy - zarzekała się. - To wstrętna dziewczka. A on - anioł. Będę się zawsze modliła za niego, chociaż mnie porzucił. Może nie byłam go warta.”

Jaga, trzecia z hetmańskich dziewcząt, stała się w ubiegłym miesiącu mężatką. I jej los także odmienił się w tym krótkim, pełnym zdarzeń czasie. Pamiętnej nocy, w której Jasiek

usłyszał w swej celi głos Wojtka, odbywało się w Herduńce wesele Jagi. Tak silnie w owej chwili myślała o Północnym Jaśku, że ta myśl równocześnie udzieliła się i więźniowi. Nie umierała, jak zapowiadał kompan, lecz odchodziła od miłego, podobnie jak Zośka Masłowska poślubiona innemu mężczyźnie. Czy to jednak nie znaczy, że umarła dla Janosika? Mąż Jagi był starszy od niej o dwadzieścia dwa lata; mógłby być jej ojcem. Wyszła za niego, bo był dobry i bogaty. Nie żądał od niej niczego, nie pytał o nic. Nie kochała go, lecz otoczyła szacunkiem jak przyjaciela, żyjąc z nim przykładowo. Szczęśliwa była z posiadania tajemnicy, której nie zwierzyła nikomu; tajemnicy, ale i tragedii. I ona bowiem posłyszała wieść o śmierci Janosika: że zastrzelono hetmana pod Pilskiem w pościgu, goniło za nim wojsko i policja. Ta wersja była obowiązująca w górnej części Orawy.

Ach, Janosik! To był kochanek! Ten, który jej młodość kwitnącą opromienił urokiem, który po jej uśmiech przekradał się przez granicę, który nie wahał się wyprawiać z Polski do drugiego państwa, aby ją pocałować. To się nazywa mężczyzna! Przez niego stała się kobietą w tak piękny sposób, że to wspomnienie wystarczy jej na całe życie. A tak się obawiała, że wzorem innych dziewcząt czeka ją zgwałcenie przez pijanego parobka podczas hulatyki wiejskiej gdzieś w kącie stajni czy stodoły, przypadkiem, pośpiesznie, albo przez własnego męża, również z obowiązku pijanego w noc weselną. Dane jej było przeżyć wielką i pierwszą miłość. Powoli zapominała o kochanku, zaczęła myśleć o mężu. To jest życie, a tamto było poezją. Teraz jeszcze bardziej niż dawniej stała się wyrozumiała i łagodna. Przeszła swą burzę i uciszyła się. Była dzielną gospodynią, troskliwą żoną. Żyła w starym porządku: w cieniu mężczyzny. Ale nie wygasła w sobie nigdy rzewnej pamięci o pierwszym i jedynym. Pierwsze dziecko, które porodzi, ochrzci imieniem Jan albo Janina.

Tak więc trzy różne kobiety nadal kochały harnasia, już dożywotniego więźnia, zdając sobie sprawę, każda z osobna, z beznadziejności swoich porywów. Ale ta nieszczęśliwa miłość dodała im blasku. Nie dla ludzi, nie dla zawistnych bab; one zawsze gotowe rzucić błotem na każdą dziewczynę, która miała kochanka. Gdy idzie o mężczyznę, kobieta nie może liczyć na żadne względy ze strony innych kobiet.

Było naprawdę coś niezwykłego w Janosikowych romansach. Nie mogły to być romanse zwykłe, ciche, szczęśliwe, skoro wyrastały i kwitły w obliczu niebezpieczeństwa. Jak mógł kochać harnaś inaczej, jeśli nie w podnieceniu, jeśli nie w niewierności, jeśli nie w napięciu, skoro sam żył nieustannie w gorączce pośpiechu, w grozie więzienia i śmierci? I dziewczyny przez ten romans niepospolity stawały się także częścią owego ogromnego ryzyka, kroplą ofiary, iskierką dreszczu, kłębem konfliktów, bez których każde uczucie byłoby trudne i nudne.

Poza tym wszystko zostało po dawnemu w tych stronach. Po krótkim, nagłym wstrząsie życie wróciło do normalnego trybu. Zduszono chłopski bunt w zarodku. Zlikwidowano bandytyzm. Uśmierzone najoporniejszych opozycjonistów politycznych. Wsie babiogórskie, wsie obróbki drewna oraz bezprzykładnej nędzy wlokły swą stęchlą, prymitywną wegetację, którą na chwilę zakłócił bujny epizod Janosikowy. Jak gdyby ktoś kij włożył w mrowisko i wyjął. Zakotłowało się wściekle i uspokoiło. Wojnar, Jędras, Topolak, Ziomek i inni przesiedzieli swoje w więzieniu. Stachoń w obecności wójta Franczaka mówił raz na tydzień do pustej remizy strażackiej, przedkładając gołym drewnianym dylom oraz swemu szwagrowi i ojcu szwagra konieczność popierania rządu przez chłopów. - Taki naród, ci Polacy - wyrzekał prywatnie wieczorami do sąsiadów. - Słomiany ogień. Dziś się pali, jutro już spokój. Niby to miała być rewolucja, i co? - Nie wiadomo, czy był niezadowolony z tego, czy też może pragnął rewolucji.

Nagle i bez widocznej przyczyny odwołano wybory do rad gminnych w województwie krakowskim. Starosta żywiecki otrzymał złoty krzyż zasługi; przepowiedział mu to Janosik. Harnaś nie przewidział jednak drugiej części łaski pańskiej, która - jak wiadomo - na pstrym koniu jeździ. Szef powiatu został przeniesiony do Nowo-Radomska w województwie łódzkim. Uważano bowiem, iż po wyrzuceniu go oknem stracił szacunek u podwładnych.

Witkowski nie powrócił już z urlopu zdrowotnego na swoje dawne miejsce. Przeniesiono go na własną prośbę do Wapienicy. Przybył na jeden dzień do Jeleśni w charakterze prywatnym. Zapakował na furę trochę rzeczy, pozostałych po pożarze, kozę od Kaczmarczyka, którą miał dawniej obiecaną, pięć kilo mięsa od masarza, pół metra pszenicy, dar piekarza, parę drobiazgów od Pasika. Furman odjechał umiarkowanym klusem na nową placówkę policjanta. Witkowski zaś pomaszerował na pożegnalną pijatykę do szynku. Przetrzywał dzielnie Kaczmarczyka, nawet Franczaka. O dziesiątej godzinie był już tak zawiany, że z trudnością rozpoznawał ludzi. Zalał się nie na ponuro, jak dawniej, lecz na wojowniczo; zapewne był to wpływ zmiany posady. Zaczepiał obecnych, wyzywał, lżył, brał się do bitki. Haber trząsał portkami ze strachu w przecuciu awantury. Co to będzie, co to będzie? Nic nie było. Wprawdzie Witkowski chciał się przystawiać do jakiejś dziewczyny, która przyszła po papierosy, lecz, słaby już, zawadził o stołek w połowie drogi i siadł na podłodze. Rozpłynął się w gradzie grzmiących słów, którymi obrzucił zbójcekie wsie i bandyckich mieszkańców. Wreszcie kiedy wyszedł na chwilkę za karczmę, dostał po mordzie w ciemności od kogoś, kto rozumował słusznie: „To już nie nasz policjant” - i uspokoił się trochę. Przespał parę godzin u Żyda i raniutko wyjechał, nie pamiętając nocnego pyskobicia, a może wstydząc się doń przyznać. Naturalnie Turcula roztrąbiła to po całej wsi.

Do Habera w Jeleśni, do Berka w Koszarawie kłusownicy i przemytnicy zaczęli znowu jak dawniej znosić wieczorami, od tyłu, swój zakazany, a chętnie widziany towar. Znowu rozpoczęły się smyki kradzionych drzew. Wójt Franczak jak zwykle nawiedzał pilnie knajpę o każdej porze dnia. Na miejscu starej, spalonej budował w szybkim tempie nową, okazałą chałupę o czterech izbach, z pokoikiem na poddaszu. Witek-Cholera dalej prowadził handel, przybrawszy sobie za wspólnika Gałasia, który był uprzednio jego woźnicą. Teraz jeździli razem po jarmarkach i razem upijali się. Gałasia nie nazywano we wsi inaczej niż Tępy Kozik. Nie zapomniano mu tego, że podstępnie zakłuł nożem człowieka. Przebąkiwano, że to on, nie kto inny, spalił Juraszka na Głuchaczkach, ale jaki był cel tego, nikt nie potrafił odgadnąć. W każdym razie podejrzewano powszechnie, iż Gałaś stoi na usługach policji.

Posterunek w Przyborowie zlikwidowano. Natomiast zainstalowano w Koszarawie młodego przyjemnego policjanta rodem z Krakowa, o charakterystycznym nazwisku Bałagula. Sympatyczny przybysz zaczął od razu zabiegać o względy Zośki Krawczykowej. Zalecanki te nie raziły zbytnio, gdyż było wiadomo, iż młoda mężatka opuściła męża i nie ma zamiaru doń powrócić. Małżonek wyjechał na wakacyjne kursy nauczycielskie do Gdyni, starając się o przeniesienie z Koszarawy. Sołtys przyborowski nie zasypiał gruszek w popiele. Jeździł trzykrotnie do Żywca, przywożąc za każdym razem pani starościnie koszyczek pełen jaj, masła, sera i kurcząt. Urzędowo zaś zapytywał w starostwie, jak daleko postąpiła sprawa likwidacji bandyckiego przysiółka granicznego. Za trzecim razem przyjął go sam starosta; miał być tu jeszcze przez siedem tygodni. „Zanim odjadę stąd, muszę tę sprawę załatwić.” Rzec zakończyła się pomyślnie i niebawem miał nadejść z Krakowa nakaz wysiedlenia mieszkańców Głuchaczek.

Powszechne poruszenie wzbudziła historia Ćwiertniaka w Korbielowie. Młodszy brat zastrzelonego tajemniczo przed paru miesiącami służącego ze schroniska na Pilsku powiesił się w lesie któregoś deszczowego sierpniowego ranka. W kieszeni znaleziono list do żony ze słowami: „Nie wińcie o moją śmierć nikogo. Ja zastrzeliłem brata mojego, Michała Ćwiertniaka, w maju przez zazdrość o jego połowiznę”. Tak więc wyświetliła się zagadka zabójstwa starego Ćwiertniaka, o które obwiniano Jana Dziurę. Do rozpaczliwego kroku zmusiły samobójcę nie tyle wyrzuty sumienia, ile dwa listy, które otrzymał w odstępie dwóch dni pocztą od nieznanymi nadawców. Brzmiały one: „Śmierć za śmierć. Wiemy, że zastrzeliłeś brata. Jeśli do tygodnia sam nie pozbawisz się życia, zginiesz okrutną śmiercią z naszej ręki, a dom twój zostanie spalony. Masz tydzień czasu. Śmierć za śmierć”. Na dwa dni przed upływem terminu Ćwiertniak uprzedził ich zamiar.

Komendant policji powiatowej w Żywcu otrzymał odznaczenie z Warszawy. Medal

przyпинаł mu do piersi sam starosta. Przodownik Kaczmarczyk z Jeleśni był rozgoryczony, ponieważ pominięto go w tym wyróżnieniu, które przede wszystkim jego powinno było spotkać. Przecież on pierwszy zmobilizował pamiętną obławę i on właściwie ujął Janosika.

- Ale - machnął ręką z goryczą - zawsze tak jest. Przodownik wykona, komisarz podpisze. I komisarz dostanie medal.

Najciekawsze ze wszystkiego było to, że Turcula wniosła do starostwa pretensje o wypłacenie jej trzech tysięcy złotych, ponieważ, jak twierdziła, ona wykryła miejsce pobytu Janosika, przyczyniając się tym samym do ujęcia herszta. Władze jednak ustaliły, iż Janosika schwytano w pościgu policyjnym, a zatem nikt na nagrodę reflektować nie może. Zrezygnowała z pełnej premii, obniżając kolejno sumę do dwóch tysięcy, do tysiąca, później do pięciuset złotych. Kiedy pomimo to nie chciano z nią rozmawiać, żądała choćby stu złotych na wynagrodzenie jej zasług. Kazano jej zgłosić się - rzekomo poważnie, ale w istocie na drwiny, aby ich więcej w starostwie nie nachodziła - na posterunek w Jeleśni. Poszła upominać się o pieniądze do Kaczmarczyka, lecz przodownik bez ceremonii wyrzucił ją za drzwi. - Właściwie - burczał - to ja powinienem dostać nagrodę. Gdybym nie zatelefonował do Żywca i nie zorganizował obławy, guzik mielibyśmy w spodniach, a nie Janosika. Inni dostają medale za to, że nic nie robili, ja powinienem dostać pieniądze za to, co zrobiłem.

Odeszła z niczym, gorzko wyrzekając na Kaczmarczykową niewdzięczność i odzegnując się na przyszłość od wszelkiej współpracy z policją. A szkoda, bo utracono w niej cenną siłę informacyjną. Wetując sobie rozzalenie z powodu nieotrzymania premii, zabrała się ze wzmożoną gorliwością, jaką daje poczucie zemsty, do szycia butów przodownikowi jeleśniańskiemu. Ostrzegała (oczywiście w największej tajemnicy) dziewczki i kobiety, aby się nie zbliżały do Kaczmarczyka ani nie tolerowały, broń Boże, jego zalotów, bo tamtego roku zaraził się chorobą weneryczną i przez parę miesięcy jeździł co tydzień niby to do Żywca, służbowo, a w rzeczywistości do Bielska, gdzie leczył się z tej paskudnej choroby.

Z dala od plotek kłębiących się w dole mieszkała Ewa na Głuchaczkach. Nie miała żadnych interesów we wsi, żyła między lasem a polaną. Nie bała się trudnego życia, już w Tatrach przeczuwała je; życie z nim choć pełne szczęścia, będzie drogą ciernistą. Życie z nim. Znaczy to przecież właściwie: bez niego. Na jakąż karę skazała się ta dziewczyna, która zamknęła przed sobą świat, dobrowolnie wstępując w ciemny kraj samotności. Ojciec przysłał dwa listy, wzywając ją do powrotu. Odpowiedziała dopiero na drugi - odmownie. W trzecim liście zapowiedział, że jeśli córka nie wróci do domu, wydziedziczy ją. Nie odpisała i nie powróciła. Zrezygnowała ze wszystkiego dla człowieka, który nie powiedział jej nigdy, że ją

kocha, dla niedoszłego wisielca; dla kochanka nieobecnego, którego nie tylko nie ma, ale którego już nie będzie. Żyła w ekstazie wyrzeczenia nie pokazując ani krzty żalu, uległa, zapracowana, łagodna, gotowa do najmózolniejszej, upartej wegetacji.

Wieczorami Mitana opowiadał jej o swym byłym lokatorze z czasów, kiedy ten jeszcze jako Jaś z Głuchaczek zajmował do spółki ze Ślepkiem pierwszą kuchenną izbę w tym domu. Słuchała godzinami, sycąc tęsknotę nie tylko pracą wyobraźni, ale także i żywym kształtem otoczenia. Spała w łóżku Jaśka pod ścianą, dotykała z tkliwością przedmiotów, które były świadkiem jego dawnej obecności. Pasła krowy jak w Jurgowie; prała bieliznę z Mitanką, pomagała im w grabieniu siana. W niedzielę zachodził do niej Wojnar, rzadziej stary Tramek. Właśnie gdy przybyła, ukończyli żniwa. Jedno pole orkisz, dwa półka jęczmienia, kilkanaście łanów owsa.

O zachodzie słońca, przyniósłszy wodę ze studni, patrzyła na ostatki czerwieni gasnącej w głębokim łęku lesistego siodła pomiędzy Pilskiem a Lipowską. Tam gdzie ujeli Jaśka nocą policjanci, tam gdzie w mchach poczęła jego dziecko. Dlatego przeniosła się do leśnej ojczyzny kochanka, w powietrze, którym oddychał, w miejsca, gdzie spędził z nią ostatnie chwile.

Wrzesień rozpoczął się piękną pogodą. W niedzielne popołudnie siedział Wojnar na progu Tramkowej chaty, urządzając z gospodarzem.

- Niech mówi kto, co chce, ale to był człowiek! - mówił staruch. Wzrok jego wybiegł na rudofioletowe główki kapusty pod chałupą.

- Ależ on bił wójta, co się zowie! Ile ten Franczak nazbierał od niego! Prał w niego, czym popadło: pięścią, stołkiem, szklanką.

- Chciał swobody, dostał kryminał.

- Ale to nic - otrząsnął się Wojnar. - Idziemy do Polski ludowej. Zobaczycie, że dojdziemy.

- Ja już nie dojdę - chlipnął nosem kuternoga. - Kiedy to będzie?

Pogrzebał zapałką w fajce, zapalił jeszcze raz, długo z różnych stron przytykając płomień do na pół spopielalej substancji.

- Kiedy się Ewa do was przenosi? - zapytał Wojnar.

- W przyszłym tygodniu.

- Będzie jej tu dobrze u was. Uważajcie na nią, Tramek, jak na własną córkę. Gdyby czegoś było potrzeba, powiedzcie mi, ja dam pieniądze. Kobieta, wiecie, gdy jest w takim stanie, ma rozmaite zachcenia. Pamiętajcie, że to dziewczyna Janosikowa. I że jego dziecko nosi w sobie.

Po niecałym miesiącu pobytu na Głuchaczkach Ewa przeprowadziła się na mieszkanie do starych Tramków. Mieszkańcy śródleśnej polany otrzymali bowiem od władz nakaz zlikwidowania swoich gospodarstw i opuszczenia domostw w terminie do pół roku. Wszystkim wysiedlonym rodzinom ofiarowano w zamian sute gospodarstwa na Pomorzu z gotowym bezpłatnym materiałem budulcowym i z zapewnioną pomocą kredytową na dogodnych warunkach. Pojechało dwóch Maziarzów, ojciec i syn, na przewiady. Powrócili z Pomorza, chwając sobie jakość gleby i bogactwo pól. W woreczku przywieźli próbkę ziemi, którą pokazywali wszystkim; podobała się powszechnie. Rozmazywano ją w palcach.

- Tam na dolinach wszystko lepsze. Tylko u nas takie dziadostwo.

Wszyscy mieszkańcy Głuchaczek zgodzili się chętnie na przeniesienie. Agnieszka wyszła nareszcie za mąż za Bronka i także wybierała się na Pomorze. Ślub ich odbył się w ostatnią niedzielę lipca. Przestały ją boleć zęby, była w dobrym humorze. Przeżywała swój szczęśliwy miodowy miesiąc. Piękne słoneczne lato rozkiełznało jej powściągliwą naturę, wynagradzając hojnie wiernego przyjaciela za czekanie. Tak więc Broniek doczeka się nareszcie nowej chałupy na Pomorzu. Władek Juraszek zrobił wszystkim niespodziankę, wianując siostrę. Spłacił jej połowę domu, choć obejście im spłonęło. Dziwiono się temu powszechnie, bo jeszcze nie tak dawno kłócił się zawzięcie z Agnieszką o to, kto ma zamieszkać w ojcowskim domu. Wmieszała się w to Turcula i zaraz posłyszano na ten temat rozmaite wersje: że pochowane miał duże zarobki z przemytu i że był opłacany za usługi oddawane policji. Inni prawili, że w ogóle rola Władka Juraszka w pożarze domu była podejrzana. Ostatnio dał nowe poszycie na strzechę, wstawił nową powałę nad stajnią, podwyższając z tego tytułu asekurację. Coraz głośniej słyszało się również o tym, że policja maczała palce w tym pożarze, czego najlepszym dowodem jest pomawianie o ten czyn Gałasia z Sopotni, o którym wszak wiadano, że był konfidentem policji od dawna. Sam Władek przenosił się również na Pomorze. I on wziął ślub w sierpniu z Walerką. Było to już, po prawdzie, ostatnie dzwonicie, narzeczona bowiem była w szóstym miesiącu ciąży.

Głuchaczkowcy nie czekali nawet terminu wyznaczonego im do opuszczenia domów. Już z końcem września niektórzy z nich wyjeżdżali. Sprzedali drugie siano oraz ziemniaki na zagonach, chałupy oszacowali i spieniężyli, częściowo na budulec, częściowo na opał. Sołtys Kamieniecki zjawił się na horyzoncie jak anioł i odegrał z dawna przygotowaną rolę dobroczyńcy wobec wysiedleńców, skupując od nich pola i łąki za bezcen, ponieważ potrzeba im było gotówki.

W ciągu września całą polanę Głuchaczek przepisał urząd hipoteczny żywiecki na własność Jakuba Kamienieckiego. Tak sprytny sołtys dzięki pomocy Witkowskiego

zrealizował swój plan. I tak władze w myśl śmiałej przepowiedni przyborowskiego policjanta rozpedziły Głuchaczki na cztery wiatry.

Jędrzek Radoń, osądzony w Żywcu jeszcze przed hetmanem zarobił osiem lat więzienia za udział w napadach bandyckich i przewieziony został do więzienia w Wiśniczu.

Życie Przyborowa i okolicy toczyło się dalej swoim zwykłym trybem. Pod chałupą starego Tramka siedziała Ewa mrużąc oczy w mocnym słońcu, poglądając na południe zamknięte regularną kopułą Pilska.

W tyle za węglem chaty ścieżką przemknęła ku jeleśniańskiej drodze Juraszkowa Walerka. Obnosiła z dumą swój wyduęty brzuch, jakby chcąc się pochwalić przed zawistnymi rówieśnikami swoim, wprawdzie nieco przedwczesnym, lecz zalegalizowanym nabytkiem. Już nie służyła u Pasika. Kupowała sobie teraz w jego piekarni biały chleb, jedząc żarłocznie co chwilę.

- Nie dziwota - usprawiedliwiała ją Turcula. - Przecież ich teraz dwoje je, nie ona jedna. Ma kogo tam karmić w środku - wskazywała ostrym podbródkiem miejsce zamieszkania niewiadomego lokatora.

Spod Wołkowej chałupy wynurzył się Juraszek-Judaszek. Mało kto obecnie przyczepiał się do niego; na pół obawiano się go, na pół gardzono jego towarzystwem. Wiedział o tym, splunął z pogardą na głupotę ludzką. - Mam ich wszystkich w dupie - mruknął. - I tak za tydzień stąd wyjadę.

Na drodze małżonkowie spotkali się i podążyli razem ku Jeleśni. Władek patrzył na żonę i przez chwilę dziwił się, jak mógł ją poślubić. Nawet w miodowym miesiącu wydała mu się brzydka. Czyż nie powiedziała mu raz Agnieszka, że go chyba ta dziewczka zaczarowała? Twarz spocona, czarne włosy przylepiły się do czoła. Cięża uczyniła jej małą, krępą postać jeszcze grubszą i wyraźnie niezgrabną. Kroczyła typowym dla brzemiennych chodem gęsi. Ale za to ładnie ubrana, pocieszył się mąż. Dziewki gubią za nią oczy z zazdrości. I ma tęgi łeb do gospodarstwa i do interesu. Koniecznie muszą założyć sklep na Pomorzu. To zgodne pragnienie obojga.

Spadł krótki, silny deszcz. Walerka weszła z mężem do sklepu w rynku, ucinając pogawędkę ze swym byłym chlebobawcą, niestarym jeszcze człowiekiem. Władek patrzył podejrzliwie na kupca, nie podobały mu się uśmiechy obojga.

Otworzył drzwi do wyjścia, splunął na schodki; deszcz ustawał, z dachu kapąły resztki ulewy. „Psiakrew, dobrze, że się wynoszę z tej Jeleśni” - pomyślał z ulgą. Niebawem odsłoniły się okoliczne góry i powróciła ciepła pogoda.

Pod sam zmierzch przyszedł Wojnar w odwiedziny do Tramka. Ewa Jeleniówna

zadomowiła się już u starych; właśnie obrządzała w stajni krowę. Gość skręcił sobie papierosa, kuternoga odłożył siekiere, którą pobijał obręcz na cebrzyku, napelnił fajkę, zakurzyli. Tramkowa obierała ziemniaki, Tramek chlipnął nosem i rozpoczął rozmowę o Janosiku, to nieśmiertelny temat. Aż Wojnar zniecierpliwiony machnął ręką: - Nie mówmy już o tym. Ewa może nadejść. - Lecz starzec nie dał za wygraną.

- Nie radziliśmy mu, aby poszedł juhasować w Orawę? Pies by go nie wyśledził. Albo żeby się z owcami poredykał w Tatry? Nie słuchał.

- Nie słuchał.

Znowu, jak tyle razy, Tramek rozplakał się na wspomnienie swojego dobroczyńcy, przez którego stracił najulubieńszego syna. Wojnar musiał go gniewnie uspokajać. Aby zmienić dyskusję, zaczął z innej beczki:

- Każą nam płoty malować. Psiakrew, to najważniejsze dla Polski! Nie lepiej samoloty budować? A Niemcy zbroją się na gwałt. Na kogo, jak myślicie?

- Ja wiem? Jak Szwaby, to chyba na nas.

- Na pewno na nas. Poczekajcie, wspomnicie moje słowa. Złe będzie. Dużo krwi się poleje.

Ściemniło się. Gdzieś nad Babią łupały pioruny. Błyskawice rozdzierały raz po raz sinołowiane niebo. Ewa rozpalala w piecu. Zawsze późno jadali wieczerzę, jak to na wsi. Gospodarz odprowadził gościa do drzwi, wyszedł przed próg. - Jutro będzie ładnie - zawyrokował. Wojnar oddalał się wolnym, kołyszącym się krokiem, aż rozplynał się wśród krzywych, karłowatych śliw Tramkowego sadu.

Zośka Masłowska, od kilku miesięcy niefortunna pani Krawczykowa, wyszła w południe z chałupy swej matki, wędrując w las pod Mędralową. Powietrzem niesło się rozdrżane gorąco.

Zośka nie ma na palcu obrączki. Wzięła dziś pierścień z czarnym kamieniem, podarunek Janosika. Idzie wyrębem, którym szli oboje tyle razy, w którym zbierali jeżyny. Na tym pniu siedzieli. W tym miejscu wskoczył na konia. Tu się całowali. Wszystko, wszystko pamięta jak dziś. Nieraz, odkąd przeniosła się na górę do matki, odwiedzała owe miejsca rozkosznych i bolesnych wspomnień.

Weszła na polanę. Nazywano ją Sarnią. Tę polanę oboje z Jaśkiem najbardziej lubili. Położyła się na trawie, uczuła na łopatkach nierówności ziemi. Przyłgnęła do rozgrzanego ciepła. Spojrzała: wzrok wypełniało jej niebo bez chmurki, zachodzące ciemną niebieskością jak rozwodnionym atramentem. Przymknęła powieki i natychmiast zamiast nieba wyrosła

postać Jaśka. Jakaż to melodia, którą gwizdał? Nie mogła sobie przypomnieć. Ach, prawda, to ta smutna piosenka, którą tak zawsze lubił:

*Śpiewam sobie, śpiewam, łzami się oblewam,
wszystko zaś dlatego, bo się na świat gniewam.*

Leżała długo, ważąc w słońcu decyzję. Nareszcie wstała uspokojona.

„Pójdę zobaczyć tę dziewczynę, jaka jest.”

Od wielu dni miała głowę przepełnioną tą myślą. Oczywiście od początku wiedziała o Ewie, ona pierwsza jeszcze przed Turculą, zanim Jelenianka zdążyła się przeprowadzić z górnej polany do Tranków. Nienawidziła jej i nie chciała jej widzieć. Chwilami znów gotowa była wszystko uczynić, byle tylko ją zobaczyć. Miotły nią najsprzeczniesze uczucia. Wybierała się wielokrotnie do swej rywalki na Głuchaczki pod pozorem załatwienia jakiegoś głupstwa u Mitanki. Za każdym razem wstrzymywała ją od tego kroku złość. Przecież ciekawość zwyciężyła. Dziś nieodwołalnie postanowiła pójść do niej. Właśnie po drodze pragnęła odnowić najdroższe wspomnienia, siłę i odwagę zapożyczając jakby z miejsc nawiedzonych dawną obecnością kochanka.

„Pójdę zobaczyć tę dziewczynę.”

Uważnie oglądała jej strome piersi, ich ściśłą, wysoką budowę, grę nieomylną ramion, wysmukłe długie nogi, w chodzie widocznie ruchome aż po kość biodrową; kobietę zbudowaną mocno i doskonale. Z dumą pokazała Ewie pierścień z czarnym kamieniem na palcu.

- Zanim was poznał, mnie miłował.

Tamta nie zdziwiła się. Popatrzyła miękko na czarny kamień, wyrźnięty w tajemniczy hieroglif, powiedziała spokojnie:

- Wiem.

- I ode mnie do was odszedł. Kiedyśmy się tu ostatni raz widzieli, pod Mędralową, powiedział mi, że tylko was kocha.

Brązowe oczy Ewy przeszły w zieleń, rozświeciły się. - Tak powiedział?

Zalopotało w niej serce uczuciem prawdziwego szczęścia. To tak rzadko bywa. Zośka kłamała dalej:

- Kazał mi przyjść do was, pierścień z kamieniem, który od niego mam, pokazać wam na hasło i powiedzieć, że tylko was kocha.

Ewa nie odpowiedziała nic, wpatrywała się przez okno w lasy Pilska. Zośka lustrowała ją w dalszym ciągu. Twarz nie bardzo się jej spodobała. Białe wyniosłe czoło. Struga

kasztanowych włosów. Nos wąski, długi, ostro zarysowany, o cienkich ruchliwych nozdrzach. Wargi pełne, czerwone, zawsze zamknięte, oczy jasnobrązowe, polatujące zielenią. I od lewej brwi ku skroni idący dziwny siny kwiatek; jakby siniec od nabiegłej krwi po uderzeniu się o kamień.

- Gdybyście czego potrzebowali, jakiej pomocy, udzielę wam. Dajcie mi znać. Nazywam się Zośka Masłowska, teraz po mężu Krawczykowa. Mieszkam przy matce w Cichem Koszarawskim.

- Dziękuję wam. Mam wszystko, czego mi trzeba.

Czy to prawda, że jest w ciąży? Nie trafiła tu chyba z Jurgowa na służbę do Tramków: nikt tego jej nie wmówi. Podobno to córka bogacza i jedynaczka. Zośka poddawała pilnie egzaminowi jej brzuch pod zieloną sukienką. Nic nie widać. Mówią jednak, że ma mieć od niego dziecko. Może to plotki? Do pięciu miesięcy ciążę na oko rozpoznać niełatwo. Młoda mężatka ogarnęła Ewę jeszcze raz badawczym wzrokiem. Właściwie niska, ale nogi długie, piersi wysoko osadzone. Co on w niej takiego zobaczył? Twarz właściwie nieładna. Owszem, dziewczyna młoda, zgrabna, lecz mała. I pod okiem z boku ma jakąś bliznę po uderzeniu, przecież to oszpecona twarz.

Z tą dziewczyną ma mieć Janosik dziecko. Odwróciła od niej wzrok nabrzmiały bólem. I obudziła się w niej nienawiść ogromna do tych piersi, do nóg, do bioder, do jej twarzy bladej, prawie miejskiej. I do tego sinego kwiatka na lewej skroni.

Odeszła. Ewa poczuła pod jej nienawistnym spojrzeniem drgnienie, jakby ukłucie szpilką w brzuch. To pierwsze ruchy żywego płodu; sygnał dziecka. Drgnienia ostre jak ból.

Znowu nadchodziły mdłości. Zmagająca się z nimi bohatersko. Była raz w kościele jeleśniańskim i nie powtórzyła więcej tej przechadzki. Jak za każdą kobietą obcą, a w dodatku ciężarną - pobiegły za nią oczy zaciekawionej płci żeńskiej. Nawet w przybytku modlitwy gryzł ją podniecony wzrok bab. One tak wyglądały albo tak będą wyglądały, albo niestety już tego nie dostąpią. Niosła się chłodna, wyniosła, eskortowana milczącą niechęcią. Gmina zbiorowa Jeleśnia wyznawała ustaloną moralność, toteż odwróciła się ze wstrętem od obcej dziewczyny. Cała okolica zgodnie obrzuciła ją błotem. Oto idzie kochanka niedoszłego wisielca z bandyckim pomiotem w łonie. Można było sobie do woli na niej używać. Wszak nie istnieje świętość, której by się nie dało zaszargać. O jej kochanku także można by powiedzieć: bękart, który za matkę miał garbatą dziewczkę, a za ojca wariata. Synalek godny rodziców. Ale pamięć Janosika musiała być nieskalana, więc tym bardziej należy zozydzić dziewczkę. Mówiono o niej, że jest przewrotna jak diablica; sam czart w anielskiej postaci. Tylko w twarzy, napiętnowanej spokojnym smutkiem, widniał błysk godności, jakby znak

dumy. Ta przybłąda, która się tu wcisnęła ze świata z nieprawym dzieckiem, śmie mieć jakąś dumę?

Męczył ją ten tryb życia. Jak zwykle kobietę w jej stanie nawiedzały ją falami bóle, zawroty głowy, bicie serca, dziwaczne pragnienia, łagodna rezygnacja, gwałtowne wybuchy, skłonność do płaczu. Cierpiała; cierpiała więcej niż każda przyszła matka. Nie miała nic do roboty całymi dniami. Świat mężczyzn zdawał się nie istnieć dla niej. Serce jej było przy Jaśku, na Świętym Krzyżu. Chwilami, jak w każdej naturze młodej i zmiennej, buntowało się w niej wszystko. Jakie to podle, że jej chłopiec oderwany stąd daleko i zamknięty w więzieniu niby w grobie. Na zawsze, to znaczy do śmierci. Czyli tak prawie, jakby już umarł. I ona żyje teraz tak, jak gdyby była rzeczywistą wdową. Sama sobie nałożyła te pęta. Więc już skończyło się dla niej życie szumne, życie panny na wydaniu, pełne rozkosznych wrażeń, nadziei, przygód, niespodzianek? Najdroższy nie umarł wprawdzie, lecz brakło go przy boku kobiety w najtrudniejszych chwilach oczekiwania. Już nie dla niej zabawy, festyny, tańce, wesela, śmiechy z parobkami w niedziele pod kościołem, spotkania w letnie wieczory między chałupami. Dziecko Jaśkowe rusza się, żyje w jej łonie. Więc już Ewa podwójnie nie należy do kręgu dziewcząt uśmiechniętych, pragnących rozmów z mężczyznami, łaknących spojrzeń i półsłówek. Podwójnie nie jest dziewczyną: jako wdowa i jako matka. Przecież ma dopiero osiemnaście lat, nie jest związana ślubem kościelnym ani nawet słowem z Jaśkiem. Czy powiedział kiedy, że ją kocha? A dziecko? Ile dziewczyńskich dzieci? Ile się ich pozbyło? Ile wychodziło za mąż później! Ile żyło w przyjemnych flirtach na prawo i na lewo! Jakie to wszystko gorzkie i smutne. Przecież ona nie zaznała życia, a tak garnęła się do niego.

Przygotowywała paczkę dla Jaśka do więzienia. Najpierw napierała się jechać z nią sama. Później proponowała, aby jechali oboje z Wojnarem. Przyjaciel więźnia nie zgodził się na to.

- Drugim razem pojedziesz ze mną, po połogu. Teraz nie. Musisz uważać na siebie i na dziecko.

Spoglądała orzechowymi oczami pod Cyl, gdzie utopione w lasach, niewidoczne stąd, spały opuszczone Głuchaczki. Tak minęła ich sława. Umarły, zarosły trawą. Zmieciono z nich ludzkie osiedle, niebawem nawiezie się je omastą pod przyszłe sianożęcie. Pasza z sześciorogowej łąki warta jest więcej od Głuchaczkowej sławy. Wszystko niech idzie swoją drogą. Sława Janosikowi, a trawa niech rośnie sołtysowi Kamienieckiemu. Na przyszłe lato wyrośnie wysoka na spulchnionej glebie. Sarny będą się na niej paść o świtanu.

Podobnie, jak to się stało po raz pierwszy po wizycie Zośki Krawczykowej, Ewa odczuła boleśnie ruchy dziecka w łonie, połączone z dziwną mdłością w ciele. Dziecko

niepokoiło się, domagając się natarczywie wyzwolenia. Niebo pod Cylem wisiało szare, brudne, widnokrąg skurczył się, lasy omgłiły się sino, ziąb panował wilgotny, nieznośny. Smutek i radość na przemian opanowywały Ewę. Czego chce od niej ojciec? Aby wracała do Franka Matogi ofiarować mu na ślubny podarek maleństwo pochodzące od kogoś innego? Ze zdziwieniem oglądała siebie, nie znajdując zmiany w ciele. Ale piersi zaczynały się powoli wypełniać. Wkrótce potężna tajemnica wnętrza rozwali, zniekształci, rozedmie to jędrne, dumne ciało. Szła wyprawkę dla maleństwa. Jakie to będzie dzieciątko? Czy upodobni się do ojca? Czy będzie syn, czy córka? Czy otrzyma szare oczy ojca, czy brązowe matki? Włosy - pomyślała - będą ciemnoblond, nos ostry, twarz ściągła. Myślała o tym coraz częściej. Tramkowie odnosili się do niej życzliwie. Podczas gdy opinia węszyła nadal fałsz i ohydę w jurgowskiej dziewczynie, oni jedni wiedzieli, że była prosta i bez skazy. Przyzwyczaili się do niej jak do domownika i lubili ją bardziej od własnej synowej. Dała się lubić. Nie była marzycielką. Kochała nie zbója, lecz ojca swojego dziecka. Najbliższy był jej wówczas na sali sądowej, obdarty z legendy, ściągnięty brutalnie na ziemię z wyżyn niedostępności i grozy. Dopiero wtedy, patrząc na udręczony łachman pomiędzy dwiema lufami karabinów, zrozumiała, jak bardzo mu była potrzebna.

Święty Krzyż. Jan Dziura otrzymał samotną celę na drugim piętrze, z oknem zwróconym na południe. Więzienie jak zamek warowny wznosiło się na szczycie górskiego pasma. Naokoło chwiały się lasy jodłowe.

„Tobie jest pisana śmierć wysoko.” Teraz rozumie. Myślał, że to dotyczy szubienicy; także byłoby prawdą. Ominął go stryżek, ale i w tym wypadku nie pomyliła się Cyganka w Czorszynie. W górach zbijał, w górach umrze. Tu przecież na mocy legalnego wyroku ma dokonać życia w pokucie i w cierpieniu. Na próżno wywoływał w oknie przed sobą zjawę swoich gór. Leżą na południowy zachód od tego zamku. Stąd do Krakowa ciągnie się dziesiątkami kilometrów równina, a za Krakowem ziemia dopiero podnosi się ku Podhalu.

Czasem w celi rozmawiał z dozorcą, którego rubaszność przypominała mu nieco Wojtka Rzezawę. Dozorca nie zniżał się do rozmów z żadnym z więźniów. Ten tylko, o którego krwawej sławie tyle się nasłuchał, stanowił przedmiot jego ciekawości. Jasiek jednak, nieczuły na to wyróżnienie, zamknął się w milczeniu i w myślach. Jedynie rozmowa o dziecku przywracała więźniowi żywość.

- Tak, będzie miała dziecko - zwierzał się dozorcę po paru dniach, kiedy otrząsnął się z pierwszej depresji. - W ostatnim tygodniu, kiedy mi już było bardzo gorąco i policja deptała mi po piętach, pomyślałem sobie, że jeśli będę miał dziecko, ono mnie odwróci od tego życia.

Tak mi mówił policjant, który się na mnie zawziął: „Czemuś ty się nie ożenił? Życie twoje wyglądałoby inaczej”. Myślałem: zgłoszę się dobrowolnie do sędziego, powiem mu: „Sądźcie mnie, aby dziecko nie miało ojca bandyty”. Przesiedzę w więzieniu i wyjdę wolny, zaczniemy nowe życie, przy dziecku.

- He, he! Urwałeś się spod stryczka i takie rzeczy ci w głowie.

- Bo ta kobieta jest inna od wszystkich. A miałem kilka dziewcząt.

- Najmilsza, póki cię nie zdradzi. Co ty myślisz? Jak ty tu siedzisz, to ona pości? Nie bądź głupi. Kobieta musi żyć. Nie ten, to inny; chłopca musi mieć. Każda jest dla nas jedyna, dopóki nas nie rzuci.

- Może. Ale mi da dziecko. Moje dziecko. Jak długo trzeba na nie czekać?

- To zależy - kpiarz udał, iż nie rozumie westchnienia więźnia. - Matka i dziecko czekają dziewięć miesięcy. A ty się chyba nie doczekasz. Tyś przecież dożywotni. Chyba jakby przyszła amnestia albo rewizja procesu. Ale to się prawie nigdy nie zdarza.

Jasiek umilkł. Dozorca poprawił się: - To znaczy, możesz się z dzieckiem widzieć. Można cię odwiedzać w więzieniu.

Po paru takich rozmowach młodzieniec popadł znowu w apatię i już dozorczy nie udało się go z niej wyciągnąć. Znowu godzinami stał pod oknem, zapatrzony w ławę lasów, na których kładło się ciepłe słońce jesieni. Długo stał w celi, jeszcze dłużej chodził. Kiedy się przekonał, że stojąc - więcej niż przedtem nie zobaczy, a chodząc - wiele nie wychodzi, położył się. Przyzwyczajał się do życia w tym gmachu. I do śmierci.

W niedzielę śpiewali więźniowie pieśni religijne w kaplicy. Jakby kawałek wolności nawiedzał ich w śpiewie. Codzienny spacer wyglądał żałośnie. Stado zgarbionych szarozółtych niewolników parami krążyło dokoła podwórza, jak zwierzęta w klatce pod czujnym okiem dozorczy. Za miesiąc miał pójść Jasiek do pracy w warsztacie wikliniarskim w obrębie więzienia. Po przechadzce wracał do celi, rzucając się ku oknu, za którym drgało białosrebrne słońce jesieni. W tym wycinku powietrznego światła na przekór wszelkim prawom fizycznym ukazywał się niezmiennie oczom Jana Dziury ten sam pejzaż: ośnieżony Hawrań, Wysoki Beskid, ziemia osierocona, lasy bez zbójników.

Najtragiczniejsze były noce. Janosik nie mógł zasnąć od czterech miesięcy. Czy to on powiedział raz Jeleniowi w Jurgowie: „Spać to znaczy marnować życie. Wyśpię się, jak umrę”? Złowieszcza ironia. Ach, spać. Choć jedną noc przespać. W dzień można by jeszcze wytrzymać. Palcami czesać włosy, wypatrywać ptaki przez kraty, liczyć wierzchołki drzew za murem, odczytywać napisy w celi, pisać samemu po ścianach. Ale w nocy? Człowiek tylko musi myśleć i myśleć. To znaczy umierać bez końca.

Wszystko to nie miało sensu. Jedynie to, co znajdowało się po drugiej stronie, poza kratami - miało sens. Kiedy błyskało światło dzienne, Puszcza Jodłowa w dole ożywała. Kraj rozpościerający się za oknem atakował wszystkie zmysły, podniecał wyobraźnię. Wizje szczytów i dolin, woń nie wydeptanych szlaków, szum strumieni i drzew zaludniały celę. „Rozumiem, to jest kara. Oderwać mnie od wszystkiego, co było moje. Tak już umrę.”

Czasem nawoływał go z oddali głos Ewy: „Jaśku! Jestem przy tobie!” Innym razem widział przed sobą matkę, której przecież nie znał. Ukazywała mu się z dziwną wyrazistością garbuska, nad podziw młoda, z twarzą stężoną od bólu i wstydu, z oczyma przepastnie głębokimi. Nieraz budził go z odrętwienia płacz dziecięcy. „Czy moje dziecko już się narodziło?” - Zaczął liczyć. Ewa będzie rodziła w styczniu lub w lutym. Dziecko urodzi się w tym samym okresie, co ojciec: najostrożniejszą zimą.

Wstaje, podchodzi, jak tyle razy, ku oknu, ku kratom. Wpiera wzrok w ciemność. Puszcza Jodłowa wiała sucho, jedwabiście. Las, noc, śpiewny poszept płynący z daleka drążyły głębię jego wspomnień. I więzień uczył wyraźnie, jak serce jego wydostaje się z piersi i wędruje na południe Puszczą Jodłową ponad piachy, ponad Kraków, ponad fałdzyste, odziane zielenią podgórze, w knieje Wysokiego Beskidu, w dzikie skały Kotlarczysk, pod dwie strzaskane jodły Gajdówki, w Cyłońskie Uwrocie, w podziemne kryjówki, w falujące morze boru. W tym samym czasie serce Ewy opuszczało ciężarne ciało, idąc w jesienną, chmurną ciemność na północ przez zabłocone ścieżyny Przyborowa, przez lesiste wzgórza pod Kraków, przez piachy i równie w Puszcę Jodłową, ku Góróm Świętokrzyskim, tłukło się o mury więzienne.

Łaska prezydenta zamieniła skazańcowi stryczek na dożywotnie więzienie. Podobno najwyżej trzy lata przetrzymują lokatorzy tego najsurowszego zakładu karnego w kraju. Nie znalazł się jeszcze Herkules, którego by nie zmożyły trzy lata potwornego życia w grubych, warownych lochach. Trzy lata, czyli trzydzieści sześć miesięcy, czyli ponad tysiąc dni i ponad tysiąc nocy rozpaczy, nudy, zimna, obłędu, wilgoci, powolnego konania. A Janosik nie był Herkulesem.

- Nie wytrzyma roku - informował lekarz więzienny zarządcę fortecznych kazamat po zbadaniu Jana Dziury. Więźniów długoterminowych zawsze zwykło się poddawać na początku badaniu lekarskiemu. - Jeśli w ciągu kilkunastu miesięcy nie wyjedzie na tamten świat, to będzie cud.

A cuda nie zdarzają się w więzieniach. - Zdeklarowany gruźlik - ciągnął dalej lekarz w kancelarii. - Wybitne zmiany w obu płucach, stan podgorączkowy, tętno słabe, skłonność do

anemii, neuropatia w wysokim stopniu.

- Przecież go nie wyślę na urlop zdrowotny do Krynicy. Więzienie nie jest hotelem dla rekonwalescentów - mówił naczelnik.

- Dajcie mu lepszy wikt. Więcej przechadzek po świeżym powietrzu. Jakąś lekką pracę w ogrodzie. To wszystko, co możecie zrobić. Długo nie pociągnie.

Naczelnik więzienia polecił poprawić jedzenie dożywotniemu lokatorowi. A jeśli spleta figla doktorowi i przeżyje w tej celi obu, lekarza i dyrektora lokalu? Nie ma przecież jeszcze dwudziestki, a oni są starszymi panami po pięćdziesiątce. Dożywotni lokator nie tknął jednak ani połowy pożywienia. Godzinami stał przy oknie, utkwivszy oczy w kwadracie żywego powietrza, bezsensownie pokratowanego.

- Chory jesteś? - pytał dozorca.

- Nie. Tylko mi oddech dusi na nizinach.

- Tu przecież góry.

- Co za góry! To nie to, co tam - więzień wskazuje na południe.

- Trudno, w ciupie nie siedzi się dla przyjemności ani dla zdrowia.

Jasiek popadał w coraz głębszą depresję. Co robić z wolnym czasem? Czy w więzieniu nawet czas może być wolny? Czy przy pleceniu koszyków nie myśli się o niczym? Dni jeszcze by można ścierpieć, lecz noce!

Prawie co noc nachylała się nad nim Ewa. Wizja jej raz po raz spływała nad jego barłóg. Unosiła się w myślach Jaska, uwolniona z ciała. Kto wie, może śniło mu się to wszystko: że żył w górach, że kradł, że podpalał? I ktoś go zbudzi niebawem: „Chodź do roboty na tartak albo potańczyć na wesele”. Wizje były trawiące i bolesne. Rozprzegał się cały w napiętej, rozigranej fantazji. Jaka nędzniejsza może być pościel dla marzeń więźnia, jeśli nie barłóg ze słomą w nagim, odrapanym czworościanie celi, zamkniętym kratą i rygłem żelaznym? Przypomniwał sobie Wojnara i Banacha, nocne rozmowy, wiedzione półgłosem przy zakopconej lampie naftowej. W sieni śmierdziały kury, smród ich bił się z wyziewem przekisłej kapusty. Od stajni niosła się ostra woń gnoju. Cały ten spisek ludowców - jakże wydaje się dziś z odległości naiwny i śmieszny.

Wstrząsnął nim suchy kaszel, targał ramionami przez chwilę. To od uporczywej, zimnej słyty. Zapadła twarz, cera przybierała niezdrową barwę żółtawobłedego papieru. Oczy, podkrążone od bezsenności, zachowały swój płomień, lecz zmarszczki na czole nadawały obliczu starczy, przygnębiający wygląd. Ściany przygniatały go, nic nie płynęło z nich poza słowami wyroku: „Cierpisz za karę. Nie zliczysz dni swojej pokuty. Oka nie zmrużysz w nocy do śmierci”. Na próżno rozglądał się za narzędziem, którym mógłby sobie

śmierć zadać. Pewnego dnia wpadło mu na myśl: gdy przyniosą obiad, łyżką można by rozbić szybę przez gęstą kratę, zebrać parę odłamków szkła, poderznąć sobie gardło lub żyły. Ale tak odeszła go ochota do jakiegokolwiek czynu, że ta robota wydała mu się nadludzkim wysiłkiem. Przypatrzwszy się bliżej, pokiwał głową. Nie ma tak długiej łyżki, aby nią dostać do szyby. Musiałby być pogrzebacz.

„Jak długo tu pociągną?” - zastanawiał się. Miał nieodparte przeczucie, iż koniec jego się zbliża. Cieszył się z tego, że pozbywa się udręki cielesnej; że wstąpi na przeciwny brzeg bez utrapień, w najdoskonalszej postaci: w marzeniach. Marzeniami okupywał egzystencję więziennego żywota. Chyba to nie jest gruźlica, którą rozsiewa specyficzny prątek, ani schorzenie krwi, którą zatrują nieznane chemiczne substancje. Tajemnicza choroba wżerała się jednocześnie w tkanki, w soki ustrojowe, w świadomość. Tego się nie da wyleczyć. Więźniowie długoterminowi nie przetrzymują ciężkiego więzienia dłużej nad trzy lata; umierają. I on już zdążył się o tym dowiedzieć. Z czego umierają? Z reumatyzmu, z suchot, z zapalenia płuc, z choroby stawów, z nostalgii, z samotności, z obłąkania. Przez okratowane okno spoglądał z drugiego piętra na dziedziniec.

Dojrzał w goryczy więziennych rozmyślań. Wszystko, co robił, nie miało sensu. A więc nie był mścicielem ludu, stał się egzekutorem osobistych porachunków z Witkowskim i Franczakiem. Widział tylko w opłotkach świństwa gajowych i sołtysów. Witkowski nie był przyczyną, lecz konsekwencją; należy walczyć ze źródłem zła, nie ze skutkami. I to nie przy pomocy anarchicznego jednostkowego zrywu, lecz poprzez zbiorowy, zorganizowany ruch. Za późno uświadomił to sobie, za późno. Wojnar mówił mu od początku, ale nie usłuchał go w zapalczywości. „Na kim ty się mścisz? Na policjancie? Patrzysz za blisko, nie widzisz, co jest dalej. Chodź z nami, będziemy prowadzić walkę społeczną”. A kiedy już klamka zapadła - Wojnar chciał ocalić jego młode życie, składając prywatną zemstę młodzieńca na ołtarzu ideowego buntu. Ten człowiek najbardziej go rozumiał.

Któregoś dnia, oparty rękami o kraty, wpatrzony w łunę zachodu, zwałił się z nóg na podłogę. Dzień był grudniowy, minęły trzy tygodnie od wizyty Wojnara. Wychudł przeraźliwie, tylko źrenice płonęły przepastnie, aż niesamowicie.

Nie wiedzieli, co z nim zrobić. Do lekarza, do szpitala? Od czego to zemdlenie? Z serca, z żołądka, z krwi, z płuc? Nigdy się na nic nie skarżył, nigdy się nie meldował jako chory. Zaprawdę, teraz, kiedy odarto go z wszystkiego, ostał się im w rękach kłopotliwy strzępek mięśni.

Hyr Janosików dopalał się w lasach Wysokiego Beskidu, nie wtrącono go do więzienia, dogasał - poza wszelką logiką - w wyobraźni ludu. Zbój, który chciał być świętym

- dla kogo? Dla pastuchów i drwali. Któż zbadał cudowny a niedorzeczny mechanizm legendy? W celi więziennej przeżuwał swą klęskę młodzieniec, któremu się wydało w zaślepieniu, że jest archaniołem zemsty społecznej, a który był zwykłym zbrojcem. Przegrany, przegrany, przegrany. Komu z nas nie wydaje się, że jest lepszy w istocie, niż wskazują na to jego postępy? Można się mylić w myślach, gorzej jest błędzić w uczynkach.

Wpieklowstapienie

Rozdział szósty

Jasne, przezroczyście skrzydła niemieckich bombowców błyszcząły na niebieskim zenicie jak srebrzyste lotki owadów. Aparaty oślepiły wzrok błyskami nasłonecznionych lśnień. Można by powiedzieć, że to one same właśnie jak słońca promieniały nad omdlałą, przestraszoną ziemią. Tak cywilizacja świeciła nad Polską owego zbyt gorącego lata, przełomu lata i jesieni, najsmutniejszego września ostatnich stu lat,

Od tych jaśniejących słońc w powietrzu, którymi napastnik naznaczył i opromienił nieprzyjacielskie niebo, szła na wszystko w dole zgroza i panika. Wszystko, co żyło, uciekało w rowy, w krzaki, pod miedze.

Klimat nie był tego miesiąca przychylny Polakom. Ani razu błękit nie zasnuł się chmurami, ani razu nie spadł deszcz. Słońce prażyło bez litości, sklepienie niebios trwało obnażone bezwstydnie, jak gdyby i górne siły opuściły ten kraj zdany na cierpienie. „Do ostatniej kropli krwi”, deklamowały jeszcze niedawno głośniki. „Uwaga, uwaga, nadchodzi”, jęczało radio złowróźnie i tajemniczo.

Nadszedł. Upał święcił swój morderczy triumf, nieczuły na huk dwustukilogramowych bomb rozpruwających ziemię pozdrowieniem niemieckiej wyższości.

Ci, którzy szli od pięciu dni i pięciu nocy zapyłoną drogą wiodącą z Kielc do Solca-Zdroju obładowani tłumokami, znali już dobrze głuchy, dudniący hurkot ciężkich samolotów nadciągających z daleka. Było to niskie, metaliczne buczenie rozgniewanego trzmiela. Pierzchali natychmiast w bezładzie pomiędzy ziemniaki, przypadali w bruzdach ścierni pozierając z lękiem w górę. Teren nie dawał schronienia; nierówność gruntu to jeszcze nie kryjówka. Słońce świeciło mocno, dokładnie wskazując cel lotnikom.

Rozłożeni plackiem na ziemi ludzie nasłuchiwali siekącego, żalosego gwizdu lecącej bomby. To sygnał pośpiesznie spadającej śmierci. Wstrząsali się gwałtownie, zamykając machinalnie oczy. Byłże to znak ślepego poddania się katastrofie czy też udawanie w paroksyzmie strachu, że się jej nie widzi? Łoskot rozdzierał powietrze jakby podwójnie nasiloną eksplozją; otwierali oczy spoglądając na żywy krzak wybuchu, na wytrysk czarnego kurzu, ziemi i dymu, szczęśliwi w nieszczęściu, że tym razem jeszcze ocaleli.

Potworny huk nie ustawał ani na chwilę. Naliczono trzydzieści siedem bomb.

- Czego oni od nas chcą?

- Tu wojska nigdzie nie ma. Do wsi biją?

- Nie wiecie, że to pierwsza w dziejach wojna, która obaliła przesąd frontów? I że ta wojna niszczy bez różnicy zarówno wojskowych, jak i cywilów?

Widziane z góry kłębowisko miotających się w popłochu uciekinierów wyglądało zapewne jak armia rozpełzłych, nierozumnych robaków. To są Polacy, a więc wrogowie. Trzeba bić.

- Może biją w most na Wiśle?

Ale most był daleko, a ludzie bliżej. Od pięciu dni i pięciu nocy trwała obłądana ucieczka narodu, ściganego rytmicznym, głuchym dudnieniem samolotów.

Jan Dziura szedł piechotą w kurzawie gościńca, jak tysiące innych, z tobołkiem na sznurku przewieszonym przez plecy. Idzie już trzeci dzień, wydostawszy się bez trudu z nie strzeżonego więzienia świętokrzyskiego. Czy to był legendarny Janosik, którego pełne były góry? Któż by go mógł rozpoznać w tym młodzieńcu o zapadłej twarzy, porostej gęsto zarostem, w butach z cholewami, w uczniowskiej granatowej bluzie? Trzy dni intensywnego słońca nie zdołały zatrzeć chorej, bladozółtej cery. Jedynie te same co dawniej pozostały pałające oczy. Tak wyglądał niedoszły więzień dożywotni, były skazaniec wyrwany spod stryczka, który po rocznym pobycie w więzieniu cudem odzyskał wolność, wtedy właśnie, kiedy cały kraj ją tracił.

Ci najważniejsi przejechali już drogami; auta wybitnych dygnitarzy, wyładowane żonami i kochankami, klejnoty i biżuteria w walizkach, woalki na twarzach, rękawiczki na rękach. W ciągu dwóch pierwszych dni wojny prześmignęły tędy na wschód auta ludzi znacznych i bogatych. Przez dwa dni następne ciągnęły furmanki pełne policjantów. Ci opuszczali chyłkiem posterunki i spaliwszy archiwa, wpakowawszy swoje rowery na wozy, ruszali w drogę, nieczuli na upał. Po nich dopiero rozpoczynał się nieprzerwany, masowy ciąg pieszych. Szli uginając się pod brzemieniem tłumoków i waliz. Niektórzy dźwigali cały dobytek na plecach. Kobiety trzymały za ręce dzieci, bosobob dreptające obok nich. Równoległe wzdłuż drogi ciągnęli uciekinierzy ścieżkami, chodnikami, miedzami. Apokaliptyczny, potworny pochód tych, którzy nie chcieli umrzeć. Dokąd dążyli? Wszystko jedno, byle tam, gdzie jeszcze nie ma Niemców, gdzie jeszcze jest Polska, skąd na pewno wyjdzie rozkaz oporu i zatrzymania miażdżącej ofensywy wroga.

Na próżno czekali. W Nowym Brzesku, przez które wczoraj przechodził Jasioek, samoloty niemieckie pięciokrotnie w ciągu dnia bombardowały grupy uchodźców maszerujących pieszo wałem wiślanym od Krakowa. Uderzenie wroga było tak nagłe, że nie

zdążono dokonać pełnej mobilizacji w kraju. Pochód zwycięskiego oręża Niemców był tak błyskawiczny, że nie zdążono nawet zorganizować zmobilizowanych. Próbę oporu rozbijano natychmiast w zarodku.

- Pod Łodzią wre ciężka bitwa. Duże siły nasze tam walczą. Ale Niemcy spuszczaają swoich ze spadochronami na motocyklach przed frontem, za frontem i z boków. Nasi są otoczeni.

- Z powietrza, z samolotów lecą w dół na motocyklach!

- Podobno i pod Krakowem są już desanty.

To jest coś nowego. Tego jeszcze nikt nie próbował. Wysadzać wojsko wprost z nieba w głąb napadniętego kraju, szerzyć panikę na tyłach, niszczyć połączenia telegraficzne, rozkręcać szyny; tego dotąd nie było.

Szybko skradali się brudnymi uliczkami miasteczka. Wchodzą do sklepów, nic nie ma z jedzenia, wszystko już dawno wykupione.

- Nawet karpiele surowe z ogródka nam wyzarli.

Na rynku gromada gapiów otacza zwartym kołem dwóch żandarmów. Co chwila spoglądają w górę, czy nie nadlatuje samolot.

- Co się stało?

Ujęto kobietę-szpiega, która rozповідаła, że pod miasteczkiem znajdują się oddziały niemieckie i że wobec tego nie ma sensu iść dalej. Że Niemcy zajęli Warszawę, że rząd polski ogłosił kapitulację; wszyscy więc powinni wracać do domów.

- Może to i prawda?

- Gdzie pani ma papiery?

Nie miała. Skąd jest? Powiada, że z Bielska. Co tu robi? Ucieka przed Niemcami. Dlaczego nawołuje więc do powrotu do domów, a sama nie wraca? Wzrusza ramionami.

- Nie jadłam nic od wczoraj.

- Gdzie pani widziała Niemców?

- W lasku - pokazuje ręką na wschód.

- Dużo?

- Dużo, cała kompania. Spuścili się z samolotów. Z karabinami maszynowymi.

- Rozstrzelać ją! To szpieg! Lusterkiem błyskała za miastem do samolotów! - krzyczy głos z tłumu. Twarze zaczynają pałać, oczy błyskają groźnie.

- Roztargać tę Szwabkę! Wiecie, co Niemcy robili w Bielsku? Strzelali z okien do przechodzących ulicą żołnierzy polskich.

- A na Pomorzu? Oczy wydlubywali naszym! W Bydgoszczy po mieszkaniach

mordowali Polaków bez litości.

- Rozstrzelać szpiega! Ona wodę zatrula w studni. Próbowalam dzisiaj, jakaś dziwnie słodka - poddaje jedna z mieszkanek. - Chce nas wytruć wszystkich. Zabijcie ją!

Ponad sfanatyzowanym wrzaskiem wynosiło się spokojne, blade oblicze kobiety. Wyglądała jak zakonnica o regularnych rysach twarzy ujętych w ramy czarnej chustki. Żandarmi zabrali ją sprzed oczu tłumu, który wrzeszczał:

- Zabić szpiega!

Wsadzono ją na furę, eskortanci wieźli ją do komendy. Do godziny dziewiętej rano mieściła się ona w biurze burmistrza, ale gdzie jej teraz szukać? Wyjechała podobno w kierunku na Solec. Wóz z dwoma żandarmami i podejrzaną wjechał truchtem na drogę prowadzącą na wschód. Woźnica zaciął konia, koła potoczyły się żywiej. Jasiak Dziura pozostał w tyle.

Plotka szalała i wzmagala bezład. Najdziksze wiadomości krążyły o Niemcach: że wojska ich przedarły się daleko na czoło pochodu uciekinierskiego, znalazły się po obu jego bokach i następują mu tuż na pięty.

Dokąd uciekać? Gdzie bądź, na wschód, tam gdzie uciekają wszyscy. Mówiono, że na Nowy Korczyn nie można iść, bo most na Wiśle zniszczony, że w Tarnowie już są Niemcy, że Mielec cały od bomb spalony.

Jasiak spoczywał z towarzyszem na trawie pod wierzbą, gryząc wyrwaną w jakimś ogródku surową marchew. Rozmyślał: stało się to, czego nigdy nie przewidywał. Pękły przed nim kraty więzienia; nowe życie ściele się przed nim.

- E, wojna długo nie potrwa - pocieszał towarzystwo któryś z sąsiadów pod drzewem.

- Co pan mówi?

- Nie wiecie, że Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom?

- No to co? Szwab jest silny.

- Dowiedz się pan: Anglia jeszcze nigdy z nikim żadnej wojny nie przegrała.

Oparty o plecy Jaśkowe drzemał ze zmęczenia jego towarzysz więzienny, Zygmunt Żabicki. Szedł z nim przez cały czas od chwili wspólnej ucieczki ze Świętego Krzyża. W pierwszym dniu września wczesnym rankiem usłyszeli więźniowie huk bomb pękających w okolicy Kielc. Tego dnia nie wyprowadzono ich do pracy ani na przechadzkę. Po południu samoloty wroga przelatywały nad świętokrzyskimi borami. Ktoś z budynku więzienia strzelał do nich. Lotnicy nie podarowali tej złośliwości. Opuścili się we czwórce nad gmachem i przekosili teren sprzężoną bronią maszynową; zginęło dwóch dozorców na podwórzu, a troje osób ze służby folwarcznej odniosło rany. Jedna niewielka bomba upadła nawet niedaleko

więzienia, wybuchając zresztą nieszkodliwie w ogrodzie pośród kapusty. Strach zapanował na Świętym Krzyżu; ogólnie spodziewano się nalotu odwetowego na jutro. Tej samej nocy w najgłębszej tajemnicy spakował się naczelnik zakładu i wyjechał o świcie służbowym autem. Stugębna plotka przyniosła wiadomość, że Niemcy zajęli Łódź i zbliżają się do Kielc; według innych wersji nieprzyjaciół hulał już w Kielcach. Zamieszanie powiększył brak połączeń telefonicznych. Ktoś przerwał druty na trasie i więzienie świętokrzyskie zostało odcięte od świata. Powstała tak wielka panika wśród strażników, że połowa ich zbiegła w ciągu dnia. Zaostrzono rygor więźniom, powiadomiwszy ich ogólnie o sytuacji. Niektórzy zaczęli się buntować, wielu zgłosiło chęć wstąpienia do wojska na ochotnika. O zachodzie słońca w pobliskim miasteczku Zagnańsku ogłoszono alarm lotniczy. Słysząc było głuchy łoskot bomb. W więzieniu wygaszono światła doszczętnie, lokatorów cel zgromadzono w ogromnym schronie mieszczącym się w piwnicy prawego skrzydła gmachu. Niektórzy nie chcieli iść do schronu obawiając się śmierci z uduszenia; kilku w drodze zbiegło korzystając z zamieszania. Całą noc przesiedzieli więźniowie w schronie śpiewając patriotyczne pieśni. Nastrój był podniosły. Miotano pogroźki przeciwko najeźdźcy, obiecywano rozprawić się z nim, gdy tylko chwila sposobna nastąpi. Kiedy wstało słońce trzeciego dnia wojny, ani jednego strażnika nie było w więzieniu świętokrzyskim. Wyewakuowali się nocą wraz z dobytkiem, zostawiwszy cały kompleks budynków na łaskę i na pastwę służby zakładowej oraz paruset byłych morderców, rabusiów, oszustów. Otwarto bramy więzienia ze śpiewem, kryminaliści wyszli w świat, prześwietlony słońcem upalnego wrzeźnia, ogarnięty wojną. Splądrowano zakład, ile się dało. Więźniowie przewrócili do góry nogami całe gospodarstwo; poubierali się w zrabowane ubrania, nakradli jedzenia, ile mogli unieść, i zbiegli w rozmaitych kierunkach już bez śpiewu. Tak rozpręgåło się wszystko, nawet surowa machina urzędowej sprawiedliwości, pod ciosami niespodziewanego najazdu.

Jasiek opuścił progi więzienne w towarzystwie Żabickiego, kompana z sąsiedniej celi, skazanego rok temu na dwanaście lat za zabójstwo swej żony i jej gacha. Wyszędłszy z lasu na szosę kielecką wmieszali się od razu w ruchliwą, nieprzerwaną falę uchodźców maszerujących na południowy wschód.

- Dokąd idziecie?

Pokazywali palcami w odpowiedzi kierunek na Busk.

- Aby przejść przez Wisłę - mówili inni. Inni wskazywali na wschód, na Sandomierz.

- Stamtąd na Lublin. A z Lublina na Polesie.

Tam, twierdzono, będzie najbezpieczniej. Na Wisłę bowiem ma być zorganizowana wielka linia obrony. Gdyby Niemcom udało się, Boże broń, ją sforsować, wojska polskie

stawiają opór na linii Bugu. A kresy poleskie to najpewniejszy kąt w kraju.

Jaśka tak niespodziewanie ogarnęło poczucie wolności, że nie mógł sobie dokładnie zdać sprawy z historii ostatnich dni. Nie wiedział o niczym, o wojnie dowiedzieli się więźniowie dopiero na drugi dzień po jej wybuchu.

Więc tej tragedii zawdzięczał Jan Dziura otwarcie bram więziennych! Wolność objawiła mu się nagle w znaku nieszczęścia. Wiedziony instynktem samozachowawczym ruszył w kierunku obranym przez masowy potok ludu: na wschód. Ale pierwsza jego myśl pobiegła do domu Tramka w Przyborowie. Do żony, którą kochał, i do dziecka, które uwielbiał. W maju bieżącego roku kapelan więzienny połączył ślubem dożywotniego więźnia z Ewą Jeleniówną w kaplicy na Świętym Krzyżu. Władze zgodziły się wyjątkowo na małżeństwo z uwagi na to, iż naręczona była matką paromiesięcznego synka, którego w kościele jeleśniańskim ochrzczono imieniem Andrzej. Dziecko powinno mieć prawego ojca. Ewa trzymała je na ręku klęcząc obok świeżo poślubionego małżonka; za nimi Wojnar, chrzestny ojciec małego. Dziura przeżył z nimi parę godzin ogromnej radości, która wstrząsnęła nim na długie tygodnie. Ponownie zobaczył ich w sierpniu, żonę i dziecko wraz z nieodstępnym Wojnarem.

I na tym koniec. Jakżeby chętnie Jasiek pognał do Przyborowa, aby po raz trzeci zobaczyć swego Jędrusia i mieć go koło siebie na zawsze! Ale - jeśli wierzyć powszechnej relacji - wojska niemieckie ogarnęły Żywiecczyznę w pierwszym dniu wojny, a teraz już zdobyły Kraków i wałą naprzód w niepowstrzymanym marszu. Pomiedzy domem a Jaśkiem rozpościerała się linia ognia. Trzeba więc uciekać na wschód przed zagładą, wmieszać się w tłum uchodźców szukających ocalenia przed zniszczeniem i śmiercią.

Ludzie mdleli na drogach. W potwornym upale wyjmowali ciężko z grząskiego piachu utrudzone stopy. Piach ciągnął się kilometrami. Wieczorem rozpoczął się wyścig o szybsze dotarcie do wsi przed nocą. Zwycięzcy w wyścigu zawiedli się srodze; wszystko było już zajęte i przepelnione. Spano pod gołym niebem. Ale i nocą wśród rzadkiego lasu rosnącego na piachu nie ustawał żywy pochód wędrujących. Las żył nocą, tak jak i dniem - męką i ucieczką tysięcy ludzi. Plotka szalała; chwytiała się najgłupszej wiadomości, pożerała ją, trawiła, wyolbrzymiała żer, pastwiła się nad nim. Plotka wypowiadała nowe wojny, odnosiła fikcyjne zwycięstwa nad barbarzyńcami, zawierała nowe traktaty, wymyślała ciągle nowe ofiary.

Jasiek zdjął buty, podłożył pod głowę. Gwiazdy wystrzelały nad drobnymi smreczkami lasu. Zapatrzył się w dalekie światy, wspomniął swoje dziecko w Przyborowie. Co się z nim dzieje? Czy wojna oszczędziła ich w tej wiosce górskiej, zabitej deskami od

świata?

W gromadzie rozmawiano. Jakiś męski głos długo wywodził swoją niedolę; biadał i kłął. Myśli Jaśka znów pobiegły ku granicznym górcom. „Tam już wojna przewaliła się nad nimi. Oni już pod Niemcem. Jak wygląda teraz syn? Czy podrosł? Czy coś mówi! Czy nie chory?”

Głos w gromadzie podniósł się nerwowo.

- Ja się dalej nie ruszam. Niech się dzieje, co chce, mam dość tej włóczęgi. Kto chce mój rewolwer? Żona została w Krakowie z dwojgiem dzieci. Wróć do domu. Kto chce rewolwer?

- Ja - oprzytomniał Janosik zrywając się z posłania.

- Weź pan sobie.

Wziął w ręce cacko niklowane, belgijski sześciopalcowy rewolwer, naładowany, z dziesięcioma kulami dodatkowo.

- Za darmo mi pan daje?

- Pewnie - odrzekł wychudły mężczyzna o niespokojnym spojrzeniu. - Co mi z niego? Jak Niemcy przyjdą, i tak musiałbym go oddać. A panu może się przydać.

- Naturalnie.

- Pan idzie dalej?

- Dalej.

- Dokąd?

- Nie wiem - uśmiechnął się Jasiek. - Na wschód. Aż do skutku. Dziękuję panu.

- Proszę.

Wyciągnęli nogi na mchu przed siebie, wdychali rześwe powietrze nocy. Odpoczynek koił prędko ich zmęczenie. Zasypiali bez słowa, a koło nich, pomimo nocy, przemykały jak cienie nowe gromady nie znużonych wędrowców.

Były to dni, w których kraj porzucał swój wyraz. Kształt ziemi spokojny, uporządkowany i pracowity zmierzwił się nie do poznania. Ludzie przedzierzgnęli się w szaleńców; z osiadłych mieszkańców stali się nagle zwierzyną łowną, uciekającą panicznie w najrozmaitszych kierunkach. Jak wyrok przeznaczenia, nieubłagany młot losu, warczał nad nimi niezmordowany, monotony ryk silnika samolotowego. Ludzie nie mogli sobie znaleźć miejsca. Jednoczyli się z ziemią, rozplaszczeni jak płazy, wnikali w ziemniaczyska, przypadali do zbawczych krzaków, poddając się złudzeniu swojej małości. Może lotnik rozgniewany nie zauważył ich drobnych ciał plackiem oddających mu pokłon? Samolot obniżył się nad ziemią i począł siec w dół poczworną kością karabinów maszynowych. Ludzie

wtopieni w glebę zaparli dech.

Tym razem jeszcze Bóg wysłuchał ich prośby. Samolot uniósł się na poziom tysiąca metrów i poszybował na zachód.

Drogami, drózkami, ścieżkami, bezdrożami pomykał nieustanny ciąg uciekającego narodu. Pokazują sobie lej po bombie w ziemniaczysku.

- Czego on tu szukał?

- Bił w drogę. Pewnie szło tędy wojsko.

- Wczoraj bił. A tu wczoraj żadnego wojska nie było.

Przysiadali na chwilę w rowach, spoceni, rozglądając się po błękicie, czy skądś nie nadlatuje złowrogi ptak.

- Uwaga! Leci!

Legli pokotem na stoku rowu i pod drzewami. Inni pokładli się wzdłuż w brzdach między ziemniakami. Posłyszano na wysokościach dudnienie samolotu.

- Widzicie go? Idzie tam!

Pokazywali sobie jasnego ptaka jak osę o przezroczystych skrzydłach, brzęczącego metalicznie. Niósł się wysoko.

- Jak jest wysoko, to nie będzie rzucał bomb.

Przez siedem dni wojny wyrobił się w nich doskonały zmysł orientacyjny. Wiedzieli, że z tak dużej wysokości samolot bomb nie zrzuca, wiedzieli również, że może osiągnąć ich głów jedynie wtedy, gdy jest nieco z przodu przed nimi.

- Gdy leci wprost nad nami, już nam nic nie zrobi. Bomby upadłyby za nami.

Teraz był już kawałek za nimi i z boku.

- Wraca.

Zawrócił wolno szerokim łukiem i poszedł w bok, ciągle uniesiony wysoko.

- Nic nie rzucił.

- Bo nic nie ma. Wszystkie bomby wypuścił nad Lublinem. Teraz wraca na lotnisko po nowy zapas.

Trwała nadal cudowna pogoda, tak cudowna, że wojna wydała się podwójnie plugawym barbarzyństwem, które kaleczyło ten świetny obraz.

- Aby przejść przez most na Wiśle, potrzeba specjalnej przepustki, którą wydaje komenda - objaśniano po drodze wędrowców. Wojsko strzeże mostu, który jest podminowany i lada chwila ma być wysadzony, gdy tylko oddziały niemieckie się zbliżą.

Przed zaimprovizowaną siedzibą komendy - pustka. Kilka osób kręciło się po ulicy. Jakieś auto stoi przed bramą.

- Czy tu dają przepustki na most?

- Jaki most? Jakie przepustki?

Wysoki mężczyzna pali papierosa stojąc pod piecem, drugi, gruby, niski, wygląda przez okno, trzeci, młody o zaciętej twarzy, siedzi przy biurku i bębni w niego palcami.

- Dopóki most stoi, można przez niego przechodzić - ciągnie swoje ów spod pieca.

- Bez przepustki?

- Bez.

- Mówią, że wojsko pilnuje.

- Ja nie mieszam się do wojska. Mnie most nic nie obchodzi.

- To nie dostanę przepustki?

- Ja nie wydaję żadnych przepustek.

Sprawa Jana Dziury została urzędowo załatwiona. Młody nerwowy pan wstał od biurka.

- Panie starosto, ja wyjeżdżam. Proszę mi dać zezwolenie na opuszczenie szpitala.

- Nie jestem już starostą. Niech pan doktor zabiera się z nami.

Gruby od okna zarechotał.

- Weźmiemy doktorka. A popić lubicie? Niewyraźne wzruszenie ramion.

- Owszem, owszem - odpowiedział gruby. - To zależy, rozumiem.

Jasiek wyszedł. Już na trzy kilometry przed mostem wiślanym ostrzegano go, że nie ma po co iść, bo most strzaskany przez bomby niemieckie. Niektórzy zawracali, inni wytrwale szli naprzód.

- Zobaczmy, czy się nie da przejść. Już tyle razy przede mną Niemcy zajmowali miasteczka, a nie widziałem jeszcze żadnego Niemca. Może i z mostem się uda? A jak mostu nie ma, to choć jakaś łódka będzie.

Doszli do mostu; strzegł go pluton żołnierzy. Przygotowywano minowanie prześel. Saperzy jedli surowe karpie spoglądając obojętnie na przechodzących. I tak bez żadnych kłopotów Jasiek wraz z kompanem znalazł się na prawym brzegu Wisły, w Małopolsce.

- Dokąd idziemy?

- Przez San, a stamtąd na Polesie.

Tego południa jak zwykle mijały pieszych furmanki, rzadziej rowery. Uchodźcy spoglądali tęsknie na szczęśliwców, którym się udało obrać lepszą część. Kobiety z tobołkami i z małymi dziećmi posiadały w skwarze na skraju przydrożnego rowu, posilając się kromką chleba z pomidorem. Ach, wody, gdyby choć trochę wody znaleźć w okolicy!

Usłyszano odległy huk armat. To granie dział napełniło ich otuchą. Więc nie jest

jeszcze tak źle. Ale co z tego, że armia może powstrzymać nieprzyjacielskie czołgi? Czy jest jakaś zapora dla samolotów? Czy jest coś straszliwiej drażącego ucho niż dudnienie, równomierne granie motorów na wysłonecznionym niebie? Za ledwie krótka noc minęła, od samego świtu nawiedzał wszystkich ten sam obłądny strach. Znowu ptaszki będą furczały nad głowami. Niech szlag trafi całą wojnę.

Ach, ten potworny tydzień piekła! Zaiste, wpiekło zstąpienie. Orgia krwi, krzyku, potu, śmierci, nerwowego napięcia, panicznej trwogi, pospiesznej ucieczki, rozpaczliwego zamieszania. Niemcy idą!

Waż ludzi maszerujących z tobołkami dojrzał na dwa kilometry przed sobą zniżające się z wysoka ptaki w gwałtownym locie w dół, jeden po drugim. Kolejno następowały wybuchy. Okładano bombami północno-wschodni horyzont. Widać było, jak raz po razie brązowe krzaki nagle wspinały się do góry i opadały, rozrzedzając się we mgle dymu. Znów łoskot, drugi, trzeci, piąty, dziesiąty; eksplodowały słupy burego kurzu i zanim mgła rozeszła się, trysnęły z niej żółte płomienie.

- I my tam idziemy! Prosto w gardło bombom!

- Gdy dojdziemy, już tam nic nie będzie.

- Jeśli teraz są tam, to już nie przyjdą później, chyba jutro. Złodziej nie nawiedza drugi raz okradzionego domu.

Po południu przybyli do Radomyśla. Miasteczko na wzgórzu było pełne wojska. Drogami jechały zewsząd do rynku auta ciężarowe, podwozy wojskowe wypełnione sprzętem wojennym, sianem, amunicją. Maszerowały oddziały piechoty w hełmach, tłukła się pospiesznie artyleria polowa, galopowała w kurzawie konnica.

Jasiek z Żabickim zgubili swą gromadę znajomych. Grupy żołnierzy, białych od pyłu, włączyły się bez celu. Jasiek chciał krzyknąć do nich: „Nie tłumcie się po ulicach, rozejdźcie się gdzieś, bo ptaszki nadlecą i będzie, psiakrew, rzeźnia”. Ale zreflektował się: „Jeszcze mnie za szpiega wezmą. Teraz jest wojna, co się będę do wojskowych mieszał?” Pociągnął kolegę za rękaw, poszli na przedmieście między pola, wniknęli w opłotki szukając noclegu. Znaleźli go w stodole przy gromadce strzelców z Krakowa, młodych chłopców, z pochodzenia przeważnie Ślązaków, uzbrojonych w karabiny, kwaterujących pod dowództwem sympatycznego porucznika w okularach.

Nad samym wieczorem nadleciały dwa samoloty nieprzyjacielskie. Kołowały długo nad rynkiem, ktoś posłał im kulę karabinową. Wzbiły się wyżej i poszybowały na zachód. W ciągu pół godziny zawitała nad Radomyśl eskadra bombowców. Zwiastowało ją głucho, odległe dudnienie.

Zapadł już zmierzch. Jasiak w gromadce strzelców siedział pod stodołą przed udaniem się na spoczynek; z niepokojem spoglądali na niebo. Samolotów nie było jeszcze widać, a już rozległ się łoskot bomb. Obrzucano śmiertelnym ładunkiem rynek i prowadzące doń ulice wypełnione wojskiem. Rozległy się strzały artylerii przeciwlotniczej; kule jak świetlne rakiety łukami podchodziły aż pod nieprzyjacielskie maszyny. Widać było, jak blisko kołowały przy motorach. Serce rosło na widok wykwitających pączków wybuchów. „Żeby jeszcze trochę bliżej! Już, już! O mało co nie trafił!” Otucha wstępowała w człowieka na widok kilkunastu pocisków wyrzuconych z dołu ku górze.

- Już go trafili! - krzyknął porucznik poprawiając nerwowo okulary na nosie.

- Nie, nie! To lotnik rzyga z karabinu maszynowego.

Istotnie, z samolotu zaczął pluć w dół świetlisty wytrysk strzałów. Bombowiec w zniżonym locie siekł rynek nieustanną seryjną palbą. Miało się początkowo złudzenie, iż pocisk z dołu świecącym łukiem wystrzelony trafił, gdyż tam utkwiał jego końcowy błysk, punkt uderzenia. A to był wybłysk strzału z lufy karabinu maszynowego lotnika.

Kanonada nie ustawała. Maszyny jedna po drugiej nurkowały ku miasteczku na wzgórzu. Wnet z radomyślańskiego rynku buchnęły płomienie. „I ja paliłem domy - pomyślał ze zgrozą Jasiak. - Ale to były chałupy łajdaków.”

- No, chłopcy - rzekł porucznik - nie będziemy tu dziś spali. Zbiórka i odmarsz.

Oporządzili się w okamgnieniu i opuścili spieszenie stodołę. Porucznik prowadził na północ. W ciemności przed nimi i za nimi posuwał się nieskończony tabor wojsk. Przechodzili dołem pod rynkiem miasteczka. Parę domów gorzało, oświetlając upiornie krajobraz. Luna stała nad Radomyślem. Jakies krzyki, strzały. W ciemności i zamieszaniu zgubił Jan Dziura swój oddziałek strzelecki, gromadę Ślązaków, z którymi zjadł wczoraj bezpłatną kolację. Jedynie kompan więzienny nie popuścił jego ramienia.

- Dokąd idziemy?

- Tam gdzie wszyscy. Na Mielec.

Straszna była ta noc. Wędrówka ludów nie kończyła się. Jakaś wieś paliła się krwawo na horyzoncie.

- Słyszeliście? Kraków zajęty, Poznań i Łódź zajęte; na całym Pomorzu wojska niemieckie. Warszawa broni się. A ministrowie puciekali autami do Rumunii. Co wieczór major Starzyński mówi przez radio ze stolicy. A prezydent Mościcki pierwszy z marszałkiem Śmigłym-Rydzem wywiał za granicę.

- Nieprawda. Śmigły-Rydz jest pod Łodzią. Tam jest wielka bitwa pancerna. Podobno został ranny.

- I amputowano mu rękę.

Już było dobrze po północy, kiedy Jasiek runął na mech pod sosną. Pół spał, pół słuchał, jak zwierzał się Żabickiemu przygodny towarzysz.

- Sześć dni szukałem mojego PKU i nie znalazłem. Miałem się stawić według karty mobilizacyjnej na drugi dzień po wybuchu wojny w Krakowie, w koszarach Sobieskiego. Tam jest moje PKU Kraków-powiat. Zachodzę, oho, już tam nic nie ma. Cywile ładują na auta jakieś księgi i papiery. Powiadają mi: „Wasze PKU wyjechało do Bochni, tam się zgłóście”. Pociągi nie jadą, słyszę zresztą, że Niemiec wali w pociągi jak w bęben, co będę lazył na pewną śmierć? Poszedłem pieszo do Bochni. Tam mówią mi, że moje PKU było zakwaterowane w szkole, ale urzędowało przez parę godzin i zaraz wyewakuowało się do Tarnowa. Tam mają się meldować wszyscy zmobilizowani. Niech się dzieje, co chce, rypię na piechotę do Tarnowa. Rany boskie, w Słotwinie-Brzesku koniec świata. Pociąg z uciekinierami zbombardowany przed samą stacją; krew i masakra. Wagony strzaskane leżały w poprzek toru. Furmankami wożono rannych do Brzeska, widziałem, jak krew sączyła się poprzez półkoszki. W Tarnowie nie ma śladu z PKU. Jakiś sierżant w komendzie wojskowej na dworcu powiada: „Zdaje się, że wasze PKU stoi w Żabnie, bo tu nie było dla nich kwatery”. Dostałem się furmanką tego samego dnia do Żabna, a tam mówią: „Wczoraj był u nas sakramencki nalot. PKU z Krakowa znajduje się w Samborze”. Zirytowałem się i przepравиłem się przez Wisłę w Ujściu Jezuickim do Opatowa. Mam gdzieś PKU. Będę za nimi latał jak głupi?

Jasiek przed uśnięciem zaklął: „Psiakrew! Prezydent uciekł. Ten, który mnie ułaskawił. A Hitler właściwie uwolnił mnie z więzienia. Bo żeby nie on, zgniłbym w kryminale. Cholera! Wszystko przewróciło się do góry nogami”.

Nie opodal wśród krzaków tłumiała się gromada młodych. Słysząc było piski i śmiechy dziewczęce. Czy zmysły nie mają swoich praw, którymi się rządzą niezależnie od wojny i pokoju? Młodzież poznała się dopiero wczoraj; dwie grupy uchodźców, jutro może odprysną od siebie i nie zobaczą się nigdy w życiu. Może bomba przed rozstaniem zmiażdży ich i wgniecie w piach? Na co mają czekać? Chłopcy stawali się nad miarę agresywni, dojrzewali w przeżyciach kilku dni na mężczyzn, noc ośmielała ich do reszty. Oszołomieni przygodą tułaczki, na progu niepewności i śmierci, chcieli zakosztować szaleństw życia. Czy owoc grzechu nie jest słodki? I dziewczęta miały krew wzburzoną namiętnością tych niezwykłych chwil. To coś niby wycieczka szkolna w nieznane. Ale z tej wycieczki można także nie wrócić między żywych. Taka przygoda już się chyba więcej nie powtórzy.

Rano weszli do Mielca nawiedzonego uprzednio bombardowaniem. Tu z radością odnaleźli zgubiony wczoraj w drodze oddziałek strzelecki i przyłączyli się doń. Wysoko nad miasteczkiem krążył samolot, podobny do orła ważącego się na nieruchomych skrzydłach ponad halami.

- Nasz? Czy niemiecki?

- Zapewne niemiecki.

- W pierwszym dniu Niemiec wybił wszystko na lotniskach.

- Ale i tak nasi lotnicy poharatali dobrze miasta niemieckie. W Berlinie Bajan rzucał bomby nad samymi ulicami.

- Wolałbym, aby nie tam byli, ale tutaj, gdzie ich potrzeba.

Pluton strzelców niedługo popasał w Mielcu. Zjedli, oporzadzili się, chwycili za karabiny i odmaszerowali w luźnym ordynku. Jasiek zajrzał do drzwi domu, pod którym kwaterowali. Okna od kuchni otwarte były na ogród. Wyszła mu naprzeciw młoda dziewczyna.

- Czy mogę panią prosić o garnuszek wody?

Przytaknęła z uśmiechem. Była wysoka, pięknie zbudowana. Niosła się jak sarna lekko i zgrabnie. Twarz miała osnutą mgiełką znużenia i smutku.

- Proszę.

- Dziękuję.

Pił, patrząc jej w oczy. Była pełna godności.

- Dałabym panu mleka, ale już rozdaliśmy żołnierzom.

- Nic nie szkodzi. Pani jest tak piękna jak obraz. Człowiekowi się nawet pić nie chce, tylko by patrzył.

Dziewczyna uśmiechnęła się. - Że też pana stać jeszcze na humor!

I on w uśmiechu pokazał równy rząd zdrowych zębów. - Nic innego nie mam poza dobrym humorem. Patrzyli na siebie onieśmieleni.

- Już trzeba iść - poprawił tobolek na ramieniu.

- Dokąd?

- Przed siebie.

- Ja bym także poszła - rzekła. - Mówią, że tu Niemcy przyjdą. Wczoraj było słychać niedaleko armaty. Zdaje się, że już są blisko.

- E nie, chyba tu nie przyjdą - zapewnił bez przekonania.

- Nie chciałabym tu być, jak Niemcy będą. Nie, nie chciałabym tu być - potrząsnęła blond główką. - Wolałabym pójść.

- Dokąd?

Przed siebie - odpowiedziała tym samym tonem, co on poprzednio.

- Niech pani zostanie. Wszystko będzie dobrze - spozierał na jej oczy, zakreślone śmiałymi łukami brwi, jakby zrozpaczony, że muszą się rozstać.

- Tak, wszystko będzie dobrze. Ale tu już jest połowa Polski, a tamci wciąż idą naprzód.

- Halino! - rozległ się głos z ogrodu.

- Ciotka mnie woła, już muszę iść - usprawiedliwiła się. - Pan skąd idzie?

- Z Krakowa - skłamał, jakby odgadując jej myśli.

- Ja mam w Krakowie ciotkę. Często tam bywam. Plac Matejki 16.

- Na pewno się zobaczymy jeszcze kiedyś w Krakowie. Niech się pani nie martwi, wszystko będzie dobrze. Będę pamiętał adres: Plac Matejki 16. Do widzenia.

Podał jej rękę. Uściśnęła ją serdecznie. Nie przedstawiali się sobie, a jednak włali w uściśnienie ręki więcej ciepła, niż gdyby się długo znali. Wiedział tylko tyle, że była krewną burmistrza tego miasta. Stała koło sztachet, gdy rażnym krokiem odchodził w ulicę. Puścił się w bieg, aby dopędzić swój oddziałek. Na rogu ulicy odwrócił się, jakby przeczuwając, że będzie patrzyła. Zamachała mu ręką na pożegnanie; odpowiedział, wzruszony głęboko. Ręka jego załopotana beznadziejnie, jak sztandar zwijany na drzewcu.

W Tarnobrzegu nie było już władz ani wojska. Miasteczko było wymarłe. Tylko ulicą prowadzącą na wschód przewalały się masy uciekinierów. Na rynku stała w godzinach porannych długa kolejka mieszkańców do studni, gdyż rozeszła się wieść, iż zrzuceni z samolotów dywersanci niemieccy zatruli wodę w mieście. Ta jedynie, zbadana przez fizyka, okazała się zdatna do picia. Nad rynek nadleciały cztery samoloty nieprzyjacielskie, z których lotnicy, zniżywszy lot, siekli bez litości ludzi stojących w ogonku po wodę.

Kiedy Jasek z Żabickim opuszczali Tarnobrzeg, zobaczyli świeże mogiły koło drogi i leje po bombach. Trwało nieznośne, upalne południe. Konie ubite w przydrożnym rowie odsłaniały brzuchy rozdęte jak banie, żarte przez muchy i mrówki. Hełm żelazny zatknięty na niezgrabnym krzyżyku drewnianym znaczył grób żołnierza. „Zabity bombą 7 września 1939 roku”, głosił napis nieudolnie skreślony atramentowym ołówkiem.

Tego dnia w panice wśród leszczynowych krzaków zgubił Jasek Dziura ponownie swój oddziałek strzelecki. Kiedy minęła furia lotników, ofiary ich gniewu zaczęły znowu wylazić na drogę. Przez cały dzień do późnej nocy grzebano się w piaskach jak w pustyni.auta stały porzucone na bezdrożach, fantastyczne ceny ofiarowywano za litr benzyny.

Szczęśliwcy, którym udało się uniknąć rekwizycji samochodu, przemykali się wiejskimi drogami pomiędzy lasami; byle dalej. Nie można było dostać kawałka chleba w chatach, nie było nawet wody. Woda jest zatruta przez dywersantów niemieckich - ostrzegano.

Przez dwie godziny siedział Jasiek z gromadą pocztowców krakowskich w podmokłych olszynach, gdzie przeczekali z duszą na ramieniu druzgocący nalot.

- Czego oni chcą? Piachy i lasy!

- Myślą, że w lasach są wojska.

- Tylko patrzeć, jak nam tu kuferki posypią się na głowę.

- Taki rzadki las, wszystko przecież widać z góry, czy się wojsko kryje, czy nie.

- Ale ilu uchodźców leży tam pod drzewami! Oni z góry nie rozróżniają mundurów.

Myślą, że to wojsko. Zresztą, jest im wszystko jedno.

Wyszli z krzaków i natrafili na pierwsze miejsce śmierci. Zwiastowały je z odległości leje drażone w piaszczystej glebie oraz opalone od wybuchu sosenki. Pod drzewem obleżonym przez ciżbę leżało sześcioro rannych, w tym trzy kobiety; wszyscy jęczeli. Obok złożono dwa trupy, młode małżeństwo, które posilało się właśnie w chwili, gdy rozpoczął się nalot.

- Dobijcie mnie! - krzyczała siwowłosa kobieta z okrwawioną twarzą, podnosząc rękę, z której również ściekała krew. Nie było lekarza, nie było komu opatryć ran. Ktoś zaczął bandażować rannych prowizorycznie chusteczkami, kawałkami koszuli. Rozglądano się za jakimś autem czy wozem.

Jasiek Dziura patrzył na tę scenę z wyrazem grozy w oczach. Pierwszy raz pielgrzymuje w tłumie. Nie znał gromadnej śmierci, zbiorowego oblędu i paniki. Zobaczył matki, które w drodze pogubiły dzieci, zobaczył trupy w lasach i wsiach, zobaczył śmierć szalejącą z góry nad stadem istot rzekomo rozumnych, które straciły resztki instynktu, już nie rozumu; uciekinierów ostrzelanych salwami karabinów maszynowych z niewielkiej wysokości. Ujrzał tragiczny bilans masakry: poukładanych rzędem na trawie w oczekiwaniu lekarzy trzydziestu siedmiu rannych i dziewięciu zabitych. Sam rachował, sam przenosił ciepłe bezwładne ciała. Leżało czterdzieści sześć martwych i półżywych ciał pośród straszego płaczu pozostałych przy życiu. Zwycięzcy mogli być dumni z sukcesu.

Wschód słońca, złoty i pogodny, zastał Jaśka wkraczającego do Frampola. Miasteczko wyglądało jak po przejściu zarazy. Domy wyludnione, ulice bez śladu życia, okna powybijane, drzwi zabite deskami, sklepy zdemolowane. Od rana poczęło grzać bezlitośnie niebo. Na rynku we Frampolu rozległ się zgiełk. Gromada Żydów biegła w stronę bóżnicy.

- Pali się!

Uciekinierzy płynący falą przez główną ulicę miasteczka na trakt lubelski rzucili się w kąt rynku, stamtąd w dół ku starym żydowskim ruderom, skąd wionął wysoki słup ognia. Mieszkańcy Frampola powyłazili z piwnic, zjawili się nawet paru strażaków w hełmach z prymitywną sikawką. Zaczęto donosić wodę do gumowego węża, już było za późno, ogień przerzucił się na drugą stronę ulicy, trzeba było się cofać z sikawką. Nie pomogła straż pożarna, Żydzi zaczęli na gwałt opróżniać mieszkania i wynosić meble na obszerny rynek. Gromada śmielszych młodzików kradła bezczelnie z parterowych domów, co się dało. Jaś Dziura przyłączył się wraz z innymi do akcji ratunkowej. Kiedy jednak zbiegowie zauważyli, iż ogień chłonie bez żadnej przeszkody dom za domem i liże już iskrami drewniane gonty na ich dachu, opuścili ręce, zeszli z drabin, pomykając dalej w swoją drogę.

- Niech się pali. Nie damy rady.
- Skąd ten ogień?
- Ktoś podpalił bóżnicę.
- Szpieg niemiecki - wyjaśnił ktoś lepiej poinformowany.
- Złapano go. Spuszczony był z samolotu.

Znów zawarczał nad nimi łoskot silników. Rozpierzchli się w bok od drogi. Przycupnęli w trawie, rachując samoloty w górze. Naliczyli dwanaście; płynęły wysoko ze wschodu na zachód. Nie zniżały się nad drogą. Wracały do baz po spełnieniu zadania.

Za drugim nawrotem popołudniowym samoloty były bardziej gniewne. Nic dziwnego; wiozły ładunek. Wypatrywały wojsk, nurkowały nad lasami; tropiły przegrupowania przeciwnika, waliły w przypuszczalne skupienia żołnierzy, siekły z broni automatycznej zawzięcie i dziko. Żadna kula z dołu nie wzniosła się ku nim. Pełnym galopem przejechały w kurzu trzy furmanki parokonne naładowane policjantami. Jasiek ze złością ścisnął browning w kieszeni.

- Patrz, jak wyrrywają - syknął przez zęby do Żabickiego. - Na furmankach! Nawet karabinów nie zdążyli zabrać.

- Kobiety z dziećmi pieszo idą przez piachy i w dodatku taszcą ciężkie toboły. Gdzieby który ustąpił miejsca na wozie!

Ku wieczorowi ruch ludzi nie zmniejszył się. We wsi nie było nic do jedzenia.

- Wyżarli wszystko, panie! - tłumaczyła kobiecina. - Tu już od dziesięciu dni piekło nad nami. Ludzie powariowali czy co?

Uciekinierzy rozłożyli się w stodołach, pod chałupami jedząc głąby kalarepy zerwane w polu. Zasypiali prawie natychmiast, zmożeni zmęczeniem.

Dziura odszedł od drogi do następnej wsi. - Zobaczą, tam może tyle ludzi nie było i nie obskubali wszystkiego.

Choć było i tam nietęgo, lepiej jednak niż przy trakcie. Dał za bochenek chleba złotówkę. Jadł razem z kolegą gryząc ze smakiem suchą pajdę.

- Już dziś nie pójdziemy dalej. Przenocujcie nas, kobietko.
- Legnijcie sobie, gdzie chcecie.
- Nie boicie się?
- Czego bym się bała, panie?
- Gdzie wasz mąż?
- Poszedł na wojnę.
- Dobranoc.

W stodole spały już dwie rodziny na klepisku chudo pokrytym słomą. Jasiek położył się jak długi w ubraniu. Któraż to noc jego wędrówki?

Obudził go odgłos strzałów. Gdzieś niedaleko terkotały karabiny maszynowe. Oglądał się długo, nawoływał Żabickiego, towarzysz znikł bez śladu. Wyszedł na dwór. Obie rodziny zaalarmowane palbą wyruszały już w drogę. Poprawiano plecaki.

- Nie wiecie państwo, gdzie się podział mój kolega?
- Nie było go, jak zaczęliśmy się zbierać.
- Dokąd idziecie?
- Tam gdzie nie ma Niemca. Na Lublin - pokazywali w ciemności na północ. - Tam wszyscy idą.

Machinalnie, jakby od dawna był przyzwyczajony do tego, zabrał tobolek i wyszedł. Wśród nocy rozróżniał zarysy mijanych uciekinierów. Wdał się w rozmowę z dwoma młodzieńcami.

- Skąd panowie idą?
- Z Warszawy. A pan?
- Spod Krakowa.

Opowiadali mu, jak przedarli się przez łańcuch wojsk niemieckich otaczających Warszawę. Szli najpierw na Kielce. Dowiedzieli się, że od strony Krakowa jada czołgi niemieckie, skręcili więc na wschód, na Sandomierz.

- A teraz dokąd chcecie iść? Bo ja już całkiem głupi jestem z tego - pytał Jasiek. - Ludzie idą, aby tylko uciekać. Ale dokąd?

- Chcieliśmy iść na Lwów, ale tam podobno są walki pod Rzeszowem i Przemyślem. Może na Lublin się da. A stamtąd w razie czego przejdziemy przez Bug na Wołyń.

- Ja też w tamtą stronę.

Powoli wstawał świt. W świetle brzasku zobaczyli dwa roztrzaskane auta leżące w kurzu. Pierwsze, pozbawione kół przednich, upadło w piasek po osie, jak na kolana.

Od rana rozpoczynało się granie samolotów. Już dwunasty dzień panoszyły się bezkarnie po niebie eskadry huczących motorów.

- Chyba Boga nie ma na niebie, że oni nas tak mordują!

- Jakże tam może być Bóg na niebie, kiedy stamtąd właśnie bomby lecą? - podśmiewał się ironicznie Jasiek gryząc kawałek karpia. Tym razem miał za towarzyszy młodych pocztowców z Krakowa.

Nie było co jeść po drodze. Za bochenek chleba żądano dwanaście złotych. Wszystko gnało jak opętane na wschód.

I Jasiek dał się ponieść fali płynącej ku ocaleniu. Ale już ktoś rozpuścił głuchą, ponurą pogłoskę, że przed nimi w miasteczku Szczepieszynie na rynku stanęły trzy czołgi niemieckie, z których ostrzelano domy, a następnie czołgi znikły jak zjawy. Wojska desantowe wroga mają się jakoby znajdować w Tomaszowie, Lublinie i Zamościu. Wieczorem na drodze do stacji Zwierzyniec ujrzano palącą się ruinę. Tu stał tartak zniszczony dziś rano przez bombę. Trzy kilometry dalej gorzała wieś Liszki, przez którą przebiegał tor kolejowy; wieś obrzucono rankiem bombami zapalającymi. Były więzień nocował we wsi Zielona pod strzechą otwartej stodoły wraz z liczną gromadą uciekinierów spod Warszawy. Długo w noc nie spano.

O wschodzie słońca podjęto pielgrzymkę na północny wschód w kierunku Chełma. Jan Dziura wszedł w lasy sosnowe przy akompaniamencie bomb. W odległości niecałej mili lotnicy bili w gęsto zarośnięty las. W dzień bowiem kolumny armii polskiej kryły się w lasach przed atakami z powietrza, nocą dopiero kontynuując marsz. Tu po raz drugi w ciągu swej wędrówki Jasiek miał sposobność obserwować walkę artylerii polskiej z samolotami napastnika. Co chwila jeden z samolotów nurkował z wysoka, waląc się w dół całym gazem, zrzucal bomby, pluł z karabinu maszynowego; z dołu odpowiadały nurkowcom działa przeciwlotnicze. Niestety Jasiek skonstatował z przykrością, że z walki tej zwycięsko wyszli lotnicy niemieccy. Ani jedna z kilkunastu atakujących maszyn nie stała się ofiarą zażartego oporu Polaków. Wyzbywszy się swego ciężaru, samoloty popłynęły na zachód.

W południe znalazł się w Szczepieszynie. Całe rodziny z dziećmi koczowały w parku opodal zgliszcz spalonej leśniczówki. Tutejszy leśniczy, Niemiec z pochodzenia, miał ukryty w piwnicy nadajnik krótkofalowy, za pomocą którego informował lotnictwo napastnicze o przegrupowaniach oddziałów polskich. Dlatego, mimo iż kolumny podczas dnia zaszywały

się nieruchomo w lasach, były regularnie bombardowane przez wroga, który znał dokładną pozycję ich ukrycia. Dziś nocą leśniczego przyłapano na gorącym uczynku, przy aparacie radiowym. Rozstrzelano zdrajcę bez sądu, a dom spalono.

Po południu Jasiak kąpał się w Wieprzu z dwoma znajomymi. Woda była po kolana, wieś nazywała się Niwka. Kąpali się nago, pozostawiając ubrania w krzakach. Wnet wypędził ich z rzeki łoskot bomb; lotnik rzucał bomby na krowy pasące się po łąkach. Nie trafił ani jednej.

- Szkoda. Mielibyśmy przynajmniej mięso - zauważył z przekąsem Jasiak.

W drodze dogoniła ich nieprawdopodobna wiadomość: oto do Zamościa, który znajdował się na ich szlaku, wjechały czołgi niemieckie. Tak mówili ci, którzy szli z powrotem z północnego wschodu, wycofując się ze strefy ogarniętej przez wroga.

- Co to jest? Uciekamy przed Niemcami, a Niemcy są przed nami?

Z ciemnej ławy lasów na wschodzie odezwała się głucha kanonada dział, terkotanie karabinów maszynowych, krótkie, klaszczące szczekanie karabinów ręcznych, wściekłe dudnienie samolotów i gwałtowny łoskot bomb.

Nagła pustka zapanowała na drogach, ścieżkach, w lasach. Od strony wsi Zielona nadjechała w pędzie furmanka wypełniona ludźmi. Wszyscy na wozie byli podnieceni. Wykrzykiwali ze zdenerwowania, pokazując za siebie:

- Idą czołgi niemieckie!

- Gdzie?

- Za nami. Od Zawady.

Wóz wjechał w drogę wiejską pomiędzy chałupy.

- Ja wracam do Zielonej - rzekł nagle Jasiak. - Idziecie ze mną? - zwrócił się do pocztowców.

- Idziemy. Co będzie, to będzie. Chodźmy lepiej lasem, nie drogą. Czołgi lasem nie pójdą. Zobaczymy, czy to prawda.

- Od Zielonej biegnie droga na Krasnystaw, ominie Zamość - tłumaczył Jasiak towarzyszom. - O ile to w ogóle prawda, że tam są Niemcy. Strach ma wielkie oczy.

Co parę minut spotykali uciekinierów, z których każdy mówił, że od Zawady jada niemieckie auta pancerne. Po kwadransie usłyszeli rzeczywiście głuche dudnienie. Wyjrzeni na drogę, była opustoszała.

- Tam w krzakach są jacyś ludzie.

Bystre oczy Jaśka dojrzały wśród gałęzi skierowaną ku drodze lufę karabinu maszynowego. Obok na ziemi leżało pięciu policjantów z karabinami, paląc papierosy, oraz

trzech cywilów. Jasiak drgnął instynktownie na widok policjantów, gdy przechodził koło nich.

„Co mi zrobią? Przecież nikt nie wie, że jestem więźniem. A zresztą więźniów wypuścili.”

W tej chwili zabrzmiał głos z krzaków, niski, stanowczy głos. Można by go rozpoznać, gdyby nawet zabrzmiał z piekła:

- Dziura!

Młodzieniec stanął i odwrócił się. Z ziemi podniósł się barczysty policjant, wyprostował się leniwie, wyjął papierosa z ust i wolno podchodził ku Janosikowi.

- Dziura, tak? Jak się mamy?

Tamten w okamgnieniu ochłonął z wrażenia. Wytrzymał wzrokiem spojrzenie policjanta i odpowiedział zimnym tonem, w którym czaiła się wściekłość: - Wojnę mamy, panie Witkowski.

- No, no, kto by się spodziewał, że się z panem zobaczę.

- Góra z górą się nie zejdzie, powiadają.

- Wypuścili was?

- Tak.

Mierzył zniechęconego wroga spojrzeniem. „Jak się zbliży do mnie, trzepnę go w mordę - pomyślał. - Niech się dzieje, co chce.”

Ale tamten nie zbliżył się. Uczuł instynktowny lęk przed byłym skazańcem, który się urwał spod stryczka.

- Tak, tak, wojnę mamy, panie Dziura - rzekł pojednawczo. -. Ale między nami wojny już nie ma. Teraz jest tylko jeden wróg. A nasza kłótnia już przekreślona. Sąd pana osądził. Co mnie to obchodzi? Niech pan sobie zapali papierosa.

Młodzieniec zapalił i podejrzliwie sondował Witkowskiego zmrużonymi oczyma.

- Ja tu idę z kolegami - wskazał na trzech pocztowców.

- Zostańcie z nami. Mają iść desanty na motocyklach. Przywitamy ich.

- Dobrze, zostanę - zdecydował się Jasiak.

- My idziemy do Zielonej - odpowiedzieli tamci.

- Armia niemiecka podchodzi pod Lublin - powiedział Witkowski - a na południu bitwa jest w COP-ie pod Mielcem. Tu grasują tylko dywersanci i szpiedzy na motocyklach. To oni rozpuszczają pogłoski, że oddziały niemieckie są tuż, tuż, że Zamość zajęty, że czołgi niemieckie walą na Chełm. Bujda!

- Bujda? - Jasiak pożałował, że wrócił.

- Naturalnie. Przed chwilą doniesiono nam, że w Szczepieszynie znajduje się kilka motocykli niemieckich, zapewne zabłąkanych. Zaczęli strzelać z karabinów maszynowych pod kościołem, wszyscy naokoło w nogi. I zaczęto oczywiście mówić, że cała armia niemiecka idzie z wozami pancernymi. Ma pan broń, panie Dziura?

- Mam.

- Tak sobie od razu pomyślałem - uśmiechnął się policjant.

- Niech mi pan powie, panie Witkowski, co słyhać w Przyborowie? Co z moją żoną i dzieckiem?

- Nie wiem. Od lipca zeszłego roku przenieśliem się do Wapienicy.

- Ach tak. Nic nie wiem, co się tam z nimi stało, widziałem się z żoną ostatni raz w sierpniu.

- Ma pan dziecko?

- Mam. Syna.

- Słyszałem o pańskim ślubie w więzieniu. Ja nie życzę panu nic złego, panie Dziura. Spełniłem tylko swój obowiązek. Wiedziałem, że z pana może być dobry człowiek. Teraz już to dla mnie nieważne, żeśmy niegdyś byli w niezgodzie ze sobą. Pan mi nie ma za złe tego, panie Dziura, że pana ścigał?

- Nie - uciał krótko tamten.

- Wojna jest, trudno. Wszystko się przewróciło do góry nogami.

- Kiedy pan wyjechał z Wapienicy?

- Pierwszego września, w pierwszy dzień wojny. Tego samego dnia Niemcy weszli od słowackiej granicy przez Korbielów.

- Walki były?

- W Żywcu podobno był opór, ale krótko. Kiedy maszerowaliśmy ulicami przez Bielsko, ludność cywilna niemiecka strzelała do nas z okien. Kiedy z Białej wycofywało się nasze wojsko na Kęty, to z krzaków dywersanci niemieccy i tamtejsi mieszkańcy-Niemcy kropili z zasadzki do naszych.

- Kraków zajęty?

- Naturalnie. Pod Andrychowem trochę ich nasi wstrzymali; była bitwa, ale Niemcy już nadchodzili z drugiej strony gościńcem zakopiańskim i pokazali się w Suchej. Groziło nam odcięcie. Wycofaliśmy się razem z wojskiem pod Kraków; później pod Bochnię. Potem odłączyliśmy się.

- Chciałbym wiedzieć, co tam jest z moimi w Przyborowie!

- I ja zostawiłem żonę w Wapienicy. Ożeniłem się po raz drugi, jeszcze nie ma roku -

dodał wyjaśniająco. - I też nie wiem, kiedy wrócę do domu.

- To nasze wojsko nie było się wcale?

- Jakże nie? Widziałem sam, jak walczyli na Sole. Jak lwy, to bohaterzy. Jeden poszedł wysadzać w powietrze most i sam się rozerwał dobrowolnie, bo już nie miał czasu się wycofać. Ale Niemcy mieli przewagę. Zaskoczyli nas. Przeszli przez Słowację. Kto mógł się spodziewać, że z gór przyjdą czołgi niemieckie? A samoloty ich napuściły desantów w lasach, aż gęsto. Szpiegów było pełno wśród ludności niemieckiej. Wyhodowaliśmy sobie żmije. Gdzie te czasy - zachłysnął się dymem zdenerwowany - gdyśmy za sobą gonili po Babiej Górze, panie Dziura, co?

Tamten milczał chmurny, zasepiony, wpatrzony w kępę jałowców.

- My teraz jesteśmy dobrzy znajomi, panie Dziura - napierał polubownie policjant. - Nie czas teraz na kłótnie.

- Jada! - krzyknął ktoś w krzakach. Zrobił się ruch, policjanci wstali, chwycili za karabiny; trzech cywile usiedli przy karabinie maszynowym.

Odezwał się terkot motoru.

- To oni!

Wszyscy utkwili oczy w białej wstędze drogi, małym wycinku serpentyny, wijącym się przed nimi w odległości nie większej od trzydziestu metrów. Policjanci oparli się o pnie sosen; na samym przedzie Witkowski położył się na mchu, wycelował karabin w drogę, nieco za nim legł Jasek z wyciągniętym rewolwerem.

- Jeśli będą Niemcy, to w zielonych mundurach - informował po cichu Witkowski.

Nie było czasu na odpowiedź. Przed wzrokiem zaczajonych wypadł z hukiem na drogę motocykl z przyczepą. Śmignął w szybkim pędzie i choć z miejsca przywitał go terkot broni automatycznej z krzaków, już był poza zakrętem. Wnet za nim wpadł na drogę drugi; jeden żołnierz przy kierownicy, drugi w przyczepce; obaj w hełmach. Byli przerażeni. Karabin maszynowy z zasadzki zawarczał, obaj drgnęli, ale motor nie zmienił biegu. Zielony z boku kiwnął się nagle, jakby kłaniając się policjantom. Motocykl jednak szedł gładko dalej. Jasek wziął karabin od Witkowskiego, wypalił w plecy do kierowcy, gdy ten zniknął za zakrętem. Kula była niezawodna. Słyszano, jak za chwilę motor zarył się w rów i przestał grać.

Nadjeżdżał trzeci motocykl. Ten śmigał jeszcze prędzej, ale już w pędzie odstrzeliwał się napastnikom zza krzaków. Z motocyklowej przyczepy karabin maszynowy pluł w las jednostajnym rytmem. Obaj zieloni, kierowca i strzelec, zwiesili głowy w dół bezwładnie, jak na komendę; jednemu hełm spadł na drogę. Motocykl zakołował, wywrócił się wraz z żołnierzami. Koła obracały się w powietrzu, silnik szedł w dalszym ciągu.

Z ogłuszającym hałasem zatrzymał się w połowie drogi czwarty motocykl napotkawszy przeszkodę. Żołnierz w tyle wycelował karabin maszynowy w krzaki; w terkocie motoru słycać było jednostajne, szybkie pukanie broni automatycznej, taśma wywijala się spod zamka.

Strzelały zażarcie obie strony. Za chwilę przestali Niemcy. Obaj żołnierze upadli w biały kurz drogi. Motocykl pracował dalej. Nagle z lewego boku przywitał zwycięzców ukrytych w zasadzce grad strzałów. Pierwszy motocykl zawrócił w pomoc napadniętym. Witkowski za krzaczkiem krzyknął i Jasiak zobaczył, jak policjant oparł głowę o lufę swego karabinu. Automat Polaków dzielnie spełniał swoje zadanie, nieznużenie plując na lewą flankę. Motocykl uciekał, nie osłabiwszy jednak ognia swojej broni. Policjanci zerwali się spod krzaków i pobiegli lasem, aby z drugiej strony wziąć w ostrzał Niemców. Jasiak szarpnął za spodnie policjanta.

- Panie Witkowski - zawołał. - Panie Witkowski!

Odpowiedział mu zdławiony jęk. Strzelanina nie ustawała. Nie bacząc na ogień, poderwał się Jasiak na kolana, chwycił za ramiona leżącego towarzysza, obrócił go ku sobie. Z szyi pod uchem sączyła się struga krwi.

- Panie Witkowski! - krzyknął przestraszony. Wstał i zaczął ciągnąć za nogi policjanta po mchu między krzakami w głąb lasu. Odciągnąwszy rannego kilka metrów w jałowce, wziął go na ramiona i poniosł dalej w gąszcze.

Palba na szosie nasiliła się, słycać było terkotanie nowych motorów. Jasiak unosił swojego dawnego śmiertelnego wroga z dala od niszczącej kośby walki.

Po kwadransie złożył swój ciężar na mchu pod sosną. Jak echo z daleka, może z odległości jednego kilometra, słycać było pojedyncze strzały karabinowe, później wszystko umilkło. Witkowski miał oczy w półprzymknięte.

- Daj mi wody, Dziura.

Ten rozglądał się zakłopotany naokoło. Skąd tu dostać wody? Nie wiadomo, gdzie wieś, jak donieść rannego do wody? Pomógł mu sam policjant, usiłując nieudolnie odciąć płaską manierkę przytroczoną do pasa. Młodzieniec powąchał.

- Wódka.

Spróbował łyk: rzeczywiście. Przytknął do ust rannemu. Witkowski pił chciwie. Po paru łyczkach otrzeźwiał, oprzytomniał, alkohol wlewał mu gorąco w żyły.

- Gdzie my jesteśmy, panie Dziura?

- W lesie. Ranili pana.

- Dranie! - nie podnosił głowy z ziemi. - To już mój koniec. Jedna kula w szyi, druga

na piersi albo w ramieniu. - Poruszył ręką, jakby chciał dotknąć zranionego miejsca, aby się upewnić, gdzie ono. Ale skończyło się tylko na ruchu. Jasiak spojrzał na ramię. Pod srebrną patką naramiennika tkwił wlot kuli. Jakże to? Witkowski ma dwie patki; więc awansował od tamtego roku. Dopiero teraz zdążył to zauważyć. Rozpiął pas rannemu, zdjął bluzę; pod lewym ramieniem widniał ślad drugiej kuli z lekką niteczką krwi wyciekłej pod pachą.

- Oj, panie Witkowski, niedobrze. Druga kula - mruknął. Uniósł go nieco, zajrzał na plecy, czy strzał nie przeszedł na wylot. Nie, obie kule siedzą w ciele. - Spróbuję pana zanieść gdzieś do wsi. Choć nie wiem, gdzie tu wieś. Boję się tylko, aby mi pan nie osłabł w drodze.

- Nie, nie - zaprotestował ranny - niech mnie pan stąd nie rusza. Niech mi pan da się jeszcze napić.

Przechylił manierkę przy pomocy Dziury, po paru łykach oczy nabrały żywszego wyrazu. Opadł na suchą cetynę sosnową.

- Gdzie mój karabin? - zaniepokoił się.

- Został tam na miejscu.

- Jak to? Policjant bez karabinu?

- Co się pan będzie o karabin martwił? Po jaką cholere panu potrzebny teraz karabin?

- Jakby co było...

- Jakby co było, ja mam rewolwer. Tak grzali naokoło, że musiałem z panem czym prędzej wywiać z krzaków.

- A jak się skończyło? Wykropiliśmy Niemców?

- Tak.

- Co do jednego?

- Co do jednego.

- To dobrze - westchnął z ulgą Witkowski. - Panie Dziura - skrzywił się w uśmiechu - taki dziwny los nas sprzęgnął razem. Kto to by pomyślał, że się jeszcze kiedy zobaczymy? I że pan będzie asystował przy mojej śmierci?

- Zaniósę pana do wsi, zawoła się lekarza, opatrzy panu rany. Niech pan bzdur nie opowiada.

- Mnie tam już nie do życia. Wojna jest, panie Dziura. Tyle lat człowiek narażał się na kule, że wreszcie dostał je w ciało. Ale dostałem kulę od Niemca. Tyś jest dobry człowiek, Dziura, ja to wiedziałem od razu, chociaż darliśmy koty ze sobą. Wojna nas pogodziła. Chciałbym z tobą iść jeszcze walczyć przeciw tym draniom. Trudno. Pamiętaj, pierwszego Niemca, jakiego ubijesz, zabij z zemsty za mnie. Nie myśl, że ci jestem wrogiem; byłem nim dawniej, teraz już nie. Teraz mamy obaj jednego wroga. Tyś jest dobry człowiek. A ja byłem

świnia.

- Panie Witkowski, jak to było z tymi ulotkami komunistycznymi, któreście u mnie znaleźli?

- Ja je panu podrzuciłem. Przyznam się panu: dużo łotrostw wobec pana popełniłem. Taką miałem ambicję: żeby Dziurę zniszczyć. I dopiąłem swego. Ja panu włożyłem do kieszeni ulotki. Tak samo było z willą Matuszka w Korbielowie.

- Jak było?

- On sam ogień podłożył, aby pobrać asekurację. Umówiony był ze mną, że się to na Janosika zwali. Dostałem od niego za to pięć setek.

- Wy spaliliście Juraszka na Głuchaczkach?

- Nie. Gałaś. Ale przez nas podpłacony.

- Co chcieliście od niego?

- Aby wzbudzić w nim przeciw tobie złość i zemstę. Władek Juraszek pracował z nami od roku i śledził ciebie. Bałem się, że się przelęknie i przejdzie na twoją stronę. Musiałem go nastroić przeciwko tobie. I tak z Głuchaczek już śladu nie ma.

- Wiem o tym.

- Ja rozpędziłem Głuchaczki, bo sołtys Kamieniecki chciał tam grunt kupić. Dostałem za to trzy tysiące złotych łapówki. Panie Dziura, niech mi pan przebaczy. A i tak sam Pan Bóg nad panem czuwa, bo pan się z wszystkich opresji wywinął i spod szubienicy pan się wyrwał. A teraz i z więzienia pana puścili. To się nazywa mieć szczęście. Ja zaś ginę od kul tych psubratów. Niech pan mnie źle nie sądzi. Byłem łajdakiem, wszyscy popełniamy grzechy. I pan ich też dość miał na sumieniu. Pogódźmy się.

- Kto zabił Ćwiertniaka?

- My z tym nie mieliśmy nic wspólnego. Ale po tej kartce w kieszeni zabitego poznaliśmy, że to nie pańska robota. To było za grubo szyte. Później wyszło na jaw, w dwa miesiące potem; brat jego powiesił się z wyrzutów sumienia i w liście przyznał się do wszystkiego.

Krew pod uchem zaczęła sączyć się intensywniej. Ranny zasyczał z bólu.

- Niech mi pan wleje trochę wódki do gardła. Pragnienie mam straszne.

Ożywił się po wódce, rozejrzał się raźniej po drzewach, pokiwał głową.

- Gdzie to się człowiek płacze, po jakich wertepach!

Jasiek zapalił papierosa, podjął Witkowskiego z ziemi, przerzucił go sobie ostrożnie przez ramię i zaczął iść ścieżką.

- Gdzie pan idzie ze mną? - jęknął ranny.

- Do wsi. Złożę pana w chałupie, poszukamy lekarza. Trzeba opatrzyć rany.

- Po diabła mi lekarza?

Jasiek poprawił lekko ciężar na prawym ramieniu i pomyślał z obrzydzeniem: „Na co mi to przyszło? Policjanta pielęgnować!”

Przełaził przez potok. Woda nieprzyjemnie chlupotała mu po kostkach. „A może rzucić go do potoku, pies mu mordę lizał? Może dojdzie prędzej.”

Policjant począł się buntować na barkach Janosika. Prostował pierś, rękami łopotał.

- Złóż mnie pan tutaj, na trawie.

Jasiek posłuchał. Rzadkie sosenki rosły opodal, zmierzch otulał ziemię czarnym oparem. Rzeczywiście nie ma sensu taszczyć go do wsi, nie wiadomo, jak to daleko jeszcze.

A przecież we wsi i tak lekarza nie ma. I to teraz, podczas wojny!

- Dziura! - rozległ się mętny głos rannego. - Wódki nie ma?

- Już nie ma.

- Jeszcze panu jedno powiem, aby mi było lżej. Może mnie pan potem dobić, jak pan chce. Ja pana biłem kastetem owiniętym w mokry ręcznik owej nocy, kiedy pan siedział w komisariacie w Żywcu. Taką złość straszną miałem na ciebie. Przebacz mi, że cię biłem.

Janosikowi zrobiło się gorąco. „Chyba Bóg sam zesłał mi go w ręce - pomyślał. - Wziąć go za łeb i tryknąć nim porządnie o pień drzewa ze dwa, trzy razy i wystarczy. To on, cholera, mnie w nocy wtedy tak skatował.” Witkowski czuł myśli Jaśkowe pod czaszką. Naparł się:

- Dziura, słyszysz mnie? Ja cię biłem mokrą ścierką, ale teraz umieram. Przebaczysz mi? Żałuję tego. Przebaczysz?

Młodzieniec odchrząknął, wpatrzył się zimno w oczy policjanta - znał dobrze te świdrujące oczka - i odrzekł twardo:

- Trudno. Skoro pan umiera, przebaczam.

Czy zdawało się Janosikowi w oćmie nadchodzącego zmierzchu, że łyzy zabłyśły w małych oczkach śmiertelnego wroga? Ach, nikt nie jest z żelaza. I Jasiek czuje, jak jego ręka wędruje ku włosom leżącego, jak gładzi szorstką szczecinę na głowie.

- Jednego człowieka znałem, prawdziwego człowieka. Jego przez tyle lat ścigałem. Bo był przestępcą. Ale jestem szczęśliwy. Przebaczyłeś mi, Dziura.

Rzeczywiście, Witkowski płacze!

- Nie wiedziałem, że na tej wojnie zginę. I wojna wybuchła tak niespodziewanie, i mnie przyszło na koniec tak niespodziewanie. Pogódźmy się, panie Dziura. Mam żonę młodą w Wapienicy, dziecko ma mieć w listopadzie. Tak chciałem doczekać się dziecka!

Jasiek uważnie wpatruje się w policjanta. Nienawidził go od dwóch lat, odkąd go poznał, i miał słuszne podstawy do przypuszczenia, że nienawiść tamtego względem niego nie będzie mniejsza. A teraz Witkowski jednym tchem - jakże słabym! - zdmuchuje z siebie całe brzemie nienawiści, jak gdyby to była drobna rzecz. Wojowali ze sobą na śmierć i życie, a on chce powiedzieć: „Nie myśl o tym, to było głupstwo, już nie pamiętajmy sobie tego”. Umiera, niewątpliwie umiera. Wszystko, co było między nimi, wydaje się mało ważne i głupie. Jest wojna i ich spór, choć to był spór prawa ze zbrodnią, kurczy się do rozmiarów błahostki.

- Przebaczyłeś mi, tak?

To jest jego ostatnie pragnienie. Nie chciałby, aby ta niechęć wzajemna przeszła poza granicę życia „Wadziliśmy się tutaj, skończmy już tę zwadę.” Usiłował przewrócić się na bok; bez skutku. Zabelkotał:

- Niech mi pan poda rękę. Jasiek chwycił jego dłoń rozpaloną.

- Już odchodzę. Słuchaj mnie, Dziura. Słyszysz? - zawył.

- Słyszę.

- W kieszeni spodni mam pieniądze. Z górą tysiąc złotych. Weź sobie, daję ci, przydadzą ci się. Pozdrów moją żonę w Wapienicy, powiedz, że mnie już nie zobaczy. I dziecko mnie już nie zobaczy. A tak chciałem doczekać się dziecka! Wiesz, co to znaczy?

- Wiem. Ja mam dziecko.

- Prawda. Toś szczęśliwy, Dziura. Dziura, pogódźmy się.

Trzymali się za ręce. I w tym słabym przedśmiertnym uścisku odszedł starszy posterunkowy Witkowski w zaświaty, pojednany z wrogiem.

Mężnie walczył, mężnie zginął. Twarz jego wyszlachetniała po śmierci, rysy złagodniały, oblicze stało się pociągłe, znikł tak częsty grymas ironii koło ust. Spoczywał jakby zadowolony, co więcej, pod czarnymi wąsikami jakby się błogo uśmiechał. Z czego? Czy z tego, że umarł zaszczytnie w boju? Czy że nareszcie pogodził się ze śmiertelnym osobistym wrogiem i że koniec położyli wspólnej walce?

Przez godzinę niósł Jan Dziura na plecach zwłoki policjanta do wsi Gwoźnica, zagrzebanej w lasach dębowych. Ciało umarłego było niezwykle ciężkie; wspinał się z nim wąską ścieżką na długie, nudne wzgórze. Wszedł do samotnej chałupy. Zbito umrzykowi trumnę i pochowano tej samej nocy na pagórku zwanym Podskale. W oddali zaszczekały niespokojnie pojedyncze strzały; nad las wydźwignęła się luna pożaru. Dziura wpatrzył się w pożogę, usypując łopata mogiłę do spółki z miejscowym chłopem. Zatknięto sosnowy krzyż, na którym Jasiek wypisał imię i nazwisko oraz datę śmierci.

Noc przespał w Gwoźnicy. Nazajutrz o świcie zapłacił uczynnemu gospodarzowi sto złotych i ruszył zaopatrzony w portfel policjanta z powrotem na Krasnymstaw

Już czternaście dni uwijały się samoloty nad Polską, wykonując niezmordowanie swą precyzyjną robotę. Jan Dziura wyciągał nogi z piachu idąc drogą leśną pod Krasnymstawem. Fala ludzi ciągnęła do Chełma.

„Człowiek chyba żywcem utonie w tych piaskach” - westchnął, z utęsknieniem wspominając swoje góry. Myślał ciągle o nieprawdopodobnej, wyjątkowej w swym tragizmie przygodzie z Witkowskim. Było w tym coś z bajki, nie chciało mu się to zmieścić w mózgu, aby człowiek, który był jego zmorą przez tyle miesięcy, który wziął się na jego zgubę już nie żył. Jakby się mu śniło, że spotkał w swej ucieczce policjanta, który go na śmierć zagonił przed rokiem, i że w ciągu paru godzin asystował przy jego zgonie i sam go pogrzebał. To dziwne: Jasek przeżył tak wiele śmierci bliskich mu ludzi, a nie był obecny przy żadnej. Wszystkie odbywały się nagle, za jego plecami, nie znał więc grozy czyjegoś konania. A wczoraj po raz pierwszy żywy człowiek umarł mu na rękach. I to jaki człowiek! Było to tak niepodobne do prawdy, że gdyby nie portfel z dokumentami Witkowskiego w kieszeni, nigdy by sam Dziura nie uwierzył w tę historię.

Dokąd prowadziły go teraz umęczone nogi? Po co tu szedł? Wojsko cofa się ciągle. Ludność cywilna ucieka w popłochu już czternasty dzień. Dokąd? Bez celu. Niech mu dadzą karabin, będzie się bił tak jak Witkowski. Ale do kogo się zwrócić? Wszystko w nieładzie, wszystko w rozprężeniu.

- Nie trzeba chodzić tędy w dzień, tą leśną drogą - mówią naokoło. - Tylko nocą, bo w dzień Niemcy stale bombardują las i drogę. Pod Krasnymstawem są podobno ugrupowania polskiej artylerii i czołgów.

- Przedwczoraj pod Szczebrzeszynie - dodaje ktoś - czołgi i motocykle niemieckie wysiekły cały pułk wojska naszego w lesie podczas odwrotu. Bitwa trwała od południa do późnej nocy.

„Oho, to pewnie o naszej utarczce opowiadają” - pomyślał Janosik z przekąsem.

Koło drogi - dwa strome kopce świeżej ziemi; w nich zatknięte dwa krzyżyki z deseczek. Na krzyżykach - dwie czapki ułańskie. Dziura przypomniał sobie mogiłę starszego posterunkowego Witkowskiego na Podskalę we wsi Gwoźnica. Kiedyś przyjdzie tu jego żona odwiedzić ten grób. I dziecko, któremu nie dane było widzieć ojca. A grób uszykował ojcu bandyta, jego śmiertelny wróg; teraz prawie przyjaciel.

Za Krasnymstawem ożywiło się znowu. Drogą od Lublina pędziły auta ciężarowe, szły

transporty wojskowe. Przy przejściu przez rzeczkę obok zniszczonego mostu stał żołnierz na warcie.auta przejeżdżały poniżej po zaimprovizowanej kładce. Na miejscu objaśniono, iż most wysadził w powietrze za pomocą miny sabotażysta niemiecki spuszczonej z samolotu w okolicznych lasach. Mówiono nawet jego nazwisko; miał nim być syn właściciela browaru z Dawidowa, który przed rokiem zbiegł do Niemiec.

Na szosie idącej do Chełma uciekinierzy nie zaznali ani chwili spokoju. Co kwadrans nadlatywały nowe eskadry wroga, silniki grały złowrogo nad głowami, powietrze rozdzierał łoskot bomb, terkotały karabiny maszynowe, masa ludzka w panicznym przerażeniu pierzchała na wszystkie strony. Cierpieli wszyscy jednakowo, cywilni i wojskowi; nad wszystkimi unosiło się na pogodnym niebie głucho, metaliczne dudnienie bombowców jak wyrok nieuchronnej śmierci. Nie było bitew w tej wojnie, front był wszędzie; nie było wojska, wszyscy byli atakowani.

Dopiero późną nocą ułożył się Jasiek na spoczynek w przepelnionej ludźmi stodole. Noc była roziskrzona, widna, ciepła. Z dala od chałup niosło się uporczywe ujadanie psów. W stodole na klepisku żarzyły się ogniki papierosów; rozprawiano. Mało kto spał.

- A taki zapał był w społeczeństwie! Panie, ciągle „żywe torpedy” ogłaszały się w gazetach. Naród chce się bić. A my wciąż w odwrocie!

- Starzyński woła w radio: „Lud Warszawy wytrzymał i wytrzyma”. A podobno połowa Warszawy spalona i zniszczona. I kto wie, czy już Warszawa nie padła.

- Nie, Warszawa broni się. Ale Starzyński, panie, nie można powiedzieć, to silna postać.

- Dniem i nocą walą granaty w domy, dniem i nocą lecą bomby na stolicę. I długo się to utrzyma? Kiedy całe miasto dokoła oblężone, a Niemcy podobno w Lublinie?

- Niech pan tak nie mówi! Bronić się w takiej beznadziejnej sytuacji to dowód, żeśmy nie stracili ducha. To są właśnie Polacy. To piękne, to wspaniałe, to bohaterskie.

Tymczasem nie bacząc na noc najlepsza armia świata maszerowała w nieustannym ataku. Najznakomitsza broń współczesna zdawała świetnie egzamin. Najdoskonalsze kierownictwo wojskowe wszystkich czasów wygrywało wojnę; szybkimi rzutami zmotoryzowanych grup bitewnych, zmasowanym działaniem kolumn pancernych i lotnictwa pokonywało nieprzyjaciela. Gloria militarna Niemiec święciła swoje triumfy; olśniewająca jej aureola rozpalala się nad światem. Wiedźcie, co potrafi państwo, którego nie zgnębił traktat wersalski. *Deutschland, Deutschland über alles.*

Już po miastach w gorącym słońcu września chwiały się na zdobytych pozycjach chorągwie zaborczego państwa. W otoku czerwieni wypisany znak bluźnierczej wiary: krzyż z zakrzywionymi szponami. Czerń w morzu szkarłatu.

Szły jak pomruk burzy wojska dywizji zmotoryzowanych; huk pędzącego żelastwa niósł się złowrogo jak sygnał przemiany. Szybkie oddziały awangardy niemieckiej następowały na Bug. Zmieniała się historia. Domy wsi i miasteczek, które Dziura mijał w drodze, w czternastym dniu swej wędrówki dochodząc do Chełma, były wymarłe. Huk silnika samochodowego trwożył ludzi we śnie. „Czołgi niemieckie” - szeptali bladzi z przerażenia zrywając się z pościeli. W dzień wybuchy gazów spalinowych z rury wydechowej motocykla wpędzały mieszkańców do piwnic i schronów. Nieprzyjaciel panował nieprzerwanie w przestworzach. Wśród huku bomb na skraju lasu w samo południe kobieta karmiła dziecko; obnażała białe duże piersi, odbijające bielą od brązu twarzy. Ponad przepływającą ulewą śmierci dziecko ssało pokarm życia.

- Nieprzyjaciel był wszędzie: na przedzie, na tyłach, po bokach i w środku grup walczących. Walki trwały jednocześnie pod Warszawą, pod Krosnem, pod Lwowem, pod Białymstokiem, i pod Wilnem, a wróg działał już na kresach wschodnich, nad Prypecią, na Wileńszczyźnie, pod Tarnopolem. Nic dziwnego, że ludzie potracili głowy. Mieli jednak nadzieję, że lada chwila usłyszą o zwycięstwie polskiego oręża i że już stąd rozpocznie się opór przeciw wrogowi: że tu się skonsoliduje obrona i stąd zacznie się pościg za nieprzyjacielem.

W Chełmie był koniec świata. U wejścia do miasta droga zawałona wojskiem. Kopano na gwałt rowy w poprzek szosy; nieco dalej w ulicach powyrywano kamienie z bruków i ustawiono zapory przeciwczołgowe. Cywilnych mieszkańców nie wpuszczano podobno do miasta.

- Bzdury - machnął ręką Jasiek i obszedł polami kopiących przy drodze żołnierzy.

- Od północy czołgi niemieckie wjechały do miasta - mówiono. Nauczył się już nie wierzyć temu. Wozy z uciekinierami stały beznadziejnie w długim szeregu, dając pierwszeństwo przejazdu autom wojskowym. Dzieci płakały, matki krzyczały, mężczyźni przeklinali. Jaś Dziura przecisnął się ścieżyną koło rowu. Na podwórzu koszar dymiły resztki bombowca niemieckiego; masa pogiętego żelastwa. Ucieszył się tym widokiem. Jednak nie jesteśmy całkowicie bezsilni. Ulice pozamykano wałami stłoczonymi z kamieni powydzieranych z chodników. Gdzie indziej ziały przepastne dziury pośrodku jezdni: doły przeciwczołgowe. Przez barykady przemykali pojedynczo przechodnie. Podobno tutaj zorganizowano ośrodek oporu; kilka tysięcy żołnierzy koncentrowało się w lasach koło

Zawady; skupiono i artylerię.

- Po południu nadleciało kilkanaście samolotów z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Już od zachodniej granicy horyzontu nad lasami zaczęły spuszczać bomby. Łoskot wybuchów raz po raz rozdzierał powietrze. Rozległo się suche, krótkie szczekanie działek przeciwlotniczych. Samoloty uniosły się wyżej, rozluźniły szyk, lecz nie zaprzestały działania. Każdy z nich zataczał spirale nad lasem, okładając bombami koncentrację. Co chwilę znad wierzchołków drzew podnosił się czarny wytrysk ziemi i dymu, aż wszystkie samoloty, wyzbywszy się ładunku, pogoniły z powrotem na zachód. Ani jeden - ku zmartwieniu spoglądających w niebo - nie opadł na pole bitwy.

Odleciały po nowy ładunek. Ulice opustoszałe znów zaroily się bezładnym tłumem. Z nieba lał się tak oślepiający blask, że najodważniejszym odchodziła ochota do życia. Podczas obiadu, po który Dziura cisnął się w ogonku przed jakimś punktem zbiorczym, dwukrotnie samoloty nawiedziły miasto. Posypały się bomby na uprzednio już zbombardowaną stację kolejową oraz na nowe, nie zamieszkane bloki dzielnicy kolejowej Chełma. Jasiek rozłożył się na nocleg w na pół rozwalonej kamienicy, gdzie już koczowała w zdemolowanych pokojach cała gromada uchodźców. Spano na lichych wiązках słomy na podłodze. Jasiek zjadł cztery kupione na ulicy bułki, zapalił papierosa, obrócił się na bok i usnął.

Raniutko - słońce już było wysoko, a po błękitnie spacerowały samoloty - wmieszał się w ciżbę ludzi płynącą ulicami.

- Dokąd idziecie? - zapytywał, porwany prądem w stronę katedry na wzgórzu.

- Za Bug! Na Wołyń! Na Polesie! - powtarzano ściskając w rękach tobołki, ciągnąc swe maleństwa za sobą. Tu już nie widziało się furmanek; ostatki, jakie szły drogami, zarekwirowało wojsko na podwoły.

- Za Bug! Na Wołyń! Na Polesie! - powtarzano rozpaczliwie, a zarazem gromko, jakby te okrzyki były akordami zwycięstwa lub co najmniej sygnałami do boju.

- Uważajcie, bo most w Dorohobużu jest rozbity przez Niemców. Jak przejdziecie przez rzekę?

Niektórzy zawracali bezradnie.

- Więc gdzie? - pytali.

- My na południe, na Tomaszów Lubelski. A stamtąd na Lwów.

- Jeśli most w Dorohobużu zerwany, pójdziemy na Brześć - odpowiadali inni, nie zrażeni.

- Ja znam te tereny - objaśnił jakiś znawca. - Bug jest płytki, woda sięga po kolana w najgłębszym miejscu. Przejdę do Kowla.

- W Kowlu są Niemcy - mitygował go inny.

Dziura nie pytał nikogo, tylko szedł. „Gdybym chciał wierzyć wszystkiemu, co mówią, zwariowałbym.”

Od woźniców taborowych dowiedział się, iż wojska polskie cofają się na Horochów i Tomaszów. Ze wzgórza w mroku późnego wieczoru zobaczył świeżą łunę na północy. Płonęła wieś zapalona bombami. Widać było wyraźnie, jak gorzały pojedyncze chałupy. Przypomniawszy sobie pożary domostw, które ongiś wszczynał z zemsty. W przygnębieniu spoglądał na obraz buchającego ognia. Zmartwiony i znużony wszedł pod dach napotkanej stodoły i usnął.

Obudził go zgiełk o północy. Ze stodoły wysypywali się policjanci kwaterujący tu w ucieczce. Któryś z nich podniósł alarm, że do Chełma zajęte od południa czołgi niemieckie i stoją na rynku. Wobec tego trzeba uciekać natychmiast. Oporządzili oddział w parę minut i odeszli. Dziura pomyślał: jeśli policjanci mówią, że trzeba wiać, to znaczy, że Niemcy za dwa dni tu będą. Wiedział o tym z dotychczasowego doświadczenia, że policja umykała na parę dni przed niebezpieczeństwem. Uspokoiwszy się więc co do swych obliczeń, wlaźł do stodoły i usnął na sianie ciepłym jeszcze po poprzednikach.

Właśnie opuszczał rankiem miejsce noclegu, gdy natknął się na zagubiony przed paru dniami znajomy oddziałek strzelców. Z radością przystał do odnalezionych towarzyszy. Maszerowali w kierunku Kowla, gdyż tam chciał ich porucznik oddać w ręce władz wojskowych, które miały ich przeciwzić.

- My już szukamy od samego Krakowa takiego miejsca w kadrze, gdzie można by chłopców spokojnie przeszkolić. Przecież to młode, ledwo karabin udźwignie,

Liczba oddziałku stopniała, było nie więcej niż dwunastu chłopców w wieku od 15 do 18 lat. Wiadomości nie były pocieszające. Wszędzie w miastach naokoło ich szlaku mieli już być Niemcy.

Co robić? Porucznik zdjął okulary, przetarł oczy, później szkła. Dziura wybawił go z opresji.

- Nie wierzyć plotkom, panie poruczniku. Gdy szedłem do Krasnegostawu, miały stać w mieście czołgi, tak mi wszyscy po drodze mówili. Przyszedłem, ani śladu Niemca nigdzie. Chodźmy tam, dokąd się wybraliśmy.

- A po co panowie pchacie się na Kowel? - zagadnął rozprawiających młody mężczyzna w kaszkiecie, brunet z gęstym, nie golonym od wielu dni zarostem na twarzy. - Ja się właśnie stamtąd wyrwałem.

- Dlaczego?

- Chłopi po wsiach zaczęli się ruszać. My ze wschodu wiejemy na zachód. W każdym razie człowiek jest między swoimi. Jaki sens tam uciekać?

- Ale tu mogą nadejść Niemcy.

- Oni są już i tak na pewno w Kowlu. Kiedy wyszedłem z miasta przed trzema dniami, byli w odległości niecałych dwóch mil.

Spali w brogu siana pod chałupą jakiegoś poczciwego chłopa, który przestrzegał ich, aby o zmroku, gdy będą dochodzili do Bugu, ominęli wieś Kluczów, gdyż tam mieszkają koloniści niemieccy

- Dzisiaj człowiek nie jest pewny. Może kto strzelić zza węgła i szukać w ciemności. Już były takie wypadki, że koloniści wieczorem strzelali do naszych uciekinierów, gdy przechodzili przez ich wieś.

W piętnastym dniu swej pielgrzymki dowiedział się Jan Dziura, że wojska radzieckie przekroczyły granicę wschodnią Rzeczypospolitej.

Jasiek znajdował się właśnie nad Bugiem wraz z małym oddziałkiem strzeleckim. Tej nocy uciekło znowu trzech chłopców. Właśnie dopiero co złapał na rzece dwie gęsi stanowiące własność kolonistów niemieckich i przyrządził u chłopa pieczyste. Do chaty wszedł młody człowiek w butach z cholewami, objijając sobie nerwowo trzcinką łydki i skubiąc co chwilę drobny płowy wąsik. Skinął na porucznika, odwołał go na stronę i mówił mu przyciszonym głosem, jakby powierzając tajemnicę:

- Ja także należę do „Strzelca”. Czy pan porucznik wie już o sytuacji politycznej?

Porucznik, nieco zdenerwowany, zdjął okulary, wpatrzył się w przybysza zmęczonymi, czerwonymi od kurzu oczyma.

- Nie, nie wiem. Jesteśmy od dwóch tygodni w ciągłym marszu.

- Może wyjdziemy na dwór - zaprosił tamten. Wyszli pod potężny jesion. Było słoneczne południe, na wschodzie złociły się liście brzoźowego gaju.

- Wczoraj wieczorem Mołotow wygłosił mowę przez radio. Ponieważ rząd polski uciekł do Rumunii, władze radzieckie postanowiły wkroczyć na tereny zamieszkałe przez większość ukraińską i białoruską.

Wczesnym rankiem wracali zbiegowie do Chełma. W złotym słońcu porannym załśniła kopała katedry. Kilka złowrogich huczących ptaków wisiało na czyściutkim błękitnie. Dziś jednak był spokój; żadna bomba nie upadła. Rzeczywiście, od tego dnia zmieniło się coś na tamtejszym niebie. Żaden samolot nie upuścił więcej niszczycielskiego ładunku na ziemię wschodnie.

Na skraju miasta pożegnał się Jasiek z grupą przygodnych towarzyszy strzelców, którzy odeszli drogą na Lublin kołując w niezdecydowanej wędrówce. Ulicami przelewały się masy uchodźców: było w tych dniach około stu tysięcy ludzi w Chełmie. Z gmachu magistratu odezwał się głośnik; nadawano wiadomości radiowe. Warszawa broniła się ciągle z tym samym bohaterstwem, pod Lwowem wojska polskie zadały klęskę niemieckim armiom pancernym. Na końcu wiadomości przeczytano apel do wszystkich wojskowych w Chełmie, aby zgłaszali się w koszarach Sobieskiego, meldując się u porucznika Stefana Błyskawy, który objął komendę miasta. On organizował grupę oporu z niedobitków pokonanych i rozbitych oddziałów.

Jasiek nie namyślał się długo. Co miał właściwie do roboty? Żona i dziecko na drugim krańcu Polski, a on tuła się po drogach i bezdrożach.

Na podwórzu koszar dymiły trzy kuchnie polowe. Kilkudziesięciu żołnierzy siedziało pod oknami, grzejąc się na słońcu.

Jasiek zameldował się u porucznika Błyskawy. W rogu koszar na podwórzu stał stół; siedzieli przy nim oficer i plutonowy. Stanął przed oficerem.

- Z jakiej formacji? - sino podkrążone oczy porucznika zmierzyły przybyłego od stóp do głowy. Ciemny blondyn, twarz pociągła, blada, o rysach uduchowionych. Jaškowi błysnęła przez sekundę w mózgu wizja świętego Stanisława Kostki nad ołtarzem w kaplicy więziennej na Świętym Krzyżu.

- Ja z cywila.

- Nie byliście w wojsku?

- Nie.

- To po co się zgłaszacie?

- Na ochotnika.

- Pięknie - niebieskie oczy porucznika mignęły na moment przyjaznym ognikiem, lecz oblicze pozostało niewzruszone. - Jak się nazywacie?

- Jan Dziura.

Podoficer zapisał, wydał Jaškowi małą różową kartkę; oficer wstał. Wysoki, szczupły, o twardym, zaciętym wyrazie twarzy. Podał rękę ochotnikowi.

Janosik dostał pas i karabin. Po obiedzie wraz z czterema ludźmi poszedł na wartę na stację towarową pilnować obiektów. Od wschodu nieustannie przybywały do miasta gromady żołnierzy.

W nocy porucznik Błyskawka zrobił alarm i na czele dwustu ludzi wyprawił się na wschodnie przedmieście Zalipki, skąd podobno mieli nadchodzić Niemcy wycofujący się z

Wołnia w stronę Lublina. Żołnierze uszykowali się wzdłuż linii domów i czekali. Po upływie pół godziny posłyszano strzały. Wywiad powrócił meldując, iż zbliżają się do miasta niemieckie auta pancerne, które ich ostrzelały. Aut naliczono trzydzieści kilka. Za nimi, niewyraźne w nocy, posuwały się prawdopodobnie czołgi.

Komendant rozlokował oddział wzdłuż drogi, poza domami, w krzakach, za miedzami.

- Poczekamy tu na nich - powiedział.

Jaś, zluzowany tymczasem ze służby wartowniczej, przyległ pierśią na zroszonym polu wysunąwszy karabin przed siebie i w myśl instrukcji zwierzchnika czekał. Rozległo się głucho dudnienie toczących się wozów pancernych.

- Jadą.

- Nie strzelać bez komendy - objaśnił porucznik Błyskawa. - Dopuszczać ich na sto metrów, osiemdziesiąt najwyżej. Strzelę dwa razy z rewolweru, to będzie sygnał dla was do rozpoczęcia ognia.

Usiadł obok karabinu maszynowego, wlepiając wzrok w ciepłą wrześnieową ciemność. Na szosie ukazały się pierwsze wozy z przygaszonymi światłami. Jechały powoli z potężnym łoskotem. Jasiek chwycił kurczowo karabin, czekając na komendę. Niebawem zaklaskał podwójnie rewolwer porucznika, po czym zaterkotał karabin maszynowy. Na drodze powstało zamieszanie. Pierwsze auto zatrzymało się ze zgrzytem żelastwa i zaczęło pluć ogniem. W ciemności widać było nieustanne wytryski ognia z lufy. Palba z karabinów maszynowych wzmogła się; zaczęły strzelać i następne wozy. Nie próżnowały, też pozostałe cekaemy polskie. Nagle rozległ się gwizd; pierwszy wóz zawrócił i wycofał się; za nim uczyniły to następne. Polacy wzmogli ze swej strony strzelaninę. Na szosę wjechały dwa wielkie czołgi. Ich najeżone lufami wieżyczki pancerne rysowały się groźnie na tle nieba. Zatrzymały się w dalszej odległości od obrońców i rzygnęły pociskami z działek. Porucznik zakomenderował odwrót do miasta. Odpelzli ostrożnie na tyły domów, nie przestając się jednak ostrzeliwać.

- Psiakrew! - zaklął oficer. - Szkoda, żeśmy nie wzięli ze sobą granatów ręcznych! Wracamy do koszar.

Jak słusznie przypuszczał porucznik, Niemcy, obawiając się zasadzki, nie weszli nocą do miasta. Czekali na miejscu potyczki, aż się rozwidni. Komendant powrócił z garstką swych ludzi do koszar. Wystawił wzmocnione warty naokoło budynku, dodał posterunki ubezpieczające, usiadł na schodach i paląc papierosa za papierosem oczekiwał świtu.

- Posłuchałoby się radia, cholera - splunął - ale nie ma czasu. Ciekaw jestem, czy Warszawa się broni.

- Broni się - odpowiedział mu któryś z gromady. - Wczoraj w południe przemawiał major Starzyński, słuchałem go. Czytał depezę od króla Belgów do ludności Warszawy.

- Ale i tak trzeba będzie kiedyś poddać miasto - dodał ktoś inny. - Niemcy strasznie zmasakrowali śródmieście bombami i granatami.

- Przecież miasto i tak wezmą.

- Wezmą - powtórzył w zamyśleniu Błyskawa. - Ale obrona była. Duch w narodzie nie zmarł.

Wstał i z papierosem w ustach przechadzał się po podwórzu pomiędzy żołnierzami. Wzrok jego padł na siedzącego pod ścianą chłopca. Bystre oko oficera przypomniało sobie tego cywila uzbrojonego w karabin.

- Jan Dziura? - zapytał chcąc się upewnić.

- Tak jest, panie poruczniku - odpowiedział tamten, machinalnie wyciągając papierosa z ust.

- Z was jest dzielny człowiek - komendant poklepał go po ramieniu. - Gdybym miał wszystkich takich żołnierzy jak wy, poszedłbym wprost naprzeciw czołgom.

Usiadł na ziemi pod ścianą, rzucił nie dopalonego papierosa, wziął nowego do ust, przypalił od sąsiada i mówił:

- Tak, tak, duch jeszcze w narodzie nie zmarł - mówił w zamyśleniu wypuszczając przed siebie kłąb dymu. - Nie damy się, Dziura, prawda? - popatrzył na niego bystro w rzednącej ciemności. - Będziemy się bronili?

- Będziemy - odrzekł sucho Jasiek.

- Czym wy jesteście w cywilu?

Zapytany zmieszał się; ale trwało to krócej niż pół minuty. Zużył ten czas na zaciągnięcie się dymem, po czym odpowiedział obojętnie:

- Rolnikiem.

- Ach, ze wsi - odetchnął z ulgą porucznik. - Nie wyglądacie na to. Myślałem, że pochodzicie z miasta. Z których stron?

- Od Żywca.

- Ładny kraj. Byłem tam. Na Babiej Górze, na Pilsku. Znacie Babią Górę?

- Czy znam? - roześmiał się wesoło Janosik. - Mieszkałem tam.

- W jakiej wsi?

- W Przyborowie.

- Przyborów, Przyborów - rozpamiętywał Błyskawa. - Nie znam. Byłem tylko w Jeleśni, w Zwardoniu, w Sucheju. Na nartach.

- My należymy do gminy zbiorowej Jeleśni. To sąsiednia wieś.

- Rodziców macie?

- Nie. Mam żonę.

- Taki młody i żonaty? - zdziwił się tamten. - Dziecko macie?

- Synka małego. Ma dziewięć miesięcy. - Janosik poczuł, jak wzbiera w nim wdzięczność do tego oficera, który mu się stał tak bliski przez swoje bohaterstwo i przez swoje zainteresowanie dla jego najdroższych spraw.

Powoli robił się świt. O świcie mieszkańcy koszar usłyszeli wystrzały karabinowe od strony wschodniej, gdzieś spoza katedry.

- Idą - zaczęto szeptać.

Zagotowano kawę, wydano śniadanie. Słońce wstało, błękit wyczyścił się, niebo jak co dnia nabierało coraz soczystszego błękitu. Na ulicach gdzieś zaczęli się pokazywać ludzie. Noszono wiadrami wodę ze studni do domów. W oknach koszar siedziała gwardia porucznika Błyskawy paląc machorkowe papierosy.

- Wróbelków dziś nie ma na niebie - mrucał poniekąd mrużąc oczy.

- I już ich nie będzie tutaj - odpowiadał mu inny, orientujący się lepiej w sytuacji.

W godzinę po wschodzie słońca rozpoczął się wymarsz niemieckiej kolumny zmotoryzowanej do Chełma. Zwiastowało go drżące, jakby podziemne grzmienie walącego się żelastwa od strony wschodnich przedmieść. Porucznik Błyskawka rozmieścił swoich ludzi na stanowiskach bojowych w oknach koszar. Sam stał w sieni na parterze przy karabinie maszynowym. Obok niego - Jan Dziura. Kiedy czołgi nieprzerwanym ciągiem, białe od kurzu, wśrubowały się w ulice śródmieścia, przywitała je cisza osłupiałego tłumu. Tysiące ludzi, uchodźców i mieszkańców Chełma, spoglądały w milczeniu zmartwiałym wzrokiem na niezgrabne, ciężkie pancerne kolosy. Więc po to trzeba było uciekać tyle mil w udręce, w strachu, aby tu, na kresach Polski, wpaść w objęcia znenawidzonego wroga?

We wlocie wieżyczki pierwszego czołgu tkwiła nieruchomo głowa w stalowym hełmie opatrzonym swastyką. Twarz młoda, ściągła, czujnie błyskająca oczyma na obie strony ulicy. Prawa ręka w skórzanej rękawicy spoczywa w pogotowiu na karabinie.

Nagle ręka drgnęła, palce rękawicy rozluźniły się bezwładnie. Huknął strzał, żołnierz na wierzchu czołgu zachwiał się, tryknął głową o ścianę wieżyczki. W okamgnieniu wciągnięto wojaka w dół, pokrywa ze szczękiem opadła. Posypały się strzały z okien mijanych właśnie koszar. Wyborowi strzelcy trafiali Niemców w odkrytych wlotach pancernych wieżyczek. Marsz zatrzymał się, prędko zatrzaskiwano pokrywy wieżyczek, już lufy karabinów maszynowych skierowały się na budynek za żelaznym ogrodzeniem. Zagrały

taśmy broni automatycznej; wzięto pod ostrzał koszary. Z grupy zatrzymanych czołgów ruszył jeden cięższy, wjechał na chodnik ślepo, masywnie sunął brukiem, wzdłuż ogrodzenia, ku zamkniętej bramie buntowników. Miażdżący walec nie zawahał się przed bramą, cóż to za przeszkoda dla niego? Krata z prętów żelaznych ustąpiła pod naporem kilkutonowego potwora, jak gdyby była wzniesiona z patyków. Czołg wjechał jeszcze z dziesięć metrów w podwórze i zatrzymał się. Wycelowawszy cztery lufy w okna i drzwi koszar, siekł ogniem po parterze i obu piętrach. Reszta szyb, które jeszcze trzymały się po niedawnych nalotach niemieckich, spadła z brzękiem na podwórze. Po pięciu minutach nieprzerwanej kośby czołg zamilkł; z koszar nie odezwał się już ani jeden strzał.

Czołg posunął się wolno w stronę gmachu, sypnął jeszcze raz skoncentrowanym ogniem, zawrócił w bok i podjechał pod główne drzwi, aż gaśienice oparły się o schody wejściowe. Za nim wtoczyło się na podwórze pięć dalszych czołgów z ulicy. Cała szóstka czołgów zgromadzonych na podwórzu oddała jeszcze raz, jakby na komendę, podwójną salwę do murów i okien obleganego gmachu. Obłoczki białego kurzu wykwitły spod ścian od masy opadłego tynku. Ani jeden strzał nie odpowiedział od wewnątrz; obrony nie było. Nie ulegało wątpliwości, koszary były zdobyte.

W największym czołgu pod schodami uchylila się pokrywa wieżyczki; wyszedł z niej szczupły, elegancko ubrany oficer z rewolwerem w wyciągniętej dłoni. Skoczył na schody, krzyknął coś do załogi, otworzyły się wieżyczki innych czołgów, zaczęli z nich wyłazić żołnierze.

W tym momencie drzwi wejściowe koszar, podziurawione kulami, rozwarły się nagle na oścież i w czołg pod schodami buchnął granat ręczny. Nie jeden - dwa, trzy, cztery. Huk i dym. W dymie eksplozji zginęło na chwilę wszystko. Znów rozległ się potworny wybuch; to eksplodował zbiornik z benzyną. Gdy dym rozwiął się częściowo, zdołano jeszcze zobaczyć słaniającą się postać oficera polskiego rzucającego granat na następny czołg. Nie dane było jednak dożyć porucznikowi Błyskawie drugiego wybuchu czołgu. Zwalił się na ciało hitlerowskiego oficera i tak obaj wrogowie, nieżywi, jeden na drugim leżeli na schodach u stóp roztrzaskanego czołgu.

Z karabinami w dłoni, strzelając na lewo i prawo, wtargnęli rozwścieczeni Niemcy do koszar. Nie zastali tam nikogo. Obrona zdołała zbiec w ogród widząc beznadziejność dalszego oporu. Pozostał tylko Błyskawa, który się ofiarował na śmierć. Tak skończyła się epopeja chełmskich koszar, a wraz z nią krótka błyskotliwa kariera porucznika Stefana Błyskawcy, komendanta jednego z ostatnich polskich ośrodków oporu, bohatera ponad wszelką wątpliwość.

Nazajutrz w południe Jasiak, łażąc bezmyślnie po ulicach, natknął się na afisz z podpisem „Stefan Błyskawa, porucznik”, nawołujący żołnierzy do meldowania się w koszarach Sobieskiego. Porucznik Błyskawa jeszcze wczoraj był żywy, koszary Sobieskiego jeszcze wczoraj pluły ogniem. Reduta obrońców zmarniała, wszystko należy do przeszłości.

Tej nocy spał Jasiak w bloku zniszczonych kamienic za towarowym dworcem. Czyż to nie tego właśnie bloku strzegł przedwczoraj z karabinem w ręku na służbie wartowniczej? Wmieszał się w gromadę uchodźców i słuchał ich nieśmiertelnego biadania aż do północy. Tak, teraz już skończyło się wszystko. Polska była stracona od kresów po kresy, sprawa była przegrana. Byli jednak tacy, co nie wierzyli, że wolność się kończy; jeszcze w lasach i bagnach przedłużali w sobie rozpaczliwie ojczyznę; jeszcze się krwawili w Warszawie i Modlinie; jeszcze walczyli pod Kockiem; jeszcze nie złożył broni major Hubal; jeszcze trwały starcia polskich grup oporu. Kochali tę ziemię jak matkę. Ktoś ją podeptał, zrył bombami, spalił i zniszczył granatami; ludzi poranił, pozabijał, wypędził z domów jak psy.

Tak mijał wrzesień we krwi, nadchodziła jesień 1939 roku, pierwsza jesień męczeństwa.

Drugiego października wysiadł Jan Dziura z pociągu towarowego nabitego tłumem uchodźców na stacji kolejowej w Rzeszowie. Miasto opanowane przez Niemców znajdowało się w stanie oszołomienia. Jasiak jechał przez trzy doby z Chełma, wbity w ciżbę uciekinierów, śpiąc przez trzy noce na gołych deskach wagonu.

Padła deszcz. Ulicami pełzało mrowie ludzi. Błądził bez celu po mieście samotny, przygnębiony, zmęczony. Zrobiło mu się żal własnego życia. I po co było to wszystko? Wadzić się z Witkowskim i Franczakiem? Podpalać chałupy, okradać straż graniczną? Wszystko wywrócono do góry nogami.

To straszne: zdobyć wolność w tej samej chwili, kiedy cały kraj ją stracił. Wszystko, co było przedtem, zostało nagle pozbawione sensu. Ileż przez rok więzienia namarzył się i nacierpiał! Zdawało się, że nic nie potrafi go podnieść z tępej rezygnacji. Wegetował, wspominając tylko czasem dziecko, żonę oraz Wojnara. Te trzy wątłe nitki łączyły go ze światem zewnętrznym, z ziemią gór i bezpowrotnie utraconą młodością. Wstrząśnięty katastrofą wojny, niby prądem elektrycznym porażony, wił się w napęczniałym podówczas ludnością Rzeszowie, nie znajdując, o dziwo, żadnej wspólnoty z ludźmi.

Tułał się po ulicach stokroć samotniejszy niż dawniej, bezdomny, śpiąc w barakach na przedmieściu. Pracował dorywczo przy naprawianiu jezdni, zasypywał rowy przeciwczołgowe, wprawiał powyrywane kostki w chodniku, uprzętał gruz z poniszczonych

kamienic. Jesień niewoli zapowiadała się ponura i zła.

Święty Krzyż! Tyle wspomnień! Pamięta dokładnie, jakby to było dziś, zjawienie się Wojnara w więzieniu, wizytę wiosenną Ewy z dzieckiem na ręce, ślub w kaplicy więziennej oraz drugie odwiedziny żony wraz z Jędrusiem w upalny sierpniowy dzień. Niezapomniane chwile.

- Nie chciałbyś wrócić do nas w góry? - nieopatrznie zapytał go Wojnar za drugim pobytem w więzieniu.

Teraz jest listopadowe popołudnie na przedmieściu Rzeszowa. Z nieba wali deszcz pomieszany ze śniegiem, horyzont zwęził się wywatowany mgłami, nad miastem wisi nieprzejrzyste szare powietrze. Jaki był sens wspominać w taki beznadziejny dzień Beskid Wysoki, ostęp babiogórski, wysokopienne smreki Pilska?

- Nie przykrzy ci się, Jasiek, za naszymi stronami? - uparcie i nedorzecznie napierał we wspomnieniach przyjaciół. - Nie wróciłbyś do nas?

- Nie - odpowiedział nieoczekiwanie więzień. - Tu chciałbym już pozostać. Przyzwyczailem się.

„Rany boskie! Ileż ty masz lat?” - pomyślał ze zgrozą Wojnar i ugryzł się w język.

- Myślę, że przez to dokona się moje oczyszczenie - ciągnął dalej Jasiek. - Może tak będzie lepiej.

Kłamał. Oczywiście, że kłamał. Zawsze był pełen sprzeczności. Dniami całymi spoglądał w smużące się deszczem szyby okienne za kratami. Jakżeby chciał wrócić do tego kącika ziemi niczyjej, gdzie na mchach leżąc topił spojrzenie w niebie

Czy to nie on ludzi przeciwko ludziom buntował, rabował, niszczył, palił? Wrócić do smreków, do braci, którzy mu zginąć nie dadzą. Dolina Jaworowa, grotta w hawrańskim upłazie, Klimkówka w zerwach Płaczliwej Skały, pieczara na Izdebczyskach, gawra w Piekle pod Cylem, knieje Jaworzyny, Romanki, Rycerzowej - czy nie pięknie tam było żyć?

Śnieg padał drobnymi płatkami, było beznadziejnie smutno. Wrony gromadami podrywały się z miejsca na miejsce. Ile razy nadaremnie wpatrywał się nocą w krzyż okienny rozpięty na ciemnym firmamencie oraz na pokratowane w jego ramionach niebo, jakby ujęte w ścisłym kwadraciku mapy. Wykwitały i bladły w kwadracikach gwiazdy; te same gwiazdy, które widywał podczas samotnych włóczęg górskich. Znajome konstelacje: zlodowaciały w swej dalekości nieregularny czworobok Wielkiego Wozu, tak wielkiego, że się nie mieścił cały w oknie, oraz przeszywająco ostry, ukośny miecz Oriona, najjaśniejsza linia gwieździsta niebios. Przebiegała przez niego melodia pełna lasu, nocy i samotności, najtkliwsze doznania,

które u niego układały się w muzykę. Nieraz rozmawiał w warsztacie więziennym z towarzyszem pracy, inteligentem Machetą.

- Głupio mi było, kiedy widziałem, że wszyscy pracują, tylko ja jeden łączę po lasach jak próżniak.

- Mówiłeś, że ci policja nie pozwoliła wrócić do życia spokojnego.

- Później już tak, ale czy myślisz, że nie chciałem się z nimi pogodzić? Potem się już nie dało; zawzięłem się na nich. A ile kłopotów miałem z dziewczętami!

- O, ty lubisz baby. Wystarczy popatrzeć ci w oczy.

- Nieprawda. Chcesz wiedzieć, dlaczego Ignąłem do dziewcząt? Bo zapomniałem wtedy, że jestem wygnany, nikomu na nic niepotrzebny, że życie moje wykoleiło się, że jestem bandytą. Chciałem zabić czas miłością, aby nie myśleć o tym wszystkim. Choć ile dziewcząt przeze mnie płakało! Nie wiązałem się z nimi, nie chciałem im zrobić nic złego. Głupstwo. Tylko z Ewą była inna sprawa.

- Widziałem ją. Ładna kobieta. Dostałeś list od niej?

- Tak. W sierpniu przyjedzie drugi raz.

- Jak się ma dziecko?

- Dobrze. Krzyczy, wierzga, w nocy matce spać nie daje.

Uśmiechnął się do swej wizji, zamyślił się, przeplatając między palcami giętką wiklinę w kształt formującego się koszykowego kabłąka. I już nic nie powiedział więcej tego ranka.

Późnym wieczorem wyglądał przez zakratowane okno w dół na ogród. Aleja lipowa niosła upojną woń miodu, szeleściły krzaki bzu, niedawno jeszcze suto ukwiecone. Jasiak przymknął powieki, ujrzał rysującą się na niebie wieżę jeleśniańskiego kościoła, a za nią potężne pukle kasztanów i lip; tam jest cmentarz. Czuje lekkie ściskanie w sercu. Ilu tam jego najbliższych leży? Spojrzał na jaskółki przecinające śmigłym lotem powietrze, pomyślał o dziecku; o ciepłe jego ruchliwe ciało, o jego leciutkim oddechu.

Zaczął padać deszcz, liście drzew oddychały ciepłą wilgocią. W deszczu zamartwychwstawał dawny świat Jana Dziury, pełen marzeń i naiwności; świat, którego nigdzie nie ma.

Biedny, głupi chłopak. Poszedł przeciwko wszystkim z niczym. Z dwoma rewolwerami. Wiedział, że życie toczy się złą drogą, że trzeba zmienić człowieka, aby świat był lepszy, ale jak? Wiedział, że istnieje zło, nie wiedział, w czym ono leży. Słyszał, że dzwonią, nie rozróżniał, w którym kościele. Gdzieś w wydłużonych nadmiernie nerwach, w przeczulonych tkankach, w rozległej nateżonej świadomości zbliżał się do poznania prawdy, ale załamał się w drodze. Zamiast wspiąć się w górę, upadł w zbrodnię. To tylko jeden krok.

*Od Gór Świętokrzyskich ciepłutki wiatr wieje,
idzie mój Janosik, z daleka się śmieje*

- śpiewała Ewa niemowlęciu w kołysce u starego Tramka w Przyborowie.

Był ranek majowy, pogodny, słoneczny. W chałupie głośno gdakały kury. Na płot wleciał biały kogut, strzepnął triumfalnie skrzydłami i zapiał.

Rok temu o tej porze schwytano Jaśka pod Pilskiem. Ręka kobiety zakołysała mocniej dziecko, oczy jej pobiegły - jak tyle razy - na południowy zachód. Na tych lesistych czubach ukrócono Jaśkową swobodę. Kiedy przybyła tutaj, ludzie odwracali od niej głowy ze wstrętem. „Bezczelna dziewczka zakopiańska.” Zdążyli wszystko wywęszyć: że kilku chłopakom w Jurgowie zawróciła w głowie, że paru przez nią śmierć poniosło; wszyscy o tym mówili. Boga się nie boi, wstydu za grosz nie ma, włóczyła się po Tatrach z bandytą i tu zlegnie z jego pomiotem.

Z początku próbowała utrzymywać swój stan w tajemnicy. Ale Agnieszka Juraszkówna powiedziała jej raz w oczy:

- Kogo będziesz ćmiła? Nie widziałam, jak rzygałaś pod śliwami?

Kobiety mają wzrok jastrzębia, gdy chodzi o te sprawy. Musiałaby chyba Turcula umrzeć w Jeleśni, aby się to nie wyjawilo. Któregoś dnia znaleziono Ewę zemdloną w pokrzywach pomiędzy stajnią a ustępem. Czegóż trzeba było więcej? Tłumaczyła Wojnarowi z naiwnością, która graniczyła z fanatyzmem:

- No co? Deszcz padał, kiedy mnie po raz pierwszy wziął. Było tak smutno, tak przeraźliwie smutno; góry całe zasnuły się od ulewy. Tak prało, że nic nie było widać naokoło, a my tylko we dwoje na sianie pod daszkiem brogu; ja i on. Tak się jakoś stało, tak się musiało stać. Nie żebym miała wtedy większą ochotę na to niż kiedy indziej, o nie. Tylko tak już widocznie było nam przeznaczone. To przyszło samo z siebie.

A owa noc w szałasie Smugawskiego nad granicą. Pamięta ją jak dziś. Przez okno na strychu wlażył księżyc ogromny, pękaty. W południe leżeli w upale, jak gdyby przed Bogiem poślubieni, pachniała macierzanka, było miękko od mchu, duże jałowce strzeliście wyrastały w niebo. Kochanka bandyty! Nie prałaż mu koszuli w potoku?

- Synku mój! - głaskała złotawe włoski niemowlęcia. Wstawiała w niej górna, krótkotrwała przeszłość. Jak dawno to było? Boże, przecież jeszcze nie przeżyła dwudziestu lat! Matka bękarta! Dziecko zaniósł się płaczem. Wzięła je na rękę, rozpięła bluzkę, przystawiła do piersi. Przywarte wargami do sutki maleństwo łapczywie ciągnęło pokarm życia. Jakiż będzie człowiek z tego? Ewa wpatrywała się w dzieciaka z tkliwą uwagą. „Ssij,

ssij, może wyssiesz ze mnie miłość i dumę, to, co mnie tak długo bolało."

Ile się nacierpiła przed urodzeniem Jędrusia! Stary Jeleń nie dał za wygraną; chciał za wszelką cenę sprowadzić córkę na tory porządnego życia; kilkakrotnie wzywał ją na gospodarstwo, obiecując wszystko puścić w niepamięć. Kiedy listy zawiodły, przyjechał sam do Przyborowa, aby namówić Ewę do powrotu w góry.

- Przecież ty się zmarnujesz, dziewczyno. Z kim ty się wiążesz? Z bandytą spod stryczka? Czyś ty rozum straciła? Czy on cię tak zaczarował, że cię tak na śmierć zalubił? Rabuś i awanturnik.

- Dawniej był dla was szumny hetman - powtarzała po wielekroć. - Nie pozwolę o nim źle mówić. Po coście tu przyjechali? Aby mi go obrzydzić? Wracajcie do domu. Pieniądze braлиście od niego pełnymi garściami.

- Nie bądź głupia. Miał u nas schronienie, nocleg i jedzenie. A ten jego kompan, Wojtek Rzezawa, on sam jeden żarł jak przepaścista krowa. Kryłem ich przed policją. Miałem się może narażać darmo? Mnie to nic nie kosztowało, tak myślisz? Nie nosiliśmy im żarcia w góry? Dopiero teraz widzę; płacił mi za to, że spał z moją córką.

- Będę pokutowała za to przez całe życie - odpowiedziała ulegle.

- Dużo będę miał z tego! Palcami pokazują mnie we wsi. Hańbę przez ciebie mam na cały Jurgów.

- Mnie tam już nie ma przecie. Poszłam sobie stamtąd.

- Ale ojcu hańbę zostawiłaś w domu. A ojciec mieszkał w Jurgowie. Do pół roku musisz się wydać. Nie zniosę tego, aby ludzie strzępili sobie pyski na honorze Jeleniowego rodu. Bój się Boga, dziewczyno, na taki majątek.

- Miłość to także majątek. Mnie morgów nie potrzeba.

- Może do klasztoru pójdziesz? - skrzywił się stary ironicznie. - Bo przecież za zbója się nie wydasz. Może w kryminale ślub weźmiecie? Bóg mnie pokarał taką córką. Zawsze modliłem się o syna. Dziewczyno, nie gub się i nie gub mnie. Tobie potrzeba męża na gospodarstwo, a mnie zięcia, który by umiał gazdować.

Nie słuchała dalszych gróźb i lamentów; uciekła do kowala w Koszarawie. Szła przez bujne łąny, ocieężała już, z piersiami pełnymi mleka, czująca drugie życie pod sercem. Spoglądała na żółciejące z lekka pukle brzoź przypominając sobie, jak ją Jasiak nawiedzał we śnie, zmęczony, wychudły, po śmiertelnym wyroku. Na drugi dzień przyszła do niej Tramkowa z oznajmieniem, że ojciec odjechał do Poronina przekląwszy córkę.

Popatrzyła na swoje łóżko w kącie. Było to łóżko Jasia-Sieroty, które Mitanowie znieśli z Głuchaczek do domu stryjny. Po zlikwidowaniu gospodarstwa w górze dostało się

Jaśkowej kochance. Ile się nacierpiała na nim w ów dzień styczniowy, kiedy wydała na świat Jędrusia! Krzyczała z bólu od samego rana. Tramkowa chodziła pieczołowicie koło niej dziwiąc się jej cierpieniom; ona urodziła czworo dzieci bez jednego jęku.

Pomyślała przez chwilę o matce Jaśka, która skonała przy jego urodzeniu, i przebiegł przez nią ziąb strachu. „Jeżeli umrę?”

Żeby choć dziecko nie umarło w tej boleści! Wspomniała Jurgów, rodziców. Tyle pól na darmo rośnie - komu? Tyle lasu szumi na górach - komu? Jedynaczka odeszła od tego wszystkiego.

Była cała spocona, ciało jej przeżyło się, wstrząsane napadami bólu. Tramkowa poradziła jej, aby wstała i przeszła się parę razy po izbie, aż uczuje zmęczenie. Wtedy niech się położy, to przyspieszy poród. Wołkowa, obecna w izbie, oświadczała z powagą: „Przy pierwszym dziecku zawsze tak jest. Nie widzicie, że to młódka? Wąska jest, dziecko przejść nie może”. Od południa położnicę opuściły bóle. Prześcieradło było mokre od potu. Ewa nie ruszała się, czasem tylko otwierała oczy, beznadziejnie pogładając po obecnych. O drugiej po południu podniosła się z rozpaczliwym jękiem, który rozdarł ściany, kobiety rzuciły się ku niej i w tej chwili Ewa Jeleniówna wydała w ich ręce owoc swej męki i swojego szczęścia: małe trzepotliwe dziecko, synka.

Właśnie Wojnar przywiózł lekarza z Jeleśni. Jego interwencja już była zbyteczna; wszystko poszło dobrze. Kiedy obaj mężczyźni weszli w próg, zaczerwieniem od mrozu, Ewa leżała blada, wyciśnięta z krwi, w okoku rozpuszczonych włosów. Twarz jej znieruchomiała od bólu, zastygła w bezwładzie, wyglądała jak biała gwiazda promieniejąca żywym złotem. Przecież uśmiechnęła się zobaczywszy wkraczającego przyjaciela. Za chwilę zadzwoniły sprzed chałupy odjeżdżające sanie. Wojnar głaskał ją po twarzy, po mokrych, przylepionych do czoła włosach jak ojciec córkę po wielkim strapieniu.

- Już po wszystkim, Ewa. Masz syna.

- Syna - powtarzała z uniesieniem i bezbrzeżną radością, na pół żywa od zmęczenia i wzruszenia. Syna! Co za szczęście!

Tak dawne się to wydaje wszystko we wspomnieniach, a przecież dziecko ma dopiero cztery miesiące. Urodzone w styczniu, w tym samym miesiącu co ojciec, trzymał do chrztu Wojnar do spółki ze starą Tramkową.

- Synku mój! - mówiła pieszczotliwie do dziecka, a właściwie do siebie. - Zostaliśmy sami z naszym wstydem. Ludzie odsunęli się od nas. Ojciec daleko, nie może nas bronić. Ja - położnica w hańbie, ty - porodzony w nieprawości. Dzieciątko maleńkie, ulituj się nad matką, pomóż ojcu, stań się dzielny i dobry! Niech Bóg da ci to, czego nam obojgu odmówił.

Jutro rano skoro świt przyjechać miał Wojnar swoim siwkim, aby ją zabrać na stację kolejową w Jelesni. Myślała o tym ważnym wydarzeniu przez cały dzień. Na brudnych szybach pałało krwwiście zachodzące słońce. Matce stojącej w oknie z dzieckiem przy piersi ukazał się Wojnar. - Psiakrew, nie mogliby to chłopci większych okien w chałupach robić? - sierdził się dochodząc do sztachet ogródka i widząc Ewę. - Więcej powietrza, więcej światła, więcej słońca. Jakbym to poruszył publicznie, to te głupie cepy powiedzą, że rewolucję chcę robić. I okrzyczą mnie bolszewikiem.

Tak, jutro jadą do Jaśka na Święty Krzyż. Będzie to pierwsze widzenie Ewy z Jaśkiem w więzieniu. Po raz pierwszy zobaczy ojciec swoje dziecko. Ale Ewa jedzie nie tylko po to, aby spotkać się z Jaśkiem i pokazać mu syna; jedzie także, aby wziąć z nim ślub. Powróci do domu jako mężatka.

Następnego dnia, równie pięknego jak poprzedni, zgłosiła się Ewa Jeleniówna w kancelarii więziennej na Świętym Krzyżu z czteromiesięcznym dzieckiem na ręku, w towarzystwie Wojnara. Wszystko było uprzednio przygotowane drogą korespondencyjną. Ze względu na dziecko władze zezwoliły dożywotniemu więźniowi połączyć się węzłem małżeńskim z matką dziecka celem uregulowania stanu cywilnego obojga.

Czekała długo na Jaśka. Blisko godzinę, aż dziecko zniecierpliwiło się, krzyczało, czerwieniło się ze złości, przebierało nóżkami; musiało się mu przewijać pieluszki. Wreszcie drzwi z korytarza otworzyły się i wszedł do pokoju Jasiek Dziura w szarym, grubym drelichu więziennym. Ewę oblała bladeść wzruszenia. Wydał się jej wyższy niż zwykle, włosy ostrzyżone do samej skóry, ach, co oni zrobili z tą piękną czupryną? Od drzwi uśmiechnął się do niej, twarz od razu wyładniała. Pogłaskał ją po policzku pamiętnej śmietankowej barwy, obramionym gładką kasztanową fryzurą. „Ciągłe nosi długie włosy”, pomyślał. Nie pocałował jej, dlaczego? Czy obecność Wojnara onieśmieliła go?

- Pokaż Jędrusia.

Ostrożnie palcami rozwierał powicie. Wyjrzały nań oczy niebieskie o filuternym błysku. Synek jakby się rozumnie uśmiechał. Matka powiedziała:

- Ma twoje oczy. Poznajesz?

Nie poznawał. Sam nigdy nie wiedział, jakie ma oczy. Ale utkwiał uważny wzrok w ślepkach malca. Palce jego niezgrabnie gładziły twarzyczkę. Dziecina uśmiechała się dalej. Matka rozchyliła szerzej chustkę.

- A włosy? - pyta ojciec. Oboje zaczęli kiwać głowami.

- Jasne. Może moje?

- Ściemnieją później. A może moje?

Palce Jaśkowe przeniosły się na rzadkie włoski maleństwa. Łzy stoczyły się po policzkach więźnia. Z pieluszki wydrapała się z wysiłkiem rączka zaciśnięta w pięstkę. Ucałował ją i dopiero teraz złożył pocałunek na ustach Ewiny. Wstrząsnął nią dreszcz radości.

- Ewa, jeszcze możesz się cofnąć. Wiesz, co dla ciebie oznacza ślub. Będiesz mężatką, ale tak jakby wdową. Nie chcę ci świata zamykać.

Położyła mu dłoń na ustach. - Nie mów.

Czekali, aż dadzą znak, że można wejść do kaplicy więziennej. Jasek wypowiadał się rano, Ewa była także przed godziną u kapelana. W oczekiwaniu wezwania rozmawiali o sprawach postronnych w sposób surowy i prosty, opanowani oboje. Rozpytywał ją o znajomych w Żywiecczyźnie, o stosunki w sąsiednich wsiach. Wojnar mieszał się od czasu do czasu do rozmowy.

Nastąpiła ceremonia ślubu. Klęcząc przyjęli komunię, klęcząc wysłuchali mszy, już jako mąż i żona. Wszystko odbyło się wzruszająco i krótko. Ewa spłakała się, pan młody był w nastroju podniosłym. Twarz jego wyrażała uniesienie nieomal równoznaczne ze szczęściem. Jak względne jest szczęście ludzkie! Ta dziewczyna, obciążona bękartem, biorąca ślub w więzieniu - cóż za wspaniały temat dla jeleśniańskich plotkarek! Spojrzał na jej smukłą sylwetkę; klęczała prosto, przyciskając do piersi śpiące dziecko. Jakby wraz z kapłanem składała na ołtarzu w ofierze to, co miała najdroższego: krew swojej krwi. Oblicze jej, pełne miękkiej delikatności, przecież zachowało dawne stanowcze rysy.

Z rozłożystego krzyża, wznoszącego się nad płonącymi świecami, wyciągał ręce Chrystus białolabastrowy, muskularnie zbudowany, z gęstą kruczą brodą i bujnymi włosami. To nie góralski Chrystus, którego miał sposobność nieraz oglądać Jasek na pokracznych figurkach: krępy, żyłasty chłopina, krzywy pastuch z płową potarganą czupryną, o ciele wysmaganym przez ulewy i wiatry.

Nowożeńcom pozwolono spędzić razem trzy godziny. Przegadali cały ten czas bez reszty. Wojnar usunął się dyskretnie.

- Mów coś, Jasek, mów dużo - prosiła Ewa.

- Ty mów. Tak długo nie słyszałem twojego głosu.

- O, ja czasem ciebie słyszę. Kiedy się budzę do dziecka w nocy, słyszę, jak je wołasz: Jędrus, Jędrus. - Złotozielony brąz jej oczu miał wyraz łagodny. - Połóż mi głowę na kolanach. - Wodziła ręką po jego twarzy, jakby nie wierząc oczom, jakby powierzając dotykowi stwierdzenie tej radosnej prawdy. - Teraz jesteśmy mężem i żoną. Już nas nic nie rozdzieli.

- Nic. Będiesz przyjeżdżała do mnie co trzy miesiące. Tak zezwalał regulamin więzienny.

- Zdaje mi się, że jestem w Jurgowie, a ty przyszedłeś do mnie z gór. Przyszedłeś do mnie tak jak dawniej.

- Jak dawniej.

- Wszystko po staremu.

- Wszystko.

- Nie zapomnisz mnie, Jasiu?

- Nie zapomnę.

- Pamiętasz Grochałowce, polanę pod lasem, chałupę na polanie, stodołę, psa szczekającego, kiedyśmy siedzieli pod płotem w nocy?

- Pamiętam.

- Pamiętasz u Jarzabka, deszcz padał, Magda śpiewała przy sieczkarni, całowałeś mnie, a ja płakałam ze szczęścia?

- Pamiętam. To mi się w tobie podobało, Ewa, że mi dałaś wolność. Że nie byłaś zazdrosna o inne dziewczyny.

- Och, czy nie byłam zazdrosna? Kiedy mówiłeś z kobietami, byłam bardzo zazdrosna. Jakże cierpiałam wtedy, Jak się bałam, że lada chwila ode mnie odejdziesz. To jedno, czego się najbardziej bałam: że nie usiedzisz na miejscu. I nie usiedziałeś.

Czy to była ta sama dziewczyna, którą znał w Tatrach? Długonoga, o oczach nasyconych brązem, z którego wystrzelała urokliwa zieleń?

- Włosy ci ostrzygli. Nie będę się bawiła czupryną jak dawniej.

Czy to był ów szczupły, gibki chłopiec o niezapomnianym spojrzeniu?

Dziecko zaczęło płakać, kołysała na prawym ręku synka, na lewym zaś ramieniu głowę męża. Przez gardło ściśnięte wzruszeniem zaczęła pół nucić, pół mówić.

Darmo wy się, dziewczki, w niego wpatrujecie

bo on tylko jedną mnie widzi na świecie.

Teraz to była prawda. A ile razy dawniej nie zdawała sobie sprawy z fałszu tych słów?

- Pamiętasz to wszystko? To tak dawno.

- Czy pamiętam? - odpowiedziała z wyrzutem. - Wszystko pamiętam - skandowała wolno.

- Słuchaj: miałem kilka dziewcząt w życiu - rzucił porywczo, jakby ogarnięty pasją samoponizowania się. Nieuchwytna podskórna czerwień rumieńca wybiegła mu na policzki.

- Wiem o tym.
- Walerkę Brekównę w Jeleśni.
- Wiem.
- Maryskę Stawiańską z Sopotni. To nic.
- Zośkę Masłowską z Koszarawy.
- Wiem.
- Jagę Utylską z Herdučki.
- Wiem. Po co mi to mówisz?
- Abyś wiedziała, kogo masz za męża.
- Najmilszego z chłopców.
- Ha! Toś trafiła! - śmiał się szczerze, nieco zawstydzony.
- I ja ci powiem. W moim życiu nie było chłopaków poza tobą. Całowałam się kilkanaście razy z jednym, który umarł.

Miał się ze mną żenić. Więcej nikt się do mnie nie zbliżył.

- Wiem o nim. Romek Kościelniak.
- Wołali go Juhas. To wszystko. A teraz powiedz mi jedno. Tak męczy mnie ta ciekawość. Którą kobietę najsilniej kochałeś? Już teraz nie jestem zazdrosna. Powiedz prawdę, Jasiek - upominała go prosząco.

- Do czasu, gdy ciebie nie znałem, najbardziej lubiłem Jagę z Herdučki.
- Widziałam się z nią w Zwardoniu tamtego miesiąca.
- Znasz ją?
- Wyszła za mąż zeszłego roku za Słowaka w Klinie Zakamiennym.
- Co ty mówisz? - potarł ręką czoło. - To wszystkie moje dziewczyny już powydawane. Czy Jaga mile mnie wspominała?

- Która kobieta powie to drugiej? Ale każda to wyczuje. Wypytywała się o ciebie długo. Po tamtej stronie Orawy mówili, żeś zginął. I Zośkę Krawczykową także znam.

- Nie żyje z mężem?
- Pogodziła się. Mieszkają razem.
- Przepowiedziałem jej to.
- Ona ciebie ciągle kocha. Z początku była na mnie zła, teraz uspokoiła się. Zachodzi czasem do nas. Bawi się z Jędrusiem.

Ewa wydała mu się trochę inna niż dawniej. Tamta z roku poprzedniego była lękliwa, drżąca o kochanka, ta zaś uspokojona i nasycona po brzegi oddaniem, wzbogacona nową glorią: mężatki i matki. Jakby po raz drugi wracało jej bujne tchnienie młodości tatrzańskiej,

umocnione dojrzałością i głębią.

- Kiedy przyjedziesz następnym razem w sierpniu, pokosicie już i pewnie zbierzecie z pola wszystko.

- Jędrus będzie miał przeszło pół roku.

- Ho, ho, to już będzie parobek! Trzeba mu się będzie wnet za jaką panną obejrzeć.

- Pozostaw mu to, jak dorośnie. Podobnie jak ojciec, sam sobie będzie te sprawy załatwiał.

- Czy mi się zdaje, Ewa, że ten kwiatek ci trochę zmałał pod okiem? - nie mógł sobie odmówić przyjemności pogłaskania palcem pamiętnego sińca przy skroni.

- Zawsze od urodzenia był taki sam.

Opanowana tą myślą - może pierwszą od wielu miesięcy z tego rodzaju - sięgnęła w drodze powrotnej w pociągu po lusterko i uważnie studiowała lewe oko. Czy zdawało się jej może, że wyładniała? Tak jej mówiono naokół, że po dziecku nabrała urody, a wdzięk jej stał się pełniejszy. Czy to możliwe?

Wspomniała na męża, na dziecko, na swoją tężejącą piękność, zrobiło się jej przeraźliwie smutno. Dziecko zasnęło, mąż zamknięty w więzieniu oddalał się z szybkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Powiodła oczyma po zielonych równinach łąk ścielących się wokół toru i mówiła półgłosem, jakby wysnuwając nie z widoku, lecz z mózgu nitkę odrębnego marzenia:

„To jedno, czego się zawsze bałam: że on nie usiedzi na miejscu. Wiedziałam, że tak będzie. I odleciał ode mnie jak ptak. Kiedy przyjdzie sierpień?”

Sierpień nastąpił jak zwykle po lipcu. Poprzedzona listem przybyła po raz drugi na Święty Krzyż, teraz już legalna małżonka dożywotniego więźnia, Ewa Dziurowa z dzieckiem na ręku i znów w towarzystwie Wojnara. Przywiozła między innymi wiadomość od Janosikowego ojca. Andrzej Sobczak (czy nie na pamiątkę dziadka malec otrzymał jego imię?) znajdował się w szpitalu dla umysłowo chorych w Kobierzynie pod Krakowem. Przesłał synowi za pośrednictwem Ewy wzruszający list, w którym zapisywał mu cały majątek z pominięciem rodziny. Oczywiście list obłąkanego nie przedstawiał wartości prawnej. Nie można mu było wytłumaczyć, że Jasiak siedzi w więzieniu; uważał to za kłamstwo lub podstęp.

- Po co mi te pola? - uśmiechnął się Jasiak. - Już ja na nich gospodarował nie będę. A ty chyba do Jurgowa nie wrócisz.

- Nie. Co byś powiedział, gdybym się przeniosła do Kielc, aby być bliżej ciebie?

- Z dzieckiem?
- Z dzieckiem.
- Cóż byś tu robiła?
- Wzięłabym służbę. Mogę pracować.
- To nie ma sensu. Siedź w Przyborowie. Znowu przerzucił się na inny temat:
- Czy mój ojciec cierpi na nieuleczalną chorobę?
- Nie wyjdzie z tego. Doktor mówi, że kiedy mu się trochę poprawi, można go przewieźć do domu. Tylko do rozumu już nie wróci; trzeba się nim opiekować do śmierci.
- Tak bym chciał zobaczyć się z nim, przemówić do niego. Czy on rozmawia do rzeczy?
- Chwilami tak. Kiedy indziej znów opowiada niestworzone historie.
- Widziałas go teraz w obłąkaniu?
- Tylko raz.
- Długo z nim mówiłaś?
- Nie. Kwadrans. Pod koniec zaczął się ciskać, wyzywać mnie, że ojca mojego zastrzeli, że cały Jurgów spali. Ale tyle powiedział: że jest dumny z ciebie i szczęśliwy. I listy przy mnie napisał przytomnie.
- Gdy się znów zobaczymy, Ewa, przynieś mi list od niego. Jaka szkoda, że już nie zobaczę Jurgowa ani Przyborowa. Nie zobaczę Naprawy, skąd pochodziła moja matka. A tak chciałem choć raz jeden tam być jeszcze, zapytać ludzi, może tam jacy jej krewni żyją. Tam pierwszy raz w życiu się zakochałem. Miałem może lat szesnaście, już nie pamiętam, Moja rówieśniczka, Marysia Matulakówna, pasła krowy tak jak i ja na drugiej roli. Śpiewaliśmy ku sobie na przemian poprzez las. Po raz pierwszy pocałowałem wtedy dziewczynę - dodał z wyrazem przygnębienia. - A teraz ciebie całuję, ostatnią.
- Co to znaczy? - otworzyła szeroko oczy.
- Że po tobie nie będzie żadnej, którą będę całował. Pamiętaj, przynieś mi list od ojca - upominał ją.
- Kiedy to będzie?
- Wiesz przecież - twarz zadrgała śladem dawnego uśmiechu. - Następnym razem. To znaczy w listopadzie.
- Przytuliła się do niego trwożnie. - Mam złe przeczucia.
- Dlaczego.
- Tak coś ludzie mówią. Czy wojny jakiej nie będzie?
- Coś ty jej znowu, Wojnar, nagadał? - odwrócił z wyrzutem oczy na przyjaciela.

- To nie on - tłumaczyła się. - Ale wszyscy są jacyś niespokojni. Już od wiosny, jak się zaczęło z Czechami i jak Słowakom Niemcy zrobili państwo. U nas kolejkę budują na Babią Górę, armaty tam niedawno ciągnęli. Pod Cylem stawiają żołnierze jakiś barak, cement wożą na górę. Druty porozciągali po Pilsku. Każdy, kto przyjeżdża do naszego rejonu, musi mieć przepustkę ze starostwa albo ze straży granicznej. W tym coś jest. Wojna się gotuje czy co?

- To na to, aby Słowacy nie chcieli odbić tego, co musieli nam oddać z wiosną na Orawie.

- E, to nie to. Wszyscy mówią o Niemcach.

- Bzdury.

- Kiedy w niedzielę wracałam późno wieczorem do domu z Jeleśni, widziałam zjawienie na niebie. Gwiazdy trzy leciały.

- Gwiazdy zawsze spadają właśnie w tym okresie.

- Ale to były gwiazdy z grzywami. Cały łeb miały w ogniu.

- Tyś się chyba zaraziła od Turculi. Słowo daję, Ewa, czy mi się tylko zdaje, że ten kwiatek na skroni wyraźnie ci maleje? W listopadzie już chyba nie będzie z niego śladu.

- Mylisz się. Jest taki sam - zwróciła na męża orzechowe oczy.

- Nie myśl o tych gwiazdach z grzywami. Coś ci się uroiło. A kiedy zobaczysz spadającą gwiazdę, prędko pomyśl o mnie.

Wielokrotnie myślała i włączając się tęsknotą w bieg ciał niebieskich próbowała wpłynąć na zmianę mężowskiego losu. Kto wie, może to właśnie była jej i gwiazd zasługa? Ale musiało być w tych gwiazdach coś zaprawdę tajemniczego i niezwykłego, skoro i proboszcz z Jeleśni napisał w księdze parafialnej prawie miesiąc temu:

„Dnia 24 lipca 1939 roku były widoczne w południe dwa słońca nad Pilskiem. Ludzie wróżą z tego znaku niebieskiego, że wielkie zmiany i niepokoje dzieć się będą w świecie. Już od zimy rok ten jest pełen osobliwych wydarzeń. Słowaccyzna oderwała się od Czech poddając się pod opiekę Hitlera. Wojska niemieckie zajęły całą ziemię czeską. Węgry przyłączyły do siebie Ruś Zakarpacką; żołnierze węgierscy wśród burz śnieżnych dotarli do granicy polskiej, gdzie całowali się ze strażnikami KOP-u. Polacy zdobyli na Czechach Śląsk Zaolziański, parę wsi orawskich oraz Jaworzynę. Ginie jedność słowiańska”.

Nie darmo zapisał to kapłan ku użytkowi przyszłych pokoleń. Nie darmo dzień w dzień krwawo zachodziło słońce nad Romanką. Ludzie z niepokojem patrzyli na ten codzienny pożar nieba.

- To coś znaczy - mędrkował stary Tramek w Przyborowie, któremu od tej zimy coś

wlaziło w drugą nogę. Choć ledwo się ruszał, zwlekał się za próg chałupy poglądając na zachód. - Jak słońce czerwono zachodzi, to na wiatr. Ale tu jakby się pół nieba paliło. To coś znaczy.

- Ogień przyjdzie od zachodu - zamruczał ponuro Wojnar.

- Co kraczecie? Niemcy?

Tamten skinął głową.

- Sprawy się wielkie dzieją.

- Co nas to obchodzi?

- O nas idzie gra.

- E, my na takim zadupiu mieszkamy, gdzie diabeł mówi dobranoc, jeszcze mu się nikt nie odezwie. Jak nasze wojsko szło w marcu na Zwardoń odbierać wsie orawskie od Słowaków, to nikt tu nie wiedział o niczym.

- Widzieliście, jak przedwczoraj samoloty furczały tu nad górami?

- Widziałem jeden.

- Były trzy. Niosły się wysoko w chmurach.

- Nasze czy czeskie?

- Już czeskich nie ma.

- Słowackie?

Wojnar wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Na mój rozum najprędzej chyba były niemieckie.

- Jakiś męt na świecie się robi, skoro tak w powietrzu się ruszają. Myślicie, że Niemcy porwałyby się do wojny?

- Nie wiadomo - mruknął posępnie Wojnar.

- Chybaby Boga na niebie nie było, żeby Niemiec nas zniszczył.

Stary przeżegnał się łyżką drewnianą, usiadł do kolacji. Ewa właśnie obrządziła krowę, gość odchodził, odprowadziła go za próg, po czym zabrała się do karmienia Jędrusia.

Kiedy wybuchła wojna, wielu poczuło, iż poczynają się spełniać znaki *Pisma świętego*. Turcula wyraźnie przepowiadała przyjście antychrysta. Powietrze było rozdierane hukami i rżeniem mechanicznych koni. Czy nie tak było napisane w *Apokalipsie*? Po niebie latać będą konie ogniste, a ogień będzie się lał z chmur. W szybkim tempie kilometr po kilometrze umierała ojczyzna. Od bomb wstrząsnął się krajobraz; wiadano od wieków, że zniszczenie nadejdzie z góry. Przyszło - przepowiedziane przez proroków - z tego samego nieba, w którym wiara ludu umieściła Boga.

Jaś Dziura zaprzyjaźnił się z młodym kelnerem z Krakowa, Romanem, i obaj do spółki zaczęli zarabkować jako drwale.

- Sezon będzie dobry, bo zima zapowiada się ostra.

- Wojna się i tak lada miesiąc skończy, możemy się zabawić w rębaczy.

Chodzili we dwójkę z piłą i siekierą, ćmiąc papierosy, po cudzych piwnicach. Jasiiek podejmował życie w niewoli jako człowiek nowo narodzony. Ponieważ był bez dokumentów, postanowił przybrać sobie nazwisko Jan Janiczak (ongis tak zwał się Ślepek). Przecież nie przyzna się do nazwiska o kryminalnej przeszłości.

Rozpoczął się nowy niemiecki porządek na ziemiach zrabowanego państwa, nazwanych Generalnym Gubernatorstwem. Żydzi z białymi opaskami na rękawach usuwali ślady zniszczeń wojennych po ulicach. Na rozlepionych afiszach widniały odezwy niemieckiego komendanta miasta nawołujące ludność uchodźczą do powrotu na pierwotne miejsca zamieszkania i do objęcia dawnych placówek pracy.

Jasiek zgodnie z Romanem postanowili zbojkotować okazję powrotu na łono rodziny. Jasiek ze zrozumiałych względów. Skoro życie tam wraca do normalnego trybu, gotowi go zamknąć z powrotem na Świętym Krzyżu jako dożywotniego więźnia. Nie ma głupich. Woli tutaj jako Jan Janiczak rąbać drzewo po piwnicach.

Zima zapowiadała się ciężka.

- Potrzebuję lewej metryki ze Lwowa - powiedział Jasiek Romkowi - bo stamtąd dokument nie da się skontrolować, rozumiesz?

- Zrobi się.

Wieczorami przychodzili w odwiedziny znajomi Romana. Czas upływał na rozmowach o wojnie. Wspominano z zalem krótkie bojowanie z Niemcami.

- Ile narodu się poniewiera! Ile się pogubiło? I czy się to w ogóle kiedy odnajdzie?

- Aleśmy przerznęli wojnę, nie ma co!

Jedni byli zdania, że trzeba się było dalej bić, inni tłumaczyli, że nie było w tym sensu. Rezultat: tyle ludzi wyginęło,

- Więc co? Poddać się mieliśmy? Zwariowałeś pan?

- Jak było widać, że nie damy rady, skapitulować.

- Idź pan do diabła! Za kogo nas pan ma? Polacy mają honor.

- A obrona Warszawy? Otwarte miasto. Bronić się do ostatka, a te dranie leją ogień z góry. „Poddacie się?” „Nie.” I lu bombami, trrach, trrach, po głowach. Pan nie przyznaje mi racji? - zwrócił się realista wprost do Jaśka.

Ten ziewnął demonstracyjnie w odpowiedzi. - Chyba nie. Ale nie mówcie już o tym,

proszę was bardzo.

- Słusznie, napijmy się wódki - zaproponował tamten i wyjął z kieszeni flaszkę. - Mówić nie warto, kochać nie warto, upić się warto.

Rzeczywiście, niedużo mu było potrzeba. Oczy błędne, na marynarce plamy rozlanej wódki, nogi mu się płączą. Podnosił kieliszek w górę gestem komedianta: - Panowie! Piję za nasze zdrowie! Abyśmy jak najprędzej wrócili do domowych pieleszy.

Janosik siedział chmurny, myślami zamieszkały w Przyborowie.

W niedzielę odwiedził Jasiek kościół Świętej Trójcy, którego dach nadgryzły przelatujące pociski armatnie. Słuchał dogłębnie wstrząśnięty muzyki organów, która rozwalala ściany i sklepienie podziurawione wybuchami granatów. Kapłan odprawiał nabożeństwo. Przez dwie ogromne dziury wlatywały i wylatywały beztrosko ptaki. Skłębiona orkiestra dźwięków zalała, zda się, odległość między niebem a ziemią. Było coś niesamowitego w tym nastroju. Kapłan czytał na ambonie Ewangelię przy wtórze ćwierkających wróbli. Msza się skończyła. Parę głosów niewprawnie zaintonowało „Boże coś Polskę”. Głos hymnu przyjął się natychmiast i rozległ się potężnie po kościele. Jasiek odwrócił się i zobaczył za sobą dwie jasnowłose dziewczyny, blade z ekstazy, z zamkniętymi oczyma, z których spływały łzy. Wnet zaczęto gasić zapał. Ktoś głośno uciszał:

- Cicho! Spokój! Nie śpiewać!

Duchowny wyszedł na stopnie ołtarza i podniesionym, zdenerwowanym głosem przestrzegał:

- Przypominam raz jeszcze, iż jedynie kapłan jest upoważniony w kościele do intonowania pieśni. Wiernym nie wolno na własną rękę urządzać śpiewów ani podejmować ich za niepowołanymi. Ukazały się ostre zarządzenia władz i prosimy, aby stosować się do nich. W przeciwnym wypadku władze zagroziły zamknięciem kościoła.

I drżącym głosem poddał śpiew wiernym:

*Serdeczna Matko, opiekunko ludzi,
niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi...*

Nowa pieśń wpłynęła w starą. Melodia pozostała ta sama; tylko słowa były inne. I sens śpiewu był ten sam.

Tak przeszła jesień męczeństwa; rozpoczynała się pierwsza zima niewoli.

Święta obchodzono w smutku i żalobie. Wigilia wołała wielkim głosem, o pomstę do

Boga. Skuty w lodowy pancierz odchodził rok 1939 - rok zagłady i uciemnienia - a nowy rodził się w akordach ostrego, wzrastającego mrozu. Śnieg sypał drobne, cienkie, kłujące igielki przy trzaskającym zimnie. Naród z trudnością dawał się naginać do nowego porządku. Nieliczni przechodnie spotykali się na ulicach i szeptem wymieniali między sobą poufne wiadomości.

- Anglia się nie rusza. Żeby choć zaczęła bombardować Niemcy! Ani Francja.
- Dobrze będzie, jak do drugich świąt Bożego Narodzenia wojna się skończy.
- Co też pan opowiada! W lecie alianci przyrzną Niemcom kurtę jak się patrzy.
- A ja mówię, że Włochy pójda w pomoc Hitlerowi.
- Bankrut bankrutowi będzie pomagał? Włochy się nie ruszą, bo się boją Ameryki.
- Czemuż Ameryka nie przystąpi do wojny? W jednym tygodniu byłoby po Niemcach.
- Stany Zjednoczone i tak pomagają. Cała produkcja wojenna Amerykanów idzie dla aliantów. A naszym więcej nie trzeba, tylko czołgów, samolotów, okrętów i armat.

Wrzały namiętne dyskusje po domach. Jasiiek z Romkiem otrzymali posady na kolei. Przed spaniem przychodził do nich w odwiedziny sąsiad zza ściany, inżynier kolejowy Speidel z Grudziądza. Starszy człowiek, mieszkał z żoną i dwiema córkami. Zacierał skostniałe ręce przy rozpalonym piecu i wzdychał na cały głos:

- Panie, taką klęskę ponieść! Niemcy za tysiąc lat będą jeszcze o tym mówili. Już nikt nie będzie wspominał Grunwaldu, tylko wrzesień 1939 roku. Załatwili się z nami błyskawicznie, jak obiecywali.

- Wywietrzeje im to z głowy prędko, bo sami się rozłożą pod koniec wojny elegancko na obie łopatki - pocieszał starego domniemany Jan Janiczak, a Romek, również na pocieszenie, rozłożył na stole zatłuszczoną talię kart.

- Zagrajmy - westchnął - o mistrzostwo Rzeszowa.

W styczniu przeniesiono obu kolejarzy do Krosna. Roman znalazł zajęcie na stacji, Jasiiek jako konduktor dostał się do obsługi pociągów Krosno - Zagórz - Łupków. Po tygodniu chłopiec wyjechał w pierwszą swoją służbową podróż. Spodobało mu się to zajęcie. Jeździł na samą granicę słowacką. Praca w terenie granicznym stanowiła przecież jego specjalność.

Takiej zimy nie pamiętają żyjący od wielu lat. Jasiiek przypomniał sobie: „Jędrus mój skończył jeden rok. To już duży chłopak. Czy chodzi dobrze? Czy dużo umie mówić?” Ach, ile by ojciec dał za to, aby usłyszeć synka wołającego „tatusiu”!

Ojciec dzieciaka, sam prawie dziecko, stał w kącie wagonu, rękaw kozucha wtuliwszy w drugi rękaw, i obserwował niesforną gromadę pasażerów. Połowa szyb w oknach wagonu

była wybita, ludzie tulili się do siebie, na drzwiach do połowy zlodowaciał śnieg. Wszystko jechało na wieś po upragnioną żywność.

Na stacji w Zagórze wkroczyła do pociągu policja i wyrzuciła wszystkich bez wyjątku pasażerów z czterech wagonów. Ludzie nie chcieli za żadną cenę opuścić miejsc zdobytych z tak wielkim wysiłkiem. Popychani zeskakiwali ze stopni, aby obiec wagon i z drugiej strony ucześcić się drzwiczek. Niby gromadę więźniów eskortowała policja podróżnych do budynku stacyjnego.

- Kiedy następny pociąg?

- W nocy o drugiej - odrzekł obojętnie kolejarz stacyjny.

- Jezus Maryja! I czekaj tu piętnaście godzin na takim mrozie!

- A z powrotem do Krosna kiedy mamy pociąg? - niektórzy chcieli wrócić, mając dość tej przygody.

- O ósmej wieczorem. Ale czy przyjdzie, nie wiadomo. Tak pisze w rozkładzie. Teraz rozkład idzie swoją drogą, a pociągi chodzą swoją drogą.

Cztery wagony opróżniono dla transportu wojskowego, który miał niebawem nadjechać. Kolejarze - sami Polacy - zebrali się przy lokomotywie, z której buchało ciepło, i opowiadali sobie wydarzenia dnia.

- Uważajcie na Słomiaka - ostrzegano się wzajemnie. - Chodzi i pije z gestapowcami. Z daleka od niego, bo to świnia.

- Słyszeliście, że lekarza z Łupkowa wozili na gestapo?

- Zabrali go do Sanoka, ale wypuścili tego samego dnia.

- To będzie w związku ze sprawą Zalaśńskiego. Aresztowali go poprzedniego dnia w Komańczy na peronie z paczuszką w ręce. Nie wyspał nikogo, to rzecz pewna. Ale w Nowym Łupkowie zabrali z lasu wprost od siekiery sześciu drwali, samych oficerów. Wszystkie dokumenty mieli w porządku.

- To robota zdrajców. A jak pod samą Cisną na Trzech Króli gestapowcy złapali czternastu naszych na trzy kilometry przed granicą węgierską? Jak myślicie, kto zdradził?

- Przewodnicy. Łemki.

- Wiadomo.

- To dranie! A w Łupkowie cała stacja roi się od strażników i gestapowców.

Już od Bożego Narodzenia nawiązał Jasiak kontakt z człowiekiem podziemnej organizacji, Lisowskim, urzędnikiem ubezpieczalni w Rzeszowie. Uzyskał od niego dokument, który legalizował jego przybrane nazwisko. Należało się przecież czymś wylegitymować wobec władz. Dowód osobisty wystawiony przez starostwo powiatowe we

Lwowie w roku 1938 opiewał na nazwisko Jan Janiczak, rolnik ze wsi Krzywczyce. Fotografia, pieczęcie, podpisy - wszystko wierne, precyzyjne, nie budzące żadnych podejrzeń. Z wdzięczności za to Jasiak zbliżył się do Lisowskiego pomagając mu w pracy; zaimponowało mu ryzyko tej roboty. Czterokrotnie jechał (zresztą służbowo) w Karpaty z partiami mężczyzn przemycanych przez organizację za granicę.

Po raz piąty wyjechał w marcu 1940 roku w trójkąć trzech granic, tym razem z ważnym zadaniem: zreorganizować pracę w Łupkowie. Jechał z sześcioma osobami, miał wskazane adresy. Trzech mężczyzn szło dalej na Węgry przez Cisnę, jeden z nich był kurierem organizacji w drodze z Warszawy do Budapesztu, dwóch udawało się do nadgranicznego miasteczka w Słowacji. Szóstym był dodany do pomocy Jaśkowi Chruściel, sprytny chłopak, były plutonowy z Nowego Sącza.

Trwała ostra zima. Jasiak Janiczak jechał na dwutygodniowy urlop zdrowotny do Łupkowa. Papiery kolejowe miał w najzupełniejszym porządku, włącznie z zaświadczeniem lekarskim. W Zagórzcu obsiadły pociąg mgły, z południa od gór lesistych płynące. W wagonach było prawie pusto. Kiedy wyjrżeli przez okno, przywitał ich śnieg wylepiający płatami górski horyzont.

Przybyli do Łupkowa późnym wieczorem (towarzysze wysiedli na poprzedniej stacji). Na peronie - bezludzie; z pociągu wysiadło paru Łemków. Błada naftowa lampa paliła się na stacji, jakiś kolejarz przesunął się w ciemnościach. Wychodzili na obszerny plac przed dworcem oglądając w mroku słabo i nielicznie rozkwitające światełka granicznego miasteczka.

Jasiak był tu już dwukrotnie, spał w willi pod lasem, pamiętał gospodynię, miłą gadatliwą staruszkę. Dzisiaj ma przygotowany nocleg gdzie indziej. Z tyłu za nimi ktoś biegł od strony szyn w kierunku stacyjnego budynku; niski mężczyzna w butach wysokich, w kurtce.

- Halo - rzekł miękko, niskim głosem - czy panowie może z Krosna?

- Tak, z Krosna - odpowiedział Jasiak umówioną formułką - ale nie jesteśmy krośnianie.

- Witam panów, nazywam się Tymowicz - przybyły podał im rękę. - Proszę tedy, pójdziemy torem - wskazał linie szyn błyszczących w pobłysku lampy stacyjnej. - Na drodze może się napatoczyć jakiś Szwab, jest ich tu do cholery i trochę, po co się mamy tłumaczyć?

Był to miejscowy piekarz, starszy człowiek, ale jak na swój wiek niezwykle rzeński. Mieszkał niedaleko przy drodze. Nie spotkali nikogo z wyjątkiem jakiegoś chłopca.

- To wieś - tłumaczył Tymowicz - zupełna wieś.

Siedzieli w ciepłej izbie, kurząc papierosy i rozmawiając półgłosem. Żona Tymowicza przygotowywała kolację. Po drugiej stronie obszernego podwórza mieściła się duża piekarnia.

- To było wszystko źle od razu urządzone - informował gości Tymowicz. - Ja wiedziałem, ale co się będę w to mieszał? Powiedzą jeszcze: wysadził Hoszowskiego, bo chciał sam zarobić.

- Jak było z Hoszowskim?

- Oni mają dużą willę tuż pod lasem, skąd się wychodzi na Bornik, a stamtąd na Chybiak. Cały czas idzie się samym lasem. Było tak uzgodnione na zebraniu w Sanoku, że dawało się ich adres ludziom, którzy tu przyjeżdżali i u nich nocowali. Za dzień, za dwa szli. Póki szli sami, o ile znali drogę, jeszcze pół biedy, ale odkąd wzięto Skirczuków na przewodników, cała impreza wzięła w łeb.

- Słyszałem o tych Skirczukach. Jak mogła organizacja z nimi się zmwiać?

- To najlepsi znawcy terenu. Oni się sami z tym w mówili. Zresztą im jest obojętne, dla kogo pracują, byle za dobre pieniądze. Nie wiem, czy Hoszowscy sami, czy nasi w Komańczy załatwiali z braćmi Skirczukami. Obaj mieli dostawać po dwieście pięćdziesiąt złotych za człowieka przeprowadzonego z ramienia organizacji. Zgodzili się. Oczywiście każdy, który szedł z nimi, dawał i od siebie coś niecoś. Ale to byli bandyci. Mordercy.

- No? - zaciekawił się Jasiak.

- Zanim wpadli u nas Bojko i Ziembicki, dowiedziałem się, że bracia Skirczuki pracują na dwie strony, dla organizacji i dla Niemców. Owszem, szli z partiami do granicy, lecz w drodze albo ich wydawali straży granicznej, albo ich opuszczali pod Bornikiem mówiąc, że granica jest już za nimi, albo też po prostu wyprowadzali ich w las i tam mordowali bez skrępowania dla rabunku.

- Co pan mówi? - zatrzęśli się ze zgrozy obaj przybysze.

- Skirczuki to dziś hrabiowie, wystarczy popatrzeć na nich. Jeden, były dorożkarz z Komańczy, który woził gości z letniska na stację, drugi był pomocnikiem posłańca gminnego w Łupkowie. Teraz chodzą w jedwabnych koszulach, eleganckich swetrach, krawatach, noszą oficerskie pasowane buty z cholewami, jeszcze widać na nich ślady od ostróg. Wszystko zdarte z naszych ludzi przy przeprowadzaniu za granicę. Zaufaliśmy niestety w dobrej wierze łajdakom i ciężko zostaliśmy pokarani za łatwowierność. Opowiadał mi chłop z Pistownicy, że tydzień temu pod Bornikiem pochował nagiego trupa, który dopiero teraz wychynał spod śniegu. Przeleżał, kto wie, jak długo? W śniegu zakonserwowany jak w lodowni. Obdarty do naga. To jeden z naszych, o których zapewne rodzina myśli, że się przedarli na Węgry. A ci biedacy zmarzli na śniegu w lasach, tułając się bez pojęcia po mrozie, albo dostali kulę w

brzuch od zdradzieckich przewodników, którzy paradują w niedzielę pod cerkwią w złupionych na nich koszulach.

- Nie do wiary!

- Mieszkam w Łupkowie trzynaście lat, znam wszystkich naokoło jak własną kieszeń. Wszyscy w okolicy powiedzą zgodnie o Skirczukach to samo, co ja panom mówię. Oni sami po pijanemu przyznali się do tego. Prócz tego mam wiadomości z samej straży granicznej w Cisnej o kontakcie Skirczuków z tamtejszą placówką. Trzykrotnie nasyłali im zbłąkanych Polaków i trzykrotnie otrzymali umówioną opłatę za dostarczoną zwierzynę łowną. Jeden z wydanych przez Skirczuków młodzieńców, aresztowanych przez straż graniczną w Cisnej, odwieziony był do Łupkowa z czterema kolegami niedoli. Siedział tam w więzieniu, a po tygodniu w drodze do więzienia w Sanoku zdołał zbiec. Nocowałem go u siebie, potem chłopak zwiął na Węgry przy pomocy zaufanego człowieka. Jego matka w Jarosławiu dostała o nim wiadomość z Grecji.

- Nie ulega wątpliwości - wyrzekł z przekonaniem Jasiek - że te dranie mordują naszych.

Zaczęli jeść.

- Czy komunikuje się pan z naszymi na Węgrzech? - spytał Jasiek Tymowicza.

- Tak. Przez Cybulskiego w Cisnej. Kiedy jeździ do Łupkowa, bo tu urzęduje jego szef, Niemiec, zawsze zatrzymuje się u mnie.

- Jasieńczyki hulają w Karpatach?

- Niech pan sobie wyobrazi, niedawno zeszli do Zagórza w dwustu chłopca z majorem na czele. W biały dzień. Przecięli druty telefoniczne, rozbili Niemców, było ich coś z dziesięciu, trzech z nich zastrzelili, bo się stawiali, resztę zamknęli w piwnicy, nabrali prowiantu, zdemolowali urządzenia na placówce niemieckiej, dwa domy spalili, bo ktoś tam strzelał do nich, zabrali kilkunastu młodzieńców na ochotnika i z powrotem wywiali w góry.

- Oni są pod Łukawką - uśmiecha się Jasiek. - Morowi chłopcy. To daleko stąd?

- Półtorej mili. Ale jakiej drogi!

O północy poszli spać.

Przez cały następny dzień nie pokazywali się we wsi. Okna domu Tymowicza wychodziły na południe ku granicy. Jasiek patrzył na drogę pełną błota i wybojów, pozbawioną ruchu. Czasem przeszła nią baba w kierpcach z flaszką do sklepu po naftę. Na jakiś wóz ładowano chleb z piekarni. Wyżej rysował się mgławo goły szczyt Dołhego, lekko przykurzony bielą śniegu. Niżej całe okno wypełniały lasy.

Nadszedł wieczór, chłodny, przenikliwy, iście marcowy. W ciemności wyszedł syn

Tymowicza z dwoma gośćmi i wskazał im chałupę Skirczuków. Byli obaj nieżonaci, mieszkali u rodziców. Jasiak podziękował, odprawił chłopca i obszczekany przez psa, zastukał do drzwi. Otworzono, w sieni ukazał się młody, rosły Łemek z lampą naftową w dłoni.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór. Wy do kogo?

- Do was. Chcieliśmy porozmawiać w ważnej sprawie - Jasiak mrugnął oczyma porozumiewawczo i wraz z Chruścielem przeszli przez próg. Tu nachylił się ku Ukraińcowi i szepnął mu: - Hasło nasze: Niech żyje Słowacyzna. Przyjechaliśmy z Sanoka. Dano nam wasze nazwiska, bo chcemy iść na Węgry. Nawet nie wstąpiliśmy do Horszowskich, tylko od razu chcieliśmy się z wami widzieć.

- Chodźcie panowie tu do izby - chłop wprowadził obu Polaków na drugą stronę sieni, postawił lampę na stole i krzyknął: - Wasyl!

Do izby wlaźł drugi Skirczuk, młodszy, równie zwałisty jak brat. Usiedli.

- Ony przyjechały z Sanoka - powiedział ten pierwszy. - Na Madiarszczyinę.

- Ja znaju - kiwnął tamten głową i zmierzył obu gości od stóp do głów. - Widział was kto, jakeście szli do nas?

- Nie. Prosto ze stacji idziemy. Górą przez las. Tamtemu zaiskrzyły się oczy.

- Znacie drogę?

- Nigdy tu nie byłem.

- Ale drogę do naszej chałupy?

- Już nam w Sanoku tak narysowali, że na pamięć człowiek by zgadł - uśmiechał się szeroko Jasiak. - Na planie mieliśmy wszystko, gdzie i jak mamy się ruszyć ze stacji.

- U pani Horszowskiej nie byliście? - zmrużył oczy starszy Skirczuk. - Dlaczego?

- Nie będziemy nocowali. Nie mamy czasu.

- Tak wam pilno? - uśmiechnął się przewodnik.

- Bardzo pilno - przyznał się dobrotliwie Jasiak. - Tej nocy musimy wyjść.

- Tej nocy będziecie spali tak jak i my - zdecydował Łemek.

- To się nie da zrobić - rzekł Jasiak i wstał od stołu. - Słuchajcie, będę z wami mówił szczerze. W Sanoku wskazano nam was jako zaufanych ludzi.

- Kto? Pan Terlecki?

- Tak. Ziemia pali się nam pod nogami. Jutro mogą tu przyjść po naszym tropie gestapowcy. Dzisiaj musimy zwać. Wiecie, co to jest gestapo?

- Wiemy.

- No, więc?

- Macie bloczki?

- Mamy - Jasiek wyjął dwie karteczki niebieskie, znaczone umownym szyfrem organizacji.

- Dzisiaj się nie da - powiedział obojętnie Wasyl, spoglądając niedbale na brata Michała.

- Nie jesteśmy przygotowani do chodu - poparł go tamten.

Jasiek uderzył w ton proszący.

- Nie możecie nas zawieść. Jutro będziemy aresztowani. Dajemy wam po tysiąc złotych od osoby. Cztery razy więcej niż wynosi taksa.

- Po dwa tysiące dla każdego z nas? - oczy Wasyla rozwarły się szeroko z pożądlivym błyskiem.

- Nie - sprostował spokojnie Jasiek. - Dostaniecie dwa tysiące za nas dwóch, czyli każdy z was będzie miał po tysiącu.

- Mało - parsknął Wasyl.

- To wam płacimy od siebie. A z Sanoka otrzymacie za nas jeszcze pół tysiąca. Z organizacji za bloczki.

- Noc ciemna. Późno jest.

- Zrozumcie, nie mamy czasu - napierał błagalnie Jasiek. - Jutro już dla nas za późno.

Odetchnął ciężko i spojrzał na Chruściela. Tamten przyszedł mu z pomocą i rozpoczął głębokim basem:

- Nie bawcie się w ceregiele, bo czas ucieka. Jak o mnie idzie, ja wam daję ten zegarek srebrny - wyjął z kieszeni zegarek i kołysał nim przed oczyma Skirczuków.

- Omega? - zainteresował się Michał. Wziął zegarek do ręki, przewracał, oglądał, oddał właścicielowi i wstał, aż płomień w lampie zachwiał się od wiatru, jaki szedł od jego postaci.

- No, możemy pójść dzisiaj, jeżeli dacie trzy tysiące złotych i ten zegarek.

- Trudno, damy - rzekł tonem zrezygnowanym Jasiek. Na twarzy jego pojawił się wyraz cierpienia, a z ust wydarło się westchnienie.

- A bloczki swoim porządkiem - odezwał się Michał.

- Bloczki swoim porządkiem - potwierdził niecierpliwie Jasiek.

- Pieniądze płatne z góry - komenderował starszy Skirczuk. - Po nocy w lesie nie będziemy się bawili w rachowanie - ciął sucho. - Tam w górze nie będzie na to czasu.

Patrzył nelitościwie po przybyszach, miażdżąc ich wzrokiem, chcąc powiedzieć: „Na

Węgry się wam zachciewa, płacicie".

Zapłacili. Obaj przewodnicy podzielili się od razu trzema tysiącami. Wyjęli portfele z tylnych kieszeni. Jasiak obserwował ich spode łba, spodnie oficerskie, portfele skórzane, wytworne, koszule z delikatnej popeliny, ach, co te dranie musiały narabować ludzkiego dobytku! Westchnął znów głęboko.

- Chodźmy, już późno. Nie ma czasu do stracenia. Kiedy nas odstawicie za granicę, nie pożałujecie tego. Jeszcze wam coś dodam od siebie na pamiątkę.

- Przydałoby się parę dolarów - mruknął Wasyl. Starszy zaś dodał bez entuzjazmu:

- Wyjdźcie i poczekajcie na nas. Idźcie, tak jak jesteście? - zmierzył ich podejrzliwie.

- Pewnie. Czy ja głupi, żeby tłumoki nosić? - zaśmiał się Jasiak. - Dobrze, że życie stąd wynoszę.

- Heil Hitler! - zarechotał Chruściel do wtóru koledze.

- Wasyl, pokaż im, gdzie mają zaczekać. Pod willą Boguckich na polanie. Za kwadrans tam będziemy. Hasło będzie: Sława Isusu Christu!

- Dobrze. Będziemy czekać - usłużnie kiwnął głową Jasiak. Był uszczęśliwiony. Jeszcze raz wyjął papierośnicę, poczęstował obu braci i wyszedł w noc. Od progu pokazał im Wasyl w odległości ćwierci kilometra zarys piętrowej nie zamieszkannej willi na odkrytej łące przytykającej do lasu. Jasiak widział ją w ciągu całego dzisiejszego dnia przez okno od Tymowicza.

- Ta ścieżka wiedzie na polanę. Jest pusta. My tam za chwilę przyjdziemy.

Czy Jasiak nie przesadził zbyt w grzeczności? Czy aby się coś nie połapali? Podzielił się tą troską z Chruścielem.

- Dobrześ mówił. Widzą, żeśmy wystraszone chłopaki, że nam zależy na chodzie. Myślą, że mamy forsy jak lodu. „Ach, obłowimy się na nich” - tak sobie teraz zapewne mówią.

Istotnie, obaj Skirczuki nie o czym innym mówili, wdzierając grube kozuchy i ładując magazynki w rewolwery. Starszy zwierzył się Wasylowi z niejasnej obawy.

- Coś mi się ten gość nie podoba, ten mały, co tyle gadał. A tobie?

- Duszę ma na ramieniu, nie bój się. Muszą go gonić za coś, nie dziwota, że tak wrywa. Nerwowy. Pewnie ma dolary, czuję nosem.

- Myślisz, że mają broń?

- Chyba nie.

- Dobrze by się było upewnić.

- Boisz się ich, Mychajło? Co z tobą?

- Nic. Ale powiem im na początku, że broni ze sobą nosić nie wolno, bo kto by był przychwycony z bronią w rękę przez Węgrów czy przez Słowaków, jest na miejscu rozstrzeliwany. Taki jest przepis, powiem. Zobaczysz, że się przelekną, o ile mają broń.

- Jestem pewien, że nie mają. To tchórze. Myślą tylko o wianiu.

- Od razu im to powiem. My broni także nie nosimy. Tak ich zajadę. Przecież, do cholery, nie będą nas rewidowali.

- Nie marudź. Co ci przyszło do głowy, Mychajło? - skarcił go brat.

- Pewnie. Chodźmy. Dobra nicz, dziadku.

Wyszli, obmacawszy się dokładnie; rewolwery, latarki kieszonkowe, żywność. W rękach sękate lagi. Wstąpili na ścieżkę.

- Jutro pojedziesz z bloczkami do Sanoka. Trzeba je sprzedać - szeptał Michał.

- Co tam? Mam bloczki w tyłku. Zobaczysz, ile im wyprujemy dolarów z kołnierzy.

- Cicho.

Otwierała się polana. Noc była bezksiężycowa, gwiazdy pełgały słabo. Od Vihorlatu nadpłynął suchy, ciepławy wiew. Zima się już przesiliła, zbliża się przedwiośnie. Jeszcze pod Stribem leżą płyty śniegu, ale na łupkowskich łąkach zakwitły krokusy.

- Stoją tam, widzisz ich?

- Widzę.

Michał zaświstał lekko na próbę. Dwa cienie ruszyły zza węgła czarnej willi wyrosłej wśród mroku jak statek na wodzie. Odpowiedział przewodnikom taki sam łagodny świst. Dwa zwaliste draby z lagami dochodziły ku pustemu domostwu.

Od ściany podmurowania oderwał się mały cień, drugi, nieco większy, ruszył spod ganeczku. Rozległ się nieśmiały, pytający głos Jaśka:

- Sława Isusu Christu!

- Sława na wiki - ledwo zdążyli odpowiedzieć Skirczuki i legli obaj z kulami w brzuchach. Dwa cienie przyskoczyły do nich i leżącym na rośnej trawie wpakowali po jednej dodatkowej kuli w sam środek czoła.

Rozpoczęła się rewizja. Zabrano im wszystko. Nie tylko broń, nie tylko żywność, także i portfele, buty, latarki oraz kozuchy. Wszystko, nawet sękate lagi. Zostawiono trupy w spodniach i w koszulach. Jasiak chciał przykleić zabitym karteczki na ranie czoła z napisem: „Za zdradę” - ale przypomniał sobie w porę historię z Ćwiertniakiem w Korbielowie. To nie ma sensu.

Powoli wstępowali kamienistą drogą na Bornik. Chruściel znał tę drogę doskonale, gdyż przed laty jego ciotka miała w Nowym Łupkowie domek i przyjeżdżał do niej stale na

wakacje.

- Skorośmy tak załatwili sprawę, to już nie wypada mi meldować mojego przyjazdu w gminie łupkowskiej - prawil z uśmieszkiem Jasiek. Chruściel kiwał głową równie wesoło.

- Pewnie. Urlop musimy spędzić gdzie indziej.

Spędzili go, jak sobie zamierzili, pod Łukawką w obozie majora Jasińczyka, pełnego fantazji partyzanta, który wycofał się spod Rzeszowa wraz z garstką podobnych mu temperamentem chłopców i trzymał się w górach przez całą zimę. Opowiadano cuda o jego wyczynach. Mogli już byli dawno zwać na Węgry, jak to uczyniły setki ich kolegów, a jednak pozostali po stronie polskiej wojując z najeźdźcą. O ich liczbie rozpowiadano niesłychane cuda. Prawdą było, iż nie było ich więcej nad dwustu ludzi, przeważnie oficerów i podoficerów. Przez ich najazdy władza niemiecka ustaliła się na samej granicy Karpat o miesiąc później, niż przewidywała. Wszystkie załogi, które szły obejmować posterunki graniczne, nie wracały. Na Przełęczy Dukielskiej dwukrotnie spalono budynek niemieckiej placówki. To samo spotkało drewniane schroniska użyte do tego celu przez „graniczników” pod Chybiakiem, Dołhem, Sywką, w Bereźnem. W Bukowsku stoczono bitwę z kilkudziesięciu żołnierzami niemieckimi, wezwanymi dla ochrony tartaku. Bitna armia pierzchała w panice, gdy pokazało się zaledwie paru uzbrojonych Polaków. Zdobyto dużo broni i amunicji, mogło to wystarczyć partyzantom na kilka tygodni. Kiedy poszła w doliny wieść o partyzantce polskiej w Karpatach, uchwalono, że armia węgierska bije się z Niemcami w górach, a później na pomoc przywołano Włochów, a wreszcie alianckie wojska z Francji. Ostatnia pogłoska, którą miał możliwość słyszeć także i Jasiek na dołach, dotyczyła wyprawy na Zagórz, gdzie mieli operować Murzyni.

Była to przygoda w wielkim stylu. Sam major Jasińczyk prowadził swoją grupę. Potrzebowali nowej broni i amunicji, a przede wszystkim żywności. Umazali sobie twarze sadzą, odcięli miasteczko od świata, Niemcy - iluż ich tam zresztą było? - pierzchnęli do piwnic. Jasińczyki dostali się do budynku straży granicznej, nabrali karabinów, rewolwerów, cztery karabiny maszynowe, zarekwirowali jednaście podwód, załadowali je pszenicą, chlebem, płaszczami, butami. Ze dwudziestu młodych Polaków przystało do nich na ochotnika. Odjechali w góry z paradą, nie tracąc ani jednego człowieka, skończyło się na kilkudziesięciu strzałach.

O, to było coś dla Jaśka Janiczaka, recte Dziury. Zaraz po zameldowaniu się u majora dostał się do szpicy oddziału wywiadowczego, który zapuszczał się ku zapadłym wsiom, by zdobywać żywność lub informacje. Spodziewano się poważniejszej kontrakcji ze strony

niemieckiej. Przypuszczano, że akcja ta nastąpi z wiosną, gdy tylko śniegi zejną z gór.

Major korzystał z warunków terenowych i klimatycznych, które czyniły jego redutę niezdobytą. Obóz jego rozбитo był w starych szałasach na polanie Dławnica. Specjalna wyprawa do tartaku kolejowego w Komańczy zamieniła szałas w pierwszorzędne schronienie dla dwustu ludzi. Na rogach polany obudowano nawet deskami stanowiska karabinów maszynowych. Dniem i nocą czuwały posterunki nad bezpieczeństwem terenu. Od października siedział w tych stronach major Jasińczyk z chłopcami, zmieniając tylko dwukrotnie miejsce pobytu. Z jego przyczyny ta część granicy w rejonie Bieszczad nie była obsadzona. Niszczył nielitościwie każdą załogę placówek granicznych. Trzykrotnie wybił po sześciu ludzi w obrębie Demianówki, zabezpieczając sobie w ten sposób odwrót. Już dawno mógł bryknąć do Madziarów, przecież jednak tego nie robił. - Jeszcze jest czas na to - mawiał.

Już na trzeci dzień po przyjeździe Jaśka do oddziału była mała strzelanina. Ujęto w lesie trzech chłopów, którzy się ostrzeliwali uciekając. Byli posłani na przespiegi. Wprawdzie podawali się za przemytników, lecz bystre oczy wytrawnych żołnierzy nie uwierzyły w to. Trzech szpiegów powieszono na gałęziach świerków. Nazajutrz setka ludzi poszła na zbadanie sytuacji do Sywki.

W Sywce znajdowali się właśnie na inspekcji (to znaczy na popijawie) trzej strażnicy graniczni i trzej urzędnicy nadleśnictwa, Niemcy - wszyscy w mundurach. Na wieść o zjawieniu się Polaków pierzchnęli do piwnicy tartaku, drżąc z obawy, że budynek lada chwila spłonie jak kupa wiórów. Strach nie pozwolił im jednak wyjść na dwór. Przesiedzieli w lochu prawie pięć godzin, dopiero odważyli się pod wieczór wystawić nosy. Partyzanci poszli już sobie w góry ściągnawszy uprzednio kontyngent żywności. Popędzili przed sobą nawet barany i cielęta. Nie zrobili krzywdy nikomu; wprawdzie szukali skwapliwie jakiegoś Niemca, lecz nie znaleźli nikogo. Dali upust swej nienawiści do okupanta puściwszy z dymem starą obszerną willę, na której widniał napis w języku niemieckim. Paru chciało także podpalać urząd gminny, ponieważ na jego drzwiach wisiała tabliczka z orłem niemieckim i napisem: „Kreishauptmannschaft Sanok”, ale wójt ubłagał majora, i nie ruszono tego budynku. Jako odszkodowanie musiał złożyć dodatkowy kontyngent w formie tytoniu, tłuszczu i wódki. Cztery sklepy istniejące w Sywce opróżniono doszczętnie; wszystko pokwitowano, na wszystko wypisano rachunki. Major podpisał: „Polska grupa oporu Karpaty”. Odchodzili w bojowym ordynku.

Zaczynała się wiosna górską. Huczały napęczniałe strumienie, drożyna ociekała brunatnym błotem. Wpadli w duszącą mgłę, po dwóch kilometrach mgła rozeszła się,

otoczyły ich czuby garbate, nieprzystępne, chłodne. Pośepne niebo wisiało nad dzikim leśnym pustkowiem.

Wieczorem każdego dnia była odprawa, na której przemawiał major. Mówił krótko, lecz sugestywnie. Słowa jego wchłaniano jak ewangelię. Któregoś wieczora stał przed wyciągniętym rzędem żołnierzy; grube polana trzaskały pod gołym niebem. Wiał lekki ciepławy wiatr kwietnia, wysoka, szczupła sylwetka komendanta wydłużała się na tle ognia, nabierała wymiarów olbrzymich, płynął szlachetny, niski głos.

- Mówią niektórzy: wracać do domów. Po co? Powrócimy do ojczyzny jako wolni żołnierze Rzeczypospolitej. Póki nam tu nic nie doskwiera, możemy siedzieć. To polska ziemia. Gdy nam zanadto nastąpią na pięty, zwiejemy do Madziarów. A stamtąd do Francji lub Anglii, dokąd nas powoła generał Sikorski. Ale przedtem poskubimy trochę okupanta. Czy nie mamy się za co mścić? Że tyle naszych ludzi zginęło, że tyle ich poniewiera się po świecie. Że tyle dobra polskiego zeżarli i panoszą się na naszym majątku, a z nas zrobili dziadów i niewolników. Że sprowadzili nędzę, śmierć i rozpacz na naszą ziemię.

Zwierały się pięści, zgrzytały zęby, Jasiek pomyślał o żonie i dziecku. Na komendę wszyscy zdjęli czapki i zaintonowali jak co wieczór „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. W pieśni ginęły utrapienia całego dnia, myśli i troski całej kompanii, która miała za chwilę ułożyć się do snu. Ze skrajów polany dochodził gwizd i pokrzykiwanie na psy. Zmieniano warty na posterunkach. Wartownicy mieli cztery psy, wilki, specjalnie tresowane, o doskonałym tropie i węchu. Zdobyli je w grudniu podczas wyprawy na placówkę straży granicznej w Cisnej. Jasiek jeszcze raz, zanim zasnął, pomyślał o żonie i dziecku w Przyborowie.

Przeżyli już dwie wielkie utarczki w nadgranicznych lasach. Na ich wspomnienie major Jasińczyk śmiał się i klepał po plecach Jaśka Janiczaka. I on prędko poznał się na odwadze i fantazji najświeższego swego ochotnika.

Nie było się jednak z czego śmiać. Grupa straciła w ostatnim tygodniu jedenastu ludzi. Siódmego kwietnia patrol, leżący niżej o kilometr od obozu nad potokiem, ostrzelał zbliżającą się szpicę niemiecką. Na alarm wszyscy stanęli na placu. Połowa oddziału posunęła się w kierunku strzałów wzięwszy ze sobą dwa karabiny maszynowe. Na dole huczał bój. Niemcy w sile kompanii nadchodzili dwoma skrzydłami niby w nagonce. Wywęszyli obozowisko przy pomocy szpiegów. Major Jasińczyk nadbiegł w momencie, gdy z sześciuosobowego patrolu dwóch wycofywało się w stronę obozu. Niemcy prażyli bez ustanku z maszynek. Jasiek pobiegł do majora.

- Panie majorze! Pójdę na ochotnika z naszym cekaemem niżej i będę im kropił do

pleców.

Komendant popatrzył na niego surowo.

- Skąd wiesz, że ich tam nie ma więcej?

- Popatrzę.

Obiegł naokoło poza linią ognia, nachylony, z karabinem w ręce tuż nad ziemią. Gałęzie smreków zmierzwiły mu wystające spod czapki włosy. Za pięć minut wrócił: linia walki wspięła się już za ten czas ku górze. Niemcy napierali, mieli większą siłę ognia. Rozróżniał czarne wyłogi, to esesmani.

Ledwo odnalazł komendanta. Był czerwony, spocony, kłął.

- Panie majorze, potrzebuję dwóch ludzi na ochotnika. Zejdziemy niżej z grzechotką. Siądziemy w smreczkach, podziurkujemy ich trochę.

Jasieńczyk podrapał się w głowę.

- Psiakrew, boję się, że się zmarnujecie. Już sześciu naszych chłopców leży pod smrekami. Nie wstali.

- Ja pójdę.

- Weź Adama i Lankosza.

We trójkę szli bokiem, wdążyli się w młode smreczki, strzelanina nie ustawała. Las zrzedniał. Przed nimi stała za drzewami gęsto rozstawiona linia strzelców nieprzyjacielskich. Pomiedzy nimi cztery kupki żołnierzy przy karabinach maszynowych. Jasiak uklęknął przy cekaemie.

- Grajmy!

Zaterkotał z tyłu ognisty piesek. Niezawodną ręką kierował chłopiec uchwytem, celując kośbę najpierw na gniazda karabinów maszynowych. Po kilku minutach obsługa leżała plackiem. Pole ostrzału było doskonałe. Poszczególni esesmani stracili orientację, poczuli, iż są wzięci w dwa ognie. Kiedy zobaczyli, jak kładą się pokotem żołnierze przy broni automatycznej - ogarnął ich strach. Kiedy jeszcze w dodatku ręka Jaśka Janiczaka poczęła wyłuskiwać po jednym strzelcu z linii obławy - atak niemiecki załamał się. Zieloni wiali w bok, skacząc długimi susami w stronę parowu. Posypały się na nich strzały z przodu. Panika wroga była całkowita. Jasiak krzyknął: „Hura!”, porwali się z cekaemem w ślad za uciekającymi. Przysiedli za jałowcem, podsunęli lufę między kłującą gęstwę i zaczęli prażyć w kierunku ucieczki. Z góry nadbiegał major Jasieńczyk.

- Brawo, Jasiak! - krzyknął doń w biegu. - Dość, nie strzelaj, pogonimy jeszcze za nimi trochę.

Jasiak zapalił papierosa. Pukały beładnie kulki w dole, pogrom wyprawy niemieckiej

był przypieczętowany. Za pół godziny wrócili Jasiończyki z pościgu niosąc łup w postaci dwunastu karabinów, dwóch erkaemów i trzech pistoletów automatycznych. Podjęto cztery osierocone cekaemy. Z triumfem wracał oddział na górę. Chłopcy Jasiończykowi nieśli, niestety, pięć własnych trupów i jednego ciężko rannego, który zmarł tego samego dnia nad wieczorem. Pochowano ich na polanie, wbito w mogiłę krzyż brzozy.

W cztery dni potem nastąpiła druga bitwa w rejonie Łukawki. Był słoneczny, piękny ranek. Świeża wiosenna zieleń wybuchała z drzew. O dziesiątej trzej wartownicy znad potoku strzelili trzykrotnie na znak alarmu. Wszyscy wyskoczyli z obozu, rozpoczęła się strzelanina. Następował oddział, złożony z pół batalionu; połowa była na koniach. Część Polaków wyszła naprzeciw atakującym, przyjęła ich wściekłą salwą. Tamci jednak legli za jarem, korzystając z osłony wysokiego brzegu. Zagrały karabiny maszynowe. Major, jak zwykle, był w przedniej grupie.

- Nie ma co czekać, chłopcy - huknął - idziemy na nich. Odebrać im cekaemy!

Poderwali się z dziką wrzawą. Walili granatami ręcznymi, zdawało się, że się las pali. Zdobyli szturmem pięć maszynek. Niemcy w popłochu uskakiwali za krzaki. Z góry nadchodziła pomoc. Z lewego skrzydła znowu uwikłano się w walkę. Raz za razem pukały nieprzyjacielskie lufy maszynowe.

- Psiakrew, co najmniej dwie kompanie przyszły!

Z góry zaczęli zjeżdżać kawalerzyści. Ubili paru Polaków, ich samych także kilku ściągnięto z koni; łuk obrony wyginał się coraz wyraźniej pod uciskiem napierających. Major dał rozkaz zacieśnienia szyku i wycofywania się. Odstrzeliwano się regularnie. Niemcy podciągnęli karabiny maszynowe, znowu zaczęło się terkotanie.

- Jasio, hulaj do kapitana Inasinskiego, niech przyleci tu ze wszystkimi, bo inaczej marnie będzie - krzyknął Jasiończyk we wrzawie bitwy. Włosy wyłaziły mu spod czapki, przylepiły się do czoła. - Niech zostawi dziesięciu ludzi na posterunkach w obozie. Wio!

W ciągu kwadransa nadeszła odsiecz. Polacy wycofywali się stale. Zatrzymali się, uklękli, legli, stanęli za pniami i zaczęli walić w sto osiemdziesiąt strzelb do wroga. Jasio rozciągał umyślnie prawe skrzydło, aby zająć drabom na flankę. Chciał powtórzyć udały manewr sprzed paru dni. Nie było to nawet potrzebne. Po dziesięciu minutach strzelania osłabła, Polacy przeskoczyli potok, kawalerzyści ustąpili z pola ostrzału. Major wrzasnął przeraźliwie: „Hura!”, z krzykiem poniosło wiarę w dół; Niemcy skakali jak lekkoatleci. Od czasu do czasu klasnął sucho strzał, nie ulegało jednak wątpliwości, iż bitwa skończyła się zwycięstwem strony polskiej.

Zmęczeni, oblani potem, lecz w triumfalnym nastroju wracali partyzanci do obozu.

Wzmocniono warty, gdyż komendant przewidywał niebawem powtórzenie wizyty. Wizyta wprawdzie nie nastąpiła, lecz major Jasińczyk nakazał zwinięcie obozu i ostateczne przejście na Węgry. Dnia tego wyrosło znowu pięć krzyżów mogiłnych na jasnozielonej runi polany. Było rzeczą zrozumiałą, że z nastaniem wiosny władze niemieckie nie ścierpią istnienia grupy partyzanckiej i bez względu na straty w ludziach będą chcieli zlikwidować Jasińczyków. Dalsza walka nie miała sensu. Przez całą noc pakowano żywność, każdy z żołnierzy otrzymał swój osobisty przydział. Dziewięć niemieckich cekaemów wraz z amunicją oraz pięć własnych zakopano w rogu polany, rano zaś ruszono w kierunku południowym. W tym rejonie nie było straży granicznej niemieckiej, nic więc dziwnego, że oddział śpiewał w głos: „O mój rozmarynie”, „Rozkwitały pęki białych róż” i „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani” - zupełnie swobodnie, jak na manewrach.

Około jedenastej, kiedy słońce wzbilo się nad dzikie bory Rawki, Jaś Janiczak recte Dziura idący w patrolu ubezpieczającym prawą flankę partyzanckiej kolumny zatrzymał się w krzakach dla ważnej potrzeby cielesnej i nie wrócił więcej na swoje miejsce. Rzucił karabin między jałowce, skończyło się wojowanie. Obładowany pełnym plecakiem rozpoczął marsz w odwrotnym kierunku niż jego kompania. Na północ. Nie uśmiechała mu się zgoła podróż na Węgry. „Co tam będę robił? W obcym kraju się tułać? Po morzach pływać?” Nawet się nie pożegnał z Chruścieniem. Trapiła go jedna myśl: dotrzeć do Przyborowa. Do żony, do dziecka.

Szedł dwa dni lasami jak dziki zwierz, aż doszedł do Dukli. Wyglądał na bandytę albo na drwala. Nie spotkał żadnego strażnika granicznego. Z Dukli pojechał autobusem pocztowym w spokoju ducha do Krosna. Na dobrą sprawę okazało się, że zaledwie o tydzień przedłużył sobie półmiesięczny urlop zdrowotny. Niewątpliwie czekałaby go za to kara, ale Jasiek nie miał zamiaru zgłaszać się do służby. Wieczorem zapukał do mieszkania umownie, potrójnie z czwartym stuknięciem. Otworzył mu Romek w koszuli.

- Bój się Boga, Jasiek! Czyś ty zwariował? Już tu byli dwa razy za tobą. Szukali cię.

- To znaczy, że już trzeci raz nie przyjdą - odparł kolega z przekonaniem i zaczął się rozbierać. - Spać mi się chce jak cholera.

- Co ty sobie myślisz, Jasiek? Za to się idzie do obozu.

- Daj coś zjeść, jestem głodny jak pies. Co mnie obchodzi kolej? Ja nie myślę wracać na kolej.

- Co będziesz robił?

- Jadę do domu.

W pierwszym etapie podróży znalazł się w Rzeszowie. Wylazł z podgórskiego bałaganu, zobaczył kraj wciągnięty w gospodarkę wojny. Iść zawsze szybko, nie wystawać

przed bramami, nie czekać na placach, nie oglądać wystaw, śpieszyć się - oto ideał obywatela w służbie pracy. Kto spaceruje wolno w tym państwie? Nierób, pasożyt, darmozjad i takiego Niemcy wywożą na roboty.

Jasiek miał na usprawiedliwienie swojego pośpiechu ważny dokument: legitymację kolejową. Zatrzymał się na noc u znajomego kolejarza rzeszowskiego, Franaszka, który zlecił mu załatwienie paru spraw w Krakowie.

Na pierwszy rzut oka życie płynęło w Krakowie zgoła normalnym trybem. Gdyby nie mundury niemieckich żołnierzy i kolejarzy, nikt by na oko nie przypuścił, iż tą ziemią zawładnęli Niemcy i wciągnęli ją w orbitę wojny. Zaraz po wyjściu z dworca natrafił jednak Jasiek na scenę, która uprzytomniła mu okupację. Na przystanku zatrzymał się tramwaj, z którego stopni oficer niemiecki ściągnął kobietę za rękaw, wrzeszcząc nieludzko. Na jezdni uderzył ją dwa razy w twarz, zatoczyła się, kapelusz jej spadł na ziemię, oficer wskoczył na stopień, krzyknął na motorowego „Abfahrt!” i tramwaj ruszył. Kobieta w średnim wieku, ubrana na czarno, zanosila się od płaczu. Poprawiała włosy, układała kapelusz na głowie i wstrząsana szlochom przechodziła na drugą stronę ulicy.

Za kwadrans ukazał się oczom Jaśka Wawel. Zamek na wzgórzu skupiał na sobie pożogę słońca, Wisła srebrzyście połyskiwała dołem. Przed bramą - żołnierz niemiecki na warcie. W pałacu królewskim mieszka generalny gubernator z ramienia Hitlera. Więc to jest Kraków!?

- Nie wiem, czy pan zwrócił uwagę, jaka była pogoda we wrześniu 1939 roku?

Twarcz sucha, ściągnęła, przecięta sutym czarnym wąsem, napięta w wyrazie usilnego myślenia. Oczy w ostrym błysku, okolone strzępiastą grzywą brwi, twardo patrzyły w młodzieńca. Właściciel ich miał lat około sześćdziesięciu, od dawna mieszkał w Krakowie, swoim rodzinnym mieście, z na pół sparaliżowaną żoną i bratem lekarzem. Przyjął chłopca bardzo uprzejmie, przeczytał uważnie dwa listy, a potem powrócił do rozpamiętywania zeszłorocznych wypadków.

- Wiedziałem, że ta pogoda niesie ze sobą katastrofę. Niebo bez chmurki, upał nieznośny, powietrze duszne i suche. Coś niesamowitego. Słońce pomogło Niemcom do zwycięstwa, niech pan pamięta. - Głaskał siwe włosy na skroniach, szlachetny profil rysował się wyraziście na tle okna. Pili kawę przegryzając kawałkiem twardego wojennego piernika.

- Czy do Jeleśni można się stąd łatwo dostać? - zapytał nagle Jasiek. - Bo pod Żywcem jest podobno granica.

- Teraz tam jest Rzesza. Tam się pan nie dostanie.

- Jak to? Więc stąd nie wolno mi do Żywca jechać?

- Bez przepustki nie. A po co pan tam chce jechać?

- Mam tam znajomych.

- Można się starać o przepustkę graniczną.

- Gdzie przebiega granica?

- Przez Zembrzyce i Suchą.

- Hm - zamyślił się Jasiak. - Więc teraz Jeleśnia należy do Niemiec! - pocierał ręką czoło nie mogąc tego zrozumieć. - Cóż tam jest niemieckiego? - Kiwał głową zdumiony. - A przez zieloną granicę nie można?

- Można by, ale z Niemcami nie ma żartów. Dawniej było lepiej, teraz zaostrzyli straż. Duże kary. Każdego, kogo złapią, do więzienia pakują. Albo do obozu.

- Może pan list napisać - wybawiła go z kłopotliwych myśli gospodyni.

Na tym urwała się rozmowa. Dopiero przy kolacji gospodarz podjął poprzedni temat:

- Długo pan zabawi w Krakowie?

- Nie. Jutro wyjeżdżam.

- Tak prędko? Nie podoba się panu u nas?

- Nie.

- Z powrotem na wschód?

- Z powrotem.

Opuścił Kraków. Za dużo Niemców się tu plątało. Ale zamiast do Krosna - jak obiecał - pojechał do Myślenic; miał jeden znajomy adresik w kieszeni. Zaraz wieczorem po przybyciu do miasteczka spotkała go nieprzyjemna przygoda.

Wczoraj dokonano tu licznych aresztowań w związku z wykryciem nielegalnych ulotek. Od godziny dziewiątej wieczorem nie wolno było przebywać poza domem.

Autobus - po defekcie - przyjechał koło dziewiątej, Jasiak nie znał tu nikogo. Bał się w ciemności szukać willi swojego znajomego, emerytowanego maszynisty kolejowego w dzielnicy Zarąbie, a więc za rzeką.

Po godzinie policyjnej uliczki Myślenic były puste. Młodzieniec wysiadł z autobusu przed rynkiem i czmychnął polami ku rzece Rabe. Zaszył się w wilgotnej trawie wśród kępiastych łożyn i tak przesiedział noc. To dla niego nie pierwszozna! Ile już takich noclegów przeżył w swym krótkim życiu!

Cały czas zszedł mu na myślenie. Tak oto nieznacznie przybliżył się coraz bardziej do ziemi swego dzieciństwa i młodości. Droga, którą jechał dzisiaj, prowadzi przez Naprawę, Chabówkę, Nowy Targ do Zakopanego i w Tatry. Wsie jego przygód!

O kilkadziesiąt kilometrów na zachód żyje jego żona i dziecko. Pomyśleć: tak blisko, a

przecież daleko. Przez Suchą przechodzi granica. Więc tam już ma być ziemia prawowitych Niemców!

Przemyślał nad sposobem odwiedzenia Ewy. Wybierał w myśli szlaki leśne od Policy i Babiej Góry, którymi zajdzie ku Przyborowu. Szarzało. Gwiazdy powoli rozłaziły się w brzasku, sufit napowietrzny spopielał. Jasiek podniósł się z kępy i przed świtem dotarł do myślenickiego emeryta. Znał go z Rzeszowa. Przybyszowi podano śniadanie; zadymiała kawa, zaskwierczała jajecznica. Wszedł sublokator, urzędnik magistracki. Poważny, siwawy, w okularach. - Prawa dusza, patriota - przedstawiła go pani domu młodzieńcowi.

- Panie, tylko patrzeć, jak się to wszystko ruszy - mówił emeryt. - Z Rumunii wojsko polskie wkroczy, z Węgier także. Tam czeka już sześć dywizji naszych w pogotowiu. Tu się zrobi wnet ruch.

- Ale kiedy? - odpowiedział tamten; miał już dość optymistycznych frazesów o niezłomnej woli zwycięstwa aliantów. - Za ten czas zdechniemy, nikt o nas nie wspomni. Samoloty angielskie rzucają ulotki nad Berlinem. Dlaczego nie pojedą z bombami, aby Niemcy trochę poznali, jak nam było przyjemnie w Polsce we wrześniu? Co niedzielę ksiądz biskup Gawlina mówi do nas pocieszające kazania z Londynu. Módl się i cierp, bracie, wnet ci zaświta jutrzienka wolności. A gdybyś umarł w tym czasie, czeka cię korona niebieska po śmierci, amen.

Niebo zasnuło się chmurami. Ciężka, ołowiana burza nadciągała od wschodu.

- Będzie lało. Zagrajmy w karty.

Usiedli przy stole pod oknem. Krople ulewy, rzadkie a silne, siekły szybę. Zapalili papierosy i w milczeniu rozdawali karty. Jak niemi przeciwnicy zaczęli ważyć między palcami atuty walki. Wykładali na stół jeden przed drugim zwycięskie szanse: królów z brodami, damy o bujnych biustach, chłopaków w fantazyjnych kapeluszach z piórami. I od nowa rozkładali na stole szeregi serc czerwonych ułożonych w plutony, kolumny serc czarnych napierających w zbitym ordynku. As z czarnym trójlistkiem pochłania oddział dziesięciu takich samych trójlistków; żywy dowód, że jakość, nie ilość zwycięża.

Błyskawica przecięła niebo, głuchy grzmot przewalił się nad światem. Grający nachylili się nad stołem, batalia kończyła się zwycięstwem gospodarza. Znowu błysnęło.

- Napijmy się. Podnieśli kieliszki.

- Pan nie pije, panie Janiczak?

- Nie.

- Młody i taki wstrzemięźliwy?

- Słabo mi po wódce - odpowiada pół żartem, pół serio.

- Ejże! Nie wygląda pan na słabego. Ślubował pan czy co?

- Możliwe, że ślubowałem. Pijcie, panowie, za moje zdrowie.

Popatrzyli na jego twarz. Szaroniebieskie oczy migotały żywym ognikiem.

- Za pańskie zdrowie!

Tręcili się i wypili. Piorun trzasnął gdzieś w okolicy. Nadciągnęły nowe chmury i łątały z okładem niedawną dziurę w niebie. Zbliżała się nowa fala ulewy.

- Napijmy się, panowie.

Jasiek znowu stanowczo odmówił. Wypili duszkiem, oczy im płonęły z podniecenia. Bezmyślnie utkwili oczy w oknie, po którym ściekały strugi nawałnicy. Białopienne brzozy chwiały w nielitościwym wietrze zielonymi puklami koron. W głuchej oddali strzelił odosobniony piorun. Deszcz smagał żyta na polach miękcząc jego łodygi na przyszłe bliskie żęcie.

- Jeszcze kieliszek.

Gospodarz udaje zucha, pogwizduje, oczy błyszczą mu od podniecenia alkoholowego.

- Niech się pan nie wymawia, panie Janiczak - przyciszył głos i podsunął mu kieliszek.

- Pijemy za Polskę. Abyśmy jak najprędzej doczekali się wolnej ojczyzny.

- Niech mnie pan Polską nie zajeżdża, panie Kisiel - młodzieniec odsuwa spokojnie kieliszek od siebie. - Ja za Polskę kieliszek trucizny chętnie bym wypił, gdyby Polska tego potrzebowała. Ale przez kieliszek wódki, który ja bym wypił, Polska nic nie zyska.

Uśmiechnął się swoim łobuzerskim uśmiechem i aby załagodzić nastrój, zaproponował kompromisowo:

- Niech pan wypije ten kieliszek za to samo zdrowie w moim imieniu.

Piorun łupnął znowu, obaj mężczyźni przy stole tręcili się kieliszkami. Jasiek zapalił papierosa, owiał się chmurą dymu, patrząc ponuro na okno siekane ulewą. Towarzysze posmutnieli, zwiesili głowy na piersi. Po chwili urzędnik zwrócił się do młodzieńca:

- Widzi pan, wódkę pijemy w tym celu, aby zalać w sobie smutek. Tu, w sercu - pokazywał rozłożoną dłońią na pierś - siedzi żal od września ubiegłego roku i nie prędzej stąd zniknie, aż te bestie od nas odejdą.

Emeryt dodawał płacziwie:

- Upiłem się jak świnia, kiedy tu przyszli, i upiję się tak samo, kiedy będą stąd wiali. Teraz piję z rozpacz, ale wkrótce będę pił z radości.

Do Jeleśni zaczęli mężczyźni wracać po dwudziestym wrześniu; większość jednak wziętych do wojska powróciła w październiku. Część nie przybyła i mówiono o nich, że

siedzą w niemieckich obozach dla jeńców albo pozostali po stronie rosyjskiej za Bugiem i Sanem; albo że poszli na Węgry i do Rumunii, a stamtąd będą jechali do Francji, gdzie się już tworzy nowa armia polska.

W mrokach suterren zgięte sylwetki drukarzy składały czcionki pierwszych podziemnych gazetek. Rozpoczynała się konspiracyjna robota; Polacy mieli w niej ponad stuletnią wprawę. Wróg zalał kraj jadem kłamliwej propagandy, społeczeństwu trzeba było dać słowa prawdy i pociechy. Ludzie zmęczeni klęską i uciskiem oczekiwali cudu. Nastąpił renesans wróżek, odgrzebywano zaśniedziałe proroctwa. Kolportowano cudowne przepowiednie i jasnowidzenia, obiecujące wspańiałe rzeczy, triumf sprawiedliwości, i to w najkrótszym czasie.

Którejś nocy spadło z wyiskrzonego nieba około stu ton bomb na port niemiecki Wilhelmshaven nad brzegiem Morza Północnego. W ten sposób Wielka Brytania, zbrojna w usługi dominiów i kolonii, szła na pomoc polskiemu sojusznikowi.

Zima była lodowata i zła. W lutym, gdy mrozy zelżały, spadły obfite śniegi, jakich nie pamiętano od kilkunastu lat. Podobnie jak ubiegłe niezwykle pogodne lato przedłużyło się w jesień, tak zdawało się i teraz, że zima nie będzie miała końca. Trwał rok gwałtownych nasileń żywiołów, niespodziewana, zdradziecka pomoc przyrody, która sprzysięgła się również przeciw temu krajowi.

Żywiec wraz z całym powiatem włączono do Rzeszy Niemieckiej. Kiedy zaczęły się aresztowania, wielu Polaków uciekło z tych stron. Po licznych znanych mieszkańcach Jeleśni ślad zaginał. I tak przepadł gdzieś wójt Franczak z żoną; mówiono, iż gospodaruje na wsi pod Rzeszowem, gdzie jakoby miał brata. Wójtem gminy jeleśniańskiej zrobiono Niemca, Jaksza, który był właścicielem sezonowej restauracji i schroniska w Korbielowie za czasów polskich. Chodził stale w tyrolskim zielonym kapeluszu i mówił tylko po niemiecku, choć język polski znał doskonale, przy czym zwracał się do wszystkich mieszkańców gminy przez „ty”; tak nastroiła go godność urzędu. Cały trzon mieszkańców podbabiogórskiej wsi trzymał się dzielnie przy polskośći, zdrajców znalazła się znikoma garstka; tych, co się przechrzcili na nową wiarę. Czterej zarejestrowali się jako rdzenni Niemcy (w tym dyrektor tartaku, ongiś obrabowany przez Janosika), na volksdeutschów zgłosiło się sześciu, między nimi kupiec Pasik z rynku; rzeźnik Winnicki stał się nagle Ukraińcem, a Banaszek, dzierżawca składu drzewnego (po Żydzie Sangerze), poczuł się z pochodzenia Słowakiem.

Wszystkich Żydów ze zbiorowej gminy jeleśniańskiej - a było ich dziewięć rodzin - przetransportowano do getta w Żywcu. Stara Haberowa z rynku umarła w getcie podczas

ciężkiej zimy na wiadomość, iż jej wnuk, dla którego marzyła o karierze rabina, został zastrzelony przez gestapowca na ulicy, gdy wracał z pracy. Rozległą ich karczmą, przysiadła pod kościołem jak korab i liczącą trzysta lat, zawładnął volksdeutsch, Rachlewski, były rymarz. Zaraz po żonie umarł stary Haber, a po nim jego synowa z Koszarawy; mówiono, że skopał ją żandarm na ulicy.

W Przyborowie było najmniej zmian. Ta wioszczyna trwała zawsze szczelnie zabita deskami, zapomniana w odległym kącie; tygodniami nie widziano w niej niemieckiego munduru ani nie słyszano germańskiej mowy. Stary Tramek pożegnał się ze światem wiosną tego roku, zrobiło się pusto w jego chacie. Jeszcze w grudniu przepowiadał sobie: „Nie pamiętam takiej zimy. Nie przeżyję jej”. Siostra Ślepkowa włóczyła się po izbie, doglądając Jędrusia jak przybranego wnuka. Ewa Dziurawa w jej zastępstwie zajmowała się całym gospodarstwem.

W maju 1940 roku przyjechało do Jeleśni dziesięć rodzin kolonistów niemieckich z Wołynia, których osadzono w budynkach i na gruntach odebranych uprzednio tutejszym chłopom. Ziemię Wojnara obcięto o połowę, ponieważ był jednym z bogatszych gospodarzy. Zośka Krawczykowa z Koszarawy, której mąż wyjechał pod Tarnów do rodziców, przeniosła się do matki na Górne Ciche. Oczekiwała dziecka. Z mężem pogodziła się od roku. Pisywał do niej, zapraszając ją do siebie. Zośka jednak za żadną cenę nie chciała porzucić stron rodzinnych. Nieraz w kościele jeleśniańskim widziała Ewę z synkiem. Patrzyła za nimi ze ściśniętym sercem, słuchała szczebiotu Jędrusia ciągnącego matkę za włosy. „Czy moje dziecko będzie takie samo? - myślała z lękiem. - Ale nie będzie od tego ojca, którego by się chciało.”

Powoli nienawiść przechodziła, żal się rozplywał. O Jaśku z Głuchaczek nikt już nie mówił w Jeleśni. Były jednak ważniejsze sprawy do opowiadania. Kogóż teraz obchodziły przebrzmiałe sprawy Janosikowe? To, co działo się przed rokiem, zdawało się niezmiernie odległe. Ludzie chodzili koło swoich krów, już właściwie nie swoich, bo zapisanych w aktach żywieckich, kolczykowanych i zarejestrowanych w klasy według skali mleczności. Musieli oddawać kontyngent mleka do spółdzielni, zboże i ziemniaki do żywieckiego magistratu. I ciągle drzeć, czy nowy nakaz nie przyjdzie: do robót przy drodze, do ścinki w lesie, do wyjazdu z podwodami, i to najgorsze, jak zmora dusząca ich wszystkich nocami: na roboty w głąb Rzeszy.

W maju 1940 roku powróciła do Jeleśni Walerka Juraszkowa z dwojgiem dzieci, lecz bez męża. Wraz z nią przybyły cztery rodziny, ongiś przesiedlone z Głuchaczek na Pomorze

w okolicy Nowego Miasta na pograniczu wschodniopruskim. Zjawili się którejś nocy na stacji w Jeleśni w opłakanym stanie, z workami na plecach. To był ich cały dobytek, który pozwolono im wziąć. Szlochem przywitali ziemię rodzinną, z której wyemigrowali przed dwoma laty. Walerka nie przypominała w niczym dawnej pulchnej dziewczyny z jeleśniańskiego sklepu; schudła, twarz jej pokryła się zmarszczkami, parę włosów siwych plątało się na skroniach. Spojrzenie miała błędne, co chwila płakała. Bo też los pokarał ją niemiłosiernie. Nastawiona wyłącznie na wzbogacanie się, jakże się srodze zawiodła! Straciła wszystko, co miała, włącznie z mężem. Władek Juraszek wraz z siedmioma towarzyszami został z wyroku sądu niemieckiego w Kwidzynie rozstrzelany pod zarzutem udziału w zajściach antyniemieckich na ulicach Grudziądza w przeddzień wybuchu wojny. Całą ludność polską wsi Grabice pod Nowym Miastem wysiedlono w ciągu dwudziestu czterech godzin, osadzając na jej miejscu Niemców przywiezionych z Polesia. Głuchaczkowcy (w nieco zredukowanym komplecie) dobili z trudem do macierzystych stron. O zachodzie słońca zobaczyli z okien pociągu Babią Górę i rozplakali się wszyscy serdecznie. Wracają jak synowie marnotrawni do matki, którą opuścili. Oby ich przyjęła gościnnie!

Przyjechali do Jeleśni wieczorem. Wyszli na znajomy sobie dworzec, wzruszeni, splakani: nic się tu nie zmieniło. - Niepojęty jest Bóg w wyrokach swoich - mruzczał stary Maziarz, kiwając głową w stronę Pilska. Bolały go stopy odparzone w podartych butach. Czekąca go nowa, tym razem ostatnia piesza przeprawa do Przyborowa. Przesiedzieli całą noc na dworcu. Kilkoro starszych zaintonowało nabożne pieśni; śpiewali aż do rana, niektórzy usnęli wśród śpiewu i płaczu. Gdy słońce wstało, ruszyli w drogę do Przyborowa przy wtórze pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”. Na rynku jeleśniańskim na wprost sklepu Pasika odłączyła się od nich tragiczna wdowa, Walerka Juraszkowa z dwojgiem małoletnich dzieci. Dokąd miała iść? W Krzyżowej mieszkała jej matka, a po Głuchaczkach już dawno śladu nie było. Miała iść do Agnieszki na niewiadome mieszkanie, na złość, na humory i wymówki szwagrowej? Dawne znajome idące do kościoła witały ją spojrzeniem pełnym współczucia. Szła w majowy słoneczny ranek jak za własnym pogrzebem. Czy nie tak samo trzy lata temu, o tej samej porze w słońcu majowego poranka prowadzili skutego Janosika policjanci z Pilska do Żywca? Może za to ją Bóg pokarał, że wspólnie z Władkiem pograżyła tego chłopaka? Po tej zakurzonej drodze maszerował za wozem bosi. A ona w nie lepszym stanie pielgrzymuje z tobołem na plecach do matki jak żebraczka, aby uprosić u niej kąs w chacie i kawałek chleba dla siebie i dla swoich dzieci.

Dla niej, dla wszystkich osiadłych tu z dziada pradziada na ojczystej ziemi rozpościerało się naokół życie niewoli, Jaki głupiec wróżył, że wojna potrwa dwa miesiące?

Wybuchwały wojny ze straszliwą grozą; już nikt nie pamiętał, że w zawierusze Polacy utracili państwo: traciły je po kolei i w szybkim tempie inne narody.

Królowa jeleśniańskich plotkarek i dewotek miała najczarniejsze przeczucia. Kiedy ją pytano o termin końca wojny, odpowiadała niezmiennie: „Za pięć lat”. Nastroszona jak sowa, nerwowa, siedząc w kącie i szyjąc wieczorami, z tragiczną miną mówiła domownikom zdławionym szeptem, jakby już siebie widziała w więzieniu:

- Wspomnicie moje słowa. Nie dadzą spokoju grobom. Prochy nieboszczyków będą latały w powietrzu.

Jasiek przyzwyczajał się do Myślenic, aczkolwiek przebywał tu częściowo w oczekiwaniu na dokumenty, które mu właśnie wyrabiano w Krakowie. Emeryt zaznajomił go z księdzem Butkiewiczem, sąsiadem z pobliskiej willi. Był to wysoki, przystojny mężczyzna, przywędrował skądś z Wołynia, gdzie był szkolnym katechetą, a później kapłanem wojskowym. Teraz zaś siedział bez przydziału w Myślenicach jak mysz na pudle - według swego ulubionego określenia. Koło południa Jasiek wychodził z nim na spacer do lasu. Z szacunkiem i przyjaźnią patrzył w uduchowioną szczupłą twarz, opromienioną od czasu do czasu przyjemnym uśmiechem. Rozmawiali o polityce, o ważnych wydarzeniach międzynarodowych, o sytuacji wojennej na frontach. Młodzieniec przynosił najświeższe wiadomości radia londyńskiego, którego słuchał potajemnie w piwnicy tamtejszego kierownika poczty.

Palili papierosy, ksiądz kiwał głową, wpatrzony w lesisty wąwóz Bystrego Potoku.

- Jeszcze parę ładnych miesięcy poczekamy, aż pycha germańska upadnie. Anglia jeszcze nie jest gotowa.

- Kto wie, czy parę latek nie poczekamy - powątpiewał młodzieniec.

- Nie sądzę. Nawet gdyby tak było, Pan Bóg i tak na koniec przyniesie triumf sprawiedliwości.

- Będziemy czekali, aż Pan Bóg się zlituje. Przez ten czas wszyscy wyzdychamy.

- Kto wierzy w Boga, musi wierzyć w sprawiedliwość boską.

Pięli się stromą leśną drożyną z dala od ludzkich sadyb ku samotności i ciszy. Kapłan częstował towarzysza papierosami oraz cukierkami. Otaczała ich surowa głąb starodrzewu, między którym błyskały kwadraty wyrębów zarosłych malinami. Ksiądz wydawał się marzycielem naiwnym jak dziecko. Ten niedźwiedziowaty, przystojny brunet w kapłańskich szatach wyglądał na fanatycznego męczennika z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Usiedli na pniu; polana skłaniała się ukośnym spadem ku południowi, odsłaniając

rozległy widok aż po Lubień i rozsiadły nad nim masyw Strzebla. Na prawo wznosił się stróżański Kotoń jak obłok oblepiony lasem.

- Proszę, niech pan zapali, panie Janiczak.

- Nie nazywam się wcale Janiczak - wybuchnął gorzko młodzieniec. Jakżeby chętnie powiedział prawdę temu młodemu kapłanowi! Ach, zrzucić przed nim ciężar bezmierny przeszłości!

- Tylko imię zachowałem prawdziwe: Jan.

Ksiądz podniósł na niego niebieskie, marzące oczy.

- No, ja wiem, człowiek musi występować pod różnymi nazwiskami. Teraz jest wojna. - Wiedział, iż gość państwa Kisielów był członkiem organizacji, - Moje imię jest także Jan.

- Który Jan? Bo jest wielu Janów.

- Obchodzę imieniny na świętego Jana Ewangelisty, 27 grudnia.

- Ja w miesiąc później, 27 stycznia.

- Tak - potwierdził ksiądz. - Świętego Jana Złotoustego.

- Złotousty, zimowy Jan - kiwał głową Janiczak. - Ale pechowy.

- Dlaczego?

- Dużo mi kłopotu w życiu przyniósł.

- No, może się to odmieni - rzekł towarzysz. - Po oczach widzę, że pan nie jest zdolny do złych rzeczy.

Już, już chciał się Jasek wypowiadać, ale się przemógł. Zdawało mu się, że przyniesie ulgę sumieniu, że zwalczy wątpliwości, że otrzyma dobrą radę. Z górą przez rok płacze się przecież bez istotnego sensu w życiu. Jednak zwyciężyła w nim zimna ostrożność.

O zmierzchu wstąpił do kościoła myślenickiego, gdzie ksiądz Butkiewicz codziennie przez cały październik odprawiał różaniec. Wnętrze skromniutkiego domu Bożego było pogrążone w całkowitym mroku. Zaledwie cztery świece rozjaśniały ołtarz, przy którym klęczał kapłan w kapie, odmawiając zdrowaśki. Odpowiadało mu parę osób z czarnej głębi. Ta posępna pustka, nastrojowa ciemność i monotonyjny pojęk powtarzanych modlitw uczyniły dziwne wrażenie na Jaśku. Ukląkł na drewnianej podłodze i powtarzał za duchownym słowa, jak gdyby z nim rozmawiał, tak samo, jak to czynił jeszcze kilka godzin temu na polanie. „Muszę koniecznie zobaczyć żonę i Jędrusia - postanowił sobie. - Niech się dzieje, co chce. Dziecko już ma dwa lata. Muszę je zobaczyć. Dostanę lewe papiery, osiądę w Krakowie, znajdę pracę. Sprowadzę Ewę z dzieckiem. Albo niech osiada na wsi, niedaleko mnie, będę ich czasem odwiedzał; zawsze zarobię na życie dla trojga osób.”

Wezwano go właśnie do Krakowa. Przesiedział tam bite dwa miesiące w świetnie zakonspirowanym mieszkaniu, nie wychylając nosa za drzwi. Kiedy wyszedł z ulicy Topolowej na miasto, był zaopatrzony w papiery na nazwisko Piotra Pokrzywki, pracownika niemieckiego przemysłu zbrojeniowego.

Była niedziela styczniowa roku 1941, samo południe. Na placu przed dworcem zobaczył gromadę młodzieży żydowskiej uprzątającej śnieg łopatami. Żandarm w hełmie przechadzał się pomiędzy pochylonymi grzbietami dozorując pracę. Rękawiczki na rękach, buty z cholewami, lśniące jak lustro. Dzień był słoneczny, ludzie chodzili w rozpiętych paltach. Nagle żandarm podszedł ku jednej z Żydówek, która właśnie wyprostowała plecy i odgarniała ręką z czoła włosy. Kopnął ją brutalnie wyczyszczonym butem, szwargocząc coś krzykliwie i pokazując palcem na kupę śniegu. W jednej chwili zrobiło się Jaškowi głupio, jakby to jego samego kopnięto. Spojrzał dokładniej i zobaczył zatknięty za pasem żandarma rzemienny harap. Nadchodził rosły Żyd, milicjant z gwiazdą na rękawie. I oto stała się rzecz niepojęta dla Jaška: on również kopnął tę samą dziewczynę, wyzywając ją w żargonie za opieszałość w pracy. Było coś poniżającego dla człowieka w tym podwójnym kopaniu Żydówki przez dwóch zbirów, z których drugi był służalczym najmitą pierwszego.

Świeżo upieczony Piotr Pokrzywka zamieszkał na przedmieściu w niedużym domku parterowym, okolonym ogródkiem, u majstra Kaliniaka, który pracował jako tokarz w fabryce zwrotnic. Wprawdzie fikcyjny dokument chronił Jaška od pracy i od branki na roboty do Rzeszy, jednak chłopiec pomagał Kaliniakowi w domu przy robotach i naprawach prywatnych.

Był koniec lutego, znów powróciła ostra zima. „Skoro się tylko będzie miało ku wiosnie - myślał - pojedę do Zembrzyc, a stamtąd przejdę przez Górę Makowską do Suchej i wio do Przyborowa.” Później znów zmieniał plan. Przecież mogą go we wsi poznać, cóż to będzie za skandal. Dożywotni kryminalista zjawił się u żony! Gotowi go schwytać i jeszcze raz zapakować na Święty Krzyż. Zatrzyma się w Zembrzycach, pošle kogoś z listem do Ewy; mogą się zobaczyć gdzie indziej. Ona już będzie wiedziała, jak zrobić najlepiej. Do tego czasu, zanim się wiosna zrobi, będzie Jasiek składał pieniądze.

Rzucał się na rozmaite interesy. Nigdy nikomu nie wspomniał o swojej przeszłości, nikt nie przypuszczał, że się nazywa inaczej niż Piotr Pokrzywka. Blacharzowi Walasowi, pracującemu w fabryce wojskowej, rozprawdzał pilniki, obcegi młotki, gwoździe, naturalnie kradzione z magazynów. Nie miał w tym względzie najmniejszych skrupułów. - Ci złodzieje okradli nas ze wszystkiego - usprawiedliwiał wobec Kaliniaka swojego współnika - więc jeśli Walas ukradnie im trochę, to tak jakby odbierał maleńką część naszej własności.

Przed spaniem Kaliniak wyjął ze skarpetki tajną gazetkę i zagłębił się w lekturze wiadomości z angielskiego radia z całego tygodnia. Kiedy zaczął czytać na głos artykuł wstępny, Jasiak wyśmiał jego gorliwość przebiegłszy szybko treść oczyma.

- Niech pan tego nie czyta, nie chcę słuchać. Znowu kazanie patriotyczne na jutrzejszą niedzielę. Oni tylko pocieszają, że zwyciężymy. Ale kiedy?

Nieśmiało z krzaków i drzew podrywała się wiosna 1941 roku. Wielka i Mała Babia Góra jeszcze w śniegu, ale śliwy i jabłonie Górnego Przyborowa rozkwitły białą i różową. W chałupie starej Tramkowej Ewa pod oknem kołysała usypiające dziecko i patrząc na ośnieżone Pilsko nuciała Jędrusiowi:

*W grochałowskim lesie trawa zieleniutka,
serce swe mi niesie dziewczyna ładniutka.
Chociaż jest malutka, ale jest zgrabniutka,
to kwiat najpiękniejszy z całego ogródka.*

Czy nie tam naprzeciwno, pod tą wielką, obłą górą złapali Jaśka w noc majową policjanci żywieccy? Całowała smagłe policzki dziecka, różową przeświecającą uszka, złotawe włoski na główce. Myślała w tej chwili o jego ojcu. Czy żyje? Dlaczego nic nie pisze? Kobiety w Przyborowie i Jeleśni dostają listy od swoich synów, braci, mężów gdzieś z Węgier, z Rumunii, z Bałkanów, ba, nawet z Portugalii i Turcji.

O Jasiu Dziurze - nic. Pisała dwukrotnie do więzienia na Świętym Krzyżu; to w Polsce, czyli, jak się teraz zwykło mówić, w Generalnym Gubernatorstwie. Raz nawet napisano jej w gminie list po niemiecku. Na pierwszy nie otrzymała odpowiedzi, na drugi zaś krótkie zawiadomienie, iż zarząd więzienia nie zna więźnia nazwiskiem Jan Dziura.

Łzy nabiegały jej do oczu, przytuliła twarz do świeżej buzi dzieciaka. Przypomniała sobie, że czeka ją robota w polu pod Stawkim. - Synku mój - głaskała dziecko ze wzrastającą miłością. - Nieślubny syn - mówiły o Jędrusiu zgorszone baby. Gdzieś tam w świecie podobno ślub brała, ale nikt w to nie wierzył. Czy kto widział, aby w więzieniu się zenić?

Wiedziała o tych oszczerczych plotkach. - Niech będzie nieślubny - przyznawała we łzach. - My w borach na Romance ślub przed Bogiem braliśmy. Jako mnie miłował, nie miał nikogo przede mną. - Rzadko kiedy wydalala się ze wsi do Jeleśni, chyba do kościoła lub do Pasikowego sklepu, gdzie brała chleb i cukier przydziałowy dla dziecka. Nie zapomniiała nigdy wstąpić do Wojnara. Ta jedna przyjaźń wytrzymała próbę wojny. Przyjaciel Jaśka, człowiek ledwie czterdziestoletni, osiwiiał, schudł, wyraźnie się zestarzał. Cztery zimowe

tygodnie przesiedział w mroźnej celi żywieckiego więzienia, lżony kopniakami i kułakami policji. Martwił się w celi o losy swej córki Hanki, której groził wywóz na roboty, oraz o Ewę, czy przetrzyma to wszystko, pozbawiona przyjaznej ręki.

Ewa nie ugięła się. Radziła sobie dzielnie z dopustami losu. Opiekowała się gospodarstwem, pracowała w polu, nocami ukradkiem meła ziarno na mąkę, karmiła dziecko i staruchę. Żyła w orbicie domu, który po śmierci starego Tramka oddychał cały jej pracą i troskliwością. Nadawała piętno całemu gazdostwu; wdowa, którą nazywała matką, nie zajmowała się niczym poza krzątaniem się w izbie koło garnków oraz koło dziecka.

Myślała często o oszczerstwach przyborowian. Niewątpliwie syn był dzieckiem przedślubnym. I cóż z tego? Idiotyczny przesąd - rozróżnianie prawych i nieprawych dzieci, tak jakby istniał człowiek prawdziwy i nieprawdziwy. Każde dziecko, które wyszło z łona matki, jest pełnym człowiekiem.

Dwukrotnie w kwietniu odbył się w gminie zbiorowej Jeleśni pobór do robót w Rzeszy. Brano młodzież obojga płci i wywożono do pracy na roli w zachodnich prowincjach Niemiec. Zosię Krawczykową uchroniła przed branką ciąża.

Ewę Dziurową - macierzyństwo i samodzielne gospodarstwo przy Tramkowej. Hanki Wojnarówny nie wybroniło nic od wyjazdu nad Ren.

Jędrus spał w drewnianej prymitywnej kołysce. Lubił dużo spać; pewnie w życiu będzie bardzo ruchliwy.

Ewa czuła się niedobrze. Zmęczyła się po południu, może się jej coś stało? Nocą przed snem wyszła, aby przyjrzeć się jutrzejszej pogodzie. Księżyc wielki, czerwony jak lampa naftowa, oświetlał wieś jak w teatrze. Firmament zapowiadał niewyraźne jutro. Wzięła w rękę zgrzebne prześcieradło i zaczęła znosić na plecach wiązki siana z pola leżącego opodal domu. Zapalona latarnia stała na ubitym klepisku, oświetlając drogę kobiecie. Wchodziła z ciężarem po drabinie, jedną ręką trzymając się szczebli; zwałała ocieпки na strychu nad izbą. Jędrus obudził się i zaczął płakać. Odeszła od siana, przywołana płaczem jedynaka, wstąpiła do ciemnej izby, dotknęła pościeli w kołysce. Zaczęła uciszać synka.

Dziecko usypiało. Kołyska przestała się wahać. Z paluszkami w ustach odeszło dziecko w błogi stan snu. Czasem tylko jeszcze cmoknęło buzią, jakby wracając w stronę życia. Matka spojrzała w okno. Wołał ją księżyc czerwony, napuchły, otulony czapką waty. Jutro pewnie będzie lało od rana.

Jędrus już w drugim roku życia zwrócił uwagę na siny kwiatek na skroni matki. Najpierw myślał, że matka się powalała.

- Mamusiu, skąd to masz? - pokazał paluszkami na plamkę, chcąc ją dotknąć.

Schyliła się, nabrzmiała nagłym wzruszeniem. Uważnie wpatrywali się w siebie oboje. Tak samo jak ongiś jego ojciec, synek powiódł opuszkami wskazującego palca po znamieniu.

- Czyś ty się może poparzyła?

Plamka zapałała ciemniej. Matkę ukłuło wspomnienie. Może rzeczywiście piętno ognia wycisnęło się na niej od urodzenia, jakby przeznaczając ją temu, który ogień wybrał sobie za narzędzie zemsty?

- Tak, Jędrusiu. Gdy byłam mała, całkiem malutka jak ty wypadł z pieca patyk i płomień jego mnie poparzył.

Andrzej włożył pół piąstki do ust, zaczął ssać. Nie mogła go tego oduczyc; znak, że będzie usypiał.

W niedzielę na sumie spotkała Zosię Krawczykową; popatrzyła na nią z niechęcią. Czy była zazdrosna o tę kobietę? Zapewne. Niefortunna pani nauczycielowa jakby odmłodziła; ubrana była z wyszukaną elegancją, naprawdę wyglądała jak pani z miasta. Więc tę kobietę kochał przedtem Jasiak? „Czy bardziej ją kochał niż mnie? Tak, ale ze mną ma dziecko. A tamta nosi w łonie dziecko pana Krawczyka. Taka jest między nami różnica.”

Plakała cały dzień, wtulona w poduszki starej Tramkowej; męczyły ją zazdrość i żal. Nie było przy niej nikogo. Tyle włożyła w tę miłość, porzuciła świat cały dla tego, który był dla niej światem. I wszystko przepadło.

Spojrzała z tkliwością na Jędrusia. Dziecko spało z delikatnym rumieńcem na twarzy, od czasu do czasu poruszyło paluszkami. Było na ogół ciche; godzinami spało bez ruchu, jakby biorąc w siebie zapas sił i wytchnienia. Może wtedy rosło?

Na Podhalu życie niewiele różniło się od życia na Żywiecczyźnie. Tyle że tu mieszkała urzędowo uznana polskość, a więc swobodnie mówiono ojczystym językiem, czytano polskie gazety wydawane przez urząd niemieckiej propagandy w Krakowie i używano polskiej waluty. I to, że obok niemieckiej policji funkcjonowała także tak zwana polska policja w granatowych jak dawniej mundurach.

Za koncepcją niemiecką o rzekomej odrębności plemiennej górali poszła paczka pijaków zakopiańskich z przedstawicielem silnego rodu Krzeptowskich. Młodość miał już dawno poza sobą, ale był mocny w pysku, umiał pić na umór, wydzierać się w śpiewie żałośnie i cienko oraz przebierać drobniutko nogami w tańcu. Sekundował mu w rozbijackiej pracy inteligent miejski Szatkowski, podejrzany kombinator i snob. Przyświecała mu gwiazda kariery, szedł za nią, zwabiony jej blaskiem, nie oglądając się na żadne skrupuły.

W największej sali Zakopanego urządzono zebranie Związku Górali, na którym adiutant „króla renegatów” wygłosił odczyt o potrzebie skupienia się elementu góralskiego jako plemiennie cennego; nie można bowiem dopuścić do jego wynarodowienia i rozplynięcia w morzu polskiego żywiołu. Po odczycie przeprowadzono nowy ochotniczy spis górali, zapraszając uczestników kolejno do stołu. Szwagier wołał szwagra, kum zapraszał kumotra. Przed stołem stanął Byrcyn Marduła, ojciec reemigranta z Ameryki, starszek, właściciel rozległych hal w Kościeliskiej. Jeden z jego wnuków gnił w Oświęcimiu; nazwa tego obozu zbiorowej śmierci wyrastała już swoją ponurą grozą ponad wszystkie inne więzienia Generalnego Gubernatorstwa.

- No jak, Marduła? Góral czy Polak?

- Ja, uczciwie rzekłszy, góral. Ale Polak. My tu wszyscy Polacy.

- Nie mówcie za nikogo innego, tylko za siebie, dziadku Marduła. Góral czy Polak?

- My tu górale z dziada pradziada. Od królów mamy przywileje.

- Więc góral. Dalej, pisz pan narodowość: góral - zwrócił się Szatkowski do urzędnika nachylonego nad papierami. Starzec załopotał rękami w proteście.

- Ja Polak, panie! Przecież nie Żyd ani Sławiak, ani Niemiec. Tylko Polak.

- Więc nie góral?

- Góral. To znaczy Polak.

- Więc jak mamy pisać, do diabła? Nie kręćcie. Kim jesteście, góralem czy Polakiem?

- Góralem. Ale my przecież wszyscy górale Polacy. To jedność.

- Dobrze. Pisz pan w rubryce: góral. Marduła chwycił rękę urzędnika w powietrzu.

- Panie, piszcie: Polak.

- Kim jesteście, do ciężkiej cholery? Nie zwracajcie nam głowy!

Stary złapał się żylastą, ziemistą ręką za kapotę, jakby serce powołując na świadka w ciężkiej rozterce, i rzekł:

- Bogiem Ojcem się poprzysięgam, że ja góral, to znaczy Polak. Piszcie na dokumencie: Polak.

Nie mogli się z nim dogadać. Było takich więcej, którzy rzucali słowa prawdy w oczy, komu należało.

- Zrobili się góralami, psia ich mać zasrana, aby dostać sklepy.

- Aby mięso na pasku bez przeszkód dostarczać do pensjonatów.

- Aby mogli pić po szynkach z gestapowcami.

Janosik jest na Babiej Górze!

Stał na Hali Borsuczej, jak przed trzema laty, i chłonał oczyma wiosnę górską. Patrzył

tak, jak gdyby ją po raz pierwszy oglądał, jak gdyby nie był królem tych lasów, jak gdyby to wszystko odkrywał na nowo.

Opuścił ziemię, którą mógł nazwać rodzinną; opuścił ją, chociaż ją kochał. Za ciasno tu było. Czy nie zwierzał się Zośce Masłowskiej za dawnych dobrych czasów: „Odejdę stąd. Chciałbym tu jednak wrócić”?

Wrócił. Miał oczy pełne gór. Ta długa, ukwiecona storczykami Hała Lipowska po drugiej stronie jeleśniańskiej doliny - już nie nasza? Niemiecka? Bór świerkowy na Romance nie nasz? Wąwozy na Babiej Górze, puszcza Czatoży, kocioł Izdebczyk, zimna woda w Borsuczym Potoku, Sarnia Polana pod Mędralową - nie nasze? Niemieckie?

Panowała taka cisza, że sama myśl o wojnie kalala ją brutalnie. Wszystko naokół tonęło w różnych odmianach zieleni. Maj śmiał się złotem słońca, jasną barwą odżywiającej przyrody.

Więc Jasiak powrócił w te strony! Jakby przeczuwał mgliście, podświadomie, że to, co go czeka, dobre czy złe - spotka go właśnie tu. Tyle się na świat nagniewał. I po co to wszystko?

Tej nocy spał pod gołym niebem. Puszcza nie zmieniła się. Posępny dech wojny szalejący w dolinach nie miał dostępu do tego świata. Czy nie pięknie byłoby tu żyć, jak dawniej? Z ulgą usypiał wtopiony w dziką, znajomą sobie woń świerczyny. Nie zdradził go ten świat; to jego królestwo.

Nazajutrz miał spotkanie z żoną. Była umówiona na ten dzień na Głuchaczkach listem przyniesionym przez zaufanego człowieka z Zembrzyc. List był adresowany na Wołka. Od Wołka podjęła go stara Trankowa; tak więc użyto wszelkich środków ostrożności, aby nie padł nawet cień podejrzenia na najbliższych. Całą noc niemal Jasiak nie spał z wrażenia. Czy Ewa przyjdzie z Jędrusiem, jak prosił, czy bez dziecka? Czy wszystko odbędzie się tak, jak przypuszczał, jak pragnął?

Nazajutrz rankiem zstąpił ku wiatrołomom Wężowca. Ostrożnie jak myśliwiec przyczał się, schodząc ku zasadzce. Leży oto brzuchem na ziemi, twarz wtulając w ciepłą, rozgrzaną trawę, w woń macierzanki.

O ustalonej godzinie zjawił się na Głuchaczkach. Ogarnęło go głębokie wzruszenie, gdy objął wzrokiem rozległy kwadrat zieleni, zarosły bujną trawą po kolana. Ktoś przepowiadał tej polanie, że sarny kiedyś będą się na niej pasły o świtaniu. Dawniej były tu domy. Tu stała chałupa Śleпка, tu stodoła, tam dom Juraszków, który padł pastwą ognia jeszcze przed likwidacją Głuchaczek. Gdyby wtedy, przed trzema, czterema laty, tu, w chacie Ślepkowej życie chłopca inaczej się ułożyło - jakież dzisiaj byłyby koleje jego losu?

Zrosili sobie twarze łzami i pocałunkami. Leżeli w trawie przerastającej ich głowy, posadziwszy Jędrusia między sobą. Ewa była jakby wyższa, profil nabrał wydatniejszej ostrości; jasne czoło, zacięte, lekko drżące wargi. Twarz zawsze pociągła, ściągnęła się jeszcze silniej. Włosy jakby pociemniały. Nie nosiła nigdy chustki na głowie. Oczy zrobiły się większe.

Popatrzyła zamyślonym wzrokiem na lasy opylone złoto-srebrną kurzawą, na polanę tężejącą świeżą, soczystą zielenią.

- Śpi - rzekła czystym, dźwięcznym głosem, wskazując na dziecko. - On ciągle śpi.

- Niech się wyśpi.

Miała na sobie ciemnoniebieską bluzkę, pod którą ostro rysowały się piersi. Spódnicę włożyła popielatą, krótką, jak się obecnie nosiło, prawie miejską. Sama szyła, była zdolną krawcową. Pachniała czeremchowym mydłem; znosili jej toaletowe mydło z Żywca za szycie.

Ciemne kulki źrenic w zielonym roztoczu na tle nieskazitelnej bieli białek wędrowały wolno i tkliwie po całej postaci męża, od obłoconych butów po połyskliwą czuprynę. Był bez czapki.

Spojrzał na nią tak, że uczuła się pod tym wzrokiem naga, pozbawiona sił.

- Tak samo pachnie wiosna, jak pachniała wtedy. Tak samo słońce świeciło, pamiętasz? Wszystko tak samo. Gdzieś w świecie grzmi wojna, a tu jak zawsze cicho.

Wziął na kolana dziecinę, głaskał włoski, trzymał rączkę jego w swej dłoni jak cenny przedmiot. Spoglądał na Jędrusia z nabożeństwem i podziwem. Była w tym pewna surowość, nieśmiałość, jakaś religijna powaga; oto jest szczebel w drabinie przodków, po którym pokolenie Jana Dziury wstępuje w niejasną przyszłość.

Z uwagą i napięciem słuchał wiadomości o Zośce Krawczykowej, o nieboszczyku starym Tramku, o historii rozstrzelanego Juraszka i o powrocie Walerki oraz głuchaczkowców z Pomorza.

- A co w Jeleśni?

- Nie wiem, nie chodzę tam. Gniazdo wron, plotki, błoto.

- Dobrze robisz. Jak się ma Wojnar?

- Przed tygodniem znowu go wzięli do więzienia. Mówią, że przewieziony do Bielska.

- Za co?

- Czy ktoś się teraz pyta za co? Już raz siedział tej zimy w Żywcu. Wypuścili go. Posiwał, miał ślady bicia. Zdaje się, że znaleźli u niego podczas rewizji tajne gazetki.

- Może Franczak go wydał.

- Nie. Wójt Franczak gdzieś przepadł. Uciekł zaraz, jak wojna wybuchła, i nie ma

śladu po nim.

Zaczął ją rozpytywać o znajomych sprzed lat. Opowiedziała mu ze szczegółami o wydarzeniach w Jeleśni.

- Jaksz z Korbielowa wyparł się Polski, zrobił się Niemcem i mianowali go wójtem. A arcyksiążę żywiecki Habsburg podał się za Polaka.

- Przecież oni z cesarzy wiedeńskich pochodzą!

- Po niemiecku całe życie chowany, z krwi austriackiej, a nie ugiął się przed Niemcami. Powiedział, że nie czuje się Niemcem, tylko Polakiem. I osadzili go w więzieniu w zamku cieszyńskim za upór. Nie wolno mu nigdzie wychodzić. Pilnuje go straż wojskowa.

- Dzielny człowiek.

Mówili już z godzinę. Powrócił jeszcze do tematu Juraszka:

- Pomyśl, to był mój pierwszy przyjaciel, przez niego poznałem te strony; on mnie tu ściągnął. Ile się z nim nawłoczyłem po babiogórskiej głuszy! Godzinami słuchaliśmy hurgotania głuszców w Czatoży, dniami całymi tropiliśmy dzikie świnie, co na bukiew chodziły. Ileśmy przemytu wspólnie odprawili, ile drzew pańskich do Żydów w dół naściągali! I ten przyjaciel sprzedał mnie za pieniądze! No, to się im nie poszczęściło na tym Pomorzu. Walerka ma już dwoje dzieci, powiadasz?

- Tak. Dojeżdża do niej co niedzielę jakiś kolejarz z Żywca.

- Słuchaj, gdzie mieszka żona Witkowskiego?

- W Wapienicy.

- Czy bywa czasem w Jeleśni?

- Nie wiem o tym. Rzadko jestem w Jeleśni. Chyba nie. Po co by tam chodziła?

- Wiem coś o Witkowskim. Możesz jej powiedzieć. Albo lepiej nie. I tak na czas się jeszcze dowie.

- A co?

- Na moich rękach skonał.

- Nie żyje?

- Nie. Spotkaliśmy się przypadkowo w ucieczce niedaleko Zamościa we wrześniu 39 roku. Mieliśmy utarczkę z Niemcami w lesie. Zginął od kuli niemieckiej, niosłem go do wsi rannego, w drodze mi umarł. Pogodziłem się z nim przed śmiercią. Pochowany jest w małej wiosce Gwoźnica pod brzożami na wzgórzu.

- Więc Witkowski zginął? - zdziwiła się niepomiernie. Odetchnęła z ulgą, jakby w jej obecności zatrzasnął się z hukiem rozdział młodości jej męża, napiętnowany winą i karą.

- Sądzę, że lepiej będzie, abyś Witkowskiej nie mówiła nic o tym, ani też nikomu

innemu. Ona może myśleć, że mąż się znajdzie gdzieś w świecie. Niech tak myśli. A i roztropniej jest, żeby o mnie nikt nie wiedział. Tak będzie lepiej.

- Tak będzie lepiej - powtórzyła.

Ręce obojga spoczywały na kolankach Jędrusia. Lesisty czub Mędralowej dziobał sam środek nieba wisząc w zenicie jak chmura. Na tle słońca lśniła kurzawa złotych włosów dziecka. Z ciekawością spoglądał na ojca; widzi go przecież po raz trzeci w swym życiu. Od ostatniego widzenia minęło półtora roku, a malec nie był w ogóle przyzwyczajony do widoku mężczyzny w domu. Leżeli wszyscy troje w trawie. Matka prawą ręką objęła Jędrusia, lewą dotknęła męzowskiej czupryny; tak jak zawsze lubił.

- Słuchaj, nie mamy domu - mówił. - Przyślę ci pieniądze. Kup chałupę od Tramkowej; dla kogóż ona przeznaczona? Stara nie będzie żyła wiecznie. Będę spokojny wiedząc, że masz swój kąt, że mieszkasz we własnym domu, nie tułając się po ludziach. Będę pracował i zarabiał. Ach, jak tęsknię czasem za wami straszliwie. Napić się kwaśnego mleka od własnej krowy, zgryźć kawałek chleba z własnego żyta wypieczony - cóż to za radość!

- I ty to mówisz, który masz wstręt do własnego gospodarstwa? Mówiłeś, że nigdy w życiu nie będziesz orał - głaskała go po włosach. - Ej, Jaśku, Jaśku! Po co ty kłamiesz?

Obrzuciła uważnym wzrokiem jego twarz i rzekła po chwili:

- Jasiek, ty musisz iść za granicę.

Zdziwił się, aż głowę uniósł znad jej kolan.

- Na co? Człowiek się tyle namęczył, wszystko przepadło i teraz miałbym stąd uciekać? Nic mi nie grozi. Widziałaś moje papiery, są w porządku.

- Jasiek, Jasiek! Zawsze będziesz dzieckiem. Co dobrego zrobisz, zeżrą inni, a przykrości tylko dla ciebie.

- Trudno, ptaszyno. Ktoś musi się poświęcić.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - targnęła się, przestraszona. Popatrzyła na niego wzrokiem, którym będą kobiety spoglądały jeszcze w pięć, dziesięć lat po tej wojnie, a niektórym już to spojrzenie pozostanie do końca życia. - Po co ci to wszystko? Nic się nie da odrobić. Zwiej do Słowaków.

- Zapominasz, że mam pracę w Krakowie.

- Mogą cię aresztować każdej chwili, nie wiesz, jak teraz jest? Jesteś lekkomyślny, zapalony, o, ja cię dobrze znam. Uciekłeś skądś pewnie, bo ci się pod nogami paliło, teraz tu będziesz ryzykował. Ilu już życiem przypłaciło tę lekkomyślność! Masz żonę i dziecko. A z niemieckiego więzienia nie wraca się żywym.

- Nie kracz. Śmierć każdemu jest przeznaczona. Jak mam umrzeć w Krakowie, to mi

nie pomoże ucieczka do Słowaków.

Powiódł okiem po Pilsku, pamiętnej, przeklętej górze, z której go niegdyś wyluskali policjanci.

- Pocałuj mnie tak, jakżeśmy się niegdyś całowali w więzieniu, pamiętasz? Kiedy już się zdawało, że do śmierci zgniję w celi, kiedy już nieba nade mną nie było ani ptaki nie śpiewały.

Źrenice jej rozszerzyły się, kolor oczu przeszedł z jasnobrażowego w brunatny. Wiedział, że była bliska płaczu. Czy teraz nie jest bliższy śmierci niż wówczas, na Świętym Krzyżu? Uwiesiła się jego szyi.

- Myślałem, że już nigdy nie wyjdę. A ty, Ewa?

- Ja czułam, że będziesz wolny.

- Nie bój się, dożyjemy jeszcze wolności. Tu będę mieszkał, zobaczysz. Zbudujemy sobie chatkę na Głuchaczkach albo na Sarniej Polanie, w tym miejscu, gdzie źródło bije spod wykrotu.

- Nie pozwolą, bo to nad samą granicą.

- To pobudujemy się niżej, na Krzyżówkach pod Korbielowem. Pół domu będzie dla turystów; takie na pół schronisko.

- Albo mógłbyś się postarać o posadę gajowego.

- Pewnie, ja chyba najlepiej znam te lasy, nie? - roześmiał się. - Podobno arcyksiążę lubi takich brać na gajowych, co się dawniej zabawiali raubsicerką.

- I słusznie. Oni na innych kłusowników najbardziej zażarci.

Po raz drugi zaczęła męża wypytywać o koleje życia i przygody od ostatniej bytności na Świętym Krzyżu. Opowiadał. Częściowo mówił prawdę, częściowo kłamał. - Kiedy teraz myślę o przeszłości, mam wrażenie, jak gdybym dopiero co obudził się ze snu. Zgubiłem cel w życiu, nie pomyślałem o tym, co było najważniejsze.

- Czy nie byłeś szczęśliwy?

- Może i byłem na swój sposób. Ale dzisiaj śmieję się z tego. Co myślisz? - uśmiechnął się. - Że mam niedobrze w głowie, tak?

Popatrzyła rzeczywiście na niego jak na kogoś, kto bredzi. Trzymała jego głowę na kolanach, czesząc palcami czuprynę. Od czasu do czasu, jak czujna niedźwiedzica przy młodych, omiatała wzrokiem przestrzeń.

- Dlaczego nie osiądziesz spokojnie w jednym miejscu? Przenieśmy się na wieś pod Kraków. Będziemy żyli cichutko i szczęśliwie.

- Czy ja mogę żyć cichutko? Nie zaznam nigdzie spokoju, coś mnie gna w nowe

strony. Być może, nie znajdę tego, czego szukam.

- Czego szukasz?

- Ja wiem, jak to się nazywa?

- Czego ty właściwie chcesz?

- Bo ja wiem, czego chcę? Czy chciałabyś, abym tu pozostał przy tobie?

Złotobrzęde oczy pociemniały od wzruszenia. Patrzył, jak wolno opadają jej powieki, a dwa rzędy rzęs łączą się w jeden. Otworzyły się wargi:

- Tak.

- To się nie da zrobić. Teraz jest wojna, a tu mnie wszyscy znają. Wiedzą, że się urwałem spod stryczka. Ja jestem dziki, ty jesteś łagodna; narobiłbym ci kłopotu co niemiara. Nie bój się, przeżyjemy jeszcze ze sobą życie szczęśliwie. Ale dopiero jak się ta sakramencka wojna skończy.

Całował ją, pociągała go bardziej niż dawniej, wygłodniała, stęskniona. Miała skórę suchą, przyjemnie ciepłą, jak nasyconą słońcem, pachnącą kwiatowym mydłem, świeżą. Trzymała się ciągle jego ramion.

Dziecko leżało na chustce; znowu spało. Ojciec tkliwie uśmiechnął się do niego.

- Spij, śpij, niech ci pójdzie na zdrowie.

W dół na lewo w stronę górnego koszar przyborowskiego wiała się znajoma ścieżka, którą mógłby Jasek zejść z zawiązanymi oczyma aż do samego Wołka.

Pojedli trochę przyniesionej żywności. Słońce prędko zaszło; jak to w górach.

- Idźcie już do domu, Ewa. Robi się ciemno.

Niechętnie podnieśli się z ziemi. Zostawiła mu jedzenie w tobołku. Bujna rosa upadła w trawę, wieczór wysklepiał się gwiazdami.

Odchodził od niej. Jeszcze się zatrzymał, patrząc na dziecko. Pogłaskał je po twarzyczce. Upomniała go z gwałtowną wzrastającą rozpaczą:

- Idź, idź już, bo będę płakała.

Wiedziała, jak tego nie znosił. Trzymała głowę uniesioną wysoko, tylko łyzy kapały jej raz po raz po policzkach.

Odchodził od niej. Stała wstrząsana drgawkami płaczu niby posąg kamienny z dzieckiem na rękę; ucieleśnione macierzyństwo. Jedyne kobieta, która go rozumiała, która go nie pytała o nic, która mu nie przeszkadzała, która go naprawdę miała. Od jej szczupłego, jędrnego ciała wzrok chłopca odpływał wolno ku dziedzinie jemu przeznaczony: w lasy. Czy nie można umrzeć dla jakiegoś pięknego marzenia, choćby dlatego tylko, że ono jest piękne?

„Gdy dojdiesz do Jurgowa, pytaj się stamtąd do Spisza, ku Kieżmarkowi. Trzymaj się tej wody, co na Białą płynie. Potem woda zostanie w dolinie po lewej ręce, a po prawej miniesz szalas. Idź za chodnikiem łąkami, aż przyjdiesz między dwa wierchy. Następnie idź doliną, którą woda ciecze na Białą, z Zielonego Płosa. Potem idź chodnikiem do Czarnego Lasu. Wychodząc z lasu, wnikniesz w drugi szalas podle chodnika, a ten zowią pod Uplązem nad Jaworowym Sadem. Obróć się na lewą rękę potokiem do góry od dolinki, a tak przyjdiesz na kosodrzewinę. W tym lesie jest potok, który na krzyż płynie do Kołowego Płosa. Po lewej ręce od siebie są spady wysokie, z których woda ciecze do tego płosa.

Puść się na dół po prawej stronie rozpadliny. Na lewo ujrzysz kosodrzewinę, w niej kamień szeroki, pod nim czekan i garnek z orzechami; to złoto. Gdy tam przyjdiesz, klękniij na kolana, podziękuj Bogu, że ci dał dojść. Znajdziesz dziurę dwa łokcie od ziemi, garnek, w nim drogie kamienie. Idź potem pod spad wody i spróbuj siekierką, gdzie będzie dudniało bardzo, tam otwórz; tam bowiem mocno zaprawiona dziura. Piwna beczka jakby pełna złota. Wyleź po dwunastu stopniach wyrąbanych, tam znajdziesz złotą nieckę. Tam też jest słup złoty.

Bywa, że woda zaleje na człowieka dno rozpadliny. Wtedy puść się od razu na łączkę. Gdzie się łączka pod samą skałą kończy, jest dziura. Obrąbać tę dziurę, przełożyć przez nią gałąź świerkową i opuścić sznur do dziury; żeby na nim szczeble były. W pierwszej dziurze wielki zaduch, w drugiej lód ze śniegiem, w trzeciej ciepło i widno. Bębnienie wody słyhać, po czym łąka piękna pokaże się i źródło, skąd poczyną się woda. Idziesz od spodu tam, gdzie nie trafiłeś od góry. Usuń kamień z powały w boku i wejdź do dziury. Po prawej ręce są kamienie drogie, w drugiej dziurze złoto, w trzeciej srebro. Lecz wprzód zmów Ewangelię świętego Jana, potem egzorcyzm: W imię Boga Ojca, Boga Syna, Boga Ducha Świętego idę szukać ukrytego wychodu i obiecanego skarbu, który dar Boski jest."

Zrobiła się taka cisza, że słyhać było bzykające pod powałą muchy. Góral odłożył papier, zdjął okulary z nosa, odetchnął z ulgą. Już piąty raz czyta tę fascynującą lekturę i nie może się od niej oderwać.

- Pisze jak w świętym spisku.

- Ani chybi, to o Jaworowych Sadach mowa.

I znów zaległo w izbie milczenie, jak gdyby czytano posłanie z tamtego świata. Istotnie, człowiek, który znał dobrze manię Jakuba Radonia i który sprzedał mu ów cyrograf na jarmarku w Nowym Targu, zaklinał się, że to jest tajemniczy, zaginiony testament świętego mnicha, który umarł lat temu dwieście jako stuletni starzec w swojej pustelni w Pieninach. Duch owego pustelnika objawił się raz we wsi Niedźwiedz organiącie, który spisał

nazajutrz swoją wizję. Intencją nieba wyrażoną przez owego ducha było, aby ze skarbu znajdującego się w Tatrach został zbudowany kościół wielki na miejscu pustelni w Pieninach. Wnet jednak organista zginął nagle w podejrzanych okolicznościach i spisek jego przepadł. Aż dopiero odnalazł się cudem rok temu przy przebudowie starożytnego kościółka w Niedźwiedziu.

Była to oczywista mistyfikacja. Przepisany umyślnie starym charakterem pisma, ustęp był kopią znanego w literaturze rękopisu, pochodzącego istotnie sprzed dwustu lat i przekazanego potomności pod nazwą *Spisku Chróścińskiego*. Mania bukowińskiego górala była powszechnie znana od dawna w całej okolicy, toteż nic dziwnego, że znalazł się oszust lub żartowniś, który postanowił wykorzystać łatwowierność entuzjasty za cenę tysiąca złotych częściowo spleconą w produktach żywnościowych.

Syn Radonia, Jędrak, miał ustalony pogląd na ojcowskiego bzika. Ten pogląd w równej mierze podzielał jego przyjaciel, nieodstępny bywalec tej chałupy, Józef Szaflarski, ślepy od trzech lat. Oślepił od wódki w Tatrach podczas krótkiego zbijania z Janosikiem. Siedział właśnie pod piecem, paląc papierosa. Posiadał tak wyczulone pozostałe zmysły, że potrafił sam zapalać papierosa. Ożenił się z mądrą i niebrzydka dziewczyną, która rządziła w chałupie jak królowa; mieli dostatnie gazdostwo. Dochowali się już dwuletniej córeczki, drugie zaś dziecko było w drodze.

W izbie znajdowało się czterech mężczyzn: obaj Radoniowie, stary i młody. Jasiek Dziura, którego obecne nazwisko urzędowe brzmiało Piotr Pokrzywka, oraz Józef Szaflarski. Jędrak, jedyny z pozostałych przy życiu kompanów Janosika - nie licząc ślepego Józka - zdołał już za czasów niemieckich zwać z Wiśnicza. Po prostu przekupiono strażników i zainscenizowano ucieczkę.

Był czerwiec; przez otwarte okna wpływał ożywczy, świeży dech gór. Od wschodu do zachodu rozścielała się przed chałupą Radoniów poszarpana, sina panorama Tatr. Jasiek spoglądał w nią; powoli, magnetycznie wciągała go w swoją orbitę, podobnie jak matka przyjmuje na swoje łono powracającego marnotrawnego syna.

Skąd znalazł się w Bukowinie? Od tygodnia tu siedział jak u Pana Boga za piecem, nikt o nim nie wie. Po pamiętnym spotkaniu z Ewą na Głuchaczkach wrócił do Krakowa. Planował, że sprowadzi żonę do Makowa lub Zembrzyc, a sam znajdzie jakąś pracę w mieście i będzie jej przysyłał pieniądze.

Będzie mógł dojeżdżać do nich co niedzielę. Kto wie, może się uda Ewę osiedlić w Krakowie, to byłoby wspaniałe: życie razem. W pociągu śnił o życiu rodzinnym, spokojnym, uregulowanym. Czyż kiedykolwiek, nawet w snach, mogło go czekać podobne życie?

U Kaliniaka zastał niespodziankę. Gospodyni rozplakała się w drzwiach i oznajmiła mu szeptem nowinę: „Uciekaj pan, gestapo szuka pana”. Mąż jej od czterech dni siedział na Montelupich, nie wiadomo za co, nie można się było porozumieć z nim, nie dopuszczali do niego jedzenia ani bielizny. Wzięli go z domu po dwugodzinnej rewizji.

„Pewnie wybuchła afera ze sprzedażą pasów z magazynów wojskowych - pomyślał Jasiak. - Albo wpadli na trop kolporterów gazetki; albo może wydało się, że moje papiery są lewe?”

Nie bawił długo w mieszkaniu. Zabrał pieniądze, sprzedał sąsiadce płaszcz zimowy za pośrednictwem Kaliniakowej, podarował resztę drobiazgów gospodyni i wyjechał tego samego dnia do Zembrzyc, gdzie miał znajomy dom. Z ulgą opuszczał o zmierzchu Kraków, ludny i ruchliwy, w którym nie udało mu się zgubić. Nie mógł zrozumieć, za co go szukają. Przypomniał sobie krakowskie grzechy, nie widział w nich nic szczególnie zdroznego.

„Może za Augustynowicza? Że czytałem u niego komunikaty angielskiego radia? A może policja inwigilowała «Pułkownika» i «Junaka» na Czystej i zauważyła mnie? Myślą, że jestem grubszą figurą.”

Po trzech dniach pobytu w Zembrzycach przypomniał sobie obu tatrzańskich zabijaków i czmychnął do Bukowiny. W Jurgowie byłoby mu też nieźle, tam również ma dobrych znajomych, ale starzy Jeleniowie! Bał się, że zechcą mu szkodzić ze względu na córkę. Wybrał więc Bukowinę. Zaszedł do Radoniów; poczciwi, ucieszyli się bardzo, Jędrrek omal nie płakał. Siedzieli do późna w noc, opowiadając, Jasiak nie mówił za dużo o sobie, tylko tyle, ile było konieczne, aby swoje losy w jakiś prawdopodobny sposób przeprowadzić przez chaos wojenny aż do dnia dzisiejszego. Radoniowie byli twardymi Polakami; nie dali się skusić „góralskim” zakusom. Pierwszego dnia, kiedy koło północy Jasiak wyszedł z Jędrkiem pod chałupę, rzekł mu przyciszonym głosem:

- Słuchaj, Jędrrek, gestapo mnie szuka.

- Tak myślałem - odpowiada mu kompan. - Znam cię, Janosik; ty nie lubisz spokojnie usiedzieć.

- Pójdiesz ze mną?

- Pójdę.

Czuł, jak spojrzenie hetmańskie w ciemności przewierca go i pali.

- Będziemy razem siedzieli do końca wojny. Może się wnet skończy.

- Tam jest gdzieś paru naszych parobków z powiatu, co uciekli przed branką do robót.

Mnie też grozi w tym roku wywóz do Niemiec.

Obaj postanowili uciec w Tatry. Jeszcze przez parę dni Jasiak przebywał w chałupie

Radoniów. Stary wypytywał go wiedząc, iż ze świata przyszedł. - Powiedz no, co tam w polityce? Będziemy mieli Polskę? Kiedy?

- Tylko nie mówcie mi o polityce! - zachnął się gość. - Życ chcę!

Zrozumieli to jako niechęć do angażowania się „Ostrożny jest” - pomyśleli. Ma rację, że trzyma język za zębami.

Stary Radoń poszedł z nimi. Plan swój utrzymali obaj w największej tajemnicy: dla innych nazywało się, że idą na poszukiwanie skarbu. Znaleźć trochę zakopanych dudków, choćby jeden garnuszek ze złotymi austriackimi dukatami; do końca wojny można by za to żyć spokojnie. Sprzedawać po jednej sztuce złota co miesiąc w Zakopanem czy w Nowym Targu - i ma się co jeść i w co się ubrać. A i gruntu kawałek przykupić.

Na dwa dni przed świętym Janem wyszli wprost przez Zazadnią w Dolinę Jaworzyny, niby to, że idą do owiec na halę pod Wołoszyn i ku Roztoce. Radoń był przejęty. Przypomniały mu się długie dni wędrówek w czasach młodości w poszukiwaniu za legendarnym kotlikiem zbójcekim zakopanym w pieczarach. Gdzie on go już nie szukał? W Kominach Tylkowych, pod Tomanową Przełęczą, na hali Ornak, w Litworowej Dolince, pod Czarną Jaworową Turnią, nad Kaczym Jeziolem i na Niemieckiej Drabinie. A oto teraz spisek starożytny wskazuje - podobnie jak i dawne tradycje - raz jeszcze miejsce legendarnych skarbów w obszarze Jaworowej Doliny.

- Idziemy. W imię Jezusa Przenajświętszego i Matki Bolesnej siedemkroć mieczami przeszytej.

Była wigilia świętego Jana, dzień wróżebny wśród górali. Czerwcowe słońce przypiekało mocno. Stare spiski mówią, że skarby dają się szukać tylko w pewne określone dni, kiedy złe duchy od nich odstępują. Stary Radoń znał na pamięć te daty: Matka Boska Gromniczna, Wielki Piątek, Wielkanoc, Święta Trójca, oktawa Bożego Ciała, wigilia świętego Jana, świętego Krzysztofa oraz świętego Jakuba.

Szli w trójkę wczesnym rankiem Doliną Jaworową, tak dobrze znaną obu młodym. Na najwyższym piętrze doliny leży u stóp potężnych ścian Jaworowego Szczytu - Żabi Stawek Jaworowy. Wiedzieli według spisku, że to tu. Koło tego stawu żlebem toczy się woda spod Lodowego, najzimniejsza i najtwardsza woda Tatr. Na dużym głazie wykowana strzała, a pod nią trzy litery: IHS.

- Stąd się zaczyna - wyrzekł wzruszony Radoń. Zdjął kapelusz, przeżegnał się trzy razy i klęcząc na gołej ziemi mówił:

- W imię Boga Ojca, Boga Syna, Boga Ducha Świętego idę szukać ukrytego wychodu i Boskiego skarbu, który w górach jest.

Uderzyli się wszyscy w piersi, po czym stary rzekł:

- Teraz zmówmy Ojczy Nasz.

Powtarzali półgłosem słowa modlitwy. Jasiak przypomniał sobie nie wiadomo czemu ostatnią swoją noc przed niedoszłą egzekucją w Nowym Targu. Stary wstał.

- Przeżegnajmy się teraz pięć razy. Chodźmy. Nie oglądajcie się.

Przez stromy, podcięty piargami żleb windowali się w górę, uważnie patrząc po ścianach. Nie widzieli żadnego znaku. To nic; mógł wszakże w ciągu dwustu lat ulec rozmyciu lub zwietrzeniu. Przeleźli przez zwisający nad rozpadliną uskoki, Radoń długo mierzył go oczyma, czy to nie ta rozpadlina i most nad nią, o których mowa w spisku. Wyjął z kieszeni pismo, porównywał tekst, nie zgadzało się, ruszyli dalej. Żleb uchodził w komin, komin zaś rozpyływał się w ścianie. Nie było drogi. Cofnęli się.

- Zejdźmy przez Przełęcz Czarną do Jastrzębiej Doliny. Tam szukajmy.

Okolice Zielonego Stawu Kiezmarskiego zawsze były osnute legendą. Dolina Dzika, czyli Wielka Papirusowa, Miedziane Ławki, Niemiecka Drabina, Jastrzębia Turnia, Dolina Jastrzębia, czyli Mała Papirusowa.

- Uważajmy, bo nas Słowaki zajmą - ostrzegł Jędrak.

- Będę się bał druciarzy? - obruszył się stary. - Gorzej byłoby się natknąć na szwabskiego strażnika.

Błąkali się w cieniu stromych ścian w głębokiej kotlinie, na próżno wyglądając jakiego znaku wyciosanego w skałach. Dno kotliny zalegały kosówki, na poprzek biegła lekka ścieżka. Czy to nie ta, o której pisze organista z Niedźwiedzia? Idą ścieżką w górę; półka trawiasta, może to owa łączka z tajemniczego spisku? Nigdzie tylko wody nie widać, ale są lata, w których wszystkie potoki wysychają. Wśród złomów groźnego kotła skalnego wyrasta obszerny blok granitu: koliba. Obeszli ją dokoła; nic.

Wycofali się w stronę Zielonego Stawu Kiezmarskiego. Jasiak szedł tędy dwa razy, a trzeci raz widział ten staw we śnie w więzieniu. Stary Radoń był już pod tą śmigłą turnią z dwadzieścia lat temu. Zna naokoło wszystkie dziury. Czy ten strumyczek, który cieknie do jeziora (czyli ze słowacka do plesa), można by identyfikować z opisanym w dokumencie? A gdzie wodospad i słynna rozpadlina?

Usiedli na głazach, zaczęli się pożywiać. Jędrak pozwolił sobie na ironię:

- Coś mi się widzi, tatusiu, że pismo was oszukało. Pójść na Banie Krywańskie, to dzisiaj jeszcze można odłupać parę ziarenek złota z twardej skały. Ale drapać po ziemi w poszukiwaniu kotlika? Dajcie spokój.

- Będziemy wracali, trudno. Ale pójdziemy przez Dolinę Kacza, bo dziś jest noc

świętojańska.

Jędrrek buchnął śmiechem.

- Już na to mnie nie nabierzecie. Zaczarowana kaczka będzie dziś w nocy pływała po jeziorze i zniesie złote jajo, tak?

- Przenocujmy tu lepiej - proponuje Jasiak. - Może diament zabłyśnie na Jastrzębiej, kto wie? - dowcipkował.

Przegłosowali starego. Przed spaniem w kolibie Radoń wyszedł nad staw, klęczał i modlił się żarliwie.

Rano cudowny widok otworzył się przed oczyma obudzonych. Góry rozplomieniły się wschodzącym słońcem. Jasiak przez ułamek sekundy pomyślał: „Jak tu cicho. Czy to prawda, że w Europie wojna?” - rozprostował ramiona i z żalem pomacał się po kieszeni; wczoraj wypalił cały zapas papierosów.

- Stryku, będziemy się pobierali do domu. Chyba że zajrzemy na Hawrań.

Miał właściwie zamiar zemknąć po drodze staremu w Jaworzynie i odwiedzić swoich znajomych w tej wsi i w Podspadach. Dawna zagospodarowana pieczara w Hawraniu to hotel, do którego się chętnie wraca.

- I w ogóle co nas wtedy Niemcy obchodzą? - zwierzał się półgłosem Jędrkowi. - Mogą nas pocałować gdzieś. Jesteśmy na gruncie słowackim.

Schodzili z powrotem Doliną Jaworową, wspaniałymi lasami, które Janosik tak dobrze znał. Aby uniknąć niepożądanego spotkania, zbczyli nad Jaworowy Potok. U wejścia do wąwozu Siwarnika zobaczył Jasiak na głazie wykutą strzałę, a nad nią cyfrę 50. Poszli w kierunku wskazanym przez strzałę: w odległości pięćdziesięciu kroków na kamieniu widniało wymalowane czarne kółko.

Ogarnęło ich podniecenie. Radonia aż zatchnęło ze wzruszenia. Wyjął spisek z kieszeni, rozglądał się, porównywał topografię miejsca z opisem.

- Tu zakopał ktoś zrabowane pieniądze. To będą żydowskie pieniądze.

Wąwóz stawał się coraz bardziej wąski, to już nie wąwóz, to rozpadlina. Obu rękami trzeba się było opierać o przeciwległe ściany, po których ściekała zielonawa woda. Może to ów spad, o którym pisze pismo? Pod nogami ciecz mizerny potoczek, strużka wodnista, koło potoczka widnieje w skale krzyż wykowany.

- Słyszałem - mówił Jędrrek - że Żydzi zakopiańscy ogromny skarb schowali w górach, zanim ich wzięli do getta w Nowym Targu. Były tam miliony w złocie, dolarach i złotych świecznikach z bóżnic.

Jasiak, cynik do ostatka, zachował nadal drwiącą minę.

Ale kiedy po dziesięciu krokach od znaku krzyża zobaczył na omszałym głazie strzałkę wskazującą kierunek, opanowało i jego silne podniecenie. Czyżby zanosilo się na przygodę w wielkim stylu?

Na prawo - smrek spróchniały, pod nim dziura. Od dziury na prawo w górę wylot komina. Z boku w rogu komina znowu wymalowane duże czarne kółko. Radoń żegnał się nieustannie, chciwość zaostrzyła mu wzrok. Oto zbliża się ku celowi marzeń pieszczonych przez całe życie. Boże, pomóż, Boże, pomóż!

- Nie oglądajcie się - krzyczał. Przeskoczył zgrabnie jak kozica przez podwieszoną półkę, teraz już szedł na pewniaka. Na wysokości pierwszego piętra ponad nim, skąd wyrastały stopy potężnego filara, widać było kupę kamieni, na pozór tylko bezładną. Wyraźnie zasypiano nimi wejście do grotty.

Jeszcze trzy płone świerki, na jednym z nich krzyżyk wycięty scyzorykiem. Ślad cięcia niedawny. Cóż to może być? Radoń ogląda się w dół, choć przed chwilą przestrzegał chłopców, aby nie wyzywali złego ducha. Naokoło widok szczelnie zamknięty skałami; jednym wąskim oknem przeziiera dołem ciemnozielone morze jaworzyńskiego boru.

Nikt ich nie widzi. Nikt ich nie podpatrzy. Wargi drżą staremu. Tak odzywa się utajona namiętność człowieka, nieśmiertelna żądza pieniędzy. Jego błyszczące oczy wskazują w prawo.

- Tam jest matka wszystkiego bogactwa, rumowisk złota, srebra i drogich kamieni.

Doszli wśród głazów szerokich, niewidoczni, mali, zagubieni w ogromie skalnego świata. Uklękli na gołych kamieniach odsłoniętymi kolanami: tak nakazywał obyczaj. Stary zdjął kapelusz i odezwał się:

- Ja cię zażegnuję, ty skarbie, dziuro i zakryty kruszcu, żegnam cię przez świętego Piotra i Pawła, przez Wcielenie Jezusa Chrystusa, żegnam cię przez świętego Szczepana. I przez Boga Ojca, Boga Syna, Boga Ducha Świętego, Amen.

Wstali i zaczęli odwalać kamienie z jamy.

Nie znaleźli tam spodziewanych skarbów. Natknęli się natomiast na skład broni i amunicji niedawnego pochodzenia.

Zdumieli się wszyscy na ten widok: trzy drewniane paki wyścielone sianem, a w nich kilkanaście karabinów, rewolwery i skrzynki z kulami. W kącie leżało pięć paczek z konserwami i kilkanaście serków owczych. Niewiele myśląc, zabrali się do jedzenia; powsadzali do kieszeni po oszczypek. Jasiak nie oparł się pokusie, chowając do drugiej kieszeni rewolwer z pełnym magazynkiem. Odkrycie to było niczym wobec jeszcze

ciekawszej przygody, jaka spotkała trójkę wracającą w stronę Wierchporońca. Oto natknęli się na dwóch młodych parobków, którzy wyciągnęli ku nim rewolwery.

- Stać!

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - odezwał się polubownie stary.

Jasiek nie znał kompromisów.

- Hola, panowie, powoli - wycedził przez zęby spokojniutko, celując ku nim ze swego rewolweru. - Nie wyciągajcie spluwy, my także mamy swoje.

- Co wy tu robicie?

- Byliśmy na spacerze. Szukamy skarbów - odpowiedział na pół żartem, na pół serio.

- Kuba Radoń! Z Bukowiny! - krzyknęli nagle tamci, rozpoznając starego.

- Znacie mnie?

- Wyście z moim ojcem sprzedawali konie w Nowym Targu.

- Pewnie jesteście z Miętustwa.

- Możliwe - odpowiedzieli wymijająco, uśmiechając się, i zniżyli rewolwery. - Po coście tu przyszli?

- Przyszliśmy juhasować - odparł Jasiek.

- Gdzie?

- Na Halę Waksmundzką.

- My także tam juhasujemy.

- U którego bacy jesteście?

- U Krzywego Orlika.

- My też tam idziemy.

Zdziwiła ich ta mowa.

- Siądźcie - zaprosił ich wszystkich Jasiek. - Dajcie papierosa.

Spojrzał na nich znacząco, zmrużył jedno oko i rzekł:

- Przyszliśmy tu po to, po co i wy. Juhasować. Mają nas brać na roboty do Niemiec. A mnie się nie chce jechać do Niemiec. Zostaniemy z wami. Stryjku, idźcie no już do domu.

- Nie ma głupich - zaprotestował wysoki, chudy parobek, czarny jak kruk. Wydało mu się to podejrzanym, dlaczego stary ma wracać.

- Nie bójcie się. To ojciec Jędrka, a mój stryj.

- Przysięgnijcie na Matkę Boską Ludźmierską, że nie powiecie o nas jednego głupiego słowa na dole; żeście tu nic nie widzieli.

Stary wzniósł oczy nabożnie ku czystemu błękitowi i zaklął się z ręką na sercu.

- Przysięgam Panu Jezusowi Wszechmogącemu i Matce Boskiej Ludźmierskiej, że

miejsca waszego nikomu nie zdradzę.

- Idźcie z Bogiem.

Jasiek i Jędrak pocałowali go w rękę, wsunęli mu do kieszeni po jednym oszczyпку i odprowadzili wzrokiem aż poza krawędź Chowańcowego Wierchu.

- Jakby was kto pytał, mówcie, że wracacie z Hali Waksmundzkiej. Wyciosajcie sobie patyk naznaczony w gieletach. Będzie się nazywało, żeście byli na pomiar swojego udoju u bacy.

Siedzieli w trzech grotach w Dolinie Pańszczycy i pod Buczynową Turnią. Było ich jedenastu, wszystko gazdowscy synowie, którzy nie chcieli dać się wywieźć na roboty do Niemiec. Poza tym mieli zapasowe schronienie pod Wołoszynem. Opiekował się nimi baca z Murzasichla, który siedział na Waksmundzkiej Hali z dwiema setkami bydła i trzody. Krowy pasły się przy niżnich szałasach, owce zaś po upłazach Kosistej i na Polanie Pod Wołoszynem. Nawet juhasi nie wiedzieli, ilu parobków ukrywa się po górach, tak było wszystko sprytnie urządzone. Gońcy używani przy napędzaniu owiec do udoju w koszarze nosili co tydzień w umówione miejsca prowiant i listy, skąd fałszywi juhasi, zwani powszechnie Dzikimi, zabierali je nocą. Z rodzinnych wsi uciekinierów donoszono na hałę mąkę, chleb, mięso, słoninę, ziemniaki, wracano zaś, jak zwykle wraca się latem z hal, z woreczkami bryndzy i sera oraz z bańkami żętycy.

Ale wśród zbiegów byli nie tylko tacy, którzy uciekli przed branką na roboty; było i paru takich, co ostrzej zadarli z władzą niemiecką, którym gestapo następowało na pięty. Był kapitan artylerii; uciekł z Krakowa na parę godzin przed aresztowaniem; myśl o żonie i dwojgu małych dzieciach nie pozwalała mu zwać za granicę. Był inżynier, któremu Niemcy rozstrzelali brata za ukrywanie żołnierzy polskich, człowiek pełen brawury i fantazji. Był jeden z czołowych narciarzy zakopiańskich; uciekł z transportu do Oświęcimia; aresztowano go za pomoc w przeprowadzaniu oficerów polskich przez granicę do Słowacji. Sam nie przedostał się tam, choć mógłby to uczynić z pięćdziesiąt razy, bo żał mu było rozstać się ze starymi rodzicami, którzy stracili już w tej wojnie dwóch synów na polu bitwy w czasie kampanii wrześniowej. Prowadził z nimi korespondencję co tydzień przez zaufaną dziewczynę-pasterkę, ich służącą. Starzy nie wyobrażali sobie życia bez niego; kochali go do szaleństwa. Czwartym, godnym ich kompanem był pół malarz, pół dziennikarz z żyłką podróżniczą, który przybył tu dla przygód; zepsuł sobie ostatnio hipotekę w Krakowie pisywaniem artykułów dla tajnej gazetki.

Ci ludzie trzymali się osobno, u Dzikich Juhasów zaś nosili nazwę grupy „oficerskiej”.

Byli zaszydzi w Wysokich Tatrach w rozległej Dolinie Białej Wody. Kształcili się w regulaminie wojskowym, uczyli się całymi dniami po francusku i po angielsku. Kontaktowali się jednak z grupą Juhasów, uzbroili ich i wspólnie zorganizowali dwa magazyny amunicji: jeden pod Młynarzem, drugi w Siwarniku nad Doliną Jaworową, na który właśnie natknął się Jasiek z obu Radoniami.

Całymi dniami koczowali w lasach lub skałach; spali w kolibach. Tylko w razie sygnału i specjalnego niebezpieczeństwa wycofywali się do swych schronów. Patrole niemieckie rzadko zaglądały w góry, a jeszcze rzadziej stamtąd wracały. Sprzątano Niemców bez śladu, co tym większym strachem napawało miejscowe władze. Ludność góralska sprzyjała oczywiście zbiegom; wszak to rodacy, krajanie i krewni.

Było lato. Chłopcy leżeli nocami i dniami w kosówkach, spoglądając przed usnięciem w gwiazdy.

- No, teraz już chyba wojna prędko się skończy - mruczał któryś - skoro Niemcy porwały się na Rosję.

- To już Niemcy zdobyli Lwów? Cholera, kto wie, jak się wojna skończy. Bo jak Rosję wezmą, to już cały świat do nich należy.

- Głupi jesteś. A Ameryka?

Roztaczała nad nimi swoje ramiona - w szafasach opuszczonych, w kolibach, w żyłastych skrętach kosodrzewiny - wygwieżdżona, chłodna tatrzańska noc. Niektórzy - choć to był lipiec dopiero - myśleli już o zimie. Utkają sobie jamy w skałach gałęziami i mchem, prowiant będą odbierali raz na miesiąc. Może się da ustrzelić jaką zwierzynę; broni mieli dość. Zimą zresztą góry opustoszeją zupełnie i staną się niedostępne.

Jasiek rozmyślał o żonie w Przyborowie. Jędrus pewnie teraz śpi przy matce; jakżeby chciał znaleźć się przy nich, odetchnąć ich kochanym ciepłem! Mówił mu Wojtek Mierzwa, jeden ze spotkanych owego pamiętnego dnia Juhasów (szli wówczas po broń dla nowych chłopców), że w Dolinie Chochołowskiej działa partyzantka złożona z trzydziestu ludzi, posiadająca własną radiostację nadawczą. Część z nich występowała w mundurach niemieckich. To było coś odpowiedniego dla temperamentu Jaśka.

Było to życie leniwe. Trwało nadal piękne lato. Juhasi krzatali się koło koszar, psy naszczekiwały w górze, baca gotował serwatkę na żętycę, gwarząc z dwoma gazdami przybyłymi z dołu.

- Jak tak pogrzeje, to do tygodnia będziemy mieli sianożęcie.

Kwieciste, bujne łąki w niższych partiach Waksmundzkiej tęskniły za kosą.

- Kiedy zanosi się na żniwa?

- Jak zwykle, na Wniebowzięcie.

- Bóg łaskaw. Co tam z wojną słyhać? Podobno Niemcy strasznie pędzą Rosjan przed sobą. Prawda to?

- Tak piszą.

Wieczorem przy zapędzaniu trzody do koszar zginęły dwie owce. Baca, zawiadomiony przez juhasów, przeliczył raz jeszcze całe stado.

- Przy udoju rachowałeś? - pyta się swojego pomocnika, Bustryka.

- Rachowałem.

- Były wszystkie?

- Były.

Kłamał, aby się nie wydało, że zapomniał przeliczyć sztuki przy dojeniu.

- Na pewno Dzikie Juhasy.

Ma z nimi niemałe zmartwienie, nie od dziś, jeszcze od maja, odkąd się wyredykał w hale. Nie dosyć, że musi się o nich kłopotać, starać się im o żywność, podstawiać ją w umówionych miejscach, jeszcze kradną mu bezczelnie trzodę z kiedela. Nie mogą sobie w Wołoszynie postrzelać do kóz? Albo do danieli w Jaworzynie? Strzelb mają dość; nie żeby ludzką chudobę niszczyć! Albo niech kradną Słowakom na południowych halach. Ach, ta wojna! Dla chłopaków nie ma nic świętego. Czy pytają, komu kradną? Mięso musi być. Już dotychczas zginęły mu trzy barany i dwie owce. Chwała Bogu, że wnet we wsi rozpoczną się żniwa. Spędzi się owce w dół i na halach zostaną Dzikie Juhasy bez mięsa.

Pod Orlą Percią na wystającej półce Buczynowej Turni wylegiwał się Piotr Pokrzywka (Jędrak poprzysiągł utrzymać tajemnicę jego właściwego nazwiska i poprzedniej kariery) wspólnie z Jędrkiem Radonim, Wojtkiem Mierzwą i Zygmuntem Malinowskim. Gryźli oszczyпки, wypatrując turystów niemieckich w Pięciostawiańskiej Dolinie. Spoglądali także z tęsknotą na drugą stronę ku Pańszczycy.

- Pójdziemy pod wieczór do szałasów na żętycę - odezwał się Jędrak.

- Od kiedy wódkę nazywacie żętycą? - spytał dobrodusznie Jasiek.

- Tamto mnie nic nie obchodzi - wyparł się Wojtek z uśmiechem. - Ja zostanę u dziewczek na noc.

W Dolinie Pańszczycy pasły pasterki bydło z Cichego. Jedne pasły, drugie pracowały koło nabiału. Każdy gazda miał tu swoją pasterkę, której oddał dozór nad mlekiem.

- Idźcie, jak chcecie - mruknął Jasiek. - Ale jak który z was przyjdzie pijany, mordę mu zbiję i zwałę w piargi na pysk. Jutro tu przyjdą za wami dziewczyny, a pojutrze policja.

Zdarzało się bowiem nierzadko, że dziewczęta przyjmowały Dzikich Juhasów wódką,

a nocne zabawy kończyły się bójką.

Nazajutrz Jasiak poszedł w odwiedzinach do „grupy oficerskiej” i tam już pozostał. Niebawem grupa przedarła się przez Pięć Stawów i Dolinę Cichą na nową kwaterę w Kościeliskiej Dolinie. Maszerowali nocą w piątkę, dzierżąc po dwa karabiny w rękach. Pierwszy szedł Broniek-Narciarz, drugi Adam-Artylerzysta, trzeci Norbert-Inżynier, czwarty Roman-Włóczęga, zamykał zaś pochód jako piąty Jasiak-Juhas. Ta garstka połączyła się w Tatrach zachodnich z drugą partią partyzancką, siedzącą w dziurach Chochołowskiej Doliny. Duszą ich był członek organizacji wojskowej, nowotarzanin, Feliks. W ciągu lata 1941 roku grupa tatrzańska w liczbie dwudziestu czterech ludzi otrzymała przeszkolenie bojowe. Nawiązano kontakt z Zakopanem, a pośrednio z Nowym Targiem, Rabką i Krakowem. Minął już czas, kiedy przez granicę przemycano się ludzi do Słowacji i Węgier, skąd mogli wyjeżdżać na Bałkany i dalej za morze do ośrodków polskiej emigracji. Oba te kraje wypowiedziały wojnę Związkowi Radzieckiemu i weszły w orbitę interesów Rzeszy Niemieckiej. Teraz w góry uciekali mężczyźni, chroniąc się przed obozami koncentracyjnymi i robotami przymusowymi. Było też kilku takich, których tu przygnała tragedia: ktoś rozstrzelany z rodziny, zakatowany za drutami Dachau czy Oświęcimia; wreszcie ci, którym udało się zbiec spod rąk siepaczy. Ciągłe przybywali nowi kandydaci; kierowani byli na umówione miejsca w Dolinie Kościeliskiej przez Jana Żeglenia z Zakopanego lub Styczkowskiego, rymarza z Witowa.

Jasiak wtulony w rozpadliny skały spozierał na leżące na południu liptowskie miasteczka za jasnozielonym dywanem łąk i ciemnozielonym płaszczem lasów. Widział dołem srebrzystą wstęgę potoku.

Przyszedł z doliny łącznik pachnący żywicą. Przyprowadził ze sobą ochotników; mieli po osiemnaście lat. Młodzik klął, próbując nadaremnie zaświecić zapalniczkę. - Dziadowska benzyna - mruknął spoglądając na palec. - Będę musiał palec podzelować.

- Tak ci się spodobała nasza robota? - pytał młodzika któryś ze starszych.

- Co ja mógłbym innego robić? Kopać rowy w Baudienście? Tfu!

Któregoś dnia przenieśli cały magazyn z Doliny Białej Wody na Wantule; tam bowiem mieli główne schronienie. Pomiedzy Dolinami Małej Łąki a Kościeliską znajdują się Doliny Miętusia Niżnia i Wyżnia. Na Wyżniej leży Hala Miętusia; za nią rozpościera się mała dzika kotlinka, z rzadka porośnięta płonymi smrekami, zasłana olbrzymimi głazami spadłymi z pobliskich turni. Nad Wantulami znajduje się kocioł skalny wśród urwistych ścian; okalają go dokoła szczyty: Gładkie Uplążiska, Ciemniak, Krzesanica, Wielka Turnia i Skoruśniak.

Cała ta okolica, pełna niedostępnych grot, nadawała się doskonale do ukrycia.

Czeluście w Czerwonych Wierchach i Małolączniaku, przepaściste zerwy Twardego Upłazu, nie na próżno nazwane Dziurawymi Ścianami, górne piętra Organów, Ratusz, śnieżna szczelina Małej Świstówki, Mułowa Dolinka oraz Litworowa - to był macierzysty schron partyzantki noszącej w organizacji wojskowej nazwę: „Grupa Bojowa Tatry”.

Z końcem września 1941 roku, gdy hale już opustoszały, wyszła z placówki granicznej na Łysej Polanie obława policyjna. Bezpośrednim powodem obławy był fakt napaści na pięciu turystów niemieckich pod Wodogrzmotami Mickiewicza w Roztoce; nigdy bowiem policja niemiecka nie zapuszczała się w głąb gór. Ekspedycja spaliła dwa szałas na hali górnej Waksmundzkiej i kiedy wycofywała się nazajutrz Doliną Białej Wody, została obsypana strzałami ze zboczy Jarzębicy. Wybuchła obopólna strzelanina. Dwóch policjantów zabitych, trzech rannych. Polacy, ukryci w zasadzce, nie ponieśli żadnych strat. Jednak w obawie przed następną obławą Dzicy Juhasi w liczbie siedemnastu przeszli na zachód w ulewnym deszczu i połączyli się z oddziałem wojskowym, powiększając jego liczbę do pięćdziesięciu ośmiu ludzi. Wypatrzył ich i zatrzymał stojący właśnie podówczas na straży w lesie nad Doliną Kościeliską Piotr Pokrzywka, ich niedawny towarzysz. Dostał już stopień kaprała i dał się poznać ze swej nieustraszonej odwagi, fantazji oraz bystrości. Jemu to powierzono przeszkolenie wojskowe Juhasów. Jasiek zabrał się do tego z zapałem i w ciągu miesiąca zrobił z butnych zabijaków dzielnych i posłusznych żołnierzy. Od jednego ze świeżo przybyłych partyzantów dowiedział się ciekawych szczegółów o Wojtku Rzezawie, swoim byłym kompanie, zakłutym nożami w Sopotni. Oto Wojtek był pomocnikiem organisty w Ratułowie, lecz pokłócił się z księdzem i uciekł w świat; później przystał do zbójników i szczeł gdzieś marnie. Stało się więc teraz dla Janosika zrozumiałe zamiłowanie Wojtka do tematów religijnych, do śpiewu, do cytów z Ewangelii. Jego niechęć do kobiet powstała stąd, że miał za narzeczoną dziewczynę folwarczną, która nie dochowała mu wierności. Ponieważ popadł w dodatkowy zatarg z proboszczem, rzucił posadę i dziewczkę.

Postać Wojtka Rzezawy odżyła znowu w myślach Jaśka. „Dlaczego tyle myślę o Wojtku, a o Ewie nie?” - karcił się sam. Wiatr świstał w załomach, piana mgieł przysiadła kotły i doliny. Dziś przychodzi żywność i nafta; Jasiek miał prowadzić patrol pięciu ludzi do Wąwozu Kraków, skąd się odbierało transport. Wdział granatową nieprzemakalną kurtkę, zapalił papierosa, wyskoczył zza kamieni, niżej gwizdnął na towarzyszy, którzy już czekali. Schodzili w dół po jednym ku Dolinie Miętusiej. W schronie nad Wantułami Feliks i Adam słuchali komunikatów z Londynu w języku francuskim; małe pudełko radia odbierało doskonale krótkie fale.

Był sam na sam ze skałami; teraz już nie wódz zbójników, lecz wierny żołnierz z podziemnej komendy. Ze zgrozą słuchał wieści przynoszonych z północy. Już chyba nic nie ocali świata przed potęgą niemieckiego żelaza i ognia.

Armie pancerne wroga stoją pod bramami Moskwy. Ucisk zaborecy wzmógł się. Tysiące młodzieży schwytej po miastach i wsiach wywieziono na roboty do Rzeszy. Więzienia i obozy koncentracyjne napełniły się po brzegi. Dymiły pracowicie krematoria w obozach. Nie było końca represjom. W odwet rozpałał się coraz szerzej ogień konspiracji.

Zaczęły się masowe likwidacje Żydów. Nocą wyjeżdżały z obrębu getta auta ciężarowe nakryte płachtami, uwożąc ofiary za miasto, gdzie rozstrzeliwano je gromadnie, a zwłoki zasypywano wapnem i ziemią.

Piotr Pokrzywka nie przestawał myśleć o Przyborowie. Właśnie wrócił ze swymi chłopcami, syt triumfu, ze zwycięskiej wyprawy na dom ozdrowieńców gestapo w Kościeliskach. Z dwudziestoma ludźmi swojego oddziału uderzył wieczorem na dawne sanatorium akademickie, leżące na uboczu, w odległości niecałej mili od Zakopanego. Zaskoczenie było całkowite. Wywiązała się strzelanina. Dwunastu Niemców bądź zginęło, bądź odniosło rany. Zdobyto kilkanaście par butów, mundury, koce, pieniądze, bieliznę, broń, na koniec podpalono budynek. Ogień jednak ugaszono. Oddział polski wycofał się bez strat.

Za pośrednictwem Jana Żeglenia, najdzielniejszego człowieka tajnej organizacji w Zakopanem, skromnego garderobianego w barze Kowalskiego, otrzymał Piotr Pokrzywka przykrą wiadomość: stary Radoń z Bukowiny został aresztowany, a wraz z nim ślepy Józek Szaflarski. Siedzieli przez trzy dni w Zakopanem na śledztwie, po czym przewieziono ich do więzienia w Nowym Targu, skąd po tygodniu wypuszczono młodego, a stary dotąd jeszcze siedzi. Męczyli ich biciem, bo Józek wrócił posiniaczony z krwawymi śladami.

Za co ich aresztowali? Dowiedzieli się, że stary Radoń kontaktuje się z partyzantami w Tatrach, jako ich wywiadowca. Stwierdzono, iż w drugiej połowie czerwca osobiście odprowadzał dwóch mężczyzn w góry i po skomunikowaniu się z partyzantami powrócił na trzeci dzień do domu. Każdy krok jego był śledzony. Stary zapierał się, że nic nie ma wspólnego z żadnymi bandytami, że owszem, szedł w wigilię świętego Jana na Halę Waksmundzką odwiedzić swoje owce u bacy Krzywego Orlika, co baba potwierdził; ale jeden z juhasów zeznał, iż nigdy nie widział na hali Kuby Radonia. Góral trzymał się twardo, lecz na trzeci dzień pod wpływem cięgów załamał się i zeznał, że prócz wizyty u bacy był w Jaworowej Dolinie sam jeden, gdyż spodziewał się tam znaleźć skarby ukrywane tam według starych wierzeń góralskich. Wybuchnęli wszyscy głośnym śmiechem. Gestapowiec poklepał górala po plecach i rzekł z uśmiechem na przystojnej twarzy:

- No to, kumotrze, będziecie mieli dość czasu na rozmyślania o skarbach.

Odesłano ich do więzienia w Nowym Targu. Tam rozpoczęto od nowa bicie obu aresztantów, gdyż chciano się dowiedzieć nazwisk partyzantów zbiegłych w góry. Ani stary, ani młody nie puścili pary z ust. Wreszcie kiedy ślepy zaczął bredzić, wypuszczono go jako wariata, Radonia zatrzymano jednak w nadziei, że coś uda się z niego wyciągnąć.

Wrócił do celi z przesłuchania, gdzie nagabywano go o działalność konspiracyjną w Zakopanem. Wyparł się, bo rzeczywiście nie znał Żeglenia. Usiadł na gołej podłodze pod ścianą; sześciu współwięźniów grało w patyczki w drugim kącie celi. Mieli go już dawniej za pomyłonego. Klęknął i zapłakał.

- Żałujcie mnie, połączcie, bo idę w góry.

- Tatusiu, poczekajcie na nas, pójdziemy wszyscy razem do Boga Ojca, który jest w niebie - odpowiedzieli mu z ironicznym współczuciem.

Siedzieli tu już piąty tydzień i wiedzieli, że mają ich niebawem wywieźć do Oświęcimia. To znaczy na śmierć.

Ale Radoń, nie zrażony wisielczym dowcipem towarzyszy, kontynuował swój opętany monolog:

- Ja muszę odkryć skarby od setek lat we wnętrzościach skał chowane. Rozsadźcie skałę na dwadzieścia metrów w głąb, zobaczycie cuda. Co mi tam inżynierowie. Wiarę trzeba mieć w sercu. Złoto objawić się może tylko czystym ludziom, którzy nie mają na swoich rękach krwi.

- Tatusiu, mówcie dalej. Ładnie to sobie uzdalajście. Dla nas to wszystko fuk. I skały, i skarby. Dajcie no zapalić trochę tabaki.

- Za Jaworzyńską jest skała o kształcie mnicha, która w nocy wędruje. Kto ją zobaczy w chodzie, do tygodnia umrze. Ja ją widziałem, gdy szła, i dlatego umrę. Ale przedtem muszę raz jeszcze powędrować w turnie. Przez te ręce przejdzie potok złota.

Usnął rozżalony, rozdygotany, w pełni swoich żarliwych, obłąkanych majaczeń.

Jasiek wraz z Jędrkiem wyjechali do Nowego Targu dla wykonania zadania: zniszczenia aktów personalnych w tamtejszym urzędzie pracy. Zanosilo się na wielką wysyłkę młodzieży do robót w Rzeszy. Obaj ubrani byli po miejsku, w długich spodniach, nieprzemakalnych trenczach, w kapeluszach, z solidnymi papierami w kieszeni. Z powrotem Jędrak miał wrócić przez Witów do grupy. Jasiek zaś miał spotkać się z Norbertem-Inżynierem w Rabce i tam mieli powierzyć ważne pismo łącznicze organizacji w celu przekazania go do Krakowa.

W pochmurny ranek listopadowy zeszli obaj w las. Z Miętusiowej w Kościeliską, z Kościeliskiej do dworca kolejowego w Zakopanem. Zabłoconymi butami przemierzali wymarłe w słońcu i wietrze uliczki miasteczka, trzymając jednak ręce na rewolwerach w kieszeni. Wsiedli do pustego pociągu. Oglądali z pewnym zdziwieniem późnojesienny krajobraz, którego od lata nie widzieli, skazani na stały pobyt wśród skał i w borze. Jędrrek przytulony do okna wagonu z drzeniem patrzył na stacyjkę w Poroninie, czy aby nie wsiada kto ze znajomych, kto mógłby go rozpoznać. Już na pewno zapomniano o nim, a reszty dokonało chyba miejskie przebranie.

W Nowym Targu odwiedzili mieszkanie pod wskazanym adresem, zjedli obiad, a pod wieczór obejrżeli sobie budynek, w którym mieścił się powiatowy urząd pracy. Tu przygotowywano listy do łapanek na roboty w Niemczech, tu była kartoteka całej ludności powiatu.

Tejże samej nocy budynek Arbeitsamtu w Nowym Targu spłonął, przy czym zginęły oczywiście wszystkie żmudnie, w ciągu wielu miesięcy wypracowywane kartoteki pracy kilku tysięcy osób. Następnego ranka Piotr Pokrzywka dojeżdżał do Rabki, a Jędrrek Radoń wypoczywał we wsi Odrowąż w znajomej sobie chałupie. Na stacji w Rabce oczekiwała gościa szeroko uśmiechnięta twarz Norberta pośród grupki ciemnopopielatych mundurów pielęgniarek niemieckich.

Był to taniec wśród mieczów. Życie dopiero wtedy nabiera uroku, kiedy się wie, jak łatwo je utracić.

*Górami, chłopcy, górami,
Bo Szwaby idą za nami!*

To Jaśków pluton śpiewał w jamie. Wiatr unosił pieśń znad górnych pięter Organów, świszczwał w dziurach i oknach skalnych. Ulewny deszcz siekł ściany wapiennych turni. Górą niosła się piosenka, która musi być wyśpiewana, aby świat był lepszy. Tak jak krew musi być zawsze przelana, aby ludzie stali się lepsi.

Janosik przeżywał ponownie epokę pierwszej młodości. Napatrzył się dość na bestialstwo i tortury: polowania na Żydów w Krakowie, egzekucje w Myślenicach, szubienice w Nowym Targu, dzięki łapanki ludzi po ulicach Krakowa. Oglądał urządowanie policji na rynku podczas targu, rewizje po sklepach, harce pijanych Niemców, publiczne policzkowanie Polaków. Odjeżdżał z Krakowa, mając w zanadrzu pięćdziesiąt tysięcy złotych - przygnębiony, naładowany nienawiścią i zemstą. Pracowały krematoria Oświęcimia i

Majdanka, obsługując po tysiąc zwłok dziennie: tego nie widział. Trzaskały salwy na podwórzach więziennych we wszystkich miastach i miasteczkach Polski: tego nie słyszał.

Miał dwudziestu ludzi pod sobą; awansował na plutonowego, wkrótce potem na sierżanta. Dwoma pozostałymi oddziałami dowodzili Adam-Artylerzysta i Feliks, obaj w stopniach oficerskich.

Zima trwała ciężka, ostra, nieprzebyta. Czekali na wiosnę, nie wydalając się prawie z ukrycia. Siedzibę mieli w kotle skalnym pod szczytem Organów, nazywaną Zamczyskiem. Przez wysokie okno, przebijające turnię na wylot (stały punkt obserwacyjny plutonu) wchodziło się po stromej ścieżce na pochyłony ku przepaści upłaz. Nad upłazem czernił się zamaskowany otwór jaskini. Dostać się było można do niego tylko po ściętym, sękatym smreku, gdyż znajdował się w zupełnie prostopadłej ścianie o trzy metry nad upłazem. Grota miała kształt obszernego korytarza, wznoszącego się ku górze, zakończonego progiem oraz oknem po drugiej stronie skały. W odległości kilometra od nich w Mroczej Pieczarze obozowała grupa Kapitana, a w Litworowej Dolinie siedział Feliks.

Już wszyscy wiedzieli, że Jasiek-Juhas jest Janosikiem. Nie dało się tego ukryć. Jędrak tu nic nie zawinił; był dyskretny do ostatka. Z Jurgowa przyszła wiadomość, że Lipowczan, który utykał na nogę od jesiennego postrzału w górach, wyraźnie oskarżał Jaśka Dziurę o udział w partyzantce. Ktoś z górali miał ten fakt potwierdzić wobec policji; podli zdarzają się wszędzie. Wersja ta, jak każda ustna nowina, rozeszła się lotem błyskawicy.

Wśród ludności Podhala zawrzało. Janosik jest w górach! Więc nie zginął od stryczka, nie zgnął w kryminale. Niemcom się nie poddał, nie zwiął za granicę, hula w partyzantce! Odtąd wszystkie porażki, jakie spotkały Niemców na tym terenie, wszelkie akty sabotażu przypisywano nieuchronnie Janosikowi.

W rzeczywistości Jasiek nie opuszczał prawie swojego Zamczyska w Organach przez trzy miesiące ostrej, złośliwej zimy z 1941 na 1942 rok. Żył się z kompanami, choć nadal nie był skłonny do wylewności na temat swoich poprzednich przygód. Pytania zbywał dowcipem lub uśmiechem, a nierzadko złym błyskiem oczu i bagatelizującym machnięciem ręką. Przestano go więc o to pytać. Najsilniej zaprzyjaźnił się - oczywiście poza dawnym kompanem z Bukowiny - z Ludwikiem Mirkiem, synem piekarza, nauczycielem ludowym z Jordanowa. Przypadek zrządził, że oto dostał towarzysza ze wsi swojej matki. Albowiem Mirkowie rodzili się w sąsiedniej wsi, Naprawie. Młodzieniec znał dzieje Janosika na wylot; był z przekonania fanatycznym ludowcem. Nie wiedział tylko o tym, iż jego obecny komendant paś przed laty krowy w tej wsi i że stamtąd wywodzili się jego dziadkowie i matka.

Godzinami słuchał Jasiek opowieści Mirka o Naprawie.

- Nie znalazłeś tam może Matulaków w górnej wsi, pod zakopiańskim gościńcem?

- Jakżeby nie? Znałem.

- Czy Maryśka Matulakówna wyszła za mąż?

- O, jeszcze przed wojną. Zdaje się, że mają dwoje dzieci. Jej męża nawet pamiętam z widzenia, choć nie wiem, jak się nazywa; nieraz widziałem go na jarmarku. Oni mieszkają na tej samej roli, skąd my pochodzimy: Mirkówce. Tam jeszcze żyje mój stryj w chałupie.

Przewiały ciepłe wiatry halne, wyzarły śnieg z gór. Głuszce zaczynały tokować na polanie Miętusiej, huczały wzburzone potoki. Chłopcy Jaškowi pierwsi zaczęli wyłazić z nory. Wściekli i wygłodniali, rzucili się na nowe zapasy dostarczone do Doliny Strążyskiej. Zdawało się, że nie będzie końca jedzeniu; obżarli się tak, że leżeli ze dwa dni bezsilni.

- Jedzcie, jedzcie - napominał ich Jasiek słodko-ironicznie. - Nie zawsze bowiem będziecie jedli. Tu piszą wprawdzie w gazetce - machnął płachtą dziennika - że Niemcy mają Ukrainę w ręce, a więc spichrz Europy, czyli klucz do wyżywienia ludności. Ale ja temu nie wierzę. Życie nie jest takie proste, jak się wam wydaje. W województwie krakowskim w marcu stu siedemdziesięciu trzech rozstrzelanych; aresztowano ponad cztery tysiące osób; siedzą w więzieniach lub obozach. Około piętnastu tysięcy zabrano do robót i wywieziono w wagonach bydłowych do Niemiec. W jednym miesiącu! Ta gazetka nie kłamie - pokazał powielane świstki, ich stałą lekturę tygodniową, dostarczaną regularnie z Zakopanego. - Pan Bóg nie załatwił za nas wszystkiego. Jest się nad czym namyślić.

Rozpełzli się po górach, szukając sobie schronienia w grotach; nie w tych oczywiście, które widnieją w każdym przewodniku ilustrowanym, do których prowadzą kolorowe strzały wymalowane na skałach. Ukrywali się w jamach, o których tylko głuche podania góralskie mówiły; w dziurach niedostępnych oku i stopom. Owce wygnano w hale, znów zaczęli się plątać po szalaszach Dzicy Juhasi. Partia wojskowa Feliksa cofnęła się głębiej w serce gór na stronę słowacką, aby wyodrębnić się silniej od grupy juhaskiej.

Z wiosną 1942 roku zreorganizowano akcję partyzancką w Tatrach. Partia liczyła około stu ludzi; przystąpiło do niej kilkunastu Dzikich Juhasów oraz tyluż zwerbowanych z dołu. Na czele pierwszych stał Upalony z Murzasichla; ciekawe, że z takim samym nazwiskiem spotkał się kiedyś Jasiek pod Babią Górą. Z drugiej grupy najciekawszą postacią był Topola, przezwany tak od wysokiego wzrostu; były szofer ze Lwowa, o którym wiadomo było tylko tyle, że za czasów przedwojennych na pewno nie był szoferem. Ktoś plótł, że była to gruba figura w ministerstwie w Warszawie. Aresztowano go w Makowie Podhalańskim i tam uciekł ze stacji.

Maj i czerwiec mijały na ogół spokojnie. Co dwa tygodnie grupa przeprowadzała tam i

z powrotem kuriera podziemnych władz krajowych, kursującego między Warszawą a Londynem; co tydzień ładowała świeży akumulator radiowy w tartaku na Groniku; również co tydzień odbierała transport broni u wylotu Kościeliskiej Doliny. O oznaczonej porze trzech młodych ludzi, ubranych w zielone mundury Forstschatzu przyjeżdżało wieczorem dorożką pod restaurację, wyładowywało dwie ciężkie walizy, które w mroku podejmowali górscy chłopcy, unosząc je w las. Mieściły się w nich granaty ręczne, pistolety automatyczne i rewolwery wraz z amunicją.

Ruch turystyczny w górach pomimo lata był znikomy. Poza paru głównymi szlakami, jak Morskie Oko, Hala Gąsienicowa, Dolina Pięciu Stawów, Roztoka, Kasprowy Wierch, nie istniała w Tatrach turystyka, a i tak uprawiali ją tylko Niemcy; dla innych śmiertelników Tatry były podczas wojny niedostępne.

W lipcu zniszczono gmach gestapo w Zakopanem. Była to bitwa, o której długo mówiło się na Podhalu i która w rozmaitych wersjach nabierała fantastycznych kolorów.

Napad nastąpił o dziewiątej rano przy udziale grupy uderzeniowej i juhaskiej. Budynek dawnego „Sokoła”, duży jednopiętrowy dom, był zajęty na biura oraz mieszkania prywatne członków tajnej policji. Ludzie Feliksa obsadzili wyloty rynku wraz z ulicą Sokoła; dwudziestu chłopców odwodu czekało na starym cmentarzu przy Kościeliskiej. Pierwszy oddział pod wodzą Janosika wdarł się po schodach do gmachu, gdzie urzędowało kilkunastu mężczyzn przy biurkach.

- Ręce do góry! - wycelowano w nich lufy pistoletów automatycznych. Za oknami pukały już pojedyncze strzały.

Zrozumieli, co się święci, i wszyscy na komendę unieśli ręce w górę. Pomimo to wszyscy dostali swoje śmiertelne kule. Któryś z nich, ranny, wydobyl rewolwer zza pasa i strzelał z podłogi; zmiażdżono mu głowę jego własną bronią. Janosik szalał, mając przy boku Mirka i Jędrka. Feliks stał w dorożce na rogu Krupówek, kierując walką. Z okien strzelali niemieccy policjanci; posypał się na nich grad z ulicy. Brzęk szkła, krzyki, wołania o pomoc. Do budynku wkroczyła druga grupa podziemnego wojska z dwoma ręcznymi karabinami maszynowymi. Wywlekano spod mebli struchlałych gestapowców, terkotała taśma bez zająknięcia z mechaniczną precyzją i szybkością. Wyczyszczono wszystko w gmachu, uwolniono z piwnic kilkunastu więźniów. Na ulicy wrzała już regularna bitwa.

Oddział Janosika wycofywał się pod osłoną drugiego rzutu, plującego naokół seriami karabinów maszynowych. Pod bramą ustawiono pięciokilową paczkę dynamitu. Rzucono w nią wiązkę granatów ręcznych. W rozdzierającym huku wybuchu ustępowali partyzanci po wykonaniu zadania w dół ku ulicy Kościeliskiej; zagarnęli po drodze kilka aut, parę dorożek i

rozpoczęli regularny, ubezpieczony odwrót. Nie zęgnął ich żaden strzał przeciwnika. Nad gmachem „Sokoła” unosił się obłok kurzu i dymu; kiedy obłok się przetaił, ukazała się na froncie budynku sięgająca dachu wyrwa, głęboko rozdarta jak rana. Odwód spod cmentarza osłaniał powrotny marsz Feliksowej grupy. Wracali bez przeszkód wymarłą ulicą. Słychać było, jak panicznie zamykano na klucz bramy domów. Oddział miał dwóch zabitych, których pozostawiono na miejscu; uniesiono natomiast pięciu rannych. Jak na rozmiary utarczki, straty były minimalne. U zbiegu Chochołowskiej ulicy ekspedycja zarekwirowała w aptecce zapas środków opatrunkowych. Połowa ludzi autami i dorożkami odjechała do Doliny Kościeliskiej, druga połowa sformowała się i w szyku pieszym podjęła w biały letni dzień marsz ku góróm. Nie wyszedł im naprzeciw ani jeden człowiek; droga była opustoszała. Ani jeden Niemiec nie chwycił za broń, aby pomścić śmierć dwudziestu paru rodaków. Za pół godziny dorożki i auta wróciły, aby dostawić resztę ekspedycji do wylotu Kościeliskiej. Po południu pierwsza partia siedziała już w swoich jamach, druga zaś wnikała w polanę Miętusią. Wieczorem bractwo usypiało w skałach.

Tytułem represji dokonano w Zakopanem dalszych aresztowań. Wywieziono do Oświęcimia sześćdziesiąt siedem osób, rozstrzelano pięć, w tym jedną kobietę. Z obozu żydowskiego na Bystrem przed wyruszeniem do pracy wybrano z szeregów dwudziestu pięciu młodych Żydów i Żydówek i odstawiono autem ciężarowym pod kamieniołomy na Capki. Kazano im rozebrać się do naga i stanąć nad dołem. Przejechano po nich koszącym wachlarzem śmierci, serią z karabinu maszynowego. Niektórzy w dole, spadłszy z wysokiego brzegu jeszcze żyli, przewracając się gwałtownie, wyjąc wniebogłose; splunięto po nich raz jeszcze setką kul.

Przypomniano sobie coś jeszcze. Oprawcy z Sonderdienstu wrócili do obozu, wybrali dodatkowo dziesięciu Żydów, wpakowali na auto ciężarowe i wrócili z nimi na miejsce egzekucji. Tamci wiedzieli już, co to znaczy; byli przygotowani na ten koniec prędzej czy później. Rozebrali się mechanicznie, nie wiedząc nawet, czy w czasie zdejmowania koszuli nie trafi ich kula niemiecka. Jeden z nich, młody, olbrzymiego wzrostu, szeroki w barach, nie wytrzymał nerwowo. - Wy, psy niemieckie! - rozszlochał się. - Niech was Bóg skarże za tę zbrodnię! - wygrażał pięścią katom śmiejącym się po drugiej stronie dołu. Podskoczyli ku niemu dwaj z grubymi karkami, w czarnych mundurach z maszynowymi pistoletami w rękach. Pierwszy, rudy, kiwnął na Żyda palcem:

- Chodź no tu bliżej. - Tamten szedł ku nim z obłąkanym wzrokiem, już boso, ale jeszcze w spodniach i w koszuli. Rudy wyciągnął ku jego piersi empi i natychmiast spuścił. Młodzieniec upadł mu prawie u stóp. Obaj żołdacy, śmiejąc się, obserwowali nadal

neglizowanie się ofiar.

Żydzi stali już nad brzegiem nadzy; dziewięć ciał chudych, gotowych na śmierć nad rowem zagłady. Dziesiąte było już spokojne. Za sekundę runą z kulą w piersiach na trupy swoich poprzedników w dole, a po nich przyjdą nowi; i tak będą ciała waliły się warstwa po warstwie, aż dół się wyrówna.

Kaci po drugiej stronie śmiali się. O dziwo, nie przykładali rąk do karabinu maszynowego.

- Brać łopaty i zasypywać trupy! Jazda!

To znaczy, że na razie ocalono im życie. Ale czyżby nie znali niemieckiego okrucieństwa? Tylko skończą tę robotę, wrażą im także po kulce. Po cóż by ich tu przywożono do kamieniołomów śmierci - bo tak nazywano ten dół? Po makabrycznej pracy oblanych potem śmiertelnego przestachu i zmęczenia przywołał do przytomności rozkaz:

- Ubierać się i na auto!

To brzmi jak wybawienie od śmierci. Wrócili dygocząc, z roztrzęsionymi nerwami, lecz z ocalonym życiem. Na jak długo? Ależ sobie z nich zakpiono!

Nie wyjdą żywi z tej wojny. Na pewno nie wyjdą.

Pięcioro polskich więźniów rozstrzelano na podwórzu więzienia pod Kamieńcem. Wszyscy byli oskarżeni o należenie do organizacji podziemnych i o nielegalne posiadanie broni. Najstarszy z nich, trzydziestoosmioletni suchotnik, literat z Warszawy, od lat osiadły w górach z powodu złego stanu zdrowia, był jednym z pierwszych kierowników prasy niepodległościowej w stolicy, dokąd jeździł kilkakrotnie. Bity i męczony, miał tyle siły w sobie, że z więzienia pisał jeszcze artykuły do prasy. Jego narzeczona, urzędniczka pocztowa, aresztowana została za kolportaż nielegalnych ulotek i gazetek konspiracyjnych. Trzej pozostali to młodzi członkowie organizacji wojskowej.

Był wspaniały wschód słońca, kiedy wyprowadzono z celi piątkę skazańców i postawiono pod murem podsypnym gliną. Wyszli wszyscy po paromiesięcznym niewidzeniu świata; mieli ziemistą, zwiędłą skórę na policzkach. Spojrzeli w krwawe, mięsiste słońce, wytryskujące znad Żółtej Turni. Nad górami - pomgła, tylko słońce góruje nad chaosem. W powietrzu było rzeźwo, po kamieniach huczał głośno niedaleki potok. Halina spojrzała na Henryka; tak wygląda ukochana twarz, poszarzała, zniszczona, stara. Wzrok miał jak zawsze błyszczący, natchniony nowym widzeniem. Zadrzało jej serce z bólu i z radości. Umierają więc razem, tak o tym marzyła! Kochała go od lat pięciu i wiedziała, że nie będzie się nim długo cieszyła. Miał dwa ciężkie krwotoki, z których go cudem odratowano; nie wrócono mu długiego życia. Chwyliła go za rękę. Trzeba być razem z nim i w szczęściu, i w śmierci. Trzej

chłopcy zaciskali wargi, trzęśli się. Henryk spojrział na nich dobrotliwie jak ojciec, szepcząc: - Odwagi, giniemy za Polskę. Jasiak, Edek, Zygmunt, żegnajcie. Halinko, trzymaj mnie za rękę. Idziemy razem. To tylko chwilka i koniec. - Do ostatka trwał w postawie bohaterskiej, krzepiąc swych towarzyszy na miejscu egzekucji. Zginęli wszyscy z wzrokiem utkwionym w słońce wschodzące na górach.

Niebo rozsunało się, błękit się wypogodził, słońce przypiekało znad Zadniego Gierlachu, kiedy dwudziestu partyzantów wnikało w skały. W tej grocie znaleziono krzyż; bo tu spadł raz pastuch i zabił się. Są tutaj ślady orłów i dzikich kóz szukających zimną schronienia. Od pół roku mieścił się w tej grocie arsenał grupy Jaśkowej. Trzy paki z bronią i amunicją tudzież jedna skrzynia konserw.

Byli to ludzie niespokojni; poddali się szaleństwu swojego przywódcy. Kiedy stracili Mirka, którego przyłapano w willi na Olczy, wybrali się w dziesięciu (przewodził oczywiście Janosik) do środka Zakopanego, weszli do mieszkania agenta gestapo, byłego czeladnika rzeźnickiego, tego, który aresztował Mirka, kropnęli go w drzwiach.

Za dwa tygodnie Juhas spadł na tartak w Chochołowie, którym zarządzał komisarz-Niemiec jako własnością pożydowską. Cały oddział hetmana złożony z dwudziestu trzech ludzi wziął udział w tej wyprawie, dokonanej w stylu najudatniejszych skoków harnasia sprzed paru lat. Ach, nabrał pieniędzy, wiktuałów! Żywność wiozł na dwóch skonfiskowanych autach; zaopatrzył w nią całą grupę Feliksa. Wódz partyzantki tatrzańskiej ucałował Jaśka po wysłuchaniu raportu, po czym zapytał:

- Coście zrobili z Zellerem?

- Nic.

- Żywy?

- Został żywy.

Feliks popatrzył w oczy Jaśka; mógłby być śmiało jego ojcem.

- Chłopcze, ile razy mam ci powtarzać: poczciwy jest tylko wróg zabity.

- On miał troje dzieci. Małych. Wszystkie płakały. A jedno miał na ręku.

- Jak ty mało jeszcze przeszedłeś! Jakiś ty naiwny! Jeszcze wielkie szczęście będzie twoim udziałem, kiedy będziesz zabijał morderców.

Dwaj najwybitniejsi bojownicy polscy, jakich gościły skały tatrzańskie w sierpniu 1942 roku, spędzili całą noc na rozmowie. Feliks uświadamiał młodzieńca, kim są hitlerowcy. Policja aresztowała jego najbliższą rodzinę i krewnych, zastrzeliła dwóch kuzynów; on sam ocalał się śmiałym skokiem przez okno w noc. Na jego oczach niemiecki żołdak chwycił za

nogi żydowskie niemowlę w rogu ulicy i trzasnął jego główką o mur; mózg dziecka ochlapał mu mundur. W Płaszowie z zaciśniętymi zębami asystował jako przypadkowy naoczny świadek przy powieszeniu sześciu kolejarzy Polaków. W parę minut po egzekucji niemieccy żołnierze szturmówek, których spędzono umyślnie na widowisko, huścili własnoręcznie dyndające trupy do taktu gwizdanego fokstroda. W więzieniu stosowano wobec Feliksa metody, których samo wspomnienie zdolne byłoby dziś jeszcze przyprawić go o bicie serca.

- Czy dla mordercy, który w okrucieństwie gorszy jest od najgorszego zwierza, może istnieć litość? Martwię się nocami, gdy pomyślę, że pewnie mnie nie stanie w tym szczęśliwym momencie, kiedy będziemy się wyzwalali!

Wstał, zbliżył się do Jaśka, usiadł przy nim.

- Czy ty wiesz, że ten Zeller chwalił się w restauracji Trzaski w Zakopanem przed towarzystwem, że w ciągu jednej godziny własnoręcznie zabił dwudziestu Żydów i że przez niego dostało się do Oświęcimia prawie sto osób? Tak wygląda twój tatuś z płaczącym dzieckiem na ręce.

Znowu wstał, wyprostował się w świetle lampy naftowej, ogromny, wysoki, jak ptak drapieżny.

- Masz przyszłość przed sobą. Tamtego tygodnia wysłałem wniosek do Krakowa o przyznanie ci stopnia oficerskiego z tytułu uzdolnień nadzwyczajnych. Pamiętaj: ja jutro mogę zginąć. Ty jesteś moim następcą, wszyscy o tym wiedzą. Ja spać nie będę mógł z rozpaczy, że jesteś dzielny, że jesteś odważny, ale głupi. Beznadziejnie głupi. Wyjął nerwowo papierosa, zapalił.

- Co chcecie ode mnie, komendancie? - zapytał chłodno Jasiak pozierając w oczy tamtemu.

- Mam czworo dzieci. To znaczy miałem. Żona zginęła w obozie w Mauthausen. Syn i córka umarli w Oświęcimiu. A synowi, zanim wysłali go do obozu, złamali gestapowcy rękę w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Tylko jeden syn mi został. Jest w Anglii. On mnie pomści, kiedy wróci. Bo tyś niedołęga. Ty mnie nie potrafisz pomścić.

Jasiak zaciął zęby, oddychał ciężko.

- A takich jak ja, którzy czekają na zemstę, są tysiące. Czy wiesz, co by tobie zrobił taki Zeller, gdyby cię spotkał?

Młodzieniec milczał, wlepiwszy ponury wzrok w kąt pieczary. Feliks napierał.

- Wiesz, co by z tobą zrobił Zeller?

- Wiem - odpowiedział tamten.

- My tylko tym żyjemy. Aby pełnić zemstę.

Nie trzeba temu chłopcu mówić o tym; on zna słodycz zemsty.

- Gdybyś miał dziecko i gdyby ci to dziecko zabili, wiedziałbyś, jak się mścić. Ale co ty o tym wiesz? Sam jesteś dzieckiem.

Janosik wzdrygnął się; wstrząsnęło nim wzruszenie. Wstał, położył dłoń na ramieniu Feliksa i rzekł spokojnym głosem:

- Macie rację. Nie będę już więcej głupi.

Był mgławym, deszczowym świtem, kiedy wychodził od Feliksa. U wyjścia odwrócił się pytając:

- Czy to znaczy, że Zeller ma być zabity?

Tamten wbił weń stalowy wzrok, po czym kiwnął głową.

- Tak.

Janosik wypełnił rozkaz i naprawił pomyłkę. Przez dwa dni wracali chłopcy do gór klucząc borami, ponieważ policja rozstawiła gęsto posterunki w Kościeliskiej i Chochołowskiej. Ale partyzanci znali tajemną mowę lasu, umieli porozumiewać się ze sobą. Znaki na drzewach, na skrętach przesiek, kawałki drzewa ułożone na krzyż na środku ścieżki, kamień natoczony pod nogi, niewidoczne prawie nacięcia na korze - to był ich żywy język. Kiedy znaleźli się na miejscu, dowiedzieli się, iż całe Podhale nawiedza nowa, ostra fala represji. I potem jeszcze większy cios: ujawniono zakopiańską organizację wojskową. Dwóch członków załamało się w śledztwie pod wpływem bicia, zaczęli sypać. Janosik siedział cały czas u Feliksa, codziennie otrzymywali raporty o sytuacji. Aresztowania zataczały coraz szersze kręgi; objęły już około trzydziestu osób.

Groźny kat zakopiański, zwany Lalusiem, szalał. Pochodził z Bielska, znał doskonale język polski. Nazywał się Koecher, ale prawdziwe nazwisko brzmiało podobno inaczej, całkiem z polska. Chodził w opiętym mundurze, rosły, młodzieńczy, tryskający siłą, już samym wyglądem siejąc strach. Największym jego sukcesem było aresztowanie Jana Żeglenia; ujął go nocą w mieszkaniu jego krewnego, listonosza na Olczy; od paru dni bowiem Żegleń nie spał w domu, obawiając się nakrycia. To był jeden z najczynniejszych ludzi oddanych sprawie. Ułatwiał mu zadanie fakt, że z racji swojego zawodu miał rozliczne kontakty; był bowiem garderobianym w popularnym barze Kowalskiego. Gestapowiec przyszedł po niego z czterema agentami. Otoczyli dom. Znali się obaj z restauracji, gdzie Niemiec bywał stałym gościem.

- Dobry wieczór, panie Żegleń - rzekł rozpromieniony gestapowiec. - Może się pan ubierze i pójdzie z nami.

Żegleń spał w ubraniu. Nie powiedział nic, tylko górna warga pod czarnym wąsikiem zadrgała. Któż go zdradził? Zapalił papierosa, zaczął się żegnać z domownikami. Coś tam mówił, aby uspokoić żonę i syna, którego bardzo kochał.

Dwie doby trzymano Jana Żeglenia w Zakopanem, trzy doby w Nowym Targu. Nie wydobyli od niego ani jednego konkretnego szczegółu. Zaciął się, pomimo tortur nie wysypał nikogo. Laluś przyjechał specjalnie na przesłuchanie do więzienia nowotarskiego. Zły był, bo po drodze miał defekt motocykla. Włożył rękę do kieszeni, usiadł na rogu biurka.

- Niech pan powie, kto kierował akcją na ulicy Sokoła?

Więzień popatrzył odważnie w oczy rosłemu gestapowcowi, sam starszy od niego o dwadzieścia lat, mały, szczupły. Żołnierz wysłużony; brał udział w wojnie światowej i jako hallerczyk przybył z Francji do Polski. Ten wzrok odważny i uczciwy wystarczył za odpowiedź.

- Niech pan powie, jakie nazwisko ma Siostra Maria?

Który raz już o to pytają? Wydał wargi, wrzucił ramionami. Szkoda ust otwierać.

- Do Partyki na Bystrem zwabiliście Kotasa, tak czy nie?

Jan Żegleń myślał w tej chwili o żonie i synu. Jak sobie dadzą radę bez niego? Wyobrażał sobie, jak będzie wyglądała jego śmierć. Ale kiedy nastąpi i gdzie? Jest żołnierzem, wie, co go czeka.

- Żegleń, niech mi pan powie - gestapowiec strzepnął popiół z papierosa i wbił zmrużone oczy w wychudłą twarz więźnia. - Czy Feliks przychodził jako gość do baru Kowalskiego?

Niepokoił ich ten Feliks; polowali na niego od pół roku. Tylko dwie osoby znały go osobiście w Zakopanem. Jedna z nich znajduje się na tak wybitnym stanowisku i cieszy się takim uznaniem władz niemieckich, iż nie może jej skazić cień podejrzenia. Druga zaś siedzi tu na stołku. Ale ten człowiek już piąty dzień milczy i widać, że nawet na torturze „gimnastycznej” nie piśnie słowa.

- Czy Feliks był choć raz u Kowalskiego? - Laluś powtórzył pytanie.

Był nie raz, lecz dwa razy i za każdym razem czuwało nad nim trzech chłopców, w tym dwóch przebranych w niemieckie mundury. Ale Jan Żegleń nie powie tego nigdy, choćby mu jeszcze dziesięć razy drzazgi wbijano za paznokcie. Spojrzał tylko na końce swych palców, sine, aż szerniały, i następnie przeniósł na pytającego wzrok, z którego przebijał mocny hart, odziany w maskę obojętności.

Niemiec buchnął go zaciśniętą pięścią w zęby.

- Powiesz czy nie powiesz?

Tamten wypluł z ust dwa słowa razem z krwią:

- Nie powiem.

I na Janie Żegleniu urwał się ciąg dalszych aresztowań w Zakopanem. Nie uronił ani jednego ogniwa z łańcucha ludzi należących do sprawy. Odesłano go do Oświęcimia.

Tego wieczora wrzała narada u Feliksa. Czytano tajną prasę z całego tygodnia, omawiano instrukcje z Krakowa. Obecni byli poza Feliksem: Jasiak-Juhas, Norbert-Inżynier i Kapitan. Roztrząsali nowości polityczne. Nic się nie zmieniło na lepsze, horyzont wojny zaciągał się na długie lata. Wdychali dym z papierosów, żując gorycz beznadziei. Od kiedy to mówiło się o drugim froncie? Od kiedy to spodziewano się armii polskiej z południa? Spodziewano się oczywistego cudu; sto tysięcy ludzi uzbrojonych pierwszorzędnie i wyszkolonych czeka w Szkocji na chwilę sposobną. Czy ta chwila nie powinna już nastąpić? Ach, niechby spuścili ich samolotami w sercu Polski, zaraz by za nimi milion porwał się do boju. Jak długo trzeba będzie jeszcze czekać?

O północy postanowiono wykonać wyrok śmierci na komendancie gestapo w Zakopanem, Schwarzu, na Lalusiu oraz na niebezpiecznym konfidencie. Wszystkie trzy zamachy miały być dokonane równocześnie w porze wieczornej. Pierwszego powierzono Janosikowi, drugiego Norbertowi-Inżynierowi, trzeciego Kapitanowi. Każdy z nich wiódł ze sobą pięciu wyborowych ludzi.

Na trzeci dzień około godziny dziewiętej wieczorem porucznik tajnej policji państwowej, Hans Ulrich Schwarz, wchodził do domu przy ulicy Kościuszki. W przyzwoitej odległości za nim kroczył Jędrzek Radoń ubrany w mundur Baudienstu, przed nim zaś Zygmunt Biedronka, który zamienił dwa słowa ze stojącym w sąsiedniej bramie Janosikiem. Czekano tu na gestapowca już ponad godzinę.

Długa, głęboka sień, cztery niskie schodki. Mała lampka u sufitu skąpo oświetlała ściany. Porucznik Schwarz w wysokich butach, w eleganckim, opiętym mundurze wstąpił na schody, gdy ktoś zawołał:

- Herr Leutnant!

Odwrócił się. W pierś, na której widniały wysokie odznaczenia, prysnęły dwie kule, a trzecia wbiła się pod oko. Schwarz przytrzymał się urękawiczoną ręką ściany, nic nie pomogło. Osunął się z jękiem na kamienne schody. Jasiak chybnął błyskawicznie z bramy. Przechodniów było zaledwie kilkoro, a i tak połowa z nich należała do jego chłopców. Zaskoczenie było tak zupełne, iż nie potrzebowali biec. Zwinęli swój posterunek z rogu Krupówek; weszli na tyły willi przy ulicy Zamoyskiego i rzadkim lasem, świeżo wytyczoną,

nie zabudowaną ulicą, maszerowali pod Krokiew. Nikt ich już tutaj nie wytropi. - Czy tylko zakropiony na amen? - martwił się Dziura. - E, ty dobrze strzelasz, jak prawdziwy hetman - pocieszył go Jędrak tonem głębokiego przekonania. - Dostał trzy śmiertelne kule.

Minął dobry kwadrans, zanim służąca z pierwszego piętra natknęła się w półmrocznej sieni na trupa i narobiła alarmu. W pół godziny po fakcie dowiedziały się władze o zabójstwie.

Z Lalusiem, tym, który męczył Jana Żeglenia, była gorsza historia. Mieszkał sam przy ulicy Piłsudskiego, niedaleko rogu Krupówek. Wiadomo jednak, że wieczorami siedział w restauracji na dansingu. Wypatrzone go w barze Kowalskiego, tym samym, z którego niedawno wysłał szatniarza do Oświęcimia. Siedział w kącie sali, przyćmionej nastrojowo, poznano go od drzwi; któż by nie poznał słynnego gestapowca? Właśnie ukończono granie, hitlerowiec, dziś dla odmiany w ubraniu cywilnym, zajął miejsce przy stoliku wraz z wysoką, utlenioną blondynką, którą co chwilę nazywał Anneliese.

Do stolika podszedł kelner, nachylił się nad młodzieńcem, szepcząc coś z dyskretnym uśmiechem. Gestapowiec wstał, skłonił się damie: - Verzeihung - i wyszedł, rosły, wysoki. Anneliese mierzyła jego sylwetkę z uznaniem. To bardzo miły chłopak; właśnie za wygląd nazwano go Lalusiem.

Gestapowiec szedł odwołany do telefonu, który mieścił się w kącie małego hallu, w kabince ze szklanym okienkiem. Kiedy przechodził, hall był pusty: drzwi przeciwległego klozetu lekko uchylone, jakiś gość poprawiał sobie niedbale garderobę, dwóch zaś wysokich rozmawiało z garderobianym. Jeden z nich, w granatowej czapce narciarskiej, wyjął momentalnie rękę z kieszeni i wypalił dwa razy w idącego. Ten zatrzymał się, jakby się na czymś pośliznął, ramiona wzniosł do góry, jak ktoś, kto traci równowagę, i tymi rękami łopoczącymi rzucił się na zamachowca. Gość z klozetu strzelił w młodzieńca. W tej samej minucie na huk strzałów stanęło w drzwiach od sali dwóch Niemców w zielonych mundurach; przezornie skryli się za fałdami portiery wyciągając pistolety. Wszyscy trzej mężczyźni rzucili się w drzwi wejściowe, ostrzeliwując się. Lalus, leżąc na ziemi, także prażył bezustannie w drzwi, które były już puste. Dwaj oficerowie niemieccy schylili się nad rannym. Wszystko odbyło się tak nagle, że odsiecz nie wiedziała, do kogo strzelać. Norbert uciekał co sił ze swoimi chłopcami; na szczęście było ciemno. Wmieszali się w przechodniów na Krupówkach. Buchnęli opodal w park miejski; po drugiej stronie już bezludnie i cicho. Przez Lipki i Wilcznik pod Regle. Odnaleźli się wszyscy.

Niestety, gestapowiec, choć dostał cztery kule, odniósł zaledwie lekkie rany; trzy w rękę, czwartą zaś powierzchowną w udo. Wściekł się, gdy czekano na dorożkę mającą

przewieźć go do szpitala. Prawą, zdrową ręką policzkował szatniarza, pomawiając go o współudział w zamachu. Kazał go od razu aresztować, choć biedny garderobiany był Bogu ducha winien i pierwszy raz w swym życiu widział tych ludzi. Czekali na kogoś z dansingu, umówili się z nim tutaj, poczęstowali go gościnnie papierosem, czemuż nie miał z nimi rozmawiać? Nie było to przecież wcale podejrzone, skoro co parę minut ktoś z ulicy zaglądał tu na salę i wychodzi. Telefon był zaś rzeczywiście skierowany do gestapowca; to jeden z Norbertowych chłopców wywołał bar Kowalskiego z publicznej rozmównicy na poczcie, odległej stąd o kilkadziesiąt kroków. Najciekawsze, że Broniek Machel słyszał w słuchawce telefonicznej całą strzelaninę w hallu i odwiesiwszy słuchawkę, wyszedł spokojnie, by spotkać się z kompanami na ulicy po robocie.

Za to zabójstwo konfidenta Skwarka poszło gładko. Był to syn rzeźnika, mieszkał w domu rodziców przy ulicy Chochołowskiej, w niedużej, solidnej willi; po jednej stronie rezydowali ojcowie, po drugiej syn. Kapitan wraz ze swoim adiutantem Śmieszkiem zapukali do drzwi młodego Skwarka. Rozbłysło światło elektryczne w sieni. - Kto tam? - rozległ się dźwięczny głos. Nie spieszyli się tym bynajmniej; ani światłem, ani głosem. - Ja - odpowiedział Kapitan. - Do pana Skwarka. - Śmieszek kiwnął głową; to on, poznawał go po głosie. Klucz zachrobotał w zamku, drzwi się otwarły, ukazała się czerwona, puciołowata twarz masywnego blondyna. - Ty świnió! - dwa strzały z bliska pacnęły w tę twarz, dwa dalsze niżej, w koszulę na piersiach; Śmieszek dołożył swoje. Straszny krzyk kobiecy dobył się z wnętrza. Zatrzasnęli bramę, po jednym zwiewając w ciemności; pierwszą z brzegu uliczką w lewo, w Kasprusie, stamtąd w Żywczańskie w stronę Strążyskiej.

Skwarek zginął na miejscu. Jeden drań i jeden łajdak poszli w odstawkę, jeden kat wylizał się. Nazajutrz aresztowano w Zakopanem trzydzieści osób, z tego pięć odwieziono od razu do Oświęcimia, w tym niewinnego szatniarza z baru Kowalskiego oraz głuchą dozorczynię tamtejszego klozetu.

Od czasu aresztowania Jana Żeglenia urwała się nić, po której można by dobrnąć do organizacji. To robota partyzantów z gór, ale oni musieli tu mieć swój wywiad i swoich pomocników. Żegleń już siedział w Oświęcimiu; podobno to była gruba szyszka w zakopiańskiej robocie podziemnej. Kto by to przypuścił? Garderobiany w szatni! Ten bar Kowalskiego jest pechowy; trzeba się będzie przenieść do innego lokalu. Podobno w bandzie rej wodzi Janosik, zbój nad zbroje, głośny opryszek z czasów polskich, z którego chciano swego czasu zrobić bohatera ludowego. On musiał na pewno rozwalić budynek „Sokoła” tamtejszego miesiąca, nikt inny, tylko on. „Ale on się jeszcze dostanie nam w ręce.”

Z końcem września 1942 roku grupa tatrzańska przeżyła zmiany. Pozostał w niej

Michał Topola z kilkunastu ludźmi, reszta zaś w myśl ostatniej instrukcji z Krakowa przeprowadziła się w teren na robotę. Jasiek-Juhas udał się w Beskid żywiecki, Norbert-Inżynier w Gorce, Kapitan w Pieniny, Feliks zaś wyjechał do Krakowa, opatrzony papierami gestapowca, którego sprzątnął w Strążyskiej Janosik. Centrala dla łączników oraz wiadomości mieściła się w Myślenicach w domu emeryta Kisiela. Zasadniczy nacisk kłaść należało na sabotaże kolejowe.

Pod czułą opieką Janosika miały się znaleźć węzły kolejowe, w Suchej, Żywcu i Bielsku. Ludzie Feliksa mieli przywozić z Krakowa materiał do Myślenic, skąd należało go rozprowadzać w teren. Od Jaśka wychodziło dwóch łączników: Jędreka i Upalony, jeden z papierami volksdeutscha, drugi z dokumentami konfidenta gestapo. Centrala z Krakowa dostarczyła im pierwszorzędnych „ausweisów”.

Rozdział siódmy

W Tatrach uśpieni rycerze czekają pod skałami, przewodzi im wódz na białym koniu. Leżą od setek lat w skalnych grotach i oczekują chwili, kiedy dziecko maleńkie stanie nad potokiem wypływającym spod ziemi i rzeknie: Wyjdźcie, już czas. Wódz zatrąbi alarm i rycerze wyjadą zbrojni, aby wygnać najeźdźcę z kraju. Aby niewola w Polsce nareszcie się skończyła.

- Mamusiu, jakie dziecko stanie nad potokiem w Tatrach?

- Tego nie napisano w księgach, syneczku. Pewnie jakiś pastuszek z hali pomodli się na intencję, aby ojczyzna powstała z niewoli. Wtedy rycerze zerwą się ze snu i pójdą w bój.

- A może to będzie aniołek, mamusiu?

- Może, dziecino.

- A może sam Pan Jezus? Nie chciałby, aby Polska powstała?

- Naturalnie, że chciałby.

- Dlaczego nie zrobi tak, aby Polska powstała! Przecież Bozia jest Panem Bogiem i wszystko może.

- Pewnie, że mógłby, ale Bozia chce, aby Polacy sami sobie zasłużyli na wolność, aby ją sobie sami zdobyli.

Ewa rozwieszała bieliznę w ogródku, opowiadając Jędrusiowi bajki. Dziecko leżało na kocu w trawie, wierzgając nóżkami i rączkami. Słońce późnego lata opalało drobne ciało na delikatny brąz. Jędrus był chory w ostatnich dniach. Kaszłał, miał gorączkę, może zjadł coś niedobrego? Górski kraj leżał pod bladoniebieskim niebem, pozbawiony ruchu. Królestwo zbójów - gdzież przeminęło? Jastrząb szybował nad kamienistym potokiem, jakiś ptak przejmująco zawodził w sosenkach.

Jędrus znowu zakaszłał. Matka z tkliwością spojrzała na niego, jakby przejmując w siebie całą boleść dziecinnego kaszlu. Tydzień temu Zośka Krawczykowa poroniła dziecko, spadłszy z wozu naładowanego snopami żyta. Chciała urodzić i odkarmić dziecko w Przyborowie, a później połączyć się z mężem pracującym na wsi pod Tarnowem. Może ten wypadek znowu rozdzieli to pechowe małżeństwo, które tak ciężko kleiło się z powrotem? Jakoś ci oboje nie mogli się do siebie przekonać. Ewa pomyślała bez złości o Zośce. Przecież najpierw ją całował Jasiak, tego żadna kobieta drugiej nie wybaczy ani nie zapomni.

Otuliła synka chustką. Jędrus podjął poprzednią dyskusję.

- Mamusiu, a ci rycerze, co śpią w Tatrach, dlaczego nie obudzili się jeszcze?

- Mówiłam ci, Jędrusiu. Bo jeszcze nie czas. Przyjdzie do nich dzieciątko i obudzi ich.

Wtedy rycerze ruszą na wojnę i wygonią Niemca z Polski.

- To może ja pójde do nich, mamusiu? I powiem: Wstańcie, bo tatusia w domu nie ma. Tatus musi się tulać, bo wojna jest. Obudźcie się i wyrzućcie z kraju Niemców.

- Nie, dziecinko, jeszcze nie pora - rzekła ze ściśniętym gardłem. Po cóż mu kłamię? Serce zamierało jej z lęku. Nie od dziś, nie od wczoraj czuła, wiedziała każdym włóknem nerwu: tatuś musi być u leśnych chłopców. Czy nie był chłopakiem z lasu przedtem jeszcze, zanim bory zaludniły się partyzantami? Dla kogo las był stworzony, jeśli nie dla niego? Zuchwały człowiek gnany dziką namiętnością, której korzenie nie tkwiły w awanturycznej krwi Sobczaków, lecz o wiele głębiej; chyba w tym, co się zwykło określać pokładami ducha.

Wyobraziła sobie nagle przy rozwieszaniu bielizny, że umiera, że Jasiak przybywa do niej nocą i że ona oddaje mu przed śmiercią synka jak najdroższy skarb. „Tyle się nacierpiałam przez to dziecko i teraz umieram. A ty żyj”.

Dziecko na kocu jakby wyczuło podróże myślowe matki, gdyż z uporem powróciło do uprzedniego tematu.

- Mamusiu, dlaczego tatuś poszedł w świat, na wojnę, a tyle wojska naszego śpi w górach pod ziemią? Na co czekają?

W istocie odwieczne legendy o rycerzach zaklętych w górach stały się ciałem. Rycerze rzeczywiście czekali w Tatrach. Nie spali, lecz byli przyczajeni w skałach.

- Babko, rycerze śpiący obudzili się w Kościółkach - mówił pewnego wrześnieowego wieczora zastrachany chłopiec w Przyborowie tuląc się do spódnicy babki.

- Idźże, idź, bajoku, co ci się śni.

- Naprawdę, babciu, zapytajcie się Sędzielnego Józka albo Wawrzka spod Gronika. Zbieraliśmy razem ożyny we wyrębie za Gnojarkami, a tu nagle słysząc huk, jakby się skały waliły. Uciekliśmy na łeb, na szyję, bo myśleliśmy, że góra wybuchła.

- Nie opowiadałbyś głupstw, cudaku - zgromiła go babka.

- Babciu, sumiennie wam powiadam, to nic innego, tylko ktoś skały odwalał w Kościółkach.

Było to prawdą. Dziki Juhas przeprowadzał swą partię na Kotlarczyska, gdzie odwalili kamienie z wejścia do Janickowego Pałacu. Wpuszczali się po jednym między skały Jastrzębiego Zamku. Janosik na nowo stawał się królem tych stron.

Czyż nie wiadomo było powszechnie z legendy, że w rozdole Kościółków, tam gdzie

wystaje krzyż zasypanego kościoła, śpią wokół rycerze na białych koniach? I że w noc świętego Jana budzą się na odgłos dzwonu, aby się dowiedzieć, czy już nie czas do boju? Widocznie czas. Mało nagadano o podziemnych pieczarach w kotle Izdebczyk? Są tam chodniki wydrążone, które wiodą aż po cmentarz w Rabczycach. A jaskinie naturalne, w których fantazja pomieściła Komin Złotej Studni, Wąwóz Urwisty, Zbójnickie Groty, Diabli Zamek, Żleb Poszukiwaczy Skarbów i setki nie nazwanych rozpadlin i uskoków?

Dwudziestu czterech chłopców podlegało Dzikemu Juhasowi. Połowa ich uplasowała się na Kotlarczyskach, druga połowa w wąwozie pod Kościółkami. Każdy z nich coś ucierpiał; krzywda i zbrodnia najeźdźców dotknęła jego samego lub jego rodzinę. Kilku z nich siedziało w więzieniu, kilku zbiegło przed śmiercią i obozem koncentracyjnym. Co drugi może powiedzieć, jak go bito przy przesłuchaniu, jak głodzono przy robocie, jak poniewierano godność narodową i pluto w twarz. Jeden z nich ma nos przetrącony pięścią germańskiego brutala.

Ten ostatni właśnie, Adaś ze złamaną chrząstką nosową, dokonał w trójkę zamachu sabotażowego na linię kolejową w Lachowicach pod Suchą. Nocą rozkręcono szyny na obu torach. Nad ranem wykoleił się pociąg towarowy z materiałem wojennym idącym na front wschodni podkarpacką trasą. Komunikację między Suchą a Żywcem i Bielskiem wstrzymano na osiem godzin. Narzędzia do rozkręcania szyn przywiózł z Krakowa motocyklem Upalony. Był to spryciarz nie lada. Spędził ponad rok na robotach w Turynii, skąd uciekł. Nauczył się tam szoferki i został przyjęty w charakterze mechanika samochodowego do browaru w Żywcu. Przyjął go zastępca kierownika działu technicznego, Grandowski, były oficer rezerwy, który w niedawnej, kampanii wrześniowej otrzymał postrzał w nogę i lekko utykał. Był to wybitny fachowiec-piwowar o wieloletniej praktyce jeszcze z czasów polskich; obecnie dzięki swemu stanowisku i dużemu zaufaniu kierownika Niemca stał poza zasięgiem wszelkich podejrzeń. W rzeczywistości był członkiem polskiej organizacji wojskowej. Wystarał się Upalonemu o motocykl, którym ten jeździł raz na tydzień do Krakowa w sprawach firmy. Upalony, który poza służbowym „ausweisem” z browaru miał papiery konfidenta gestapo, był dla strażników granicznych nietykalny.

Nie wytrzymał; jakżeby mógł wytrzymać? Była brzydka, dżdżysta noc, ciemno i siąpiwie, jakby Bóg zapomniał o świetle. Jasiek z dwoma chłopcami zbiegł starym, znajomym szlakiem przez Głuchaczki koło górnego koszar pod Gajką do Przyborowa. Zapukał do Tramkowej chaty. Pies oszczeakał go zjadliwie. Ewa wyszła z lampą do sieni, poznał jej kroki, serce tłukło mu się w piersi. Idzie boso, zaziębi się.

- Kto tam? - zabrzmiał jej głos, czysty i dźwięczny. Jaśka ogarnęła fala wzruszenia i szczęścia. Gdyby tysiąc żołnierzy niemieckich stało pod chałupą, nie uciekłyby stąd teraz.

- Ja, otwórz, Ewa - powiedział zdławionym tonem, aby nie krzyknąć za głośno. Rozpoznali się od razu poprzez grube wrzeciędzie zamykane na okuty drąg. Żona z rozrzuconymi włosami, w koszuli, na którą narzuciła chustkę, stała niby promienna zjawa nieba. Jasiek runął ku niej jak dziecko ku matce, już nie pełen miłości, ale wdzięczności; już nie witając ją, ale dziękując jej, że ją zastaje żywą, zdrową, ciepłą od snu.

Drzwi zawarły się za nim, pies ucichł, chłopcy przywarowali na straży po obu stronach chałupy. Mężczyzna chłonał oczyma wymiary tak dobrze znanej sobie izby Tramkowej. Ewa postawiła na blasze lampę, poprawiła machinalnie włosy, docisnęła chustkę pod brodą, drząc na całym ciele.

- Zimno ci - tulił ją. - Idź do łóżka.

- Jakiś ty mizerny, Jasiek! - delikatny skurcz przebiegi jej twarzy. - Co ty tu robisz? - oczy bez jednego mrugnięcia powiek były wpatrzone w niego.

- Jestem tu na wycieczce. Zaraz idę dalej - wyjaśnił ze swoim ironicznym, kpiarskim uśmiechem. Ona zna ten uśmiech. - Ale o tym nikt nie może wiedzieć.

- No, babka będzie wiedziała. - Wdowę Tramkową nazywała babką.

- Pewnie, ona musi wiedzieć. Ale nikt inny poza nią, bo byście mieli przykrości - zmrużył figlarnie jedno oko, ale z drugiego płynie taki mrozący chłód, iż Ewa wie, że to nie żarty. - Przynieś Jędrusia.

Poszła do drugiej izby, wróciła zaraz niosąc berbecia w małej pierzynie. Ojciec złapał cały ten ciepły, na pół obudzony tobolek, ucałował rozspane oczy dziecka. Jędrus dopiero teraz otworzył je szerzej.

Maleństwo spoglądało na ojca uważnie; widziało już parokrotnie tę twarz brązową od słońca, z rozwianymi włosami, uśmiechniętą. Ostatnim razem widział go prawie pół roku temu. Jasiek badał szczegóły twarzy dziecięcej, jakby dopatrując się w jego rysach podobieństwa to do siebie, to do matki.

- Jędrus, to tatuś. Przywitaj się.

Od dawna codziennie uczyła dziecinę tego pojęcia. Po Bozi i mamie było to trzecie słowo, jakie zagościło w jego buzi.

Nazywało się dla niego, że ojciec na wojnie. Co wieczór modliła się z nim w głos za tatę, aby był zdrowy i wrócił wnet do domu. Więc to jest ten, na którego się woła „tata”? Jędrus sięgnął śmiało do włosów ojca, wargi mu się rozwarły, odsłaniając drobne ząbki:

- Tata, tata. Przyjechał.

Jasiek całował go, gdzie popadło. Synek onieśmielony furią ojcowskich pocałunków zawołał: - Mamo - i z ufnością przeszedł w ręce Ewy.

- Co ty myślisz robić ze sobą, Jasiek? Mieszkasz w Krakowie jak dawniej?

- Tak - odrzekł po chwili namysłu.

- Nie wierzę ci.

- Może i masz rację - uśmiechnął się.

- Tobie zawsze żarty w głowie. Ja nie żartuję.

- Ja także nie. Z Niemcami nie można żartować.

- Nie da się pisać do ciebie?

- Lepiej nie pisać.

- Jasiek, nie mieszaj się do niczego, wiesz, jak teraz jest wszędzie. Patrz. Wojnara zapakowali do Oświęcimia. A tyś gorąca głowa. Siedź w domu.

- Gdzie? Tutaj?

- Nie. W Krakowie.

Była na tyle delikatna, że nie chciała mu się narzucać swą osobą, chociaż czekała, aby jej zaproponował przeniesienie się za nim do miasta.

- Nie martw się, Ewa.

- Ale chyba nie zbijasz teraz? - powieki zatrzepotały jej szybko, a oczy rozszerzyły się z wyrazem przestachu.

- Nie - odparł lekceważąco i po tym tonie poznała od razu, że kłamie. Ależ sobie szczęście zbudowała przy nim, nie ma co mówić!

Zegar w izbie wybił dwanaście razy; Słuchali oboje z uwagą jego bicia. Jędrus leżał poważnie w pierzynie, bawiąc się frędzlami chustki matczynej.

- No, godzina duchów minęła - rzekł Jasiek. Wziął w ręce bobaska wraz z pościelą, znów całował go po buzi, szło od niego rozgrzane ciepło. Dziecko chwyciło kosmyki ojcowskich włosów, uśmiechając się. - Jędrusiowi spać się chce - rzekło z naiwną prostotą.

- Połóż dziecko u babki, wyjdźmy trochę.

Zniknęła w drugiej izbie. Kurnik w sieni zadrgał życiem; kury zaczęły się irytować we śnie, następując na siebie wzajemnie.

- Babka śpi twardo - rzekła Ewa po powrocie - tak, żebyś ją mógł z łóżkiem wynieść.

Zdmuchnęła lampę, po czym wstąpili do sieni, a stąd po drabinie w górę na drugą stronę domu ponad stajnię. Legli na twardych snopach słomy, rozmawiając, szeptem.

- Gdzie ty właściwie pracujesz w Krakowie, Jasiek? - przemogła się, chociaż panicznie bała się go wprost o to zapytać.

- Mam niezłą posadę - syknął bez zająknięcia, z odcieniem gniewu.

- U Niemców?

- U Niemców. Rozumie się. Gdzież by indziej?

- Ukrywasz, ukrywasz to na pewno przede mną. Zbijasz z chłopcami w lesie. Bój się Boga, Jasiek! Jasiek!

- Po co się mamy gniewać ze sobą, Ewa? Mówiłem ci tyle razy, że kobiety nie rozumieją pewnych rzeczy.

- Nie o mnie idzie, pomyśl o dziecku. Opamiętaj się.

- Przysięgam ci, że nie będziecie mieli żadnej przykrości z mojego powodu. Gdybyś je miała mieć, będziesz uprzednio o tym ostrzeżona.

- Daj sobie spokój z tym wszystkim. Nie narażaj się. Osiądź gdzieś w zakutej wsi, zajmujemy się handlem. Inni tak żyją.

Nie chciał tego słuchać. Objął ją, wessał się ustami w jej szyję, przypomniał sobie tatrzańską miłość. Najtkliwiej kocha się w obliczu niebezpieczeństwa, tak jakby się miało jutro umrzeć.

Wstali, opuścili strych, wyszli w zimną noc. Utknęli pod chałupą, oparli się o płot. Ubranie Jaśka czuć było tytoniem i trawą, a od twarzy bił zapach wiatru lekko pomieszany z żywicą. Taki sam zapach jak dawniej. Musi mieć zapewne w kieszeni rewolwer; jakże byłby bez broni?

Ujął ją pod pachę, przyłgnęła do mocnego ciepła jego ciała. Kraj leżał naokół uśpiony. Szybował wiatr, zawodził w niedalekich olszynach. Co to jest? Zawsze, nieodmiennie w takim wypadku wybuchłaby płaczem w jednej chwili, a teraz, uwznioślona powagą tego spotkania, stała bez słowa, podana naprzód. Wiatr owijał jej spódnicę wokół smukłych ud. Gładził jej delikatną skórę na szyi. Rozgałęziona żyła przebijała się ciemniej przez jednolitą bladą karnację, jak bieg rzeki na mapie. Tędy płynęła jej krew, która ją wołała przez tyle mil od Tatr ku zbójnikowi. Z tej krwi i z jego krwi powstało ich dziecko. Ucałował ją w kark, zadrżała od nagłości porywu, który się w niej obudził.

- Idź już, Jasiek. Czas na ciebie.

- Nie chcesz, abym był przy tobie?

- Ach, Boże! Nie to. Nie ryzykuj. Złapią cię.

- W lesie nie złapią - przytulił ją silniej, wpatrzył się w palającą plamkę na skroni. - Kiedy jestem koło ciebie, żadne niebezpieczeństwo mi nie grozi. Tyle siły idzie od ciebie.

Chłodny spokój rozlał się po jego obliczu. Stoją przy płocie pod chałupą, on i ona, a tam w domu to małe. Czy świat się odmienił? Zdało mu się, że zostali sami jedni na ziemi

ogromnej, pozbawionej wszelkiego żywego stworzenia. Dotąd był cały drgającym ruchem, żywołem wiecznie płynnym, teraz odzyskał przy kobiecie spokój i głębię, męską stateczność. Za czym tęsknił, do czego dążył? Ta kobieta dała mu wszystko; przyszła ze swą łagodnością jak księżyc wypogadzający wzburzony ocean. Wydała na świat dziecko. Jak by to dobrze było pozostać w orbicie tego domu samemu wraz z nią i tym maleństwem, zagubić się wśród lasu, żyć tylko sobą i dla siebie w świetle i cieniu przyrody, jak gdyby świat dokoła nie istniał.

- Jasiek, idź już, póki się dzień nie zrobi.

- Bądź zdrowa, Ewa.

- Bądź zdrow, Jasieńku.

Życie ich obojga - każdego z osobna - upływało w otoczeniu tego piękna. I tak samo żegnali się z ową dawną skąpą, surową, prostotą przodków.

- Słuchaj, Chochół. Idzie z wami Czajka, on zna drogę. W lesie pod Minczołem koło skałek nazywanych Smutne Igły jest nieduża polana. Na skraju polany zobaczysz Kamień Gradowy, wyższy od człowieka, okrągły jak kula, od północy mchem porosły, zresztą biały; widać go z daleka. Na nim u dołu będzie wykowana gwiazda i krzyż; pod tym miejscem kopcie. Jest tam zakopana płytko w ziemię skrzynka, w niej sześć pistoletów automatycznych i amunicja. Wyjmijcie to wszystko, ziemię ułóżcie z powrotem, jak była. I podziękujcie Brzostkowi, że o was pamiętał.

Po udzieleniu tej instrukcji Jasiek zlustrował wszystkich sześciu od stóp do głów. Wódz babiogórskiego oddziału dywersyjnego celowo rozpuścił kilka swoich przezwisk dla wprowadzenia w błąd władz niemieckich co do siły i rozmieszczenia swoich placówek, Juhas (pozostałość z partyzantki tatrzańskiej), Brzostek (skrót od Brzozowy Listek) oraz Błyskawica (na pamiątkę wróżby Kudłoniowej).

W październikowej siapawicy posterunek leśny zatrzymał idącego od Korbielowa człowieka, który pragnął wstąpić do partyzantki. Młodzieniec z karabinem złożonym do strzału zmierzył zimnym wzrokiem kandydata.

- Broń macie?

- Nie mam.

Nie popuszczając karabinu z prawicy, obmacał go pieczołowicie, po czym wydał z siebie serię gwizdów. W ciągu kwadransa zjawili się z góry dwaj chłopcy; na skórzanych rzemieniach zwisały im z ramion pistolety automatyczne.

- Ochotnik do oddziału - wskazał zwiadowca na ponurego gościa w pochłapanej

kurtce.

- Skąd?

- Z Żywca.

- Broń macie?

- Nie.

Każdy o to pyta. Wzięli go między siebie i poszli. Za godzinę stanął przed obliczem Juhasa. Więc to jest przywódca babiogórskich leśnych chłopców? Mały, szczupły, nerwowy, ale oczy! Drżenie przebiegło po ciele przybysza, gdy tamten spojrział na niego.

- Co jest? - rzucił Juhas krótko.

- Weźcie mnie do siebie. Nie pytajcie o nic.

- Po co tu przychodzicie?

- Szukać zemsty.

Na rękawie kurtki miał wąski pasek żałobnej krepy, wybrudzony i naddarty. - Nie mam broni. Miałem rewolwer, zabrali mi na policji w Żywcu. Uciekłem im ze śledztwa. Zastrzelili mi ojca i brata.

- Skąd jesteście?

- Z Katowic - odparł lakonicznie, zaciskając zęby. - Dacie mi broń?

Janosik obserwował go spod przymkniętych powiek.

- Naturalnie - powiedział obojętnym tonem. - Będzie deszcz - rzekł spozierając na chmury. - Prawda, Michaś?

- Może i będzie - odpowiedział filozoficznie zapytany olbrzym gryząc w zębach papierosa.

- Nazwisko wasze - mruknął Janosik, przymrużając znów powieki i patrząc w bok.

- Musi być? - zawahał się tamten.

- Nie. Powiedzcie, jak chcecie, abyście byli wołani - wytłumaczono mu oschle.

- Karaś.

- Obywatelu Karaś, otrzymasz broń od Sowy - komendant pokazał niedbale palcem nadchodzącego bruneta w berecie, z pistoletem automatycznym pod pachą. - Należysz do trzeciego plutonu, szefem twoim jest Danielak. Zaprowadzą cię do niego, wyda ci amunicję.

Sowa kiwnął na przybysza, zeszli w krzaki.

- Jeszcze jedno - zatrzymał Karasia Janosik. - Chociaż wierzymy naszym chłopcom, nie dowierzamy nikomu. Jesteś strzeżony zawsze i wszędzie przez dwóch ludzi.

Odchodzi w przeciwną stronę. - Będzie deszcz - powtórzył do Michała, spozierając na zwalisty zarys Pilska owinięty mgłami.

- Chciałbym porozmawiać z komendantem - zwierzał się Karaś w drodze towarzyszowi.

- Oho, nieprędko go zobaczysz. Wszyscy żołnierze widzą go tylko raz przy przyjmowaniu. A później jak się zdarzy - uśmiechnął się niewyraźnie. - Ci z pierwszego plutonu nie widzieli go w ogóle poza tym pierwszym razem.

Oddział liczył dwudziestu siedmiu ludzi stacjonujących częściowo na Pilsku, częściowo na Babiej. Juhas nie brał sam udziału w akcjach, wydając tylko rozkazy trzem plutonowym. Wyjątek stanowiły poważniejsze wypadki, jak atak na konwój samochodowy Organisation Todt w Hucisku albo zastrzelenie Landkommissara w Milówce. Jutro komendant rusza na Żywiec korkować węzeł kolejowy. To miasto jego kłęski. Czyż nie prowadzili go tam w hańbie do ciupy policjanci? Żywiec rozpoczął jego los więzienny.

Do Żywca zeszedł uprzednio Danielak, aby porozumieć się z Upalonym w sprawie zamierzonej akcji. Zajrzał na stację, przyszłe pole działania wyprawy, uważnie wbijając sobie w pamięć tory i zwrotnice. Stał z rękami w kieszeniach, w brązowej kurtce, dumny z powodu żółtej opaski na rękawie z czarnym napisem: „Deutsche Forstschutz”. „Czy nie słusznie należy mi się ta opaska?” - pomyślał z ironią. Przecież kto jak kto, ale oni stanowią istotnie straż leśną. Pilnują lasu.

Nazajutrz, w ciemności dżdżystego wieczora, grupa Juhasa, mając za przewodnika nowo przyjętego Karasia, rozkręciła szyny kolejowe na Bielsko oraz jednotorówkę na Zwardoń. Następnie na rozjeździe przy samej stacji podłożyła dwie skrzynki dynamitu. Nocą wkraczali butnie w uśpione miasteczko; Karaś prowadził, dwóch miało go uważnie na oku, gdyż Janosik wietrzył zdrajcę nawet w niewinnym. Stanęli w rynku pod jednopiętrowym budynkiem.

- Tu jest gestapo.

Rozwalili bramę granatami ręcznymi, dziesięciu weszło do środka, reszta pilnowała domu naokoło. Hulali po kancelariach, palili sterty papierów. Zastrzelili trzech śpiących wewnątrz agentów, poszukiwali innych, nie znaleźli. - Chodźcie na dół - zachęcił ich Karaś. W piwnicy było więzienie, oczywiście zamknięte. Wyswobodzono jedenastu mężczyzn i dwie kobiety. Siedmiu z byłych więźniów wstąpiło od razu w szeregi partyzantki. Zdjęto mundury z trzech zastrzelonych gestapowców; przydadzą się. Naturalnie zabrano im także dokumenty i pieniądze; wszystko jest potrzebne. Zapalono systemem Janosikowym w dwóch pokojach stosy, na które zmieciono papierzyska i meble z całego gmachu; a nuż się zajmie buda? Pacnęły z ulicy dwa strzały. Zbiegali w dół. Niemcy są tchórzliwi w wypadku zaskoczenia; chłopcy leśni poznali to już z praktyki.

Wycofywali się w regularnym marszu luźnym oddziałem, nie niepokojeni zupełnie. Napad odbył się w warunkach prawie idealnych, z wyjątkiem owych dwóch strzałów. Czasem pijany żołnierz-urlopnik tak strzela. Na wiwat. Mieszkańcy Żywca zdążyli się do tego przyzwyczaić.

Sensacją beskidzkiego oddziału stała się ucieczka Karasia. Ten tajemniczy, inteligentny kompan, którego przewodnictwu zawdzięczano udany napad na Żywiec, wywiązał któregoś ranka, zostawiając list do komendanta. Przeląkł się, uciekł do Krakowa, gdzie ukrywała się jego żona z dwojgiem dzieci. Chociaż towarzysze wróżyli sobie najgorsze po jego ucieczce, wódz uspokoił ich obawy:

- Wróci do nas. Zobaczycie - przepowiadał.

W listopadzie, kiedy uparte, zimne sikawice splukiwały babiogórskie bory, Juhasowa partia wyszła na „odkręcenie” linii kolejowej w Bielsku. Upalony do spółki z Grandowskim przygotowali robotę. Ludzie byli dobrze obstawieni, czuwało nad ich bezpieczeństwem trzech gestapowców i jeden szupowiec; wszyscy oczywiście przebrani chłopcy Janosikowi. W ciągu pół godziny wykonano zadanie. Oddział wycofywał się pod osłoną nocy na umówione miejsce. Nie zjawiała się tylko Adamczykowa czwórka. (Pracowali równocześnie systemem czwórek w paru odosobnionych punktach.) Czekano na nich do pierwszej w nocy, nadaremnie. Juhas nakazał wymarsz. Któryś z chłopców twierdził, iż słyszał strzały przed godziną w stronie toru od Białki. Trudno - nie było sensu czekać po nocy. Zagarnęli po drodze ciężarówkę, dojechali nią poza Żywiec, robił się świt, wbili się w lasy i w południe wyleźli ku Pilsku. Późnym wieczorem zjawił się w legowisku Adamczyk w podartej kurtce, obłocony po uszy, sam jeden.

Tyle zostało z jego czwórki. Koło budki zwrotniczego nad nasypem czatował strażnik, który zaalarmował wartownię, gdy tylko podeszli pod tor. Okrażono ich, wywiązała się strzelanina. Zabity został Jałowiec, a Kawaler i Grzechotnik ujęci. On jeden, Adamczyk, przebił się szczęśliwie przez karabiny i zwiął.

Tak więc stracili trzech ludzi. Jałowiec, osiemnastoletni chłopak z Nowego Sącza, jednak, zginął. Poza tym dwaj kompani jego ostatniej wyprawy, wesole, beztroskie junaki, jeden z Czarnego Dunajca, drugi z Chabówki. - Zapłacimy jeszcze policji za nich - odgrażał się Juhas. Dnie były coraz zimniejsze, wiatry przenikliwie hulały po stokach. Chłopcy obniżyli się nad wąwóz Pilszczycy, gdzie zbili sobie prymitywny szałas z desek zerwanych z koszar na Boraczej. Nikt nigdy nie zaglądał w te strony. Było to zresztą niepotrzebne, odkąd tych zakątków strzegli dzień w dzień, noc w noc trzej gajowi z pistoletami automatycznymi,

reprezentujący partyzancką straż leśną.

Za tydzień list przesłany od Upalonego przyniósł im wstrząsającą wiadomość: Kawaler i Grzechotnik zostali publicznie powieszani na rynku w Bielsku. Ciała ich dyndały na chłodnym, jesiennym wietrze, opatrzone tabliczką z nazwiskami i uzasadnieniem przykładowej egzekucji: „Za bandytyzm”.

Spadł śnieg w górze. Jak zawsze, tak i tym razem policja bała się wchodzić w bór, znając przewagę chłopców leśnych w terenie, zdając sobie w dodatku sprawę, iż ludność im sprzyja.

Był dzień grudniowy, jasny, mroźnawy. O ósmej rano komendant tajnej policji w Bielsku, kapitan Richard Köpke, wyszedł ze swego mieszkania przy ulicy Kościuszki, kierując się w stronę biura ku Targówkom. Włożył do kieszeni futra rękę w skórkowej rękawiczce i obejrzał się za siebie, uśmiechając się do żony, stojącej w oknie pierwszego piętra z dzieckiem na ręku. Puciołowaty Jörgen o złotych kręconych włoskach to duma tego młodego, rasowego małżeństwa. Oficer nie poszedł daleko; o pięćdziesiąt metrów od domu wstąpił do dwupiętrowej kamienicy, gdzie zawsze golił się u fryzjera na parterze, wchodząc doń od tyłu; o tej porze bowiem lokal był jeszcze zamknięty. Taki miał zwyczaj codzienny. Szef gabinetu fryzjerskiego czekał już na szefa gestapo przy lustrze w białym fartuchu, służalczo uśmiechnięty.

Köpke wszedł śmiało krokiem stałego bywalca, podniósł dłoń na wysokość ramienia, mruknął zdawkowo „haitla” (właściciel zakładu był Niemcem), szybkim ruchem zdjął futro i szedł ku wieszakom. Nagle zatrzymał się, obserwując ze zdziwieniem fryzjera; nie znał tej twarzy.

- Herr Gonther ist nicht da? - zapytał mrużąc oczy.

- Jawohl - skłonił się Janosik, oddając momentalnie spod fartucha dwa strzały do gościa. Dwaj chłopcy wyskoczyli z drugiego pokoju. Leżący na podłodze kapitan Köpke zadrgał dwukrotnie i znieruchomiał. Juhas zdjął fartuch i nakrył nim trupa. Zamknęli salon fryzjerski od tyłu na klucz; fryzjer, porzucony pod piecem gazowym w drugim pokoju na dziesięć minut przed zamachem, podzielił los swego ziomka.

Jakimś niepojętym zdarzeniem losu druga żona Witkowskiego, wysiedlona wraz z małym dzieckiem z Wapienicy do Generalnego Gubernatorstwa, zawadziła po drodze o Przyborów, odwiedzając kilku znajomych męża. Znajdowała się w nędzy; dano jej trochę prowiantu, kilkadziesiąt marek, ot, lud dobry wspomógł, czym mógł, żonę byłego policjanta przyborowskiego. Tyle nieszczęścia spotyka się dziś naokoło, że trudno pamiętać dawne

urazy. Zresztą Witkowska wiedziała, gdzie idzie; nie do Tramkowej lub do Wołka, lecz do Stachonia, do córek Kamienieckiego.

Ale - i w tym tkwił nie tylko palec losu, lecz także głos instynktu - Witkowska zajrzała do Ewy Dziurowej. Rozmawiały ze sobą bez cienia niechęci, obie zrzędzeniem wojny odłączone od mężów. Obie mają dzieci; córeczka policjantowej jest młodsza o rok od Ewinego synka. Żony nie odziedziczyły tej nienawiści, która targała ich mężami, a dzieci już nic o tym nie będą wiedziały.

O tym właśnie mówiła pani Witkowska, rozłożysta blondyna, była dziewczyna wiejska spod Ślemienia, spoglądając życzliwie na drobną szatynkę w błękitnej bluzce i granatowej spódnicy. Za oknami świszczwał wiatr zimowy; lada dzień spadnie śnieg w dolinie.

- Nie gniewacie się na mnie, że mój mąż tyle złego naprowadził na waszego?

- Nie. Skądże - powiedziała Ewa spokojnie. - To był jego obowiązek.

- On sam, choć był z niego twardy chłop, mówił do mnie, gdy już Janosik siedział w więzieniu: „A jednak szkoda tego człowieka”.

- Pani Witkowska - głos Ewy stał się ostry, jakby mówiła wiadomość nie od niej pochodzącą - czy pani wie coś o swoim mężu?

Potrząsnęła głową przecząco.

- Nie mam żadnej wiadomości. Podobno był we Lwowie i został wywieziony na wschód.

- Niech pani nie słucha. Wiem od kogoś, kto mieszkał w tej okolicy, że mąż pani dzielnie bił się z Niemcami we wrześniu 1939 roku pod Lublinem i... - tu zawahała się nieco - i w boju ranę odniósł.

Kobieta zadrżała.

- Kto to pani powiedział?

- Nie wolno powiedzieć mi jego nazwiska.

- Czy człowiek ten znał mojego męża?

- O, znali się dobrze.

- Czy stąd pochodzi?

- Stąd - odparła Ewa bez namysłu.

- Mogę się z nim widzieć?

- Jego tu nie ma. Od czasu, jak tu przyszli Niemcy, wywiał stąd - skłamała.

- Co mówił więcej?

- Że starszy posterunkowy Witkowski na jego rękach umarł.

Witkowska zalała się łzami, słysząc tę tragiczną wieść. Nie dowiedziała się wiele

więcej poza tym. Ewa jednak przyrzekła, że ją zawiadomi, gdy tylko będzie wiedziała coś więcej; wzięła sobie jej adres. Witkowska odjeżdżała załamana niespodziewanym ciosem, jeszcze jednym, który dosięgnął małżeństwo Witkowskich w tej pechowej dla nich przyborowskiej wsi. W tej smutnej chwili, kiedy musiała opuścić całe gospodarstwo z paru tłumokami w rękach - jeszcze ta straszliwa wiadomość! Odjeżdżała z Jeleśni w płaczliwym świście lokomotywy wspinającej się na zbocza Huciska, tuląc w chustce dziecko-pogrobowca. Oczy ich obojga, matki i dziecka, ślizgały się po beznadziejnym błotnym krajobrazie Przyborowa. Popadywał śnieg delikatnie, zasnuwając nieśmiałą bielą pola; jedynie droga ku Koszarawie czerniała szeroką strugą błota, jak płynąca rzeka.

W połowie grudnia wrócił do oddziału Karaś po jednomiesięcznej nieobecności. Mimo iż był stosunkowo młodym człowiekiem (nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat), posiwał na skroniach, zbiedniał i schudł. Kazał się wieść z miejsca do Jaśka-Błyskawicy. To ostatni pseudonim komendanta. Już wszyscy zapomnieli o Brzostku, nie było też sensu nazywać go teraz Juhasem; przyłgnęło więc do niego miano Błyskawicy. Przyjęło się; było poetyczne i groźne.

- Wiedziałem, że wrócisz, Karaś.
- Musiałem was opuścić.
- Źle zrobiłeś, żeś uciekł.
- Nie zdradziłem was.
- Nie o to idzie. Wierzę ci. Ale pamiętaj: jesteś żołnierzem. Po coś uciekał?
- Nie pytajcie mnie. To sprawa osobista.
- Nie wolno ci mieć serca. Ile razy mam wam to powtarzać? My tylko pracujemy dla walki, dla zemsty, sumienie zawieszamy na kołku, serce wyrzucone na śmietnik. Wiem, że będziesz jeszcze dobrym żołnierzem. Idź do Danielaka, niech ci da broń.

Pluton Błyskawicy szalał po Beskidzie. Jak to zwykle bywa, opowiadano przesadzone wersje o czynach partyzantki. Nie zdołała się utrzymać tajemnica komendanta i to podsyciło nowym płomieniem wyobraźnię ludu. Podawano sobie z ust do ust, iż na czele partyzantki stoi głośny sprzed wojny tutejszy zbójnik Janosik. Zgłodniała ciekawość ludu ochotnie rzuciła się na ten temat, aczkolwiek nigdzie nie zostało stwierdzone, iż Błyskawica i Janosik to jedno, ani też nikt nigdy nie spotkał się z Janem Dziurą. Jakiś nikczemny sługus niemieckiej władzy w Jeleśni zdołał ją poinformować, że we wsi Przyborów mieszka żona legendarnego bandyty, który się urwał spod stryczka przed paru laty, a po którym z wybuchem wojny ślad zaginął. Któregoś ciemnego ponurego dnia po śnieżysto-błotnistej drodze od strony Jeleśni nadjechało

do Przyborowa auto osobowe, zatrzymało się pod domem Wołka, wysiadło z niego trzech mężczyzn w mundurach gestapo; znikli w obejściu Tramkowej.

Zrobili rewizję u Ewy. Przewracali rzeczy, suknie, meble, szukając kompromitujących dowodów. Broni? Ulotek? Gazetki podziemnej? Feldfelbel rozkopał nawet łachy dziecka. Patrzyła nań wzrokiem pociemniałym od nie ukrywanej pogardy.

- Niech pan szuka, może pan coś znajdzie - rzekła z lodowatą ironią. Nie odpowiadali nic. Po kwadransie wyszli w towarzystwie Ewy Dziurowej. Kroczyła prosta, odziana w grubą chustkę. Zewsząd z dookolnych chałup pobiegły za nią strwożone spojrzenia. Cóż ta kobieta zrobiła, że auto po nią aż przyjeżdża i trzech gestapowców ją prowadzi?

Zbagatelizowała tamtej niedzieli ostrzeżenie Pasika na sumie w Jeleśni. - Przenieś się stąd, tu ci żyć nie dadzą. I to jak najprędzej.

Nie posłuchała. Zabrano ją do Żywca. Wołek długo spoglądał za autem, plując z oburzeniem na tyranów i drani, którzy aż tu wcisnęli się w spokojne życie wsi. Po chałupach zaczęły się kłębić rozmowy.

- Święta spędzi w więzieniu.

Wbrew przewidywaniom wróciła jednak przed świętami. Trzymano ją w żywieckim więzieniu przez tydzień, wypytywano o męża na wszystkie sposoby, używając najbardziej skutecznych policyjnych metod. Nie załamała się, nawet nie zająknęła się przez jedną chwilę, mężnie wytrzymując ogień krzyżowych pytań. Nic nie wie o mężu od roku 1939, odkąd widziała się z nim na Świętym Krzyżu, jeszcze za czasów polskich. Powiadają, że był w Lwowie, ale kto prawdy dociecze? Nie otrzymała od niego ani jednego listu.

- Ten, którego nazywają Błyskawica, to twój mąż?

- Skądże? Od czasu jak wybuchła wojna, nic o nim nie wiem. Będzie gdzieś w świecie.

O ile żyje.

- A może wiesz? Przypomnij sobie.

- Nie przypominam sobie.

- My ci pomożemy. Dlaczego zastrzelił rzeźnika Witka w Sporyszu?

- Czy ja wiem, kto zastrzelił Witka?

- Wódz bandytów z Pilska. Chciał zabić Witka, bo miał złość na niego jeszcze z czasów polskich, kiedy odprawiał rzemiosło rabusia.

Nie zaprzeczała bardzo, kręciła tylko ramionami niedowierzająco. Naprawdę w to nie wierzyła.

- Z kim masz dziecko?

- Z mężem.

- Ile ma lat?

- Trzy.

- Zastrzelimy cię, jak się nie przyznasz.

- Strzelajcie - odsłoniła białą, pełną pierś. Cofnęli się. Pomimo bicia, pomimo męczarni kilkunastorazowego przesłuchania nie dowiedziano się od niej niczego; tak samo nie zdołano jej także nic dowieść. Wypuszczono ją po siedmiu dniach. Wróciła zbiedzona, pieszo biegnąc ze stacji do wsi. Babka siedziała pod piecem, dziecina przy oknie na ławie bawiła się wyciągając rączki do Pilska. Z głośnym płaczem rzuciła się matka ku dziecku. - Chcieli mnie od ciebie oderwać. - Uklękła wraz ze starą Tramkową przed obrazami na ścianie, modliła się długo, żarliwie. Wzdychała: Chryste Panie! To na pewno Jasiek dokazuje. Boże, ratuj go! Ja go znam. On zawsze taki był!

Policji żywieckiej wszakże nie przyszło na myśl łączyć nazwisko Błyskawicy z młodą kobietą w Przyborowie, a zainteresowano się jej osobą jedynie na skutek wyraźnego donosu Gałasia z Sopotni. Gałaś, pamiętny zabójca Wojtka Rzezawy, zrobił niezłą karierę w czasie tej wojny. Służył z początku w Baudienście, później zaś przydzielono go do Organisation Todt we Lwowie. Niedawno przyjechał w paradnym mundurze na urlop do wsi rodzinnej i dowiedział się, że żona Jaśka Dziury przebywa nadal w Przyborowie. Nie zapomniał Janosika, on przecież spalił mu dom; zemści się chociaż na jego żonie. Zastłyszał plotki o Błyskawicy, poleciał w te pędy do Żywca, denuncjując kobietę.

Nazajutrz po powrocie Ewy z aresztu zajrzała do niej Zośka Krawczykowa. W ostatnim czasie niedawne rywalki zbliżyły się ku sobie, nawet się polubiły; wojna, wspólne kłopoty, rozłąka z mężami uczyniły ich los podobnym. Zośka znowu odwlekła wyjazd pod Tarnów, gdyż mąż musiał na pewien okres zniknąć z terenu, wmieszany w jakąś nieprzyjemną sprawę.

Przyniosła Jędrusiowi cukierki; bawiła się z nim tkliwie i czule. O ile dawniej osoba jego ojca była przyczyną wzajemnej nienawiści obu kobiet, o tyle teraz stała się spójnią łączącą te dwa różne charaktery.

- Na wiosnę pojedę do Adama - zwierzała się pani Krawczykowa. - Po tym, co się stało, tym bardziej tęsknię za dzieckiem. Jeśli będzie syn, nazwę go Jasiek, jeśli dziewczynka - Janina.

Trzyma w ręku maleńki złoty zegarek ręczny, który swego czasu ofiarował jej Jasiek po wyprawie na Orawę,

- Weźcie sobie to złoto. Do was należy.

Tamta wzdragała się spokojna, pełna godności. - Nie mnie to dał, lecz wam. Z głodu

jeszcze nie ginę. Wyście mieli jego serce przedtem, wam się należy. Wiedział, komu daje.

Zośka nastawała z żarliwością.

- Ja mam jeszcze od niego pierścieni. I jeszcze inne kosztowności. A wy to możecie sprzedać i poprawić sobie byt. Z czegoż będziecie żyli?

- Mnie nie trzeba dużo.

- Tramkowej wzięli znowu trochę gruntu dla Niemców, z czego wy tu wyżyjecie? Jedźcie na tamtą stronę. Niedobrze, że już zaczynają was po aresztach ciągać. Żeby nie było tak jak z Mazurową. Weźcie ten zegarek, to ma dzisiaj wartość.

Ewa potrząsała uparcie głową. - Nie chcę, nie wolno mi brać. To nie moje, to wasze.

- Słuchajcie - zaklęła ją Zośka. - Jasiek na nas w tej chwili patrzy. Zróbcie tak, jak on by sobie życzył. Zima jest, czy wy macie coś ciepłego wdziać na siebie? Albo dla dziecka? Dla dobra Jędrusia weźcie to, wyjedźcie stąd, sprzedacie to, będziecie mieli zapewnione życie na wiele miesięcy. Dla Jaśka to zrobicie, dla Jędrusia, nie dla mnie. Ani nie dla siebie.

Przekonała ją tym zaklęciem.

Nazajutrz była niedziela. Stara Tramkowa poszła na sumę do kościoła. Ewa za to na nieszpory (stale musiał być ktoś w domu przy dziecku). Wracając, zajrzała do pamiętnej chałupy Wojnarowej na wzgórzu. Była to jedyna chata w Jeleśni, w której miała przyjaciół, jedyne miejsce, w którym doświadczyła pociechy i pomocy w czasie swego dotychczasowego pobytu pod Babią Górą. Od Wojnara z Oświęcimia przyszedł list, beznadziejnie smutny; żegnał się nieomal z żoną i dziećmi, napominał je, aby były posłuszne matce, jeśli chcą osiągnąć szczęście w życiu. Ewa chciała iść do domu pomimo ciemności. Wojnarowa zatrzymała ją na noc, przespały się razem. Ledwo się wyklął ospały ranek, Ewa wyszła w drogę, pełna najczarniejszych myśli. Dudniły w jej uszach słowa Wojnarowej: „Musisz wiać z Przyborowa”.

Od rana zaczął padać śnieg. Koło południa przyczłapał do Ewy kupiec Pasik z Jeleśni. Zdziwiła się tą niezwykłą wizytą. Usiadł w drugiej izbie, wyprawił starą wdowę do kuchni. Cóż mogło sprowadzić pieszo do drugiej wsi w taki podły czas zamożnego obywatela i w dodatku folksdojcza?

Był właśnie wczoraj w Żywcu i dowiedział się, iż Ewę Dziurową mają w najbliższych dniach ponownie aresztować. Przeszył ją ostry dreszcz strachu.

- Musisz zaraz wyjechać na tamtą stronę.

Tak nauczyli się mówić. Na tamtą stronę znaczyło: do Generalnego Gubernatorstwa.

- Gdzie? Nie mam tam nikogo - popatrzyła błagalnie na dziecko.

- Wszystko jedno. Na wieś. Każdy cię przyjmie. Dam ci jeden adres. Będziecie wśród

swoich. Nie ma co dłużej czekać. Na co?

- Dobrze. Wyjadę.

Za tydzień święta. Pasik zabrał z Przyborowa matkę z dzieckiem i rzeczami na stację jeleśniańską. Miała wszystkiego dwa tłumoki; nie dorobiła się wiele w tym Przyborowie. Wyrobił jej w zarządzie gminy potrzebne papiery do przejazdu przez granicę. Nie wziął ani feniga; zdumiewająca wydała jej się ta bezinteresowność u człowieka interesu, i to dziś, w czasach powszechnego handlu. Ejże, czy ktoś tym nie kierował z góry?

Opuszczała Jeleśnię w chmurne rano, patrząc przez łąy na przyborowskie zbocza. Nad Cylem hulała śnieżna kurniawa; Pilsko za to błyszczało świeżym śniegiem w bladym słońcu. Czy gdzieś tam nie ukrywa się Jasiek Błyskawica? Na tej fatalnej górze, która już raz przed laty widziała jego haniebny koniec? Ileż to ludzie nagadali o partyzantce pod Babią. Że desanty angielskie lądowały z samolotów na Hali Rabczyckiej; inni powiadali, że to spadochroniarze sowieccy; reszta zaś była zdania, że to regularne wojsko polskie, któremu przewodzi zawodowy pułkownik.

Minęli rewizję graniczną w Suchej. Jędrus zaczął płakać, domagając się jedzenia. Nakarmiła go, popatrzyła przez okno. Babia Góra objęta śniegiem ponad górną łąwą lasów uciekała wstecz. Ewa jechała do Kalwarii Zebrzydowskiej; stamtąd zaś miano ją odwieźć furą do wsi Stróże pod Myślenicami, gdzie mieszkała znajoma Pasika, Szczepanikowa. Od czasu do czasu jeździła do Jeleśni po towary, które następnie przemyciała i rozprowadzała po swej wsi. W jej ustronnej, spokojnej chałupie miała osiaść Ewa Dziurowa.

*Oj, łapali Jasieńka, oj, po zielonych jodłach,
oj, ale czyjaś ręka, oj, z boru go wywiodła.
Oj, śmierci się nie lękał, oj, miłość go zawiodła,
oj, zdradziła Jasieńka, oj, dziewczyna podła.*

Podczas świąt Bożego Narodzenia zeszedł Jasiek-Błyskawica w eskorcie sześciu chłopców do chałupy Grochała w Rajczy. Jedli i pili; czterej w zielonych mundurach gestapowców, dwóch zaś z opaskami gajowych; jeden komendant w zwykłym cywilnym ubraniu. Oczywiście wszyscy wiedzieli, kto oni. Rano, gdy szli w stronę przysiółka, prosił śnieżek, wieczorem jednak niebo przeczyściło się.

Janka Toporówna spodobała się wodzowi leśnych chłopców. Blondynka o wydatnych piersiach, zgrabnych nogach, w krótkiej spódniczce, wiedziała, kim się zainteresować. Ten najwięcej wśród nich znaczy, choć nie ma na sobie munduru: jego słuchają, choć pewnie z nich wiekiem najmłodszy. Grał patefon, puszczone się w tany, Jasiek używał najpierw z

Janką, później z córką Grochalki, Stefką; ta nie była tak zalotna jak Janka. Mimo to tancerz zdołał ją musnąć wargami parę razy w policzek. Falszywi gestapowcy zaczęli śpiewać narodowe piosenki. Gospodarz uśmiechał się dyskretnie.

Jasiek wyszedł z Janką na dwór, aby ochłonać trochę. Była mroźna, wygwieżdżona noc.

- Lubisz mnie? - spytała go, tuląc się do niego jak kotka.

- Gdy jesteś koło mnie, to cię lubię.

- Czemu tamtą całowałeś?

- Bo tak mi się podobało.

- Przepróż mnie za to - chwyciła obie jego ręce, nadstawiając usta. Przypomnił sobie po smaku tego pocałunku wszystkie swoje dotychczasowe dziewczyny. Do którego z dawniejszych podobny ten smak? Tamte wszystkie leżały daleko zagrzebane w przeszłości, oddzielone przepaścią więzienia i zmorą wojny. Każda dziewczyna była teraz przyjemna po dniach i nocach mroźnych, ciemnych, pełnych rozlewu krwi, najeżonych zasadzkami i wycieńczającym marszem. Nagle wspomniął Ewę i zrobiło mu się przykro. Tyle krwi teraz na jego rękach; i te ręce skrwawione przyciskają jakąś dziewczkę. Kim ona jest? Czy nie przestrzegał go Kudłoń: strzeż się dziewczyn!

- Co ci się stało? - spytała wypuszczona z jego ciepłego uścisku.

- Nic. Tylko tak sobie myślę: dzisiaj mnie kobieta całuje, a jutro mnie zdradzi. Nie wierzę babom.

Już wchodzili z powrotem do izby, gdy odwróciła się do niego w przejściu.

- Tyś mnie zdradził w tańcu ze Stefką, ja cię także zdradzę.

Nie zdradziła Jasika ze złej woli, lecz z głupoty. Żyła z Niemcem, wachmistrzem policji granicznej, któremu prowadziła gospodarstwo. Stroił ją, dobrze płacił, jeszcze i rodzicom jej pomagał.

Hans wyciągnął nad ranem od naiwnej dziewczuchy wszystko, czego pragnął: o czterech gestapowcach, o dwóch gajowych i jednym cywilu, który płaci jak pan, a którego tamci słuchają jak oficera.

- Gdzie są?

- Zabierali się do spania, gdy odchodziłam.

Zabrał ze sobą natychmiast trzech strażników, poleźli do chaty Grochała. Zaledwie weszli w sień, śpiącym w stajni „gestapowcom” wywietrzały natychmiast z głowy wódka i sen. Wskoczyli jak zające przez szerokie okienko, którym wyrzuca się gnój spod bydła. Za nimi przepchali się dwaj gajowi, czmychając w niedalekie krzaki. Niestety Jasiek nie mógł się

wyplatać ze swej dziury pomiędzy snopami słomy w kącie stajni, gdzie wbił się, aby mu było ciepło. Już nie można było ruszyć się ku okienku, gdyż droga prowadziła obok drzwi, a w drzwiach stali strażnicy. Zanim Jasek wyłuskał się ze snopów, obskoczyli go dwaj Niemcy, nie było się jak bronić. Chwycili go pod pachy. Pomogli mu wydostać się. Nic się nie zmieszał, ani powieką nie drgnął, przez wargi przebiegł mu krótki, jakby ironiczny uśmiezek. „Psiakrew, tu mnie dopadli, wśród krów i gnoju.” Odebrali mu dwa pistolety, prowadzili do środka wsi, gdzie mieściła się placówka straży granicznej.

Po drodze zamówiono u chłopca furę, którą miano aresztanta odwieźć do Milówki. Trzech Niemców siedziało przy stole pilnując Polaka. Wachmistrz plątał się po kuchni koło Janki, która znów krzątała się przy garnkach.

Za kwadrans zamiast oczekiwanej fury wkroczyło do sieni sześciu chłopców Janosikowych, którzy szli cały czas za nimi, gdy tylko oprzytomnieli z pierwszego wrażenia. Dwaj rozbili karabinkami okna, wymierzając lufy w siedzących przy stole wartowników. Czterej dalsi otworzyli z hałasem drzwi. Niemcy zmartwieli.

- Ręce do góry!

Wstali, unosząc ręce nad głowy, jakby rozumieli polską komendę. Drzwi od kuchni rozwarły się na oścież, buchnęły z nich dwa strzały; to wachmistrz strzelał. Natychmiast runął w progu na kolana, ścięty trzema kulami. Dziewczyna od pieca wszczęła lament. Janosik wychynął z kąta, objął komendę.

- Oddać broń!

Obmacał trzech struchlałych graniczników.

- Zdjąć kozuchy.

Ściągnęli posłusznie. Odebrał im dokumenty oraz gotówkę, pokazał palcem chłopakom, aby ich wyprowadzili za chałupę, po czym tym samym palcem puknął w czoło. Jedni i drudzy wiedzieli, co to oznacza, gdyż Niemcy zaczęli się szarpać. Uciszone ich.

Jasek nachylił się nad wachmistrzem. Jeszcze żył. Obrócił go na wznak, rozciągnął na podłodze, przyłożył lufę do czoła, strzelił. Janka rzuciła się na ziemię ze spazmatycznym szlochem.

Wyciągnął Niemcowi portfel, nie zapomniał o nowiuteńkim automacie. - Chodźmy! - odwrócił się jeszcze raz od drzwi. Spojrzał na czarną pieczętkę zemsty na czole zabitego, następnie na Jankę.

- Wstyd mi, że się z tobą całowałem, dziwko. Możesz sobie teraz poszukać innego Niemca i kurwić się dalej.

Splunął w jej kierunku i odszedł. Samo wyswobodzenie nie trwało dłużej niż trzy

minuty. Szli w biały dzień wśród nieświadomej niczego wsi na Halę Boraczą, uzbrojeni godnie, bo podwójnie, odziani w krótkie kozuski żołnierzy zwycięskiego narodu. Jakim sposobem ten chłopiec, delikatny i szczupły, może być sprawcą tak zuchwałych czynów?

Wiedzieli, że zostawiają ślady w śniegu, lecz nie spodziewali się pościgu, nikt się w te góry nie zapędzał za partyzantami, zwłaszcza w zimie. Gorsze było to, iż wiedli ze sobą rannego Kubę Hotarskiego. Miał przestrzelony łokieć, rana wydawała się lekka. Odda się go na leczenie zaufanemu drwalowi w przysiółku Sopotni Wielkiej, zwanym Kamienna.

- Czy jest taki drugi, co tak umie wsiąkać w drzewa? Stoi koło ciebie, za chwilę stopnieje i nie ma go. Rozpływa się w powietrzu. Mówią o nim: Błyskawica.

Jeden z gospodarzy, którzy siedzieli przy tej rozmowie, donosił co tydzień z Glinnego prowiant na Diabelski Mostek. Dostawał za to swoją pensję w markach, ale czy to nie był uczciwy interes? Kupował żywność na dole, sprzedawał na górze. Zarobek był sprawiedliwy: za fatygę i za ryzyko.

Nazywał się Czernik. Solidny czterdziestoletni gospodarz, dzieciaty. Jego brat, szofer z Bielska, był z chłopcami na górze; pracował jakoby w warsztacie samochodowym wojskowym w Katowicach i zwał stamtąd. On tkwił najczęściej na pierwszym posterunku, strażując najbliższej wsi. Tutaj kontaktował się z Upalonym za pośrednictwem brata.

W Nowy Rok zgłosiło się trzech ochotników do oddziału. Szli z pominięciem Czernika, wprost od Upalonego ponad Sopotnią Wielką, drogą, którą wożono drzewo z wierchów. Stanęli na wyznaczonej im polanie, obwieszczając się trzykrotnym umówionym gwizdem. Po kwadransie uzyskali odzew. Z lasu wyłaziło ku nim dwóch chłopców z karabinami.

- Czego chcecie? - krzyknęli z daleka.
- Przystać do Błyskawicy.
- Od kogo idziecie?
- Od Niedopałka - takie przezwisko nosił Upalony.
- Podnieście ręce do góry i chodźcie ku nam.

Podsunęli się ku sobie wzajemnie. Z rękami podniesionymi nad głowę pozwolili się obmacać. - Broni nie przynieśliśmy - usprawiedliwiali się, zmartwieni. Po upływie godziny dopuszczono ich przed oblicze wodza. Zmarszczył brwi i tłumaczył im jak ojciec upominający niesforne dzieci:

- Namyślcie się jeszcze. Nie prowadzimy wygodnego życia. Całymi nocami nieraz nie śpimy; bywa tak, że nie ma się czasu zjeść i nie ma w ogóle co zjeść. Maszerujemy często po

kilkadziesiąt kilometrów bez spoczynku. Nie obiecuję wam nic poza walką. Marne życie, ale w honorze. I śmierć. Nie marna - wspaniała. Jeśli się cofniecie, macie jeszcze czas, straż odprowadzi was do pierwszej linii czujek.

Zapalili się od błysku jego oczu, od głosu spokojnego a głębokiego. Pozostali. Jeden z nich, co prawda, nie spodobał się Jaškowi. Mienił się terminatorem stolarskim z Wadowic, synem tercjana tamtejszego gimnazjum. Nazywał się Szczudrawy. Błyskawica zwierzył się Danielakowi, kiedy ich zaprzysiężono.

- Widzę, coś niedobrego ma w oczach.
- Zdrajca?
- Nie wiem, to się okaże. Trzeba go podwójnie pilnować.

Czernik przyniósł meldunek od Upalonego. Z Katowic uciekło dwunastu ludzi z więzienia. Będą jutro na Romance. Trzeba im dać broń.

- Kto ich prowadzi?
- Jędrak.
- Niech pozostaną na Romance. Pójdzie do nich Adamczyk. Weźmie się dwanaście karabinów z Mędralowej.

- Pod Szczykiem będzie robota - raportował dalej Czernik.
- Transport miał być w święta i znowu odroczone. Data podana?
- Jeszcze nie. Ma być zaraz po Trzech Królach. Dostaniemy wiadomość.
- Istebna zawiadomiona?
- Już przygotowani.

Wywiad donosił dalej o publicznej egzekucji sześciu więźniów-Polaków w Żywcu (w tym dwóch z ich oddziału) oraz o wyjeździe z Przyborowa Ewy Dziurowej z dzieckiem do Generalnego Gubernatorstwa; jej wyjazd zresztą, jak i uprzednie ostrzeżenie były dziełem Jaška, który posłużył się w tym wypadku pośrednictwem kupca Pasika.

Jeśli partia więźniów dojdzie w całości na Romankę, oddział Błyskawicy powiększy się znacznie. Już teraz liczy dwudziestu ośmiu ludzi, świetnie wyposażonych w broń, przeważnie w pistolety maszynowe; arsenał jego posiadał zapas wystarczający na uzbrojenie dwukrotnie większej liczby żołnierza.

Od Trzech Króli rozpoczęła się historia zdrad w Janosikowej grupie. Któregoś dnia Błyskawica wrócił z dołu zdenerwowany w towarzystwie Danielaka i Michała. Miał rozmowę z Grandowskim, mózgiem organizacji polskiej w Żywcu. Ten aktualny wicedyrektor browaru żywieckiego przyjechał autem fabrycznym rzekomo służbowo do dyrektora sąsiedniej huty

żelaznej w sprawach browaru. Szofer był też człowiekiem organizacji i nieraz woził w skrytce z Krakowa broń i amunicję.

Spotkali się w małej chałupce na końcu Węgierskiej Górki, gdzie omawiali szczegóły dalszej akcji. Z rozmowy tej wyniósł Jasek wiadomość wstrząsającą: Szczudrawy jest prowokatorem. Miesiąc temu wypuszczono go z więzienia, gdzie odsiadywał karę trzech lat jako nałogowy złodziej; siedział zaledwie trzy miesiące. Niemcy nie zwykli po wyroku zasądzającym w ten sposób łagodzić karę skazanym. Wywiad potwierdził podejrzenia. Policja obiecała darować przestępcy karę pod warunkiem, że zapisze się do Janosikowej bandy i wyda im ją w ręce.

Zawezwali go przed oblicze Błyskawicy. Odebrali broń. Wiedział, co się święci. Zbladł, zacisnął zęby.

- Wiemy o tobie wszystko. Jesteś nędznym kryminalistą. Nie spełnisz swojego zadania. Nie wrócisz z lasu na dół. Wiesz, jaka kara przeznaczona jest zdrajcom. Zastanów się; od nas dostałbyś kulę w czoło, a sam możesz sobie strzelić w serce. Odejdź. Czekamy pięć minut na strzał. Nie ujdiesz stąd nigdzie. Jeśli strzał nie nastąpi, ci, którzy do wczoraj mieli przykrość być twoimi kolegami, wpakują ci kulę w czoło. - Wręczył mu rewolwer. - Jeszcze nie odbezpieczony - poinformował.

Szczudrawy strzelił sobie w pierś, widząc zresztą, że Danielak zza krzaków wycelował ku niemu lufę karabinu i patrzy równocześnie na zegarek.

Czy wiecie, co to jest wojna leśna? Całodzienne zasadzki za krzakami w siekącym wicherze, kucanie godzinami, w deszczu wśród jałowców, w rośnej trawie. Błoto, wiatr, szaruga, zimno, krople ze świerków padają, za kołnierz. Za każdym pniem czai się śmierć.

- Mokro, psiakrew! - Przeklinali chłopcy. Czyby raz nie można przespać się porządnie w ciepłej izbie? Uczciwie, przyzwoicie, a właściwie nieprzyzwoicie, bo w samej koszuli? Nie w ubraniu i płaszczu, chyłkiem, na sianie w stodole, ze świadomością, że ich lada chwila poderwą spod chłopskiej strzechy i pogonią dalej? Fasowali buty z cholewami niedawno zarekwirowane w Lachowicach. Chwalili sobie wszyscy te niemieckie buty wyściełane flanelą; przeznaczone były na front wschodni. - Ho, ho, jeśli zginę, to przynajmniej w butach - podśmiewał się jeden z drugim.

Biały wyostrzony sierp księżycy wyrósł na ciemnym firmamencie. Las zimowy jest cichy i uroczysty; same wysokie świerki, ich korony sklezione w górze dają złudzenie nawy kościelnej. Całymi tygodniami trwają ludzie Błyskawicy na stanowiskach w zimnie i śniegu, w lesie i w błocie. Nie mają dachu nad głową poza konarami drzew. Kiedy rozśpiewa się nad

nimi w gałęziach muzyka kul?

- Babciu, puście. To my, chłopcy z lasu. Zaraz sobie pójdziemy.

Napili się gorącego mleka. Zapłacili dobrze nowiutkimi markami zdobytymi w Węgierskiej Górze. Poszli.

Ścieżka wiła się wśród rozwalonych pni, po korzeniach, wśród krzaków, gubiąc się co chwila. Śliskie skałki zdradliwie przysypane śniegiem tamowały chód. Wicher zrywał się, niepodobna iść dalej. Rozebrali metry sagowego drzewa ze stosów, ułożyli polana na ziemi, pokładli się pokotem.

- Zygmun, wystaw dwóch na wartę.

Zadymka w górze. Ku szczytom - gołe stoki. Kurniawa hulała z jednej strony na drugą, śnieg walił w twarz, jego igielki dotkliwie biczowały skórę, ubranie mokło, lodowaciało. Nocą wzmógł się śnieg do rozmiarów wichury. Kurzyło. Chłopcy czekali beznadziejnie, przywarci do polan. Poderwali się o świcie, zagrzali wodę w manierkach przy ognisku, otworzyli kilka puszek z konserwami. Za pół godziny odmarsz.

Śnieg, śnieg. Gęsty las, zwalone kłody, zapadliska, wykroty; znowu rozpoczynają się skałki. Jasiek w białym kozuszkę wyszedł pierwszy z załomu skały, owiany wiatrem, siekany śniegiem. W górach huczało, lasy świszczwały, gdzieś trzeszczały gałęzie, obłoki szybowwały nisko nad ziemią, wnikały w wąwozy. Zbocza podpływały jedno za drugim. Na zachodzie przybliżał się ku nim potężny wał Romanki. Ciągłe deszcze, pomieszane ze śniegiem, wichry do szpiku kości - jak żyć w takim klimacie? Jak walczyć?

W styczniu 1943 roku, mroźną, lecz słabo śnieżną zimą, dokonała partia Błyskawicy najzuchwalszego czynu, jaki zapisał na swe konto polski ruch oporu w tym rejonie: odbicia transportu więźniów pomiędzy Cieszyńskiem a Bielskiem.

Sygnalizowano im ten transport od dwóch tygodni. Pierwotny termin wywiezienia zesłańców do Oświęcimia władze zmieniały dwukrotnie. Wreszcie nadszedł nagły raport, iż czterdziestu dwóch więźniów wyjedzie definitywnie z cieszyńskiego zamku dwoma autami ciężarowymi o godzinie dziewiątej rano w środę dwudziestego stycznia szosą na Bielsko.

Wyjazd z bramy więziennej obserwował z boku Upalony, manipulujący przy rzekomym defekcie motocykla. Oba auta pomknęły na wschód. Motocyklista na pełnym gazie wyprzedził konwój. Pod Grodźcem czekali już Janosikowi chłopcy zaczajeni po obu stronach drogi w lesie. Trzy oddziały: z Babiej, Pilska i Romanki, razem prawie czterdziestu uzbrojonych mężczyzn. Można by z nimi Bielsko zdobywać za dnia.

- Jaka eskorta?

- Po dziesięciu Niemców na aucie.

Upalony śmignął dalej do Bielska; spełnił swoje zadanie. Za kwadrans ukazały się oba auta; przywitano je dalekim Ogniem karabinowym. Silniki przycichły, zatrzymały się. To było głupie; właśnie należało zwiększyć bieg przebijając się przez palbę. Eskorta zeskoczyła z aut z bronią w rękę, skupiwszy się na drodze, strzelając na oślep. Był to również nieostrożny gest; w ten sposób wydali się całkowicie na pastwę strażów z zasadzki, stanowiąc wyraźny cel. Zaskoczenie było zupełne. Chłopcy zaczęli kropić do policji z krzaków nad rowem przydrożnym. Część ich nawet wyskoczyła śmiało na drogę strzelając do konwojentów. Tamtych zmieszał do reszty fakt, że kilku partyzantów było w zielonych niemieckich mundurach. Paru Niemców próbowało uciekać; wymieciono ich do nogi.

Po pięciu minutach skończyło się. Nikt nie uszedł. Obejrzano papiery obu szoferów: Polacy.

- Jedziecie z nami. Na Wisłę i Milówkę.

Z trupów zdjęto bluzy, płaszcze i czapki. Wdziali je natychmiast na siebie cywile. Zabrano do auta własne ofiary: jednego zabitego i trzech rannych.

- Jazda!

Zawrócili, skręcając na południe ku Wiśle, około stu ludzi uprowadzających ze sobą ośmiu Niemców. Po trzech ludzi eskortowało szofera przy kierownicy. „Po cóż uprowadzać policjantów niemieckich?” - namyślał się Janosik. Instrukcja wojskowa nakazywała tępić bezlitośnie gestapowców. Trzeba było im kropnąć w czoło na drodze, jak reszcie. Po co się ich brało? Jako zakładników? To nie ma sensu.

A jednak ma sens. W przejeździe przez Milówkę zatrzymali się przed dwoma sklepami, zabierając na auta ile się dało chleba, mąki, tłuszczu, cukru. Liczba ludzi wzrosła w dwójnasób, trzeba ich jakoś wyżywić. Puknęli dwa razy do jakiegoś Niemca, który się ośmielił wystrzelić ku nim z okna.

Autą znalazły się w połowie drogi między Milówką a Rajczą. Jasiak znał ten teren jak własną kieszeń. Wszyscy opuścili samochody wnikając w drożynę leśną; wszyscy - nie wyłączając uprowadzonych Niemców oraz obu kierowców. To już nie oddział chłopców leśnych, to karawana objuczona ciężarami. W rogu pod Halą Boraczą pogrzebano kompana, zwanego Benkiem. Nie rozsypano się na grupy, jak to było w ich zwyczaju, cała masa maszerowała pod Pilsko. Kłopot był tylko z rannymi, zwłaszcza z Marianem, noszącym przezwisko Gula; miał kulę w brzuchu, trzeba go było nieść. Błyskawica kazał go odstawić do drwała w Kamiennej Sopotniańskiej.

Zrobiono, jak wódz kazał. Na drugi dzień wrócił Danielak wraz z dwoma chłopcami z

Kamiennej.

- Umarł - oświadczył przywódca.

- Gula umarł?

- Miał ciężką ranę brzucha.

- Wiedziałem, że z nim źle - zafrasował się komendant, lecz tylko przez chwilę.

Trudno, jest ciągła walka; dziś się żyje, jutro się umiera. - Danielak, mamy czterdziestu dwóch nowych ludzi, wiesz, co to jest? Obdzielisz ich bronią zdobyczną i tą, którą mamy pod Kiczorką. Zdaje się, że i tak kilku pozostanie bez broni. Jak się tylko ociepli, trzeba zabrać z Mędralowej resztę karabinów.

- Pięć pistoletów jest pod Diabelskim Mostkiem.

- Jużem to wziął w rachubę; jeszcze mało. Dwudziestu ludzi dasz Adamczykowi, piętnastu weźmiesz sobie, pozostałych przydzielisz do mnie; tych w mundurach.

Danielak przestępował z nogi na nogę.

- Co jeszcze? - mruknął niecierpliwie Janosik.

- Nic takiego - bąknął tamten.

- Rozdziel broń, wystaw warty, przypilnuj obiadu i prześpij się. Chcę cię wziąć jutro na zwiad.

Danielak zbliżył się do wodza i patrząc mu w oczy rzekł:

- Mógłbym skłamać i tak by już zostało, nikt by nie wiedział. Ale nie potrafię kłamać przed tobą. Ja zastrzeliłem Gulę. Nie nieśliśmy go do Kamiennej. Bałem się; to chory człowiek, on mógł nas wsypać. Zabij mnie, Jasiu, tyś komendant, wolno ci. Nie mogłem inaczej.

Długo patrzył Janosik bez słowa w niebieskie, oddane oczy swojego powiernika.

- Dlaczegoś to zrobił?

- Myślałem, że tak będzie lepiej.

- Trudno, stało się. Wierzę ci, żeś to zrobił dla dobra sprawy.

Nikt z dołu nie kwapił się oblegać leśnych chłopców. Byłoby to to samo, co iść na pewną śmierć. Niemcy tego nie lubili. Teraz w zimie siedzieć przy napalonym piecu, jeść dobrze a tłusto - ach, jak się dobrze tu jadło na polskich ziemiach! - markować służbę sążnistymi raportami - oto ich robota! Ale maszerować kilometrami po śniegu, w mrozie, spodziewając się każdej chwili kuli z zasadzki, z głębi mrocznego, groźnego lasu - o nie, takiej miłości ojczyzny nie wymagacie od nich.

Ale do innej, nierównej walki byli zdolni: do odwetu, do represji. Za parę dni - prószyło śniegiem - zeszedł Błyskawica (w swoim mundurze wachmistrza) wraz z Michałem

i Danielakiem do którejś z pierwszych chałup Milówki i pogadał sobie z gospodarzami. Nikt o tym nie będzie wiedział, że on tu był, a tamci także nie potrzebują o tym nikomu mówić. Zjedli kolację, zapłacili dobrze, wywiedzieli się, czego chcieli. Przed trzema dniami przyjechało sześciu gestapowców z Bielska robić śledztwo; zajrzeli również i do Rajczy. Nikt we wsi nic nie wiedział, więc nikt nic nie powiedział. Tylko w dwóch sklepach kupcy-volksdeutsche opisywali, jak wyglądali Niemcy, którzy rekwirowali im towar. Byli przekonani długo, iż rekwizycja ta była dziełem autentycznych, lecz pijanych policjantów. Dlatego wydali im wszystko bez sprzeciwu. Przecież nikt nie ma napisane na czole, że jest fałszywym policjantem.

- Ale wasz policjant strzelał do nich; mogliście wiedzieć, że to partyzanci.

- Oni go później dopiero zastrzelili.

Śledztwo nie dało rezultatów. Za to Niemcy pohulali sobie we wsiach Grodziec i Jaworze, jako położonych najbliżej miejsca pamiętnej bitwy na szosie. Przyjechały do wsi trzy auta, pełne żołnierzy SS, wywleczono z chałup dwudziestu mężczyzn Polaków i rozstrzelano ich na drodze w tym samym miejscu, gdzie znaleziono ciała zabitych konwojentów.

Tę samą relację o niemieckiej zemście przyniósł Błyskawicy Czernik, który podpełzł na zwiady do brata w Glinnem Sopotniańskim.

Janosik nie namyślał się długo. Zabrał ze sobą dziesięciu najlepszych „gestapowców”, włączył w środek ośmiu autentycznych Niemców i wyszedł rankiem w kierunku północnym. W okolicy Węgierskiej Górki przekroczyli szosę biegnącą z Żywca do Zwardonia. Tam w samo południe w miejscu najbardziej oddalonym od sadyb mieszkalnych zastrzelono wszystkich więźniów zostawiając im pieczętki na czołach. Ułożono ich na torze kolejowym w poprzek szyn, a dla większego efektu na dwieście metrów przed trupami i dwieście metrów za nimi rozkręcono szyny. Zwłoki policjantów teżały na mrozie przewieszane przez szyny.

Syt zemsty wracał Janosik do legowiska. Rozmyślał nad gorzką nierównością swej walki. Przecież te psy będą miały zawsze w zabijaniu ostatnie słowo; oni mają z czego wybierać.

Tymczasem Baran, chłopiec z drugiego plutonu (Adamczyka), który wyszedł w ślad za wodzem z jakąś dodatkową instrukcją, pomknął w dół na zachód do Milówki. W niecałe dwie godziny był na miejscu. Wszedł do domku zajmowanego przez policję; tego samego, z którego przed paru dniami strzelał Niemiec do fałszywych gestapowców. Porozmawiał sobie z towarzyszem zabitego szupowca, a z rozmowy obu wynikało, iż ten, który nadszedł, choć w cywilu i z opaską służby leśnej na rękawie, a z parabelką pod pachą, był rzeczywistym

gestapowcem. Ten sam Baran, dzielny uczestnik ostatnich wypraw, który półtoramiesięczną służbą zdołał sobie zaskarbić względy i uznanie wodza. Połączono się telefonicznie z Żywcem i Bielskiem, wezwanie było pilne. Na drugim końcu druta u słuchawki w Żywcu mówił Laluś, aspirant zakopiańskiej tajnej policji, którego aż tutaj zawiodły nici prowadzonego przezeń śledztwa. Nie trzeba mu było wiadomości powtarzać dwa razy. Raport Barana spisuje się właśnie na posterunku w Milówce; autor jego czeka na jak najszybszy przyjazd policji, gdyż wreszcie chwila sposobna nadeszła. Można wykurzyć gniazdo partyzantów; on sam, Baran, poprowadzi ich na miejsce. Komendantem bandy jest Janosik--Błyskawica, ongiś słynny zbój, który zeszłej jesieni przeniósł się z Tatr pod Babią Górę.

Zmobilizowano natychmiast z Bielska i Żywca kompanię pościgową. Stu dwudziestu ludzi z SS, z gestapo, z schupo zjechało na czterech autach ciężarowych w ciągu godziny do Milówki. Wjechali na drogę biegnącą ku Hali Boraczej, zboczyli w las wtaczając się w szeroką przecinkę. Prowadził Baran z żółtą opaską gajowego, mając po prawej stronie zakopiańskiego gestapowca. Wysiedli z aut. Judasz wskazał żołdakom miejsce ukrycia oddziału. Było południe, kiedy mijali halę idąc jej skrajem, rozbici na cztery plutony. Zobaczyły ich natychmiast dwa posterunki leśne wystawione w tym rejonie i pobiegły w górę z alarmem. Nikt nie jest wariatem i nie będzie zaczynał w pojedynkę walki z kompanią wojska. Biegli jak jelenie zwołując się żalonym gwizdem, sygnałem niebezpieczeństwa, połączonym z krakaniem wronim. Nie śmieli nawet wypalić strzału alarmowego, aby nie zdradzić obecności nadchodzącemu pościgowi.

Zgaszono natychmiast ognisko, rozstawiono linię obronną dokoła szałasów skleconych z patyków i choiny. W zastępstwie nieobecnego wodza objął komendę nad partią Adamczyk. Pościg szedł wyraźnymi śladami w śniegu, wytorowaną w głębi boru ścieżką. Baran dał znak; jeszcze kilometr do celu. Niemcy rozsypali się w półkolistą tyralierę, podchodząc do legowiska partyzantów.

Rozpoczęła się strzelanina. Napastnicy mieli przewagę nie tylko liczbową, ale i ogniową. Rozporządzali dwoma granatnikami, czterema ciężkimi karabinami maszynowymi i sześcioma ręcznymi maszynówkami. Niepodobna było podjąć z nimi otwartej walki. Dopuszczono ich dość blisko, kładąc ich zza pni i skałek. Niestety, ciągle grały lufy maszynowe swą terkotliwą, śmiertcionośną pieśń. To już chyba koniec Janosikowych chłopców. Ostrzeliwali się zażarcie. Niemcy nie postępowali naprzód; kilkunastu ich jęcząc leżało w śniegu. Ale kośba karabinów maszynowych wrąbała się w linię obrony rozbijając ją na połowę. Nie da się wytrzymać tego ognia.

- Zwiewamy stąd do jasnej cholery! - krzyknął Adamczyk.

Gwizdaniem zwijał chłopców spod jałowców w skałki. Rozpierzchli się. Śnieg niestety tamował bieg; całe szczęście, że to był las. Wzmagało się nasilenie bitwy, walili się na ziemię jedni i drudzy. Ach, że też w tym momencie brakło Błyskawicy! On znalazłby na pewno wyjście z sytuacji. Polacy, odstrzeliwując się suto, czołgali się po śniegu, wymykając się z zagrożonych części do bezpieczniejszej gęstwiny. Znow zaterkotał karabin maszynowy kładąc się po krzakach; między jedną a drugą serią może uda się przeskoczyć. „Boże, zniszczą nas do ostatniego” - łapał się za głowę Adamczyk. Widział, jak u podnóża skały zaczęło się kilkunastu byłych więźniów cieszyńskich prażąc do nieprzyjaciół z automatów. Ci otaczali ich, na razie z daleka, lecz systematycznie. Już odcięli im odwrót w kierunku, w którym umykali kompani.

- Przebijcie się! - woła ku nim Adamczyk.

- Poddajcie się! - krzyknął z przeciwnej strony Baran. Natychmiast poznano go po głosie. Adamczyk teraz go dostrzegł wyraźnie, w brunatnej kurtce z opaską gajowego na rękawie: orli nos, charakterystyczne skrzywienie jednej strony twarzy. Wycelował do niego, strzelił raz, drugi, bez skutku. Za to od strony Adamczyka zaczął szczekać cekaem, siejąc gęstym wachlarzem w półkolu. Grad kul drapał korę, obcinał gałązki. Reszta Polaków cofała się, pozostawiając część swej partii na stracenie. Straceńców było czternastu, na ich czele Jarosław, doktor praw, były koncypient adwokacki, w okularach, wysoki, szczupły. Niemcy zbliżali się zdradliwym kołem, zacieśniając je coraz bardziej.

- Poddajcie się! - huknął Baran skryty ostrożnie za pniem, pragnąc raczej oszczędzać Niemców, aniżeli ocalić życie Polakom.

- Chodźcie bliżej - odpowiedział Jarosław i wzajemna strzelanina wzmogła się. Las grzmiał salwami i seriami. U podnóża skałki rosła duża kępa jałowców, w śniegu pod nią leżał rozkrzyżowany, podziurawiony kulami jak sito najmłodszy żołnierz oddziału, szesnastoletni chłopiec, Stasio. Przywódca bohaterskiej reduty podczołgał się ku jałowcom, legł w nich i wywiesił za chwilę na patyku skrawek biało-czerwony, noszony pieczołowicie za koszulą na piersiach; coś jak zwykła chusteczka do nosa, pół biała, pół czerwona.

- Poddajcie się? - zapytał spoza pnia Baran, który kierował ogniem i nie zrozumiał sensu wywieszanej chusteczki. Ale wnet wyprowadził go z błędu głos z jałowców:

- Psie parszywy, nie widzisz, że to polska flaga?

Bili się więc dalej, tym zązarciej. Karabin maszynowy wycelowany w chustkę zaczął grać; łopotał płótnem jak wiatr, podziurawił je kulami. Jarosław nie puścił patyka z banderą, chociaż był to już koniec. Rzucono cztery granaty ręczne pod skałkę w jałowce, opór przycichł. Kawalek płótna, chorągiewka Rzeczypospolitej, od trzech lat nie istniejącej na

mapie, leżała rozpostarta na bujnej pukli rozłożystego jałowca, poszarpana kulami. Jarosław dostał już swój śmiertelny strzał w szyję. Krew buchała mu na brudny kremowy kołnierzyk, głos stracił siłę; ale jeszcze leżąc pokazywał koledze Barana w głębi, szepcząc: - Poldek, weź go na cel, zrób mi tę przyjemność, sprzątnij go, niech umrę spokojnie. - Umarł jednak zaraz, nie doczekawszy się tej szczęśliwej chwili. Albowiem wojna przeważnie oszczędza łajdaków, bijąc najlepszych. Jeszcze trzech chłopców pod skałką strzelało, lecz słabo; kończyła się im amunicja. Dwóch zastrzeliło się ostatnimi kulami, trzeci zaryzykował życie po przeżyciu klęski.

Na ucichłą zdobytą redutę wkroczył pierwszy nie Baran-zdrajca, lecz zakopiański gestapowiec. Nie ulega wątpliwości, że za ten czyn czeka go awans. - Verfluchte Banditen! - rozdarł się Laluś, ocierając chusteczką pot z czoła. Lufą automatu zrzucił z jałowca podziurawioną biało-czerwoną chustę na śnieg, skopał ją, wdeptał obcasami w ziemię. - So werden wir es zerschmettern dies ganze Gesindel von Pollacken! - pieniał się rozdeptując śnieg w czarne błoto!

Partyzanci rozpierzchli się. Nie goniono ich. Niemcom wystarczała satysfakcja półgodzinnego zwycięstwa. Była to prawdziwa masakra. Partyzanci wprawdzie zaskoczeni, lecz rozmieszczeni w zasadzkach, zakropili na amen prawie dwudziestu Niemców, nie licząc rannych. Sami jednak stracili czternastu ludzi, i to wskutek fatalnej brawury Jarosława, który zginął wraz z częścią swojej partii.

Jasiek-Błyskawica, wracając właśnie z gwardią dziesięciu towarzyszy mundurowych po wykonaniu akcji odwetowej, usłyszał odległą bitwę w górze. Nie zawahał się ani chwili; szedł w stronę walki. Po pewnym czasie palba ustała. Zaniepokoił się, ale nie zwolnił tempa. Minęli Halę Boraczą, gdy posłyszeli parę pojedynczych strzałów z bliska. Czyżby utarczka trwała dalej? Co się stało, że policja poszła w góry? Zdrada, błysnęło mu w mózgu. Źle jest. Jedyne wyjście: nabijać w stronę Pilska, najkrócej - stokami Romanki.

Nagle spoza zakrętu ścieżki wyłoniło się trzech Niemców w mundurach. Jedenastu fałszywych policjantów drgnęło i przypadło za pnie. Tamci zobaczyli ich od razu. Zatrzymali się, złożyli karabiny do strzału. Byli zaskoczeni widokiem mundurów.

- Kto wy jesteście? - krzyknęli po niemiecku z zakrętu. Nie czekano. Posłano im od razu odpowiedź. Trzej prawdziwi żołnierze niemieccy upadli twarzą na błotnistą ścieżkę. Zwabieni strzałami nadbiegli towarzysze wyprawy ku swej przedniej straży i rozpełzli się tyralierą; iluż ich było? Dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu. Już kilku zaczęło prażyć z luf. Gwardia Błyskawicy rozsypała się w okamgnieniu; chybali między smreczkami. Gdzieniedzie był kopny śnieg, klęli ile wlaźło, ale wiali. Zatrzymać się - to znaczy poddać

się. Poddać się - to znaczy zginąć. Strzelanie zacichało, pościg ustawał. Jedni drugim poginęli w lesie. Ależ uciekali!

Koło Błyskawicy biegł Jędrak, z drugiej strony Danielak. Po kwadransie zatrzymali się nasłuchując.

- Chyba ich już nie ma?

Zasapali się. Nie było żadnego podejrzanego hałasu wokoło. W górze od wschodu usłyszeli dobrze sobie znajomy krzyk wrony. Zwolnili tempo idąc ku towarzyszom; muszą gdzieś być w pobliżu.

Jędrak wpadł pierwszy na Adamczyka.

- Co z wami?

- Rozbili nas. Jasiak jest?

- Jest.

Adamczyk zgoniony, spocony oparł się o drzewo i rzekł:

- Baran nas wsypał.

Błyskawica właśnie nadchodził. Wlepił oczy w Adamczyka, potrząsnął klapami jego kurtki.

- Powtórz jeszcze raz!

- Baran nas wsypał. Złaził po Szwabów na dół i przyprowadził ich pod same Złomiska.

- Nie mylisz się? - komendant obcierał oczy dłonią nie wierząc temu. - Widziałeś go?

- Strzelałem do niego, niestety kula mu się nie dostała. Krzyczał, abyśmy się poddali.

Zginęło moc naszych.

Wódz opanował się prędko. Zdjął czapkę, włosy w nieładzie przylepiły mu się do czoła. Machinalnie patrzył na niemieckiego orła na czapce.

- Ilu ich będzie, jak myślisz?

- Chyba ze stu.

- Psiakrew! - wdział czapkę z powrotem, rozglądał się wokoło. - Ilu naszych zabili?

- Nie wiem, bośmy się zaraz rozprysnęli. Grzali z erkaemów, aż grzmiało. Leży ich na śniegu chyba ze dwudziestu. Cieszyniaków okrążyli pod skałką i wyżęli doszczętnie.

- Wszystkich?

- Nie, było ich tam piętnastu.

Zaczęli krakać po wroniemu; zeszła się cała dziesiątka Janosikowa, a z Adamczykowej rozpierchłej gromady sześciu. Razem osiemnastu z pełnej osiemdziesiątki.

- Idziemy na Romankę, jutro przeprowadzimy się na Babią, jeśli nam dadzą spokój - zdecydował wódz.

Oho, bitwa nie skończyła się jeszcze. Niedaleko targnęło powietrzem bicie granatników. Zagrała w nich krew.

- Chodźmy, leją naszych - Błyskawica pierwszy runął w smreczki. Poćma mroczyła już niebo, chwycił ziąb.

Po kwadransie wpadli bez namysłu w strzelaninę z góry i z dołu. Niestety, w środku było paru partyzantów, których właśnie Niemcy okrążyli z dwóch stron. Jasiak przebił pierścień zwarcia, Szwabi przelękli się, zwiali w dół, czterech wywróciło się w śnieg. Strzały wzmagały się.

Po pierwszym odruchu paniki chłopcy z lasu zaczęli szarpać zwycięskich napastników. Skończyło się to dla obu stron tragicznie. Raz po raz rozlegały się podwójne, żalosne gwizdy, sygnał Jaśka do odwrotu; znali ten gwizd na pamięć. Znaczyło to: wiać natychmiast. Wiali, lecz za nimi biegli rozzuchwaleni Niemcy. Kule gwizdały naokoło, łupały korę pni, dziobały śnieg. Nie ma co, to koniec.

- Zdechniemy, zdechniemy tu, komendancie - wzdychał na pół ironicznie Danielak, sadząc między drzewami jak zając.

- Nie bój się, wszystko będzie dobrze - pocieszał go Błyskawica. - Niech tylko zrobi się ciemno, my ich tu wykończymy po jednym.

- Ach, chciałbym jeszcze zobaczyć Tatry - odzywa się Jędrzek z drugiej strony.

- Zobaczysz, zobaczysz - zabrzmiał lekko niecierpliwy głos wodza i w tej samej chwili obsypał ich grad strzałów z prawego boku. Dwóch chłopców poza nimi z jękiem wywróciło się na ziemię.

- Rany Boskie, ubijają nas tutaj. Janosik wskoczył w kupę jałowców.

- Idźcie dalej, ja ich zatrzymam.

- Jasiak, co robisz? - krzyknął Jędrzek, lecz bez protestu przypadł natychmiast koło niego, klując dotkliwie ręce na iglastych puklach. To samo zrobili Danielak i Adamczyk. Uciszyło się na chwilę, po czym z ciszy wynurzyło się czterech esesmanów z karabinami, ostrożnie rozgarniając gałęzie. Dostali wszyscy czterej po dwie kule i legli pod smreczkami.

- Jedno mam tylko pragnienie na dzień dzisiejszy - syczy głos w trawie przy jałowcu. - Chciałbym zastrzelić Barana.

To głos Jaśka. Zmierzch zapadał w las coraz wyraźniej. Gdzieś łupnął w niedalekiej odległości karabin; raz, drugi, trzeci.

- Nie pójda na noc do domu, dranie? - zafrasował się Jędrzek.

- Pamiętasz Wojtka, Jędrus? - opadły wodza wspomnienia.

- Jeszcze jak!

- Dobry był z niego kolega. Zginął marnie.

Siedzieli w jałowcach z pół godziny, ogarnęło ich ostre, mroźne zimno. Między gałęziami świerków wylał się i zgęstniał wczesny styczniowy wieczór. Wypalili cały zapas papierosów, wreszcie wstali; nogi na pół zmarzły. Posuwali się w górę ostrożnie, podejrzewając zasadzkę. Po pięciu minutach rozdarły mrok wieczoru dwa strzały. Czy to może do nich strzelają?

Poderwał ich nagły strach. Jeszcze wyżej w lewo! Rozległ się trzykrotny wysoki gwizd o umówionej melodii. To sygnał, którym nocą zwoływali się chłopcy. Odgwizdano im ustalonym sposobem. - Tu Adamczyk - krzyknął głos zza świerków. - Kto tam? - Stokrotka - odpowiedziano. Dołączyło się dwóch zbiegów; było ich już teraz razem sześciu. Wyszli na polankę. Przywitało ich wściekle granie z kąta.

- Co jest? - rozdarł się Danielak. - Polacy? Polacy? Odpowiadajcie!

- Polatzi! Polatzi! Verfluchte Pollacken! - odkrzyknięto im i głosy znów utonęły w huku strzelaniny. Z magazynów i taśm sypały się serie kul obcinając gałązki w krzakach jakby niewidzialnym tasakiem. Szwaby biegły w górę strzelając. Rozdrażnieni walką i krwią, nie celowali zupełnie; jak można celować w mroku? Kierowali się tylko głosem. Chłopcy nie wiedzieli, dokąd uciekać. - Tu już zginiemy - ogarnęło ich zdenerwowanie. Skakali na oślep po dziurach, po korzeniach, zapadali się w śnieg po kolana. Co za drański czas na ucieczkę. W las, w las, tam jest mniej śniegu! Ziemia trzęsła się od strzałów. Rzucono za nimi granat ręczny. Eksplozja była potworna, w świetle wybuchu zobaczono ich ucieczkę. Stokrotka, krępy blondyn z Makowa, jęknął łapiąc się za ramię. Mimo to biegli dalej. Z dołu nadleciały głosy:

- Was ist los? Seid ihr wieder zurück?

- A, psiakrew! - zaklął Błyskawica i krzyknął na cały głos chrapliwie: - Jo!

Jakoś im się ten głos nie spodobał, lecz nie byli pewni; z tyłu znowu strzały. Zwariować można, nie wiadomo, kto strzela. W dole rozbłysły latarki, rzucono znowu granat ręczny; do kogo? Ależ to piekło! W krótkich błyskach latarki poznano chłopców leśnych, trzech wśród nich nosiło cywilne ubrania. Zaczęto bić do nich z dołu.

- Feuer an die Banditen!

Z góry bili, z dołu bili. Błyskawica gwizdnął podwójnie, rozpaczliwie; już za jego śladem wyrywali w lewo. Jakieś młode smreczki, koryto wąskiego strumyczka, grube pnie. Cud, cud, że żaden z sześciu nie upadł pod kulami. Już nie oddychali, rżęzili ze zmęczenia i przestachu. Nie wiedzieli, zaiste nie wiedzieli, że w zdenerwowaniu uciekali, kręcąc się w kółko, stale w jednym miejscu. Stracili poczucie kierunku wskutek ciemności; zamiast

odbijać się od przeciwnika, zbliżali się ku niemu.

Pierwszy Stokrotka opadł z sił. Dostał odłamkiem w ramię; syczał nie tyle z bólu, ile z trwogi i wstrząsu nerwowego. - Już dalej nie mogę - rzekł, upadając na kolana. Dźwignięto go. - Jeszcze trochę, umkniemy im, dziesięć minut, będzie wszystko dobrze. - Nie dał sobie wyperswadować. - Tak czy owak, zginiemy. - Jędrak oświadczył: - W takim razie musimy cię zastrzelić. - Zastrzelcie.

Znowu potknął się i upadł. Kucnęli koło niego, zaciskając zęby. Co będzie? A nuż Niemcy stracili z nimi kontakt?

Nieprawda, szli wytrwale ku nim, anonsując się trzaskaniem gałęzi. Janosik schylił się, podjął rannego, podrzucił go sobie na plecy i biegł za towarzyszami, wytrzymując dzielnie tempo. Ranny na ramionach zaczął jęczeć: - Nie chcę, nie chcę, nie nieście mnie, zastrzelcie.

- Cicho bądź! - zgromił go Błyskawica, zrzucając go sobie z pleców na ręce jak tobolek, a z rąk na ziemię. Co robić? Prześladowcy byli tuż, tuż, słychać było szczęk broni i głosy. Przywitano ich serią z pistoletów maszynowych. Tamci zatrzymali się momentalnie, położyli za pniami, wycelowali maszynki, zagrali. Polacy odpowiedzieli jeszcze raz, po czym na czworakach odpełzli od rannego, wyprostowali się za drzewami i biegli ile sił w nogach. Niemcy rozpoznali ich ucieczkę, posłali za nimi serię, bez rezultatu. Już ogarnęli rannego; zatrzymali się przy nim dłużej. To ocaliło partyzantów.

Gwiazdy ukazały się na firmamencie; kawałek wolniejszego nieba.

- Chłopcy, jeśli teraz nie uciekniemy, nie uciekniemy nigdy.

To mówi Błyskawica, czujny jak zawsze.

- Widzicie tę przesiekę? Ona idzie ku Wrociskom. Wio!

- Psiakrew - szepnął Jędrak. - Będą o tobie pieśni śpiewali, Janosik.

Nie dostrzegali nic więcej w czerności tła ponad wąski pas wyraźniejszej, równo odciętej jaśni, lecz puścili się w kierunku wyznaczonym przez wodza. Była to ucieczka na granicy ludzkich możliwości. Nie mogli z siebie tchu wydusić, a przecież musieli wiać od miejsca objętego strzałami. Było widoczne: oddział SS będzie nocował w lesie, a dopiero jutro rano urządzi porządną akcję oczyszczającą.

- Jeszcze pół godziny, ocalimy się, zobaczycie.

Ale to musi być pół godziny nieustannego biegu! Drugim z kolei, który nie wytrzymał tempa tej fantastycznej ucieczki, był Kwiatek z Krakowa, więzień cieszyński. Kaszłał, był zaziębiony od paru dni. Na próżno go uciszali. Dusił się od kaszlu. - Nie kaszlaj, bo kropną do nas po głosie. - Był mokry od potu, a powietrze skuwał tęgi mróz; to może dobić najsilniejszego człowieka.

- Idźcie dalej, ja zostaję.
- Chcesz kulę w czoło? - zapytał ponuro Danielak.
- Wszystko mi jedno, nie mogę oddychać.

Upadł. Podniósł się jednak w tej samej chwili, znów powinno mu się kolano, rozciągnął się jak długi.

- Bądź zdrow w Oświęcimiu - rzekł mu Jędrak na pożegnanie. Mróz przenikał ciało do kości. Zrywał się wiatr przenikliwy, lodowaty.

- Ma który z was papierosa? - pytał Jasiek. Nikt nie miał.
- Jeśli go nie znajdą, zmarznie na kość do jutra.

Już tylko szło z nim trzech. Posłyszeli z dołu wołanie: - Błyskawica! Błyskawica!

- Co za idiota woła?
- Kwiatek. Zaczekajcie. Idę z wami.

- To dureń! - zaklął Jasiek. Wyteżyli oczy w noc, czy nie mają do czynienia z zasadzką. Też głupota oznajmiać głośno swą obecność, i to wtedy, gdy się jest ściganym! Kwiatek szedł z karabinem w ręce. Oświetlili go latarką: żalony obraz człowieka, niegdyś pełnego sił. Cóż dziwnego? Siedział w więzieniu cieszyńskim przez sześć tygodni i teraz w pierwszych dniach swobody znalazł się u wrót śmierci.

- Poczekajcie. Mówicie, że się ocalimy?
- Tak. Pod warunkiem, że nie będziesz nic gadał.

- Ja wam proponuję coś lepszego: zastrzelmy się wzajemnie. I tak z wszelką pewnością czeka nas śmierć. Nie doczekamy końca wojny. Anglia jest daleko, Pan Bóg wysoko. Zastrzelmy się, nie ma co.

- Chory jesteś - syczy Janosik zaciskając zęby. - Zamiast bzdury pleść, marsz z nami! Jeżeli nie chcesz, strąć mi się z oczu!

Kwiatek załamał się nerwowo.

- Ja mam żonę i małe dziecko, ja chciałem wrócić, mogłem jeszcze żyć. Wyście mnie zbałamucili - zaczął płakać, rzucając się ku wodzowi. - Przez ciebie umieram jak i ci wszyscy, których ty pchasz w paszczę śmierci - skierował lufę karabinu w pierś Błyskawicy; już, już strzeli. Janosik trwał wyprostowany, nie drgnął mu ani jeden mięsień w twarzy. Towarzysze skoczyli ku maniakowi. Za późno; strzelił. Ale chybił pod wpływem nerwowego wstrząsu. Płakał jak dziecko.

- Nie bawmy się - rzekł zimno hetman i lęk ściał serca wszystkich. - Chciałeś mnie zastrzelić, Kwiatek?

- Tak. Przez ciebie życie moje złamane. Drugi raz nie chybię.

Ale tamci wykręcili mu rękę.

- Zastrzelić go - osadzili krótko. - Nie ma czasu się nim zajmować.

Rzeczywiście za długo trwa ta historia; przecież z dołu wali za nimi pogoń.

- Idźcie dalej, ja się z nim załatwię - odezwał się Janosik. - Chciał mnie zabić, to nasz wspólny porachunek. Zaraz was dogonię.

Puścili Kwiatka, maszerując ku górze w ciemnościach.

- Kwiatek, miałeś możliwość wyboru, gdybyś nie chciał w partyzantce służyć. Teraz już nie wolno ci się cofnąć. Ale jesteś chory, masz żonę i maleńkie dziecko. Rozumiem ciebie. I dlatego zwalniam cię. Nie chcesz iść z nami, nie chodź.

- Nie pójdę.

- Powinienem cię zastrzelić za bunt i za to, żeś chciał mnie zabić. Ale nie zrobię ci nic złego. Nie dla ciebie to robię: dla twojego dziecka.

Skierował lufę do pnia, wystrzelił; klapnęło głucho.

- Aby towarzysze wiedzieli, że rozprawiłem się z tobą po wojskowemu. Wziąć ci karabin?

- Nie.

Jaškowi błysnęła krótka myśl: „Zastrzeli mnie, gdy się odwrócę”.

- Oby cię nie złapali. Nie stój w miejscu, bo zamarzniesz. Schodź na lewo, ku Stawiszczom, nie ku Boraczej. Pozdrów od nas żywych na dole. Dla nas już jesteś umarłym.

I tak pojęli ten strzał towarzysze. Lecz Szwaby nie ustawały w pościgu. Słyszeli jeszcze poprzedni strzał Kwiatka do Jaška i to im wystarczyło do zorientowania się w kierunku gonitwy. Z wysoka rozległ się gwizd; zaniepokojeni towarzysze dopominali się powrotu komendanta. Uspokoił ich, nie zdając, sobie sprawy, że z boków zabiegają mu drogę Niemcy.

Jak długo trwa ta obłąkana gonitwa? Janosik szedł skrajem smreków po umiarkowanym śniegu, mając nad głową pas wolnego nieba. „Smreki to moi bracia” - pomyślał nie bez ironii. W tej chwili z prawej strony odezwał się gwizd; odpowiedział identycznie, kierując się w jego stronę.

- Hände hoch! Hände hoch! - zaczęto nagle krzyżeć. Wrzawa głosów. Skąd się ci dranie wzięli naokoło?

Janosik zatrzymał się jak wryty. Łotry! Gwizdy były także sfalszowane! Upadł na ziemię, z wściekłością złożył się w stronę głosów paląc serię z empi. Zakotłowało się z lewej strony nad nim; rzucono dwa granaty ręczne. Oślepiły go jedynie, rzucone były z daleka. Pierwszy to raz siła ognia w walce poraziła go swoją grozą; sprężył się, poderwał i chybnął

porzucając broń. Ufał już teraz tylko własnym nogom. Słyszał w krąg podkute buty skaczące po korzeniach; był tak oszołomiony, że nie rozróżniał kierunku, z którego dobiegało dudnienie. Strzelali ciągle. Co za sens strzelać na ślepo?

Przylepił się do smreka w chwili, kiedy między pniami sunęło kilka zgiętych postaci pochylonych nad karabinami, jakby składając w nie cały swój niepewny los. O, bo też w lufach spoczywał cały sens tej nocnej leśnej bitwy.

Oderwał się od pnia, bo wydało mu się, że któryś z przodu zatrzymał się i wraca. „Nie umknę, psiakrew, czy co?” Rzucił się w tył na lewo. To było głupie; mógł przywarować jeszcze z pięć minut, przelecieliby koło niego. Ledwo się odwrócił, wpadł prosto w ramiona nadbiegającego żołnierza. Wyłamał mu karabin z garści, tamten krzyknął o pomoc. Trzepnął go kolbą w łeb, podbiegło dwóch innych Niemców w kurtkach, zwalili się na niego, przysiedli, koniec. Czy nie bredziła mu przed laty jakaś baba, że go ciemność zgubi?

Z góry huczały strzały; koledzy zbiegali wodzowi na ratunek. Prześliznęli się z ośnieżonego duktu między drzewa; rzadszy pokład bieli i mroczna głąb lasu chroniły ich postacie. Szpica niemiecka parła w górę nie przestając bić, nie oglądając się na złowionego partyzanta, na którym już siedziało okrakiem trzech Niemców. Trójka polska musiała się wycofać poza linię strzałów, świadoma tego, że każdy krok teraz oddala ją od śmierci. Szwaby kropiły za nimi, dopiero po dłuższej strzelaninie pościg zatrzymał się i ucichł. Wracało ich siedmiu, nasłuchując co chwilę zasadzki.

Błyskawica leżał na śniegu, na nim zaś trzy osiemnastoletnie cielska sadystów. Był bez kurtki, odrzucił ją już dawno, gdyż tamowała tempo ucieczki, i bez czapki, którą zdarła mu z głowy jakaś gałąź. Od chwili gdy dwa granaty upadły koło niego, poraził go widocznie podmuch, gdyż stracił poczucie kierunku; zamiast w górę do towarzyszy, pędził właśnie w prawo ku ścigającym. Wprost pod ich lufy.

Zbiegli się wszyscy do niego, jedenastu ludzi. Wzięli go w środek, schodzili duktem w dół. Tędy, wiadomo, dojdą do ścieżki. Janosik kroczył po śniegu w wysokich butach, znów mając pas wolnego nieba nad głową. Spocone włosy gęstą grzywą przylepiły mu się do ciała, nieprzyjemnie mokre spadały na oczy. Otrząsnął je jak koń grzywę, pod oczami ukazały mu się gwiazdy, te same, które widział przed półgodziną, te same, które oglądał przed pięciu laty.

O północy żołnierze z ujętym chłopcem dobili nareszcie do oddziału, który obozował w lesie na skraju polany. Zakopiański gestapowiec rozstawił strażę i zezwolił na rozpalenie ogniska. Byli jednak w pogotowiu, spodziewając się każdej chwili napadu. O dziwo, sprowadzono rannego Stokrotkę, natomiast nie znaleziono Kwiatka.

Jasiek siedział przy ognisku pod czujną strażą dwóch esesowców, patrząc w ciemną,

zbitą ławę smreków. Nie powstała w nim żadna myśl o Ewie, o dziecku; życie swoje dawno oddał walce i zemście; tkwiła w nim całkowicie gorzka, zapiekła nienawiść. Więc znowu go schwytano na tej pechowej górze, na Pilsku! Gdzież to złapali go wtedy, w 1938 roku? Na zachodnich zboczach między ramieniem Kosistej pod granicą słowacką. A teraz los jego dokonuje się o parę kilometrów na północ, pod Halą Boraczą. Jakieś fatalne przeznaczenie oplatało jego życie wokoło tych samych nieszczęsnych gór. Był przecież w Chełmie Lubelskim, Rzeszowie, Krakowie, dlaczego tu właśnie musiał przyjść umrzeć?

Tu jest początek i koniec; w cieniu wysokobeskidzkich lasów. Upolowali go jak zwierzę w nagonce. Och, zastrzeliłby się już pod pniakiem, gdyby nie to, że nie miał broni pod ręką. Porzucił ją w nagłym oszołomieniu pod wpływem wybuchu granatów. Ach, gdyby umrzeć wcześniej, nie dając widowiska wrogowi!

Oddział SS i policji pod wodzą zakopiańskiego gestapowca rozbił grupę Błyskawicy, ujmując komendanta i niszcząc jedną trzecią jego ludzi, ale i sam poniósł znaczne straty. Nazajutrz od samego świtu rozpoczęto przeszukiwanie lasu oraz znoszenie zabitych i rannych. Dopiero teraz przy oczyszczaniu terenu dostał się im w ręce zablakany Kwiatek, ruina człowieka, zmaltretowany psychicznie, na pół zmarznięty. Trzymał w ręku karabin, nie strzelał jednak do nikogo.

- Czy to wasz komendant? - pytano go przy konfrontacji z Jaśkiem. Wódz siedział chmurny, ze wzrokiem utkwionym w niego.

- Nie. Skądże? - wyparł się tamten, wytrzymując dzielnie spojrzenie wodza.

- Znasz go? - pytał Laluś.

- Nigdy go nie widziałem.

Ale wmieszał się w tę scenę Baran.

- Jak to? Będziesz kłamał, żeby go bronić? Błyskawicy nie poznajesz? Nie masz go co oszczędzać. Wszystkich nas na śmierć prowadził, aby w stosownej chwili uciec. Ilu dziś w nocy przez niego zginęło? Kwiatek, powiedz mu to w oczy. Nie bój się. On już teraz nie twój komendant.

Kwiatek porwał się spod pnia.

- Ty skurwysynie! Mordę ci skuję, zdrajco! - syknął do Barana, idąc na niego z pięściami. Powstrzymano go. Utkwił rozjarzone złością oczy w dryblasie. - Tyś niewart, abym splunął na ciebie. Nie znam go, kto on - upierał się przy swej beznadziejnej tezie. - Ale to święty człowiek.

Jasiek nie zaszczylił Barana spojrzeniem. Wtedy wysunął się ku niemu gestapowiec.

- Ach, więc pan jest Błyskawica! Janosik! Szukam pana od samiutkich Tatr.

Komendant zacisnął nerwowo zęby. Tylko nie dać się sprowokować. Żołnierze znosili ciągle nowe trupy oraz rannych. Ach, więc tylu ludzi ubili - ucieszyło się serce hetmana. Przez pięć godzin przetrząsali las, całą swoją wczorajszą drogę od partyzanckiego legowiska, przeliczali się niezliczoną ilość razy na zbiórkach. Po pięciu godzinach doszli do definitywnego rezultatu: zginęło trzydziestu trzech, rany odniosło dwunastu.

W południe niemiecki oddział policyjny opuszczał się wolno ku Milówce przez Hałę Boraczą. Dookolne wsie od wczoraj już huczą od sensacyjnych wieści: w lasach na granicy słowackiej wylądowały z powietrza wojska polskie i angielskie; od południa do późnej nocy wrzała ogromna bitwa jak na froncie. Zwycięzcy zamówili dodatkowo dwa auta; na trupy, na rannych, na jeńców. Tych ostatnich przyprowadzono czterech: Błyskawicę, Kwiatka, Nagórskiego i rannego, Stokrotkę. A więc trójka ostatnich Jaśkowych kompanów: Jędrak, Danielak i Adamczyk, wymknęła się z potrzasku.

Tak rozproszono partię Błyskawicy.

Żałowali go tęskliwą śpiewką, zgromadzeni na nowym legowisku niedobitki po wielkiej walce. Przez trzy dni grzebali swoich: dwadzieścia jeden trupów, które Niemcy pozostawili w śniegu, mimo iż skrzętnie pozabierali swoich nieboszczyków. Czterech ludzi, zaginęło, prawdopodobnie wpadli w ręce Niemców, w tym Błyskawica; nieodżałowana to strata. Danielak powziął szaleńczy plan: pójść na Żywiec i odbić komendanta. Odrzucono ten pomysł jako niewykonalny. Istotnie, byłoby szaleństwem w pół setki ludzi wybierać się na miasto, naszpikowane obecnie policją, dudniące od niedawnej oblawy.

Dla ostrożności oddział przeprowadził się na Babią Górę pod komendą Danielaka. Spotkali się - idąc w trzech grupach - na Markowych Szczawinach przy Morskim Oku, maleńkim, niezgłęzionym stawku.

W Żywcu działy się tymczasem straszne rzeczy. Upalony strzelił sobie w łeb, widząc, że sprawa zdradzona. Grandowskiego aresztowano na dworcu, w chwili gdy wyjeżdżał do Krakowa. Baran dalej rozwijał oczka zdradnie namotanej sieci. Obywatel żywiecki, Birkenmajer, były kupiec, u którego gościł Jędrak Radoń i Upalony-Niedopałek, został aresztowany; rewizja wykryła u niego dużo materiału obciążającego. Młodą krawcową Ciesielską, narzeczoną szofera Czernika (służącego obecnie w partyzantce), wyciągnięto z domu nocą i przesłuchiowano przez dwadzieścia cztery godziny. Birkenmajer nie wydał żadnych nazwisk: siedział już czwartą dobę w ciemnej celi, niezłomnie trwając przy swoim. Od dziewczyny spodziewali się coś wydostać; zbili ją, aż dostała wstrząsu nerwowego.

Mówiła jak obłąkana. Pytano ją: - Gdzie pani pracuje? - Odpowiadała: - W salonie mój Emma. - A narzeczony pracuje? - Kiwała głową potakująco. - O, mój narzeczony, chłopak malowany. - Ponowiono pytanie: - Gdzie pracuje teraz? - Odparła: - Wszędzie. Jak trawa rośnie, także pracuje. - Podeszedł ku niej gestapowiec, tłumacząc jej na rozum:

- Słuchaj, dziewczyno, nie udawaj wariatki. Nie wyjdiesz nigdy z murów tego budynku, jeżeli nam nie powiesz, gdzie przebywa twój narzeczony, Stefan Czernik.

Wywróciła oczy w szept - niebrzydka z niej była dziewczyna - i zaczęła mówić jakby w obłądnym zachwyceniu:

- Stefan Czernik i Magdalena z Ciesielskich Czernikowa! Stefan Czernik i Magdalena z Ciesielskich Czernikowa! Połączeni dożgonnym węzłem małżeńskim.

- Czernik uszedł w góry do Janosika? Do Błyskawicy, tak? - poddawał Luluś zniecierpliwiony jej bredzeniem.

- Uszedł do Błyskawicy - powtarzała za nim bezmyślnie, bezwolnie i zanuciła z przeraźliwym smutkiem na pół komicznie, na pół tragicznie:

*Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,
że za ciebie giną, że za ciebie giną
chłopcy wybierani!*

Można by się było śmiać z tego, gdyby nie wstrząsający jej widok. Nic od niej nie wyciągną. Znudzili się.

Wypuszczono ją. Aresztowano jeszcze trzy osoby w Żywcu i jedną w Bielsku. Najmężniej po Janosiku trzymał się Kwiatek, ten sam, który chciał w noc pod Hałą Boraczą strzelać do komendanta. Jego też wraz z wodzem przewieziono do więzienia w Bielsku, podczas gdy Stokrotkę, Nagórskiego, Grandowskiego, Birkenmajera i dwóch innych odesłano do obozu w Oświęcimiu. Padał śnieg, kiedy opuszczali Żywiec w wagonie kolejowym, eskortowani przez dziesięciu policjantów. Kto wie, może obawiano się próby odbicia w gorącym terenie żywieckim? Może i oni sami łudzili się nadzieją, że chłopcy z gór jakimś cudem ocalał ich przed grozą powolnej śmierci? Jeszcze z dworca skierowali wzrok na pyszniące się śniegiem szczyty, na Babią i Pilsko, dwie góry ich niedawnego wojowania.

Prędko załatwiono się z Jaśkiem-Błyskawicą. Poznali od razu, że z twardą sztuką mają do czynienia. Odmówił zeznań na temat składu i rozmieszczenia oddziału w terenie. Pomimo mąk nie wsypał ani jednego nazwiska. On nie z tych, którzy wszystko śpiewają, kiedy się im wyłamuje rękę.

Badał go sam Laluś.

- Pan jest Janosik?

- Ja.

- Ten sam, który przed wojną był skazany na śmierć?

- Tak.

- Na szubienicę, prawda? - mruży oczy kat zakopiański, krzywiąc usta ironicznym uśmiechem.

- Na szubienicę.

- Co się odwlecze, to nie uciecze. Albo inaczej panu powiem, panie Błyskawica. Istnieje jeszcze drugie przysłowie polskie: Co ma wisieć, nie utonie.

Więzień zagryzł wargi, nic nie odpowiedział. Zwołano sąd, stanął przed nim najpierw Kwiatek, później Jasiek. Obu schwytano w walce. Sądziło trzech oficerów, Sondergericht. Sprawa była dla nich prosta. Kto się będzie bawił z polskimi bandytami tu, gdzie jest macierzyste niemieckie władanie, żadna okupacja, żadne G.G.? W bitwie na północno-zachodnich stokach Pilska zginęło ponad trzydziestu Niemców. Obaj oskarżeni winni są śmierci; zginą przez rozstrzelanie.

Skazańców osadzono w jednej celi. Utwierdzali się obaj w wierze, z godnością oczekując swojego losu. Na jedną noc umieszczono Jaśka w celi zajętej przez jakiegoś więźnia z obandażowaną głową. Lokator od razu zapytał go o kolegów.

- Jak, się ma Danielak? Chodziliśmy razem. Nic.

- Jak wyjdiesz z tej budy - ciągnął tamten - pozdrów ode mnie Niedopałka. Powiedz, że go Wilk pozdrawia.

- Daj mi spokój. Nie znam żadnego Niedopałka. Czy byłeś kiedy w Tatrach?

- Nie.

- Szkoda. Żebyś wiedział, jak słońce zachodzi nad Czerwonymi Wierchami! Ach, przespać się jedną noc w Dolinie Niewcyrcy, na Polanie Pod Wysoką, w trawach pod Wołoszynem! To jest życie.

Obandażowany nachylił się ku niemu i szeptał:

- Słuchaj, dostałem się tu przez zdradę. Wsypali mnie. Pomóż mi wydostać się stąd. Zwiejemy, będziemy znowu zbijali w partii. Razem z kolegami. Z Niedopałkiem, z Danielakiem.

Jasiek wbił w niego stalowe, spokojne oczy i mówił:

- Chcesz, opowiem ci o Tatrach. Nie będę mówił o czym innym. Nie jestem głupi.

- Masz mnie za prowokatora? - zaperzył się tamten niezdarnie.

- Szkoda, bracie, gadać. Nic się ode mnie nie dowiesz. Przejrzałem cię na wylot. Możesz najwyżej dostać po mordzie. A potem niech mnie zabiją. Uważaj, nic nie mów. A mnie jest wszystko jedno.

Po tym nieudanym eksperymencie wsadzono Jaśka z powrotem do celi Kwiatkowej. Był błądy ze złości, profil wyostrzył mu się, nos i podbródek wysunęły się naprzód.

- Głupcy! Chcieli mnie wziąć na kawał. Dwudziestego siódmego stycznia o dziewiątej rano - w dzień urodzin i jednocześnie imienin Jaśkowych - wyprowadzono z celi Stanisława Kwiatka, niedoszłego zabójcę Janosika, i rozstrzelano go publicznie na rynku w Bielsku. Ciało jego dozorowane przez dwóch policjantów leżało na piasku do godziny drugiej, ze zgrozą oglądane przez mieszkańców. To symbol sprawiedliwości wielkoniemieckiej czujnej i działającej.

Niezapomniane było pożegnanie obu skazańców. Ponieważ nie dopuszczono kapłana do Kwiatka (nie uznawano tego w czasach ostatniej wojny), młodzieniec ukląkł przed komendantem i wyspowiadał się przed nim z całą pokorą i naiwnością. Wstał oczyszczony z ziemskich spraw, uduchowiony; z ulgą, że powierzył komuś ciężar swoich grzechów. Następnie pocałował w rękę Janosika. - Nie gniewaj się na mnie za nic. Że przeze mnie idziesz na śmierć. - Tamten wziął go w ramiona, ucałowali się. - Bracie, ginimy pięknie, za Polskę. Po to giną jedni, aby drudzy mogli żyć. Idź.

Lodowaty wicher smagał mu twarz, rumieńce wybiegły na policzki. Dzień podnosił się zimny, mglisty, całe miasto otuliło się śniegiem. Było cicho. Ludzi nie widać zupełnie, a domy jakby oddaliły się od ulicy.

Na prawie pustym rynku w mroźny ranek Kwiatek ogarnął spokojnym wzrokiem dwupiętrowe kamienice Bielska, powtarzając sobie szeptem słowa komendanta: „Ginę za Polskę”. Huknęła głucho salwa i dopiero teraz zaniepokojono się w oknach przyległych domów. Już posterunek stał nad ciepłym ciałem Kwiatka. W sześć godzin po egzekucji, gdy mieszkańcy miasta napatrzyli się krwawemu widowisku, kiedy zaczynał się zmierzch, nadjechało auto; żołnierze Sonderdienstu w czarnych mundurach zabrali na platformę samochodową trupa i pogrzebali go pod murem cmentarnym, nie wzniosłszy nawet mogiłki nad zwłokami, nie wbiwszy nawet deseczki z nazwiskiem. Nazwisko bowiem przez pół dnia widniało wypisane na tablicy przy zwłokach, aby wszystkim było wiadome, kto i za co zginął. „Za udział w walce przeciw prawowitej władzy niemieckiej, za udział w nielegalnych organizacjach i za nieprawne posiadanie broni.”

Tak skończyło się życie Kwiatka. Janosika miano rozstrzelać w cztery dni po nim, także publicznie, dla zastraszenia Polaków. Przyspieszono jednak egzekucję o dzień i

odebrano jej charakter widowiska z obawy przed niepożądanymi ekscesami, a może z obawy przed próbą odbicia? Oczywiście skazaniec nie wiedział nic o terminie wykonania wyroku; mogli go zastrzelić dziś albo za dwa tygodnie.

- Więc pan jest tym słynnym Janosikiem, który urządzał marsz górali? - zapytywał go dozorca, cichy, milczący stronnik sprawy narodowej. Postać chłopca, do niedawna legendarnej zmory policji niemieckiej, napawała go podziwem i szacunkiem. - Tyle ludzi idzie na śmierć przez tę wojnę - kiwał współczująco głową.

- Czy pan nie zna tego Barana, który nas wsypał? Kto to jest?

- Nic o nim nie wiem - potrząsnął głową przecząco dozorca. - Mówią, że ma inne prawdziwe nazwisko, jest Niemcem, przyjechał do Żywca rok temu skądś z Cieszyna. Ja go nie znam. Czy o panu dawniej tu mówili „Mocne Dziecko”? - wrócił do poprzedniego wątku.

- Dawniej miałem rozmaite przezwiska - odparł zamyślony Jasiek, jak gdyby śpiewał dawno zapomnianą piosenkę. - Sierota, Mocne Dziecko, Brzozowy Listek, Janosik, czy jak tam jeszcze; już nie pamiętam. Teraz mam tylko jedno imię: Błyskawica. Ale i o nim jutro świat zapomni.

- Może pan chce, aby komuś dać znać o panu? Komuś z rodziny jakieś zlecenie? - głos dozorca łamał się ze wzruszenia. - Wszystko bym dla pana uczynił - dodał ciszej - z wyjątkiem wyswobodzenia stąd. Tego się nie da zrobić. Oni mnie strzegą tak samo jak więźnia, szpiegują na każdym kroku.

- Nie myślę o tym - rzekł rozmarzonym tonem, ową melodią dawnej piosenki. - Ale niech pan słucha - ożywił się nagle. - Ma pan kawałek papieru?

Tamten skinął głową.

- Chce pan list napisać?

- Kartkę. Dwa słowa. Mam żonę.

- Boże! Taki młody chłopak.

- I dziecko mam.

Wziął kartkę papieru i pisał ołówkiem: „Ewa, Ewa, przebacz mi wszystko. Kocham cię aż do końca moich dni. Bądź dzielna jak twój mąż. Wychowaj Jędrusia na dobrego Polaka. To najpiękniejsze, co mi dałaś poza sobą w życiu: dziecko. Myślcie zawsze o mnie, kochajcie mnie. Kochajcie mnie. Jaś Brzozowy Listek”. Zaadresował u góry świstka: „Ewa Dziurowa, u Katarzyny Tramek, wieś Przyborów, gmina zbiorowa Jeleśnia”. Przez chwilę stał jak w jasnovidzeniu; ujrzał Ewę nachyloną nad dzieckiem przy oknie, które do połowy przysiadła brzuchata czapa Pilska. Widział jej twarz drobną, ściętą bólem. Przypomniawszy sobie: przecież wysłał Ewę z Jędrusiem na drugą stronę za pośrednictwem Pasika, już miesiąc temu. To nic.

Stara Tramkowa zna jej adres, prześle jej kartkę na miejsce.

- Czy pan nie wie, kiedy egzekucja?

- Nie wiem. Rozkaz przychodzi w ostatniej chwili.

- Nie zapomni pan o tym posłaniu do żony?

- Nie.

- Naturalnie pośle jej pan to wtedy, gdy mnie... już nie będzie. Pan rozumie?

- Rozumiem - odparł dozorca i wzruszenie ścisnęło mu krtań. Odebrał kartkę z takim poczuciem, jak gdyby brał w palce relikwię. - Sam pójde z tą kartką, przysięgam panu.

Wziął menażkę z łyżką. - Niech Bóg będzie z panem - rzekł na odchodnym i nagle pocałował go szybko w drobną, ciepłą rękę. Taka siła i żar były od skazańca, że ów stary człowiek nie mógł powstrzymać się od tego gestu. Ta sama dłoń głaskała po twarzy kobiety i rozkrwawiała nosy wójtom. Ta dłoń trzymała rewolwer, zabijała, podpałała. Ona rozdawała tysiące biedakom, ona je kradła możnym. To głupie, ciągle się to samo powtarza: całują go po rękach jak księdza. Nie przepowiedział mu tego niegdyś Kudłoń? Kudłoń czy Cyganka w, Czorsztynie?

Przed wieczorem tego dnia wyprowadzono Janosika z celi, tak jak stał: w butach z cholewami, w starej policyjnej bluzie niemieckiego wachmistrza. Wpakowano go do auta osobowego w eskorcie trzech uzbrojonych po zęby policjantów. Mróz skuwał ziemię, wiał ostry wiatr od wschodu. Nozdrza Błyskawicy wciągnęły wilgotny dech powietrza. „Będzie śnieg - pomyślał. - Dokąd oni ze mną jadą?"

Jechali niedaleko - do Żywca. Nie wiadomo dla jakich powodów, przyszedł rozkaz pisemny z policji, aby skazańca dostawić natychmiast do więzienia, żywieckiego. Dla ostrożności - czego się nie robi, gdy się wie, z kim się ma do czynienia? - upewniono się w Żywcu co do autentyczności rozkazu (bywały już i takie mistyfikacje), zbadano papiery konwojentów i posłano za autem drugi samochód, naładowany sześciu policjantami z ręcznym karabinem maszynowym.

Kłębiaste chmury przewalały się po niebie z południa na północ. Jasiek z rękami w kieszeniach przeszedł z podwórza więziennego do gmachu. Poznał Żywiec; rozróżnił zarysy zamku habsburskiego, wysoki komin browaru, przejeżdżał obok pamiętnej targowicy bydłowej nad rzeką, mijał całkowicie pusty rynek. To miasto jego młodości, miasto jego niedoszłej chwały hetmańskiej, miasto jego haniebnego kryminału, a kto wie - teraz może miasto jego rozstrzelania?

Na nowym noclegu przy wzrastającym świście wichury śniła mu się Ewa. Od paru nocy nawiedza go jej twarz piękna, pełna słodyczy i zarazem bólu, bez uśmiechu, straszliwie

smutna. Widział nieskazitelną linię jej profilu, od wyniosłego czoła, jakie miewają górale, poprzez rasowy nos, cudowne płatki warg jak u kwiatu, aż po ostrą krzywiznę brody, spływającą łagodnym łukiem w szyję. „Pamiętaj o mnie” - szeptał jej głos jak dawniej w chwilach niezapomnianej pieśczoży. „Jaśku, Jasieńku” - dźwięczało mu w uszach jej wołanie. I poczuł się we śnie samotny i znużony.

- Dschura! Janoschik! Janoschik! - rozległy się w korytarzu krzyki i tupot podkutych butów. Do celi wkroczyło trzech policjantów; jeden z nich rzucił kupę łańców na barłóg skazańca.

- Ziehe das an! - warknął po niemiecku. Jasiek z samego gestu dorozumiał się sensu i zaczął się przebierać. W okamgnieniu pojął wszystko: to już koniec. Dają mu więzienne łańmany, bo pod mur szkoda lepszego ubrania. A zresztą nie wypada strzelać w mundur wachmistrza niemieckiej policji, byłaby to profanacja. Zdjął siwą bluzę, wysokie buty, brązowe sukienne spodnie, wdział stare, długie, ciemne spodnie (trzeba je było zawinąć nad kostkami), podartą czarną marynarkę i buty z drewnianymi podeszwami.

- Schneller! - popędził go policjant o byczym karku. Skazaniec dopiął guzik obszernego surduta; podniósł na szyję kołnierz wraz z klapami, był gotów. Wyglądał śmiesznie, jak pajac, w dodatku kłapał drewniakami.

Był wczesny ponury ranek, pogoda pod zdechłym psem. Śnieg sypał, wiatr wzmagął się, skłębiona kurniawa biła w oczy. Na podwórzu czekało auto ciężarowe z nakrytą platformą. Najpierw wsiadł Janosik z trzema opiekunami, po nich pluton egzekucyjny ośmiu żołnierzy SS. Koło szofera usadowił się gestapowiec zakopiański i porucznik Mayer. Auto podwiozło ich pod niedaleką górę, zwaną Wiaterną. U stóp jej rozłożył się kamieniołom. Dojechali dalej do połowy wzgórza, gdzie mieściła się opuszczona cegielnia. Tu urywała się droga. Na szczycie góry stał zrujnowany dom; dziś pozostały z niego resztki muru na wysokość dwóch metrów. Tam właśnie maszerowali.

Ach, teraz wydaje się jasna przepowiednia Cyganki: „Tobie jest pisana śmierć wysoko”. Na tej górze zginie. Płatki śniegowe fruwały jak szalone, zawieja skręcała je w trąby. Już nigdy nie będzie chodził po tej ziemi. Niebo jak ruchome kołysze się nad nim, przybliża się ku niemu; to samo niebo, które w tej chwili wysypuje zwały mokrego śniegu nad Pilskiem. Po co to wszystko robięś, Jasiek? Za mało mi było świata. Burżujów rabować, domy podpalać, grabić z posterunków rewolwery - dzieciństwo. Po karczmach hulać z dziewczkami - dzieciństwo. Przemyt odprawiać, drzewo kraść - dzieciństwo. Wyłuskiwać gestapowców, pociągi wysadzać z szyn, więźniów odbijać - czy to także było dzieciństwo?

Popatrzył na swoje ręce, małe, brudne, zmoczone płatkami wirującego śniegu; ile

kochania mieściło się w tych rękach, ile krwi spłynęło po nich! Nie bój się, będziesz zbawiony - świszczy mu wiatr od Babiej Góry. Odpuszczają ci się wszystkie grzechy twoje - szeleści śnieg oblepiający ciemne sukno łachmanów.

Dochodzili do ruin. Życ się nie chce naprawdę w taki posepny ranek. Mokry śnieg wali za kołnierz, jakie to wstrętne uczucie. Cóż to za łachy mu dali? Kapota z jakiegoś grubasa, ręce telepią się w szerokich rękawach, spodnie obszarpane, za długie, łata na łacie; jakieś szmaty z obozu. Kto wie, na ilu to już nieboszczykach było?

Pokazano mu miejsce pod ścianą, gdzie powinien stanąć. Zwrócił się do gestapowca, wiedząc, że go zrozumie.

- Stanę sobie po tamtej stronie muru. Od południa. Tamten wzruszył ramionami.
- Wszystko jedno, jak ci wygodniej - zakpił.

Janosikowi nie było wszystko jedno. Stał bowiem o pięć metrów dalej, obrócony twarzą ku drodze. Taki jest odwieczny obyczaj harnasiów, że muszą patrzeć w chwili śmierci na drogę, która im będzie na zawsze przypominała zbójnicki szlak. Pojął jednym błyskiem myśli: to było nieodwracalne, tak musiało się stać. Wędrował po całej Polsce i musiał przyjść po śmierć w to samo miejsce, skąd niegdyś wyszedł.

Laluś odczytał po niemiecku wyrok. Jasiak nie słuchał.

Popatrzył przez pół minuty na jego rosłą, przystojną, młodzieńczą postać, westchnął w myśli: „Jaka szkoda, żeśmy go nie sprzątnęli” - i przerzucił wzrok ponad gromadę żołnierzy na południe. Dołem biegnie droga przecinająca Żywiec, wybiega na drugim końcu i idzie pomiędzy Babią a Pilskiem, do granicy. Tę drogę już raz przemierzał idąc boso, z kajdankami na rękach. Tą drogą po śmierci znowu wróci w góry, gdzie do dziś dnia zbijają jego kompani, wierni żołnierze sprawy, grupa Błyskawicy. „Oni mnie pomszczą.” Patrzy na niebo zaniesione kurniawą; przez chwilę - jakże krótką - przelatuje mu przed oczyma wszystko, wszystko, co przeżył dotychczas. Ach, jakie życie jest malutkie! W jednej minucie można je sobie całe przypomnieć.

Gestapowiec skończył czytać, schował papier do kieszeni. Porucznik stanął przed wyciągniętym rzędem żołnierzy, którzy już zdjęli z ramion karabiny. Jeden z eskorty podszedł z chusteczką do skazańca, aby mu zawiązać oczy. Młodzieniec zaprotestował.

- Nie zawiązujcie mi oczu. Chcę umrzeć z otwartymi oczyma. Dostałem wyrok. Tak jak walczyłem, tak chcę zginąć.

- Żebyś mnie poznał, draniu, w piekle? - rzekł wesoło Laluś. - Nie ma głupich, bratku.

Podszedł do niego sam i zawiązał mu oczy delikatnie, skrupulatnie. Może się bali, że w oczach ma siłę tak wielką iż kulę w locie wstrzyma? Kiedy patrzy na człowieka, strzał nie

śmie go osiągnąć; i oni byli gotowi w to uwierzyć. Nie zraniono go jeszcze nigdy, a ileż nastrzelano się do niego!

- Ani jedna go nie draźnie w dzień, kiedy patrzy. Chyba z tyłu i w nocy. Pięćset kul poszło do niego i nic.

- Naszych osiem wystarczy - powiedział porucznik Mayer i dotrzymał słowa.

Osiem luf karabinowych wycelowało w ciało Błyskawicy. Zachował się dzielnie do ostatka, jak przystało na hetmana. Mokry śnieg walił niepowstrzymanie na jego twarz. Czekał, kiedy szarpnie powietrzem łomot. Szeptał sam do siebie, jak gdyby duch jego napominał ciało ubrane w czarny, podarty łachman: „Bądź odważny. Nadchodzi najważniejsza chwila twojego życia; ostatnia. Patrzą na ciebie oczy harnasiów ściętych i wywieszanych przed laty. Ewa myśli o tobie. Jędrus jest z ciebie dumny. Będziesz szczęśliwy”.

Zerwał gwałtownym ruchem ręki opaskę z głowy. Nagły, ostry wybuch salwy rozdarł uszy. Osiem kul utkwilo w drobnym ciele skazańca, który się walił na ośnieżone cegły pod murem. Umierał w białej wichurze, w takiej samej zawierusze, jaka nawiedziła kraj przy jego narodzinach. To się nazywa śmierć za ojczyznę.

Pilsko jaśniało w południowym słońcu wyiskrzonym szkliwem szczytowych śniegów. Pechowa góra: dwukrotnie bił się na niej Janosik, dwukrotnie go na niej złapali, za każdym razem w ciemności. Po tych lasach uganiał się bez wytchnienia. Za czym?

- Janosik nie żyje.

- Co się z nim stało?

- Od dzisiejszego świtu nie masz go między żyjącymi.

Tak bardzo jego życie stopiło się ze śmiercią, a śmierć z życiem, że przejście Błyskawicy do legendy odbyło się prawie niedostrzegalnie. Jedni mówili, iż zginął już dawniej jako porucznik polskiej partyzantki na Baraniej Górze pod Bielskiem. Inni natomiast upierali się, że nadal żyje, prowadząc akcję, mimo iż rozlepiono afisze o jego rozstrzelaniu.

Dlaczego nie okazali jego zwłok, skoro na rynku bielskim można było oglądać przez cały dzień rozstrzelanego Kwiatka?

Jeden z zaufanych organizacji wywiadał się w szynku od żołnierza SS, który brał udział w egzekucji na górze Wiaternej, iż Błyskawicę pochowano na miejscu wykonania wyroku, pod murem, tak jak legł zabity kulami; w dole, który przywalono resztkami ścian i pobitych cegieł.

Na trzeci dzień oddział babiogórski (tam było teraz legowisko rozpierzchłej partii) pod

wodzą Danielaka ośmiu piątkami zszedł nocą przez Sopotnię nad Sołę, okrążając Żywiec od południa. W kilkunastu drapali się rozmiękłą, błotną ścieżką na wierzch Wiaternerj. Świecąc ostrożnie latarkami zaczęli odwalać cegły. Po upływie pół godziny natrafili na ciało; nie poznali go. W czarnym długim ubraniu wydawał się jakby wyższy. Twarz ciemnożółta, na pół zmarznięta nie pozostawiała wszakże wątpliwości, co do identyczności trupa. Więc tyle zostało z hetmana!

Owinęli go w dwa prześcieradła, unosząc z nabożeństwem żałosne resztki człowieka. Uchodzili w mrozie pod osłoną ciemności. Niesamowity pogrzeb: dwóch ludzi niosących na ramionach długi, sztywny, biały tobół w eskorcie kilkudziesięciu uzbrojonych wojowników. Nikogo nie spotkali na swej drodze; szli zresztą prawie cały czas leśnymi ścieżkami. Rankiem oparli się w babiogórskim borze. Pochowali wodza w ziemi pod skałkami, gdzie - według relacji Jędrka - lubił siadywać. Wykopano w pobliżu kilkanaście jałowców z korzeniami, posadzono wokół mogiły. Na nasyp wtoczono gład, na gładzie wykowano krzyż, pod nim zaś orła. Jędrak zagrzebał wraz z trupem pistolet oraz nóż, aby Janosik miał się czym bronić na tamtym świecie. Taki był stary przesąd góralskich przodków Radonia, z czasów gdy jeszcze tkwili w pogaństwie. W małej płytkiej kolibie rozpalono ognisko. Danielak, wysoki, rosły zakopiańczyk, który był następcą Janosika (w stopniu sierżanta), przełamał patyk w pół, zanurzył w popiele, przeżegnał się nim i rzekł:

- Zginałeś, nie odezwie się więcej twój pistolet. Krew na twojej koszuli będzie pomszczona. Spoczywaj w spokoju.

Trzasnęła salwa, zadymiło się, powietrzem poniósł się swąd spalonego prochu. Wzmocniono czaty. Popłynął w noc potężny śpiew. Ognisko paliło się jaskrawo; w pożarze trzaskających jałowców wykwiatała sława pogrzebanego. Kiedy dopalał się stos, nakreślono w popiele znak krzyża, obwiedziono go kołem na znak, że nikt nie śmie mieć dostępu do duszy bohatera. Mogiłę zasypano świeżymi gałęzmi. Każdy ze świadków, który będzie tędy przechodził, świadom dzisiejszego obrzędu, dorzuci tu gałąź na pamiątkę pochowanego wodza.

Po starogóralskiej części obrzędu nowy dowódca odmówił głośno wraz z obecnymi „Ojczy nasz” za duszę komendanta oraz trzy razy „Wieczne odpoczywanie”. Zagasili ognisko i wymaszerowali na Cyłońskie Uwrocie, gdzie mieli obecnie siedzibę. Tam rozpalili ogień ponownie i urządzili stypę; opiekli nad płomieniem dwa cielaki zarekwirowane po drodze sołtysowi z Koszarawy, po czym usnęli snem sprawiedliwych, zbici z nóg żarciem i długą pogrzebową wyprawą. Zaległa cisza, którą przerywał tylko chwilami kaszel wartowników. Ciało Jaska wmarzało w niepodległą ziemię górską, jednocząc się z nią powoli.

Jakoś po śmierci wodza nie wiodło się grupie Błyskawicy. Jędrak stał się teraz jedynym ich łącznikiem z organizacją na dole. Przeszedł górami przez Zawoję do Makowa, aby zawiadomić Kraków o rozbiciu partyzantów beskidzkich i aby otrzymać nowe instrukcje. Po ostatnich pamiętnych dniach nie powróciło do grupy, poza wcześniej ustalonymi stratami, jeszcze jedenastu ludzi; albo się zabłąkali i zamarzli, albo zostali ujęci, albo zwiali szczęśliwie w doliny, postanawiając rozpocząć spokojniejsze życie. Oddział liczył trzy plutony po dwunastu ludzi pod wodzą Adamczyka, Michała i Czernika; ogólną komendę sprawował Danielak.

Z początkiem marca partyzanci w myśl instrukcji przemknęli się przez słowacką Orawę, przerzucając się w Dolinę Chochołowską.

W parę dni po przeprowadzeniu się grupy w góry wysokie spotkała Jędrka Radonia śmierć. Wracał z Myślenic do Witowa (jechał rowerem). Na moście kolejowym w Chabówce przypatrywał mu się długo, uważnie granatowy policjant. Tych nie ma się co bać, chociaż wśród nich trafiają się wyjątkowe świnię. Ale czegoż się bać, jeśli się ma w porządku zielony ausweis volksdeutscha? Słońce zachodziło, zanosilo się na deszcz, Jędrak skrzył na Rokiciny. W zmierzchu zlął z roweru pod chałupą znajomego chłopca. Zjadł kolację, zagrzebał się w stodole w słomie i usnął.

Obudziło go nocą wyważanie wrót. W nikłym pobłysku gwiazd załśnił hełm niemieckiego policjanta; nie jednego, lecz dwóch. Szli wprost ku słomie z wyciągniętymi karabinami. Jędrak nie miał czasu namyślać się. Kropnął dwa razy z pistoletu. Ożywiło się pod stodołą. Buchnął jeszcze jeden strzał.

Oblegali go godzinę, mieli czas. Podeszli pod wrota stodoły, odciągnęli dwóch swoich rannych, wystrzelili z pięć razy na ślepo, tamten odpowiedział i znów cisza. Sytuacja Jędrka była beznadziejna, otoczyli na pewno chałupę i czekają. Nie wezmą go teraz - wezmą rano.

Raz się tylko ryzykuje. Wszedł pod strzechę, nasłuchiwał, zsunął się z węglów; jeżeli teraz nie ucieknie, nie ucieknie nigdy. Natychmiast oświetliła go latarka, zanim jeszcze dotknął ziemi, i upadł na trawę z kulą w plecach.

Nie tylko Jędrka spotkała tragiczna śmierć; w krótkim okresie zginęli Danielak i Adamczyk. Ten sam los nawiedził trzech towarzyszy ostatniej wędrówki Jaśka-Błyskawicy. Jakby się im udzieliło nieszczęsne przeznaczenie hetmana, jakby się zarazili od niego zaczynem gwałtownej śmierci. Istotnie, wszyscy trzej, rozpierzchnięci po kraju, nieśli po jego zgonie zarodek katastrofy. Danielak zginął podczas nieudanego zamachu na więzienie nowotarskie, z którego chciano odbić więźniów. Uciekając przed pościgiem, schronili się do jakiegoś domu na Kowańcu, wyrzucili zeń wszystkich domowników. Bili z okien w

dziewięciu, policja otrzymała posiłki, widoczne było, że już nie wydostaną się z oblężonego domu. Wystrzelali wszystkie naboje. Zaczęto rzucać granaty ręczne, Danielak miał już trzech zabitych, czterech innych rannych; pół domu płonęło aż po sam dach. Na samym dnie ogniska spalili się wszyscy: zabici, ranni i żywi. Tak żywcem spłonął Danielak, następca Błyskawicy.

Adamczyka powieszono publicznie wraz z trzema towarzyszami na placu w Kielcach. Ujęto ich po napadzie na pociąg w Zagnańsku, gdy wiali w Góry Świętokrzyskie. Tam Adamczyk zdołał już zorganizować partię złożoną z ponad stu ludzi.

Stary Radoń na wieść o śmierci syna przewiózł zakopaną pod cmentarzem w Rokicinach trumnę Jędrka i pogrzebał w swojej wsi.

Partyzantka tatrzańska istniała nadal. Pozbawiona jednak wybitniejszego kierownictwa, nie przejawiała żywszej działalności. Po śmierci Danielaka dowodził Michał, jego zastępcą był Czernik. Dwa półplutony liczyły niespełna dwudziestu ludzi. (W tym czasie grupa Norberta-Inżyniera, siedząca nad Polaną Miętusią, przeprowadziła się do ziemi miechowskiej.)

W maju przyszedł rozkaz z Krakowa, przesuający oba półplutony, Czernika i Michała, na wschód pod Sanok; szło o paraliżowanie niemieckiego ruchu transportowego na front wschodni.

W święto Matki Boskiej Gromniczej dozorca więzienny z Bielska wybrał się autobusem do Żywca, a stąd koleją do Jeleśni. Szedł po błocie pięć kilometrów do Przyborowa. Dowiedział się o chałupie starej Tramkowej, rozpytał wdowę o Ewę Dziurową. Stara nieufnie spojrzała na obcego człowieka.

- Już dawno tu nie mieszka.
- Nic się nie bójcie, mamusi. Mam jej doręczyć kartkę. List.
- Wyjechała stąd przed Bożym Narodzeniem. Na tamtą stronę.

Dozorca nachylił się nad staruchą, mówiąc:

- Mąż jej, wiecie, zginął, rozstrzelany przez Niemców. To był bohater.

Kobieta zatrzęsa się, wargi zaczęły jej drżeć.

- Ja z tym nie mam nic wspólnego! Matko Najświętsza! Była u mnie tylko na mieszkaniu, czego chcecie ode mnie? Wyjechała, nie wiem, gdzie wyjechała. Co mnie to obchodzi, kim był jej mąż, co robił? - wymawiała się gwałtownie w obawie przed więzieniem. Ale gość uspokoił ją.

- Ja od was nic nie chcę. Błyskawica prosił mnie przed śmiercią, abym doręczył kartkę jego żonie. To są jego ostatnie słowa. Zostawiam wam to, poślijcie jej. Nie bójcie się mnie. Ja

dobry Polak i dobry katolik.

Wyjął dwadzieścia marek i wręczył kobiecie.

- Obiecywałem Janosikowi, że spełnię jego prośbę, i wywiązuję się z obietnicy. Weźcie sobie to za fatygę i poślijcie tę kartkę w liście młodej wdowie, jeżeli, jak mówicie, wyjechała stąd. Niech sobie przeczyta ostatnie posłanie męża z tego świata. To był wielki człowiek. Zostańcie z Bogiem. Nikt więcej o tym nie śmie wiedzieć.

- Boże was prowadź.

Nabrała zaufania do gościa, kiedy wyszedł. Poszła z kartką do Wojnarowej. Sama nie umiała czytać; przeczytały świstek, spłakali się wszyscy w chałupie. Na przyszły tydzień miała zjechać do Jeleśni Szczepanikowa ze Stróży, u której mieszkała Ewa: co dwa tygodnie sprowadzały ją tu interesy, w których pośredniczył Pasik. Zabierze tragiczną wiadomość dla swej lokatorki. A więc wszystko, co mówią o Janosiku, jest prawdą!

W tych dniach ostatecznie opuszczała Koszarawę Zośka Krawczykowa. Dowiedziała się, że umieszczono ją na liście osób przeznaczonych na wyjazd do robót w głębi Rzeszy, jako nie żyjącą z mężem i bezdzietną. Wyjechała czym prędzej do Zakliczyna nad Dunajcem, gdzie wypłynął ostatnio jej mąż i gdzie znalazł posadę. Już nic nie stoi na przeszkodzie, aby to pechowe, rozbite małżeństwo nareszcie się sklepiło.

Ewa po raz dwudziesty czyta wymięty, brudny świstek, najdroższe posłanie przedśmierne od męża. I jak za każdym razem, wybucha płaczem. Stała się ponura, brzydka w żałości. Życie jej od czterech lat było nieustannym pasmem napięcia, bohaterstwa, wyrzeczenia, aż teraz wszystko naraz zgasło. Skończyło się to wszystko, dla czego porzuciła normalne życie, ku czemu wzdychała jak ku szczytowi szczęścia. Zaczęło się to pod groźbą śmierci i nie odstąpiło od niej, aż utonęło tam, skąd wyszło.

Całymi dniami siedziała nieruchoma, wyczerpana i złamana bólem. Czy po to szła przeciw całemu światu, na przekór woli rodziców i Franka Matogi, który chciał ją poślubić, tak jak stała, wbrew opinii Jurgowa i jeleśniańskiej parafii - czy po to zażarcie broniła odrobiny swego upragnionego szczęścia przy tym człowieku, czy po to wyparła się wszystkiego idąc w otchłań miłości występnej i szalonej ku wstydowni, hańbie i zgorzeniu? Po to, aby się zaczęło wszystko na nią walić, jedno po drugim, jedno gorsze od drugiego?

Tacy jak on nie żyją długo. Ileż miał lat? Dwadzieścia cztery. Wstąpiła do cichego wiejskiego kościółka wśród potężnych lip. Uklękła przed ołtarzem, wpatrzyła się w twarz świętego Antoniego. Dwie świece gorzały pod obrazem delikatnie skwiercząc. Nikogo w kościele nie było. Odmawiała „Ojcze nasz” duchem przenosząc się pod sam obraz, gdzie

Święty wyrastał pośród kwiatów i dwóch płomieni. Wśród kwiatów i światła spłynęła na nią pociecha zaświatów, łagodne dotknięcie ciszy. Poczła się wolna od trosk i lekka.

Po tygodniu wróciła do normalnego toku życia, jak zawsze spokojna, wewnątrz chowająca tajemnicę. Któregoś dnia zjawilo się u niej dwóch panów w gumowych płaszczach. Tajemniczy goście nie przedstawili się z nazwisk; przysli z sąsiednich Myślenic wprost do niej; zamiatała właśnie klepisko w stodole. Wręczyli jej w imieniu organizacji podziemnej kwotę sześciu tysięcy złotych jako odszkodowanie za śmierć męża. Odrzuciła pieniądze, nie wzięła. Szwagier Szczepanikowej, pijanica, odciągnąwszy przybyszów na stronę zobowiązał się, że będzie z tej sumy kupował lokatorce żywność. Zawierzyli mu. Podpisał pokwitowanie w jej imieniu, pieniądze ukrađł i przepuścił, pozostawiając Ewę w całkowitej nieświadomości o swoim postępku.

W niedzielę wdowa modliła się żarliwie na nieszporach w kościele. Gromadny śpiew i dźwięk trzepotliwych dzwoneków przepelniał ją słodyczą. Nikt jej tu nie znał, nie wiedział, ile przecierpiała ta kobieta, której młodość dopiero rozwinęła się z pąka.

Po nieszporach wyszła z dzieckiem na most. W dole płynęła srebrzyście Raba pośród płaskiego wysypiska żwiru; w górę koryto zwęzalo się obramowane wiklinami. Popatrzyła na horyzont południowy wstępujący w niebo lasami Kotonia. Stamtąd nadsięgały ku zenitowi ciężkie, brudne chmury i odbiegały na zachód, topiąc w sobie słońce.

Wzięła Jędrusia na ręce. Stała na środku rzeki oparta o drewnianą poręcz mostu. Zamknęła oczy. Jak bystra woda przepływały lata przez jej wyobraźnię. Widziała swoje dziecko mężczyzną. Zgrabny, gibki młodzieniec, o smagłym obliczu ojca, o bujnych włosach, uśmiechnięty i zawadiacki. Piękny mężczyzna! Niezapomniany obraz.

Już nie umiała płakać. Od czasu do czasu wstrząsało nią suche łkanie. Jeszcze przed paru dniami płakała tak mocno, aż oczy jej puchły od łez. Teraz skamieniało w niej wszystko. Cała jej siła, cała jej nadzieja skupiły się w dziecku. - Skarbie mój - całowała rączyny Jędrusia. - Ty mi jeden pozostałeś na świecie.

Wieczorem wyszła przed chałupę; wietrzyk leciutko grał w gaju olchowym. W bagnistym moczarze rechotały żaby. Trawa jest wyjątkowo rośna. Jutro będzie pogoda. Księżyc wysrebrza łąkę, drzewa rzucają wyraźny czarny cień. W izbie szła pogwarka małżeństwa Szczepaników o Stalingradzie.

Ewa nasłuchiwała trwoźnie, czy nie wzleci nad czarną ścianę lasów Jeździec Straszliwy w blasku czerwonym wschodzącego księżyca, czy nie odezwą się krótkie, spłoszone strzały leśnych chłopców. Chwyła ją tkliwość ogromna i żalność. Więc Jaśka już nie ma!

Wycofała się do izby. Ach, serce jej uderza jeszcze raz dawnym rytmem. Gdzież się to wszystko podziało? Czyżby raz jeszcze odzywała się pieśń krwi, tak głośno hucząca w jej żyłach? Nachyliła się nad synkiem, ujęła obie jego ręce, przytuliła do swego policzka.

- Najdroższy mój! Chciałabym cię widzieć dorosłym! Jak będziesz chodził, jak będziesz mówił. Nauczę cię pieśni o ojcu.

Szloch zadrgał jej w krtani.

- Tylko czy nie umrę, zanim dorośniesz? Tak chciałabym tego dożyć!

Świeca na stole paliła się prosto. Lampę naftową wzięła Szczepanikowa do stajni, aby wydoić krowę. Trzeba pójść jutro po naftę do sklepu. U Bielenia dają po pół litra na kartkę z marca. Matka patrzyła nieruchomo na płonącą świecę.

- Twój ojciec spalił się do końca jak świeca. Zaciśnęła zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Dziecko słuchało matki, wpatrzone w nią ciekawie, usteczka miało zacięte, uparte, jak niegdyś ojciec.

W parę tygodni po tragicznym ciosie, który uczynił ją wdową, dowiedziała się Ewa, iż Wojnar zmarł w Oświęcimiu. Żona otrzymała z poczty jego ubranie, zegarek oraz pisemne zawiadomienie o śmierci, z tym że za pobraniem pocztowym sześciu marek mogła otrzymać prochy męża. Zrezygnowała z tego; jej mocna wiara miała już na zawsze ulec wstrząsowi. Nie pogrzebano męża w poświęconej ziemi, lecz spalono jego zwłoki w krematorium.

O akcjach partyzanckich ucichło pod Babią Górą; niedobitki ocalałe z obław przeprowadziły się w inne strony.

Nieszczęsnym zrzędzeniem losu po zgonie Jana Dziury przyszła zagłada na jego najbliższych, nie oszczędzając jego rodziny. Ojca Jaśkowego, honorowego Spiszaka Sobczaka, uśmiercono metodą humanitarną w szpitalu dla umysłowo chorych w Kobierzynie pod Krakowem. Już czwarty rok kontynuował tu swój beznadziejny obłąkany żywot. Miewał bardzo rzadkie przebłyski świadomości. Walerka, garbata frajerka, dwadzieścia cztery lata wcześniej zmarła, coraz silniej przybliżała się ku niemu. Czasem wspominał syna: „Mój syn święty. Zapakowali go do więzienia, skazali na śmierć jak Chrystusa”. Poza wizjami Walerki i Jaśka żaden trzeźwiejszy refleks nie miał dostępu do jego umysłu. Nie dane mu było zobaczyć syna. A i tak przeżył go o dwa tygodnie. Na wniosek dyrekcji szpitala stanął przed komisją lekarską złożoną z dwóch Niemców. Badali go patrząc w oczy, lekarz pytał o coś, zapisywali, tłumaczył tamtym; kiwali głowami. Zrobili znudzony, na pół dobrotliwy wyraz twarzy, machnęli ręką.

„Następny." Sobczak wyszedł z sali jako nieuleczalny wariat i w trzy dni później usnął na zawsze po zastrzyku zaaplikowanym przez szpitalnego lekarza. Tak obeszła się z nim niemiecka wiedza medyczna, która starała się o utrzymanie ludzkich egzemplarzy tylko zdrowych i normalnych. Jaki zresztą sens trzymać czterdziestoparoletniego idiotę do końca kto wie jak długiego życia, dawać mu jeść, utrzymywać go w dzisiejszych ciężkich czasach, w czwartym roku wojny, kiedy brak łóżek szpitalnych dla wojska, a Kobierzyn powinien przyjąć przede wszystkim pacjentów niemieckich? Małoż ich, umysłowo wyczerpanych i nerwowo chorych, przywieziono z pierwszej linii frontu oraz spod bomb w Rzeszy?

Dziadek Janosika przeżył za to wnuka prawie o całe trzy miesiące. Umarł w swej rodzinnej Naprawie w pierwsze święto Wielkiejnocy mając siedemdziesiąt siedem lat. Gdyby nie zapalenie płuc, byłby jeszcze pożył dobrych kilka lat. Do ostatka tłuło się w nim twarde życie. Był w lesie, przebiegł się przełaząc przez strumień; wpadł w wodę, nogi zmoczył i położył się. Oczywiście do samej śmierci nie wiedział, że legendarny Janosik jest jego wnukiem.

Jaga Utylska z Herdučki, niezapomniana orawska frajerka Janosika, straciła męża z początkiem 1943 roku na mroźnym, zaśnieżonym froncie wschodnim. Mąż w sile wieku, rezerwista z pierwszej wojny światowej, zmobilizowany został, z chwilą gdy rządzona przez faszystów Słowacja z rozkazu Hitlera wypowiedziała wojnę Związkowi Radzieckiemu. Odniósł najpierw lekką ranę postrzałową podczas zwycięskiego pochodu armii niemieckich w kotle Wiaźmy, wyleczył się w ciągu sześciu tygodni w szpitalu polowym w Mińsku. Za zaszczytną ranę odniesioną dla nowej Europy awansowano go na plutonowego i znów wysłano do okopów. Tam nad Dońcem dosięgnął słowackiego wojaka sowiecki granat, kładąc kres jego życiu. Pozostało po nim osierocone gospodarstwo w Klinie Zakamiennym oraz młoda żona z córeczką, która miała półtora roku, gdy ojciec szedł do szeregów.

Niedługo trwała Jaga w stanie wdowieństwa i latem tego samego roku po raz drugi wydała się za chłopaka z niedalekiej wsi, Terhowy. Jej wybrany nazywał się Szano Galas, młodzieniec jak tur, syn byłego wójta; ojciec wykupił go od wojska, powierzając mu prowadzenie wielkiego pożydowskiego tartaku i współpracę w straży granicznej. Jaga z dzieckiem przeniosła się do Terhowy. Miała tu sute gospodarstwo oddalone o szesnaście kilometrów od zagrody swoich ojców i tyleż drogi od granicy polskiej. Tęsknie poziarała na Rycerzową rozłożoną na północy, już w Polsce, sama siedząc pod wysokim wierchem góry zwanej Chleb. Żyła w Małej Fatrze. Czy mogła przypuścić, że Północny Jasiek już nie żyje i pogrzebany jest pod Babią Górą, której trójkątna ścięta czuba wyносиła się na północnym wschodzie? Tak wszystko mija i przechodzi w zapomnienie: miłość, piękność, zbojcecka

sława. Wszakże Terhova jest rodzinną wsią Jura Janosika, dumnego harnasia, którego dzieje przesłaniają całą dziedzinę gór od Czech po Rumunię. To najsłynniejszy zbój, jaki się narodził na tych ziemiach w ciągu ostatnich trzystu lat. Jego legendą podzwaniają pieśni góralskie pięciu narodów. Czy chwała Jasia-Błyskawicy, ginącego mężnie w burzy śnieżnej na Wiaternej, nie może stanąć na równi ze sławą Jura Janosika powieszonoego przed laty za pośrednie żebro na haku w Liptowskim Mikułaszu? Tak oto dziwnie poprzez zbójnicką frajerkę zazaębiły się losy tych dwóch harnasiów: słowackiego z południa i polskiego z północy.

Był majowy ranek. Ptaki śpiewały w ogrodzie, mały chłopczyk huśtał się na drewnianym koniu. Ewa szyła na maszynie, Szczepanikowa w sieni przesiewała mąkę przez przetak.

- Mamusiu, dlaczego tata nie bawi się ze mną w konie?

- Tatuś twój, dziecino, odjechał do górnych krajów - pokazuje matka ręką na trzebuniańskie wierchy. - Ale z góry patrzy na ciebie.

- I widzi, jak się bawię w konie?

- Widzi.

- Podoba mu się, że Jędrus się bawi?

- Podoba.

Królestwo tatusia zawsze było w górze. Patrzyła machinalnie na skraj białego płótna ze szlakiem niebieskich kwiatów na brzeżku, słuchając szczebiotu dziecka. Myślała o ojcu Jędrusia, synu Jędrka Sobczaka. Nie było nocy, w której by nie liczyła lat i tygodni wspólnie z nim spędzonych. Skończył zaledwie dwadzieścia cztery lata. W jej oczach na zawsze zostanie jego obraz: włosy rozwiane, twarz smągła, oczy śmiejące się.

Przy stole siedział Trzebuniak z sąsiedniej roli (Szczepanikowo leżało na końcu Stróży dotykając już Trzebuni). Palił machorkowe papierosy, zasmrodził całą izbę. Wrócił właśnie z Chabówki, dokąd odwoził państwowe drzewo na stację kolejową.

- No, co tam w górach? - pyta gospodyni.

- Nic ciekawego. Tak jak i u nas. Gnębią ludzi, jak mogą. Mieli wywozić dziewczęta do Niemiec, ale zgłosiły się wszystkie do czyszczenia wyrębów. Zrzynają sierpami krzaki malin i ożyn. Dostają dziennie złotówkę z nadleśnictwa i wracają co wieczór z pokaleczonymi nogami. Ale uchroniły się od wywozu.

- Byliście w Nowym Targu? - pyta Ewa, jak gdyby dopiero co się obudziła.

- Byłem.

Właśnie zamknęła maszynę, skończyła na dzisiaj robotę krawiecką. Dopiero teraz przy pracy uderzyło ją słowo: Nowy Targ. Tam urodził się Jasiek.

- Jak tam w Nowym Targu? - ciągnęła bezmyślnie.

- Jak ma być? Tak jak wszędzie - zdziwił się Trzebuniak, wionąc smrodliwym, dymem. - Podobno rozstrzelali tamtego tygodnia sześciu górali za to, że wysadzili w powietrze pociąg z wojskiem. Na placu ich strzelali, luda mnogo się patrzyło.

Ewa zadrżała.

- Że też ludzie nie mają co do roboty, tylko patrzeć na takie okrucieństwa! - otrząsnęła się Szczepanikowa.

Ewę ścisnął nagły żal za gardło. Domownicy nie wiedzieli nic o jej tragedii, choć nieco się domyślali. Spokojna i cicha, przecież nieraz wybuchała płaczem w lesie, samotnie grzebiąc ściółkę w sośninie albo zbierając borówki na premię do miasta.

Tego wieczora, w którym pod wpływem Trzebuniaka odżyło wspomnienie Nowego Targu, długo w noc Ewa tuliła do siebie dziecko, całując je ze wzruszeniem. Odmówiła z nim wspólnie na głos pacierz - jak to czyniła codziennie - dodała „Wieczne odpoczywanie” za duszę tatusia i „Chwała Ojcu” za szybkie zakończenie wojny, po czym oboje wsunęli się pod koc. Mały, już zaspany, grzał ją silnym ciepłem młodziutkiego ciała. Jędrus, syn Jana i Ewy, największy cud jej życia, najsilniejsze doznanie kobiety: dziecko. Czy to ma być syn Janosika? Kto dziś pamięta o Janosiku w umęczonym narodzie?

- Wojna na pewno nie skończy się w tym roku - mrucał Szczepanik, czytając tygodnik „Siew” wydawany w Krakowie przez propagandę niemiecką, specjalnie dla mieszkańców wsi. - Niemcy cofają się znad Dońca. Ile się muszą jeszcze nacofać, aby front przybliżył się do nas?

- Nie wiercie temu, kumoterku - pocieszał go nieodstępny Trzebuniak. - Co tam w tej gazecie piszą, to wierutne bajki. Oni myślą, że my głupi jak stado baranów. Jak pisali o Stalingradzie? A musieli wrywać, aż się kurzyło.

- Tak się cieszyłem, że, psiawiary, zniw się nie doczekają u nas. A jednak trzeba im i w tym roku dać kontyngent. Żyto słabe, a owies jaki płony! Oni się nie zapytają, czy masz, chłopie, zboże na zasianie; byleś kontyngent oddał.

Ewa poza szyciem na maszynie zarabkowała zbieraniem borówek i grzybów, które odnosiło się do zbiornicy, za co poza ceną urzędową otrzymywało się drobne premie w postaci przydziałów cukru, wódki, mydła czy nafty. Radziła sobie energicznie; za borówki, które zaniosiła do Myślenic, otrzymała mąkę, mąkę zamieniła w Lubniu na płótno. Gospodarz

kupił jej nici w Krakowie na pasku. Szyła koszule męskie i sukienki, znana była w całej wsi, a nawet w Trzebuni; i z Pcimia znoszono jej materiały do roboty. W niedzielę po kościele wychodziła z Jędrusiem pod Bukowiec, siadali na mchu. Opowiadała dziecku bajki o Tatrach; o zielonych głębiach stawów, o wysokich przepaściach z granitu, o głuchych borach pełnych niedźwiedzi. Promieniała dawną godnością, w oczach widniał błysk dumy. Pociągła twarz śmietankowego koloru kryła w sobie smutek i piękno zarazem. Stroniła od tańca i wypitki, zgubiła wesołość i zalotność. Ale nadal lubiła muzykę i śpiew; dzielna, robotna, gospodarna; w sprawach religii tolerancyjna, z Bogiem jak gaździna za pan brat będąca, wierząca w szlachetną etykę naturalną; w kwestiach erotycznych wyrozumiała, pobłażliwa dla miłostek i zalotów. „Pecha mam do chłopców - skarżyła się sobie w duchu. - Pierwszego znaleziono zabitego w górach, drugiego przywaliła kłoda w lesie, trzeciego ubili w bójce parobcy, czwartego, najmilszego, zastrzelili Niemcy. Co to jest, że każdy, kto się koło mnie zakręci, ginie gwałtowną śmiercią? Ten, ze zbójów tatrzańskich, który mi się ongiś najbardziej podobał, czyż także nie oślepl?”

Całowała machinalnie przedśmiertną kartkę Jańską jak najdroższą świętość. Chowała ją w kopercie, znała ją na pamięć, oglądała po raz setny litery, wyrazy, podpis, aż pismo na kartce wypełzło i ślad ołówka się zatarł.

Tak samo zacierał się i w pamięci ludzkiej ślad Błyskawicy.

W same zniwa Ewa otrzymała list od Zośki Krawczykowej z Zakliczyna, pełen czułości, aż wzruszający. Donosiła, iż jest w ciąży; powodzi się im nieźle, mąż założył sklep towarów mieszanych, handlują w nim oboje. Pół listu było o Jaśku. Zośka wiedziała o wszystkim. Była bowiem w stałym kontakcie listowym z Jeleśnią. „Teraz, kiedy już go nie ma między nami - pisała Krawczykowa - możemy być przyjaciółkami. Pani wie, że ja go kochałam. Kiedy odszedł ode mnie do pani, chciałam pani tylko to powiedzieć: Niech pani uważa na Jaśka, on taki lekkomyślny. Niech pani go pilnuje. Ale nienawiść nie pozwoliła mi spotkać się z panią. Jakaż byłam zazdrosna o niego!”

Ewa czytała to zdanie po kilka razy. Czyż ona także nie była zazdrosna o Jaśka? I to jak jeszcze! Ale nie mówiła mu o tym nigdy.

„Niech go pani pilnuje.” Nie upilnowała go.

Za tydzień przyszedł drugi list. „Świat dla mnie zgasł, odkąd on się skończył. Niech mi pani napisze o nim, jak zginął, modłę się ciągle za niego. Całuję w oczka Jędrusia, przesyłam mu pięćdziesiąt złotych na cukierki.”

Ewa odpowiedziała. Pełna dumy, nie omieszkała przepisać kartkę Jańską, ostatnie posłanie do żony przed rozstrzelaniem. Odesłała z powrotem pieniądze. „Syn mój cukierków

nie jada. Nie chcę go uczyć korzystać z cudzej pomocy. Musi się umieć obywać małym."

Ustały listy. Może nowym bólem zraniona została Zośka Krawczykowa? Z jakiego powodu? Przez ambitne odrzucenie prezentu dla dziecka? Czy przez ów przedśmiertny listowy wyraz czystej miłości małżeńskiej Jaśka? Dopiero we wrzeźniu odezwała się, i to nie listem, lecz przekazem pieniężnym. „Przesyłam czterysta złotych dla Jędrusia na nowe ubranie.

Przeszłam ciężką chorobę, już jestem na wyzdrowieniu. Pozdrawiam was serdecznie. Zośka Krawczykowa wraz z mężem."

Jak było do przewidzenia, Ewa zwróciła jej podarunek wraz z grzecznym listem. „Dam sobie sama radę w życiu, a syn mój nigdy nie będzie się utrzymywał z obcych pieniędzy."

Tego samego miesiąca przyjechali do Stróży na jeden dzień oboje Krawcykowie: on rozpromieniony, gdyż żona była w szóstym miesiącu ciąży, ona wzruszona, tuląca do siebie Janosikowe dziecko. Krawcykowie usiłowali pokonać fałszywą dumę Jędrusiowej matki. Nie udało się im to: z uporem honornej góralki odrzucała ich propozycje.

- Dla siebie i dla dziecka zawsze zarobię szyciem. Jeszcze tak ze mną nie jest źle, abym rękę musiała wyciągać o pomoc. Jak mi będzie trzeba, napiszę wam.

Krawczyk wsadził Szczepanikowej na osobności setkę za gościnność, drugą setkę na cukierki dla Jędrusia, tak aby matka nie widziała. Odjeżdżali oboje na furze do Myślenic, odwoził ich gospodarz. Spoglądali z drogi na Ewę, zbudowani jej spokojem i łagodnością. Twarz jej promieniała urodą zgoła inną od Krawcykowej, miała w sobie coś zjawiskowego. Stała długo na ganku, uśmiechając się ku odjeżdżającym. Rzadko się uśmiechała; dziecko u jej spódnicy żegnało ich rączką: „Pa, pa". Jeszcze raz zaturkotały koła na zakręcie i zieleń drzew zasłoniła gości. Oto część historii babiogórskiej znikająca w zieleni. Ewa wycofała się z ganku do izby.

W ciepłe wrzeźniowe południe Ewa, wracając ze sklepu w Stróży, wstąpiła na plebanię, aby zamówić mszę żałobną za duszę Jaśka. Wczoraj śnił się jej mąż; dwóch jego towarzyszy paliło ognisko, a on leżał pod krzakami z papierosem w ustach, w borowacinach, twarz miał wychudłą, zmęczoną. Trzeba modłami oczyścić wspomnienie. U furki w parkanie spotkała wychodzącego zebra; starego, bosego, ubranego dziwacznie, z sękatym kijem w ręce. W drodze powrotnej od plebana zrównała się z obdartusem wędrującym w jej stronę, w górę wsi.

- Dokąd idziecie?

- Tak, po ludziach.

- Chodźcie do nas, u nas się prześpicie.

Dała mu dwa złote. - Pomódlcie się za duszę świętej pamięci Jana - powiedziała wskazawszy mu adres Szczepaników, którędy i jak ma iść. Kto wie, może Bóg prędzej wysłucha modlitwy starego dziada?

O zmierzchu przydreptał do Szczepaników żebrak. - My go znamy - rzekła gospodyni. - Był u nas tej wiosny. Pochodzi z Pcimia.

Postawiła mu w izbie wieczerzę w osobnej misce jako gościowi. Miała dobre serce, znano ją z tego. Tragedią jej było, że nie miała dzieci. Staruch rozgadał się przed spaniem, które mu zgotowano w szopie na suchym mchu chowanym na zimową podściółkę w stajni. Wójt w Pcimiu zarządził, iż Walek Kwatera (tak się nazywał) jako biedak ma prawo jedną dobę przebyć na bezpłatnym utrzymaniu i noclegu w każdej chałupie gminy. I tak pędził chłop życie w swej rodzinnej wsi, przechodząc z chaty do chaty; gdziekolwiek go przyjmowano, gdzie indziej przepędzano, śmiejąc się z zarządzenia wójta. Bezradny Walek puszczał się więc na własną odpowiedzialność po okolicznych wsiach na żebranie.

Wyszedł z paru jabłkami w kieszeni na dwór, odprowadzała go do szopy Ewa. Popatrzył na wygwieżdżone niebo i westchnął;

- Już niedługo tej udręki po ludziach. Trzeba się będzie gotować do drogi. Na niebieskie gospodarstwo. Już czas. He, he, wołają mnie tam z góry, mrugają: Walek, pomykaj się ku nam.

Słyszała, jak zamykał drzwi do szopy, sadowiąc się na mchu i mruczając pacierz.

- Nie zapomnijcie pomodlić się za duszę świętej pamięci Jana - rzuciła na odchodnym, przechodząc między sztachetami ogródka. Wciągnęła w nozdrza orzeźwiające powietrze nocy, z boku zawiął upojny zapach dojrzałych śliwek. Spojrzała w niebo, w szeroką wstęgę Mlecznej Drogi. W szopie dziadyga mruczał swoje pacierze, sposobiąc się do snu. „To wstyd, abym się wyręczała żebrakiem w modlitwach za męża.” Nad Bukowcem mieniły się łyskliwe koła Wielkiego Wozu.

Tam, gdzie się zapatrzyła, nie było pewnie wojen ani złości. Stała wyniosła, dziewczęca, kolumna zimnego piękna. Lecząca na ukos gwiazda przeszła Wielki Wóz. „Niech Jędrus będzie szczęśliwy” - pomyślała.

Malec wyszedł, zniecierpliwiony nieobecnością matki. - Mamusiu! - usłyszała jego czysty głos.

- Chodź tu.

Przybiegł bosy pod sztachety. Wzięła go na rękę, pokazując niebo.

- Tatuś twój patrzy na nas z góry. On w gwiazdach jest.

- A słyszy, jak zawołam na niego?

- Słyszy, jak powiesz do niego cicho, lecz z całego serca.

- Tatusiu! - rozdarł się chłopczyk, niepomny wskazań matki. Musiała go uciszać, choć miała łzy w oczach. Wychowała go przecież sama w ogromnej miłości do ojca.

- Tatuś cię i tak słyszy, Jędrus. Nie krzycz, teraz nie wolno wołać głośno, bo jest noc. A podczas wojny nie wolno w nocy robić hałasu. Ale nawet kiedy cichutko westchniesz w pacierzu do tatusia, on usłyszy. Bo tatuś jest wszędzie. Widzi cię i słyszy.

- Tatuś jest tam, gdzie te gwiazdki? - upewniał się mały.

- Tak. On jest w niebie. I teraz zamiast przy łóżku, tutaj zmówimy pacierz.

Złożył rączki do modlitwy, tak jak go uczyła, i główkę oparłszy na jej głowie, z oczyma w gwiazdy utkwionymi, rozpoczął:

- Ojcze nasz, który jesteś w niebie...

Do którego ojca się modlił? Czy do tego, który z wysokości dopuścił wojnę straszliwą na ziemi, a którego imię obnoszą na ustach święci, jak i zbrodniarze? Czy do tego, którego duch w śnieżycy uleciał z góry Wiatrnej do nieba, z ciała podziurawionego niemieckimi kulami?